

MARIO

PUZO

SYCYLIJCZYK

LIBROS

MARIO PUZO

SYCYLIJCZYK

Z angielskiego przełożyła
Anna Wiśniewska-Walczyk



LIBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Księga pierwsza

Michael Corleone

1950

Rozdział pierwszy

Michael Corleone stał na długim drewnianym pomoście w Palermo i przypatrywał się, jak wielki liniowiec wypływa w rejs do Ameryki. I on miał się znaleźć na jego pokładzie, lecz otrzymał nowe instrukcje od ojca.

Pomachał na pożegnanie rybakom z niewielkiego kutra, którzy przywieźli go do doku, ludziom, którzy ochraniali go przez wszystkie minione lata. Łódź popłynęła śladem białej fali, wzburzonej przez liniowiec, niczym dzielna kaczuszka podążająca za matką. Rybacy również skinęli Michaelowi w odpowiedzi. Nigdy więcej nie miał już ich zobaczyć.

W porcie roilo się od krzątających się robotników w czapkach i powypychanych drellichach. Rozładowywali inne statki, dźwigali ciężkie paki wynoszone na długi dok. Byli to niewysocy, żyłaści ludzie, przypominający bardziej Arabów niż Włochów. Ich oznakowane czapki z daszkami przesłaniały twarze. Mogli się znajdować wśród nich nowi goryle Michaela, których zadaniem było dopilnowanie, by nic złego mu się nie stało do chwili spotkania z don Croce Malo, *capo di capi* „przyjaciele przyjaciół”, jak nazywano ich na Sycylii. W gazetach i w świecie zewnętrznym określano ich jako mafię, lecz na wyspie takie słowo nigdy nie przeszłoby przez gardło zwykłego obywatela. Podobnie jak nigdy nie nazwano by don Croce Malo *capo di capi*; byłby tylko „życzliwym człowiekiem”, „dobrą duszą”.

W ciągu dwóch lat wygnania, spędzonych na Sycylii, o uszy Michaela obilo się wiele opowieści o don Croce, niektóre z nich były tak fantastyczne, że niemal nie potrafił uwierzyć w istnienie owego człowieka. Wszakże instrukcje przekazane przez ojca nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości: nakazano mu tego właśnie dnia zjeść lunch z don Croce. I we dwójkę mieli zaaranżować ucieczkę z Sycylii najgroźniejszego bandyty owej krainy, niejakiego Salvatore Guiliano. Michael nie mógł bez niego opuścić wyspy.

U nasady mola, w odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów, w wąskiej uliczce parkował wielki czarny samochód. Stało przed nim trzech mężczyzn - ciemne kanciaste sylwetki, odcinające się od oślepiającej zasłony jasności, rozpostartej przez

słońce i przypominającej złotą ścianę. Michael ruszył w ich kierunku, przystanął na moment, by zapalić papierosa i popatrzeć na miasto.

Palermo leżało w dole niecki utworzonej przez wygasły wulkan, z trzech stron otaczały je wzgórza, a z czwartej miasto otwierało się na oślepiające błękitem Morze Śródziemne i skrzyło w złotych promieniach sycylijskiego południowego słońca. O ziemię uderzały strugi czerwonej poświaty, jak gdyby odbijały się w niej potoki krwi, która od stuleci użyźniała tutejszą ziemię. W złocistych promieniach kąpały się także wyniosłe marmurowe kolumny greckich świątyń, spiczaste muzułmańskie minarety, bogato zdobione fasady hiszpańskich katedr; na odległym wzgórzu groźnie szczyrzył zęby starożytny normański zamek. Wszystko to pozostawiły jeszcze przed narodzeniem Chrystusa zmieniające się, ale równie okrutne wojska, które podbijały Sycylię. Za murami zamczyska ukształtowane w podkowę góry zdawały się brać nieco zniewieściałe Palermo w morderczy uścisk; miało się wrażenie, że kiedy sznur miłosierdzie zaciska się na szyi miasta, i góry, i ono samo z wdzięcznością padają na kolana. Wysoko, niezliczone stada małych brunatnych jastrzębi przecinały lśniące, błękitne niebo.

Michael podszedł do trzech mężczyzn czekających na niego u wejścia na molo. Z czarnych kanciastych sylwetek wyłoniły się twarze i zarysy ciała. Z każdym krokiem widział ich wyraźniej, a z nich najwyraźniej opadło napięcie, rozstąpili się, jakby za chwilę zamierzali go zamknąć w powitalnym uścisku.

Każdy z owej trójki znał historię Michaela. Każdy wiedział, że jest on najmłodszym synem wielkiego don Corleone z Ameryki, Ojca Chrzestnego, którego władza sięgała nawet Sycylii. Że podczas egzekucji dokonywanej na wrogu Rodziny Corleone zastrzelił kapitana nowojorskiej policji. Że tutaj, na Sycylii, ukrywał się właśnie z powodu owych zabójstw i że teraz wreszcie sprawę ostatecznie „załatwiono”, a on ma wrócić z wygnania do ojczyzny i zająć należne mu miejsce następcy swego ojca w Rodzinie. Uważnie przypatrywali się Michaelowi, widzieli, jak zwinnie i lekko się porusza, jak badawczo obserwuje wszystko wokół, dostrzegli również wgłębienie na jego policzku - nadawało mu wygląd mężczyzny, który potrafi ścierpieć zarówno ból, jak zagrożenie. Bez wątplenia zaliczał się do ludzi budzących szacunek.

Kiedy tylko Michael zszedł z mola, pierwszym człowiekiem, który ruszył na jego powitanie, okazał się pulchny ksiądz w sutannie; na głowie miał przetłuszczony

kapelusza, podobny do tego, jaki nosi się podczas gry w palanta. Białą koloratkę przybrudził rdzawy sycylijski kurz, nad nią widniało tryskające zdrowiem oblicze.

Był to ojciec Benjamin Malo, brat wielkiego don Croce. Pobożny i świętobliwy, ale również oddany sławnemu krewniakowi, nigdy nie wzdragał się na myśl, iż kręci się koło niego diabeł. Zawistni szeptali nawet, iż przekazuje don Croce tajemnice wyznawane podczas spowiedzi.

Ściskając dłoń Michaela, ojciec Benjamin uśmiechał się niepewnie. Wydawało się, że jest zaskoczony i ucieszony, gdy Michael przyjaźnie, kątem ust, odwzajemnił uśmiech - rzecz niespodziewana u osławionego mordercy.

Drugi z mężczyzn nie zachowywał się tak serdecznie jak ksiądz, choć okazał się równie uprzejmy. Był to inspektor Frederico Velardi, szef sycylijskiej policji bezpieczeństwa. Jako jedyny z trójki witających nie miał na twarzy powitalnego uśmiechu. Szczupły i zbyt elegancko ubrany jak na człowieka, który rzekomo utrzymuje się z państwowej posady, lodowate spojrzenie niebieskich oczu odziedziczył po normandzkich przodkach; jego wzrok przeszywał niczym pocisk. Inspektor Velardi przypuszczalnie nie darzył sympatią Amerykanina, który zamordował wysokiego stopniem oficera policji. Wszakże mógł popробować tego i na Sycylii. Uścisk ręki Velardiego był jak dotknięcie miecza.

Trzeci mężczyzna, wyższy i potężniejszy, górował nad pozostałymi dwoma. Zamknął dłoń Michaela w żelaznym uścisku, a następnie przyciągnął go ku sobie w geście czułego powitania.

- Kuzynie Michaelu! - zawołał. - Witaj w Palermo. - Odstąpił o krok i zmierzył Michaela serdecznym, lecz baczny spojrzeniem. - Nazywam się Stefan Andolini, razem z twoim ojcem dorastaliśmy w Corleone. Spotkałem cię w Ameryce, kiedy byłeś dzieckiem. Pamiętasz mnie?

Dziwne, ale Michael go zapamiętał, Stefan Andolini należał bowiem do rzadkiego wśród Sycylijczyków typu - miał rude włosy. Co zresztą stało się jego przekleństwem, gdyż Sycylijczycy wierzyli, że rudzielcem był Judasz. Jego twarzy także nie sposób było zapomnieć. Miał olbrzymie i niekształtne wargi, usta Andoliniego przypominały rozbite na miazgę mięso; ponad nimi ciemniały włochate nozdrza, wyżej oczy padlinożercy, osadzone w głębokich oczodołach. Chociaż się uśmiechał, jego twarz wyglądała jak twarz mordercy z koszmarów sennych.

Jeśli chodzi o księdza, Michael natychmiast zorientował się, skąd ten się tu wziął. Inspektor Velardi natomiast stanowił dla niego niespodziankę. Andolini, jako krewny, poczuwając się do odpowiedzialności, dokładnie wyjaśnił Michaelowi, na czym polegają obowiązki inspektora. Michael nastroszył się. Co robi tutaj ten człowiek? Velardi cieszył się sławą jednego z najbardziej nieprzejednanych prześladowców Salvatora Guiliana. W dodatku było wyraźnie widać, że inspektor i Stefan Andolini nie darzą się sympatią; zachowywali się jak ludzie, którzy - wprawdzie nadzwyczaj wobec siebie uprzejmi - szykują się jednak do śmiertelnego pojedynku.

Kierowca otworzył drzwiczki samochodu. Ojciec Benjamin i Stefan Andolini, z szacunkiem poklepując Michaela po plecach, poprowadzili go do wozu. Ksiądz z chrześcijańską pokorą nalegał, by Michael usiadł przy oknie, gdyż powinien obejrzeć piękne Palermo, podczas gdy on sam zajmie miejsce pośrodku. Andolini również usiadł z tyłu. Michael zauważył, że inspektor Velardi położył rękę na klamce drzwi, tak by w razie czego mógł je błyskawicznie otworzyć. Przez głowę Michaela przebiegła myśl, iż ojciec Benjamin pewnie dlatego wybrał miejsce pośrodku, że tam mniej byłby narażony na ewentualne kule.

Samochód, niczym wielki czarny smok, wolno pokonywał ulice miasta. Wzdłuż rozległej alei wyrastały mauretańskie domostwa, masywne, ozdobione greckimi kolumnadami budynki użyteczności publicznej, hiszpańskie katedry. Mijali otynkowane na niebiesko, białe i żółte prywatne domy z balkonami, z których zwieszały się girlandy kwiatów, tworząc nad głowami przejeżdżających jakby powietrzną autostradę. Widok byłby cudowny, gdyby nie oddziały karabinierów, włoskiej policji państwowej, którzy z bronią gotową do strzału patrolowali każdy zaułek. A jeszcze więcej z nich okupowało balkony.

Czarny samochód przyćmiewał wspaniałością inne, jadące obok pojazdy, a zwłaszcza ciągnięte przez muły chłopskie wozy, na których wieziono głównie świeże produkty ze wsi. Owe wozy malowano na wesołe, żywe kolory aż po szprychy kół i dyszle. Na bokach pojazdów rycerzy w hełmach i królów w koronach przedstawiono w pełnych dramatyzmu scenach z czasów Karola Wielkiego i Rolanda - oni właśnie należeli do poczty starożytnych herosów sycylijskiego folkloru. Jednakże na niektórych wozach Michael dostrzegł nagryzmołone, ukryte za sylwetką przystojnego młodzieńca w moleskinowych spodniach i białej koszuli bez rękawów, z bronią

schowaną za pasem i karabinem przewieszonym przez ramię, na pozór bezładnie poprowadzone linie, które nieodmiennie układały się w nazwisko: GUILIANO.

W czasie swego wygnańczego pobytu na Sycylii Michael słyszał dużo dobrego o Salvatore Guilianie. Jego nazwisko nieodmiennie pojawiała się na pierwszych stronach gazet. Wszyscy o tym człowieku mówili. Żona Michaela, Apollonia, wyznała, że co wieczór się modli o bezpieczeństwo Guiliana; podobnie czyniły prawie wszystkie dzieci i młodzi Sycylijczycy. Uwielbiali go, był jednym z nich, marzyli, by stać się takim jak on człowiekiem. Mając zaledwie dwadzieścia lat, został obwołany wielkim wodzem, gdyż potrafił rozpedzić wysłane przeciwko sobie oddziały karabinierów. Był przystojny i szczodry, większość z tego, co zrabował bogatym, rozdawał biednym. Szlachetny, nigdy nie pozwolił swoim bandytom napastować kobiet ani księży. Kiedy rozprawiał się z kapusiem albo zdrajcą, zawsze zostawiał ofierze czas, aby się pomodliła, oczyściła swoją duszę i w ten sposób pojednała się z władcami lepszego świata. O tym wszystkim Michael wiedział już wcześniej.

Skręcili z głównej ulicy w boczną, jego wzrok przyciągnął wielki plakat, przyklejony do ściany domu. Zdążył dostrzec jedynie wypisane wielkimi literami nazwisko GUILIANO w górnej linijce. Ojciec Benjamin wychylił się przez okno i powiedział:

- To jedna z proklamacji Guiliana. Bez względu na wszystko, nocą to on wciąż sprawuje kontrolę nad Palermo.

- A co tam jest napisane? - spytał Michael.

- Zezwala mieszkańcom Palermo znowu swobodnie poruszać się po ulicach - wyjaśnił ojciec Benjamin.

- Zezwala? - uśmiechnął się Michael. - Człowiek stojący poza prawem?

Siedzący z tyłu Stefan Andolini wybuchnął śmiechem.

- Karabinierzy jeżdżą tramwajami, więc Guiliano wysadza je w powietrze. Najpierw jednak ostrzega ludność, by z nich nie korzystała. A teraz przyrzeka, że już więcej nie podłoży ładunków.

- Ale z jakiego powodu Guiliano wysadza w powietrze tramwaje z policjantami? - spytał sucho Michael.

Inspektor Velardi odwrócił głowę, jego niebieskie oczy zmierzyły go wściekłym spojrzeniem.

- Ponieważ Rzym w swojej głupocie aresztował jego matkę i ojca za pomoc kryminaliście, czyli rodzonemu synowi. To faszystowskie prawo, którego republika dotąd nie anulowała.

- Mój brat, don Croce - odezwał się z cichą dumą ojciec Beniamin - dopilnował, by ich zwolniono. Och, tak, on jest nie na żarty zagniewany na Rzym.

Chryste, pomyślał Michael, don Croce obrażony na Rzym? Kim, u licha, jest ten cały don Croce, jeśli nie *pezzonovante* mafii?

Samochód zatrzymał się przed dużym, otynkowanym na różowo budynkiem. Z przeciwnych jego krańców strzelały w niebo błękitne wieżyczki. Przed wejściem, pod przepyszny, zielony, pasiasty baldachimem z napisem HOTEL HUMBERTO, stało dwóch portierów odzianych w uniformy; blask złotych guzików aż raził w oczy. Michaela wszakże nie speszył ów splendor.

Okiem zawodowca obrzucił ulicę przed hotelem. Dostrzegł co najmniej dziesięciu ochroniarzy, spacerujących po dwóch lub opierających się o żelazne bariery. Ci mężczyźni bynajmniej nie kryli, jakie mają zadanie. Spod rozpiętych marynarek widać było przymocowane do szelek rewolwery. Dwóch goryli, palących cienkie cygara, na moment zastąpiło drogę wysiadającemu z samochodu Michaelowi. Przyjrzeni mu się tak skrupulatnie, jak gdyby brali miarę na jego trumnę. Zupełnie natomiast zlekceważyli inspektora Velardiego i pozostałych mężczyzn.

Kiedy całe towarzystwo wkroczyło do hotelu, ochroniarze otworzyli przed nim drzwi. W holu pojawiło się czterech następnych goryli, którzy poprowadzili przybyłych długim korytarzem. Zachowywali się jak dumni pałacowi kamerdynerzy w służbie cesarza.

Hol zamykały dwuskrzydłowe masywne dębowe drzwi. Mężczyzna siedzący na wysokim, przypominającym tron krześle wstał i otworzył odrzwia kluczem z brązu. Skłonił się przy tym i obdarzył ojca Beniamina porozumiewawczym uśmiechem.

Otwarte podwoje ukazały wspaniałe pomieszczenie; przez uchylone weneckie okna widać było świetnie utrzymany ogród, z którego napływał aromat drzew cytrynowych. Gdy weszli do środka, Michael ujrzał dwóch mężczyzn, stojących na straży tego pokoju. Zastanowił się, co spowodowało, że don Croce chce mieć tak silną ochronę. Ten człowiek zaliczał się wszakże do przyjaciół Guiliana, był zaufanym ministrami sprawiedliwości z Rzymu, a zatem nic nie groziło mu ze strony okupujących

Palermo karabinierów. Wobec tego, kto lub co sprawiło, że wielki don aż tak bardzo się bał? Kto był jego wrogiem?

Meble w salonie pierwotnie miały chyba zapełnić komnaty jakiegoś włoskiego pałacu - olbrzymie fotele, kanapy wygodne i długie niczym małe statki, masywne marmurowe stoły, które wyglądały, jakby skradziono je z muzeów. Idealnie pasowały do człowieka, który właśnie wyszedł z ogrodu, by powitać przybyłych.

Wyciągnął ramiona, chcąc uściskać Michaela Corleone. Don Croce, gdy stał, wydawał się równie wysoki, jak szeroki. Gęste siwe włosy, skręcone niczym u Murzyna, były starannie przystrzyżone, a ozdabiały głowę, niczym potężna lwia grzywa. Jaszczurcze oczy ciemniały jak rodzynki nad pucołowatymi policzkami. Owe policzki przypominały dwie duże płaszczyzny mahoni; lewy był gładki, prawy pęczniał od przerośniętego ciała. Croce miał zadziwiająco delikatne usta; ocieniał je mały wąsik. Wydatny rzymski nos dopełniał całości.

Jednakże owo cesarskie oblicze należało do wieśniaka z krwi i kości. Zbyt duże, źle dopasowane spodnie marszczyły się na wydatnym brzuchu, a podtrzymywały je poszarzałe od brudu szelki. Obszerna marynarka była biała i świeżo uprana, lecz nie wyprasowana. Don Croce nie nosił krawata ani kołnierzyka, a na marmurowej posadzce stał bosymi stopami.

Nie wyglądał na człowieka, który „macza dziób” w każdym przedsięwzięciu w Palermo, aż po handel w najnędrniejszych kramach na targu. Trudno było uwierzyć, że ponosi odpowiedzialność za co najmniej tysiąc śmierci i że rządzi zachodnią Sycylią o wiele skuteczniej niż rząd z Rzymu, a także że jego majątek znacznie przewyższa majątki książąt i baronów, właścicieli wielkich sycylijskich posiadłości.

Don Croce szybko i przelotnie uściskał Michaela, po czym powiedział:

- Znałem twojego ojca, kiedy byliśmy dziećmi. Ogromnie się cieszę, że doczekał się tak wspaniałego syna.

Następnie zaczął wypytywać o podróż swojego gościa i jego potrzeby. Michael z uśmiechem odparł, że zadowoli się kromką chleba i kropelką wina. Don Croce natychmiast poprowadził go do ogrodu, gdyż zwyczajem wszystkich Sycylijczyków, kiedy to tylko było możliwe, jadał na świeżym powietrzu.

Stół umieszczono pod drzewkiem cytrynowym. Na śnieżnobiałym obrusie lśniły starannie wytarte kieliszki. Służący odsunęli wygodne, bambusowe krzesła. Don Croce grzecznie, lecz energicznie, z żywością zadziwiającą w jego wieku - był już po

sześćdziesiątce - sam dopilnował rozsadzenia gości. Po swojej prawicy umieścił Michaela, a po lewicy brata, księdza. Naprzeciwko siebie posadził inspektora Velardiego i Stefana Andoliniego. Kiedy na nich spoglądał, w jego wzroku widać było wyraźnie chłód.

Wszyscy Sycylijczycy cieszą się dobrym apetytem, kiedy widzą przed sobą zastawiony stół. Jednym z nielicznych żartów, jakie ludzie ośmielali się czasem rzucić na temat don Croce, był ten, że przedkłada smaczne jedzenie nad zabicie wroga. I teraz również zasiadł do stołu z rozanielonym uśmiechem na twarzy i czekając, aż służba poda dania, ujął w dłonie nóż i widelec. Michael rozejrzał się po ogrodzie. Otaczał go wysoki kamienny mur, a osobno, przy niewielkich stolikach, zasiadło co najmniej dziesięciu ochroniarzy, po dwóch przy każdym, wszyscy w odległości wystarczającej, by nie można było podsłuchać don Croce i jego towarzyszy. Ogród przepelniała delikatna woń drzewek cytrynowych i oliwnych.

Don Croce osobiście usługiwał Michaelowi, nakładał mu na talerz pieczone kurczęta i ziemniaki, pilnował, by na skraju niewielkiego półmiska ze spaghetti zawsze znajdował się tarty ser, napełniał kieliszek gościa miejscowym, mętym białym winem. A wszystko to czynił z ogromną troskliwością, z niekłamanym przejęciem, jak gdyby najważniejszą sprawą na świecie było dla niego dopilnowanie, żeby gość najadł i napił się do syta. Michael był głodny, od świtu nie miał nic w ustach, toteż gospodarz bez przerwy dokładał mu na talerz, nie spuszczać oka także z talerzy innych gości, i kiedy zachodziła potrzeba, skinieniem przywoływał służbę, aby napełniła kieliszki lub podsunęła półmiski.

Wreszcie posiłek dobiegł końca. Don Croce sącył z filiżanki kawę, gotów przystąpić do interesu. Zwrócił się do Michaela:

- Zamierzasz zatem pomóc naszemu przyjacielowi Guilianowi w ucieczce do Ameryki?

- Takie otrzymałem instrukcje - przytaknął Michael. - Mam dopilnować, żeby szczęśliwie przedostał się do Stanów.

Don Croce kiwnął głową. Jego olbrzymia mahoniowa twarz przybrała senną, życzliwą minę. Przy takim obliczu i ciele głos tłuściocha zadziwiał dźwięcznym tenorem:

- Ustaliliśmy z twoim ojcem, że dostarczę ci Guiliana. Ale w życiu nic nie układa się gładko, zawsze zdarzają się niespodzianki. Toteż teraz mam niejake trudności z

dotrzymaniem swojej części umowy. - Don Croce uniósł dłoń, powstrzymując Michaela, który chciał mu przerwać. - Nie ze swojej winy, oczywiście. Ja się nie zmieniłem. Ale Guiliano nie ufa już nikomu, nawet mnie. Przez całe lata, niemal od pierwszego dnia, w którym został banitą, starałem się pomóc mu przetrwać. Byliśmy współnikami. Dzięki mojej pomocy stał się najsłynniejszym człowiekiem na Sycylii, choć jest zaledwie dwudziestosiedmioletnim chłopakiem. Ale jego czas dobiegł końca. Pięć tysięcy włoskich żołnierzy i policjantów przeszukuje góry. A mimo to on wciąż uparcie odmawia oddania się w moje ręce.

- Wobec tego nic dla niego nie mogę zrobić - stwierdził Michael. - Polecono mi czekać nie dłużej niż tydzień, potem muszę wyruszyć do Ameryki.

Mówiąc te słowa, sam się dziwił, dlaczego jego ojciec uznał za tak ważne, by Guiliano zbiegł. Po tylu latach wygnania Michael z całej duszy pragnął wrócić do domu. Martwił się o zdrowie ojca. Kiedy uciekał z Ameryki, ten, śmiertelnie ranny, leżał w szpitalu. Wkrótce po ucieczce Michaela zamordowano jego starszego brata, Sonny'ego. Rodzina Corleone przystąpiła do śmiertelnej wojny z nowojorskimi Pięcioma Rodzinami o przetrwanie. Do wojny, która z Ameryki przeniknęła aż do serca Sycylii i której ofiarą padła młoda żona Michaela. Prawda, że posłańcy ojca przynieśli wiadomość, iż stary don wylizal się z ran, zawarł pokój z Pięcioma Rodzinami, że postarał się, aby Michaela oczyszczono z wszelkich zarzutów. Jednakże sam Michael zdawał sobie sprawę, iż ojciec czeka na to, aby on stał się jego prawą ręką. I że wszyscy w rodzinie niecierpliwie go wyglądają - siostra Connie, brat Freddie, przyrodni brat Tom Hagen, biedna matka, która przecież wciąż oplakuje śmierć Sonny'ego. Przelotnie pomyślał o Kay - czy wciąż docieka, dlaczego zniknął tak nagle przed dwoma laty? Wszakże najistotniejsze pytanie brzmiało: z jakiego powodu ojciec opóźnił jego powrót? Z Guilianem musi się wiązać jakaś tajemnicza sprawa najwyższej wagi.

Nagle uświadomił sobie, że zimne niebieskie oczy inspektora Velardiego przypatrują mu się z uwagą. Szczupła, arystokratyczna twarz skrzywiła się w pogardliwym grymasie, jak gdyby Michael zdradził się z tchórzostwem.

- Uzbrój się w cierpliwość - poradził don Croce. - Nasz przyjaciel Andolini wciąż pełni funkcję łącznika pomiędzy mną a Guilianem i jego rodziną. Zdołamy się w końcu dogadać. Kiedy stąd wyjedziesz, po drodze do Trapani w Montelepre odwiedź ojca i matkę chłopaka. - Urwał na chwilę i uśmiechnął się; uśmiech nie

naruszył posągowego dostojęstwa jego policzków. - Powiadomiono mnie o twoich planach. O wszystkich.

Michael pomyślał, że ostatnie słowa don Croce zbyt dobitnie podkreślił, przypuszczalnie zatem nie wie o wszystkich planach. Ojciec Chrzestny nigdy nikomu się z niczego nie zwierzał.

Don Croce ciągnął łagodnym tonem:

- My wszyscy, którzy kochamy Guiliana, zgadzamy się co do dwóch rzeczy. Nie może dłużej pozostać na Sycylii i musi wyemigrować do Ameryki. Inspektor Velardi nas popiera.

- To dziwne, nawet jak na Sycylię - uśmiechnął się Michael. Inspektor jest przecież szefem policji, wysłanej tu z zadaniem pojmania Guiliana.

Don Croce parsknął urywanym, sztucznym śmiechem.

- A któż potrafi zrozumieć Sycylię? Chociaż sprawa jest prosta. Rzym woli widzieć Guiliana bezpiecznego w Ameryce niż narażać się na wykrzyczane w Palermo z klatki dla podsądnych oskarżenia. To tylko polityka.

Michael osłupiał. Poczul się bardzo nieswojo. Nic nie przebiegało zgodnie z planem.

- Dlaczego inspektorowi Velardiemu zależy na jego ucieczce? Martwy Guiliano nie jest już groźny.

Odpowiedział mu pogardliwie sam Velardi:

- Ja wołałbym go martwego. Ale don Croce kocha Guiliana jak syna.

Stefan Andolini wlepił w inspektora wrogie spojrzenie. Popijający z kieliszka wino ojciec Benjamin pochylił głowę. Don Croce jednak śmiało zwrócił się do policjanta:

- Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, musimy zatem wyznać Michaelowi prawdę. Guiliano trzyma w rękawie asa. Pisał pamiętnik, który nazwał *Testamentem*. Udowodnił w nim, że pewni wysocy urzędnicy z Rzymu dla własnych, politycznych celów wspomagali go w jego działaniach. Jeżeli dokument ten ujrzy światło dzienne, rząd chrześcijańskiej demokracji upadnie, a Włochami zaczną rządzić socjaliści i komuniści. Inspektor Velardi zgadza się ze mną, iż należy dołożyć wszelkich starań, aby temu zapobiec. Dlatego też chętnie pomoże w ucieczce Guiliana. Chce, by opuścił on Włochy razem z *Testamentem*, gdyż zdaje sobie sprawę, że niepodobna ujawnić zawartych w nim informacji.

- Czy widział pan ów *Testament*? - spytał Michael. Ciekawiło go, czy wie o nim jego ojciec. W przekazanych instrukcjach nie wspomniano ani słowem o istnieniu podobnego dokumentu.

- Znam jego treść - przyznał don Croce.

- Gdyby decyzja zależała ode mnie, poleciłbym zabić Guiliana i niech szlag trafi ten cały Testament - rzucił ostro inspektor Velardi.

Stefan Andolini zmierzył go wzrokiem, w którym była tak silna i nieskrywana nienawiść, że Michael teraz dopiero zorientował się, iż jest to człowiek, który okrucieństwem nie ustępuje samemu don Crocemu. Andolini przemówił:

- Guiliano nigdy się nie podda, a pan jest za mały, by posłać go do grobu. Niech więc lepiej ma się pan na baczności.

Don Croce niespiesznie uniósł dłoń i przy stole zapadła cisza. Nie zwracając uwagi na pozostałych, powoli zwrócił się do Michaela:

- Możliwe, że nie dotrzymam obietnicy złożonej twojemu ojcu i nie dostarczę ci Guiliana. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego don Corleone osobiście zaangażował się w tę sprawę. Wszakże zapewniam cię, iż miał swoje powody. Dla niego były one z pewnością oczywiste. Lecz cóż więcej ja mogę uczynić? Dziś po południu odwiedzisz rodziców Guiliana, przekonasz ich, że ich syn musi mi zaufać, i przypomnisz tym kochanym staruszkom, że to za moją sprawą wyszli z więzienia. - Umilkł na chwilę. - Może wtedy zdołamy pomóc ich synowi.

Michael na wygnaniu, podczas lat ukrywania się na wyspie, wyrobił w sobie zwierzęcy instynkt, dzięki któremu wietrzył niebezpieczeństwo. Nie spodobał mu się inspektor Velardi, lękał się żadnego krwi Stefana Andoliniego, ojciec Benjamin przyprawiał go o dreszcze. Lecz nade wszystko jego mózg wysyłał sygnały ostrzegawcze w kierunku don Croce.

Wszyscy zasiadający przy stole mężczyźni, nie wyłączając brata don Croce, ojca Beniamina, ścisiali głosy gdy się do niego zwracali. Pochylali się ku niemu, czekając na jego słowa, przestawali nawet jeść. Służba krążyła wokół, jak gdyby był słońcem, ochroniarze w ogrodzie nie spuszczały z niego oka, w każdej chwili gotowi na jego rozkaz skoczyć i rozerwać każdego na strzępy.

- Don Croce - odezwał się ostrożnie Michael - przybyłem tutaj, by spełnić wszelkie pańskie żądania.

Don z wdzięcznością skłonił wielką głowę, splótł kształtne dłonie na brzuchu i odezwał się swoim władczym tenorem:

- Musimy być wobec siebie absolutnie szczerzy. Wyjaw mi, w jaki sposób planujesz ucieczkę Guiliana? Mów do mnie tak, jak syn do ojca.

Michael zerknął na inspektora Velardiego. W obecności szefa sycylijskiej policji bezpieczeństwa nigdy nie zdobyłby się na szczerść. Don Croce natychmiast to zrozumiał.

- Inspektor Velardi całkowicie polega na moim zdaniu - zapewnił. - Możesz mu ufać tak jak mnie.

Michael uniósł w toaście wino. Spod kieliszka widział obserwujących go ochroniarzy, widzów tego przedstawienia. Dostrzegł również, że inspektor Velardi się skrzywił, nie spodobała mu się dyplomatyczna przemowa don Croce, z której jasno wynikało, iż rządzi on nim i jego ludźmi. Ujrzał także grymas, jaki wykrzywił wydatne wargi tego mordercy Stefana Andoliniego. Jedynie ojciec Benjamin zdecydował się nie unikać jego wzroku, toteż uniósł głowę. Michael wypił do dna szklanicę białego wina, którą służący natychmiast napełnił. Raptem ogród wydał się Michaelowi niebezpiecznym miejscem.

Przeczuwał, że nic z tego, co powiedział don Croce, nie jest prawdą. Z jakiego powodu którykolwiek z zasiadających przy stole miałby ufać szefowi sycylijskiej policji? Dlaczego miałby to zrobić Guiliano? W historii Sycylii roi się od zdrad, pomyślał gorzko Michael. Wspomnił tragiczną śmierć swojej żony. W jaki sposób don Croce mógł zyskać aż takie zaufanie? I dlaczego strzeże go taki potężny zastęp ochroniarzy? Don Croce jest jednym z najznamienitszych przedstawicieli mafii. Ma znakomite powiązania z Rzymem i, prawdę mówiąc, pełni tutaj obowiązki jego nieoficjalnego przedstawiciela. Czego w takim razie się lęka? Chyba tylko Guiliana.

Don cały czas obserwował Michaela, który usiłował mówić szczerze i przekonująco:

- Moje plany są całkiem proste. Poczekam w Trapani, dopóki nie dołączy do mnie Salvatore Guiliano. Przekazany przez pana albo przez pańskich ludzi. Czarterem zostaniemy zawiezieni do Afryki. Oczywiście będziemy mogli wylegitymować się legalnymi paszportami. Z Afryki polecimy do Stanów, dokąd dostaniemy się bez zbędnych formalności. Mam nadzieję, że będzie to równie proste, jak moje słowa. - Urwał na chwilę. - Chyba że radzicie mi postąpić inaczej.

Don Croce westchnął i upił łyk wina ze szklanki. Potem utkwiał wzrok w Michaelu. Zaczął mówić niespiesznie i z naciskiem:

- Sycylia to tragiczna kraina. Tutaj nie spodziewaj się zaufania. Tu nie istnieje prawo. Panuje tylko przemoc i nadmierne bogactwo. Wyglądasz na zaniepokojonego, mój młody przyjacielu, i masz rację. Podobnie jak nasz Guiliano. Posłuchaj, co ci powiem: Guilia-no nie przetrwałby bez mojej ochrony, on i ja byliśmy jak dwa palce jednej dłoni. Ale teraz uważa mnie za wroga. Aha, przecież nie możesz wiedzieć, co ściągnęło na mnie owo nieszczęście. Marzyłem jedynie o tym, że pewnego dnia Turi Guiliano będzie mógł wrócić do swojej rodziny i że zostanie okrzyknięty przywódcą Sycylii. To prawdziwy chrześcijanin i dzielny człowiek. Przy tym ma tak czułe serce, że zdobyłby miłość wszystkich Sycylijczyków. - Don Croce przerwał i upił łyk wina. - Jednakże los obrócił się przeciwko niemu. Znalazł się osamotniony w górach, mając jedynie garstkę ludzi, którzy muszą stawić czoło wysłanemu przeciw nim włoskiemu wojsku. Zdradzany jest na każdym kroku. Toteż nie ufa nikomu, nawet samemu sobie. - Przez chwilę don Croce mierzył Michaela lodowatym spojrzeniem. - Gdybym nie był tak absolutnie szczery i gdybym tak bardzo nie kochał Guiliana, możliwe, że doradziłbym ci co innego. Może nalegałbym, byś wracał do domu, do Ameryki, bez niego, jako że my zbliżamy się do końca tragedii, która przecież ciebie wcale nie dotyczy.

- Croce umilkł na chwilę i znowu westchnął. - Ale, rzecz jasna, jesteś naszą jedyną nadzieją i muszę cię błagać, byś został i pomógł naszej sprawie. Pomogę ci, na ile tylko zdołam. Nigdy nie opuszczę Guiliana. - Don Croce uniósł kieliszek. - Niech żyje choćby i tysiąc lat.

Wszyscy wypili, a Michael myślał intensywnie. Czy don Croce rzeczywiście chce, aby on tutaj został, czy też pragnie, by opuścił Guiliana?

Przemówił Stefan Andolini:

- Przypomnij sobie, że obiecaliśmy rodzicom Guiliana, iż Michael odwiedzi ich w Montelepre.

- Oczywiście - zgodził się pokornie don Croce. - Musimy dać jego rodzicom jakąś nadzieję.

- Możliwe też, że oni wiedzą coś na temat owego *Testamentu* - odezwał się stłumionym głosem ojciec Benjamin.

Don Croce westchnął.

- No tak, on myśli, że *Testament* ocali mu życie lub przynajmniej pomści jego śmierć. - Po czym zwrócił się bezpośrednio do Michaela: - Zapamiętaj to. Rzym boi się *Testamentu*, ale ja nie. I przekaz rodzicom Guiliana, że to, co zostało spisane na papierze, może mieć wpływ na historię. Ale nie na życie. Życie to zupełnie inna historia.

Droga z Palermo do Montelepre to nie więcej niż godzina jazdy. Jednakże w ciągu owej godziny Michael i Andolini przenieśli się z miejskiej cywilizacji do prymitywnej kultury sycylijskiej wsi. Za kierownicą małego fiata siedział Stefan Andolini, w popołudniowym słońcu na jego gładko wygolonych policzkach i brodzie widać jednak było niezliczone maleńkie rude włoski. Prowadził ostrożnie i powoli, jak ludzie, którzy nauczyli się jeździć dopiero w późnych latach życia. Fiat krztusił się, jak gdyby zamiast pagórków pokonywał wyniosłe górskie przełęcze.

Pięciokrotnie zatrzymywały ich blokady policyjne, plutony składające się z co najmniej dwunastu przyczajonych w samochodach mężczyzn, w których rękach połyskiwały wycelowane karabiny. Dzięki przepustkom Andoliniego przepuszczano ich jednak dalej.

Michaelowi wydawało się dziwne, iż w tak niewielkiej odległości od Palermo wieś może być równie dzika i prymitywna. Mijali niewielkie wioski z wzniesionymi z kamienia chatami, które niepewnie trzymały się stromych zboczy wzgórz. Owe zbocza starannie zagospodarowano, przekształcając je w wąskie, uprawne terasy poletek, na których rosły schludne rzędy bijących ku niebu roślinek. Na niewysokich wzgórzach widać było bezładnie porozrzucane liczne białe głązy, na wpół pokryte mchem i porośnięte pędami bambusa. Z daleka przypominało to rozległe, zaniedbane cmentarzyska.

Co jakiś czas przy drodze pojawiały się kapliczki, zamknięte na kłódki drewniane skrzyneczki, w których postawiono posągi Dziewicy Maryi lub jakiegoś szczególnie czczonego przez miejscową ludność świętego. Przy jednej z takich kapliczek Michael dostrzegł klęczącą kobietę. Jej mąż siedział na zaprzężonym w osła wozie, pociągając z butelki wino. Łeb osła zwieszał się ku ziemi, niczym głowa męczennika.

Stefan Andolini wyciągnął rękę i poklepał Michaela po ramieniu.

- Moje serce raduje się, że cię poznałem, drogi kuzynie. Czy wiedziałeś, że Guilianowie są z nami spokrewnieni?

Michael był pewny, że to kłamstwo, świadczył o tym lisi, rudy uśmiech Andoliniego.

- Nie - odparł. - Wiem tylko, że jego rodzice pracowali w Ameryce u mojego ojca.

- Podobnie jak ja - wyznał Andolini. - Pomagaliśmy twojemu ojcu przy budowie domu na Long Island. Stary Guiliano był świetnym murarzem i chociaż twój ojciec oferował mu pracę w handlu oliwą, wolał pozostać przy swoim fachu. Przez osiemnaście lat pracował jak Murzyn, a oszczędzał każdy grosz niczym Żyd. Potem wrócił na Sycylię, by żyć jak Anglik. Jednakże wojna i Mussolini spowodowali, że lir stracił na wartości, więc stary nie ma teraz nic poza chatą i splechetkiem ziemi uprawnej. Przeklina dzień, w którym opuścił Amerykę. Staruszkowie myśleli, że ich syn wyrośnie na księcia, a on został bandytą.

Fiat wzbijał tumany kurzu, porastające dumnie pobocza drogi wyniosłe grusze i bambusy przypominały duchy. Wiszące na gruszach owoce przypominały ludzkie dłonie. W dolinach mogli dostrzec plantacje oliwek i winnice. Niespodziewanie Andolini powiedział:

- Turi został poczęty w Ameryce. - Spostrzegłszy zdumienie w oczach Michaela, dodał: - Tak, poczęto go w Stanach, ale urodził się na Sycylii. Gdyby jego rodzice poczekali jeszcze parę miesięcy, Turi zyskałby amerykańskie obywatelstwo. - Umilkł na chwilę. - Tak twierdzi on sam. Naprawdę sądzisz, że zdołasz mu dopomóc w ucieczce?

- Sam nie wiem - zawahał się Michael. - Po obiedzie z inspektorem i don Croce nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Czy oni rzeczywiście starają się mi pomóc? Mój ojciec uważa, że don Croce powinien tak uczynić. Nigdy wszakże nie wspominał o inspektorze.

Andolini przecesał palcami łysiejącą czuprynę. Odruchowo przycisnął pedał gazu i fiat wyrwał się do przodu.

- Guiliano i don Croce są teraz wrogami. Ale my możemy zaplanować wszystko poza plecami don Croce. Turi i jego rodzice liczą na ciebie. Wiedzą, że twój ojciec nigdy nie zawiódł swoich przyjaciół.

- A ty po czyjej jesteś stronie? - spytał Michael.

Andolini westchnął.

- Biję się za sprawę Guiliana. Przez ostatnie pięć lat byliśmy towarzyszami walki, a przedtem uratował mi życie. Ale mieszkam na Sycylii, toteż nie mogę otwarcie sprzeciwić się don Croce. Usiłuję zadowolić obydwie strony, nigdy jednak nie zdradzę Guiliana.

O czym ten facet, do cholery, mówi? - myślał Michael. Dlaczego nie chce udzielić jasnej odpowiedzi na żadne z pytań? Ponieważ jest Sycylijczykiem, ot co. Sycylijczycy niczym ognia obawiają się wyznania prawdy. Aby uzyskać prawdziwe zeznania, tyrani i inkwizytorzy torturowali ich prawie przez całe tysiąclecie. Zbrojny prawem rząd w Rzymie żądał prawdy. Pod groźbą wiecznego potępienia, prawdy domagali się księża w konfesjonałach. Jednakże prawda była źródłem władzy, sposobem na kontrolowanie społeczności, więc czyż ktokolwiek chciałby się nią podzielić z innymi?

Michael postanowił, że musi znaleźć własny sposób na uporanie się z całym problemem albo zaniechać powierzonej mu misji i wracać czym prędzej do domu. Na tej ziemi znalazł się w niebezpieczeństwie; było jasne, że między Guilianem a don Croce dojdzie do wendety, a na Sycylii znalezienie się w oku wendety jest równoznaczne z samobójstwem, albowiem Sycylijczycy wierzą, iż zemsta jest jedyną sprawiedliwą zapłatą, a bywa ona doprawdy bezlitosna. Na tej katolickiej wyspie, gdzie we wszystkich domach stały figurki płaczącego Jezusa, chrześcijańskie miłosierdzie traktowano jako godny pogardy przejaw tchórzostwa.

- Jak doszło do tego, że Guiliano i don Croce stali się wrogami? - spytał Michael.

- Po tragedii na Portella delia Ginestra - wyjaśnił Andolini. - To stało się przed dwoma laty. Potem już nic nie było takie samo.

Guiliano oskarżał don Croce.

Niespodziewanie samochód zaczął gwałtownie zjeżdżać, gdyż droga prowadziła stromo w dolinę. Minęli ruiny normańskiego zamczyska, wzniesionego tu przed dziewięciu wiekami, by utrzymać mieszkańców doliny w ryzach. Teraz zamieszkiwały go nieszkodliwe jaszczurki i kilka bezpańskich kóz. Poniżej Michael ujrzał miasteczko Montelepre.

Było zagrzebane głęboko u podnóża otaczających go wzgórz, przypominało wiadro opuszczone na dno studni. Wydawało się doskonale niby okrąg; ani jedno domostwo nie wystawało poza jego obręb, a popołudniowe słońce skąpało kamienne mury ciemnoczerwonym światłem. Teraz fiat zjeżdżał w dół wąskimi, krętymi

uliczkami. Andolini gwałtownie zahamował przed blokadą ustawioną przez pluton karabinierów. Jeden z nich ruchem karabinu nakazał im wysiąść z wozu.

Michael obserwował, jak Andolini pokazuje policjantom dokumenty. Dojrzał specjalną przepustkę, obramowaną czerwonym szlakiem; wiedział, że może ją wydać jedynie minister sprawiedliwości w Rzymie. Michael otrzymał niegdyś taką samą, wszakże poinstruowano go, by sięgał po nią tylko w razie ostatecznej konieczności. Jakim więc cudem człowiek pokroju Andoliniego mógł zdobyć podobny dokument?

Wsiadli znowu do samochodu, który wolno potoczył się wąskimi uliczkami Montelepre, tak wąskimi, że gdyby z naprzeciwka nadjechał inny pojazd, to wozy nie zdołałyby się wyminąć. Wszystkie domy zdobiły eleganckie balkony, a każdy z nich otynkowano na inny kolor. Wiele z nich było niebieskich, dużo mniej białych, i tylko nieliczne różowe. A już na palcach jednej ręki można było policzyć żółte. O tej porze dnia kobiety krzątały się w kuchniach, zajęte gotowaniem obiadów dla swoich mężów. Na ulicach nie widać też było dzieci. Za to każdy róg patrolowało dwóch karabinierów. Montelepre przypominało okupowane miasto w stanie wojennym. Zaledwie kilku starców o kamiennych twarzach spoglądało w dół ze swoich balkonów.

Fiat zatrzymał się przed jednym ze stojących w szeregu domków; ten pomalowano na jaskrawy błękit, a na furcie widniała wykuta litera „G”. Furtkę otworzył niewysoki, żylasty mężczyzna około sześćdziesiątki; miał na sobie ciemny sztuczkowy amerykański garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Był to ojciec Guiliana. Krótko, lecz serdecznie uściskał Andoliniego. Kiedy zapraszał Michaela do domu, jakby z wdzięcznością poklepał go po ramieniu.

Ojciec Guiliana miał minę człowieka, który czeka na wieść o śmierci kogoś ukochanego a nieuleczalnie chorego. Widać było wyraźnie, że siłą woli panuje nad swoimi emocjami, jednakże jego dłoń powędrowała ku twarzy, jak gdyby chciał zmusić ją do zachowania pogodnej miny. Był wyprostowany, poruszał się sztywno, a przecież prawie niedostrzegalnie chwiało się na nogach.

Weszli do przestronnego salonu, niemal luksusowego, jak na sycylijski dom w małym miasteczku. Nad pokojem dominowała ogromna powiększona fotografia, zbyt zamazana, by można było na niej cokolwiek rozpoznać, w owalnej, pomalowanej na biało drewnianej ramie. Michael natychmiast domyślił się, że przedstawia Salvatore Guiliana. Poniżej, na niewielkim czarnym, okrągłym stoliczku, stała lampka wotywna. Na innym stoliku postawiono drugą, o wiele wyraźniejszą fotografię. Ojciec, matka i

syn stali na tle czerwonej kotary. Syn opiekuńczo obejmował matkę ramieniem. Salvatore Guiliano wyzywająco patrzył prosto w obiektyw. Miał niezwykle piękną twarz, przypominającą twarze greckich posągów, o nieco zbyt ciężkich rysach, jakby wyrzeźbioną w marmurze. Pełne i zmysłowe usta, migdałowe, szeroko rozstawione oczy o wpółprzymkniętych powiekach. Była to twarz człowieka pewnego siebie, zdecydowanego podbić cały świat. Nikt wszakże nie uprzedził Michaela, iż maluje się na niej dobrodusznym słodycz.

Zobaczył także inne podobizny Guiliana, jego siostr i ich mężów, lecz te zdjęcia, ustawione na stolikach, były niemal niewidoczne w zacienionych kątach pokoju.

Ojciec Guiliana poprowadził ich do kuchni. Matka na ich powitanie odwróciła się od pieca. Maria Lombardo Guiliano wyglądała na dużo starszą niż na zdjęciu w salonie, przypominała inne sycylijskie kobiety. Jej zmęczoną, kościstą twarz przecięł uśmiech, skórę miała porowatą i szorstką. Długie, gęste włosy spływały na ramiona, jednakże przetykały je pasma siwizny. Uwagę jednak przyciągały oczy. Niemal pociemniałe od utajonej nienawiści do świata, który zmiażdżył ją i jej syna.

Ignorując obecność męża i Andoliniego, zwróciła się bezpośrednio do Michaela:

- Przybyłeś tutaj, by pomóc mojemu synowi, tak czy nie?

Pozostali dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, zakłopotani obcesowością zadanego pytania, lecz Michael uśmiechnął się do kobiety i rzekł poważnie:

- Tak, jestem po jego stronie.

Wyczuwało się w kobiecie jakieś napięcie, osłoniła głowę rękami, jakby czekała na cios. Andolini powiedział spokojnym głosem:

- Ojciec Benjamin o to prosił. Ja przekonywałem go, że pani by sobie tego nie życzyła.

Maria Lombardo uniosła głowę i Michael zdumiał się, widząc, jak na tej twarzy odbijają się wszelkie emocje. Drwinę, nienawiść, strach, ironię, z jaką rzekła następne słowa, podkreślał ironiczny uśmiech, od którego nie potrafiła się powstrzymać.

- Och, tak, ojciec Benjamin bez wątplenia ma dobre serce. I z tym szlachetnym sercem jest gorszy od zarazy, sprowadził śmierć na całą wioskę. Przypomina agawę, chwyć za nią, a się poranisz. Przy tym przekazuje sekrety spowiedzi swojemu bratu, zaprzęduje powierzone sobie duszyczki diabłu.

- Don Croce jest naszym przyjacielem. Dzięki niemu zwolniono nas z więzienia - przypomniał rozsądnym głosem ojciec Guiliana jak gdyby próbował uspokoić szaleńca.

Matka Guiliana wybuchnęła gwałtownie:

- A, don Croce, „dobra dusza”, jak zawsze uczynny. Powiem ci jedno, don Croce to zmija. Wyciąga karabin i masakruje stojących po jego stronie przyjaciół. On i twój syn mieli wspólnie rządzić Sycylią, a teraz osamotniony Turi ukrywa się w górach, zaś „życzliwa dusza”, wolny jak powietrze, zabawia się ze swoimi dziwkami w Palermo. Na jedno gwizdnięcie don Croce cały Rzym pada mu do nóg. A przecież popełnił o wiele więcej zbrodni od naszego Turiego. To szatan, a nasz syn jest dobry. Ach, gdybym była mężczyzną jak ty, zabiłabym don Croce. Wysłałabym „życzliwą duszę” na wieczny spoczynek. - Zachnęła się z obrzydzeniem.

- Wy, mężczyźni, nic nie rozumiecie.

- Za to wiem jedno, że nasz gość od wielu godzin jest w drodze i musi coś zjeść, nim zaczniemy rozmawiać - odezwał się gniewnie ojciec Guiliana.

Zachowanie kobiety natychmiast się zmieniło. Zwróciła się do Michaela:

- Biedaku, jechałeś przez cały dzień, żeby się z nami spotkać. Nie dość, że wysłuchałeś łgarstw don Crocego, to jeszcze i moich przekleństw. Dokąd się wybierasz?

- Rano muszę być w Trapani - wyjaśnił Michael, - Zatrzymam się tam u przyjaciół mojego ojca, póki nie dołączy do mnie pani syn.

W kuchni zapanowała cisza. Michael wyczuł, że wszyscy tutaj znają jego historię. Widzieli blizny, z którymi żył od dwóch lat, wgłębienie na policzku. Matka Guiliana podeszła do Michaela i szybko go uściskała.

- Wypij szklaneczkę wina - zaprosiła. - A potem przejdź się po miasteczku. Za godzinę obiad będzie na stole. Do tego czasu przybędą przyjaciele Turiego i wtedy rozsądnie pogadamy.

Andolini i ojciec Guiliana ujęli między siebie Michaela i poprowadzili go wąskimi, wybrukowanymi kocimi łbami uliczkami Montelepre; kamienie lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Na tle zamglonego, błękitnego nieba tuż przed zmrokiem odcinały się tylko sylwetki karabinierów. Z każdego skrzyżowania niczym arterie biegly ku *via Bella* kręte uliczki. Miasteczko wydawało się opustoszałe.

- Dawniej tętniło życiem - zauważył ojciec Guiliana. - Zawsze, zawsze bardzo biedne, jak wszędzie na Sycylii, mnóstwo nędzy, jednakże żyło. A teraz ponad siedmiuset naszych mieszkańców siedzi w więzieniu, aresztowanych pod zarzutem potajemnej współpracy z moim synem. Większość z nich jest niewinna, lecz rząd wsadził ich do pudła, by zastraszyć innych, by zmusić ich do donoszenia na mojego Turiego. W mieście stacjonuje ponad dwa tysiące policjantów, a kolejny tysiąc ściga Turiego w górach. Z tego też powodu ludzie przestali jadać obiady przed domami, dzieci nie bawią się już na ulicach. Policjanci są tak tchórzliwi, że strzelają nawet wtedy, gdy ulicę przebiega królik. Po zapadnięciu zmierzchu obowiązuje godzina policyjna, a jeśli kobieta z miasteczka chce odwiedzić przyjaciółkę i zostanie schwytana, obrażają ją i obsypują obelgami. Złapanych mężczyzn wysyłają na tortury do lochów w Palermo. - Westchnął. - Coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się w Ameryce. Przeklinam dzień, w którym stamtąd wyjechałem.

Stefan Andolini zatrzymał się, by zapalić cienką cygaretkę. Wydmuchnął dym i uśmiechnął się.

- Prawdę powiedziawszy, każdy Sycylijczyk woli wachać smrody swojej wioski niż perfumy Paryża. Co ja tutaj robię? Mógłbym jak inni wyemigrować do Brazylii. Ach, my, Sycylijczycy, kochamy miejsce naszego urodzenia, tylko że Sycylia nas nie kocha.

Ojciec Guiliana wzdrygnął się.

- Byłem głupcem, że tutaj wróciłem. Gdybym poczekał jeszcze parę miesięcy, mój Turi uzyskałby amerykańskie obywatelstwo. Ale powietrze tego kraju przeniknęło do łona jego matki. - Pokręcił głową w zdumieniu. - Dlaczego mój syn wciąż troszczy się o innych, nawet tych, z którymi nie łączą go więzy krwi? Zawsze miał takie wielkie idee, zawsze prawił o sprawiedliwości. A rdzenny Sycylijczyk mówi tylko o chlebie.

Kiedy szli via Bella, Michael spostrzegł, że miasteczko idealnie nadaje się do urządzania zasadzek i prowadzenia wojny partyzanckiej. Uliczki były tak wąskie, że przecisnąłby się nimi tylko jeden zaprzężony w osła wóz, jakich Sycylijczycy wciąż używają do transportowania towarów. Tutaj zaledwie paru ludzi mogłoby powstrzymać napastników, a potem zbiec na białe, wapienne wzgórza, otaczające osadę.

Zeszli w dół do rynku. Andolini wskazał niewielki kościółek, górujący nad placem, i powiedział:

- W tym właśnie kościele Turi ukrył się, kiedy policja po raz pierwszy usiłowała go złapać. Od tamtej pory jest nieuchwytny niczym duch.

Wszyscy trzej wpatrywali się w drzwi kościoła, jak gdyby miał się w nich pojawić sam Salvatore Guiliano.

Słońce schowało się za wzgórzami, do domu wrócili tuż przed zmierzchem. Tam już czekało na nich dwóch mężczyzn, nieznanymi tylko Michaelowi, gdyż obaj serdecznie przywitani ojca Guiliana i uścisnęli dłoń Stefana Andoliniego.

Jeden z nich był szczupłym młodzieńcem o wybitnie ziemistej cerze i ogromnych, ciemnych, płonących oczach. Miał wąsiki żigolaka i niemal dziewczęcą urodę, a jednocześnie odznaczał się dumnym okrucieństwem mężczyzny, który przywykł do komenderowania - za wszelką cenę i w każdej sytuacji.

Michael zdumiał się, kiedy przedstawiono mu Pisciotte. Gaspare Pisciotta był prawą ręką Turiego Guiliana, jego krewnym i najserdeczniejszym przyjacielem, drugim z kolei najgorliwiej poszukiwanym na Sycylii przestępcą. Za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu milionów lirów. Z zasłyszanych opowieści Michael wiedział, że nazwisko Pisciotty łączono z wizerunkiem najniebezpieczniejszego, a także i przerażającego swoim wyglądem faceta. A jednak zjawił się tu, wynędzniały, z charakterystycznymi dla suchotnika wypiekami na twarzy. Tutaj, w Montelepre, otoczonym przez dwa tysiące ściągniętej z Rzymu policji.

Drugi mężczyzna okazał się równie niezwykły, z innego wszakże powodu. Spojrzawszy na niego, Michael wzdrygnął się. Człowiek ten był tak niepozornego wzrostu, że można by go uznać za karła, jednakże przy tym miał w sobie tyle dumy, iż Michael natychmiast wyczuł, że jeden jego nieopatrzny ruch mógłby być uznany za śmiertelną obrazę. Mężczyzna miał na sobie doskonale skrojony szary garnitur w prążki, szeroki zaś, suto przetykany srebrną nitką krawat przysłał śnieżnobiałą koszulę. Gęsta, prawie biała czupryna wskazywała na to, że jej właściciel prawdopodobnie liczy sobie niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Był elegancki. Ściślej mówiąc, na tyle elegancki, na ile może być elegancki kurdupel. Miał twarz o grubo ciosanych rysach i szerokie, lecz zmysłowe usta.

Spostrzegł, że Michael się speszył, toteż powitał go ironicznym, ale niepozobawionym życzliwością uśmiechem. Przedstawił się jako profesor Hector Adonis.

Maria Lombardo Guiliano nakryła do obiadu na kuchennym stole. Jedli przy wychodzącym na balkon oknie, przez które widzieli poprzecinane czerwonymi

smugami niebo; nocny mrok zakradał się spoza otaczających miasteczko wzgórz. Michael jadł powoli, świadom, że wszyscy obecni przypatrują mu się i oceniają go. Obiad był bardzo prosty, lecz smakowity: spaghetti z atramentowoczarным sosem z kałamarnic i duszony królik w palącym podniebienie paprykowo-pomidorowym sosie.

Wreszcie głos zabrał Gaspare Pisciotta. Przemówił w dialekcie sycylijskim:

- Zatem, jak powiadają, jesteś synem Vita Corleone, człowieka potężniejszego niż nasz rodzimy don Croce. I ty właśnie masz ocalić naszego Turiego.

W jego głosie można było wyczuć chłodną drwinę, nutę ostrzeżenia, by Michael miał się na baczności, jeśli się na cokolwiek ośmieli. Pisciotta uśmiechnął się, jak gdyby podawał w wątpliwość wszelkie motywy czyjegokolwiek działania. Chciał tym uśmiechem powiedzieć: „No tak, to prawda, że spełniasz dobry uczynek, ale co sam chcesz z tego mieć?”. Mimo to okazywał szacunek, znał historię Michaela, byli braćmi w morderstwie.

- Spełniam polecenia mojego ojca - odparł Michael. - Mam czekać w Trapani, póki nie zgłosi się do mnie Turi. Potem zabiorę go do Ameryki.

- A kiedy Turi znajdzie się już na twojej łasce, to czy gwarantujesz mu bezpieczeństwo? - zapytał groźnie Pisciotta. - Ochronisz go przed Rzymem?

Michael wiedział, że matka Guiliana nie spuszcza z niego wzroku. Jej twarz skamieniała w oczekiwaniu. Odpowiedział więc ostrożnie:

- W takim stopniu, w jakim śmiertelnik w ogóle może zmienić czyjeś przeznaczenie. I owszem, jestem godny zaufania.

Spostrzegł, że na twarz matki Guiliana spłynęła ulga, jednakże Pisciotta odezwał się szorstko:

- A ja ci nie wierzę. Tego wieczoru zaufałeś don Croce. Zdradziłeś mu plan ucieczki.

- A dlaczego nie miałbym tego zrobić? - odciął się Michael. Skąd, u diabła, Pisciotta tak błyskawicznie dowiedział się o przebiegu lunchu u Crocego? - Ojciec przekazał mi, że to don Croce przyprowadzi Guiliana. I wtedy powiadomię go o szczegółach ucieczki.

- A co z innymi? - spytał Pisciotta. Dostrzegł, że Michael się waha. - Mów swobodnie. Jeżeli ludziom w tym pokoju nie można zaufać, to nie ma nadziei dla Turiego.

Karłowaty mężczyzna, Hector Adonis, przemówił po raz pierwszy. Miał niespodziewanie głęboki głos, głos urodzonego mówcy, z łaski bożej naturalnego rozjemcy.

- Mój drogi Michaelu, musisz wiedzieć, że don Croce to wróg Turiego Guiliana. Informacje twojego ojca są nieaktualne. Zatem, rzecz jasna, nie możemy przekazać ci Turiego, nie zachowawszy środków ostrożności. - Mówił wytwornym językiem stolicy, bez śladu sycylijskiego akcentu.

- Wierzę w obietnicę don Vita, iż pomoże mojemu synowi - przerwał mu ojciec Guiliana. - To jedno nie ulega wątpliwości.

- Mimo wszystko chcielibyśmy poznać twoje plany - zwrócił się do Michaela Hector Adonis.

- Mogę powtórzyć wam to, co przekazałem don Croce - odparł Michael. - Jednakże nie widzę powodu, dla którego miałbym przed kimś postronnym zdradzać swoje plany. Czy gdybym was spytał, gdzie się teraz ukrywa Turi Guiliano, wyjawilibyście mi to?

Michael ujrzał, że Pisciotta uśmiechem pełnym aprobaty kwituje jego słowa. Jednakże Hector Adonis sprzeciwił się:

- To nie to samo. Nie ma powodu, byś się dowiedział o kryjówce Turiego. A my musimy poznać twoje plany, żeby pomóc.

- Nie znam was - rzekł spokojnie Michael.

Przystojną twarz Hectora Adonisa rozpromienił serdeczny uśmiech. Potem karzeł wstał i uklonił się.

- Proszę o wybaczenie - przemówił z niezwykłą szczerością. - Byłem nauczycielem Turiego w jego chłopięcych latach, a państwo Guiliano uczynili mi ten zaszczyt, że zostałem jego ojcem chrzestnym. Teraz wykładam historię i literaturę na uniwersytecie w Palermo. Poza tym wszyscy przy tym stole mogą za mnie poręczyć. I w tej chwili, i zawsze należałem do grupy Guiliana.

- Ja także jestem jej członkiem - wyznał cicho Stefan Andolini.

- Znasz moje nazwisko i wiesz, że jestem twoim kuzynem. Lecz nazywają mnie także Fra Diavalo.

Michael wielokrotnie słyszał ów, legendarny na Sycylii, przydomek. Zasłużył sobie na swoją twarz mordercy, pomyślał. Zatem także jest człowiekiem wyjętym spod

prawa, za którego głowę wyznaczono cenę. A przecież tego popołudnia siedział przy jednym stole z inspektorem Velardim.

Wszyscy czekali na odpowiedź Michaela. Ale on nie miał zamiaru wyjawiać im swoich ostatecznych planów, chociaż zdawał sobie sprawę, że coś im musi powiedzieć. Matka Guiliana nie spuszczała z niego wzroku. Zwrócił się zatem bezpośrednio do niej:

- To bardzo proste. Przede wszystkim muszę was przestrzec, że nie mogę czekać dłużej niż tydzień. Mnóstwo czasu spędziłem z dala od domu, a teraz mój ojciec sam znalazł się w opałach i potrzebuje mojej pomocy. Oczywiście rozumiecie, jak spieszno mi do powrotu na łono rodziny. Jednakże z woli ojca mam pomóc waszemu synowi. Kurier w ostatnich instrukcjach przekazał mi, że powinienem odwiedzić don Croce, a potem udać się do Trapani. Tam zatrzymam się w willi miejscowego dona. Poczekam na Przybycie człowieka z Ameryki, któremu mogę absolutnie zaufać. Człowieka kompetentnego. - Umilkł na chwilę. Słowo „kompetentny” na Sycylii miało specjalne znaczenie. Zazwyczaj określano nim wysoko postawionych w hierarchii mafii egzekutorów. - Kiedy tylko Turi do mnie dołączy, będzie bezpieczny. Willa przypomina fortecę. A po kilku godzinach znajdziemy się na pokładzie szybkiego statku. Dobije on do pewnego portu w Afryce. Tam będzie już czekał specjalny samolot, który natychmiast przewiezie nas do Ameryki, gdzie znajdziemy się pod ochroną mojego ojca i już więcej nie będziecie musieli się zamartwiać o syna.

- Kiedy będziesz gotowy na przyjęcie Turiego Guiliana? - dopytywał się Hector Adonis.

- W Trapani zjawię się wczesnym rankiem. Potem dajcie mi dwadzieścia cztery godziny.

Nagle matka Guiliana wybuchnęła płaczem.

- Mój biedny Turi nie ufa już nikomu. Nie zjawi się w Trapani.

- Wobec tego nie będę w stanie mu pomóc - odparł sucho Michael.

Matka Guiliana aż się skuliła z rozpacz. Niespodziewanie z pociechą ruszył do niej Pisciotta. Ucałował ją, przytulił.

- Mario Lombardo, nie martw się - powiedział. - Turi wciąż daje wiarę moim słowom. Przekażę mu, że wszyscy wierzymy temu Amerykaninowi, czyż nie? -

Popatrzył pytająco na pozostałych mężczyzn, a wszyscy skinęli potakująco głowami. - Osobiście przyprowadzę Turiego do Trapani.

Wszyscy obecni wydawali się zadowoleni. Michael pojął, że to jego zimna, pełna rezerwy odpowiedź przekonała ich, by mu zaufali. Sycylijczycy zawsze podejrzliwie traktowali zbytnią serdeczność i wspaniałomyślność. Jego natomiast niecierpliwość ich przesadna ostrożność, która mogła pokrzyżować plany ojca. Teraz] don Croce okazał się wrogiem, a Guiliano nieprędko mógł do; niego, Michaela, dołączyć, prawdę mówiąc, mógł nie pojawić się wcale. Poza wszystkim zresztą, kim jest dla niego ów Turi Guilia^ no? I Michael znowu zaczął się zastanawiać, kim Guiliano jest jego ojca.

Zaprowadzono go do niewielkiego saloniku, gdzie matka Turi go podała kawę i anyżówkę, przepraszając, że nie ma cias'. Zapewniono Michaela, że anyżówka rozgrzeje go przed długą, nocną podróżą do Trapani. Z kieszeni eleganckiej marynarki; Hector Adonis wyjął złotą papierośnicę i poczęstował wszystkie dokoła, potem sam włożył papierosa do ust i rozparł się wygodnie, co sprawiło, że przestał dosięgać nogami podłogi. Przez chwilę vvyglądał jak pociągana za sznurki marionetka. Maria Lombardo wskazała na wielki portret wiszący na ścianie.

- Czyż nie jest przystojny? - spytała. - A jest równie dobry, jak piękny. Omal mi serce nie pękło, kiedy ogłoszono, że został wyjęty spod prawa. Signor Adonis, czy pamiętacie tamten straszliwy dzień? I te wszystkie łgarstwa na temat Portella delia Ginestra? Mój syn nigdy nie dopuściłby się takiego czynu.

Mężczyźni wydawali się zakłopotani. Michael już po raz drugi zaczął się zastanawiać, co takiego zdarzyło się na Portella delia Ginestra, ale nie chciał pytać.

- Kiedy byłem nauczycielem Turiego - odezwał się Hector Adonis - widziałem, że chłopiec pochłania książki. Znał na pamięć legendy o Karolu Wielkim i o Rolandzie, a teraz sam stał się niemal mitycznym bohaterem. Mnie też się serce krajało, kiedy wyjęto go spod prawa.

- Będzie miał szczęście, jeśli pozostanie przy życiu - zauważyła gorzko matka Guiliana. - Och, dlaczego pragnęliśmy, aby nasz syn tutaj właśnie przyszedł na świat? No tak, chcieliśmy, żeby został prawdziwym Sycylijczykiem. - Wybuchnęła niepohamowanym, szalonym śmiechem. - No i został nim. Wciąż lęka się o swoje życie, a za jego głowę wyznaczono cenę. - Umilkła, po czym dodała z żarliwym przekonaniem: - A przecież mój syn to święty.

Michael zauważył, że Pisciotta dziwnie się uśmiechnął; tak na ogół reagują ludzie, gdy sentymentalni rodzice wychwalają bez umiaru cnoty swojego potomstwa. Nawet ojciec Guiliana zachnął się zniecierpliwiony. Stefan Andolini skrzywił się chytrze, Pisciotta natomiast rzekł życzliwie, lecz chłodno:

- Droga Mario Lombardo, nie mów, że twój syn jest taki bezradny. Oddaje ciosy dotkliwsze, niż sam otrzymuje, a jego wrogowie wciąż się go boją.

- Doskonale wiem, że wiele razy zabijał - odparła spokojnie Maria Lombardo - lecz nigdy nie dopuścił się niesprawiedliwości. Poza tym zawsze daje im czas, by oczyścili swoje dusze i dzięki modlitwie pojednali się z Bogiem. - Nagle wzięła Michaela za rękę i wyprowadziła go przez kuchnię na niewielki balkonik. - Żaden z nich nie zna naprawdę mojego syna - powiedziała. - Nie zdają sobie sprawy, jak czułe w istocie ma serce. Możliwe, że wobec ludzi udaje kogoś innego, ale wobec mnie jest szczery. Zawsze był posłuszny każdemu mojemu słowu, nigdy nie odezwał się do mnie opryskliwie. Jest kochającym i oddanym dzieckiem. W pierwszych dniach, gdy zaczął się ukrywać, spoglądał ze wzgórz, jednak niczego nie mógł dojrzeć. A ja patrzyłam w górę i też niczego nie widziałam. Ale czuliśmy swoją obecność, wzajemną miłość. Dzisiaj wieczorem także wyczułam jego obecność. A kiedy pomyślę, że jest taki osamotniony w tych górach i że tysiące żołnierzy depta mu po piętach, serce mi się kraje. Ty możesz być jedynym, który potrafi go ocalić. Przysięgnij mi, że na niego poczekaasz. - Mocno zacisnęła dłoń Michaela w swojej ręce, a po jej policzkach popłynęły strumieniem łzy.

Michael wbił wzrok w ciemności nocy. Miasteczko Montelepre uościło się u podnóża wysokich gór, jedynie rynek jarzył się światłami. Niebo usiane było gwiazdami. Z uliczek poniżej od czasu do czasu dobiegał szcęk broni i ochryple głosy patrolujących karabinierów. Zdawało się, że to miejsce nawiedzane przez duchy. Pojawiały się ciepłą, letnią nocą, przesycone aromatem drzewek cytrynowych, cichym brzęczeniem niezliczonych owadów i nagłymi krzykami policyjnych patroli.

- Poczekaam tak długo, jak tylko to będzie możliwe - zapewnił łagodnie Michael. - Ale mój ojciec potrzebuje mnie w domu. Musi pani sprowadzić do Trapani swojego syna.

Kiwnęła potakująco głową i wróciła z nim do reszty towarzystwa. Pisciotta przemierzał salonik wszerz i wzdłuż. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Postanowiliśmy przeczekać tu do brzasku i końca godziny policyjnej - oznajmił.
- W tych ciemnościach czai się zbyt wielu policjantów, gotowych ochoczo nacisnąć na spust, więc może się zdarzyć nieprzewidziany wypadek. Czy masz coś przeciwko temu? - zwrócił się do Michaela.

- Ależ skąd! - zapewnił Michael. - Jeżeli tylko nie sprawimy dużego kłopotu naszym gospodarzom.

Obawy te uznano za nieuzasadnione. Przecież zatrzymywali się tutaj wielokrotnie na noc, kiedy Turi wślizgiwał się do miasteczka, by odwiedzić rodziców. A poza tym mieli wiele spraw do omówienia, należało ustalić mnóstwo szczegółów. Usadowili się wygodnie, gdyż czekała ich długa noc. Hector Adonis zdjął marynarkę i krawat, lecz wciąż wyglądał elegancko. Matka zaparzyła świeżej kawy, Michael poprosił, by opowiedziano mu wszystko, co tylko możliwe, o Turim. Czuł, że musi zrozumieć tego człowieka. Rodzice jeszcze raz zapewnili, że Turi był zawsze wspaniałym synem. Stefan Andolini wspominał dzień, w którym Guiliano ocalił mu życie. Pisciotta opowiadał zabawne historyjki o odwadze Turiego, jego poczuciu humoru i miękkim sercu. Chociaż był bezlitosny dla zdrajców i wrogów, nigdy nie zhańbił ich honoru torturami i poniżeniem. A potem wyjawiał, jaka tragedia wydarzyła się na Portella delia Ginestra.

- Przeplakał cały dzień - opowiadał Pisciotta. - Widzieli to wszyscy członkowie jego grupy.

- On nie mógł zabić tych ludzi na Ginestra - zaprotestowała Maria Lombardo.

- Wszyscy to wiemy - uspokoił ją Hector Adonis. - Urodził się łagodny. - Odwrócił się do Michaela i rzekł: - Kochał książki. Myślałem, że zostanie poetą albo uczonec. Miał temperament, lecz nigdy nie posuwał się do okrucieństwa. Był niewinnym dzikusem. Nienawidził niesprawiedliwości. Nienawidził brutalności, z jaką karabinierzy traktowali biedotę, a także ich służalczości wobec bogatych. Już jako chłopiec wpadał w straszliwy gniew, kiedy posłyszał o rolniku, który nie mógł zatrzymać wyhodowanego przez siebie ziarna, wypić wytłoczonego przez siebie wina czy zjeść własnoręcznie zaslachtowanej świni. A mimo to był łagodnym chłopcem.

Pisciotta parsknął śmiechem.

- Teraz już nie jest taki łagodny. A ty, Hectorze, nie odgrywaj tutaj skromnego nauczyciela. W głębi duszy jesteś równie wielkim i nieustraszonym mężczyzną jak my.

Hector zmierzył go surowym wzrokiem.

- Aspanu - odezwał się. - To nie pora na dowcipy.

- Kurduplu! - zawołał rozzłoszczony Pisciotta. - Czy sądzisz, że kiedykolwiek będę się ciebie bał?

Michael zanotował w pamięci, że Pisciotta nosi przydomek Aspanu i że ci dwaj mężczyźni serdecznie się nie lubią. Pisciotta ciągle robił przytyki do wzrostu oponenta, Adonis zaś, zwracając się do Pisciotty, przybierał surowy ton. Prawdę mówiąc, wśród całego towarzystwa wyczuwało się atmosferę nieufności; zdawało się, iż wszyscy dystansują się od Stefana Andoliniego. Matka Guiliana natomiast najwyraźniej nie wierzyła nikomu. A przecież, tej nocy stało się jasne, że każdy z nich kocha Turiego.

- Turi Guiliano spisał *Testament* - odezwał się ostrożnie Michael. - Gdzie on teraz jest?

Zapadła długa cisza. Wszyscy intensywnie wpatrywali się w Michaela. Nagle poczuł ich nieufność. Wreszcie przemówił Hector Adonis:

- Zaczął pisać za moją poradą, a ja mu pomagałem. Każdą stronę Turi opatrzył swoim podpisem. Jest tam wszystko o tajnych układach z don Croc, z rządem w Rzymie, i cała prawda o Portella della Ginestra. Gdyby pamiętnik ujrzał światło dzienne, rząd z pewnością musiałby podać się do dymisji. To ostatni as atutowy Guiliana, gdyby sprawy miały przybrać najgorszy obrót.

- W takim razie mam nadzieję, że *Testament* znajduje się w bezpiecznym miejscu - powiedział Michael

- No cóż, don Croce chciałby położyć łapę na *Testamencie* - zauważył Pisciotta.

- We właściwym czasie dopilnujemy, by dostarczono ci *Testament* - wtrąciła matka Turiego. - Może uda ci się odesłać go do Ameryki razem z dziewczyną.

Michael popatrzył na nich zdumiony.

- Z jaką dziewczyną?

Zebrani odwrócili wzrok, jakby z zakłopotaniem czy pełnym skrepowania współczuciem. Zdawali sobie sprawę, iż wiadomość będzie niemiłą niespodzianką, i obawiali się, jak Michael na nią zareaguje. Przemówiła matka Guiliana:

- Z narzeczoną mojego syna. Jest w ciąży. - Zwróciła się pozostałych: - Ona nie może rozpląnąć się w powietrzu. Czy on ją zabierze, czy nie? Niech teraz powie. - Chociaż starała się nad sobą panować, widać było wyraźnie, że obawia się reakcji

Michael - Dołączy do ciebie w Trapani. Turi pragnie, byś wysłał ją jeszcze przed nim do Ameryki. Kiedy da znak, że jest bezpieczna, on się do ciebie zgłosi.

- Nie mam w tej sprawie żadnych instrukcji - odezwał się ostrożnie Michael. - Muszę porozumieć się ze swoimi ludźmi w Trapani, żeby zgrać to wszystko w czasie. Rozumiem, że gdy syn przedostanie się do Ameryki, wy i wasz mąż natychmiast za nim podążycie. Czy dziewczyna nie mogłaby pojechać z wami?

- Dziewczyna to sprawdzian dla ciebie - wypalił bez ogródek Pisciotta. - Prześle umówione słówko i wówczas Guiliano przekona się, że jesteś człowiekiem nie tylko uczciwym, ale i inteligentnym. Wtedy i tylko wtedy uwierzy, że zdołasz go bezpiecznie wywieźć z Sycylii.

- Aspanu - wtrącił się gniewnie ojciec Guiliana. - Mówiłem to już i tobie, i mojemu synowi. Don Corleone dał słowo, że nam pomoże.

- Takie są rozkazy Turiego - zgasił go natychmiast Pisciotta.

Michael myślał intensywnie. Wreszcie odezwał się:

- Uważam, że to ze wszech miar rozsądne. W ten sposób możemy wypróbować drogę ucieczki i przekonać się, czy jest bezpieczna. - Wcale nie zamierzał używać tej samej drogi w przypadku Guiliana. Zwrócił się do jego matki: - Mogę przerzucić was i waszego męża razem z dziewczyną. - Popatrzył na nich pytającym wzrokiem, lecz oboje rodzice pokręcili przecząco głowami.

- To nie jest zły pomysł - zwrócił się do nich ciepło Hector Adonis.

- Nie opuścimy Sycylii, póki jest tutaj nasz syn - odparła matka Guiliana.

Ojciec splótł ręce na brzuchu i pokiwał głową. A Michael zrozumiał, co mają na myśli. Jeżeli Turi zginie na Sycylii, nie życzą sobie mieszkać w Ameryce. Muszą pozostać tu, by go oplakiwać, pochować jego ciało, przynosić kwiaty na jego grób. Do nich należy finał tragedii. Dziewczyna może wyjechać, gdyż łączy ją z Turim jedynie miłość, a nie więzy krwi.

Którejś chwili owej nocy Maria Lombardo Guiliano pokazała Michaelowi album z wycinkami z prasy i afiszami, oznajmiającymi kolejno, jak wysokie nagrody rząd w Rzymie wyznaczał za głowę jej syna. Pokazała mu ilustrowany zdjęciami reportaż, który ukazał się w 1948 roku w amerykańskim magazynie „Life”. Komentarz głosił, że Guiliano jest największym bandytą naszych czasów, współczesnym włoskim Robin

Hoodem, który grabi bogatych, by wspomóc biednych. W gazecie wydrukowano także j jeden ze słynnych listów, jakie Guiliano wysyłał do prasy.

„Od pięciu lat walczę o wolność Sycylii. Oddaję biedakom to, co j zabrałem bogaczom. Niech Sycylijczycy powiedzą, czy jestem] bandytą, czy bojownikiem o wolność. Jeżeli staną przeciwko mnie, I dobrowolnie oddam się w ręce sądu. Ale jeśli staną za mną, będę j dalej prowadził wojnę na całego”.

Jasne jak słońce, że nie pisał tego człowiek skazany na wygnanie, pomyślał Michael, podczas gdy dumna Maria Lombardo przypatrywała mu się z rozjaśnioną twarzą. Poczul się z nią! związany, ogromnie przypominała mu jego własną matkę. Jej twarz pobruździły przeżyte zmartwienia, lecz oczy jaśniały wrodzoną chęcią dalszej walki z tym, co przyniesie jej los.

Wreszcie zaczęło dzień, więc Michael wstał i zaczął się żegnać. Zdumiał się, kiedy matka Guiliana serdecznie go uściskała.

- Przypominasz mi mojego syna - powiedziała. - Ufam ci.

- Podeszła do kominka i zdjęła z niego drewnianą figurkę Matki Boskiej. Figurka była czarna. Miała negroidalne rysy. - Weź ją w podarunku. Myślę, że to jedyna wartościowa rzecz, jaką ci mogę ofiarować.

Michael próbował odmówić, lecz kobieta nalegała.

- Na Sycylii zachowało się zaledwie kilka takich posążków - odezwał się Hector Adonis. - Zdumiewające, ale bardziej pasują do Afryki.

- Nie ma znaczenia, jak Maryja wygląda, skoro możesz się do niej modlić.

- Owszem - potwierdził Pisciotta. - Uczyni tyle dobra, ile wszyscy inni święci. - W jego głosie wyczuwało się pogardę.

Michael uważnie obserwował, jak Pisciotta żegna się z matką Guiliana. Spostrzegł, że naprawdę są sobie bliscy. Pisciotta ucałował kobietę w oba policzki i uspokajająco pogładził ją po ręku. Ona złożyła głowę na jego ramieniu i powiedziała:

- Aspanu, Aspanu, kocham cię równie mocno jak rodzzonego syna. Nie pozwól, by zamordowali Turiego. - Zalała się łzami.

Pisciotta przestał nad sobą panować, zdawało się, iż skurczył się w sobie, jego ciemna, wyrazista twarz jakby złagodniała.

- Wszyscy dożyjecie starości w Ameryce. - Potem zwrócił się do Michaela: - Nim tydzień minie, przyprowadzę do ciebie Turiego.

Szybko i bezszelestnie podszedł do drzwi. Miał wystawioną na swoje nazwisko, opatrzoną czerwonym stemplem przepustkę, toteż mógł rozplynać się pośród wzgórz. Hector Adonis chciał zostać z rodzicami Guiliana, chociaż miał w miasteczku własny dom.

Michael i Stefan Andolini wsiedli do fiata i przejechawszy rynek, znaleźli się na drodze prowadzącej do Castelvetro, a potem na szosie wiodącej do Trapani. Ponieważ Andolini był ostrożnym, wolno jadącym kierowcą, a na drodze natykali się na liczne blokady, dopiero w południe dotarli do miasteczka Trapani.

Księga druga

Turi Guiliano

1943

Rozdział pierwszy

We wrześniu 1943 roku Hector Adonis wykladał historię i literaturę na uniwersytecie w Palermo. Jego niepozorny wzrost sprawił, iż koledzy traktowali go z daleko mniejszym szacunkiem, niż zasługiwał na to ze względu na swoje talenty. Lecz było to typowe dla sycylijskiej kultury, w której powszechnie i z całym okrucieństwem obdarzano ludzi przydomkami wiążącymi się z ich fizyczną ułomnością.

We wrześniu 1943 roku życie Hectora Adonisa miało się odmienić. W południowych Włoszech wojna dobiegła końca. Armia amerykańska zdobyła już Sycylię i ruszała na kontynent. Faszyzm szeszył, Italia odradzała się; po raz pierwszy od czternastu wieków nikt nie władał wyspą. Jednak Hector Adonis, który jak nikt rozumiał drwinę historii, nie żywił zbyt wielkich nadziei. Mafia już poczyniała zagarniać dla siebie władzę na Sycylii. Jej rakowata siła mogła okazać się równie śmiertelna jak panowanie jakiegokolwiek zjednoczonego państwa. Z okna swojej pracowni spoglądał na uniwersyteckie dziedzińce, na kilka budynków, którym można by nadać miano kampusu.

Nie było potrzeby, by tworzyć akademiki, nie kipiało tutaj studenckie życie, tak jak w Anglii lub w Ameryce. Większość studentów uczyła się w domu i tylko od czasu do czasu konsultowała się z profesorami. Ci zaś wygłaszali wykłady, które studenci mogli bezkarnie opuszczać. Jedyнным ich obowiązkiem było stawianie się na egzaminy. Taki system nauczania Hector Adonis uważał za bezsensowny, a szczególnie szkodliwy, jeśli chodzi o Sycylińczyków. Ci, w jego pojęciu, potrzebowali surowszej dyscypliny niż studenci z innych krajów.

Wyglądając ze swojego okna, wysokiego niemal jak w katedrze, widział przybywających o określonej porze roku ze wszystkich zakątków Sycylii szefów regionalnych mafii, których zamiarem było wpłynięcie na decyzje uniwersyteckich profesorów. Kiedy rządili faszyci, szefowie mafii byli ostrożniejsi, bardziej pokorni, lecz teraz, pod łaskawą władzą przywróconych przez Amerykanów demokratycznych rządów, wychynęli niczym dżdżownice po deszczu i wrócili do starych obyczajów. Ulotniła się wszelka pokora.

Szefowie mafii, przyjaciele przyjaciół, kierujący niewielkimi lokalnymi klanami w licznych sycylijskich wioskach, przybywali w odświętnych garniturach, by wstawiać się za studentami, którzy byli krewnymi lub synami ziemian albo synami przyjaciół, którzy nie zaliczyli jakichś ważnych egzaminów bądź nie mogliby uzyskać stopnia naukowego, gdyby się ktoś za nimi energicznie nie ujął. A zdanie egzaminów było sprawą nieocenioną. W jaki bowiem inny sposób rodziny mogłyby się pozbyć synów niemających ambicji, zdolności, inteligencji? Rodzice musieliby do końca swoich dni utrzymywać takich darmozjadów. Tymczasem za sprawą dyplomu uniwersyteckiego owi nieokrzesani durnie mogli zostać nauczycielami, lekarzami, członkami parlamentu, a w najgorszym razie urzędnikami państwowymi niższego szczebla.

Hector Adonis wzdrygnął się, ale z historii jednak czerpał pociechę. Uwielbiani przez niego Brytyjczycy w dniach największej potęgi swego Imperium złożyli losy armii w ręce podobnie niedouczonego synów bogaczy, których rodzice wykupili im oficer-'skie patenty i dowodzenie największymi okrętami. A mimo I Imperium świetnie prosperowało. Prawda, że owi dowódcy często prowadzili podkomendnych na niepotrzebną śmierć, ale przecież ginęli wraz ze swoimi ludźmi, gdyż straceńcza odwaga przypisana była arystokratycznemu pochodzeniu. Ich śmierć przynajmniej rozwiązywała problem ludzi niedołączonych i niekompetentnych,, mogących wzniecić niepokój w państwie. Włosi nie okazali się tak rycerscy czy raczej rozważnie pragmatyczni. Uwielbiali swoje dzieci, chronili je przed wszelkimi przykrościami i uważali, że ojczyzna sama powinna dbać o siebie.

Z okna gabinetu Hector Adonis dojrzał co najmniej trzeci szefów lokalnych mafii, którzy rozglądali się za swoimi ofiarami. Mieli na sobie czapki z daszkiem i skórzane buty, ponieważ było jeszcze ciepło - obszerne, aksamitne marynarki. Jako podarunki nieśli kosze pełne owoców oraz oplecione bambusem butelki wina domowej roboty. Nie były to bynajmniej łapówki, ale z szacunkiem przekazywane dary, mające złagodzić strach, jaki na widok owych mężczyzn ścisnął serca wykładowców. Większość profesorów pochodziła z Sycylii, toteż rozumieli oni aż za dobrze, że prośbie popartej takim podarunkiem nie sposób odmówić.

Jeden z mafijnych szefów, w tak plebejskim ubraniu, iż mógłby natychmiast wystąpić w Rycerskości wieśniaczej, wszedł do budynku i zaczął wchodzić po schodach. Hector Adonis z przewrotnym zadowoleniem przygotował się do odegrania tak dobrze mu znanej komedii.

Wiedział, kim jest ten człowiek. Nazywał się Buccilla, miał gospodarstwo i stado owiec w miejscowości Partinico, nieopodal Montelepre. Uścisnęli sobie dłonie i Buccilla wręczył Hectorowi koszyk.

- Mam taki urodzaj, że owoce spadają na ziemię i gniją, więc pomyślałem sobie, że trochę tych najlepszych przywiozę profesorowi.

Buccilla był niewysokim, choć postawnym mężczyzną, jego tężyzna świadczyła, że ciężko pracował przez całe życie. Adonis wiedział, iż cieszył się on sławą człowieka uczciwego i skromnego, choć potrafił obrócić swoją siłę w bogactwo. Był cierniem w oku starych szefów mafii, którzy dbali nie tyle o majątek, co o szacunek i honor.

Adonis uśmiechnął się, przyjmując owoce. Czyż którykolwiek sycylijski wieśniak pozwoliłby, aby się zmarnowały? Do każdej spadającej na ziemię oliwki rzucały się setki dzieci. Ci smarkacze podobni byli szarańczy.

Buccilla westchnął. Był uprzejmy, Adonis jednak zdawał sobie sprawę, iż owa życzliwość w ułamku sekundy może przemienić się w groźbę. Toteż uśmiechnął się serdecznie, kiedy Buccilla przemówił:

- Ile kłopotów niesie ze sobą życie! Muszę uprawiać swoją ziemię, ale gdy sąsiad przychodzi prosić mnie o przysługę, czyż mogę mu odmówić? Mój ojciec znał jego ojca, mój dziad jego dziada. A ja już mam taką naturę, może na własne nieszczęście, że muszę pomóc przyjacielowi, który prosi o przysługę. Zresztą, czyż nie jesteśmy wszyscy chrześcijanami?

- My, Sycylijczycy, wszyscy jesteśmy podobni do siebie jak dwie krople wody. Dlatego ci z północy, z Rzymu, tak bezwstydnie nas wykorzystują - zgodził się gładko Hector Adonis.

Buccilla popatrzył na niego bacznie. A więc nie będzie tu żadnych kłopotów. Doszły chyba zresztą do jego uszu pogłoski, że i profesor jest przyjacielem przyjaciół. Z całą pewnością nie wygląda na przestraszonego. Jeżeli naprawdę zalicza się do przyjaciół przyjaciół, to dlaczego on, Buccilla, nic o tym nie wiedział? Jednakże wśród przyjaciół było wiele stopni zaszeregowania. Tak czy owak, to człowiek, który rozumie, na jakim świecie żyje.

- Przyszedłem prosić pana o drobną przysługę - ciągnął Buccilla. - Jak Sycylijczyk Sycylijczyka. Syn mojego sąsiada nie zdał w tym roku egzaminów na uniwersytecie. To pan go oblał. I na to żali się mój sąsiad. Lecz kiedy tylko usłyszałem pańskie nazwisko, zdumiałem się: „Co takiego?! Signor Adonis? Przecież ten człowiek ma

najbardziej złote serce pod słońcem. Nigdy nie postąpiłby tak niezyczliwie, gdyby wiedział, jak się sprawy mają. Nigdy". Więc ze łzami w oczach tamten zaczął mnie błagać, abym opowiedział panu całą historię. I jak najpokorniej ubłagał pana, aby zmienił wystawioną ocenę, żeby chłopak mógł wejść w świat i zarobić na swój kawałek chleba.

Owa wyszukana uprzejmość nie zwiódła Hectora Adonisa. Podobnie jak umiłowani przez niego Anglicy, i ci ludzie posiadli umiejętność takiego maskowania swojego grubiaństwa, że przez wiele dni mogłeś pławić się w ich obelgach, nim wreszcie zdałeś sobie sprawę, że cię śmiertelnie obrażono. Retoryka przemowy przypominała angielską, ale gdyby odmówił prośbie signora Buccilli, 1 którejś ciemnej nocy wycelowano by w niego luparę. Hector Adonis uprzejmie skubał oliwki i jagody z koszyka.

- Ach, nie możemy dopuścić, by ów młody człowiek przymierał głodem na tym okropnym świecie - zapewnił. - Jak on się nazywa? - A kiedy Buccilla podał nazwisko chłopaka, odszukał na dnie biurka księgę wpisów. Przerzucał jej karty, choć oczywiście doskonale pamiętał tego studenta.

Oblany był nieokrzesanym, tępakiem i półgłówkiem; każdy! baran z gospodarstwa Buccilli był bardziej rozgarnięty od niego, i Ten leniwy bawidamek, bufon, beznadziejny analfabeta, nie rozróżniał Iliady od twórczości Vergi. Adonis wszakże uśmiechnął się promiennie do Buccilli i przemówił tonem, w którym słychać było szczere zaskoczenie:

- No tak, miał niewielkie kłopoty podczas sesji. Ale to bez trudu uda się załatwić. Proszę mu przekazać, aby pofatygował się do mnie, a już ja go przygotuję. Potem przystąpi do dodatkowych egzaminów. I ręczę, że tym razem je zda.

Uścisnęli sobie dłonie i mężczyzna wyszedł. Hector pomyślał, że zyskał nowego przyjaciela. Czy to oznacza, że wszystkie te niewarte funta kłaków młokosy uzyskają dyplomy uniwersyteckie, na które w żadnym razie nie zasłużyli? Ale cóż, we Włoszech w 1943 roku mogą najwyżej podetrzeć sobie nimi swoje wychuchane tyłki i powoli osiadać na dnie.

Telefon przerwał mu rozmyślenia i spowodował, iż Hector znowu, tylko już na inny sposób, się zirytował. Najpierw odezwał się krótki dźwięk, nastąpiła chwila ciszy, a potem trzy krótkie dzwonki. Kobieta obsługująca centralę musiała z kimś plotkować

i naciskała guziki w przerwach między swoją rozmową. Zezłościło to Hectora, więc ostrym, niegrzecznym tonem rzucił w słuchawkę:

- Słucham!

Na nieszczęście pragnął z nim porozmawiać sam rektor uniwersytetu. Rektor jednak, zawsze tak surowo przestrzegający wszelkich norm profesjonalnej uprzejmości, najwyraźniej miał inne, ważniejsze kłopoty na głowie, niż przejmowanie się czyimś grubiaństwem.

- Drogi profesorze - rzekł - czy mógłby się pan pofatygować do mojego biura? Uniwersytet stanął przed poważnym problemem, który prawdopodobnie tylko pan zdoła rozwiązać. To sprawa najwyższej wagi. Proszę mi wierzyć, drogi profesorze, że odwdzięczymy się panu.

Przymilny ton jego głosu zaniepokoił Hectora. Czego ten kretyn się po nim spodziewa? Żeby przeskoczył katedrę w Palermo? Adonis pomyślał z goryczą, że rektor lepiej by się nadawał do tego zadania, gdyż miał co najmniej sześć stóp wzrostu. Niech więc sam skoczy, a nie wymaga tego od swojego podwładnego, który miał najkrótsze na Sycylii nogi. Ta myśl ponownie wprowadziła Adonisa w dobry humor. Toteż spytał uprzejmie:

- A może zdradzi mi pan, o co chodzi? Żebym mógł się po drodze przygotować?

Rektor zniżył głos do szeptu.

- Szacowny don Croce zaszczycił nas swoją wizytą. Jego siostrzeniec studiuje na naszej uczelni medycynę, a jeden z profesorów zasugerował, że może by chłopak dobrowolnie zrezygnował z tych studiów. Don Croce przybył tutaj, by jak najuprzejmiej prosić nas, byśmy ponownie rozważyli sprawę. Profesor z wydziału medycznego upiera się jednak, że ów student powinien się rozstać z uczelnią.

- Kim jest ten głupiec? - zapytał Hector Adonis.

- To młody doktor Nattore - wyjaśnił rektor. - Wybitny naukowiec, ale jeszcze niezbyt dobrze zorientowany w panujących stosunkach.

- Za pięć minut stawię się w pana gabinecie - obiecał Hector Adonis.

Kiedy pospiesznie przemierzał dziedziniec w drodze do rektoratu, zastanawiał się, jaką ma obrać taktykę. To nie rektor by przyczyną kłopotów; zresztą zawsze w podobnych sprawach zdawał się na niego, Adonisa. Problem stanowił doktor Nattore. Hector świetnie go znał. Doskonały lekarz, nauczyciel akademicki, którego śmierć

byłaby dla Sycylii niepowetowaną stratą, a rezygnacja uszczerbkiem dla uniwersytetu. A przy tym - nadęty aż do obrzydzenia facet o niewzruszonych zasadach. Ale chyba nawet on musiał słyszeć o don Croce i zachować w swym genialnym umyśle choć odrobinę rozsądku. Zatem chodziło o co innego.

Przed rektoratem stała długa czarna limuzyna. Opierało się o i dwóch ludzi, którzy mimo iż wbici w czarne garnitury, wcale nil wyglądali dzięki temu szacowniej. Najpewniej to ochroniarz Cra cego i jego kierowca. Wysiedli z szacunku dla naukowca, którego przyjechał don Croce. Adonis dostrzegł ich zdumione spojrzenia i rozbawienie jego karłowatą posturą, doskonale skrojonym garniturem, niesioną pod pachą aktówką. Zmroził facetów lodowatym spojrzeniem, które wprowadziło ich w osłupienie. Czyżby taki karzeł mógł być przyjacielem przyjaciół?

Gabinet rektora bardziej przypominał bibliotekę niż biuro, gdyż sam rektor był przede wszystkim naukowcem, a nie administratorem. Wszystkie ściany zastawiono regałami pełnymi książek meble były ciężkie, lecz wygodne. Don Croce zasiadł w wielkim fotelu i popijał kawę. Jego twarz przypominała Hectorowi Adonisowi dziób statku z *Iliady*, noszący ślady wieloletnich bitew i sponiewierany przez nieprzyjazne morza. Don Croce udawał, że nigdy się wcześniej nie spotkali, toteż Adonis pozwolił, by go oficjalnie przedstawiono. Rzecz jasna, rektor świetnie zdawał sobie sprawę, że to farsa, lecz młody doktor Nattore dał się nabrać.

Rektor był najwyższy wzrostem na uniwersytecie, Hector zaś najniższy. Natychmiast po wymianie wstępnych grzeczności rektor usiadł i jakby zmalął w swoim fotelu. Wtedy dopiero powiedział:

- Zaszło małe nieporozumienie. - Słyszając to, doktor Nattore parsknął pogardliwie, don Croce natomiast nieznacznie skinął głową na znak zgody. Rektor mówił dalej: - Don Croce ma siostrzeńca, który pragnie zostać lekarzem. Profesor Nattore twierdzi, iż nie posiadał on dostatecznej wiedzy, by uzyskać dyplom. To tragedia. Don Croce okazał się na tyle uprzejmy, że popatygował się tutaj i wstawił za swoim krewnym. A ponieważ don Croce uczynił tak wiele dla naszego uniwersytetu, sądzę, iż powinniśmy odwdziżyć mu się drobną przysługą.

- Sam jestem nieuczony - odezwał się przyjaźnie, bez odrobiny ironii don Croce - nikt wszakże nie może powiedzieć, że nie odniosłem sukcesów w świecie interesu. - No jasne, pomyślał Hector Adonis, człowiek, który może przekupywać ministrów, wydawać rozkazy śmierci, terroryzować sklepikarzy i fabrykantów, nie musi posiadać

umiejętności pisania i czytania. Don Croce zaś ciągnął: - Wszystko zdobyłem dzięki własnemu doświadczeniu. Ale dlaczego mój siostrzeniec miałby przejść tę samą drogę? Serce mej biednej siostry pękłoby, gdyby nie ujrzała przed jego nazwiskiem tytułu „doktor”. Ona żarliwie wierzy w Chrystusa, pragnie pomóc całemu światu.

Przerwał mu doktor Nattore, człowiek tak nierozumnie przekonany o swoich racjach:

- Ja zdania nie zmienię.

Don Croce westchnął.

- Jakąż szkodę może wyrządzić mój siostrzeniec? - spytał przymilnie. - Zapewnię mu skierowanie do pracy w wojsku lub w katolickim domu starców. Będzie trzymał chorych za rękę i wysłuchiwał ich skarg. On ma nadzwyczaj miękkie serce, potrafi pocieszyć stojących nad grobem staruszków. O co proszę?

O drobne uzupełnienie w papierach, które tu przynieśliście. - Rozejrzał się po gabinecie, podziwiając imponujące regały z książkami Hector Adonis, poważnie zaniepokojony udaną łagodnością don Croce, która - jeśli chodzi o tego człowieka - równała się groźbie, gniewnie pomyślał, że łatwo mu mówić. Jego ludzie natychmiast przerzucą go do Szwajcarii, gdy tylko poczuje, że zaczyna dokuczać wątroba. Jednakże Adonis zdawał sobie sprawę, iż będzie musiał jakoś rozwiązać nieprzyjemny problem.

- Doktorze Nattore - odezwał się. - Z pewnością możemy coś i na to poradzić. Może kilka prywatnych lekcji albo dodatkowa praktyka w szpitalu opieki społecznej?

Doktor Nattore, mimo iż urodził się w Palermo, zupełnie przypominał Sycylijczyka. Miał jasną cerę, łysiał i bez żenad okazywał gniew, a na to rdzenny Sycylijczyk nigdy by sobie nie pozwolił w delikatnej sytuacji. Bez wątplenia była to wina brakowanych genów, odziedziczonych po dawnych normańskich przodkach, którzy podbili wyspę.

- Szanowny profesorze Adonis, pan chyba nic nie zrozumiał. Ten młody tępak pragnie zostać chirurgiem.

Jezusie, Maryjo, Józefie i wszyscy święci, pomyślał Hector Adonis. To dopiero prawdziwy kłopot.

Korzystając z okazji, że twarz jego kolegi zastygła w zdumieniu doktor Nattore zwrócił się do don Croce:

- Pański siostrzeniec nie ma bladego pojęcia o anatomii. Rozdziera zwłoki na strzępy, jakby krajał owcę. Opuścił większość ćwiczeń, nie przygotowywał się do testów, a na salę operacyjną wkraczał, jak gdyby była to sala balowa. Przyznaję, że daje się lubić, trudno spotkać sympatyczniejszego faceta. Mimo to jednak rozmawiamy o człowieku, który pewnego dnia mógłby wtargnąć do ciała ludzkiego z ostrym skalpelem w ręku.

Hector Adonis świetnie zdawał sobie sprawę, co myśli don Croce. Kogóż obchodzi, jak złym chirurgiem okazałby się chłopak? Za to prestiż rodziny ucierpiałby znacznie, gdyby chłop oblał egzaminy. Choćby nie wiadomo jak marnym został lekarzem, i tak nie zabije tylu ludzi, ilu zapracowani po uszy podwładni don Croce. Poza tym ów młody doktor Nattore nie ugiął się przed jego wolą, nie zrozumiał przesłania, iż don Croce pragnie, by chłopak został chirurgiem, by uzyskał dyplom lekarza.

Nadszedł czas, by Hector Adonis jasno wyłożył całą sprawę.

- Drogi don Croce - przemówił - jestem pewien, iż doktor Nattore przychyli się do pańskiej prośby, kiedy go odpowiednio przekonamy. Lecz jak pański siostrzeniec wpadł na ten romantyczny pomysł, by zostać chirurgiem? Sam pan mówił, że jest człowiekiem łagodnego serca, a chirurdzy to przecież urodzeni sadyści. A zresztą kto na Sycylii dobrowolnie pójdzie pod nóż? - przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Chłopak musi także odbyć praktykę w Rzymie, jeżeli otrzyma tutaj dyplom, a rzymianie zrobią wszystko, by zgnoić Sycylińczyka. Wyświadczy pan siostrzeńcowi przysługę, odwodząc go od tego pomysłu. Proszę więc pozwolić, że zaproponuję pewien kompromis.

Doktor Nattore mruknął, że żaden kompromis nie jest możliwy. Po raz pierwszy jaszczurcze oczy don Croce zapłonęły ogniem. Doktor Nattore umilkł, a Hector Adonis pospiesznie kontynuował:

- Pański siostrzeniec otrzyma stopnie uprawniające go do wykonywania zawodu lekarza, jednakże nie chirurga. Umówmy się, że ma zbyt dobre serce, aby sięgać po skalpel.

Don Croce szeroko rozłożył ramiona i rozchylił wargi w zimnym uśmiechu.

- Pokonał mnie pan swoim zdrowym rozsądkiem i wnikliwym rozumowaniem - zwrócił się do Adonisa. - Niech więc tak będzie. Mój siostrzeniec zostanie lekarzem, ale nie chirurgiem. I tym się musi zadowolić moja siostra.

Po czym szybko się pożegnał; osiągnął zamierzony cel - w końcu nie mógł spodziewać się niczego więcej.

Rektor odprowadził go na dół, do samochodu. Jednak wszyscy obecni w gabinecie zauważyli spojrzenie, którym don Croce przed wyjściem omiół Nattorego. Spojrzenie owo było tak przenikliwe, jak gdyby chciał wbić sobie w pamięć rysy doktora, upewnić się, że nie zapomni człowieka, który ośmielił się sprzeciwić jego woli.

Kiedy już wyszli, Hector Adonis zwrócił się do młodego naukowca:

- A pan, drogi kolego, musi porzucić pracę na uniwersytecie i otworzyć praktykę w Rzymie.

- Pan chyba oszalał?! - zawołał gniewnie doktor Nattore.

- Nie bardziej niż pan - zapewnił Hector Adonis. - Usilnie proszę, by zjadł pan dzisiaj ze mną kolację, a wtedy wyjaśnię panu, dlaczego nasza Sycylia to nie rajski ogród.

- Ale z jakich powodów muszę wyjeżdżać? - protestował doktor Nattore.

- Albowiem powiedział pan „nie” don Croce Malo. Na Sycylii nie ma zatem miejsca dla was obu.

- Przecież dostał to, czego żądał! - wykrzyknął zrozpaczony Nattore. - Jego siostrzeniec otrzyma dyplom lekarza. Przrzekliście mu to i pan, i rektor!

- Ale nie pan - przypomniał Hector Adonis. - Przystaliśmy i ten układ, by ocalić pańskie życie. Jednakże mimo to jest napiętnowany.

Tego wieczoru Hector Adonis gościł w jednej z najlepszych restauracji Palermo sześciu profesorów, w tym doktora Nattorego. Każdemu z nich wcześniej złożył tego dnia wizytę człowiek honoru i wszyscy zgodzili się zmienić oceny swoim oblanym studentom. Doktor Nattore z przerażeniem wysłuchał ich opowieści i znowu zaprotestował:

- Ale to nie może dotyczyć studiów medycznych, przyszłych lekarzy!

Wreszcie wszyscy goście stracili do niego cierpliwość.

Profesor filozofii domagał się od Nattorego odpowiedzi na pytanie, z jakich to powodów praktyka lekarska jest dla rasy ludzkiej ważniejsza od skomplikowanych procesów, które zachodzą w ludzkim umyśle, i od nieśmiertelnego uświęcenia ludzkiej duszy. Kiedy skończyli dyskusję, doktor Nattore zgodził się opuścić uniwersytet w

Palermo i wyemigrować do Brazylii, gdzie, jak zapewnili go koledzy, dobry chirurg może zbić fortunę na wycinaniu woreczków żółciowych.

Tej nocy Hector Adonis spał snem sprawiedliwego. Jednakże nazajutrz rano otrzymał pilny telefon z Montelepre. Jego syn chrzestny, Turi Guiliano, którego tak pieczołowicie kształcił, wychwalał za łagodny charakter, którego przyszłość planował, zamordował policjanta.

Rozdział drugi

Liczące sobie siedem tysięcy mieszkańców miasteczko Montelepre było równie biedne, jak głęboko zakopane w dolinie u podnóża gór Cammarata.

Drugiego września 1943 roku ludzie przygotowywali się do fiesty, która miała rozpocząć się nazajutrz i trwać przez najbliższe trzy dni.

Fiesta w każdym miasteczku była największym dorocznym świętem, większym nawet od Wielkanocy, Bożego Narodzenia czy Nowego Roku, uroczystym od obchodów zakończenia pierwszej wojny światowej lub rocznicy urodzin słynnego bohatera narodowego. Fiestę urządzano ku czci miejscowego, szczególnie czczonego świętego patrona. Był to jeden z niewielu obyczajów, których faszystowski rząd Mussoliniego nie ośmielił się zakłócać czy wręcz zakazać.

Co roku, by zorganizować fiestę, powoływano Komitet Trzech, w którego skład wchodził najbardziej szanowani obywatele miasteczka. Następnie owa trójka powoływała swoich przedstawicieli, którzy mieli zbierać pieniądze i sprzedawać towary. Każda rodzina opodatkowywała się dobrowolnie na miarę swoich możliwości. Poza tym przedstawiciele zbierali datki na ulicach.

Kiedy nadchodził wielki dzień, Komitet Trzech zaczynał wydawać specjalne, zgromadzone w ciągu minionego roku fundusze. Wynajmowano orkiestrę i kłowna. Ustalano królewskie stawki w zakładach na wyścigach konnych, które miały trwać przez trzy dni. Wynajmowano zawodowych dekoratorów do przystrojenia kościoła i uliczek, tak więc nagle przygniecione nędzą Montelepre zaczynało przypominać pyszną średniowieczną fortecę. Angażowano również teatrzyk marionetek. Sprzedawcy jadła rozstawiali swoje kramy.

Rodziny z Montelepre wykorzystywały fiestę, by zaprezentować swoje dorastające córki; sprawiano im nowe suknie, swaci omawiali szczegóły. Grupka prostytutek z Palermo tuż za rogatkami miasteczka rozstawiała potężny namiot, ich uprawnienia i świadectwa zdrowia ozdabiała wewnątrz pasiaste, czerwono-biało-zielone płótno. Wzywano słynnego świątobliwego braciszka zakonnego który już przed wielu laty został pobłogosławiony stygmatami, i odprawił kazanie dla maluczkich. Aż wreszcie, trzeciego ulicami przechodziła procesja z relikwiami świętego, w której uczestniczyli

wszyscy mieszkańcy miasteczka wraz ze swoją żywną: mułami, koźmi, świniami i osłami. Na czele procesji jechała figurka świętego, ozdobiona monetami, kwiatami, różnobarwnymi cukierkami i ogromnymi, oplecionymi bambusem butlami wina.

Tych parę dni było dniami chwały. Nie miało znaczenia, że przez resztę roku ludzie będą przymierać głodem i że na tym samym rynku, na którym teraz czczą swojego świętego, zaczną za sto lirów dniówki angażować się u bogatych właścicieli ziemskich do ciężkiej pracy.

W Montelepre wyznaczono Turiego Guiliana, by wziął udział w ceremonii otwarcia fiesty, czyli sparzenia Cudownej Mulicy z Montelepre z największym i najsilniejszym osłem z miasta. Niesłychanie rzadko zdarzało się, by muł mógł być reproduktorem; zwierzęta te zaklasyfikowano jako bezpłodne, gdyż rodziły się z klaczy i osła. Jednakże w Montelepre znalazł się taki nadzwyczajny muł. Dwa lata temu spłodził osła, a jego właściciel zgodził się - był to wkład jego rodziny w fiestę - ofiarować usługi swojego zwierzęcia. A jeśli cud zdarzy się ponownie, nowo narodzony osiołek uświetni przyszłoroczną fiestę. W tym niespotykanym obrzędzie kryła się złośliwa drwina.

Jednakże owo rytualne krycie było drwiną jedynie po części. Sycylijscy wieśniacy czuli się spokrewnieni ze swoimi mułami i osłami. Zwierzęta te ciężko pracowały i, podobnie jak chłopci, miały niezależną, upartą naturę. Tak jak ich właściciele, potrafiły przez wiele godzin harować bez wytchnienia, w przeciwieństwie do koni szlachetniejszej krwi, które musiały odpoczywać. A przy tym pewnie stąpały po ziemi, potrafiły wybierać sobie drogę na górskich zboczach, nie potykając się ani nie łamiąc nóg, nie tak jak narowiste ogiery czy płocze klacze pełnej krwi. W dodatku wieśniacy, osły i muły mogli wyżywić się tym, co zabiłoby innych ludzi i inne zwierzęta. Jednakże największe podobieństwo polegało na tym, że zarówno chłopów, jak osły i muły należało traktować z uszanowaniem i grzecznie, w przeciwnym bowiem razie przeistaczali się w zawzięte i mordercze istoty.

Katolickie festyny religijne zrodziły się z pogańskich obrzędów, kiedy to błagano bogów, aby sprawili cuda. I właśnie tego proroczego dnia we wrześniu 1943 roku, podczas festynu w Montelepre, zdarzył się cud, który odmienił los siedmiu tysięcy mieszkańców miasteczka.

Dwudziestoletniego Turiego Guiliana uważano za najdzielniejszego, najbardziej godnego szacunku, najsilniejszego młodzieńca, przed którym należy schylić czoło.

Należał do ludzi honoru. Co oznaczało, iż trzeba z nim było mówić szczerze i nikt nie mógł go też bezkarnie obrazić.

Dał się poznać podczas ostatnich żniw, kiedy to odmówił pracy w charakterze najemnika za ubliżająco niską zapłatę, wyznaczoną przez zarządzającego majątkiem ekonoma. A potem wygłosił mowę do innych robotników, nakłaniając ich, by również nie podejmowali pracy. Niech zboże zgnije. Baron dopilnował, by karabinierzy aresztowali Turiego. Reszta ludzi wróciła do roboty. Guiliano nie okazał żadnych wrogich uczuć ani wobec tych chłopów, ani nawet wobec karabinierów. Kiedy dzięki interwencji Hectora Adonisa zwolniono go z więzienia, nie żywił do nikogo najmniejszej urazy. Wystąpił w obronie własnych przekonań i to mu wystarczyło.

Przy innej okazji przerwał bójkę na noże między Aspanu Pisciotą a drugim młokosem, po prostu odgradzając ich od siebie własnym ciałem; przy tym dowcipnym komentarzem rozładował ich gniew.

Zadziwiające było to, że każdego innego człowieka, który znajdowałby się w takiej sytuacji, okrzyknięto by niemęskim tchórzem, udającym, że pragnie czynić dobro, wszakże Guiliano uniknął jakoś przyczepienia mu takiej etykiety.

Drugiego dnia tego pamiętnego września Salvatore Guiliano, zwany przez rodzinę i przyjaciół Turim, wyrzekł na coś, co - w mniemaniu chłopaka - zadało straszliwy cios jego męskiej dumie.

Sprawa była błaha. W miasteczku Montelepre nie było kina ani sali widowiskowej, tylko jedna niewielka kawiarnia ze stołem bilardowym. Poprzedniego wieczoru Turi Guiliano, jego kuzyn Gaspare Pisciotą, zwany Aspanu, i kilku innych młodzieńców grało w bilard. Paru starszych mężczyzn z miasteczka obserwowało ich, popijając wino. Jeden z nich, nazwiskiem Guido Quintana, był lekko podpity. Ów człowiek cieszył się pewną sławą. Mussolini uwięził go pod zarzutem przynależności do mafii. Amerykańscy zdobywcy wyspy uwolnili Guida, zakładając, iż padł ofiarą faszyzmu; rozchodziły się wieści, że ma zostać burmistrzem Montelepre.

Jak każdy Sycylijczyk, tak i Turi Guiliano doskonale wiedział o legendarnej potędze mafii. W ciągu owych kilku minionych miesięcy wolności, nad krajem zaczął unosić się jej zmijowaty łeb, jak gdyby odzyskał siły dzięki świeżej strawie dostarczonej przez nowy, demokratyczny rząd. Mówiło się już w miasteczku, że sklepikarze muszą płacić za ochronę pewnym „godnym szacunku” ludziom. Turi, rzecz jasna, też o tym słyszał, słyszał o niezliczonych zabójstwach wieśniaków, którzy

usiłowali ukryć swoje plony przed wszechmocnymi szlachcicami i ziemianami, o tym, jak twardą ręką mafia rządziła wyspą, nim Mussolini, nie oglądając się na prawo, zdziesiątkował jej członków niczym groźna żmija, która zabija mniej potężne gady swoim śmiercionośnym jadem. Tak więc Turi Guiliano przeczuwał, że terror zawładnie miasteczkiem.

Quintana popatrywał na Guiliana i jego towarzyszy lekko pogardliwym wzrokiem. Możliwe, iż zirytował go ich pogodny nastrój. Sam był przecież poważnym człowiekiem, który właśnie doczekał się niezwykle istotnej zmiany w swoim życiu: zesłany przez rząd Mussoliniego na bezludną wyspę, teraz powrócił do rodzinnego miasteczka. W ciągu kilku najbliższych miesięcy powinien był odbudować swoją opinię w oczach rodaków.

Jednak możliwe też, że wprowadziła go w irytację uroda Guiliana, gdyż Guido Quintana zaliczał się do wyjątkowo szpetnych mężczyzn. Owa szpetota nie brała się z brzydkich, odrażających z natury rysów, lecz wyrabianego przez całe życie nawyku, by całym sobą przeciwstawiać się światu. A może była to nienawiść urodzonego łotra wobec urodzonego bohatera?

Tak czy owak, Quintana wstał i potracił przechodzącego właśnie na drugi koniec stołu Guiliana. Ten, od dzieciństwa wychowany w szacunku dla starszych, grzecznie przeprosił. Guido Quintana zmierzył go od stóp do głów niechętnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie idziesz do domu, by się przespać przed jutrzejszą harówką na kromkę chleba? - zapytał. - Moi przyjaciele już od godziny czekają, żeby pograć w bilard.

Nachylił się, wyjął kij bilardowy z dłoni Guiliana i uśmiechając się niewinnie, odsunął chłopaka od stołu.

Wszyscy to widzieli. Obraza nie była z tych, które wymagałyby krwawej zemsty. Gdyby ten mężczyzna był młodszy, a obraza dotkliwsza, Guiliano musiałby walczyć, aby zachować twarz. Aspanu Pisciotta zawsze miał przy sobie nóż, a teraz ustawił się tak, by zasachować przyjaciół Quintany, gdyby zdecydowali się wkroczyć do akcji. Pisciotta nie żywił szacunku dla starszych od siebie i spodziewał się, że jego kuzyn i przyjaciel honorowo zakończy zajście.

Jednakże Guiliano poczuł się nagle dziwnie nieswojo. Jego przeciwnik wyglądał na zacierzewanego i gotowego do bójki pod byle pozorem. Towarzyszący mu mężczyźni, również starsi ludzie, uśmiechali się rozbawieni, jak gdyby nie mieli

wątpliwości, co za chwilę nastąpi. Jeden z nich nosił strój myśliwego i miał przy sobie broń. Sam Guiliano był bez broni. I przez jedną, pełną wstydu chwilę poczuł strach. Nie obawiał się, że może zostać zraniony lub uderzony, czy też, że ten mężczyzna okaże się od niego silniejszy. Złakł się tego, że ci ludzie wiedzą, co robią, że panują nad sytuacją. On zaś nie. Mogą go zastrzelić na którejś z ciemnych uliczek Montelepre, kiedy będzie wracał do domu, a nazajutrz udawać, że nie mieli z tym nic wspólnego. I dlatego właśnie wrodzony partyzantowi z krwi i kości instynkt podpowiedział mu, że należy się wycofać.

Tak więc Turi Guiliano ujął przyjaciela pod ramię i wyprowadził go z kafejki. Pisciotta poddał się bez oporu, zdumiony, że jego kumpel zrezygnował tak łatwo, lecz wcale nie podejrzewał, że się boi. Wiedział, że Turi jest dobroduszny, założył zatem, że nie chce zranić w bójce człowieka z powodu takiej błażostki. Kiedy ruszyli via Bella do swoich domów, z wnętrza kafejki słyszeli jeszcze stukot kul bilardowych.

Turi Guiliano przez całą noc nie mógł zasnąć. Czyżby naprawdę przestraszył się tego człowieka o odrażającej twarzy i groźnej posturze? Czyżby zaczął się bać, jak mała dziewczynka? Czy wszyscy śmiali się z niego? A co teraz myśli o nim jego najwierniejszy kuzyn, a zarazem przyjaciel, Aspanu? Ze jest tchórzem? Że on, Turi Guiliano, przywódca całej młodzieży z wioski, ten, którego uważano za najsilniejszego i nie znającego strachu, spietrał się przy pierwszej pogróżce prawdziwego mężczyzny? Ale przecież, tłumaczył sam sobie, po co ryzykować wendetę, która może przynieść śmierć, z powodu takiej błażostki jak bilard i nierozumnego grubiaństwa starszego człowieka? Ta sprawa to nie był zwykły zatarg z jakimś innym młokosem. Turi zdawał sobie sprawę, iż zwada byłaby poważna. Wiedział, że ci ludzie to przyjaciele przyjaciół. I tego właśnie się lękał.

Źle spał tej nocy i wstał w ponurym nastroju, tak niebezpiecznym w wypadku bardziej dojrzałego mężczyzny. Sam sobie wydał się śmieszny. Od zawsze, jak większość młodych ludzi, pragnął zostać bohaterem. Gdyby urodził się w innej części Włoch, już dawno zaciągnąłby się do wojska. Lecz jako Sycylijczyk z dziada pradziada nie zgłosił się na ochotnika, a jego ojciec chrzestny, Hector Adonis, dopilnował, by go nie powołano. W dodatku, chociaż włoski rząd sprawował władzę nad Sycylią, to żaden prawdziwy Sycylijczyk nie czuł się Włochem. Poza tym, prawdę mówiąc, rząd wcale się nie kwapił z powoływaniem Sycylijczyków, zwłaszcza w ostatnim roku wojny. Sycylijczycy mieli zbyt wielu krewnych w Ameryce, Sycylijczycy to urodzeni

mordercy i degeneraci, zbyt tępi, by dało się ich wyszkolić w sztuce prowadzenia nowoczesnej wojny, ponadto gdziekolwiek się pojawiali, natychmiast rodziły się problemy.

Wyszedłszy na ulicę, Turi Guiliano poczuł, jak jego ponury nastrój znika pod wpływem pięknego dnia. Złote słońce było zachwycające, powietrze przepęniał aromat drzewek cytrynowych i oliwkowych. Kochał miasteczko Montelepre, jego kręte uliczki, kamienne domy z balkonami ozdobionymi barwnym kwieciami, które wyrastało na Sycylii samo, nie potrzebowało doglądania. Kochał ułożone z czerwonych dachówek dachy, ciągnące się aż po kres miasteczka, zakopanego głęboko w dolinie, skąpane) w promieniach słońca, niczym w czystym złocie.

Wyszukane dekoracje na *fiestę* - ulice obwieszane mnóstwem kolorowych, wykonanych z papier *mache* figurek świętych, domy przystrojone wielkimi, osadzonymi na bambusach kwiatami - wszystko to przesłaniało powszechną nędzę typowego sycylijskiego miasteczka. Spoglądające w niebo, a mimo to wstydliwie ukryte pośród nieregularnych zboczy otaczających je gór, ozdobione girlandami domy o trzech lub czterech pomieszczeniach zamieszkiwali wspólnie mężczyźni, kobiety, dzieci i zwierzęta. W wielu domach nie było kanalizacji, więc nawet tysiące kwiatów i rześkie górskie powietrze nie potrafiły stłumić smrodu rozgrzanych słońcem odchodów.

Przy dobrej pogodzie ludzie wychodzili z domów. Kobiety siadywały na drewnianych krzesłach, wystawionych na brukowane podwórka, tam przygotowywały posiłki, które również spożywano na dworze. Na ulicach bawiły się małe dzieci, goniąc kurczęta, indyki, koźlątko; starsze wyplatały bambusowe koszyki. Przy końcu *via Bella*, nim jeszcze rozplywała się w rynku, stała wzniesiona przed dwoma tysiącami lat przez Greków potężna fontanna - spomiędzy kamiennych zębisk demona tryskała woda. Na górskich stokach wokoło, na terasach, zieleniły się pieczołowicie uprawiane ogródki. Na nizinie poniżej widać było miasteczka Partinico i Castellammare; na horyzoncie majaczyło wzniesione z ciemnokrwistego kamienia mordercze miasteczko Corleone.

Na przeciwległym krańcu *via Bella*, tam gdzie prowadziła ona do drogi wiodącej przez równinę Castellammare, Turi dostrzegł Aspanu Pisciotte prowadzącego małego osiołka. Poczul chwilowy niepokój, jak go Aspanu potraktuje; widział przecież, że go upokorzono wczorajszego wieczoru. Jego przyjaciel sływał z ciętego języka. Czy zrobi

jakąś kąśliwą uwagę? Guiliano znów poczuł falę daremnej wściekłości i przysięgł sobie, że drugi raz nie pozwoli się tak zaskoczyć. Nie bacząc na konsekwencje, pokaże im wszystkim, że nie jest tchórzem. A jednak w jakimś zakamarku umysłu rzeczowo i klarownie oceniał całe zajście. Za plecami Quintany stali jego druhowie, jeden z nich miał fuzję. Byli to przyjaciele przyjaciół i potrafili się mścić. Nie bał się ich, lękał się tylko, że mogą go pokonać; to wydawało się pewne, gdyż mimo że nie byli wcale silni, nadrabiali to okrucieństwem.

- Turi, ten osiołek sam nie da sobie rady. Musimy mu pomóc. - Mówiąc to, Aspanu Pisciotta uśmiechnął się jak zwykle złośliwie i wesoło zarazem.

Guiliano nawet nie silił się na odpowiedź. Zrobiło mu się lżej na duszy, że przyjaciel zapomniał o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Nieodmiennie wzruszało go, że Aspanu, tak surowy i pamiętliwy, jeśli chodzi o potknięcia innych, jego zawsze traktował z wyjątkową serdecznością i szacunkiem. Pomaszerowali ramię w ramię na rynek, osiołek za nimi. Dzieciaki otoczyły ich z przodu i z tyłu, niczym rybki-piloty. Wiedziały, jakie zadanie ma przed sobą osioł, szalały więc z podniecenia. Dla nich miało to być wielkie święto, ekscytująca odmiana w szeregu nudnych letnich dni.

Na rynku wzniesiono małą platformę, wysoką na cztery stopy. Zbudowano ją z kamiennych bloków, wyciętych z okolicznych gór. Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta wpełnęli osła na brudną rampę. Sznurem przywiązali pysk zwierzęcia do żelaznej poprzecznej sztaby. Osiołek usiadł. Wokół oczu i nozdrzy miał plamy białej sierści, co nadawało mu wygląd kłowna. Dzieciarnia otoczyła platformę, śmiejąc się i wiwatując.

- Który z nich to osioł? - zawołał jeden z małych chłopców i wszystkie dzieciaki wybuchnęły śmiechem.

Turi Guiliano, nieświadom, że to ostatni dzień, w którym jest nie znanym nikomu wiejskim chłopakiem, popatrzył w dół ze spokojnym samozadowoleniem człowieka, który znajduje się na właściwym, przeznaczonym mu miejscu. Był na tym niewielkim skrawku ziemi, na którym przyszedł na świat i przeżył wszystkie swoje dni. Świat zewnętrzny nie mógł go zranić. Ulotniło się gdzieś nawet upokorzenie wczorajszego wieczoru. Rysujące się na widnokręgu wapienne góry znał tak dobrze, jak mały szkrab swoją piaskownicę. Góry rodziły kamienne płyty równie łatwo, jak porastającą je trawę. Znajdowały się pośród nich groty i kryjówki, w których mogłaby się schować nawet cała armia. Turi Guiliano znał każdy dom, każde gospodarstwo, każdego

rolnika i wszystkie pozostawione przez Normanów i Maurów zrujnowane zamki, wszystkie ruiny pięknych, obracających się w proch i pył greckich świątyń.

Z drugiego krańca rynku nadchodził wieśniak prowadzący Cudowną Mulicę. To on zatrudnił ich do tej porannej pracy. Nazywał się Papera, a obywatele Montelepre darzyli go niemałym szacunkiem za to, że z powodzeniem dokonał wendety na swoim sąsiedzie. Wadzili się o miedzę, na której rosło drzewko oliwne. Kłótnia ciągnęła się dziesięć lat, ściślej biorąc, trwała dłużej niż wojna, którą Mussolini wydał Sycylii. Wreszcie pewnej nocy, w niedługi czas potem, jak armie alianckie wyzwoliły Sycylię i powołały demokratyczny rząd, znaleziono sąsiada Papery niemal rozwalonego na pół strzałem z lupary, obrzynki, tak powszechnie stosowanej na Sycylii w podobnych wypadkach. Podejrzenia natychmiast padły na Papere, lecz ten zapobiegliwie pozwolił się wcześniej aresztować po zwadzie z karabinierami i noc zbrodni spędził w areszcie w koszarach Bellampo. Rozeszły się pogłoski, iż to pierwszy znak, że stara mafia podnosi głowę, i że Papera - przez małżeństwo spowinowacony z Quintaną - najął przyjaciół przyjaciół, by pomogli zakończyć sąsiedzki spór.

Gdy Papera podprowadził mulicę przed platformę, dzieciaki tak się stłoczyły wokół niej, że musiał łagodnymi przekleństwami i niegroźnymi świśnięciami trzymanego w ręku bata je rozgonić. Smarkateria z łatwością unikała smagnięć, gdyż Papera dobrodusznie wywijał batem w powietrzu ponad jej głowami.

Wyczuwając obecność mulicy, białopyski osiołek szarpnął sznur, który więził go na platformie. Turi i Aspanu unieśli go, a dzieciaki wznosiły radosne okrzyki. Tymczasem Papera ustawił mulicę w taki sposób, by jej zad znalazł się tuż przy krawędzi platformy.

W tej właśnie chwili ze swojego zakładu wyszedł fryzjer Frisella, który też chciał uczestniczyć w zabawie. Tuż za nim kroczył *maresciallo*, nadęty waźniak, pocierając gładko wygolone, czerwone oblicze. Był jedynym mieszkańcem Montelepre, który codziennie się golił. Guiliano nawet z platformy czuł ostry zapach wody kolońskiej, którą balwierz obficie skropił klienta.

Maresciallo Roccofino okiem zawodowca obrzucił zgromadzony na rynku tłum. Jako dowódca miejscowego oddziału policji, liczącego dwunastu ludzi, był odpowiedzialny za porządek i przestrzeganie prawa w miasteczku. Fiesta nieodmiennie oznaczała kłopoty, więc już zawczasu wysłał na rynek czteroosobowy patrol, ten jednak jeszcze się nie pojawił. Roccofino nie spuszczał także oka z

dobroczyńcy miasteczka, Papery, oraz jego Cudownej Mulicy, był bowiem przekonany, że to Papera zlecił zabicie swojego sąsiada. Ci sycylijscy nieokrzeszańcy prędko zaczęli czerpać korzyści ze swoich uświęconych prawem przywilejów. *Maresciallo* pomyślał drwiąco, że szybko zaczną żałować utraty Mussoliniego. Porównując dyktatora do przyjaciół przyjaciół, zaczęła wspominać go tak, jakby był drugim gołębiego serca świętym Franciszkiem z Asyżu.

Fryzjer Frisella był wesółkiem Montelepre. Bezrobotni nie mogący znaleźć pracy przesiadywali w jego zakładzie, opowiadając dowcipy i wysłuchując plotek właściciela. Należał do tych fryzjerów, którzy troszczą się lepiej o samych siebie, niż o klientów. Miał elegancko przystrzyżone wąsiki, napomadowane, starannie wyszczotkowane włosy, jednakże jego twarz przypominała maskę kłowna z teatryku marionetek. Nos jak kartofel, szerokie usta, rozwarte niczym brama, i cofnięta szczęka.

- Turi, przyprowadź swojego zwierzaka do mojego zakładu, to zleję go wodą kolońską! - zawołał. - Osioł pomyśli, że będzie się kochał z samą księżną.

Turi zignorował jego słowa. Kiedy był małym chłopcem, Frisella go strzygł, a robił to tak nieudolnie, iż w końcu zadanie to wzięła na siebie matka Turiego. Lecz Ojciec nadal chodził do Friselli, by się dowiedzieć, co w trawie piszczy i snuć oniemiałym słuchaczom opowieści o Ameryce. Turi Guiliano nie lubił fryzjera, gdyż Frisella był fanatycznym faszystą, a przy tym, jak powiadano, zausznikiem przyjaciół przyjaciół.

Maresciallo zapalił papierosa i ruszył *via Bella*, nawet nie zauważając Guiliana. Tego niedopatrzenia miał gorzko żałować w nadchodzących tygodniach.

Osioł usiłował teraz zeskoczyć z platformy. Guiliano popuścił linę, tak że Pisciotta mógł podprowadzić zwierzę na skraj podwyższenia, na miejsce, pod którym stała Cudowna Mulica. Jej zad znajdował się dokładnie pod platformą. Samica ryknęła donośnie i wypchnęła zad w górę dokładnie w tej samej chwili, w której osioł do niej doskoczył. Objął ją tylnymi- nogami, wykonał kilka konwulsyjnych ruchów i zawisł w powietrzu z komicznym wyrazem satysfakcji na łaciatym pysku. Papera i Pisciotta zanosili się od śmiechu, podczas gdy Guiliano gwałtownie pociągnął za sznur i na powrót przywiązał osłabłe zwierzę do żelaznej sztaby. Tłum wiwatował i wykrzykiwał błogosławieństwa. Dzieciaki już się rozbiegły po ulicach w poszukiwaniu następnej rozrywki.

- Gdybyśmy wszyscy mogli wieść życie osłów, ech, co by to był za raj - powiedział wciąż rozbawiony Papera.

- Panie Papera - odciął się bez szacunku Aspanu - niech pan pozwoli mi włożyć na pański grzbiet bambus, kosze z oliwkami i przegnać siebie osiem godzin dziennie po górskich ścieżkach. Tak wygląda ośle życie.

Wieśniak popatrzył na niego krzywo. Zrozumiał, iż jest to przytyk, że tak niewiele zapłacił im za wykonaną pracę. Nigdy nie lubił Pisciotty i, prawdę mówiąc, zlecił tę robotę Turiemu. Wszyscy mieszkańcy Montelepre go lubili. Jednakże z Pisciotta to zupełnie inna sprawa. Miał niewyparzony ózór i był leniwy. Próżniak. To, że słabował na płuca, nie stanowiło żadnej wymówki. Palił nałogowo papierosy, uganiał się za dziwkami w Palermo i stroił jak dandys. A ten wyszukany wąsik na francuską modłę! Niech się zakaszle na śmierć i idzie do diabła ze swoją gruzlicą, rozmyślał Papera. Wręczył im dwa tysiące lirów - Guiliano podziękował za nie z całym uszanowaniem - a potem popędził mulicę ku drodze wiodącej do swojej wioski. Dwaj młodzieńcy odwiązali osła i ruszyli w stronę domu Guiliana. Praca zwierzęcia dopiero się zaczęła; czekało go o wiele mniej przyjemne zadanie.

Matka Guiliana przygotowała dla obu chłopców wczesny obiad. Dwie siostry Guiliana, Mariannina i Giuseppina, pomagały matce przyrządzać makaron na wieczorny posiłek. Na pokrytej szelakiem drewnianej stolnicy zagniotły jajka i mąkę w ogromną bryłę. Potem nożem przecięły ciasto na krzyż, by je pobłogosławić. Następnie Mariannina i Giuseppina pokrajały ciasto na paski, które owijały wokół źdźbeł trawy sizalowej; później ją wyciągały, by w środku makaronu zrobiła się dziurka. Pokój zdobiły ogromne misy oliwek i winogron.

Ojciec Turiego pracował w polu, ale dziś miał przed sobą krótki dzień roboczy, gdyż chciał po południu uczestniczyć w fieście. Nazajutrz miały się odbyć zaręczyny Marianniny, więc w domu rodziny Guilianów szykowano wielkie przyjęcie.

Turi zawsze był najukochańszym dzieckiem Marii Lombardo Guiliano. Siostry pamiętały, że matka codziennie go kąpała w niemowlęctwie. Cynową wanienkę pieczolowicie ogrzewano na piecu, matka sprawdzała łokciem temperaturę wody, z Palermo sprowadzano specjalne mydelko. Siostry, z początku zazdrosne, potem nie mogły oderwać oczu od matki, z taką czułością myjącej małego golaska. Turi jako dziecko nigdy nie płakał, wciąż gulgotał zanosząc się śmiechem, gdy matka gruchała nad nim i w kółko powtarzała, że ma tak śliczne ciało. Najmłodszy w rodzinie, wyrósł na silnego chłopaka. I zawsze wydawał się siostronom trochę odmieńcem. Czytał książki i rozprawiał o polityce. Oczywiście nigdy nie omieszkało przypomnieć, że swój wzrost

i wyjątkową urodę zawdzięcza temu, iż został poczęty w Ameryce. Ale kochano go za jego delikatność i dobroć.

Tego ranka kobiety martwiły się o Turiego, toteż z pełnym miłości niepokojem przypatrywały się, jak je chleb z owczym serem, oliwki z pólmyska, i popija kawę z cykorii. Wraz z Aspanu, gdy tylko skończą posiłek, mieli popędzić osła do Corleone i przeszmyglować stamtąd z powrotem potężny krąg sera oraz trochę szynki i kiełbasy. Turi zrezygnował z udziału w feście jedynie dlatego, by sprawić radość matce i uświetnić zaręczyny siostry. Część dóbr odsprzeda się z zyskiem na czarnym rynku, co zasili rodzinną kasę.

Wszystkie trzy kobiety uwielbiały obserwować obu chłopców razem. Przyjaźnili się od najwcześniejszych lat; choć tak diametralnie się różnili, byli sobie bliżsi niż bracia. Śniady Aspanu Pisciotta, z cienkim wąsikiem gwiazdora filmowego, o niezwykle mimicznej twarzy, lśniących ciemnych oczach i kruczoczarnych włosach na małej głowie, pełen dowcipu, zawsze urzekał niewiasty. A przecież w jakiś niepojęty sposób jego buńczuczność gasła przy spokojnej urodzie Turiego, potężnie zbudowanego, przypominającego starożytne greckie posągi, rozsiane po całej Sycylii. Miał lekko smagłą cerę, piwne oczy i brązowawe włosy. Zawsze opanowany, poruszał się jednak zdumiewająco szybko. Kiedy spoglądał komuś prosto w oczy, opuszczał lekko powieki, a na jego twarzy pojawiał się niewzruszony niczym maska wyraz niewinnej szczerości.

Podczas gdy Pisciotta zabawiał Marię Lombardo, Turi poszedł na pięterko do swojego pokoju, by przygotować się do wyprawy, jaka ich czekała. A przede wszystkim, by wyjąć ze skrytki pistolet. Pamiętając upokorzenie z ubiegłego wieczoru, postanowił się uzbroić przed zadaniem, które miał tego dnia wypełnić. Umiał strzelać, ojciec często zabierał go na polowania.

W kuchni już czekała matka, by go pożegnać. Przytuliła syna i wyczuła zatknięty za pasek pistolet.

- Turi, uważaj na siebie - poprosiła wystraszona. - Nie wdawaj się w kłótnię z karabinierami. Jeśli cię zatrzymają, oddaj im wszystko, co będziesz wiozł.

- Mogą zabrać towar. Ale nie pozwolę się zbić czy zaciągnąć do więzienia - zapewnił ją Guiliano.

To mogła zrozumieć. Jej okrutny sycylijski honor kazał jej być dumną z syna. Wiele lat temu identyczna duma i gniew, że muszą biedować, sprawiły, iż przekonała

męża, by rozpoczęli nowe życie w Ameryce. Była marzycielką, wierzyła w sprawiedliwość i własne, słusznie jej należne miejsce w świecie. W Ameryce zaoszczędziła małą fortunę, toteż ta sama duma była powodem, iż zdecydowała się powrócić na Sycylię, gdzie zamierzała wieść królewskie życie. I wtedy wszystko obróciło się w perzynę. W czasie wojny lir stracił wartość i znowu stała się biedna. Pogodziła się z losem, wierzyła jednak w swoje dzieci. Taka była szczęśliwa, gdy okazało się, że Turiego, jak niegdyś ją samą, przepelnia ten sam duch dumy i gniewu. Lękała się jednak dnia, w którym syn nieuchronnie będzie musiał wejść w konflikt z surową rzeczywistością sycylijskiej egzystencji.

Patrzyła za nim, jak szedł wybrukowaną kocimi łbami *via* Bella na spotkanie Aspanu Pisciotty. Jej syn, Turi, stąpał niczym kot, miał szerokie bary, a ramiona i nogi tak muskularne, że Aspanu przy nim wydawał się wątki niczym źdźbło szałowej trawy. Był wprawdzie przebiegły jak lis, tej chytryści brakowało jej synowi, ale w odwadze Pisciotty czaiło się okrucieństwo. Aspanu będzie chronił Turiego przed zdradzieckim światem, w którym im wszystkim przyszło żyć. I chociaż miała słabość do oliwkowej urody Aspanu, uważała, że jej syn jest przystojniejszy.

Obserwowała, jak idą w górę *via* Bella, prowadzącą z miasteczka w dolinę Castellammare. Jej syn, Tun Guiliano, i syn jej siostry, Gaspare Pisciotta. Dwaj młodzi, zaledwie dwudziestoletni mężczyźni, którzy wyglądają na jeszcze młodszych. Kochała ich obu i bała się o nich.

Wreszcie dwaj mężczyźni i ich osiołek zniknęli za wzniesieniem ulicy, ona jednak nie odwracała wzroku, aż pojawili się ponownie, wysoko nad Montelepre. Wchodzili na grzbiety wzgórz otaczających miasteczko. Maria Lombardo Guiliano wciąż patrzyła, jak gdyby nigdy więcej nie miała ich ujrzeć. Wreszcie rozplynęli się w przedpołudniowej mgle, która spowijała szczyty gór. Zniknęli, by ponownie pojawić się jako legenda.

Rozdział trzeci

Na Sycylii we wrześniu 1943 roku ludzie mogli przetrwać jedynie handlując na czarnym rynku. Ścisłe racjonowanie żywności ciągnęło się jeszcze od wojny, rolnicy musieli po ustalonych cenach, za papierowe, prawie bezwartościowe pieniądze odstawić produkty rolne do rządowych magazynów. W zamian rząd miał rozdzielać i odsprzedawać ową żywność po niskich cenach wśród ludności. Przy takim systemie każdy otrzymywałby tyle, aby starczyło mu na przeżycie. W rzeczywistości rolnicy ukrywali, co tylko mogli, gdyż okazało się, iż rządowymi magazynami zawiaduje don Croce Malo i jego zarządcy, którzy cały towar przerzucają na czarny rynek. W tej sytuacji ci sami ludzie musieli się tam zaopatrywać i łamać prawo o zakazie szmuglu - po prostu po to, by przetrwać. Jeżeli zostali na tym przyłapani, stawiano ich przed sądem i skazywano na więzienie. Jakież więc był pożytek z powstałego w Rzymie demokratycznego rządu? Cóż z tego, że mogli głosować, skoro przymierali głodem.

Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta bez wahania zdecydowali się złamać obowiązujące przepisy. To Pisciotta nawiązał kontakty na czarnym rynku i zaaranżował całą wyprawę. Umówił się z pewnym rolnikiem, że przesznuje krąg sera ze wsi do czarnorynkowego sprzedawcy w Montelepre. Jako zapłatę mieli otrzymać cztery wędzone szynki i kosz kielbas, dzięki czemu przyjęcie zaręczynowe siostry Turiego przerodzi się w wielką ucztę. Łamali dwa Paragrafy - jeden zakazujący handlowania na czarnym rynku, i drugi, dotyczący szmuglowania żywności z jednej prowincji Włoch do drugiej. Nie było takiej siły, która powstrzymałaby czarnorynkowy handel: władze musiałyby wsadzić za kratki wszystkich mieszkańców Sycylii. Jednakże szmugiel to zupełnie inna sprawa. Patrole policyjne, karabinierzy, przeczesywały wioski, ustawiały blokady na drogach, opłacały informatorów. Oczywiście nie zatrzymywały konwojów don Croce, który korzystał z amerykańskich ciężarówek i legitymował się specjalnymi, wydawanymi przez wojsko przepustkami. Mogli wszakże schwytać w swoje sieci wielu drobnych farmerów i głodujących wieśniaków. Dotarcie do gospodarza zajęło im cztery godziny. Guiliano i Piciotta zabrali krąg sera i inne dobra i załadowali je na grzbiet osłów Towar przysłonili trawą sizalową i tyczkami bambusa, tak żeby i' wydawało, iż po prostu wiozą paszę dla bydła, hodowanego w obejściach wielu rolników. Chłopców cechowały beztroska i

pewność siebie właściwe młodzieńcom, a prawdę mówiąc, niemal dzieci kom, które skrywają przed oczami rodziców swoje skarby, a samo oszustwo przynosi im satysfakcję. Ich ufność brała się z tego, znali potajemne ścieżki, prowadzące przez góry.

Kiedy ruszyli w długą drogę do domu, Guiliano wysłał Pisciotta przodem, by ten wypatrywał karabinierów. Ustalili, że w razie niebezpieczeństwa będą w umówiony sposób gwizdać. Osiołek bez trudu niósł ser i zachowywał się posłusznie - nagrodę bowiem otrzymał jeszcze przed wyruszeniem w podróż. Wędrowali już tak dwie godziny, wspinając się pod górę, nim spostrzegli pierwszą oznakę zagrożenia. Guiliano zorientował się, że ich śladem podąża karawana złożona z sześciu mułów i mężczyzna na koniu. Jeżeli inni szmuglerzy znali tę drogę, to równie dobrze mogą o niej wiedzieć karabinierzy i ustawić blokadę. Przewornie polecił Pisciotcie, by wysforował się daleko w przód.

Po godzinie dołączył do Aspanu, który siedział na głazie, palił papierosa i kaszłał. Nie powinien palić. Turi przysiadł obok, aby odpocząć. Jedną z najsilniejszych więzi, łączących ich od dzieciństwa, była ta, że nigdy nie usiłowali narzucać sobie wzajem swojej woli, toteż Turi nie odezwał się ani słowem. Wreszcie Aspanu zgniótł papierosa, a peta o poczeriałym końcu wsunął do kieszeni. Ruszyli w dalszą drogę, Guiliano prowadził osła za uzdę, Aspanu szedł przodem.

Kroczyli górską ścieżynką, która omijała drogi i wioski, jednakże od czasu do czasu natykali się na starożytne greckie zbiorniki, gdzie woda tryskała z pokruszonych ust antycznych figurek, ruiny normańskich zamczysk, które wiele wieków temu zagradzały drogę potencjalnym najeźdźcom. Turi Guiliano znowu zaczął dumać nad przeszłością i przyszłością Sycylii. Pomyślał o swoim ojcu chrzestnym, Hectorze Adonisie, który obiecał przybyć po fiestie i przygotować go do egzaminów na uniwersytet w Palermo. A kiedy tylko wspomniał ojca chrzestnego, natychmiast poczuł dojmujący smutek. Hector Adonis nigdy nie przyjedzie na fiestę. Pijani mężczyźni zaczną wyśmiewać jego niepozorny wzrost, dzieciaki niektóre wyższe od niego, będą go obrażać. Turi zadumał się nad Bogiem, który uczyniwszy człowieka karłem, wynagrodził go wspaniałym umysłem. Chłopak uważał bowiem Hectora Adonisa najmądrzejszego człowieka na świecie i kochał go za życzliwość, jaką ten darzył jego rodziców i jego samego.

Pomyślał o ojcu, w pocie czoła uprawiającym ich splachetek ziemi, i o siostrach, noszących podniszczone suknie. Jakie to szczęście, że Mariannina była tak piękna, że mimo biedy i niespokojnych czasów zdołała znaleźć kandydata na męża! Jednakże najbardziej martwił się o matkę, Marię Lombardo. Już jako dziecko pojął, że jest zgorzkniała i nieszczęśliwa. Zakosztowała - soczystego owocu Ameryki, toteż nigdy więcej nie zazna szczęścia w dławionych ubóstwem miasteczkach Sycylii. Ojciec opowiadał o tamtych wspaniałych czasach, a wtedy matka wybuchała płaczem.

Turi Guiliano marzył, że to on odmieni los rodziny. Będzie ciężko pracował, uczył się z całych sił i zostanie wielkim człowiekiem, jak jego ojciec chrzestny.

Ani się spostrzegł, gdy już mijali skupisko drzew, jeden z niewielkich zagajników, jakie ostały się w tej części Sycylii, na której teraz zdawały się wyrastać jedynie wielkie białe głazy i kamieniołomy marmurów. Gdy przejdą na drugą stronę góry i zaczną schodzić ku Montelepre, będą musieli się mieć na baczności przed wszędobyłskimi patrolami karabinierów. Teraz zbliżali się do Quattro Moline, czyli Skrzyżowania Czterech Dróg; tutaj zresztą także należało zachować nieco ostrożności. Guiliano pociągnął osła za uzdę i gestem poprosił Aspanu, by się zatrzymał. Stanęli w milczeniu. Do ich uszu nie dobiegł żaden niepokojący dźwięk, jedynie monotonne buczenie niezliczonych owadów rojących się nad ziemią, brzęczenie ich odnóży i skrzydełek przypominało daleki odgłos piłowania drewna. Po chwili ruszyli w dalszą drogę i wkrótce bezpiecznie zniknęli z widoku w kolejnym zagajniku. Turi Guiliano ponownie zaczął śnić na jawie.

Drzewa rozstały się nagle, jak gdyby odepchnięte w tył, i chłopcy zaczęli pokonywać niewielką otwartą przestrzeń. Ziemię zaścielały tu drobne kamyczki, porastały ścięte pędy bambusa i źdźbła ostrej jak brzytwa trawy. Późnopołudniowe słońce zachodziło daleko przed nimi; wydawało się takie blade i zimne nad granitowymi wierzchołkami gór. Trochę dalej ścieżka zacznie zakolami prowadzić w dół, do Montelepre. Nagle coś wyrwało Guiliana z jego marzeń. Jakiś błysk światła, niczym płomień zapalonej zapalniczki, przeniknął po jego lewym oku. Szarpnął osiłka i położył dłoń na plecach Aspanu.

Zaledwie trzydzieści jardów przed nimi z krzaków wyłonili się obcy mężczyźni. Było ich trzech, Turi zobaczył sztywne wojskowe czapki, czarne mundury z białymi lampasami. Poczul mdlący, bezsensowny przyływ rozpacz, wstydu, że dał się łapać. Trzech karabinierów zbliżało się ku nim z bronią gotową do strzału. Dwóch było

jeszcze młodziami, o ogorzałych, lśniących twarzach, a sztywne czapki niemal komicznie zsunęli tył głowy. Wydawali się dobrodusznymi, a mimo to złowrodzy, tak celowali do nich z pistoletów maszynowych.

Mężczyzna w środku był starszy i uzbrojony w karabin, dziobatą po ospie, pobrużdżoną twarz, a czapkę nasunął głęboko na czoło. Na jego rękawach widniały naszywki sierżanta. Błysk, który oślepił Turiego, był odbiciem promienia słonecznego od stalowej lufy karabinu. Sierżant uśmiechał się drwiąco, karabin trzymał wycelowany prosto w pierś Guiliana. Ten właśnie uśmiezek sprawił, że rozpacz Turiego przerodziła się we wściekłość.

Sierżant z karabinem postąpił naprzód, kompani szli po jego bokach. Teraz Turi Guiliano wystraszył się. Nie obawiał się wszakże dwóch młodych karabinierów z pistoletami; ci beztrąsko podeszli do osła i niezbyt poważnie potraktowali aresztantów. Gestem nakazali, by Guiliano i Pisciotta odsunęli się od zwierzęcia, a jeden z nich zatknął pistolet za pas, gdy zabrał się zrywania bambusowego kamuflażu z grzbietu osła. Kiedy ujrzał towar, gwizdnął ze złośliwą uciechą. Nie zwrócił uwagi na to, że Aspanu podkrada się ku niemu. Zauważył go jednak sierżant z karabinem.

- Ty, z wąsem, w tył - rozkazał.

Aspanu zbliżył się do Turiego Guiliana.

Sierżant podszedł bliżej. Guiliano nie spuszczał z niego wzroku. Dziobata twarz wyglądała na zmęczoną, wszakże oczy tego człowieka załśniły złowieszczo, kiedy powiedział:

- No cóż, młodzieńcy, to wspaniały kawał sera. Posypiemy nim w naszych koszarach makaron. Podajcie nam tylko nazwisko tego wieśniaka, od którego dostaliście towar, a pozwolimy wam wrócić razem z osłem do domu.

Nic na to nie odpowiedzieli. Karabinier czekał, ale oni milczeli dalej.

Wreszcie przemówił Guiliano spokojnym głosem:

- Jeśli puści nas pan wolno, wynagrodzę to panu tysiącem lirów.

- Swoim tysiącem lirów możesz sobie podetrzeć tyłek - obruszył się sierżant. - Pokazać dokumenty. Jeśli nie będą w porządku, wyduszę z was gówno i nimi także się podetrzecie.

Bezczelny ton tych słów, grubiaństwo owych czarno-białych mundurowych wzbudziły w Turim lodowatą furię. W tej właśnie chwili zrozumiał, że nigdy nie pozwoli się aresztować, nie dopuści, by ci ludzie ograbili jego rodzinę z żywności.

Wyjął swój dowód i ruszył w stronę sierżanta. Miał nadzieję usunąć się z pola rażenia wycelowanej broni. Doskonale wiedział, że jest zwinniejszy niż większość ludzi, toteż postanowił zaryzykować. Jednakże skierowana w jego stronę lufa sprawiła, że się cofnął. Karabinier rozkazał:

- Rzuć to na ziemię!

I Guiliano usłuchał jego rozkazu.

Pisciotta, stojący o pięć kroków od przyjaciela i doskonale świadom, co Turiemu chodzi po głowie i że ma on pod koszulą ukryty pistolet, usiłował odwrócić uwagę sierżanta. Z wyszukaną nonszalancją, pochylając się do przodu, przyłożył dłoń do noża, schowanego w pochwie wiszącej u paska.

- Sierzancie, jeżeli podamy wam nazwisko rolnika, po co wam nasze dowody tożsamości? Układ to układ. - Umilkł na chwilę i dodał ironicznie: - Wiemy doskonale, że karabinierzy zawsze dotrzymują słowa. - Słowo „karabinierzy” wypłynęło z nienawiścią.

Człowiek z karabinem ruszył w stronę Pisciotty, po czym zatrzymał się. Uśmiechnął się i opuścił broń.

- No, mały eleganciku, twój dowód. A może nie masz papierów. Tak jak twój osioł, który ma za to efektowniejsze od ciebie wąsy.

Dwaj młodzi policjanci parsknęli śmiechem. W oczach Pisciotta błysnęła wściekłość. Postąpił ku sierżantowi.

- Nie, nie mam papierów. I nie znam żadnego rolnika. Towar znaleźliśmy na drodze.

Pogardliwy ton jego słów nie odniósł skutku. Pisciotta chciał, by policjant podszedł bliżej, na odległość ciosu nożem, sierżant jednak odskoczył parę kroków w tył i ponownie się uśmiechnął:

- *Bastinado* wytłucze z was trochę tej sycylijskiej beczelności. - Po chwili dodał: - Wy dwaj, na ziemię.

Bastinado oznaczało katowanie za pomocą pejczy i pałek. Guiliano znał kilku obywateli Montelepre, których w ten sposób zmasakrowano w koszarach Bellampo.

Do domów wrócili z połamanymi kolanami, głowami opuchniętymi do rozmiarów melonów i z odbitymi wnętrznościami, tak że już nigdy nie mogli podjąć pracy. Tego karabinierzy nie zdołają z nim zrobić. Guiliano przyklęknął na jedno kolano, jak gdyby zamierzał się położyć, jedną ręką wsparł się o ziemię, a drugą położył na pas, tak że mógł błyskawicznie wyciągnąć zza pazuchy pistolet. Prześwit skąpany był teraz w miękkim, mglistym świetle zapadającego zmierzchu słońce daleko, za drzewami, opadało za ostatni szczyt. Spostrzegł, że Pisciotta stoi dumnie, odmawiając wykonania komendy. Przecież z pewnością nie zastrzeli go za kawałek szmuglowanego sera. Widział, jak pistolety drżą w dłoniach młodych policjantów.

W tej chwili za ich plecami rozległo się ryczenie mułów i stukot kopyt, a na otwartą przestrzeń wypadła karawana, którą Guiliano spotkał na drodze po południu. Prowadzący ją mężczyzna na koniu miał przewieszoną przez ramię luparę; w ciężkiej skórzanej kurtce wydawał się ogromny. Zeskoczył na ziemię i z jednej z kieszeni wyjął potężny plik lirów. Zwrócił się do sierżanta z karabinem:

- A więc tym razem pochwyciliście parę drobnych płotek.

Bez wątpienia znali się już wcześniej. Po raz pierwszy karabinier stracił swoją służbistość, by przyjąć podsunięte mu banknoty Mężczyźni uśmiechali się do siebie. Zdawało się, że wszyscy zapomnieli o aresztantach.

Turi Guiliano podkraśl się ostrożnie do najbliższego z karabinierów. Pisciotta ukradkiem wycofywał się w stronę najbliższych bambusowych zarośli. Guiliano zdzielił strażnika ramieniem, powalając go na ziemię.

- Uciekaj! - krzyknął do Pisciotty.

Pisciotta zanurkował w bambusowy gąszcz, a Guiliano puścił się biegiem w kierunku drzew. Drugi strażnik był tak ogłupiały albo tak ślamazarny, że nie zdążył na czas wyszarpnąć pistoletu. Guiliano który już dopadał bezpiecznego lasu, poczuł nagły przypływ triumfu. Rzucił się szczupakiem w powietrze, by zanurkować między dwa potężne drzewa, które miały mu dać osłonę. I wyciągnął pistolet zza pazuchy.

Nie mylił się, uznając faceta z karabinem za najgroźniejszego. Sierżant upuścił plik banknotów na ziemię, błyskawicznie wycelował broń i z zimną krwią wystrzelił. Nie było wątpiwości, iż trafił. Guiliano upadł niczym martwy ptak.

Usłyszał huk wystrzału w tej samej chwili, kiedy jego ciało poraził straszliwy ból, jak gdyby ktoś wymierzył mu cios gigantyczną pałą. Upadł na ziemię między dwoma drzewami, usiłował się dźwignąć, ale nie mógł. Nogi nie chciały go słuchać, nie zdołał

nimi poruszyć. Z pistoletem w dłoni obrócił się i ujrzał, jak sierżant triumfalnie wymachuje nad głową karabinem. I wtedy Guiliano poczuł, że spodnie ma przesiąknięte krwią, ciepłym i lepkiem płynem.

W ułamku sekundy, nim pociągnął za spust pistoletu, czuł tylko zdumienie. Strzelano do niego z powodu kawałka sera. Zmiażdżono jego, podporę rodziny, z tak okrutną bez troską jedynie dlatego, że uciekał po popełnieniu drobnego wykroczenia, którego wszyscy codziennie się dopuszczali. Matka będzie płakać aż po kres swoich dni. A on ma ciało skąpane w krwi, on, który nigdy nikomu nie uczynił najmniejszej krzywdy.

Pociągnął za spust i zobaczył, że karabin opada, że czarna czapka z białą lamówką sierżanta wylatuje w górę, a on sam, śmiertelnie raniony w głowę, zwija się i wali na kamienistą ziemię. Wydawało się niemożliwe, by kula z pistoletu dosięgła człowieka na taką odległość, Guiliano jednak odniósł wrażenie, że to jego własne ramię powędrowało wraz z nią i niczym sztylet przeszło oko sierżanta.

Teraz rozległ się grzechot pistoletu maszynowego, lecz kule trafiały w powietrze pod bezpiecznym kątem, świergocąc niczym małe ptaszki. A potem zapadła martwa cisza. Nawet owady zaj stały swojego nieustannego buczenia.

Turi Guiliano przeturlał się w krzaki. Zobaczył twarz wroga zamienioną w krwawą maskę, i to napełniło go nadzieją. Nie jest bezsilny. Ponownie spróbował się podnieść i tym razem nogi go usłuchały. Zaczął biec, ale zdumiał się, że tylko jedna noga wyrywa się w przód, druga zaś wlecze się po ziemi. W kroku czuł ciepłą lepkość, spodnie miał przesiąknięte krwią, wzrok zamazany. Kiedy przebiegł niespodziewanie przez plamę jasności, przestraszył się, że znowu zablądził na tamtą otwartą przestrzeń, i usiłował zawrócić. Wtedy zaczął upadać - nie upadać na ziemię, lecz osuwać się w bezkresną, zabarwioną czerwienią czarną otchłań, i zrozumiał, że zapada się tam na wieczność.

Na przełęczu młody policjant zdjął palec ze spustu pistoletu maszynowego i terkotanie ustało. Szmugler podniósł się z ziemi z wielkim plikiem banknotów i wyciągnął go w stronę drugiego z karabinierów. Ten wycelował w niego i powiedział:

- Jesteś aresztowany.

- Teraz możecie podzielić to tylko na dwóch - oświadczył szmugler. - Puśćcie mnie wolno.

Policjanci spojrzeli na ciało sierżanta. Nie ulegało wątpliwości, że był martwy. Kula rozwalila oko i oczodół na miążgę, z rany wypływał żółty płyn, do którego gekon zwoływał już swoich pobratymców.?

- Ruszę za tamtym w krzaki. Przyniosę jego trupa, a wtedy wy dwaj zostaniecie bohaterami - kusił przemytnik. - Tylko mnie puśćcie.

Drugi policjant podniósł z ziemi dowód, upuszczony przez Turiego na rozkaz sierżanta.

- Salvatore Guiliano z Montelepre - przeczytał na głos.

- Nie ma zatem potrzeby go szukać - orzekł jego towarzysz. - Musimy złożyć raport w komendzie, to ważniejsze.

- Tchórze - rzucił szmugler. Przez chwilę rozważał, czy nie sięgnąć po luparę, lecz oni spojłali na niego z nienawiścią. Obrazil ich.

Za tę zniewagę kazali mu załadować ciało sierżanta na konia i popędzili wraz z sobą do koszar. Wcześniej zabrali szmuglerowi broń. Byli tak bojaźliwi, że miał tylko nadzieję, iż nie zastrzelą go przez pomyłkę, jeśli się czegoś przestraszą. Reszta była mu obojętne. Świetnie znał *maresciallo* Roccofina z Montelepre. Już przedtem robili interesy, więc i tym razem dobijają targu.

Przez cały ten czas żaden z nich nie poświęcił nawet jednej myśli Pisciotcie. Lecz ten słyszał każde ich słowo. Leżał w głębokiej trawiastej rozpadlinie, z nożem w pogotowiu. Czekał, aż ruszą pościg za Turim Guilianem; zamierzał zaatakować któregoś z nich poderżnąć mu gardło i zabrać broń. W jego duszy czaiło się okrucieństwo, które wyeliminowało wszelki strach przed śmiercią, toteż kiedy do jego uszu dotarło, że przemytnik obiecuje dostarczyć zwłoki Turiego, wyrwał sobie twarz tego mężczyzny na zawsze w pamięci. Niemal żałował, że zostawili go samotnego w górach. Przeszyło go ukłucie wściekłości, kiedy przywiązywali jego osła na końcu karawany mułów.

Wiedział jednak, że Turi jest ciężko ranny i potrzebuje pomocy. Okrążył zatem przełęcz i wbiegł do zagajnika z tej strony, gdzie zniknął przyjaciel. W zaroślach go nie znalazł, zaczął więc biec w dół ścieżką, którą tu przyszli.

Nie natrafił na żaden ślad, póki nie wspiął się na ogromną granitową przełęcz, opadającą ku niewielkiej kotlinie. Tam, w skalnym zagłębieniu, ujrzał jeziorko niemal czarnej krwi, a na kamiennym zboczu smugi krwi jaskrawoczerwonej. Ruszył co tchu

w tamtą stronę i nagle natknął się na ciało Turiego, rozciągnięte w poprzek ścieżki. Guiliano wciąż zaciskał dłoń na śmiercionośnym pistolecie.

Pisciotta przykląkł, wyjął mu pistolet z ręki i wetknął sobie za pas. W tej chwili Turi otworzył oczy. Rozjarzyły się straszliwą nienawiścią, lecz wzrok padał gdzieś poza Aspanu. Pisciotta niemal zapłakał z ulgi i usiłował dźwignąć przyjaciela na nogi, lecz nie miał dość sił.

- Turi, postaraj się wstać, pomogę ci - poprosił.

Guiliano oparł się rękami o ziemię i uniósł ciało. Pisciotta objął przyjaciela w pasie i poczuł na dłoni ciepłą wilgoć. Cofnął rękę i odsunął koszulę Guiliana. Ku swemu przerażeniu ujrzał w boku Turiego ogromną, ziejącą dziurę. Oparł go o drzewo, ściągnął własną koszulę i wepchnął ją w ranę, by zatamować upływ krwi; rękawy obwiązał wokół pasa. Jednym ramieniem objął wpół przyjaciela, a potem wolną dłonią chwycił jego lewą rękę i uniósł wysoko w górę. Pomogło to im utrzymać równowagę, kiedy ostrożnie, uważając na każdy krok, sprowadzał Guiliana ścieżką. Z daleka wyglądali, jak gdyby tańczyli razem, schodząc zboczem.

W ten sposób Turiego Guiliana ominęła fiesta ku czci świętej Rozalii, fiesta, po której mieszkańcy Montelepre spodziewali się, iż sprowadzi cud na ich miasteczko.

Ominęły go zawody strzeleckie, które z całą pewnością by wygrał. Nie zobaczył wyścigów konnych, w których dżokeje okładali rywali po głowach pałkami i pejcami. Nie widział purpurowych żółtych i zielonych fajerwerków, jakie eksplodowały i rozjarzały usiane gwiazdami niebo.

Nigdy nie posmakował cudownych łakoci, ulepionych z marcepanu na kształt marchewek, pędów bambusa i czerwonych pomidorów, tak słodkich, że po ich zjedzeniu omdlewał, ani cukrowych figurek legendarnych rycerzy: Rolanda, Oliwiera i Karola Wielkiego - ich miecze lśniły rubinami i szmaragdami z kawałków owoców. Dzieci zabierały te figurki, by pomarzyć o nich przed snem A w domu bez niego odbyło się przyjęcie zaręczynowe jego siostry.

Sparzenie osła i Cudownej Mulicy nie udało się. Nie przyszło na świat potomstwo. Obywatele Montelepre byli rozczarowani. Dopiero wiele lat później mieli dowiedzieć się, że fiesta przyniosła cud w postaci młodego człowieka, który trzymał osiołka.

Rozdział czwarty

Opat dokonywał wieczornego obchodu franciszkańskiego klasztoru, poganiając swoich leniwych, nie niewartych mnichów, by zarobili na chleb powszedni. Sprawdził zawartość skrzynek w warsztacie produkującym dewocjonaalia, odwiedził piekarnię, zaopatrującą w ogromne, chrupkie bochny chleba pobliskie miasteczka. Odwiedził ogród i zajrzał do koszy wypełnionych po brzegi oliwkami, pomidorami i winogronami, obejrzał zadrapania na aksamitnych skórkach owoców. Mnisi krzżeli się niczym pracowite skrzaty - chociaż nie tak wesoło. Prawdę mówiąc, była to wielce ponura trzódka, nieprzejawiająca najmniejszej radości, płynącej ze służenia Bogu. Ojciec przełożony wyciągnął spod sutanny długie czarne cygaro i rozpoczął wędrówkę wokół przyklasztornej ziemi, by zaostrzyć sobie apetyt przed wieczornym posiłkiem.

Wtedy to właśnie spostrzegł Aspanu Pisciottę wlokącego Turiego Guiliana przez klasztorną furtę. Furtian usiłował ich zawrócić, ale Pisciotta przystawił pistolet do jego głowy z wygoloną tonsurą, więc braciszek padł na kolana, odmawiając ostatnie modlitwy. Pisciotta złożył zakrwawione, na wpół martwe ciało u stóp opata.

Opat był wysokim, wychudzonym człowiekiem, o subtelnej, choć nieco małpiej twarzy, drobnokościstej, z guzikowatym noskiem i niewielkimi piwnymi oczami. Chociaż miał siedemdziesiąt lat, był pełen wigoru, cieszył się sprawnym i bystrym umysłem, jak w dawnych czasach przed Mussolinim, kiedy to pisywał wytworne listy z żądaniami okupu na prośbę porywaczy z mafii, która go wynajęła.

Obecnie zaś, choć wszystkim - zarówno wieśniakom, jak i władzom - wiadomo było, że jego klasztor to kwatery główna czarnorynkowych przedsiębiorców i przemytników, nikt nigdy nie niepokoił go z powodu tej nielegalnej działalności. Zawdzięczaj to szacunkowi dla świętego powołania i przekonania wiernych, że należy mu się jakaś materialna nagroda za duchowe przewodnictwo społeczności.

Tak więc opat Manfredi nie przestraszył się, kiedy ujrzał dwóch wiejskich zakrwawionych kundli, wdzierających się na terytorium poświęcone świętemu Franciszkowi. Dobrze zresztą znał Pisciotta Korzystał z usług tego młodzieńca przy okazji kilku przemytniczych i czarnorynkowych operacji. Łączyła ich identyczna, cicha przebiegłość, co zresztą obu ich zachwyciło - Aspanu zdumiał się odkrywając tę cechę u

człowieka tak wiekowego i świątobliwego jak opat - u kogoś tak młodego i nieokrzesanego.

Ojciec przełożony uspokoił furtiana, po czym zwrócił się do Pisciotty:

- Cóż, mój drogi Aspanu, w jakież to popadłeś tarapaty?

Pisciotta mocniej zacisnął koszulę wokół rany Guiliana. Opat zdziwił się, spostrzegłszy, że Aspanu twarz ma ściągniętą ze zmartwienia i bólu, nie sądził bowiem, że chłopak jest zdolny do takich uczuć.

Pisciotta, ujrawszy ponownie ogromną ranę, był przekonany, że jego przyjaciel umiera. Jak zdoła przekazać tak straszną wieść matce i ojcu Turiego? Obawiał się cierpienia Marii Lombardo. Ale teraz musi załatwić o wiele ważniejszą sprawę, a mianowicie, przekonać opata, by udzielił Turiemu schronienia w swoim klasztorze.

Popatrzył mu prosto w oczy. Pragnął przekazać w ten sposób przesłanie, które nie byłoby bezpośrednią groźbą, lecz powinien dać zakonnikowi do zrozumienia, że w razie odmowy zyska śmiertelnego wroga.

- To mój kuzyn i najdroższy przyjaciel, Salvatore Guiliano odezwał się. - Jak ojciec widzi, przydarzyło mu się nieszczęście, niebawem karabinierzy zaczną przeczesywać góry w poszukiwaniu Turiego. I w pogoni za mną. Ojciec jest naszą jedyną nadzieją. Błagam, proszę nas ukryć i posłać po doktora. Proszę to dla mnie uczynić, a będzie miał ojciec we mnie dozgonnego przyjaciela.

- Szczególny nacisk położył na słowo „przyjaciel”.

Ani jedna sylaba nie uszła uwagi opata. Doskonale zrozumiał. Słyszał już o Turim, tym młodym, dzielnym chłopaku, cieszącym się wielkim szacunkiem, w Montelepre, wyśmienitym strzelcu i myśliwym, ponad wiek dojrzałym. Nawet przyjaciele przyjaciół bacznie obserwowali go jako potencjalnego rekruta. Sam wielki don Croce, podczas którejś z towarzyskich i handlowych wizyt w klasztorze wspomniał o nim opatowi jako o kimś, nad kim opieka może przynieść znaczne korzyści. Lecz przypatrzwszy się bacznie nieprzytomnemu chłopakowi, zakonnik był niemal pewien, że bardziej mu jest potrzebny grób niż schronienie i ksiądz z ostatnim namaszczeniem niż lekarz. Niewiele zatem ryzyka niesło ze sobą spełnienie prośby Pisciotty; przechowywania ciała zmarłego nawet na Sycylii nie uważano za przestępstwo. Nie chciał wszakże dać poznać Aspanu, że przysługa, jaką już prawie zdecydował się mu wyświadczyć, ma tak niewielką wartość.

- Ale dlaczego was szukają?

Pisciotta zawahał się. Gdyby opat się dowiedział o zabiciu policjanta, mógłby odmówić kryjówki. Z drugiej jednak strony, jeżeli nie będzie przygotowany na rewizję, która niewątpliwie nastąpi, przez zaskoczenie mógłby ich zdradzić. Zdecydował się wyznać całą prawdę. Uczynił to bardzo szybko.

Ojciec przełożony opuścił wzrok ze smutkiem, że następna duszyczka przepadła w piekle, a także, by baczniej obejrzeć nieprzytomnego Guiliana. Przez obwiązaną wokół jego pasa koszulę przesączała się krew. Może biedak umrze podczas tej rozmowy i cały problem rozwiąże się sam.

Opata, jako franciszkanina, przepelniało chrześcijańskie miłosierdzie, lecz w tych straszliwych czasach musiał dobrze rozważać praktyczne i materialne konsekwencje swoich miłosiernych uczynków. Jeżeli udzieli schronienia, a chłopak wyzionie ducha, on może na tym co nieco zyskać. Władze zadowolą się ciałem, zaskarbi sobie na wieki wdzięczność rodziny. Jeżeli zaś Guiliano się wylize, jego wdzięczność będzie jeszcze cenniejsza. Człowiek, który mimo straszliwej rany potrafił utrzymać w dłoni pistolet i zabić karabiniera, był kimś, u kogo warto mieć dług wdzięczności.

Oczywiście mógł wydać obu tych prostaków policji, która szybko się z nimi rozprawi. Lecz jaką ten czyn przyniesie korzyść? Władze nie pójda mu bardziej na rękę niż dotychczas. Rejon, nad którym sprawują kontrolę, jest dla niego bezpieczny. Po drugiej stronie barykady potrzebuje jednak przyjaciół. Zdradzenie dwóch młodzianków zyskałoby mu wyłącznie wrogów wśród wieśniaków, płonąca po kres świata nienawiść obu rodzin. Opat nie był takim głupcem, by sądzić, że habit uchroni go przed wendetą, jaka bez wątpienia by później nastąpiła, wyczytał to zresztą w myślach Pisciotty. Tego młodego człowieka, który zajdzie daleko, nim wstąpi na prowadzącą do piekła drogę. No tak, nigdy nie należy lekceważyć nienawiści Sycylińczyków. Prawdziwi chrześcijanie ośmielą się znieważyć figurki Matki Boskiej, wszakże gdy zagotuje się w nich krew z zemsty, zdolni są zastrzelić samego papieża gdyby złamał omertę - starodawną, tradycyjną znowę milczenia wobec jakiegokolwiek władzy. W tym kraju, gdzie stoją niezliczone figury Jezusa, nikt nie wierzy w przykazanie o nadstawieniu drugiego policzka. W tej przeklętej ziemi przebaczenie równa się ucieczce tchórza. Chłop sycylijski nie zna pojęcia miłosierdzia.

Jedno wszak było pewne. Pisciotta nigdy go nie wyda. Podczas którejś z drobnych szmuglerek opat sprawił, że Pisciottę aresztowano i przesłuchiowano. Śledczy, oficer

policii bezpieczeństwa z Palermo, nie któryś z tych karabinierów o zakutych łbach wpierw był uprzejmy, potem groził. Jednak ani przebiegłość, ani okrucieństwo nie potrafiło wzruszyć Pisciotty. Milczał jak głaz. Śledczy wypuścił go i zapewnił opata, że temu chłopakowi można powierzyć bardziej odpowiedzialne zadania. Od tej pory ojciec przełożony zachował w swoim sercu specjalne miejsce dla Aspania Pisciotty i zawsze odmawiał modlitwę za jego duszę.

Opat włożył dwa palce w ściągnięte, kościste usta i gwizdnął. Przybiegli mnisi i zakonnik polecił im przenieść Guiliana do odległego skrzydła klasztoru, do jednego ze specjalnych pomieszczeń, gdzie wcześniej ukrywał dezertersów, synów bogatych wieśniaków, chłopaków, którzy odmówili wstąpienia do włoskiej armii podczas wojny. Potem wysłał jednego z mnichów do oddalonego zaledwie o pięć mil wioski San Giuseppe Jato po doktora.

Pisciotta przysiadł na brzegu łóżka i ujął przyjaciela za rękę. Rana przestała krwawić, Turi Guiliano otworzył oczy, lecz zasnuwała je mgiełka. Pisciotta, na granicy płaczu, bał się odezwać. Otarł złane potem czoło przyjaciela, którego skóra nabrała niebieskawego odcienia.

Lekarz przybył po godzinie, a widząc po drodze hordy karabinierów przeczesujących góry, nie zdziwił się, że jego przyjaciel, opat, wzywa go do rannego. Guzik go tamci obchodzili; kto zważałby na policję i rząd? Opat to brat Sycylińczyk w potrzebie. I zawsze w niedzielę przysyła mu kosz jaj, beczułkę wina na Boże Narodzenie i jagnię na Wielkanoc.

Doktor zbadał Guiliana i opatrzył ranę. Kula przeszła brzuch i prawdopodobnie rozerwała wnętrzności, bez wątplenia także uszkodziła wątrobę. Młody człowiek stracił mnóstwo krwi, miał upiorny wygląd, skórę sinoblada, a wokół ust białą obwódkę. Doktor doskonale wiedział, że to pierwsze oznaki zbliżającej się śmierci.

Westchnął i zwrócił się do opata:

- Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy. Krwotok ustał, lecz chłopak stracił więcej niż jedną trzecią krwi, a to zwykle fatalnie rokuje. Trzymajcie go w ciepłe i dajcie mu odrobinę mleka, zostawię wam trochę morfiny. - Z żalem spojrzął na muskularne ciało Guiliana.

- Co mam powiedzieć jego ojcu i matce? - szepnął Pisciotta. - Czy ma jakiegokolwiek szansę?

Doktor ponownie westchnął.

- Przekaż im, co uznasz za stosowne. Ale ta rana jest śmiertelna. Chłopak ma silny organizm, więc może pociągnie jeszcze parę dni, lepiej jednak nie żywić zbyt wielkich nadziei. - Dostrzegł rozpacz w oczach Pisciotty i przelotny błysk ulgi na twarzy opata, więc dodał z ironicznym humorem: - Oczywiście w tym świętym miejscu zawsze może zdarzyć się cud.

Opat i lekarz wyszli. Pisciotta nachylił się nad przyjacielem, by otrzeć mu pot z czoła, i ze zdziwieniem spostrzegł w jego oczach jakby cień kpiny. Turi miał ciemnopiwnie tęczę, lecz otaczała jej srebrna obwódka. Pisciotta nachylił się niżej. Turi Guiliano coś szeptał, mówienie przychodziło mu z największym trudem.

- Przekaż matce, że wrócę do domu - polecił. A potem dodał coś, czego w następnych latach Pisciotta nigdy nie miał zapomnieć. Niespodziewanie wyciągnął rękę i chwycił Aspanu za głowę. Uścisk był silny, nie były to dłonie człowieka stojącego nad grobem. - Bądź mi posłuszny - rozkazał Guiliano.

Hector Adonis przyjechał do Montelepre nazajutrz, od razu i otrzymaniu wezwania od rodziców Guiliana. Rzadko korzystał ze swojego domu w tym miasteczku. We wczesnych latach młodości znienawidził miejsce, w którym się urodził. A już szczególnie unikał fiesty. Dekoracje zawsze wprawiały go w przygnębienie ich jaskrawe barwy zdawały mu się jakąś złowrogą maską, skrywającą nędzę osady. Podczas fiesty też nieodmiennie go upokarzano - podpici mężczyźni kpili z jego niskiego wzrostu, kobiety obrzucały go rozbawionymi, pogardliwymi uśmieškami.

Nie miało znaczenia, że posiadał o wiele większą od nich wiedzę. Na przykład byli dumni, że każda rodzina maluje swoje domy na ten sam kolor co jej ojcowie i dziadowie. Nie mieli pojęcia, że kolor domostw zdradza ich pochodzenie, krew, jaką odziedziczyli wraz z domami po przodkach. Wieki temu Normanowie malowali domy na biało, Grecy nieodmiennie sięgali po błękit, Arabowie po rozmaite odcienie różu i czerwieni. A Żydzi po żółć. Teraz wszyscy; uważali się za Włochów i Sycylijczyków. Przez tysiąc lat krew ta się wymieszała, iż nie sposób było poznać właściciela domu po rysach, a jeśli powiedziałbyś właścicielowi żółtej posiadłości, że miał żydowskich przodków, dźgnąłby cię nożem w brzuch.

Aspanu Pisciotta mieszkał w białym domu, chociaż wyglądem przypominał Araba. Guilianowie zajmowali błękitną posiadłość i twarz Turiego była naprawdę grecka, chociaż ciało krzepkie i mocno zbudowane jak u Normanów. Najwyraźniej

jednak cała krew mieszała się w coś dziwnego i niebezpiecznego, co uczyniło z chłopaka prawdziwego Sycylijczyka i sprawiło, że Adonis pojawił się tego dnia w Montelepre.

Via Bella z obu końców obstawiały dwuosobowe patrole karabinierów o wykrzywionych złośliwym grymasem twarzach i z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Rozpoczął się drugi dzień fiesty, lecz ta część miasteczka okazała się niezwykle opustoszała, a na ulicach nie widziało się dzieci. Hector Adonis zaparkował samochód na wąskim chodniku przed domem Guiliana. Dwaj karabinierzy patrzyli podejrzliwie do chwili, gdy wysiadł; wtedy, widząc jego niepozorny wzrost, uśmiechnęli się z rozbawieniem.

To Pisciotta otworzył mu drzwi i wprowadził do środka. Matka i ojciec Guiliana czekali na niego w kuchni, na stole stało śniadanie - kielbasa, chleb i kawa. Maria Lombardo była spokojna, gdyż kochany Aspanu zapewnił ją, iż jej syn wyzdrowieje. Była bardziej wściekła niż przestraszona. A ojciec Guiliana wydawał się raczej dumny niż zmartwiony. Jego syn okazał się mężczyzną; przeżył, Pisciotta po raz kolejny opowiedział całą historię, tym razem z humorem, który miał podnieść słuchaczy na duchu. Pomniejszył znaczenie rany Guiliana i zlekceważył własny bohaterski wyczyn, jakim było zniesienie Turiego do klasztoru. Ale Hector Adonis zdawał sobie sprawę, że dla tak wątłego chłopaka taskanie przez trzy mile po nierównym terenie ciężko rannego musiało być nie lada wysiłkiem - Pisciotta także zbyt szybko prześliznął się nad opisem rany przyjaciela. Adonis spodziewał się najgorszego.

- Skąd karabinierzy się dowiedzieli, że mają go tutaj szukać? - spytał.

Pisciotta wyjaśnił, że zażądali od Guiliana dowodu.

Matka zaczęła lamentować.

- Dlaczego Turi nie oddał im sera? Dlaczego musiał walczyć?

- A jak byś chciała, żeby postąpił? Miał im wydać tego biednego wieśniaka? Na wieki okryłby hańbą naszą rodzinę.

Hectora Adonisa uderzyła sprzeczność tych uwag z charakterem wypowiadających je osób. Wiedział, że matka Turiego jest o wiele silniejsza i bardziej zawzięta od ojca. A jednak to ona żałowała, że syn nie dał za wygraną, podczas gdy jej mąż rzucił wyzwanie. A Pisciotta, ten mały Aspanu - któż mógłby przypuścić, że okaże się tak dzielny, by uratować towarzysza i przeprowadzić go w bezpieczne miejsce! I że

teraz kłamie jak z nut, by uspokoić rodziców, iż ich syn wcale nie został poważnie ranny.

- Gdyby tylko nie oddał im dowodu tożsamości, nasi przyjaciele mogliby przysiąc, że widzieli go wtedy tutaj, w miasteczku - odezwał się ojciec Guiliana.

- I tak by go aresztowano - powiedziała z przekonaniem matka.

Zaczęła płakać. - Teraz będzie musiał zamieszkać w górach.

- Musimy się upewnić, że opat nie wyda go policji - rzekł Hector Adonis.

Pisciotta rzucił szybko:

- Nie ośmieli się. Wie, że wtedy powiesiłbym go w jego własnym habicie.

Adonis zmierzył Aspanu przeciągłym spojrzeniem. W tym młodzieńcu czaiło się jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo. Pomyślał; że niemądrze byłoby nadepnąć temu chłopakowi na odcisk. Policjanci nigdy nie rozumieją, że - do pewnego stopnia bezkarnie - można poniżyć starszego człowieka, którego i tak już upokorzyło samo życie, zatem nie bierze sobie do serca drobnych uszczypliwości ze strony bliźnich, ale młody człowiek uzna coś takiego za śmiertelną obrazę.

Oczekiwano tu pomocy od Adonisa, który już w przeszłości wspierał Turiego. Hector odezwał się:

- Jeżeli policja dowie się o miejscu jego pobytu, opat nie będzie miał wyboru. Z oczywistych powodów sam też nie znajduje się poza podejrzeniami. Sądzę zatem, że, za waszym przyzwoleniem, najlepiej będzie poprosić mojego przyjaciela, don Croce Malo, by wstawił się u opata.

Wszyscy prócz Pisciotty zdumieli się na wieść, że Adonis zna wielkiego don Croce. Aspanu uśmiechnął się do profesora porozumiewawczo, Hector jednak odezwał się do niego ostrym tonem:

- A ty co tutaj robisz? Rozpoznają cię i aresztują. Mają twój rysopis.

- Tych dwóch policjantów ze strachu narobiło w portki - prychnął pogardliwie Pisciotta. - Nie rozpoznaliby własnych matek. A ja mogę przedstawić kilkunastu świadków, którzy przysięgną, że wczoraj byłem w Montelepre.

Hector Adonis przybrał swój najbardziej przekonujący, profesjonalny ton, zwracając się do rodziców Turiego:

- Nie możecie nawet próbować odwiedzić syna czy zdradzić komukolwiek, nawet najdroższym przyjaciółom, gdzie on jest. Policja ma wszędzie donosicieli i szpiegów. Aspanu odwiedzi Turiego w nocy. Jak tylko będzie go można przenieść, załatwię, by mógł zamieszkać w innym miasteczku, póki tutaj sprawa nie przycichnie. Potem, dzięki niewielkiej sumie, da się wszystko uładzić i Turi będzie mógł wrócić do domu. Mario, nie zamartwiaj się o syna, dbaj o swoje zdrowie. A ty, Aspanu, informuj mnie o wszystkim.

Uściskał matkę i ojca Turiego. Kiedy wychodził, Maria Lombardo wciąż płakała.

Miał teraz wiele do zrobienia - przede wszystkim musiał zamienić słówko z don Croce i upewnić się, że kryjówka Turiego pozostanie bezpieczna. Dzięki Bogu, rząd w Rzymie nie wyznaczył nagrody za informację o zabójstwie policjanta, w przeciwnym razie opat sprzedałby Turiego równie łatwo, jak handlował święci relikwiami.

Turi Guiliano leżał bez ruchu na łóżku. Słyszał opinię doktora, że jego rana jest śmiertelna, lecz nie mógł uwierzyć w to, że umiera. Zdawało mu się, że jego ciało unosi się w powietrzu, wolne od bólu i strachu. Nigdy nie umrze. Nie zdawał sobie sprawy, że taką euforię powoduje duży wpływ krwi.

We dnie opiekował się nim jeden z mnichów, poił go mlekiem. Wieczorami przybywał opat z lekarzem. Nocami odwiedzał przyjaciela Pisciotta, trzymał go za rękę i doglądał w ciągu długich, złowrogich godzin ciemności. Po upływie dwóch tygodni doktor oznajmił, że stał się cud.

Turi Guiliano siłą woli sprawił, że jego ciało zaczynało zdrowieć, odtwarzać utraconą krew, zrastały się poszarpane stalową kulą wnętrzności. A w euforii spowodowanej wpływem krwi marzył o przyszłej chwale. Poczul się w jakiś nowy sposób wolny, jakby nie mogło go już dłużej pętać nic, z czym się do tej pory liczył. Nie będą go więcej ograniczać ani ustawy państwowe, ani jeszcze ostrzejsze sycylijskie prawo rodzinne. Teraz mógł się ważyć na każdy czyn; to ta krwawa rana sprawiła, iż stał się niewinny. A wszystko dzięki temu, iż jakiś tępy karabinier postrzelił go za kawałek sera.

Przez tygodnie rekonwalescencji cały czas wyobrażał sobie dni, kiedy to on i przyjaciele z miasteczka zgromadzą się na rynku w oczekiwaniu na ekonomów z wielkich majątków ziemskich, zwanych *gabellotti*, którzy gnali ich do codziennej harówki za głodową płacę i pogardliwie urągali, żeby albo brać, co dają, albo obejść

się smakiem. Postępowali tak, jak było to w zwyczaju ludzi mających wszelką władzę. Plony dzielili tak niesprawiedliwie, że po roku ciężkiej pracy każdy zostawał bez środków do życia. Wszechmocna ręka władzy karała biednych, a wolno puszczała bogaczy.

Jeżeli on, Turi, wyliże się z ran, przysięga, że dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. Już nigdy nie będzie bezsilnym chłopcem, zdany na łaskę losu. Uzbroi się, zarówno fizycznie jak i psychicznie. Nigdy nie stanie bezradnie przed światem, jak kiedyś przed Guido Quintaną, a potem przed policjantem, który do niego strzelił. Młodzieniec, niegdysiejszy Turi Guiliano, przestał istnieć.

Pod koniec miesiąca doktor zalecił dalszy odpoczynek, ale i trochę ruchu, toteż Guiliano przywdział mnisi habit i przechadzał się po klasztornym terenie. Opat polubił młodego człowieka i często mu towarzyszył, opowiadając o swoich młodzieńczych podróżach do dalekich krajów. Przyjaźń ojca przełożonego wcale się nie zmniejszyła, kiedy Hector Adonis przesłał mu pewną sumkę, by pomodlił się w intencji ubogich, i kiedy don Croce powiadomił go osobiście, że interesuje się tym młodym człowiekiem.

Co do Guiliana, zadziwiło go życie mnichów. Na wsi, gdzie ludzie prawie przymierali głodem i gdzie najmici sprzedawali swój pot za pięćdziesiąt centów dniówki, zakonnicy świętego Franciszka mieli się jak królowie. Klasztor rzeczywiście był ogromną i bogatą posiadłością.

Uprawiali sad cytrynowy, wszędzie rosły przysadziste drzewka oliwne, tak wiekowe, jak sam Chrystus. Mieli niewielką plantację bambusów i masarnię, w której przerabiali mięso z własnych stad owiec i z hodowli świń. Niezliczone kurczęta i indyki plątały się po całym przyklasztornym terenie. Mnisi codziennie jedli spaghetti z mięsem, popijali domowe wino z własnych przepastnych piwnic i handlowali na czarnym rynku tytoniem, który palili jak sam szatan.

Ale przecież ciężko pracowali. W ciągu dnia uwijali się boso, w habitach podkasanych nad kolana, pot spływał im z czoł. Na wygolonych w tonsurę głowach dla ochrony przed słońcem nosili powyginane w dziwaczne kształty czarne i brązowe amerykańskie filcowe kapelusze, które opat za beczułkę wina pozyskał od pewnego kwatermistrza wojsk rządowych. Mnisi wkładali i fantazyjnie, każdy na swój sposób, niektórzy opuszczali kresy w dół, niczym gangsterzy, inni podwijali runda w górę i taj|

tworzyli schowki na papierosy. Opat znienawidził w końcu te kapelusze i zabronił ich noszenia, chyba że ich właściciele do pracy w polu.

Po upływie następnego miesiąca Guiliano stał się kompanem braciszków. Ku zdumieniu opata uwijał się bez wytchnienia na polach starszym mnichom pomagał odnosić ciężkie kosze owoców i oliwek do magazynów. Odzyskując zdrowie, upajał się pracą, uwielbiał się popisywać swoją krzepą. Obładowywano go całym stosem koszy, a pod nim nigdy nie ugięły się kolana. Opat był z niego dumny i powiedział mu, że może tu zostać tak długo, jak zechce, a wtedy stanie się prawdziwie bożym człowiekiem.

Przez cztery tygodnie Turi był szczęśliwy. Mimo wszystko wywinał się śmierci, a w jego głowie roiło się od marzeń i cudów. Cieszył się też z towarzystwa starego opata, który obdarzył go absolutnym zaufaniem i odkrył przed nim sekrety klasztoru. Starzec wyjawiał, że wszystko, co wytwarza się w tym miejscu, trafia bezpośrednio na czarny rynek, nie zahaczając nawet o rządowe magazyny. Wszystko prócz wina, które mnisi wykorzystują na własne potrzeby. Po nocach odbywa się hazard na wielką skalę i pijaństwo, przemycane są nawet kobiety, lecz on, ojciec przełożony, przemyka na to wszystko oczy.

- Mamy ciężkie czasy - prawil. - Obiecana nagroda w niebiesiech jest zbyt odległa, ludzie teraz muszą zaznać radości. Bóg im wybaczy.

Pewnego deszczowego popołudnia opat pokazał Turiemu inne skrzydło klasztoru, które przeznaczono na magazyn. Zapełniały go relikwie sporządzone przez doborowy zespół starych mnichów. Opat, jak każdy handlarz, znów narzekał na ciężkie czasy.

- Przed wojną to był świetny interes - westchnął. - Ten magazyn nigdy nie był zapełniony nawet w połowie. A popatrz tylko, jakie tu mamy święte skarby. Ości ryby rozmnożonej przez Chrystusa. Laskę, którą podpira! się Mojżesz w drodze do Ziemi Obiecanej. - Przerwał i rozbawiony popatrzył na osłupiałą minę Guiliana. Potem na jego wychudłej twarzy pojawił się chytry uśmieszek. Kopnąwszy okazały stos drewnianych patyków, powiedział niemal wesoło: - To nasz najlepszy produkt. Setki drzazg z krzyża naszego Pana. A tu, w skrzyniach, to relikwie po wszystkich świętych, jakich tylko możesz sobie przypomnieć. Na Sycylii nie ma domu, w którym nie znalazłaby się relikwia jakiegoś świętego. A w specjalnym składziku mamy zamkniętych trzynaście ramion świętego Andrzeja, trzy głowy Jana Chrzciciela i siedem szat Joanny d'Arc. W zimie nasi braciszki wędrują od wioski do wioski, sprzedając owe skarby.

Turi Guiliano zaniósł się śmiechem, a opat uśmiechał się do niego. Guiliano jednak myślał przy tym, że biednego każdy zawsze wystrychuje na dudka, robią to nawet ci, którzy wskazują mu drogę do zbawienia. To następny istotny fakt, który powinien zapamiętać.

Opat pokazał mu przepastną balię, wypełnioną medalikami pobłogosławionymi przez kardynała Palermo, trzydziestoma przepaskami, jakie Jezus miał na sobie w chwili śmierci, i dwiema Czarnymi Madonnami. A wtedy Guiliano przestał się śmiać. Wyjaśnił opatowi, że posążek Czarnej Madonny ma jego matka i że jest on jej skarbem, od czasu gdy była małą dziewczynką; że od pokoleń przechowywano tę figurkę w jego rodzinie. Czy możliwe, iżby to było fałszerstwo? Opat życzliwie poklepał go po ramieniu i wyjaśnił, że w klasztorze od wieków z dobrego oliwnego drewna wykonuje się te repliki. Uspokoił też Guiliana, że mają one swoją wartość, gdyż niewiele ich wyrzeźbiono.

Ojciec przełożony nie widział najmniejszej szkody w zawierzeniu mordercy nieszkodliwych grzeszków świątobliwych mężów, A przecież uporczywe, pełne dezaprobaty milczenie Guiliana zaniepokoiło go.

- Pamiętaj - rzekł na swoją obronę - że jesteśmy ludźmi, którzy swoje życie poświęcili Bogu, ale musimy egzystować na świecie pełnym takich, którzy nie wierzą w nagrodę w niebiesiech. My też mamy rodziny, musimy je wspierać i chronić. Wielu z naszych braciszków pochodzi z rodzin biedaków, o których wiemy, że są solą naszej ziemi. Nie możemy pozwolić naszym siostronom i braciom, naszym bratankom i kuzynom, by w tych ciężkich czasach głodowali. Sam Kościół Święty potrzebuje naszej pomocy, by bronić się przed potężnymi wrogami. Komuniści i socjaliści, błędzący liberałowie... musimy przeciwko nim walczyć, a to kosztuje! Jakąż pociechą dla Matki naszej, Kościoła, są wierni! Dzięki temu, że pragną naszych relikwii, mamy pieniądze na walkę z niewiernymi i zaspokojenie potrzeb naszych owieczek. Gdybyśmy nie wspomagali wiernych, przepuściliby swoje pieniądze na hazard, wino i ladacznice. Chyba się ze mną zgadzasz?

Guiliano z ironicznym uśmiechem kiwnął głową. Było dla niego czymś niesłychanym spotkać takiego mistrza hipokryzji. Opata zirytował ów uśmieszek; spodziewał się większej wdzięczności po człowieku, któremu udzielił schronienia i wyciągnął śmierci spod kosy. Wdzięczność i szacunek nakazywałyby właściwą, pełną

falszywego uszanowania reakcję. Ten przemytnik, ten morderca, ten *peasant*, pan Turi Guiliano, powinien okazać więcej zrozumienia, więcej chrześcijańskiego ducha.

- Nie zapominaj, że prawdziwa wiara opiera się na skromnej wierze w cuda - upomniał go surowo opat.

- Jasne - zgodził się Guiliano. - I ufam całym sercem, że ojca powołaniem jest pomóc odnaleźć nam tę wiarę. - Nie powiedział tego złośliwie, raczej w przyływie wesołości, szczerze pragnąc zadowolić swojego dobrodzieja. Tyle tylko zdołał uczynić, by nie wybuchnąć niepohamowanym śmiechem.

Opat ucieszył się i cała jego przyjaźń dla Turiego wróciła. To znakomity kompan, od paru miesięcy cieszył się z jego towarzystwa, a jakąż otuchą napawała myśl, że ten człowiek jest jego dozgonnym dłużnikiem! I przecież to nie żaden niewdzięcznik; już wszak zademonstrował, że ma szlachetne serce. Codziennie, każdym słowem i uczynkiem, okazywał ojcu przełożonemu swój szacunek i wdzięczność. Nie miał zatwardziałego serca człowieka wyklętego przez prawo. Co stanie się z takim chłopakiem w dzisiejszej Sycylii, pełnej donosicieli, nędzy, bandytów i niepoprawnych grzeszników? No cóż, rozmyślał opat, ktoś, kto raz zamordował, może dopuścić się tego samego przy byle okazji. Ojciec przełożony zdecydował, iż don Croce powinien sprowadzić Turiego Guiliana na właściwą drogę życia.

Pewnego dnia, gdy Turi Guiliano odpoczywał w łóżku, odwiedził go dziwny gość. Opat przedstawił go jako ojca Beniamina Malo, najserdeczniejszego przyjaciela, a potem zostawił ich samych.

Ojciec Beniamin rzekł z troską w głosie:

- Drogi młodzieńcze, mam nadzieję, że twoja rana już się zagoiła. Świętobliwy opat mówił mi, że to prawdziwy cud.

- Łaska boska - zgodził się grzecznie Guiliano, a ojciec Beniamin pochylił głowę, jak gdyby to on sam, osobiście, otrzymał błogosławieństwo.

Guiliano przypatrywał mu się uważnie. Był to zakonnik, który nigdy nie pracował na polach. Skraj jego habitu był czysty, Pulchna twarz zbyt blada, dłonie za miękkie. Lecz minę miał świętobliwą; pokorną i pełną chrystusowej rezygnacji, chrześcijańskiej pokory.

Ojciec Beniamin znów przemówił łagodnym głosem:

- Mój synu, wysłucham twojej spowiedzi i podam ci komunię świętą. Uwolniony od grzechu, będziesz mógł wyjść na świat z czystym sercem.

Turi Guiliano bacznie przyglądał się duchownemu, który tak subtelnie okazywał swoją władzę.

- Proszę mi wybaczyć, ojcze - powiedział. - Nie odczuwam jeszcze skruchy i postąpiłbym niegodnie, gdybym się teraz wyświadał. Ale dziękuję za błogosławieństwo.

Zakonnik skinął głową.

- No cóż, pogłębi to twój grzech. Mam jednak dla ciebie inną propozycję, może bardziej praktyczną życiowo. Mój brat, don Croce, wysłał mnie tutaj, bym spytał, czy nie zechciałbyś poszukać schronienia u niego w Villabie. Dostawałbyś, rzecz jasna, sowite wynagrodzenie, a musisz wiedzieć, że władze nigdy nie ośmielą się ciebie nagabywać, kiedy znajdziesz się pod jego ochroną.

Guiliano zdumiał się, że wieść o jego uczynku dotarła do takiego człowieka jak don Croce. Zrozumiał, że musi się mieć na baczności. Pogardzał mafią i nie chciał wpaść w jej sieć.

- To wielki zaszczyt. Dziękuję ojcu i dziękuję ojca bratu. Jednak muszę porozumieć się z moją rodziną, powinienem honorować życzenia moich rodziców. Toteż proszę pozwolić, że na razie odrzucę wspinałomyślną propozycję ojca.

Spostrzegł, że zakonnik jest zaskoczony. Któż na Sycylii odrzuciłby protekcję wielkiego don Croce? Dodał więc:

- Możliwe, że za parę tygodni zmienię zdanie i pojawię się w Villabie.

Ojciec Beniamin odzyskał ducha. Uniósł dłonie w geście błogosławieństwa.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, mój synu. W domu mojego brata zawsze będziesz mile widzianym gościem. - Uczynił znak krzyża i wyszedł.

Turi Guiliano rozumiał, że najwyższa pora opuścić klasztor. Kiedy wieczorem odwiedził go Aspanu Pisciotta, poinstruował go, jakie przyjaciel ma poczynić przygotowania, by pomóc mu wrócić do zewnętrznego świata. Spostrzegł, że podobnie jak on zmienił się również jego przyjaciel. Pisciotta nie obruszył się ani nie zaprotestował, kiedy otrzymał polecenia, które, o czym doskonale wiedział, mogły przewrócić jego życie do góry nogami. Wreszcie Guiliano powiedział:

- Aspanu, możesz iść ze mną lub zostać ze swoją rodziną. Rób to, co ci serce podpowiada.

Pisciotta uśmiechnął się.

- Czy sądzisz, że pozwolę, by tobie przypadła cała uciecha i sława? Że pozwolę ci, byś sam żył w górach, kiedy od dziecka razem się bawiliśmy i pracowali? Dopiero wtedy, gdy wolny wrócisz do Montelepre, pójdę tam z tobą. Więc nie gadaj więcej głupot. Przyjdę po ciebie za cztery dni. Muszę mieć trochę czasu, by spełnić wszystkie twoje polecenia.

Następne cztery dni Pisciotta spędził niezwykle pracowicie. Już wcześniej wytropił przemytnika, który ofiarował się ścigać rannego Guiliana. Nazywał się Marcuzzi. Powszechnie się go obawiano, zajmował się przemytem na wielką skalę, działał pod ochroną don Croce i Guida Quintany. Jego noszący to samo nazwisko stryj był jednym z potężnych przywódców mafii.

Pisciotta dowiedział się, że Marcuzzi odbywa regularne wyprawy z Montelepre do Castellammare. Znał nazwisko rolnika, u którego szmugler przechowywał muły, i kiedy zobaczył, że zwierzęta spędzono z pola i przyprowadzono do stodoły w pobliżu miasteczka, zrozumiał, iż nazajutrz Marcuzzi wyprawi się w drogę. O świcie Pisciotta zaczął się przy trasie, którą, według jego informacji, miał obrać Marcuzzi, i czekał. Zabrał luparę; miał ją, jak wielu Sycylijczyków, w domu. Prawdę mówiąc, ta śmiercionośna broń była tutaj tak powszechna i tak często po nią sięgano, by zabić przeciwnika, że kiedy Mussolini oczyszczał Sycylię z mafii, polecił, aby wszystkie kamienne murki zburzono do wysokości trzech stóp, tak by zabójcy nie mogli wykorzystywać ich do zasadzek.

Pisciotta postanowił zabić Marcuzziego nie tylko dlatego, że przemytnik ofiarował się pomóc policji w dobieciu rannego Guiliana, lecz również i z tego powodu, że przechwalał się tym uczynkiem przed przyjaciółmi. Zabijając przemytnika, Aspanu ostrzeże wszystkich, żeby czasem nie wpadło im do głowy wydanie Turiego. Poza tym potrzebował broni, w którą, jak wiedział, będzie wyposażony Marcuzzi.

Nie musiał długo czekać. Marcuzzi, prowadzący nieobjuczone muły, gdyż udawał się do Castellammare, by tam na czarnym, rynku zaopatrzyć się w towar, nie zachowywał najmniejszej ostrożności. Jechał na pierwszym mule w dół górską ścieżką, a strzelbę miał przewieszoną przez ramię, miast trzymać ją w pogotowiu. Kiedy ujrzał Pisciottę zagradzającego mu drogę, nawet się nie przestraszył. Przed sobą

widział tylko szczupłego chłopca z cienkim wąsikiem dandysa, chłopca, którego uśmiech go zirytował. Dopiero kiedy Pisciotta wyciągnął zza pazuchy luparę, Marcuzzi stał się czujny.

- Pomyliłeś się, zmierzam nie w tę stronę. Teraz jadę tylko po towar. A te muły są pod ochroną przyjaciół przyjaciół. Bądź rozsądny i znajdź sobie innego klienta - burknął.

- Chcę tylko twojego życia - wyjaśnił łagodnie Pisciotta. Uśmiechnął się okrutnym uśmiechem. - Kiedyś zdarzył się dzień, w którym zapragnąłeś stać się bohaterem w oczach policji. Pamiętasz? To było parę miesięcy temu.

Marcuzzi pamiętał. Niby to odruchowo zawrócił muła, by Pisciotta nie widział jego ręki. Wsunął dłoń pod kurtkę, za pas, i wyciągnął pistolet. Jednocześnie chwycił lejce zwierzęcia, aby zająć pozycję dogodną do strzału. Ostatnim, co ujrzał, był uśmiech Pisciotty, kiedy strzał z lupary strącił go z siodła i rzucił w tył.

Chłopak z wyrazem satysfakcji na twarzy stanął nad ciałem i wystrzelił powtórnie w głowę Marcuzziego; potem wyjął z jego dłoni pistolet i zdjął przewieszoną przez ramię strzelbę. Opróżnił kieszenie swojej ofiary z nabożów, po czym włożył je do własnych. Następnie po kolei zastrzelił wszystkie cztery muły - było to ostrzeżenie dla tych, którzy, nawet nieświadomie, mogliby wspomóc wrogów Guiliana. Stanął na ścieżce z luparą w rękach, strzelbą zabitego przewieszoną przez ramię, z pistoletem zatkniętym za pas. Nie czuł wyrzutów sumienia, przeciwnie, cieszyło go własne okrucieństwo. Albowiem mimo iż kochał przyjaciela, różnili się pod każdym niemal względem. I chociaż uznał Turiego za swojego dowódcę, nie opuszczało go przekonanie, że zarówno odwagą, jak przebiegłością musi udowodnić swoje prawo do ich przyjaźni. Teraz przekroczył magiczny krąg chłopięcej wspólnoty i dołączył Turiego, który już wcześniej znalazł się poza nawiasem społeczeństwa. Czynem tym po grób związał się z Guilianem.

Dwa dni później, tuż przed wieczną, Guiliano opuścił klasztor. Uściskał wszystkich mnichów, którzy zgromadzili się w refektarzu i podziękował im za okazaną życzliwość. Braciszki żegnali go z żalem. To prawda, że nigdy nie uczestniczył w nabożeństwach, nie przystąpił do spowiedzi i nie okazał skruchy za popełnione morderstwo, wszakże wielu mnichów wkroczyło w wiek męski, mając na sumieniu podobne przestępstwa, toteż nie im było sądzić Turiego.

Opat odprowadził Guiliana do furty, przy której już czekał na niego Pisciotta. Na pożegnanie wręczył odchodzącemu upominek. Była to czarna figurka Maryi Panny, identyczna z tą, którą miała Maria Lombardo, matka Guiliana. Pisciotta dostał zielony amerykański chlebak, do którego Guiliano włożył posążek Dziewicy.

Pisciotta obserwował z ironią, jak opat i Guiliano się żegnają. Wiedział, że przeor to przemytnik, cichy członek przyjaciół przyjaciół i okrutny nadzorca, wykorzystujący nieszczęsnych braciszków niczym niewolników. Dlatego też nie potrafił zrozumieć tego czułego pożegnania. Pisciocie nie przyszło do głowy, że miłość, oddanie i szacunek, jakie w nim samym wzbudził Guiliano, mogły także zrodzić się w sercu tak wpływowego i doświadczonego człowieka jak opat.

Chociaż uczucie opata było szczere, zabarwiała je wszakże troska o własne interesy. Starzec rozumiał, że pewnego dnia ten chłopak może stać się kimś, z kim trzeba będzie się na Sycylii liczyć. To tak jakby natknąć się na palec boży. Turi Guiliano zaś nie znajdował słów, którymi mógłby wyrazić swoją wdzięczność. Opat ocalił mu życie, co więcej, nauczył go wielu rzeczy, przy tym okazał się uroczym kompanem. Pozwolił mu nawet korzystać z prywatnej biblioteki. Dziwne, ale Guiliano wybaczył mu nawet skłonność do szykanowania bliźnich. W jego oczach było to jedynie pragnienie zachowania równowagi w życiu, spełnianie dobrych uczynków bez żadnej szkody dla innych, siła, jaką ten człowiek okazywał światu.

Przeor i Turi Guiliano padli sobie w ramiona.

- Jestem dłużnikiem ojca - zapewniał Turi. - Proszę o mnie pamiętać, gdy zajdzie potrzeba, bym wyświadczył wam jakąkolwiek przysługę. O co tylko poproście, zrobię to.

Opat poklepał go po ramieniu.

- Chrześcijańskie miłosierdzie nie domaga się zapłaty. Powróć na ścieżki Pana, synu, i jemu okaż swoją wdzięczność.

Słowa te wypowiadał jednak z przyzwyczajenia. Nie miał złudzeń co do niewinności tego młodzianka. Przeistoczy się w szatana który wynurzy się z płomieni, by dokonać swojego dzieła. Warto zapamiętać obietnicę Guiliana.

Turi, mimo protestów Pisciotty, zarzucił na ramię chlebak i przyjaciele ramię w ramię przekroczyli klasztorną furte. Nigdy nie oglądali się za siebie.

Rozdział piąty

Ze skalnego występu pod szczytem Monte d'Ora Guiliano i Pisciotta spoglądali w dół, na miasteczko Montelepre. Za ledwie kilka mil niżej w zapadającym zmierzchu zaczęły rozbłyskiwać w domach światła. Turiemu wydawało się nawet, że słyszy dobiegającą z głośników na rynku muzykę, nadawaną nieodmiennie przez rzymską rozgłośnię, która przed kolacją serenadami usiłowała ukoić spieszących uliczkami obywateli.

Jednakże górski krajobraz był zdradliwy. Zejście do osady musiałyby zabrać dwie godziny, a ponowne wspięcie się w górę cztery. Guiliano i Pisciotta bawili się tutaj jako dzieci; znali każdy głaz, każdą jaskinię i wszystkie tunele. Dalej, za występem, była Grotta Bianca, ulubiona kryjówka ich dzieciństwa, obszerniejsza od największego domostwa w Montelepre.

Turi Guiliano stwierdził, że Aspanu znakomicie wypełnił jego polecenia. Grota była wyposażona w spiwory, kochery, skrzynki z amunicją i worki pełne chleba i innej żywności. Znalazła się tam również drewniana skrzynia z racami, lampami naftowymi i nożami, a także stało kilka butli z gazem.

- Aspanu, możemy tu przeżyć wieczność - roześmiał się Turi.

- To tylko na kilka dni - odparł Aspanu. - Tutaj przede wszystkim zajrzą ścigający cię karabinierzy.

- Ci tchórze polują wyłącznie za dnia - zauważył Turi. - W nocy będziemy bezpieczni.

Góry spowiła ciemność, lecz niebo było tak usiane gwiazdami, że wyraźnie widzieli swoje twarze. Pisciotta otworzył chlebak i zaczął wyjmować broń i ubrania. Turi Guiliano niespiesznie i uroczyście uzbroił się. Zdjął mnisi habit, wciągnął wojskowe spodnie, a potem włożył obszerną skórzaną kurtkę, wyposażoną w liczne kieszenie. Za pas zatknął dwa pistolety, a pistolet maszynowy wepchnął za pazuchę tak, by był ukryty, a jednocześnie nie dał się błyskawicznie wyciągnąć. Wokół bioder zapiął pas z amunicją, dodatkowe pudełka z nabojami włożył do kieszeni kurtki. Pisciotta wręczył mu nóż, który Turi wsunął za cholewę wojskowego buta. Następny, niewielki pistolet, pasujący do sznurkowej pochwy, przyczepił pod kołnierzem kurtki

z owczej skóry. Starannie sprawdził każdą broń i każdą sztukę amunicji, Strzelbę przerzucił przez ramię, aby każdy mógł ją zobaczyć. Wreszcie był gotowy. Uśmiechnął się do Pisciotty, który miał tylko luparę oraz nóż, ukryty w pochwie za plecami.

- Czuję się goły - rzekł Pisciotta. - Dasz radę iść, obwieszony całym tym żelastwem? Gdybyś upadł, za nic nie zdołam cię podnieść.

Guiliano wciąż się uśmiechał tajemniczym uśmiechem dziecka, które wierzy, że podbije cały świat. Ciężar broni i amunicji sprawił, iż rozboleła go ogromna blizna, lecz powitał ten ból z radością. To on dawał mu rozgrzeszenie.

- Jestem gotów zobaczyć się z rodziną lub spotkać swoich wrogów - powiedział Pisciotcie.

Obaj młodzieńcy ruszyli w dół krętą ścieżką, prowadzącą ze szczytu Monte d'Ora do leżącego poniżej miasteczka Montelepre,

Maszerowali pod sklepieniem gwiazd. Zabezpieczony przed śmiercią i innymi ludźmi, upajając się zapachem dalekich cytrynowych sadów i polnych kwiatów, Turi Guiliano czuł taki spokój ducha, jak nigdy przedtem. Nie był już bezbronny wobec ślepego losu. Nie będzie więcej wbrew swej godności narażać się S| drwiny wroga, który wątpi w jego odwagę. Ponieważ siłą woli uszedł śmierci, i sprawił, że jego porozrywane ciało zaczęło się goić, uwierzył, iż zdolny jest jeszcze po wielokroć dokonać tego dzieła. Nie wątpił już, że czeka go wspaniałe przeznaczenie. Znal teraz tajemnicę średniowiecznych bohaterów, którzy nie mogli umrzeć, póki nie dobiegła kresu ich długa życiowa wędrówka, póki nie odnieśli swoich wielkich zwycięstw.

On nigdy nie opuści tych gór, tych oliwnych drzewek, Sycylii. Miał zaledwie mgliste pojęcie, na czym będzie się opierać jego przyszła chwała, nie wątpił wszakże, iż nadejdzie. On przestanie być ubogim młodym wieśniakiem, bojącym się karabinierów, sędziów, miażdżącego na proch, skorumpowanego prawa.

Zeszli z gór i wkroczyli na drogę wiodącą do Montelepre. Minęli zamykaną na kłódkę przydrożną kapliczkę z figurką Najświętszej Maryi Panny z Dzieciątkiem - błękitne gipsowe szaty w blasku księżyca lśniły jak morze. Zapach sadów napełniał powietrze taką słodyczą, że Guilianowi niemal zakręciło się w głowie. Spostrzegł, że Pisciotta przystanął i zerwał gruszkę, wydzielającą słodką woń w nocnym powietrzu. Znów poczuł, że kocha swego przyjaciela, który ocalił mu życie, a miłość ta datuje się od dni wspólnie spędzonego dzieciństwa. Pragnął podzielić się z nim własną nieśmiertelnością. Nie im pisany był los, by umarli bezimienną śmiercią dwóch

wieśniaków wśród sycylijskich gór. W przypiływie wielkiej wylewności Guiliano zawołał:

- Aspanu, Aspanu, ja wierzę, wierzę! - i zaczął zbiegać w dół po ostatnim stoku, usianym upiornie białymi skałami, mijając pozamykane na kłódki święte kapliczki Chrystusa i męczenników, Pisciotta biegł obok, śmiejąc się, i ramię w ramię pędzili tak pod luną księżycowej poświaty, rozjaśniającej drogę do Montelepre.

Góry kończyły się stujardowym, zielonym pastwiskiem, które graniczyło z czarnymi murami, jakie tworzyły tyły domostw, stojących przy *via* Bella. Za tymi murami, w każdym obejściu uprawiano grządki pomidorów i hodowano pojedyncze, samotne drzewko oliwne lub cytrynowe. Furtka wiodąca do ogródka Guilianów stała otworem, więc młodzieńcy prześliznęli się przez nią bezszelestnie i natknęli się na czekającą na nich matkę Turiego. Kobieta rzuciła się w ramiona syna, łzy strumieniem spływały jej po twarzy. Ucałowała go żarliwie i wyszeptwała:

- Mój ukochany synek, mój ukochany synek. - a stojący w świetle księżyca Turi spostrzegł, że po raz pierwszy w życiu nie odpowiada na poryw jej miłości tym samym uczuciem.

Dochodziła już prawie północ, księżyc wciąż jasno świecił, toteż pospieszyli do domu, by uniknąć oczu szpiegów. Zamknięto okiennice, a osoby spokrewnione z rodzinami Guiliana i Pisciotty stały na czatach, by w porę ostrzec bliskich przed patrolami policji. W domu przyjaciele i rodzina Turiego czekali, aby święcić Jego powrót do domu. Wydano ucztę obfitą niczym śniadanie wielkanocne. Mieli przed sobą zaledwie tę jedną noc, nim Turi znów odejdzie w góry.

Ojciec Guiliana uściskał syna i z aprobatą poklepał go po ramieniu. Były także obie jego siostry i Hector Adonis, oraz sąsiadka, niewiasta, którą nazywano La Venera, wdowa dobiegająca trzydziestego piątego roku życia. Jej mężem był słynny bandyta o przydomku Candelera. Zaledwie rok temu wydano go i poniósł śmierć z rąk policjantów. Kobieta została serdeczną przyjaciółką matki Guiliana, mimo to Turi zdziwił się, widząc ją podczas tego rodzinnego spotkania. Zaprosić ją bowiem mogła wyłącznie matka. Przez ułamek sekundy zastanowił się, co nią kierowało.

Jedli, pili i radowali się Turim jak kimś, kto wrócił po długich wakacjach, spędzonych w dalekich, obcych stronach. Ojciec jednak nalegał, by obejrzeć ranę syna. Guiliano podniósł koszulę i pokazał wielką, krwistoczerwoną bliznę i okalający

ją wciąż granatowoczarny siniak. Matka na ten widok zaczęła głośno lamentować. Turi odezwał się do niej z uśmiechem:

- Wolalabyś mnie ujrzeć w więzieniu ze śladami po *bastinado*?

Chociaż rodzinny dom przypominał mu najszcześniejsze chwile dzieciństwa, czuł teraz, że dzieli go od wszystkich tu zebranych ogromny dystans. Przygotowano jego ulubione dania, potrawkę z kałamarnicy, makaron, przyprawiony ziołami i polany sosem pomidorowym, pieczeń z jagnięcia, wielką misę oliwek, zieloną i czerwoną sałatę, skropione świeżo wyciśniętą oliwą, oplecione siatką z bambusa butle miejscowego wina. Wszystko, co zrodziła sycylijska ziemia. Matka i ojciec snuli opowieści o swoim życiu w Ameryce. A Hector Adonis raczył ich historiami o pełnych chwały dniach Sycylii. O Garibaldi i jego sławnych Czerwonych Koszulach. O dniu Nieszporów Sycylijskich przed kilkuset laty, kiedy to tutejszy lud powstał, by w krwawym zrywie zrzucić z siebie jarzmo francuskiego okupanta. O wszystkich, którzy uciskali wyspę, począwszy od Rzymian, poprzez Maurów, Normanów, Francuzów, Niemców, na Hiszpanach kończąc. Biada Sycylii, wciąż zniewolonej, której ludność od wieków przymiera głodem, najemników zaś zatrudnia się za śmieszne wynagrodzenie; w dodatku na tej ziemi zawsze z taką łatwością przelewano krew.

Wszystko to sprawiło, że nie znalazłby się Sycylijszyk, który by wierzył w rząd, prawo, w ustanowiony porządek społeczny, gdyż ten koniec końców stale zamieniał mieszkańców wyspy w woły robocze. Guiliano od lat wysłuchiwał tych opowieści, wryły mu się w pamięć, lecz dopiero teraz rozumiał, że właśnie on potrafi to wszystko zmienić.

Popatrzył na Aspanu, popijającego kawę i palącego papierosa. Nawet podczas tego pełnego radości spotkania z rodziną z jego ust nie schodził ironiczny uśmiezek. Guiliano bez trudu mógłby rozszyfrować myśli przyjaciela i domyślić się, że później powie: „Jedyne, co musisz zrobić, to okazać się wystarczającym głupcem, by pozwolić się postrzelić policjantowi, popełnić morderstwo, potem stać się osobą ściganą przez prawo, a wtedy twoi najbliżsi na pewno będą cię kochać i czcić niczym świętego, który zstąpił z niebios". Ale przecież jedynie z Aspanu czuł się tak jak dawniej. W dodatku ta kobieta, La Venera. Dlaczego matka ją zaprosiła, po co ona przyszła? Widział, że wciąż ma ładną twarz, wyrazistą i odważną, o kruczoczarnych brwiach i wargach tak czerwonych, iż w przyćmionym dymem papierosowym świetle wydawały się prawie

ciemnopurpurowe. Nie można było ocenić jej figury, gdyż nosiła - jak przystoi sycylijskiej wdowie - bezkształtne, czarne, przypominające worki suknie.

Turi Guiliano musiał opowiedzieć zgromadzonym całą historię o strzelaninie na Skrzyżowaniu Czterech Dróg. Jego ojciec, któremu wino już trochę zaszumiało w głowie, chrząknięciem wyraził swoją aprobatę dla zabicia policjanta. Matka milczała. Ojciec zaczął snuć opowieść, jak to wieśniak przyszedł odzyskać swojego osła, i co mu wtedy rzekł:

- Ciesz się, że straciłeś tylko osła. Ja straciłem syna.

- Osioł szukał osła - podsumował Aspanu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ojciec Guiliana ciągnął dalej:

- Kiedy wieśniak usłyszał, że zabito policjanta, wystraszył się na tyle, by nie dochodzić swoich roszczeń, bał się, że może go czekać *bastinado*.

- Dostanie zapłatę - odezwał się Turi.

W końcu Hector Adonis przedstawił plany ocalenia Turiego. Rodzinie zabitego trzeba wypłacić odszkodowanie. Rodzice Guiliana, aby zdobyć pieniądze, będą musieli zaciągnąć dług hipoteczny na swój splechetek ziemi. Adonis osobiście też wyłoży pewną sumkę. Lecz z tym posunięciem trzeba będzie poczekać, aż gniew przycichnie. Wielki don Croce użyje swoich wpływów, aby ułagodzić przedstawicieli władzy i rodzinę zabitego policjanta. Przecież jakkolwiek na to patrzeć, był to swego rodzaju wypadek. Żadna ze stron nie wykazała złej woli. Należy odgrywać tę farsę dopóty, dopóki rodzina ofiary i urzędnicy nie zgodzą się współpracować. Pewną przeszkodą jest jedynie dokument pozostawiony na miejscu przestępstwa. Jednak don Croce potrafi spowodować, by za jakiś rok ów dowód rzeczowy zniknął. Co najważniejsze, przez ten czas Turi Guiliano powinien unikać wszelkich kłopotów. Musi zaszyć się w górach.

Turi cierpliwie wysłuchał całej perory, uśmiechał się, kiwał potakująco głową, nie okazywał irytacji. Ci ludzie sądzili, że jest tym samym chłopakiem, którym był przed dwoma miesiącami w dniu fiesty. Zdjął skórzaną kurtkę, odpiął cały arsenał i złożył go pod stołem. Lecz ani broń, ani jego wielka, paskudna blizna nie wywarły na zebranych większego wrażenia. Nie potrafili sobie wyobrazić, do jakiego stopnia potężny cios, zadany ciału, wstrząsnął umysłem. On, Turi, nigdy już nie będzie tamtym dawnym chłopakiem, którego znali.

W tym domu - przez chwilę - czuł się bezpieczny. Zaufani ludzie patrolowali ulice i nie spuszczaali wzroku z koszar karabinierów, mieli ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Sam dom, zbudowany wieki temu, wzniesiono z kamienia; okna chroniły grube na stopę, masywne drewniane okiennice. Drewniane drzwi były mocne i zabezpieczone żelazną sztabą. Z wewnątrz nawet przez najmniejszą szparkę nie przenikało światło, żaden wróg nie zdołałby się tu wdrzeć przez zaskoczenie. A jednak Turi Guiliano wyczuł zagrożenie. Ci, których kochał, chcieliby go zamknąć w pułapce poprzedniego życia, wmówiliby mu, że powinien zostać wieśniakiem pracującym na roli, złożyć broń przed swoimi rodakami, i sprawiliby, ii stałby się bezsilny wobec obowiązującego prawa. W tej chwili uświadomił sobie, że te najdroższe i najbliższe osoby będzie musiał okrutnie i bezwzględnie potraktować. Młody człowiek zawsze marzył, że zaskarbi sobie raczej miłość ludzką, niż zdecyduje się narzucić innym swoją wolę. Lecz to się całkowicie zmieniło. Teraz widział jasno, że nade wszystko liczy się siła.

Łagodnym tonem zwrócił się do Hectora Adonisa i reszty zgromadzonych:

- Drogi ojciec chrestny, rozumiem, że twoje słowa dyktowały miłość i troska. Lecz nie pozwolę, aby matka i ojciec wyzbyli się tej odrobiny ziemi, żeby pomóc mi się wydostać z opresji. A wy, utaj nie martwcie się tak o mnie. Jestem dorosłym mężczyzną, który musi zapłacić za swój nierozważny czyn. I nie życzę sobie, aby ktokolwiek wypłacił odszkodowanie rodzinie zastrzelonego przeze mnie karabiniera. Pamiętajcie, że to on usiłował mnie zabić dlatego tylko, że szmuglowałem kawałek sera. Nigdy bym do niego nie strzelił, gdybym nie myślał, że umieram. Wtedy chciałem po prostu wyrównać rachunek. Ale to już przeszłość. Następnym razem nie tak łatwo będzie mnie dostać.

- Tak czy owak, w górach jest weselej - stwierdził kpiąco Pisciotta.

Ale matki Guiliana nie dało się omamić. Wyraźnie struchlała, strach błysnął w jej płonących oczach. Odezwała się z rozpaczą w głosie:

- Nie zostawaj bandytą, nie ograbiaj ludzi, którzy i tak już żyją w nędzy. Nie stań się człowiekiem wyjętym spod prawa. Niech La Venera opowie ci, jakie życie wiódł jej mąż.

La Venera uniosła głowę i popatrzyła Turiemu prosto w oczy. Uderzyła go zmysłowość jej twarzy, zmysłowość, która jak gdyby próbowała zwrócić ku sobie jego

gniewną pasję. Kobieta miała śmiałe, niemal wygłodniałe spojrzenie. Przedtem Turi myślał o niej jako o starzejącej się wdowie; teraz wyczuwał w La Venerze pożądanie.

Kiedy przemówiła, jej głos był ochrypły z emocji:

- W tych samych górach, w których zamierzasz się ukryć, mój mąż musiał wieść życie zwierzęcia. Zawsze w strachu. Zawsze. Nie mógł jeść. Nie mógł spać. Kiedy kładliśmy się razem do łóżka, zrywał się, słysząc najmniejszy szmer. Spaliśmy z bronią na podłodze, w zasięgu ręki. Lecz na nic się to zdało. Kiedy nasza córka zachorowała, zapragnął ją odwiedzić, a oni już na niego czekali. Wiedzieli, że ma czułe serce. Zastrzelili go na ulicy niczym psa. Stali nad jego ciałem i śmiali mi się prosto w twarz.

Guiliano dostrzegł drwiący uśmiezek Pisciotty. Słynny bandyta Candelera miał czułe serce? Rozwalil sześciu mężczyzn, Podejrzanych o donosicielstwo, polował na bogatych rolników, wyduszał pieniądze od biednych wieśniaków, sterroryzował całą okolicę. Wszakże jego żona widziała go w innym świetle.

La Venera nie dostrzegła ironicznego wyrazu twarzy Pisciotty. Ciągnęła dalej:

- Pogrzebałam go, a tydzień później pochowałam moje dziecko. Mówili, że to zapalenie płuc. Ale ja wiedziałam, że pękło jej serduszko. Najbardziej utkwiły mi w pamięci chwile, kiedy odwiedzałam go w górach. Zawsze był przemarznięty i głodny, czasami przeziębiony. Oddałby wszystko, by powrócić do życia uczciwego wieśniaka. Ale najgorsze, że jego serce stało się twarde niczym sęk oliwnego drzewka. Przestał być istotą ludzką, niech spoczywa w spokoju. Toteż, drogi Turi, nie wbijaj się w nadmierną pychę. Pomożemy ci w twoim nieszczęściu, żebyś nie stał się taki, jak mój mąż przed śmiercią.

Zapadła cisza. Fisciotta przestał się uśmiechać. Ojciec Guiliaua mruknął, że rad byłby pozbyć się pola, wtedy mógłby rano trochę dłużej pospać. Hector Adonis ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w obrus. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Ciszę przerwało niespodziewane stukanie do drzwi, sygnał od jednego ze stojących na czatach. Pisciotta poszedł porozmawiać z tym człowiekiem. Kiedy wrócił, dał Guilianowi znak, by się uzbroił.

- W koszarach karabinierów zapaliły się światła - powiedział - A policyjna furgonetka blokuje wjazd z via Bella na rynek. Przygotowują się do szturm na dom. - Przerwał na chwilę. - Musimy się szybko pożegnać.

Wszystkich uderzył spokój, z jakim Turi Guiliano szykował się do ucieczki. Matka padła mu w ramiona, a kiedy ją ścisnął, już miał w rękach kurtkę z owczej skóry. Pożegnał się z resztą gości i w ułamku sekundy stał w pełni uzbrojony, w kurtce, ze strzelbą przerzuconą przez ramię. A przecież nie czynił żadnych gwałtownych ruchów, nic nie robił w pośpiechu. Przystanął na chwilę, uśmiechając się do nich, potem zwrócił się do Pisciotty:

- Ty albo możesz zostać i później dołączyć do mnie w górach, albo iść teraz ze mną.

Pisciotta bez słowa ruszył do tylnych drzwi. Otworzył je. Guiliano uściskał matkę na pożegnanie, ona ucałowała go żarliwie i powiedziała:

- Ukryj się, nie rób nic pochopnie. Pozwól, byśmy ci pomogli.

- Ale syn już wyśliznął się z jej objęć.

Przez pola wiodące do podnóża gór prowadził Pisciotta. Guiliano gwizdnął przenikliwie i Aspanu przystanął, by Turi mógł do niego dołączyć. Droga w góry była czysta, czujki powiadomiły go, że w tamtej stronie nie muszą się obawiać policyjnych patroli. Po czterogodzinnej wspinaczce znajdą bezpieczne schronienie w Grotta Bianco. Gdyby karabinierzy zechcieli ścigać ich w ciemnościach, byłby to z ich strony akt brawury albo głupoty.

- Aspanu, ilu ludzi mają karabinierzy w garnizonie? - spytał.

- Dwunastu - odparł Pisciotta. - Plus *maresciallo*.

Guiliano parsknął śmiechem.

- Trzynastka to nieszczęśliwa liczba. Zatem dlaczego uciekamy przed tak małą grupką? - Umilkł na chwilę, a potem polecił: - Idź za mną.

Zawrócił przez pola, tak że do Montelepre weszli uliczkami poniżej. Potem przeszli *via Bella* i mogli obserwować dom Guiliana z bezpiecznego mroku zaułka. Przyczaili się w ciemnościach.

Pięć minut później usłyszeli warkot dżipa, pędzącego w dół ulicy. Tłoczyło się w nim sześciu karabinierów, w tym osobiście *maresciallo*. Dwóch błyskawicznie wyskoczyło na boczną uliczkę, by zablokować tylną furtkę. *Maresciallo* z trzema ludźmi podszedł do frontowych drzwi. Zaczęli w nie łomotać z całych sił. W tej samej chwili do dżipa dołączył mały, zamaskowany opancerzony samochód. Wyskoczyło z

niego dwóch następnych karabinierów z bronią gotową do strzału, trzymając w szachu całą ulicę.

Turi Guiliano przypatrywał się temu z wielkim zainteresowaniem. Najazd policjantów opierał się na założeniu, że ci, na których polowano, nie mogliby odeprzeć ataku; jedyną ich alternatywą była ucieczka przed przeważającą siłą. W tej chwili Turi przysiągł sobie, że zawsze, kiedy będą go ścigać, bez względu na to, jakim kosztem, potrafi się obronić, a im większe okażą się przeciwności, tym lepiej.

Była to pierwsza strategiczna operacja Guiliana, a on sam zdumiał się, jak łatwo przychodzi mu panować nad sytuacją, kiedy już zdecydował się przelać krew. Po prawdzie nie mógł zastrzelić w progu *maresciallo* i trzech towarzyszących mu policjantów, gdyż kule pewnie wpadłyby do domu i zraniły kogoś z jego rodziny. Jednak bez trudu udałooby mu się zaszlachtować obu blokujących ulicę i dwóch szoferów, siedzących za kierownicami pojazdów. Gdyby zechciał, mógłby tego dokonać, gdy tylko *maresciallo* i jego ludzie wtargną do jego domu. Nie odważą się potem wysunąć nosa, a on i Pisciotta zdołają bez trudu przejść przez łąki i znaleźć się na wolności. Skoro policjanci furgonetką zablokowali wylot ulicy, są za daleko, by stanąć im na drodze. Nie ośmielą się wyraźnego rozkazu penetrować zaułków.

Jednakże Turi nie pragnął teraz przelewać krwi. Wciąż chciał to rozegrać za pomocą przemyślnego manewru. A przede wszystkim życzył sobie ujrzeć *maresciallo* w akcji, gdyż to on właśnie miał w przyszłości zostać jego głównym przeciwnikiem.

W tej chwili ojciec Guiliana otworzył drzwi, a *maresciallo* brutalnie szarpnął starego człowieka za ramię i wypchnął go na ulicę, nakazując mu tam zostać.

W formacji włoskich karabinierów *maresciallo* to najwyższa ranga wśród podoficerów Policji Narodowej. Ludzie w tym stopniu zazwyczaj dowodzili niewielkimi oddziałami w małomiasteczkowych garnizonach. Każdy z nich stawał się więc ważnym członkiem miejscowej społeczności i cieszył się szacunkiem, podobnie jak burmistrz i proboszcz. Toteż *maresciallo* nie spodziewał się takiego powitania ze strony matki Guiliana. Kobieta zastąpiła mu drogę i na znak pogardy splunęła pod nogi.

Z trzema swoimi ludźmi przemocą musiał wdrzeć się do domu i dokonać przeszukania pod lawiną przekleństw i obraźliwych słów, którymi obrzuciła go matka Turiego. Wszystkich obecnych wyprowadzono na ulicę, gdzie zamierzano ich przesłu-

chać; z okolicznych domów wylegli sąsiedzi, także częstując policjantów stekiem wyzwisk.

Kiedy rewizja w domu nie przyniosła rezultatów, *maresciallo* zaczął wypytywać mieszkańców. Ojciec Guiliana nie posiadał się ze zdumienia:

- Czyżby pan sądził, że wydam własnego syna? - spytał policjanta, a z ulicy dobiegły go donośne okrzyki aprobaty. Podoficer nakazał zapędzić rodzinę Guilianów z powrotem do domu.

Skryty w cieniu alejki Pisciotta odezwał się do Turiego:

- Ich szczęście, że matka nie ma twojej broni.

Ale Turi zmilczał. Krew uderzyła mu do głowy. Jedyne najwyższym wysiłkiem woli zdołał się opanować. *Maresciallo* wymachiwał pałą i uderzył człowieka, który próbował zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu rodziców Guiliana. Towarzyszący dowódcy dwaj karabinierzy zaczęli szarpać mieszkańców Montelepre i wpychać ich do samochodu, kopiąc i waląc ludzi pałkami jak popadło, nie zważając na okrzyki strachu lub protestu.

Niespodziewanie na ulicy twarzą w twarz z karabiniera-mi stanął mężczyzna. Rzucił się na *maresciallo*. Padł strzał i człowiek ten runął na bruk. Z jednego z domów wybiegła z krzykiem kobieta i przypadła do ciała męża. Turi Guiliano rozpoznał ją, była to stara przyjaciółka jego rodziny, która na Wielkanoc zawsze przynosiła matce świeżo upieczone ciasto.

Turi trącił Pisciottę w ramię i szepnął:

- Idź za mną. - Puścił się niemal biegiem krętymi, wąskimi uliczkami ku rynkowi pośrodku miasteczka, znajdującemu się z przeciwnej strony niż *via Bella*.

Pisciotta krzyknął niecierpliwie:

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - ale zaraz umilkł. Gdyż w jednej chwili pojął doskonale, do czego Turi zmierza. Furgonetka pełna aresztantów będzie musiała przejechać w dół *via Bella*, zakręcić i ruszyć drogą prowadzącą do koszar Bellampo.

Turi Guliano, biegnąc równoległą ciemną uliczką, czuł się niewidzialny, podobny bogom. Wiedział, że wróg nawet nie śni, nie wyobraża sobie, co on planuje. Tamci są przekonani, iż przemierza góry w poszukiwaniu schronienia. Poczul niezwykle uniesienie. Przekonają się, że nie mogą bezkarnie wdzierać się domu jego matki, dwa razy się zastanowią, nim poważą się na coś podobnego. Nigdy też nie ośmielą się

zastrzelić z zimną krwią człowieka. Zmusi ich, by okazywali szacunek jego sąsiadom i rodzinie.

Dobiegł do najodleglejszego krańca rynku i w świetle samotnej latarni dojrzał policyjną furgonetkę, blokującą wjazd na *via Bella*. Jak gdyby mógł wpaść w tę zasadzkę! Tak nisko go oceniają? Czy to przykład bystrości urzędników państwowych? Skręcił w inną równoległą uliczkę, prowadzącą do tylnych drzwi górującego nad placem kościoła; Pisciotta biegł tuż za nim. W świątyni obaj przeskoczyli balaski ołtarza i na sekundę zatrzymali się przed Najświętszym Sakramentem, gdzie jako ministranci służyli księdzu, odprawiającemu niedzielną mszę i rozdającymu komunię. Trzymając broń w pogotowiu, pospiesznie przyklekli i uczynili znak krzyża, na chwilę oddawszy się pod opiekę woskowej figury Chrystusa w koronie cierniowej, Najświętszej Panienki w złożonych, gipsowych, błękitnych szatach i całego zastępu świętych. Przebiegli przez niewielką nawę ku potężnym dębowym drzwiom, spoza których mogli ostrzeliwać rynek. Tu znowu padli na kolana i przygotowali broń.

Furgonetka blokująca *via Bella* wycofała się, by dać wolną drogę ciężarówce wiozącej aresztantów. Ta okrążyła rynek i zawróciła na ulicę. W tej chwili Turi Guiliano jednym pchnięciem otworzył drzwi kościoła i zawołał do Pisciotty:

- Celuj nad ich głowami!

W tej samej chwili wypuścił serię z pistoletu maszynowego w blokującą wyjazd furgonetkę. Celował w opony i silnik. W jednej chwili na rynku zrobiło się jasno, kiedy silnik wybuchnął, a furgonetka stanęła w ogniu. Dwóch karabinierów na przednim siedzeniu zwinęło się niczym marionetki, które odcięto ze sznurków, zaskoczenie nie pozwoliło, by ich ciała wyprężyły się, przyjmując kule. Pisciotta zza pleców Turiego raz za razem strzelał w kabinę ciężarówki wiozącej aresztantów. Guiliano dostrzegł, że kierowca osunął się i leży bez ruchu. Pozostali uzbrojeni karabinierzy wyskoczyli na ulicę i Pisciotta ponownie zaczął strzelać. Padł drugi policjant. Turi obrócił się do Aspanu, by go powstrzymać, lecz wtedy nagle witraże kościoła rozprysły się pod ogniem karabinu maszynowego, a barwne szkiełka rozsypały się po posadzce świątyni niczym rubiny. Turi zdał sobie sprawę, że nie ma już czasu na miłosierdzie. Ze Aspanu ma rację. Albo oni będą zabijać, albo sami zostaną zabici.

Guiliano pociągnął Pisciottę za ramię i puścił się biegiem z powrotem przez kościół. Boczными drzwiami wypadł na ciemne, kręte uliczki Montelepre. Wiedział, że tej nocy nie ma szansy na oswobodzenie aresztantów. Obaj przemknęli ponad

ostatnim murem odgradzającym miasteczko na otwarte łąki. Biegli tak, póki nie znaleźli schronienia na górskich zboczach, usianych ogromnymi, białymi głazami. Zaczynało świtać, gdy dotarli na szczyt Monte d'Ora w górach Cammarata.

To tutaj przed tysiącem lat Spartakus zebrał swoją armię niewolników i stąd poprowadził ich do walki z rzymskimi legionami. Stojąc na szczycie Monte d'Ora i patrząc, jak lśniące słońce budzi się do życia, Turi Guiliano poczuł młodzieńczą uciechę, że oto zdołał umknąć wrogom. Już nigdy więcej nie będzie posłuszny drugiemu człowiekowi. On sam zadecyduje, kto powinien przeżyć, a kto umrzeć; nie miał też najmniejszych wątpliwości, że wszystko, co uczyni, uczyni dla chwały i wolności Sycylii, w imię dobra, a nie zła. Ze będzie uderzał tylko po to, aby sprawiedliwości stało się zadość, aby wspomóc biednych. I wtedy z każdej walki wyjdzie zwycięsko, zdobędzie miłość uciśnionych.

Miał wtedy dwadzieścia lat.

Rozdział szósty

Don Croce Malo urodził się w wiosce Villaba, małej dziurze, której miał przynieść dobrobyt i rozślawić ją na całą Sycylię. W oczach Sycylijczyków wcale nie zakrawało na ironię, że pochodził z pobożnej rodziny. Chowano go na księdza Kościoła katolickiego, a jego imię pierwotnie brzmiało Crocefisso; nadawali je swym dzieciom tylko najpobożniejsi rodzice. Rzeczywiście, jako szczupły nastolatek musiał grać rolę Chrystusa w kościelnych przedstawieniach na Wielkanoc i chwalono go wtedy, że rozłacza wokół siebie cudowną aurę pobożności.

Gdy jednak na przełomie wieków Croce Malo dorósł, stało się jasne, że nie potrafi zaakceptować żadnej innej władzy, poza własną. Szmuglował, szantażował, kradł, a wreszcie, co najgorsze, wpędził w ciężą młodą dziewczynę z wioski, niewinną Magdalenę z kościelnych przedstawień. Potem odmówił jej poślubienia, twierdząc, że oboje ich poniosła religijna gorączka po widowisku pasyjnym, wobec tego grzech powinien mu zostać wybaczony.

Rodzina dziewczyny takie tłumaczenie uznała za nazbyt subtelne, by je przyjąć, toteż postawiła sprawę na ostrzu noża: ślub albo śmierć. Croce Malo był zbyt dumny, aby poślubić zhańbioną dziewczynę, zatem zbiegł w góry. Po roku dobrowolnego wygnania szczęście uśmiechnęło się do niego i zdołał nawiązać kontakty z mafią.

W języku arabskim słowo „mafia” oznacza miejsce święte, a przedostało się do dialektu Sycylijczyków, kiedy w dziesiątym wieku krainą tą władali Saraceni. W ciągu całej historii Sycylii tutejszy lud uciskali niemiłosiernie Rzymianie, papieżstwo, Normanowie, Francuzi, Niemcy i Hiszpanie. Ich rządy sprowadziły biednych robotników do stanu niemal niewolniczego, wykorzystywano tych nieszczęśników jako siłę najemną, gwałcono ich kobiety, mordowano przywódców. Nawet bogaci nie zdołali się uchronić. Hiszpańska inkwizycja odarła ich z majątków pod pretekstem, że są heretykami. Dlatego też zrodziła się „mafia” jako tajne sprzymierzenie mścicieli. Kiedy sąd królewski odmawiał ścigania normańskiego szlachcica, który zgwałcił córkę wieśniaka, banda chłopów dokonywała na nim egzekucji. Kiedy szef policji torturował jakiegoś drobnego złodziejzka (straszliwa *cassetta!*), zabijano go. Stopniowo najsilniejsi duchem wieśniacy i nędzarze uformowali się w zorganizowaną społeczność, która miała pomagać ludziom, a w rezultacie przeistoczyła się w drugi i o

wiele silniejszy rząd. Kiedy należało się zadośćuczynienie, nikt nie zwracał się do policji państwowej, ruszano prosto do przywódcy lokalnej mafii, który umiał zaradzić wszystkim kłopotom.

Na Sycylii największym przestępstwem było przekazanie jakimkolwiek władzom najmniejszej nawet informacji na temat tego, co uczyniła mafia. Trzymano języki za zębami. Milczenie to zwało się omerta. W ciągu stuleci praktykę tę stosowano także w odniesieniu do przestępstw, które ktoś popełnił, nawet na własną szkodę. Urwało się wszelkie porozumienie między ludnością a legalnymi przedstawicielami kolejnych rządów, tak że nawet małe dziecko nauczano, by obcemu nie pokazywało drogi do jakiegś wioski lub czyjegoś domu.

Przez całe wieki Sycylią rządziła mafia, a czyniła to z najgłębszego ukrycia i tak niedostrzegalnie, że władze nie potrafiły oszacować, jaką naprawdę dysponuje siłą. Aż do wybuchu drugiej wojny światowej na wyspie nigdy nawet nie padło to słowo.

Pięć lat od czasu, kiedy don Croce zbiegł w góry, zasłynął jako „człowiek kompetentny”. Taki, któremu można zaufać, że nie ściągając na niczyją głowę kłopotów, skutecznie wyeliminuje kogo trzeba. Stał się zarazem „człowiekiem honoru”, toteż po wyjaśnieniu pewnych spraw wrócił do rodzinnej wioski, leżącej mniej więcej czterdzieści mil na południe od Palermo. Sprawy te obejmowały wypłacenie odszkodowania rodzinie dziewczyny, którą pohańbił. Później sławiono ten czyn jako przykład jego hojności, dowodził on jednak wszakże tylko jego rozsądku. Ciężarną dziewczynę wysłano wcześniej statkiem do krewnych w Ameryce, zaopatrzoną w świadectwa, że jest młodą wdową, aby uniknęła hańby, lecz jej rodzina miała dobrą pamięć. Przecież, bądź co bądź, byli to Sycylijczycy. Don Croce, urodzony morderca, okrutny szantażysta, członek straszliwych przyjaciół przyjaciół, nie mógł bynajmniej liczyć, że to wszystko ochroni go przed rodziną, którą pohańbił. To była sprawa honoru; jeżeli nie dostaliby odszkodowania, zabiliby go nie bacząc na konsekwencje.

Łącząc szlachetność z rozważą, Croce Malo zyskał zaszczytny tytuł dona. Kiedy doszedł czterdziestki, został uznany za pierwszego wśród przyjaciół przyjaciół, więc wzywano go, by łagodził najbardziej zażarte waśnie między rywalizującymi z sobą *cosce* mafii, by zapobiegał najkrwawszym wendetom. Rozumny, bystry, urodzony dyplomata, nie mdlał na widok krwi. Wśród sycylijskiej mafii zasłynął jako „don

pojednania" i wszyscy znakomicie prosperowali; opornych eliminowali wyznaczeni zabójcy, don Croce zaś stał się człowiekiem majątnym. Nawet jego brat, Beniamin, gdy został sekretarzem kardynała Palermo, pierwsze uszanowanie złożył donowi Crocemu, jako że krew gęstsza jest od wody święconej.

Ten ożenił się i stał się ojcem chłopczyka, którego uwielbiał. Don Croce, już nie tak ostrożny jak uprzednio i nie taki pokorny, jakim później nauczył się być pod presją swoich adwersarzy, wykombinował posunięcie, które rozślawiło go na całej Sycylii, w najwyższych zaś kręgach rzymskiej socjety uczyniło najbardziej upragnionym gościem. Obmyślił je pod wpływem nieporozumienia małżeńskiego, jakie zdarzają się nawet największym ludziom w historii świata.

Don Croce, dzięki swojej pozycji u przyjaciół przyjaciół, wzenił się w dumną rodzinę, która niedawno kupiła świadectwo szlachectwa za tak ogromną sumę, że krew płynąca w ich żyłach zmieniła się w błękitną. Po kilku latach małżeństwa żona jednak traktowała go z takim brakiem szacunku, że zdawał sobie sprawę, iż musi to zmienić, chociaż nie w sposób, do jakiego przywykł. Świeża błękitna krew żony sprawiła, że rozczarował ją brak polotu dona Crocego, jego przyziemne, wieśniacze maniry, głuche milczenie, kiedy nie miał nic do powiedzenia, nieobyczajne nałogi, przeświadczenie, że wszystkim on musi rządzić. Rozstrajały ją także wspomnienia o tym, że inni jej zalotnicy rozplynęli się, kiedy don Croce oznajmił, że stara się o jej rękę.

Rzecz jasna, publicznie nigdy nie okazywała mu braku szacunku. Przecież była to Sycylia, nie Anglia czy Ameryka. Jednakże don miał nadzwyczaj wrażliwą duszę. Szybko zauważył, że jego żona nie wielbi ziemi, po której on stąpa, a to dowodziło braku uszanowania. Postanowił zdobyć ją i jej przywiązanie tak, by czciła go po kres swoich dni, całą zatem swoją uwagę poświęcił tej sprawie. Jego prężny umysł zmagił się z owym problemem, aż wreszcie zrodził plan godny Machiavellego.

Na Sycylię miał przybyć król. Chciał odwiedzić swoich wiernych poddanych, a rzeczywiście byli mu oni wierni. Wszyscy Sycylijczycy nienawidzili rzymskiego rządu i lękali się mafii. Kochali jednak monarchę, gdyż jego ród przez związki krwi wywodził się od samej Najświętszej Pani i Pana Boga. W związku z przybyciem króla przygotowywano wielkie uroczystości.

Pierwszej spędzonej na Sycylii niedzieli król wybrał się na mszę do katedry w Palermo. Miał zostać ojcem chrzestnym syna jednego z sycylijskich szlachciców o

starożytnym rodowodzie, księcia Ollorto. Król już był ojcem chrzestnym co najmniej setki dzieci, synów marszałków polnych, hrabiów i co znamienitszych członków partii faszystowskiej. Były to akty polityczne, mające umocnić związki między koroną a władzą wykonawczą. Królewscy chrześniacy automatycznie stawali się Kawalerami Korony, przesyłano im oficjalne dokumenty, zaświadczające o tym zaszczyście. A także małe srebrne filiżanki.

Don Croce był gotów do akcji. Podczas uroczystości czekało w pogotowiu trzystu jego ludzi. Rodzony brat, Beniamin, znajdował się wśród duchownych zaproszonych do koncelebrowania mszy. Dziecko księcia Ollorto ochrzczono, a dumny ojciec triumfalnie wyniósł je z katedry. Zgromadzony tłum jął wiwatować z aprobatą. Księżę Ollorto należał do jednego z mniej znienawidzonych przedstawicieli szlachty, był szczupłym, przystojnym mężczyzną; a dobry wygląd zawsze się na Sycylii liczył.

W tej właśnie chwili zwołani przez dona Crocego ludzie tłumnie wtargnęli do katedry i skutecznie zablokowali królowi wyjście. Król był mężczyzną niewielkiego wzrostu, z wąsikami gęstszymi od włosów na głowie. W galowym mundurze kawalerzysty wyglądał niczym ołowiany żołnierz. Jednakże mimo swego pompatycznego wyglądu miał wyjątkowo czułe serce, więc kiedy ojciec Beniamin podał mu następną niemowlę, zdumiał się, ale nie zaprotestował. Napierający tłum, zgodnie z instrukcjami dona Crocego, oddzielił króla od świty i celebrującego mszę kardynała Palermo, więc ci nie mogli w niczym przeszkodzić. Ojciec Beniamin pospiesznie sięgnął po wodę święconą z pobliskiej kropielnicy, następnie w jednej chwili odebrał niemowlę królowi i przekazał je donowi Crocemu. Klękając przed władcą, żona dona Crocego zalała się łzami szczęścia, teraz król bowiem został ojcem chrzestnym ich jedynaka. O większą łaskę nie mogła prosić.

Don Croce obrósł tłuszczem, a jego wychudłą przedtem twarz ozdobiły potężne, krwistoczerwone policzki. Nos przeistoczył się w wielki dziób, służący mu jako czuła antena w dziele sprawowania władzy. Kędzierzawe włosy dzięki zabiegom fryzjera zamieniły się w starannie przystrzyżoną, szacowną siwiznę. Don Croce nabrał majestatycznej tuszy, oczy mu zmalowały pod fałdami tłuszczu, który niczym ciężki mech obrósł jego oblicze. Siła tego człowieka rosła z każdym przybranym funtem wagi, aż ostatecznie przeistoczył się w niewzruszony posąg. Można było przypuszczać, że w przeciwieństwie do innych śmiertelników nie ma żadnych ludzkich słabości; nie wie,

co to emocje; nigdy nie okazywał gniewu czy żalu. Był uprzejmy i uważający w bezosobowy sposób, jednak nie okazywał miłości. Świadom ogromnej odpowiedzialności, jaka spoczywa na jego barkach, nie wyjawiał swoich kłopotów w łóżu żony ani nie wypłakiwał się na jej piersi. Stał się prawdziwym królem Sycylii. Wszakże jego syn - prawowity dziedzic - niespodziewanie poczuł powołanie do nawracania grzeszników i wyemigrował do Brazylii, by tam nauczać i chrzczyć dzikich Indian z Amazonii. Ojca ogarnął taki wstyd, że nigdy już nie wymówił imienia potomka.

Gdy Mussolini zaczął sięgać po władzę, don Crocego mało to obeszło. Uważnie go obserwował i doszedł do wniosku, że człowiek ten nie jest ani przebiegły, ani odważny. I skoro taki ktoś może rządzić Włochami, to on, don Croce, równie dobrze może rządzić Sycylią.

Wtedy jednak spadło na wyspę nieszczęście. Po paru latach panowania zgubny wzrok dyktatora padł na Sycylię i mafię. Mussolini pojął, że nie grasuje tam banda nie zorganizowanych rzezimieszków, lecz że tą częścią jego imperium rządzi prawdziwa siła. I zrozumiał, iż mafia od wieków spiskowała przeciwko wszelkiej władzy z Rzymu. Od tysiącleci wielu usiłowało Sycylię upokorzyć i zawsze kończyło się to fiaskiem. A teraz dyktator zapragnął unicestwić mafię na wieki. Faszyci nie wierzyli w demokrację, w sprawowanie lepszych rządów. Robili, co im się podobało, jeżeli tylko uznali to za zgodne z dobrem państwa. Krótko mówiąc, sięgali po metody stosowane przez don Crocego Mało.

Mussolini wysłał na Sycylię swojego najbardziej zaufanego ministra, mianując go prefektem i wyposażając w nieograniczoną władzę. Cesare Mori zaczął od ograniczenia jurysdykcji wszystkich sycylijskich sądów, lekceważąc wszelkie działające na wyspie strażę. Zalał Sycylię oddziałami wojska, którym wydano rozkaz, by najpierw strzelały, a dopiero później zadawały pytania. Aresztował i deportował niemal całe wioski.

Przed rządami dyktatury na Sycylii nie znano kary śmierci przez ścięcie głowy, co było pewną niewygoda w walce z mafią, gdyż ta stosowała ową karę jako najważniejszy spośród swoich środków nacisku. Wszystko to zmieniło się pod władaniem prefekta Moriego. Dumnych mafiosów, którzy przysięgli dochować omerty i nie ulegli nawet w obliczu straszliwej *cassetty*, rozstrzelano. Tak zwanych małych konspiratorów zesłano na bezludne wysepki na Morzu Śródziemnym. W ciągu roku

zdziesiątkowano całą Sycylię. Zlikwidowano mafię jako siłę sprawującą rządy. Rzymu nie obchodziło, że przy okazji tej akcji schwytano w sieć tysiące niewinnych ludzi i obarczono ich nie popełnionymi winami.

Don Croce wielbił sprawiedliwe, demokratyczne rządy, toteż zapłonął gniewem, widząc, jak sobie poczynają faszyci. Jego przyjaciół i kolegów osadzano w więzieniach pod byle pretekstem, a przecież byli na tyle bystrzy, by nie zostawiać po sobie śladów na miejscu zbrodni. Wielu uwięziono na podstawie plotek i tajnych donosów sukinsynów, których nie sposób było wytropić i przemówić im do rozumu, gdyż nie musieli osobiście stawać przed sądem w charakterze świadków. Gdzie się podziała uczciwa gra wymiaru sprawiedliwości? Faszyci wrócili do dni inkwizycji, boskiej władzy królów. Don Croce nigdy nie wierzył w boskie prawa królów, prawdę mówiąc, twierdził, że żadna rozsądna istota ludzka nigdy w to nie uwierzy, chyba że alternatywą będzie rozerwanie przez czwórkę dzikich koni.

Co gorsza, faszyci wyciągnęli z mroków *cassette*, średniowieczne narzędzie tortur - straszliwą skrzynię długą na trzy, a szeroką na dwie stopy, która czyniła cuda z upartymi ciałami. Nawet najbardziej zatwardziali mafiosi, kiedy zapoznawali się z *cassettą*, przekonywali się, że ich języki są równie rozwiązłe, jak angielskie kobiety. Rozwścieczony don Croce oświadczył!, że on sam nigdy nie uciekał się do jakichkolwiek tortur. Wystarczało zwyczajne morderstwo.

Niczym stateczny wieloryb, don Croce dał nurka w muliste wody sycylijskiego podziemia. Wstąpił do klasztoru jako fałszywy franciszkanin, oddał się pod opiekę opata Manfrediego. Od dawna zresztą wzajemnie darzyli się przyjaźnią. Don Croce, chociaż dumny ze swego analfabetyzmu, zmuszony był wynająć opata do pisania niezbędnych przecież listów z żądaniami okupu, kiedy jeszcze na początku swojej kariery trudnił się porwaniami. Zawsze byli wobec siebie uczciwi. Przekonali się też, że mają podobne gusta - do rozpustnych niewiast, dobrego wina i skomplikowanych kradzieży. Don często zabierał opata do Szwajcarii, gdzie odwiedzali lekarzy i rozkoszowali się spokojnym luksusem tego kraju. Była to dająca wypoczynek, przyjemna odmiana po znacznie bardziej niebezpiecznych przyjemnościach Sycylii.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Mussolini nie mógł dłużej poświęcać wyspie tak bacznej uwagi. Don Croce natychmiast wykorzystał tę sytuację i po cichu odnowił zerwane kontakty z ocalałymi przyjaciółmi przyjaciół; do dawnych

zwolenników mafii, zesłanych na wysepki Pantelleria i Stromboli, wysiał pełne otuchy wieści. Zaprzyjaźnił się rodzinami mafiosów, których uwięził prefekt Mori.

Don Croce zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę jego jedyną nadzieją jest zwycięstwo aliantów i że musi dołożyć wszelkich starań, aby nastąpiło ono jak najszybciej. Nawiązał kontakt z podziemnymi ugrupowaniami partyzantów i nakazał swoim ludziom, by pomagali wszystkim alianckim pilotom, którzy ocalili po zestrzeleniu ich samolotów. Tak więc, kiedy nadeszła przełomowa chwila, don Croce był przygotowany.

Gdy w lipcu 1943 roku armia amerykańska dokonała inwazji na tę wyspę, wyciągnął ku niej swoją pomocną dłoń. Czyż wśród żołnierzy nie było wielu braci Sycylijczyków, synów emigrantów? Czy Sycylijczycy powinni walczyć przeciwko innym Sycylijczykom po stronie Niemców? Ludzie don Croce przekonali tysiące włoskich żołnierzy, by zdezerterowali i schronili się w kryjówkach gotowanych dla nich przez mafię. Don Croce osobiście skontaktował się z tajnymi agentami armii amerykańskiej i przeprowadził jej oddziały przez górskie ścieżki, tak że mogły okrążyć okopaną niemiecką artylerię. Toteż podczas gdy wojska brytyjskie nacierające po drugiej stronie wyspy, ponosiły ogromne straty i posuwały się wolno, armia amerykańska dokonała swojego zadania grubo przed wyznaczonym czasem i z minimalnymi stratami własnymi.

Sam don Croce, chociaż już prawie sześćdziesięcioletni i o monsturalnej tuszy, poprowadził swoją bandę mafijnych partyzantów do Palermo i porwał niemieckiego generała, dowodzącego obroną wyspy. Ukrywał się wraz ze swoim więźniem w mieście aż do chwili, gdy przerwano front i do Palermo wkroczyły amerykańskie wojska. Naczelnym dowódcą armii amerykańskiej w południowych Włoszech w depe szach do Waszyngtonu pisał o don Croce jako o „Generale Mafii”. W ciągu następnych miesięcy pod tym przydomkiem znali go również oficerowie amerykańskiego sztabu.

Amerykańskim wojskowym gubernatorem Sycylii mianowano pułkownika Alfonsa La Ponto. Tego wysoko notowanego polityka stanu New Jersey w trybie natychmiastowym awansowano i przeszkolono do pełnienia tego szczególnego zadania. Jego największą zaletą była giętkość i umiejętność prowadzenia pertraktacji politycznych. Ze względu na podobne przymioty dobrano oficerów podlegających mu

władz wojskowych. W kwaterze głównej AM-GOT-u pracowało dwudziestu oficerów i pięćdziesięciu urzędników cywilnych. Wielu z nich pochodzenia włoskiego. Don Croce ze szczerą braterską miłością przygarnął ich wszystkich do swojego Potężnego łona, okazując im na wszelkie możliwe sposoby oddanie i uczucie. Czynił tak, mimo że wśród przyjaciół często mówił o nich jako o „barankach bożych”.

Jednakże don Croce „rozdzielał dobra”, jak często określali to Amerykanie. Pułkownik La Ponto uczynił go swoim głównym doradcą i wesołym kompanem. Często bywał na obiadach w jego domu i aż mlaskał z ukontentowania, smakując znajome przysmaki.

Pierwszym problemem, jaki należało rozwiązać, było powołani nowych burmistrzów wszystkich małych sycylijskich miasteczek. Poprzedni okazali się oczywiście faszystami i zamknięto ich w amerykańskich aresztach.

Don Croce polecił na te stanowiska przywódców mafii, którzy siedzieli w więzieniach. Ponieważ z akt jasno wynikało, że torturowano ich i wtrącano do więzień za opór przeciwko faszystowskiemu rządowi pod zarzutami godzenia w dobro i bezpieczeństwo kraju, założono, iż zarzuty te sfabrykowano, a przestępstwa nie miały miejsca. Don Croce nad świetnie przyrządzonymi przez żonę rybami i spaghetti opowiadał historyjki, jak to jego przyjaciele, jeden w drugiego mordercy i złodzieje, nie chcieli wyrzec się swojej wiary w demokratyczne zasady sprawiedliwości i wolności. Pułkownik był zachwycony, że tak szybko znalazł odpowiednich ludzi, aby pod jego kierunkiem zarządzili ludnością cywilną. W ciągu miesiąca większość miasteczek zachodniej Sycylii zyskała nowych burmistrzów - mafiosów o najbardziej zatwardziałyh sercach, jakich zdołano odszukać w faszystowskich więzieniach.

No i sprawdzali się znakomicie w oczach amerykańskiej armii. Wystarczało, żeby dla utrzymania porządku na podległym sobie terenie okupacyjne wojska zostawiły jedynie minimalną liczbę oddziałów. Podczas gdy na kontynencie wojna toczyła się nadal, tutaj nie zdarzały się akty sabotażu, nie pojawiali się szpiedzy. Czarnorynkowy handel zlikwidowano niemal w całości. Pułkownik otrzymał specjalne odznaczenie i awans na generała brygady.

Burmistrzowie don Croce Malo występowali przeciwko szmuglowi z bezprzykładną surowością, karabinierzy bez wytchnienia patrolowali drogi i górskie przejścia. Powróciły stare czasy. O wszystkim decydował don Croce. Rządowi inspektorzy pilnowali, by uparci chłopci odstawiali zboże, oliwki i winogrona do

państwowych magazynów po oficjalnych cenach skupu - oczywiście później miano te dobra racjonować, także na Sycylii. Aby wieśniacy mogli wywiązać się z dostaw, don Croce na własną prośbę otrzymał od armii amerykańskiej ciężarówki, które miały przewozić towar do głodujących miast - Palermo, Monreale i Trapani, do Syrakuz i Katanii, a nawet Neapolu na stałym lądzie. Amerykanie nie posiadali się z zachwytu nad sprawnością organizacyjną don Croce nagrodzili go pisemną pochwałą za zasługi dla sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Lecz don Croce nie mógł się nasycić ową pochwałą, nie mógł jej nawet przeczytać, gdyż był analfabetą. Poklepywanie po plecach przez pułkownika La Ponto nie zapełniało jego ogromnego brzuszyska. Don Croce zatem, nie ufając wdzięczności Amerykanów ani bożemu błogosławieństwu za okazywane cnoty, uznał, że należy mu się jakaś wymierna nagroda za tyle miłosiernych uczynków dla dobra ludzkości i demokracji. Tak więc wypełnione po brzegi amerykańskie ciężarówki, z szoferami wyposażonymi w oficjalne przepustki podpisane przez pułkownika, trafiały do całkiem innych miejsc przeznaczenia, wyznaczonych przez don Croce. Rozładowywano je w jego prywatnych magazynach, w miejscowościach takich jak Montelepre, Villaba i Partinico. Potem don Croce i jego kumple odsprzedawali towar na rozkwitającym czarnym rynku po cenie o pięćdziesiąt procent wyższej niż oficjalna państwowa. W ten sposób olbrzym umocnił bliskie związki z najpotężniejszymi przywódcami odradzającej się mafii. Ponieważ wierzył, iż największą z przywar ludzkości jest chciwość, szczerze dzielił się swoimi dochodami.

Był nawet bardziej niż szczodry. Pułkownik La Ponto otrzymywał królewskie prezenty w postaci antycznych posążków, obrazów i starej biżuterii. Don Croce obdarowywał go z prawdziwą przyjemnością. Oficerów i cywilnych urzędników amerykańskich władz okupacyjnych traktował jak rodzonych synów, a więc zasypywał ich podarkami niczym dobry ojciec. A oni, specjalnie wybrani ze względu na znajomość włoskiego ducha i kultury, gdyż wielu z nich miało sycylijskie korzenie, odwzajemniali awanse. Podpisywali specjalne przepustki podróżne i ze szczególną pieczołowitością zajmowali się ciężarówkami przekazanymi na potrzeby don Croce. Pojawiali się na wydawanych przez niego przyjęciach, gdzie poznawali sycylijskie dziewczęta i doświadczały gorącej życzliwości, która również jest wrodzoną cechą charakteru mieszkańców wyspy. Przedstawiano ich rodzinom młodych panien, częstowano potrawami, które przyrządzały ich sycylijskie wielu z nich oczarowały córki mafiosów.

Don Croce Malo uczynił wszystko, by odzyskać poprzednią władzę. Przywódcy mafii z całej Sycylii byli jego dłużnikami. Sprawował kontrolę nad studniami artezyjskimi - ludności Sycylii sprzedawano wodę po cenie, która przynosiła mu godziwy zysk. Zapewnił sobie monopol w handlu żywnością; nakładał podatki na każdy kram na targu, gdzie sprzedawano owoce, na każdego rzeźnika, na kafejki, nawet na wędrownie kapele. A ponieważ jedynym źródłem paliwa były zasoby amerykańskiej armii, tę dziedzinę handlu również kontrolował. Porozmieszczał przybyszy, zza morza w wielkich majątkach ziemskich. Zaplanował, że w swoim czasie za bezcen odkupi od tutejszej szlachty ziemię. Znajdował się na najlepszej drodze, by odbudować takie imperium nad jakim sprawował władzę, nim Sycylią zajął się Mussolini. Za wszelką cenę chciał znowu stać się bogaty. W nadchodzących latach miał zamiar, jak się to mówi, wycisnąć Sycylię jak oliwki w prasie do tłoczenia oliwy.

Jedno tylko naprawdę martwiło don Croce. Jego jedyny syn oszalał na punkcie czynienia dobra. Brat, ojciec Beniamin, nie mógł założyć rodziny. Don Croce nie miał nikogo, kto odziedziczyłby po nim imperium. Nie ufał żadnemu ze swoich młodych, splamionych krwią żołnierzy, którzy działali pięścią, gdy zawiodły jego wyrefinowane rachuby.

Ludzie don Croce już wcześniej zwrócili uwagę na młodego Salvatore Guiliana, a opat Manfredi potwierdził, iż jest to człowiek o wielkich możliwościach. Obecnie zaś krążyło coraz więcej opowieści o wyczynach młodzieńca. Don Croce uśmiechnął się, gdyż znalazł nareszcie rozwiązanie swoich problemów.

Rozdział siódmy

O poranku, po ucieczce z Montelepre, Turi Guiliano. i Aspanu Pisciotta kąpali się w strumieniu, wartko płynącym opodal ich jaskini w Monte d'Ora. Broń odłożyli na krawędź skały i rozpostarli koc, by wygodnie napawać oczy różanymi smugami świtu.

Grotta Bianca była długą jaskinią, która kończyła się rumowiskiem sięgającym prawie sklepienia. Jako mali chłopcy Turi i Aspanu zdołali precyzyjnie się ponad owymi głazami, a wtedy odkryli przejście prowadzące na przeciwległy stok góry. Znajdowało się tam ono jeszcze przed narodzeniem Chrystusa, wydrążone przez wojska Spartakusa, ukrywające się przed legionami rzymskimi.

Daleko w dole, maleńkie niczym wioska dla lalek, leżało Montelepre. Liczne ścieżki, prowadzące ku ich skale, przypominały miniaturowe, wapienne glisty, wijące się po zboczach gór. Promienie wschodzącego słońca obsypywały złotem kolejno, jeden po drugim, szare, kamienne domy miasteczka.

Poranne powietrze było rześkie, gruszki leżące na ziemi chłodne i słodkie. Turi podniósł jedną z nich i ugryzł wielki kęs, by odświeżyć usta. Za parę godzin słoneczny żar przemieni owoce w wysuszone, włókniste kulki. Gekony o dużych, baniastych łepkach i cienkich owadzych łapkach wspinały mu się na dłoń. Były jednak mimo swego odrażającego wyglądu całkiem nieszkodliwe. Strząsnął je na ziemię.

Kiedy Aspanu czyścił broń, Turi obserwował miasteczko w dole. Byстрыm okiem widział maleńkie, czarne punkciki; to ludzie idący do pracy na swoich spłachetkach ziemi. Usiłował odszukać wzrokiem rodzinny dom. Dawno temu wraz z Aspanu wywiesili na jego dachu flagi - sycylijską i amerykańską. Przebiegłe łobuziaki, cieszyli się złośliwie, kiedy chwalono ich za patriotyzm, prawdziwym jednak powodem tego czynu było pragnienie, aby dom łatwo było poznać z daleka, kiedy buszowali po szczytach pobliskich gór - dzięki temu czuli więź ze światem dorosłych, która dodawała im otuchy.

Niespodziewanie Turi przypomniał sobie zdarzenie sprzed dziesięciu lat. Faszystowscy urzędnicy z miasteczka nakazali zdjęcie z dachu Guilianów amerykańskiej flagi. Obaj chłopcy tak się wściekli, że ściągnęli obie, amerykańską i

sycylijską. Potem zanieśli je do kryjówki, do Grotta Bianca, i zakopali koło rumowiska.

- Nie spuszczaj oka ze ścieżek - polecił Guiliano przyjacielowi. Wszedł do grotty. Nawet po upływie dziesięciu lat pamiętał dokładnie miejsce, w którym ukryli flagi, było to w prawym rogu, tam gdzie głazy stykały się z ziemią. Wykopali dół, włożyli flagi, a potem go zamaskowali.

Miejsce to porósł cienki, śliski kobierzec ciemnozielonego, prawie czarnego mchu. Guiliano odsunął go butem, a potem użył niewielkiego kamienia w charakterze motyki. Po kilku minutach wyłoniły się flagi. Amerykańska była zbutwiałym łachmanem, ale sycylijska, w nią owinięta, przetrwała. Guiliano rozwinął ją, szkarłatno-złote barwy okazały się równie soczyste jak za czasów ich dzieciństwa. Nie znalazł choćby jednej dziurki. Wyniósł flagę na dwór i ze śmiechem zawołał do Pisciotty:

- Aspanu, pamiętasz to?

Pisciotta wlepił wzrok we flagę. Potem obaj parsknęli śmiechem, lecz byli wyraźnie podnieceni.

- To przeznaczenie! - zawołał Aspanu, podskoczył i wyjął flagę z rąk Guiliana. Stał na krawędzi skały i pomachał w stronę leżącego poniżej miasteczka. Nie musieli niczego uzgadniać. Guiliano wyrwał drzewko, które wyrosło na kamienistej glebie. Wykopali dół, a potem umocowali je w nim kamieniami i przywiązali flagę, aby swobodnie łopotała na wietrze i cały świat mógł ją zobaczyć. Po tym wszystkim usiedli na zboczu i czekali.

Dopiero w południe coś dostrzegli, a był to jadący na osiołku samotny mężczyzna, zmierzający pylistą ścieżką w stronę ich góry.

Obserwowali go przez następną godzinę; osiołek wspiał się na grzbiet wzniesienia i wiodącą wyżej dróżkę.

- Kurczę! - zawołał Pisciotta. - Ten jeździec jest mniejszy od swojego osła. To musi być twój ojciec chrzestny, Adonis.

Guiliano dosłyszał nutę pogardy w głosie Pisciotty. Pisciotta - taki smukły, taki elegancki, tak dobrze zbudowany - sam cierpiał na przykrą dolegliwość. Zajęte gruźlicą płuca, które czasami plamiły krwią jego usta, brzydziły Turiego, nie dlatego, że bał się zarażenia, lecz dlatego, że brukały urodę przyjaciela. Sycylijczycy mieli

skłonność do obdarzania ludzi przydomkami, które wiązały się z ich fizyczną ułomnością czy kalectwem, więc kiedy któryś z przyjaciół nazwał Pisciotte Papierowymi Płucami, Aspanu chciał zakłuć go nożem. Tylko siła Guiliana należało zawdzięczać, że nie doszło do morderstwa.

Guiliano zbiegł w dół zbocza kilka mil i ukrył się za potężnym granitowym głazem. Odczekał, aż Adonis go minie, potem wyglądając zza skrywającej go skały, zawołał:

- Stój, bo strzelam! - i wycelował z lupary.

Była to jedna dziecięcych zabaw, jaką lubili kiedyś z Aspanu. Adonis odwrócił się powoli, tak że mógł ukradkiem wyciągnąć pistolet. Lecz Guiliano ze śmiechem wynurzył się zza głazu; w promieniach słonecznych lśniła tylko lufa obrzynka.

- Ojcie chrzestny, to ja, Turi! - zawołał Guiliano. Poczekał, aż Adonis wsunie broń za pas i zdejmie chlebak. Wtedy opuścił luparę i wyszedł na otwartą przestrzeń. Turi wiedział, że Hector Adonis ma zawsze kłopot ze zsiadaniem z siodła z powodu swoich krótkich nóg, więc chciał mu pomóc. Kiedy jednak pojawił się na ścieżce, profesor szybko zsunął się z osła. Uściskali się. Potem powędrowali w górę, Guiliano prowadził zwierzę.

- Cóż, młody człowieku, spaliłeś za sobą mosty - rzekł Hector Adonis profesorskim tonem. - Wczoraj w nocy zabito dwóch następnych policjantów. To już nie żarty. - Kiedy dotarli na szczyt i Pisciotta ich powitał, Adonis dodał: - Jak tylko spostrzegłem flagę Sycylii, od razu wiedziałem, że tutaj jesteście.

Pisciotta uśmiechnął się i zażartował:

- Ogłosiliśmy z Turim secesję. Odrywamy się od Sycylii i zostajemy w górach.

Hector Adonis zmierzył go ostrym spojrzeniem. Co to znaczy egoizm młodości! Ci smarkacze myślą tylko o sobie, jakby byli najważniejsi.

- Waszą flagę widziało całe miasteczko - odezwał się. - Nie wyłączając *maresciallo* i karabinierów. Wkrótce zjawią się tutaj, żeby ją ściągnąć.

- Profesorek jak zwykle nas poucza! - zawołał bezczelnie Pisciotta. - Znajdą naszą flagę, ale nic poza tym. W nocy jesteśmy bezpieczni. Byłby to prawdziwy cud, gdyby karabinierzy po zmroku wychylili nos z koszar.

Adonis zignorował jego słowa i wypakował sakwy, które niósł obładowany osiołek. Podał Guilianowi silną lornetkę, apteczkę, czystą koszulę, trochę bielizny,

zrobiony na drutach sweter, przybory do golenia, w tym ostrą brzytwę ojca, i sześć kostek mydła.

- Przyda ci się to tutaj, w górach.

Guiliano najbardziej ucieszył się z lornetki. Znajdowała się ona na samym początku listy rzeczy niezbędnych, jakie musiał zdobyć w ciągu najbliższych kilku tygodni. Wiedział też, że matka przez ostatni rok skrzętnie oszczędzała mydło.

W osobnym zawiniątku znalazły się potężna gomółka posypanego pieprzem sera, bochenek chleba i dwie wielkie zapiekanki, z szynką i serem, mozzarellą, przybrane jajami na twardo.

- To ci przesyła La Venera - powiedział Adonis. - Mówi, że zawsze robiła je dla swojego męża, kiedy był w górach. Można na tych zapiekankach przeżyć choćby tydzień.

Pisciotta uśmiechnął się chytrze i rzekł:

- Im są starsze, tym lepsze w smaku.

Obaj młodzieńcy zasiedli na trawie i skubali po kawałku chleba z bochenka. Pisciotta nożem odkrawał plastry sera. Trawa wokół zarośla się od owadów i drobnych żyjątek, toteż sakwę z jedzeniem musieli odstawić wyżej, na skałę. Popijali wodą z czystego strumienia, płynącego zaledwie sto stóp poniżej. Rozłożyli się w miejscu, z którego mogli obserwować teren w dole.

- Obaj jesteście z siebie bardzo zadowoleni, ale to nie przelewki - westchnął Hector Adonis. - Jeżeli was znajdą, zginiecie.

- A jeśli ja dopadnę tamtych, to ich zastrzelę - odparł spokojnie Guiliano.

Hectorem wstrząsnęły te słowa. W tej sytuacji nie było żadnej nadziei na to, że uda się zyskać dla Turiego ułaskawienie.

- Nie działaj pochopnie - poradził tylko. - Jesteś jeszcze młody.

Guiliano przypatrywał mu się długą chwilę.

- A jednak okazałem się na tyle dorosły, że postrzelili mnie za kawałek sera. Spodziewasz się, że ucieknę? Że pozwolę, by moja rodzina przymierała głodem? Że będziesz mi przynosił paczki z jedzeniem, kiedy ja będę odpoczywał w górach? Przyjdą tutaj, żeby mnie zabić, więc ja ich zabiję. A ty, drogi ojczy chrestny, czyż nie kładłeś mi do głowy, kiedy byłem dzieckiem, jaką to niedolę cierpią sycylijscy wieśniacy? Jak są uciskani przez Rzym i nasłanych stamtąd poborców podatkowych,

przez szlachtę, przez bogatych ziemian, którzy naszym robotnikom płacą nędzne liry, z trudem starczające, by utrzymać się przy życiu? Wraz z dwustu innymi mężczyznami stawilem się na rynku w Montelepre, a tamci przebierali w nas jak w ulęgawkach. Proponowali sto lirów za całodzienną harówkę, bierzecie tę robotę albo się wynoście, mówili. I większość zgodziła się na taką zapłatę. W tej sytuacji któż, jeśli nie Salvatore Guiliano, może zostać przywódcą wyspy?

Hector Adonis szczerze się zatroskał. Już źle było być banitą, rewolucyjne poglądy jednak mogły narobić jeszcze większej szkody.

- Wszystko to pięknie wygląda w literaturze - tłumaczył. - Ale w prawdziwym życiu może cię doprowadzić tylko do grobu. - Umilkł na chwilę. - Cóż dobrego przyniosły twoje bohaterskie czyny z ubiegłej nocy? Sąsiadów wciąż nie wypuszczają z aresztu.

- Uwolnię ich - rzekł spokojnie Guiliano. Spostrzegł, że na twarzy ojca chrzestnego odmalowało się zdumienie. Pragnął jego aprobaty, pomocy, zrozumienia. Orientował się, że Adonis wciąż traktuje go jak dobrodusznego młodego wieśniaka. - Musisz zrozumieć, kim się teraz stałem.

- Urwał. Czy powinien wyjaśnić dokładniej, co ma na myśli? Czy ojciec chrzestny nie uzna, że duma doprowadziła go do szaleństwa? A jednak mówił dalej: - Nie lękam się śmierci. - Uśmiechnął się do Hectora Adonisa uśmiechem, który profesor tak dobrze znał i kochał. - Wyznam szczerze, sam jestem sobą zdumiony. Nie boję się, że mogą mnie zabić. Wydaje mi się, że to niemożliwe.

- Roześmiał się głośno. - Ich policja, ich opancerzone wozy, karabiny maszynowe, Rzym! Nie boję się. Potrafię ich pokonać. Góry Sycylii roją się od banitów. Jest tu Passatempo i jego banda. Terranova. Wypięli się na Rzym. A to, co oni potrafią, ja też potrafię.

Hector Adonis poczuł, że ogarnia go uczucie rozbawienia i niepokoju zarazem. Czyżby odniesiona rana zmieniła umysł Guiliana? A może on, Hector jest teraz świadkiem takiej samej chwili, w jakiej zrodzili się znani z historii bohaterowie: Aleksander Wielki, Cezar, Roland? Przecież marzenia o bohaterskich czynach rodzą się właśnie pośród kotlin górskich, w rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi.

- Zapomnij o nich - rzekł obojętnym tonem. - Terranova, Passatempo! Schwymano ich i siedzą w więzieniu w koszarach Bellampo. Za parę dni zostaną przewiezieni do Palermo.

- Ocalę ich, a potem będę spodziewał się ich wdzięczności - oświadczył Guiliano.

Zawziętość, z jaką wypowiedział te słowa, zdumiała Hectora Adonisa, a zachwyciła Pisciotte. Zdziwili się zmianą, jaka zaszła w ich Guilianie. Zawsze kochali go i szanowali. Jak na tak młodego człowieka, wyróżniał się wielką godnością i opanowaniem. Lecz teraz po raz pierwszy poczuli, że jest również zdolny okazać siłę.

- Wdzięczność? - zdziwił się Hector Adonis. - Passatempo zamordował wuja, który podarował mu pierwszego osiołka.

- W takim razie muszę nauczyć go wdzięczności - odparł Turi Guiliano. Umilkł na chwilę. - A teraz chcę poprosić cię o przysługę. Przemyśl to dobrze. Jeżeli odmówisz, wciąż pozostanę oddanym ci synem chrzestnym. Zapomnij, że jesteś serdecznym przyjacielem moich rodziców, i zapomnij, że mnie kochasz. Upraszam cię o łaskę dla Sycylii, którą nauczyłeś mnie miłować. Stań się moimi oczami i uszami w Palermo.

- Prosisz mnie, profesora uniwersytetu Palermo, by stał się jednym z twoich bandziorów - uściślił jego słowa Hector Adonis.

- Na Sycylii to nic dziwnego - wtrącił niecierpliwie Pisciotta. - Tutaj każdy jest na haczyku przyjaciół przyjaciół. Gdzież to indziej poza naszą wyspą profesor historii i literatury nosiłby przy sobie pistolet?

Rozważając, co odpowiedzieć, Hector Adonis uważnie przyglądał się obu młodzieńcom. Z łatwością mógłby dać obietnicę, a potem równie szybko o niej zapomnieć. Podobnie łatwo potrafiłby przyrzec, że od czasu do czasu, tak jak dzisiaj, będzie pomagał przyjacielowi. Poza tym komedia ta prawdopodobnie nie potrwa długo. Guiliano może zginąć w walce albo zostać zdradzony. Może wyemigrować do Ameryki. Adonis pomyślał ze smutkiem, że wtedy problem rozwiązałby się sam.

Wspomnił podobny do tego, letni dzień sprzed wielu lat, kiedy Turi i Aspanu nie mieli więcej niż osiem wiosen. Siedzieli na pastwisku między domem Guilianów a górami w oczekiwaniu na kolację. Hector Adonis przywiózł Turiemu plecak pełen książek. Jedną z nich była Pieśń o Rolandzie. Przeczyta! ją chłopcom na głos.

Adonis znalazł ten poemat niemal na pamięć. Był drogi sercu każdego oświeconego Sycylijczyka, a niepiśmienni także umiłowali tę legendę. Stała się główną atrakcją wszystkich kukielkowych przedstawień, grywanych po miasteczkach i wioskach, a podobizny bohaterów wymalowano na bokach każdego wozu, toczącego się po sycylijskich wzgórzach. Dwaj wielcy rycerze króla Karola Wielkiego, Roland i Oliwier zawzięcie walczyli z Saracenami, osłaniając ucieczkę swego władcy do Angin. Adonis

opowiedział, jak zginęli ramię przy ramieniu w wielkiej bitwie pod Roncesvalles - jak Oliwier trzykrotnie błagał Rolanda, by zadał w wielki róg i zawrócił wojska Karola Wielkiego. Dumny Roland odmówił. A wtedy otoczyli ich Saraceni. Roland zadał wreszcie w róg, ale już było za późno. Kiedy Karol Wielki powrócił, by ocalić swoich rycerzy, znalazł tylko ich ciała wśród stosu trupów pokonanych Saracenów. Wtedy zgolił brodę. Adonis wspomniał łzy, jakie napłynęły wówczas do oczu Turiego Guiliana i, co dziwniejsze, wyraz pogardy na twarzy Aspanu Pisciotty. Dla jednego z chłopców była to jedna z największych chwil w życiu mężczyzny, dla drugiego - upokarzająca śmierć z rąk niewiernych.

Obaj podnieśli się wtedy z trawy i pobiegli do domu na kolację. Turi objął Aspanu ramieniem, a Hector uśmiechnął się, widząc ten gest. To Roland podtrzymujący Oliwiera, by wraz z nim stawić czoło nacierającym Saracenom. Umierając, Roland wyciągnął ku lazurowemu niebu rękawicę, a anioł wyjął ją z jego dłoni. W każdym razie tak mówią legendy i podania.

Zdarzyło się to tysiąc lat temu, lecz Sycylia wciąż cierpiała w tym samym surowym pejzażu oliwnych sadów i spalonych słońcem zbóż, przydrożnych kapliczek wzniesionych przez pierwszych wyznawców Chrystusa oraz niezliczonych krzyży, do których przybito powstańczych niewolników, prowadzonych przez Spartakusa. I jego, Adonisa, syn chrzestny miał dołączyć do legendarnych herosów, gdyż nie rozumiał, że aby na Sycylii zaszły zmiany, musiałby wybuchnąć moralny wulkan, który by spopielił tę ziemię.

Adonis obserwował obu młodych ludzi. Pisciotta wyciągnął się na trawie, Guiliano natomiast przypatrywał mu się ciemnopiwnymi oczami. Uśmiechał się tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że doskonale wie, o czym myśli jego ojciec chrzestny, że widzi, jak cudowna zmiana zaszła w tym miejscu. Adonis ujrzał ich bowiem niczym posągi wykute w marmurze czy malowidła na wazach, postaci wyjęte z codziennego życia. Pisciotta przeistoczył się w figurkę z wazy, jako pomocnika trzymał na dłoni gekona, a linie ich ciał wyraźnie rysowały się w promieniach przedpołudniowego słońca. Pisciotta zdawał się niebezpieczny; to człowiek, który niszczy świat trucizną i sztyletem.

Salvatore Guiliano, syn chrzestny Hectora, przedstawiał jakby odwrotność tego oblicza. Był piękny niczym grecki Apollo, miał wspaniale rzeźbione rysy, oczy o białkach tak czystych, że prawie przypominały oczy ślepeca. Na twarzy, otwartej i

szczerzej, malowała się niewinność le- herosa. Albo raczej, dumał Adonis, pragnąc odrzucić sentymenty, śmiały upór młodego człowieka, który postanowił zostać bohaterem. Turi ciało miał muskularne niczym śródziemnomorskie posągi, silne uda, umięśnione plecy. Wyglądał jak Amerykanin, wyższy i silniejszy od większości Sycylińczyków.

Jeszcze gdy obaj byli dziećmi, Pisciotta odznaczał się przebiegłością i sprytem, Guiliano zaś szlachetnie wierzył w dobroć człowieka i dumny był z tej ufności. W tamtych czasach Hector Adonis często myślał, że to Pisciotta stanie się przywódcą, Turi natomiast jego pomocnikiem. Powinien był jednak lepiej zorientować się w sytuacji. Wiara we własną cnotę bywa bowiem daleko groźniejsza od przekonania, że jest się chytrym.

Drwiący głos Pisciotty wyrwał Hectora Adonisa z tych snów na jawie.

- Profesorze, proszę mi coś wyjaśnić. Jestem drugi po Guilianie w jego bandzie, lecz nie mam pod sobą nikogo, komu mógłbym wydawać rozkazy. - Uśmiechnął się. - Chcę zacząć od czegoś niewielkiego.

Choć Adonis nie dał się sprowokować, oczy Guiliana rozbłysły gniewem. Odezwał się jednak spokojnie:

- Więc jak brzmi twoja odpowiedź?

- Tak - odparł Hector Adonis. A cóż innego mógłby odpowiedzieć ojciec chrzestny?

Wtedy Guiliano wyjaśnił mu, co ma zrobić po powrocie do Montelepre, i wyjaśnił, co planuje na dzień następny. Adonisa znów uderzyły zuchwałość i okrucieństwo planów tego młodzieńca. Ale kiedy Guiliano podsadził go na osiołka, Adonis nachylił się i ucałował syna chrzestnego.

Pisciotta i Guiliano przypatrywali się, jak zjeżdża w dół ścieżką prowadzącą do Montelepre.

- To taki mały człowieczek - rzekł Pisciotta. - Bardziej się przydawał, gdyśmy jako chłopcy bawili się w zbójników.

Guiliano odwrócił się do przyjaciela i upomniał go łagodnym głosem:

- Wtedy i twoje żarty były śmieszniejsze. Bądź poważny, kiedy rozmawiamy o poważnych sprawach.

Kiedy jednak wieczorem kładli się spać, uściskali się serdecznie.

- Jesteś moim bratem - zapewnił Giuliano Pisciotte. - Nie zapominaj o tym.
A potem owinęli się w koce i przespali ostatnią noc jako ludzie bezimienni.

Rozdział ósmy

Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta wstali przed świtem, przed pierwszym brzaskiem, bo choć wydawało się to nieprawdopodobne, karabinierzy mogli wyruszyć jeszcze w nocy, by zaskoczyć ich w promieniach wschodzącego słońca. Późnym wieczorem dostrzegli zajeżdżający do koszar Bellampo wóz opancerzony z Palermo. Towarzyszyły mu dwa dżipy, wiozące posiłki. W nocy Guiliano kilkakrotnie wybrał się na zwiady w dół stoku, nasłuchując, czy nie dobiegają żadne głosy, zdradzające, że ktoś nadciąga z dołu. Pisciotta uznał tę ostrożność za śmieszna.

- Kiedy byliśmy dziećmi, mogliśmy się bać złych duchów - przekonywał Guiliana.
- Naprawdę sądzisz, że ci leniwi karabinierzy zechcą ryzykować życie w ciemnościach, że się wyrzekną spokojnego snu w miękkich łóżkach?

- Musimy wyrobić w sobie konieczne nawyki - pouczył przyjaciela Turi Guiliano, wiedział bowiem, że któregoś dnia staną naprzeciw skuteczniejszych wrogów.

Turi i Aspanu ciężko pracowali, rozkładając na kocu broń i sprawdzając każdą część. Zjedli po kawałku zapiekanki przysłanej przez La Venere i popili winem z butelki, którą zostawił im Hector Adonis. Ciasto, nafaszerowane mięsem i ostrymi przyprawami, rozpałiło im żołądki i dodało energii do wzniesienia na stoku góry osłony z kamieni i samosiejek. Zza niej obserwowali przez lornetkę miasteczko i górskie ścieżki. Guiliano załadował broń i napchał kieszenie skórzanej kurtki pudełkami z amunicją. Pisciotta stał na straży. Guiliano dokładnie i powoli wykonywał swoją pracę. Zakopał nawet wszelkie zapasy, a schowek zabezpieczył własnoręcznie wielkimi głazami. Nigdy bowiem nikomu nie ufał, gdy w grę wchodziły szczegóły. Dlatego też to Pisciotta pierwszy zobaczył, jak opancerzony pojazd opuszcza koszary Bellampo.

- Miałaś rację - przyznał. - Wóz jedzie z równiny Castellammare w naszym kierunku.

Uśmiechnęli się do siebie. Guiliano poczuł, że ogarnia go skryte uniesienie. Przecież w końcu walka z policją nie może być taka trudna. To zwykła gra, w której liczy się dziecięca przebiegłość. Pojazd znikł za zakrętem, potem wynurzył się znowu i podjechał pod góry, graniczące z ich skałą. Władze musiały wiedzieć o istnieniu

tunelu, spodziewano się więc, że obaj tamtędy będą uciekać, a wtedy natkną się wprost na wóz i na jego karabiny maszynowe.

Za godzinę karabinierzy wysłał oddziały na stoki Monte d'Ora, by zmieść ich z powierzchni ziemi. Na korzyść młodzieńców przemawiał fakt, że policja traktowała ich jak szalonych młokosów, zwyczajnych zbiegów. Szkarłatno- złota flaga, którą umieścili na krawędzi skały, przekonała tamtych o beztroskiej pysze chłopaków.

Godzinę później ciężarówka z żołnierzami i dżip, dowodzone przez *maresciallo* Roccofina, wyjechały przez bramę koszar Bellampo. Dwa pojazdy niespiesznie zmierzały do podnóża Monte d'Ora. Tam zatrzymały się i policjanci wysiedli. Dwunastu uzbrojonych karabinierów wkroczyło na ścieżki prowadzące w górę zbocza. *Maresciallo* Roccofino zdjął szamerowaną czapkę i wskazał nią szkarłatno-złotą flagę powiewającą wyżej, na skraju skalnego załomu.

Turi Guiliano zza osłony drzewek obserwował tamtych przez lornetkę. Na chwilę przestraszył się, gdy wóz opancerzony zajechał na górę z drugiej strony. Czyżby zamierzali posłać ludzi i tamtym stokiem? Jednakże karabinierom zajęłoby to kilka godzin, więc nie powinni znaleźć się zbyt blisko. Turi przestał o nich myśleć i powiedział do Pisciotty:

- Aspanu, jeżeli nie jesteśmy tak bystrzy, jak nam się wydaje, nie zdołamy dziś wieczór wrócić do domu naszych matek na talerz spaghetti, tak jak to czyniliśmy w dzieciństwie.

Pisciotta roześmiał się.

- Pamiętasz, że zawsze nienawidziliśmy powrotów do domu? Ale muszę przyznać, że teraz jest o wiele zabawniej. Zabijemy kilku z nich?

- Nie - powstrzymał go Guiliano. - Postrzelamy sobie nad ich głowami. - Przypomniał sobie, jak dwa dni temu Aspanu odmówił mu posłuszeństwa. Powiedział więc: - Aspanu, posłuchaj mnie. Zabicie ich nic nie da. Teraz niczemu to nie posłużą.

Cierpliwie czekali całą godzinę. Potem Guiliano przepchnął lufę przez drzewka osłony i dwukrotnie wystrzelił. Zdziwiająco, jak błyskawicznie równy szereg policjantów rozpierzchnął się na boki, niczym mrówki umykające w trawę. Pisciotta wystrzelił cztery razy. W różnych miejscach stoku pojawiły się dymki, kiedy karabinierzy odpowiedzieli ogniem.

Guiliano odłożył strzelbę i chwycił lornetkę. Ujrzał *maresciallo* i sierżanta, mówiących coś do krótkofalówki. Na pewno kontaktowali się z wozem opancerzonym po drugiej stronie góry, ostrzegali jego załogę, że zbiegowie mogą zmierzać w ich kierunku. Turi ponownie uniósł broń, dwukrotnie oddał strzał, a potem zwrócił się do Pisciotty:

- Pora stąd ruszać.

Przekradli się obaj na odległy kraniec skały, znikając z oczu karabinierów, potem ześliznęli się kamienistym zboczem, turlając się jakieś pięćdziesiąt jardów, nim znów z bronią w pogotowiu podnieśli się na nogi. Pochyleni zbiegali w dół, przystając jedynie wtedy, by Giuliano mógł obserwować przez lornetkę nacierających.

Karabinierzy wciąż strzelali w stronę skały; nie zdawali sobie sprawy, że banici zdołali już przedrzeć się na ich tyły. Giuliano prowadził w dół wąską ścieżynką, ukrytą między potężnymi głazami. Dotarli do niewielkiego lasku. Tam odpoczęli parę minut, a potem obaj zaczęli szybko i bezszelestnie biec. Po niecałej godzinie wynurzyli się na równinie, która dzieliła góry od Montelepre, lecz musieli ją okrążyć aż do przeciwległego krańca miasteczka; dzieliła ich bowiem od niego furgonetka z policjantami. Schowali broń za pazuchę i szli dalej. Wyglądali jak dwaj wieśniacy, wracający do domu po pracy na polu. Do Montelepre weszli u wylotu *via* Bella, zaledwie sto jardów od koszar Bellampo.

W tej samej chwili *maresciallo* Roccofino rozkazał swoim ludziom, by nie przestawali wspinać się w kierunku flagi zawieszanej na skale. Od godziny nikt nie odpowiadał na ich strzały, toteż był przekonany, że dwaj bandyci zbiegli do swojego tunelu i teraz uciekają przeciwległym zboczem wprost na wóz opancerzony. Chciał zamknąć pułapkę. Jego karabinierom następną godzinę zajmie dotarcie na szczyt skały i zdarcie flagi. Roccofino wszedł do jaskini i wydał rozkaz zburzenia kamiennego rumowiska, by odsłonić wlot do tunelu. Posiał ludzi tym kamiennym korytarzem w dół, na drugą stronę góry, aby spotkali się z wozem opancerzonym. Oślupiał ze zdumienia na wieść, że jego zwierzyna uciekła. Rozdzielił karabinierów na grupy, które miały przeczesywać teren, pewien, że wykurzą zbiegów z ich kryjówek.

Hector Adonis bezbłędnie wypełnił polecenia Guiliana. U wylotu *via* Bella stał malowany wóz, na zewnątrz i wewnątrz ozdobiony scenami ze starodawnych legend. Nawet opony i obręcze pomalowano w małe figurki uzbrojonych rycerzy, tak więc

kiedy koła się obracały, wydawało się, że ludziki toczą ze sobą walkę. Ozdobiono też dyszle - w jaskrawoczerwone kółka ze srebrnymi kropkami.

Wóz przypominał człowieka, którego każdy cal ciała pokrywają tatuaże. Między dyszlami stał senny biały muł. Guiliano wskoczył na puste miejsce woźnicy i zajrzał do wozu. Załadowany był wielkimi gąsiorami z winem, umieszczonymi w bambusowych koszach. Było ich tam co najmniej ze dwadzieścia. Guiliano ukrył broń za rzędem gąsiorów. Szybko zerknął w stronę gór. Nie było tam nic widać prócz flagi, wciąż powiewającej nad skałą. Uśmiechnął się do Pisciotty.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Idź i zabaw się trochę.

Pisciotta oddał mu salut, poważnie, a przecież z kpinał zapiął kurtkę, by skryć pistolet, i ruszył w kierunku koszar Bellampo. Idąc, spojrzął na drogę, prowadzącą do Castellammare, aby upewnić się, że nie nadjeżdża stamtąd wracający z gór wóz opancerzony.

Siedzący wysoko na powozie Tun Guiliano obserwował, jak Pisciotta niespiesznym krokiem przechodzi przez odsłonięte pole na wybrukowaną uliczkę, wiodącą do bramy. Potem omiótł wzrokiem via Bella. Ujrzał rodzinny dom, ale nikt przed nim nie stał. Miał nadzieję, że może przynajmniej przelotnie ujrzy matkę. Przed jednym z domów siedziała grupka mężczyzn, ich stół i butelki wina ustawiono w cieniu balkonu. Nagle przypomniał sobie, że ma zawieszoną na szyi lornetkę, więc odpiął pasek i cisnął ją na tył wozu.

Bramy pilnował młody karabinier, chłopak nie więcej niż osiemnastoletni. Rumiane policzki i twarz bez zarostu zdradzały, że pochodzi z północnych prowincji Włoch. Na sobie miał czarny mundur z białymi lampasami, powypychany i pognieciony, a ozdobiona galonem czapka nadawała mu wygląd marionetki lub kłowna. Wbrew regulaminowi, w młodzieńczych, wygiętych w łuk Kupidyna ustach karabinier trzymał papierosa. Podchodząc na odległość stopy, Pisciotta czuł jednocześnie rozbawienie i pogardę. Nawet po wypadkach ostatnich kilku dni człowiek ten nie trzymał broni w pogotowiu.

Wartownik widział jedynie parszywego wieśniaka, który ośmielił się zapaść sobie wąsik bardziej frywolny niż przystoi. Zawołał opryskliwie:

- Hej, lumpie, co się dzieje, dokąd się wybierasz? Nawet nie zarepetował broni. Pisciotta w mgnieniu oka mógłby poderżnąć mu gardło, zamiast tego jednak postarał

się przybrać unizoną pozę, chcąc stłumić rozbawienie, wywołane arogancją tego dzieciaka.

- Gdyby pan był łaskaw, to pragnąłbym się zobaczyć z *maresciallo*. Mam mu do przekazania pewne cenne informacje.

- Możesz przekazać je mnie - oświadczył wartownik.

Pisciotta nie zdołał dłużej nad sobą panować. Odezwał się pogardliwie:

- A czy i ty możesz mnie opłacić?

Karabinier osłupiał na taką bezczelność. Potem odparł lekceważąco, choć już nieco ostrożniej:

- Nie dałbym ci złamanego lira, nawet gdybyś mnie zapewniał, że znowu pojawił się Jezus.

Pisciotta uśmiechnął się.

- Lepiej to przemyśl. Wiem bowiem, gdzie znowu pojawi się Turi Guiliano, ten człowiek, który rozkwasił wam nosy.

- Odkąd to Sycylińczyk chce się przysłużyć prawu na tej przeklętej ziemi? - zdziwił się podejrzliwie wartownik.

Pisciotta podszedł jeszcze bliżej.

- Ja jestem ambitny - oświadczył. - Złożyłem podanie, by przyjęto mnie do karabinierów. W przyszłym miesiącu jadę do Palermo na egzaminy. Kto wie, może niedługo będziemy nosili takie same mundury.

Wartownik popatrzył na Pisciottę nieco życzliwiej. To prawda, że wielu Sycylińczyków zostawało policjantami. Był to sposób na wyrwanie się z biedy, dawał odrobinę władzy. Po kraju powszechnie krążył dowcip o tym, że Sycylińczyk staje się albo kryminalistą, albo policjantem, i że w obu wypadkach czyni podobne szkody. Tymczasem Pisciotta zaśmiewał się w duchu na myśl o tym, że kiedykolwiek mógłby wstąpić na służbę do karabinierów. Tylko głupiec pozwoliłby się ubrać w ten czarny mundur z białymi lampasami i idiotycznie szamerowaną, sztywną, wielką czapkę.

- Lepiej zastanów się dwa razy - doradził wartownik. Nie chciał, by na służbę dostawał się pierwszy lepszy. - Żołd jest mizerny i gdybyśmy nie brali łapówek od przemytników, przymieralibyśmy głodem. A zaledwie dwa tygodnie temu dwóch ludzi z naszych koszar, moich serdecznych przyjaciół, zginęło z ręki tego przeklętego

Guiliana. Codziennie narażeni jesteśmy na arogancję waszych wieśniaków, którzy nawet nie wskażą drogi do fryzjera w miasteczku.

- Za pomocą *bastinado* nauczymy ich dobrych manier! - zawołał wesoło Pisciotta. Następnie poufnie, jakby już byli kumplami w tej samej służbie, dodał: - Masz może dla mnie papierosa?

Ku ucieście Pisciotty ulotniła się gdzieś cała dobra wola wartownika, który rozżółcił się.

- Mam ci dać papierosa? - powtórzył z niedowierzaniem. - A niby dlaczego, na rany Chrystusa, miałbym sycylijskiego śmiecia częstować papierosem? - I teraz wreszcie zdjął z ramienia broń.

Przez chwilę Pisciotta czuł przemożną ochotę, by skoczyć do przodu i poderżnąć tamtemu gardło.

- A dlatego, że mogę zdradzić ci miejsce kryjówki Guiliana - odparł jednak spokojnym głosem. - Twój towarzysze, którzy przeszukują góry, są na tyle głupi, że nie potrafią wytropić nawet gekona.

Wartownik patrzył na Pisciottę w osłupieniu. Taka zuchwałość zbiła go z tropu; informacja, którą usłyszał, sprawiła, iż zdał sobie sprawę, że lepiej będzie porozumieć się z dowódcą.

Przeczuwał, że ten człowiek jest zbyt śliski i może wpakować go w jakieś tarapaty. Otworzył bramę i ruchem broni nakazał Pisciotcie wejść na teren koszar. Plecami odwrócił się do ulicy. W tej chwili oddalony o sto jardów Guiliano szarpnięciem obudził muła i ruszył wozem brukowaną alejką przez bramę.

Teren koszar Bellampo zajmował cztery akry. Od frontu stał wielki budynek administracji, wraz ze skrzydłem tworząc kształt litery L. W skrzydle mieściły się cele aresztu. Z tyłu wzniesiono dla karabinierów koszary, na tyle obszerne, by pomieścić setkę policjantów, tam też wydzielono specjalną kwaterę prywatną dla *maresciallo*. Z prawej strony znajdował się garaż, który w rzeczywistości był stodołą czy stajnią, a i teraz służył częściowo zgodnie z przeznaczeniem, gdyż oddziałowi przysłano zastęp mułów i osłów do wypraw w góry, jako że tam sprzęt zmechanizowany okazał się bezużyteczny.

W najdalszym krańcu terenu, w barakach z blachy faliste], znajdowały się składy amunicji i magazyny żywności. Cały obszar chroniło wysokie na siedem stóp

ogrodzenie z drutu kolczastego z dwiema wysokimi wieżami strażniczymi, lecz tych nie używano od wielu miesięcy. Koszary powstały za dyktatury Mussoliniego, a rozbudowano je podczas wojny wydanej mafii.

Kiedy Pisciotta minął bramę, szukał wzrokiem oznak niebezpieczeństwa. Wieżyczki były puste, nigdzie nie pętały się patrole. Miejsce to przypominało raczej spokojną, opuszczoną farmę. W garażu nie było pojazdów; prawdę mówiąc, nie dojrzał w ogóle żadnych pojazdów w zasięgu wzroku, co go zaskoczyło i zmartwiło, gdyż jeden z nich szybko mógł wrócić. Aspanu nie podejrzewał, że *maresciallo* jest na tyle głupi, by zostawić garnizon bez wozu pancernego. Trzeba ostrzec Turiego, że mogą spodziewać się nieproszonych gości.

Eskortowany przez młodego wartownika Pisciotta minął szerokie drzwi budynku administracyjnego. Znalazł się w ogromnym pomieszczeniu, w którym panował okropny zaduch. Niewiele pomagały umieszczone pod sufitem wiatraki. W sali dominowało wielkie, ustawione na podwyższeniu biurko; barierki z obu jego boków oddzielały mniejsze biurka urzędników; wzdłuż ścian rozstawiono drewniane ławki. Za wielkim biurkiem siedział kapral policji. Bardzo się różnił od młodego wartownika. Na pulpicie widniała złota tabliczka, na której wygrawerowano KAPRAL CANIO SILVESTRO. Mężczyzna tors miał mocarny - olbrzymie ramiona i masywny kark, zwieńczony potężną niczym głaz głową. Różowa blizna, ślad po niemal śmiertelnej ranie, biegła od ucha ku wysuniętej szczęce. Długie, krzaczaste wąsy niczym dwa czarne skrzydła okalały wargi.

Na ramionach olbrzym miał naszywki świadczące o tym, że jest kapralem, oraz potężny pistolet za pasem. A co najgorsze, z najwyższą podejrzliwością i nieufnością popatrzył na Pisciotte, kiedy wartownik zameldował, o co chodzi. Gdy kapral Silvestro odezwał się, jego akcent zdradził, że jest Sycylijczykiem.

- Kłamiesz jak z nut - powiedział Pisciotcie. Lecz nim zdążył dodać choćby słowo więcej, spod bramy dało się słyszeć wołanie Guiliana:

- Hej, wy tam, karabinierzy, chcecie wina? Tak czy nie?

Pisciotta podziwiał ton głosu Turiego; ochrypli i tak przesycony dialektem, jak u najmniej inteligentnego wieśniaka tej prowincji. Dobór słów wskazywał na zamożnego wieśniaka.

Kapral mruknął ze znużeniem:

- W imię Boga, co ten tam wrzeszczy? - I energicznym krokiem przestąpił próg. W ślad za nim ruszyli wartownik i Pisciotta.

Pomalowany wóz, zaprzęzony w białego muła, stał przed bramą. Obnażony do pasa, opływający potem Turi Guiliano wymachiwał gąsiorkiem wina. Na jego twarzy malował się szeroki, głupawy uśmiech, a ciało wydawało się leniwe i niezdarne. Ten wygląd rozwiewał wszelkie podejrzenia. Przybyły me miał przy sobie broni, był pijany i mówił najpodlejszym ze wszystkich dialektów Sycylii. Ręka kaprała opadła ku pistoletowi, wartownik zniżył karabin. Pisciotta odstąpił krok w tył, gotów wyciągnąć zza pazuchy swoją broń.

- Mam dla was wóz pełen wina - obwieści! bełkotliwie Guiliano. Wydmuchał nos w palce i otarł gile o bramę.

- Kto zamówił wino? - dopytywał się kapral. Jednak już podchodził ku bramie i Guiliano wiedział, że chce ją szerzej otworzyć, by wpuścić wóz do środka.

- Ojciec kazał mi przywieźć je dla *maresciallo*. - Guiliano mrugnął porozumiewawczo.

Kapral ruszył w stronę Turiego. Bez wątpienia wino było podarunkiem od któregoś z farmerów trudniących się szmuglem. Policjant pomyślał z niepokojem, że ojciec, jak każdy prawdziwy Sycylizczyk, powinien był sam przywieźć wino, by właśnie jego skojarzono z tym podarkiem. Lecz zaraz wzruszył ramionami.

- Wyładuj towar i zanieś go do koszar.

- Sam nie dam rady - odparł Guiliano.

Kaprała ponownie ogarnęły wątpliwości. Ostrzegął go jakiś szósty zmysł. Guiliano, zdając sobie z tego sprawę, zszedł z wozu i stanął tak, by łatwo mu było sięgnąć do schowka po luparę. Najpierw jednak podniósł gąsior z winem w bambusowej plecionce i powiedział:

- Mam dla was dwadzieścia takich ślicznotek. Kapral ryknął rozkaz w kierunku koszar. Wybiegło stamtąd dwóch młodych karabinierów. Mieli rozpięte mundury i nie włożyli czapek. Żaden z nich nie zabrał też broni. Guiliano stanął na wozie, rzucając w ich ramiona gąsiorki z winem. Zawołał wesoło:

- Z pewnością pomożecie je opróżnić, więc pracujcie.

Teraz, kiedy trzech policjantów było unieruchomionych, gdyż ręce mieli zajęte gąsiorami z winem, Guiliano bacznym spojrzeniem omiół cały teren. Sytuacja

wyglądała dokładnie tak, jak sobie życzył. Pisciotta znajdował się tuż za plecami kaprała, jedyne go żołnierza o wolnych rękach. Guiliano szybko obrzucił spojrzeniem zbocza gór, ale nie dojrzał tam ani śladu powracających z przeszukiwania oddziałów. Zerknął na drogę do Castellammare; nie pojawił się na niej wóz opancerzony. Dalej, w głębi via Bella, wciąż bawiły się dzieciaki. Sięgnął do wozu, wyciągnął luparę i wycelował z niej w zdumionego kaprała. Jednocześnie Pisciotta wydobyl z za pazuchy pistolet i przycisnął lufę do pleców kaprała:

- Nie ruszaj się - polecił. - Albo odstrzelę ci te wielkie wusiska.

Guiliano trzymał na muszce trzech pozostałych, przerażonych wartowników.

- Nie wypuszczajcie tych gąsiorków z rąk. Ruszać w stronę zabudowań.

Uzbrojony wartownik, mając ręce zajęte winem, upuścił karabin na ziemię. Kiedy wchodzili do budynku, Pisciotta podniósł broń. W biurze Guiliano wziął do ręki plakietkę z nazwiskiem i podziwiał ją.

- Kapral Canio Silvestro. Pańskie klucze, proszę. Wszystkie, co do jednego.

Dłoń kaprała spoczęła na pistolecie, kiedy mierzył Guiliana wściekłym wzrokiem. Pisciotta wyciągnął rękę i wycelował do niego ze swej broni. Kapral odwrócił się i popatrzył na niego lodowatym wzrokiem, w którym czaiła się śmiertelna groźba. Aspanu uśmiechnął się i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć. Kapral zwrócił się do Guiliana:

- Mój chłopcze, uciekaj stąd i zostań aktorem. Jesteś świetny. Ale w to się nie baw, gdyż nie ujdiesz z życiem. Przed zmrokiem wróci *maresciallo* ze swymi ludźmi i wtedy znajdzie cię nawet na końcu świata. Przemyśl jeszcze raz, młody przyjacielu, co to znaczy być banitą z ceną wyznaczoną za swoją głowę. Ja sam, osobiście, będę cię ścigał i nigdy nie zapomnę twojej twarzy. Dowiem się twojego nazwiska i wytropię cię, choćbyś się schował w samym piekle.

Guiliano uśmiechnął się do niego. Z jakiegoś powodu polubił tego mężczyznę.

- Skoro chcesz poznać moje nazwisko, dlaczego nie zapytasz?

Kapral popatrzył na niego wzgardliwie.

- A co, zdradzisz mi je, jakbyś był idiotą?

- Ja nigdy nie kłamię. Nazywam się Guiliano. Kapral sięgnął w stronę pistoletu, od którego uwolnił go już Pisciotta. Guiliano jeszcze bardziej polubił karabiniera za tę jego instynktowną reakcję. Miał chłop odwagę i poczucie obowiązku. Pozostali

strażnicy byli przerażeni. Oto ujrzeni przed sobą Turiego Guiliana, który już zabił ich trzech towarzyszy. Spodziewali się więc, że i im nie daruje życia.

Kapral wpatrywał się chwilę uważnie w twarz Guiliana, utrwalając ją sobie w pamięci, po czym niespiesznie i ostrożnie wziął z blatu biurka wielki pęk kluczy. Uczynił to, gdyż Guiliano mocno szturchnął go lufą karabinu w plecy. Turi odebrał kapralowi klucze i cisnął je Pisciotcie.

- Uwolnij więźniów - polecił.

W mieszczącym więzienie skrzydle budynku administracyjnego, w wielkim, okratowanym pomieszczeniu, siedziało dziesięciu mieszkańców Montelepre, aresztowanych w wieczór ucieczki Guiliana. W jednej z dwóch niewielkich separarek umieszczono słynnych miejscowych bandytów. Byli to Passatempo i Terranova. Pisciotta otworzył drzwi ich celi, a oni, ze złowieszczym uśmiechem, podążyli za nim do drugiego pomieszczenia.

Aresztowani obywatele Montelepre, wszyscy sąsiedzi Guiliana, hurmem ruszyli do biura i otoczyli Turiego, by go uściskać i pogratulować mu. Guiliano pozwolił na to, lecz wciąż nie tracił czujności, nie odrywał wzroku od pojmanych karabinierów. Sąsiedzi byli we wspaniałych humorach z powodu jego bohaterskiego wyczynu; Turi upokorzył znienawidzoną policję, stał się ich przywódcą. Powiedzieli mu, że *maresciallo* nakazał ich poddać *bastinado*, lecz kapral skutecznie temu zapobiegł dzięki sile swojego charakteru i darowi przekonywania. Wyjaśnił, iż taka kara narobi tylko złej krwi, co może zagrozić bezpieczeństwu koszar. Za to nazajutrz miano ich przetransportować do Palermo, gdzie czekałoby ich przesłuchanie przed sądem.

Guiliano opuścił muszkę lupary ku podłodze. Obawiał się, że przypadkowym strzałem może zranić kogoś z otaczającego go tłumu. Wszyscy ci mężczyźni byli w podeszłym wieku, to sąsiedzi, których znał od dziecka. Kiedy do nich przemówił, uczynił to z takim samym szacunkiem, jak zawsze:

- Powitam was serdecznie, jeśli dołączycie do mnie w górach - zapewnił. - Możecie też pojechać w odwiedziny do krewnych w innych częściach Sycylii i pozostać tam, dopóki władze nie oprzytomnieją.

Czekał na odpowiedź, ale spotkał się tylko z milczeniem. Dwaj bandyci, Passatempo i Terranova, stali w pewnym oddaleniu od reszty. Byli wyraźnie spięci, jak gdyby w każdej chwili gotowali się do skoku. Passatempo był niskim, przysadzistym, brzydkim mężczyzną o ordynarnej twarzy, poznaczonej dziobami po

ospie i mięsistych, niekształtnych wargach. Chłopi ze wsi nazywali go Bestią. Terranova też był niewysoki, ale zwinny jak łasica. A jednak miał sympatyczne rysy, jego usta zdawały się składać do uśmiechu. Passatempo był typowym chciwym sycylijskim bandytą, który kradł bydło i zabijał dla pieniędzy, Terranova zaś ciężko pracującym wieśniakiem, który życie człowieka wyjętego spod prawa rozpoczął wtedy, gdy dwóch poborców podatkowych przyszło skonfiskować jego wieprzka, za którego zdobywał nagrody. Zabił ich obu, zaszlachtował świnie, aby jego rodzina i sąsiedzi mieli co jeść, a potem zbiegł w góry. Obaj bandyci połączyli swoje siły, jednak zdradzono ich i pojmano w opuszczonej stodole na polach Corleone, gdzie się ukrywali.

- Wy dwaj nie macie wyboru - zwrócił się do nich Guiliano. - Pójdziemy razem w góry, a tam, jeśli zechcecie, możecie pozostać pod moim dowództwem albo działać na własną rękę. Ale dzisiaj potrzebuję waszej pomocy, wyświadczcie mi więc tę drobną przysługę. - Uśmiechnął się do nich, próbując osłodzić fakt, że muszą podporządkować się jego rozkazom.

Nim któryś z bandytów zdążył odpowiedzieć, kapral karabinierów zdobył się na szalony akt oporu. Może wynikało to z urażonej dumy Sycylijczyka, może z jakiegoś wrodzonego zwierzęcego okrucieństwa, a może po prostu rozwścieczył go fakt, że powierzeni jego opiece notoryczni przestępcy zamierzają uciec. Stał zaledwie kilka kroków od Guiliana i z zadziwiającą szybkością przyskoczył do niego.

Jednocześnie wyciągnął mały pistolet, ukryty pod koszulą. Guiliano zerwał z ramienia luparę, by strzelić, ale już było za późno. Kapral wypalił z pistoletu z odległości dwóch stóp w głowę Guiliana. Kula trafiłaby Turiego prosto w twarz. Wszyscy zamarli z przerażenia. Guliano dostrzegł lufę wycelowaną w swoją głowę, a poza lufą mięśnie poczerwieniałej z wściekłości twarzy kaprała, drgające niczym u węża. Jednak pistolet, zdawało się, unosił się bardzo wolno. Przypominało to przeżywanie koszmaru sennego, kiedy człowiek czuje, że osuwa się w otchłań, a jednak wie, że to tylko sen i że nigdy nie uderzy o dno. W ułamku sekundy, zanim kapral zdołał nacisnąć spust, Guiliano poczuł jakieś przemożne uniesienie, a nie strach. Nawet nie mrugnął powieką, kiedy tamten naciskał spust, prawdę mówiąc, postąpił jeszcze krok w przód. Rozległ się głośny, metaliczny trzask, gdy spust uderzył w uszkodzoną kulę w lufie. W następnym ułamku sekundy na kaprała rzucili się Pisciotta, Terranova i Passatempo. Upadł pod ciężarem ich ciał. Terranova wyrwał

mu pistolet i cisnął go na bok, Passatempo chwycił kaprała za włosy i usiłował wydlubać mu oczy. Pisciotta wydobyl nóż, gotów zagłębić jego ostrze w gardle karabiniera. Guiliano powstrzymał go w ostatniej chwili.

- Nie zabijaj go - polecił spokojnie. I odciągnął tamtych od bezwładnego teraz i bezbronnego ciała kaprała. Spojrzał w dół i z obrzydzeniem ujrzał, jakie szkody wyrządził ów krótki moment zbiorowej furii. Kapral miał naderwane ucho, z głowy ciekła mu strumieniem krew. Prawe ramię było groteskowo wykręcone pod dziwnym kątem. Jedno oko miał zalane krwią, zwisał nad nim potężny płat skóry.

Ale ten mężczyzna nie znał strachu. Leżał spokojnie, oczekując śmierci, toteż Guiliana ogarnęła nagle przemożna fala czułości dla karabiniera. Oto człowiek, który poddał go próbie i potwierdził jego nieśmiertelność; dał świadectwo niemocy śmierci. Guiliano pomógł mu wstać i ku zdumieniu wszystkich szybko go uściskał. Terranova obejrzał pistolet.

- Możesz mówić o wielkim szczęściu - oznajmił Turie- mu. - Tylko ta jedna kula jest felerna.

Guiliano wyciągnął rękę po broń. Terranova zawahał się chwilę, potem mu ją oddał. Turi zwrócił się do kaprała.

- Zachowuj się rozsądnie - odezwał się przyjaznym tonem - a nic złego nie stanie się ani tobie, ani twoim ludziom. Gwarantuję ci to.

Kapral, wciąż zbyt oszołomiony i osłabły od ran, najwyraźniej nawet nie pojął sensu tych słów.

- Daj mi swój nóż, a załatwię go na amen - szepnął Passatempo do Pisciotty.

- Tutaj Guiliano wydaje rozkazy i wszyscy są mu posłuszni - odparł Pisciotta rzeczowym tonem, by nie wzbudzić u bandyty podejrzeń, że w każdej chwili gotów jest go zamordować.

Obywatele Montelepre, uwolnieni z aresztu, błyskawicznie uciekli. Nie chcieli być świadkami masakry karabinierów. Guiliano zapędził kaprała i jego kompanów do skrzydła budynku, w którym mieścił się areszt, i zamknął ich razem w zbiorowej celi. Potem poprowadził Pisciotte, Terranovę i Passatempa na przeszukanie innych zabudowań koszar Bellampo. W zbrojowni znaleźli karabiny, pistolety i karabiny maszynowe oraz skrzynki z amunicją. Opasali się bronią, a amunicję załadowali na wóz. Z kwater zabrali koce i śpiwory, Pisciotta na wszelki wypadek wrzucił na wóz

dwa mundury. Potem, z Guilianem jako woźnicą, wypełniony po brzegi skradzionymi dobrami wóz, pod eskortą trzech mężczyzn z bronią gotową do strzału, ruszył w drogę, aby uchronić się przed spodziewanym atakiem. Szybko kierowali się drogą do Castellammare. Godzinę zabrało im dotarcie do zagrody wieśniaka, który Hectorowi Adonisowi wypożyczył wóz, i ukryli w chlewie zrabowany towar. Następnie pomogli chłopu przemaalować wóz oliwkowozieloną farbą, zwędzoną z magazynów armii amerykańskiej.

Maresciallo Roccofino ze swoimi oddziałami pościgowymi wrócił w porze kolacji; na niebie zachodziło słońce, a w ciągu tego dnia nigdy nie zaświeciło tak jasno, jak jasnym płomieniem rozgorzał gniew *maresciallo* na widok jego ludzi uwięzionych we własnej klatce. *Maresciallo* wysłał wóz opancerzony, by penetrował wszystkie drogi w poszukiwaniu śladów bandytów, lecz w tym czasie Guiliano ukrył się już bezpiecznie w sanktuarium gór.

Prasa w całych Włoszech nadała tej sprawie najwyższą rangę. Zabójstwo dwóch innych karabinierów, dokonane zaledwie trzy dni wcześniej, także pojawiło się wówczas na pierwszych stronach gazet, lecz wtedy potraktowano Guiliana jako jeszcze jednego zdesperowanego sycylijskiego bandytę, którego jedynym powodem do sławy było okrucieństwo. Ten napad wszakże to już całkiem inna kwestia. Dzięki przebiegłości i odpowiedniej taktyce Guiliano pokonał karabinierów Policji Narodowej. Uwolnił swoich przyjaciół i sąsiadów, niesłusznie, rzecz jasna, uwięzionych. Dziennikarze z Palermo, Neapolu, Rzymu i Mediolanu hurmem zjechali do Montelepre, by przeprowadzić wywiady z rodziną i przyjaciółmi Turiego Guiliana. Sfotografowano jego matkę, trzymającą gitarę syna, na której, jak twierdziła, grał niczym anioł. (Nie była to prawda; dopiero zaczynał się uczyć i na razie potrafił wydobyć z instrumentu zaledwie kilka w miarę składnych akordów.) Jego dawni koledzy szkolni zdradzili, że Turi był tak zapalonym miłośnikiem książek, iż nadali mu przydomek Profesor. Ten fakt ze szczególnym upodobaniem podkreślano w gazetach. Sycylijski bandyta, który naprawdę potrafi czytać. Wspomniano także o jego kuzynie, Aspanu Pisciotcie, który dołączył do niego na wygnaniu w górach, jako o oddanym przyjacielu. Rozważano, kim musi być człowiek, który potrafi zyskać taką lojalność.

Stare zdjęcie siedemnastoletniego Guiliana, ukazujące go jako niewiarygodnie przystojnego młodzieńca, męskiego jak każdy mieszkaniec rejonu Morza

Śródziemnego, sprawiło, że historii tej wprost nie sposób było się oprzeć. Jednakże najbardziej podbiła serca Włochów relacja o akcie miłosierdzia Guiliana, który darował życie kapralowi, choć ten usiłował go zabić. Okazało się to lepsze nawet od opery - bardziej przypominało tak popularny na Sycylii teatr marionetek, gdzie drewniane kukielki nigdy nie krwawiły, a ich ciała nigdy nie rozszarpały ani nie masakrowały kule.

Gazety jedynie przelotnie wspomniały o fakcie, że Guiliano zdecydował się wypuścić na wolność takich zbójów, jak Terranova i Passatempo, wychodząc z założenia, iż owi dwaj diabelscy towarzysze mogą popsuć wizerunek rycerza w lśniącej zbroi.

Tylko jedna gazeta mediolańska przypomniała, że Salvatore „Turi” Guiliano już zabił trzech karabinierów Policji Narodowej. Zasugerowano, że należy podjąć specjalne środki, by go pojmać, że mordercy mu należy rozgrzeszać z jego zbrodni tylko dlatego, iż jest przystojny, odcytany i dobrze gra na gitarze.

Rozdział dziewiąty

Don Croce do tej pory wiedział już wszystko o Turim Guilianie i był dla niego pełen podziwu jako dla prawdziwego młodego mafiosa. Oczywiście pojmował to określenie w jego tradycyjnym znaczeniu: twarz mafiosa, drzewo mafiosa, kobieta mafiosa - to znaczy coś, co przede wszystkim jest na swój szczególny sposób. Jakimż świetnym zbrojnym ramieniem mógłby dla dona Crocego stać się ten młody człowiek! Jakimż dowódcą żołnierzy na polu walki! Don Croce nie zważał na fakt, że w tej chwili Guiliano okazał się cierniem w jego boku. Dwaj uwięzieni w Montelepre bandyci, straszliwy Passatempo i bystry Terranova, zostali schwytani za jego, dona Crocego, przyzwoleniem i przy jego współudziale. Lecz wszystko to można puścić w niepamięć, co było, to było; on nigdy nie chował urazy, jeżeli mogłaby stanąć na przeszkodzie przyszłym zyskom. W tej sytuacji nie będzie spuszczał z Tu- riego Guiliana oka.

Ukryty głęboko w górach Guiliano nie uświadamiał sobie swojej rosnącej sławy. Był zanadto zaprzątnięty planami, jak zbudować własną potęgę. Jego głównym problemem okazali się dwaj hersztowie bandytów, Terranova i Passatempo. Wypytał szczegółowo, w jaki sposób zostali schwytani, i doszedł do wniosku, że ich zdradzono. Ktoś wydał zbiegów. Obaj przysięgali, że ich ludzie byli wobec nich lojalni, a w zasadzce wielu z nich zginęło. Guiliano zastanawiał się nad okolicznościami wpadki i pojął wreszcie, że to mafia, służąca za ochronę i pośrednika między dwiema bandami, dopuściła się zdrady. Kiedy napomkną! o tym bandziorem, nie chcieli w to uwierzyć. Przyjaciele przyjaciół nigdy nie wyrzekną się uświęconych reguł omerty, która przecież zawsze sprawiała, że udawało się przetrwać. Guiliano nie upierał się. Zamiast tego zaproponował im oficjalnie przyjęcie w poczet swojej grupy.

Wyjaśnił, że jego celem nie jest jedynie przetrwanie, lecz że pragnie stworzyć siłę polityczną. Podkreślił, że nie będą rabować biednych. Połowę łupów rozdzielił się między potrzebujących wokół Montelepre aż po przedmieścia Palermo. Terranova i Passatempo będą mogli dowodzić własnymi grupami, lecz podporządkują się rozkazom Guiliana. Owe samodzielne oddziały bez jego zgody i wiedzy nie wyprawiają się po pieniądze, oni zaś, wspólnie, zdobędą absolutną władzę nad prowincją, w której mieści się duże Palermo, miasto Monreale, miasteczka Montelepre, Par- tinico i

Corleone. Przekonał tamtych dwóch, że będą podejmować ofensywne akcje przeciwko karabinierom. To policja, nie om, zacznie się lękać o swoje życie. Terranovę i Passatempa zadziwiła brawura Turiego.

Passatempo, bandyta w starym stylu, wierzący w przemoc, napady przed świtem i mordowanie pasterzy, natychmiast jął rozmyślać, co zyskałby na tym związku, a później rozważał zabicie Guiliana i przejęcie jego działki. Terranova, który polubił Turiego i żywił dla niego większą wdzięczność za swoje uwolnienie, zastanawiał się, w jaki sposób może pokierować tym młodym, utalentowanym chłopakiem, by wkroczył na bardziej cnotliwą drogę. Turi przypatrywał się obu ze skrywanym uśmiechem, jak gdyby potrafił czytać w ich myślach. Rozbawił go tok rozumowania obu mężczyzn.

Pisciotta przywykł już do szlachetnych idei swojego przyjaciela. Wierzył mu. Jeżeli Turi Guiliano powiedział, że może czegoś dokonać, to Aspanu Pisciotta mu ufał. Teraz więc słuchał.

W jasnych promieniach porannego słońca, które oblało góry złotą poświatą, wszyscy trzej mężczyźni słuchali Guiliana, jego baśni o tym, jak to rozpoczną walkę, która przyniesie wolność wszystkim Sycylijczykom, podźwigną z nizin biedotę i zniszczą władzę mafii, właścicieli ziemskich i Rzymu. Kogoś innego wysmialiby, ale przecież każdy, kto widział tę scenę na własne oczy, zapamięta ją na całe życie: kapral karabinierów celujący z pistoletu w głowę Guiliana i spokojny wzrok Turiego, jego absolutna pewność, że nie może zginąć, kiedy czekał, aż kapral naciśnie spust. I miłosierdzie, jakie okazał tamtemu, gdy pistolet nie wypalił. Były to czyny człowieka, który uwierzył w swoją nieśmiertelność i zmusił innych, by podzielili tę wiarę. Tak więc teraz wpatrywali się w przystojnego młodzieńca, pozostając pod wrażeniem jego urody, odwagi i niewinności.

Nazajutrz rano Guiliano poprowadził trzech mężczyzn, Aspanu Pisciottę, Passatempa i Terranovę, w dolinę ścieżką, która wiodła na równiny koło miasteczka Castelvetro. Jeszcze przed świtem poszedł tam sam, by zbadać teren. On i jego ludzie ubrani byli jak zwykli robotnicy.

Wiedział, że tę drogę przemierzają konwoje ciężarówek z żywnością, przewożące towar z magazynów na czarny rynek w Palermo. Problem polegał na tym, jak je zatrzymać. Będą jechały z wielką prędkością, by zapobiec ewentualnym napadom, a kierowcy mogą być uzbrojeni.

Guiliano polecił swoim ludziom, aby ukryli się w zaroślach tuż pod Castelvetro, a sam usiadł na wielkim białym głazie, tak żeby go widziano. Wracający z pól mężczyźni przypatrywali mu się z kamiennymi twarzami. Widzieli jego luparę i przyspieszali kroku. Guiliano zastanawiał się, czy którykolwiek z nich go rozpoznał. Potem spostrzegł wielki wóz, pomalowany w sceny z legendarnych opowieści, ciągniony przez jednego muła. Guiliano znał powożącego nim starego mężczyznę. Był to jeden z zawodowych przewoźników, tak licznych na rolniczej Sycylii. Wynajmował swój pojazd do transportu bambusu z odległych wiosek do fabryki w mieście. Niegdyś, dawno temu, zawitał i do Montelepre, by przewieźć towar ojca Guiliana. Turi wyszedł na środek drogi. W prawym ręku trzymał niedbale luparę. Woźnica rozpoznał go, chociaż nie zmienił wyrazu twarzy, jedynie lekko mrugnął powiekami.

Guiliano powitał go serdecznie, tak jak zwykł w dzieciństwie, zwracając się doń per „wuju”.

- Wuju Zu Peppino. Cóż to za szczęśliwy dla nas obu dzień! Jestem tutaj, by uczynić cię bogatym, a ty pojawiłeś się, by pomóc mi ulżyć brzemieniu, jakie dźwigają biedni. - Szczerze ucieszył się na widok starego i wybuchnął śmiechem.

Starzec nie odpowiedział. Z niewzruszoną miną przypatrywał się Guilianowi. Turi wspiął się na wóz i usiadł obok niego. Odłożył na bok wozu luparę, a potem znów roześmiał się beztrosko. Peppino sprawił, iż był pewien, że ten dzień okaże się szczęśliwy.

Guiliano rozkoszował się rzeźkością późnej jesieni, pięknem gór na horyzoncie, świadomością, że trzech ukrytych w krzakach ludzi z karabinami pilnuje tego, co się dzieje na drodze. Wyjaśnił Peppinowi, jakie ma plany, a ten wysłuchał go bez słowa, nie zmieniając wyrazu twarzy, przynajmniej do chwili, w której Guiliano powiedział mu, jaka czeka go za to nagroda: otóż jego wóz zostanie napełniony po brzegi towarem z ciężarówek. Wtedy Peppino chrząknął i rzekł:

- Turi Guiliano, zawsze byłeś wspaniałym, dzielnym młodzieńcem. I gdy dorosłeś, wcale się nie zmieniłeś. - Guiliano przypomniał sobie, że Peppino należał do ludzi ze starej sycylijskiej szkoły, która odznaczała się kwiecistą wymową. - Możesz na mnie liczyć teraz i przy innych okazjach. Przekaż wyrazy mojego uszanowania swojemu ojcu, który może być dumny z takiego syna.

Konwój trzech załadowanych żywnością ciężarówek pojawił się na drodze koło południa. Kiedy wyjechały zza zakrętu, który prowadził wprost na równinę Partinico, musiały się zatrzymać, drogę bowiem kompletnie zatarasowały wozy, które się ze sobą zderzyły, i muły. Była to sprawka Peppina, któremu wszyscy okoliczni woźnicy byli winni wdzięczność i posłuszeństwo.

Kierowca jadącej na czele ciężarówki nacisnął klakson i tak poprowadził pojazd, że naparł na najbliższy wóz. Woźnica odwrócił się i zmierzył go złowieszczym spojrzeniem, a szofer natychmiast zahamował i czekał cierpliwie. Znał tych woźniców, mimo swojej podłej profesji byli dumnymi, okrutnymi ludźmi, przekonanymi głęboko, że ich prawa do korzystania z drogi są większe niż zmotoryzowanych pojazdów, zakłują go więc na śmierć, jeśli nie ustąpi, a dokonają tego bez zmrużenia oka.

Pozostałe dwie ciężarówki zaryły się w ziemi. Kierowcy wysiedli. Jeden z nich pochodził ze wschodniego krańca Sycylii, a drugi był obcy; to znaczy, urodził się w Rzymie. Rzymianin podszedł do wozów, rozsuwając zamek błyskawiczny kurtki; rozgniewany krzychał do wieśniaków, aby zabrali stąd te cholerne muły i swoje gówniane wozy. Jednocześnie jedną rękę wsunął za pazuchę.

Guiliano zeskoczył z wozu. Nie fatygował się, by zabrać luparę lub wydobyć pistolet zza pasa. Dał znak towarzyszom czatującym w zaroślach, wybiegli na drogę z karabinami przygotowanymi do strzału. Terranova zastawił ostatnią ciężarówkę tak, by nie mogła się wycofać. Pisciotta ześliznął się po poboczu i stanął przed rozwścieczonym kierowcą z Rzymu.

Tymczasem Passatempo, bardziej rozjątrzony od innych, wyciągnął pierwszego szofera z kabiny i rzucił go na drogę do stóp Guiliana. Guiliano wyciągnął rękę i postawił nieszczęśnika z powrotem na nogi. W tym samym czasie Pisciotta popędził kierowcę ostatniej ciężarówki, by dołączył do swoich dwóch kompanów.

Rzymianin wyjął dłoń zza pazuchy; z jego twarzy znikł wyraz gniewu. Guiliano uśmiechnął się, szczerze okazując dobrą wolę. Powiedział:

- Wy trzej macie dzisiaj swój szczęśliwy dzień. Nie będziecie musieli odbywać długiej podróży do Palermo. Ci ludzie rozładują wasze ciężarówki i pod moim nadzorem rozdadzą żywność wśród potrzebujących w tej okolicy. Pozwólcie, że się wam przedstawię. Jestem Guiliano.

Trzej kierowcy natychmiast zaczęli przeproszać, oferując swoje usługi. Nie ma pośpiechu, mówili. Mają mnóstwo czasu. Prawdę mówiąc, już pora, by zjedli drugie śniadanie. Ich ciężarówki są wygodne. Nie jest zbyt ciepło. Rzeczywiście, to szczęśliwy traf, prawdziwe zrządzenie losu.

Guiliano widział, że się boją.

- Nie obawiajcie się - zapewnił. - Nie zabijam ludzi, którzy w pocie czoła zarabiają na chleb. Zjemy razem drugie śniadanie, a tymczasem moi ludzie dokonają swego dzieła. Potem odjedziecie do domów, do żon i dzieci, i opowiecie im, jaki dobry mieliście dzień. Kiedy policja zacznie was przesłuchiwać, powiedzcie jej tylko to, co konieczne, a zasłużycie sobie na moją wdzięczność.

Guiliano urwał. Wiedział, jakie to ważne, by ci kierowcy nie czuli wstydu ani nienawiści. Jakże istotne jest, aby przekazali innym, że dobrze ich potraktowano. Gdyż po nich przyjdą inni.

Pozwolili się odprowadzić w cień wielkiego głazu na pobocze drogi. Na ochotnika, bez rewizji, oddali Guilianowi pistolety. I gdy rozładowywano ich ciężarówki, siedzieli grzecznie niczym aniołki. Kiedy woźnice skończyli, pozostała jeszcze jedna ciężarówka, której zawartość nie pomieściłaby się na ich wozach. Guiliano posłał tam Pisciotę i Passatempa wraz szoferem. Rozkazał Pisciotcie, by rozdzielili żywność wśród robotników rolnych z Montelepre. Sam Guiliano wspólnie z Terranową mieli pilnować rozproszania towaru w rejonie Castelvetrano i w miasteczku Partinico. Później wszyscy spotkają się na szczycie Monte d'Ora.

Tym jednym wyczynem Guiliano zaskarbił sobie wdzięczność i pomoc całej okolicy. Jakież inny bandyta podzieliłby się swoimi łupami z biednymi? Nazajutrz wszystkie sycylijskie gazety donosiły o nowym Robin Hoodzie. Tylko Passatempo sarknął, że całodzienna robota poszła na marne. Pisciotta i Terranova rozumieli, iż ich banda w walce przeciwko Rzymowi zyskała sobie tysiąc zwolenników.

Z jednego wszakże me zdawali sobie sprawy - iż towar pochodził z magazynów dona Crocego.

Nie minął miesiąc, a Guiliano już wszędzie miał swoich informatorów - przekazujących mu, co bogaci kupcy nabywają za zarobione na czarnym rynku pieniądze, donoszących o nawykach niektórych szlachciców i informujących o tych nielicznych podłych ludziach, którzy zanoszą plotki wysoko postawionym

policjantom. W ten sposób dotarła do uszu Turiego wieść o biżuterii, którą od czasu do czasu pyszni się księżna Alcamo.

Mówiono, iż przez większą część roku klejnoty spoczywają w sejfie bankowym w Palermo, ale niekiedy księżna wyjmuje je stamtąd na specjalne okazje. Guiliano, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co, jak podejrzewał, może stać się bogatym łupem, wysłał Pisciottę na zwiady.

Dwadzieścia mil na południowy zachód od Montelepre znajdowała się otoczona murem posiadłość księcia i księżnej Alcamo; bram strzegli uzbrojeni strażnicy. Książę płacił także „pensję” przyjaciołom przyjaciół, co gwarantowało, że nikt nie ukradnie mu bydła, nie włamie się do jego domu ani nie porwie nikogo z rodziny. W normalnych czasach i mając do czynienia z normalnymi przestępcami, byłby bezpieczniejszy niż sam papież w Watykanie.

Na początku października w wielkich posiadłościach ziemskich na Sycylii zbierano winogrona, toteż wynajmowano robotników z okolicznych wiosek. Pisciotta stanął się na miejskim rynku i pozwolił się zwerbować do pracy w majątku księcia. Pierwszy dzień spędził na mozolnej robocie, napełniając kosze ciemnogrnatowymi owocami. W winnicy trudziło się ponad stu ludzi - mężczyźni, kobiety i małe dzieci - którzy podczas pracy śpiewali. W południe na dworze wydawano obfity posiłek.

Pisciotta usiadł na osobności, obserwując pozostałych. Jego wzrok padł na młodą kobietę, która przyniosła z zamku tacę z chlebem. Była ładna, choć blada - najwyraźniej rzadko pracowała na słońcu - i lepiej ubrana od innych wieśniaczek. Ale chłopaka uderzyła jej pogardliwa mina i fakt, że unikała wszelkich kontaktów z resztą robotników. Dowiedział się, że dziewczyna jest osobistą pokojówką księżnej.

Natychmiast się zorientował, że może mu się ona przydać bardziej niż ktokolwiek inny. Guiliano, który świetnie wiedział, do jakich sposobów ucieka się Pisciotta, przykazał mu surowo, by podczas zbierania informacji nie zhańbił żadnej miejscowej dziewczyny. Pisciotta jednak uważał Turiego za zbyt wielkiego romantyka. Nagroda była sowita, dziewczyna zaś wyjątkowo ładna.

Kiedy pojawiła się, dźwigając następną wielką tacę z chlebem, wyjął ją z rąk dziewczyny, by jej pomóc. Przestraszyła się i gdy spytał, jak ma na imię, nie chciała mu powiedzieć.

Pisciotta odstawił tacę i chwycił dziewczynę pod ramię. Uśmiechnął się do niej złowieszczo:

- Odpowiadaj, kiedy zadaję ci pytanie. Jeśli nie, zagrzebię cię w tej górze winogron. - A potem roześmiał się, by pokazać, że tylko żartuje. Obdarzył ją najbardziej ujmującym ze swoich uśmiechów i przemówił łagodnym głosem: - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkałem na Sycylii. Pragnę z tobą porozmawiać.

Pokojówka była zarazem wystraszona i oczarowana. Spostrzegła u jego pasa groźnie wyglądający nóż, a ten chłopak nosił się, jak gdyby był co najmniej księciem. Była zaintrygowana. Wyjawiała, że ma na imię Graziella.

Po skończonym dniu pracy Pisciotta śmiało zapukał do drzwi zamkowej kuchni i zapytał o Graziellę. Stara kobieta, która mu otworzyła, wysłuchała go, potem odparła gburowato:

- Służbie nie wolno przyjmować gości. - I zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Nazajutrz znów Pisciotta wziął z rąk Grazielli tacę i szepnął dziewczynie, że chce się z nią spotkać po pracy. Gładząc ramię pokojówki, wsunął jej na przegub dłoni cienką złotą bransoletkę. Dziewczyna przyrzekła wymknąć się po zmroku i spotkać z nim w opustoszałej o tej porze winnicy.

Tego wieczoru Pisciotta włożył jedwabną koszulę, uszytą w Palermo na specjalne okazje. Cekał w kotlinie utworzonej przez usypane po obu stronach sterty winogron. Kiedy Graziella się pojawiła, objął ją, a gdy podała mu usta do pocałunku, musnął je wargami, jednocześnie wsuwając rękę między uda dziewczyny. Usiłowała się wyrwać, lecz zamknął ją w mocnym uścisku. Pocałowali się żarliwiej, uniósł jej wełnianą spódnicę. Zdumiał się, że nosi jedwabną bieliznę. Pomyślał, że musiała ją pewnie pożyczyć od księżnej. Była małą, zuchwałą złodziejką.

Pchnął ją na koc, który rozpostarł na ziemi. Położyli się razem. Graziella całowała go namiętnie, przez jedwabne majteczki czuł, że jest gotowa. Ściągnął je jednym szarpnięciem i dotknął dłonią ciepłego, wilgotnego ciała. Odpięła mu pasek. Nie przestawali się całować, kiedy opuszczał spodnie do kolan. Przetoczył się na dziewczynę, a potem wszedł w nią jednym pchnięciem. Graziella jęknęła cicho i z zadziwiającą siłą wypchnęła się do przodu. Aspanu Pisciotta poczuł, jak wznosi się i opada, wznosi się i opada, aż nagle jęknęła i znieruchomiała. Cholera, pomyślał Pisciotta, jest za szybka. Ale dobrze się stało. Jego celem było zdobycie informacji, zatem własna satysfakcja mogła poczekać.

Owinęli się kocem i leżeli przytuleni do siebie. Opowiedział jej, że musi zarobić pieniądze, by wstąpić na uniwersytet w Palermo, że rodzina pragnie, aby został

prawnikiem. Chciał, by sądziła, iż stanowi dobrą partię. Potem zaczął wypytywać dziewczynę, czy lubi swoją pracę i jacy są inni służący. Stopniowo naprowadził rozmowę na jej panią, księżnę.

Graziella znów włożyła dłoń Pisciotty między swoje uda, a potem mówiła mu, jak piękna jest księżna w swoich wspaniałych sukniach i biżuterii i że ona, Graziella, to jej ulubienica, może nosić odrzucone przez księżnę stroje, które wyszły z mody.

- Chciałbym cię zobaczyć w fatalaskach księżnej. Czy pozwala ci także wkładać swoją biżuterię?

- Hm, w Wigilię Bożego Narodzenia pożyczą mi na wieczór naszyjnik.

Zatem, tak jak przypuszczał Guiliano, podczas świąt klejnoty znajdują się w domu. Aspanu musiał dowiedzieć się jeszcze jednego, lecz dziewczyna nagle dosiadła go, usiłując jednocześnie przytrzymać koc na ramionach. Aspanu był gotów, koc opadł na ziemię, bluzka sfrunęła przez głowę Grazielli, gwałtowna namiętność sprawiła, że rzucili się na ścianę winogron. Kiedy skończyli, ich wyczerpane ciała pokrywał lepki sok owoców i ich własnej żarliwości.

- Pod gołym niebem jest całkiem fajnie - odezwał się Aspanu - ale kiedy będę mógł wejść do domu, byśmy pokochali się, jak należy?

- Nie wtedy, kiedy jest tutaj książę. Gdy przenosi się do Palermo, w zamku panuje większa swoboda. W przyszłym miesiącu, tuż przed świętami, wyjeżdża na parę tygodni.

Aspanu uśmiechnął się. Teraz, kiedy miał już wszystkie informacje, jakich potrzebował, zajął się swoją robotą. Jednym susem znalazł się na Grazielli i przygwoździł ją do ziemi; posiadał dziewczynę z taką gwałtownością, że - trochę wystraszona - aż osłabła z rozkoszy. Wystarczyło to, by chciała go zobaczyć w nadchodzącym miesiącu.

Pięć dni przed Gwiazdką Guiliano, Passatempo, Pisciotta i Terranova zajechali pod bramę majątku Alcamo wozem zaprzężonym w muły. Ubrani byli w stroje myśliwskie zamożnych wieśniaków, kupione w Palermo za towar skradziony podczas napadu na ciężarówki: welwetowe spodnie, czerwone wełniane koszule i obszerne kurtki, łatwo mieszczące pudełka z amunicją. Dwaj strażnicy zastawili im drogę. Ponieważ dzień był w pełni, nie zachowali czujności i nie zdjęli karabinów z ramion.

Guiliano żwawo podszedł do nich. Nie miał broni, prócz pistoletu ukrytego za szeroką klapą kołnierza kurtki.

- Panowie - odezwał się. - Nazywam się Guiliano, przybyłem, aby życzyć waszej czarującej księżnej wesołych świąt i błagać o jałmużnę na wspomnienie ubogich.

Strażnicy osłupieli ze zdumienia na dźwięk nazwiska Guiliana. Potem sięgnęli po karabiny. Lecz wtedy Passatempo i Terranova wycelowali w nich pistolety maszynowe. Pisciotta zabrał strażnikom broń i odrzucił ją na wóz. Passatempo i Terranova wraz z wartownikami pomaszerowali pod bramę.

Teren przed rezydencją okazał się ogromnym, wybrukowanym kamieniami dziedzińcem. W jednym rogu stadko kurczaków trzepotało się wokół starej służącej, sypiącej im ziarno. Przed pałacem, w ogrodzie czwórka dzieci księżnej bawiła się pod nadzorem guwernantki w czarnej wełnianej sukni. Guiliano ruszył dróżką prowadzącą do domu, Pisciotta szedł za nim. Jego informacje okazały się prawdziwe, nie widzieli innych strażników. Za ogrodem rozciągał się o wiele większy teren, na którym uprawiano warzywa i oliwny sad. Pracowało tam sześciu robotników. Aspanu zadzwonił i pchnął drzwi dokładnie w tej samej chwili, w której pokojówka je otworzyła. Graziella zdumiała się, zobaczywszy Pisciotte przed frontowymi drzwiami, i odstąpiła krok w tył.

- Nie bój się - powiedział łagodnie Guiliano. - Przekaz swojej pani, że księżę przysłał nas w interesach. Muszę się z nią rozmówić.

Wciąż zdumiona, Graziella poprowadziła ich do saloniku, w którym księżna czytała. Pani gestem odprawiła pokojówkę, zirytowana pojawieniem się nie zapowiedzianych intruzów, i odezwała się ostrym tonem:

- Mojego męża nie ma. Czym mogę służyć?

Guiliano nie zdołał odpowiedzieć. Piękno salonu zapało mu dech. Było to największe pomieszczenie, jakie kiedykolwiek widział i, co dziwniejsze, właściwie raczej okrągłe niż kwadratowe. Złociste kotary osłaniały ogromne weneckie okna, sufit, sklepiony na kształt kopuły, ozdabiała freski przedstawiające cherubinki. Wszędzie były książki - leżały na sofie, na stoliczkach do kawy i stały na niskich półkach wzdłuż ścian. Na ścianach wisiały wielkie olejne obrazy, ustawiono też wazony z kwiatami. Na stolikach, przed przepastnymi fotelami i sofami, tu i ówdzie rozrzucono srebrne i złote pudełeczka. W tym salonie z łatwością mogło pomieścić się choćby i sto osób, a korzystała z niego tylko jedna samotna kobieta w białej jedwabnej

sukni. Przez otwarte okna napływało światło słoneczne, powietrze i dobiegały okrzyki bawiących się w ogrodzie dzieci. Po raz pierwszy w życiu Guiliano pojął kuszący urok bogactwa, zrozumiał, że pieniądze potrafią stworzyć takie piękno, i z niechęcią pomyślał o jego zniszczeniu przez niepotrzebną głupotę czy okrucieństwo. Zrobi, co do niego należy, lecz nie pozostawi najmniejszej szramy na tym urokliwym miejscu.

Księżnę, czekającą wciąż na odpowiedź, uderzył przystojny i męski wygląd młodego człowieka. Dostrzegła, że wspaniały salon wywarł na nim wrażenie, ale była trochę zła, iż nie zwrócił uwagi na jej własną urodę. Pomyślała, jaka szkoda, że to z całą pewnością wieśniak, który nie obraca się w jej kręgach, gdzie drobny, niewinny flirt nie jest niczym zdrożnym. Wszystko to sprawiło, że odezwała się miłszym niż zwykle tonem:

- Młodzieńcze, przykro mi, ale jeśli to sprawa związana z majątkiem, musisz przyjść innym razem. Męża nie ma w domu.

Guiliano spojrział na nią. Poczul, iż ogarnia go fala niechęci, jaką biedak czuje wobec bogatej kobiety, która w oczywisty sposób okazuje mu wyższość z powodu swojego majątku i pozycji społecznej. Ukłonił się grzecznie, dostrzegł wspaniały pierścień na jej dłoni i rzekł z udawaną pokorą:

- Mam sprawę właśnie do pani. Nazywam się Guiliano.

Księżna jednak nie dosłyszała kpiny w jego głosie, gdyż przywykła do unizoności swojej służby. Potraktowała to jako rzecz oczywistą. Była kulturalną kobietą, interesowała się literaturą i muzyką, mało natomiast obchodziło ją codzienne życie Sycylii. Rzadko czytała lokalne gazety; uważała, że są prostackie. Dlatego też tylko powiedziała uprzejmie:

- Cieszę się, że pan do mnie zajrzał. Czy poznaliśmy się w Palermo? Może w operze?

Aspanu Pisciotta, który z satysfakcją obserwował całą scenę, roześmiał się głośno i podszedł do weneckiego okna, by zastawić drogę każdemu służącemu, który mógł nadejść z tamtego kierunku.

Guiliano, trochę zły na Pisciotte za jego śmiech, lecz rozbawiony ignorancją księżnej, rzekł stanowczo:

- Droga księżno, nigdy się nie widzieliśmy. Jestem bandytą. Nazywam się Salvatore Guiliano. Uważam się za przywódcę Sycylii, a celem mojej dzisiejszej wizyty

jest prośba, by oddała pani biżuterię na biednych, aby i oni mogli w pełni cieszyć się Bożym Narodzeniem, przyjściem Chrystusa na świat, i uroczyście je świętować.

Księżna uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Ten młokos, którego twarz i ciało wzbudziły w niej nieznane dotąd pożądanie, nie mógłby jej skrzywdzić. I teraz, choć już nieco zniecierpliwiona, wciąż jeszcze była mile zaintrygowana. Będzie miała o czym opowiadać na przyjęciach w Palermo. Dlatego też odezwała się z niewinnym uśmiechem:

- Moje klejnoty spoczywają w skrytce bankowej w Palermo. Możesz zabrać wszystkie pieniądze, jakie są w domu, razem z moim błogosławieństwem. - Jak długo żyła, nikt nigdy nie wątpił w jej słowa. Nie kłamała nawet wtedy, gdy była małą dziewczynką. Teraz zdarzył się ten pierwszy raz.

Guiliano popatrzył na brylantowy wisiołek na jej szyi. Wiedział, że księżna nie mówi prawdy, jednak ociągał się z zadaniem, które musiał wykonać. Potem skinął głową na Pisciottę, a ten wsadził palce między zęby i gwizdnął trzykrotnie. Po kilku minutach przy weneckim oknie pojawił się Passatempo. Jego niska, przysadzista postać i złowroga, poznaczona bliznami twarz sprawiały, że wyglądał, jakby był marionetką z kukielkowego teatrzyku. Oblicze miał szerokie, niemal pozbawione czoła, a gęste rozwichrzone czarne włosy i krzaczaste brwi upodobały go do goryla. Gdy uśmiechnął się do księżnej, zademonstrował wielkie, poczerniałe zęby.

Pojawienie się trzeciego bandyty wreszcie me na żarty przeraziło księżną. Zdjęła wisiołek i podała go Guilianowi.

- Czy się tym zadowolisz? - spytała.

- Nie - zaprzeczył Guiliano. - Droga księżno, ja jestem człowiekiem o miękkim sercu, lecz moi towarzysze są ulepieni z całkiem innej gliny. Aspanu, choć przystojny, jest równie okrutny jak jego wąsiki, dzięki którym łamie tak wiele serc. A ten człowiek przy oknie, mimo iż jest moim podkomendnym, przyprawia mnie o nocne koszmary. Proszę więc nie sprawiać, bym musiał ich spuścić ze smyczy. Niczym jastrzębie rzucają się na pani ogród i porwą pani dzieci w góry. A teraz proszę przynieść mi resztę brylantów.

Księżna pobiegła do swojej sypialni i po kilku minutach wróciła ze skrzyneczką na biżuterię. Wykazała dość przytomności umysłu, by zdążyć schować parę cenniejszych klejnotów. Podała puzderko Guilianowi. Podziękował jej uprzejmie, po czym zwrócił się do Pisciotty.

- Aspanu, księżna chyba zapomniała o kilku drobiazgach. Idź, rozejrzyj się po sypialni i sprawdź.

Pisciotta niemal natychmiast odnalazł schowane precjoza i przyniósł je Guilianowi. Tymczasem Guiliano otworzył szkatułkę z biżuterią i na widok szlachetnych kamieni serce podskoczyło mu do góry z radości. Zdał sobie bowiem sprawę, że zawartość tej skrzyneczki może przez wiele miesięcy żywić Montelepre. A jeszcze bardziej ucieszyła go świadomość, iż owe klejnoty księżę kupił za pieniądze, które w pocie czoła wypracowali jego najmici. Gdy zrozpaczona księżna załamywała dłonie, znów dostrzegł ogromny szmaragd na jej palcu.

- Droga księżno - odezwał się. - Jakże mogła pani postąpić tak niemądrze, by ukrywać przede mną te świecidełka? Spodziewałbym się tego raczej po gnębionych biedą wieśniakach, którzy niewolniczo pracują na pani bogactwa. Ale dlaczego pani odważyła się ryzykować życie swoje i swoich dzieci dla dwóch klejnotów, których zniknięcia nie odczuje pani bardziej niż pani mąż, księżę, straty kapelusza? A teraz, bez ceregieli, proszę oddać mi pierścień, który ma pani na palcu.

Księżna była bliska łez.

- Drogi młodzieńcze, pozwól zachować mi ten klejnot. Odeślę ci jego równowartość w gotówce. To pierścionek zaręczynowy od mojego męża. Nie mogłabym się bez niego obejść. Pękłoby mi serce.

Pisciotta znowu parsknął śmiechem. Uczynił to rozmyślnie, lękał się bowiem, że sentymentalny Turi pozwoli zachować księżnej pierścień. A szmaragd bez wątpienia był bardzo cenny.

Guiliano jednak ani myślał poddać się współczuciu. Pisciotta po kres swoich dni zapamiętał wyraz jego oczu, kiedy grubiańsko szarpnął ramię księżnej i zdjął klejnot z jej drżącej dłoni. Potem szybko cofnął się i włożył pierścień na mały palec swojej lewej ręki.

Turi widział, że księżna poczerwieniała i że w jej oczach zaszklily się łzy. Kiedy przemówił, znów zachował się dwornie:

- Przez szacunek i pamięć o pani nigdy nie sprzedam tego klejnotu. Sam będę go nosił.

Księżna pilnie wypatrywała na jego twarzy śladu drwiny, nie mogła jej jednak dostrzec.

Lecz dla Turiego Guiliana był to magiczny moment. Kiedy wsuwał pierścionek na palec, poczuł, iż przekazywana mu jest moc. Dzięki temu klejnotowi poślubił swoje przeznaczenie. Oto symbol władzy, jaką zdobędzie nad światem bogaczy. Z tego ciemnozielonego kamienia, oprawionego w złoto, wciąż pachnącego perfumami pięknej kobiety, która nosiła go przez lata, emanował ulotny ślad życia, jakie nigdy nie będzie jego, Guiliana, udziałem.

Don Croce słuchał w milczeniu.

Książę Alcamo osobiście składał mu zażalenie. Czyż nie płacił „pensji” przyjacielom przyjaciół? Czyż nie zagwarantowano mu nietykalności przed wszelkiego rodzaju rozbojami? Do czego to wszystko jest podobne? W dawnych czasach nikt by się na coś takiego nie powazył. I co zamierza zrobić don Croce, aby odzyskać kosztowności? Książę zameldował o kradzieży na policji, choć zdaje sobie sprawę, że to próżne zachody i że ten krok może rozgniewać dona Crocego. Jednakże musiał się w jakiś sposób zabezpieczyć; może rzymski rząd wreszcie na serio weźmie się za tego bandytę, Guiliana.

Don Croce uznał, że rzeczywiście przyszła pora, by go potraktować poważnie.

- Jeżeli odzyskam pańską biżuterię, to czy zapłaci mi pan jedną czwartą jej wartości? - spytał księcia.

Książę wpadł we wściekłość.

- Po pierwsze, już panu płacę za ochronę swojej osoby i mojej posiadłości. Po drugie, chociaż nie dopełnił pan swoich obowiązków, to jeszcze żąda pan ode mnie okupu. Jakżeż więc może się pan spodziewać, że zachowa szacunek u swoich klientów, skoro w ten sposób prowadzi interesy?

Don Croce kiwnął głową.

- Muszę przyznać, że przemawia pan rozsądnie. Proszę jednak uznać Guiliana za żywiol, za bicz boży. Nie sądzi pan chyba, że przyjaciele przyjaciół ochronią pana przed trzęsieniami ziemi, wybuchami wulkanów, powodzią? Gwarantuję, że w swoim czasie Guiliano znajdzie się pod kontrolą. A teraz niech się pan zastanowi: załatwię to tak, że zapłaci pan okup i otrzyma moją protekcję bez uiszczania „pensji” na najbliższe pięć lat. Dzięki takiemu układowi Guiliano już więcej nie będzie pana

niepokoił. Jakież zresztą miałby cel, skoro i ja, i on zakładamy, iż będzie pan na tyle rozsądny, że umieści odzyskane klejnoty w sejfie bankowym w Palermo?

Kobiety są zbyt naiwne, nie znają pożądania i chciwości, z jakimi mężczyźni gromadzą materialne dobra tego świata. - Urwał na chwilę, by z twarzy księcia zniknął uśmiech, który się tam pojawił. Potem mówił dalej: - Jeżeli obliczy pan, ile by musiał zapłacić za ochronę w ciągu najbliższych pięciu lat w tych niespokojnych czasach, to zorientuje się pan, iż nie dozna zbyt wielkiego uszczerbku finansowego.

Księżę przemyślał całą sprawę. Don Croce miał całkowitą słuszość, mówiąc, że nadchodzące lata będą niespokojne. On mógłby stracić o wiele więcej niż drobną sumę za wykup biżuterii, nie wspominając już o wypłacaniu przez pięć lat „pensji”. Jednak kto mu zagwarantuje, iż don Croce pożyje jeszcze tak długo lub że zdoła okiełznać Guiliana? Mimo to taki układ wydawał się najlepszy. Żona nie będzie na nim wymuszać zakupu następnych klejnotów, a to wielka oszczędność. On musi teraz wprawdzie sprzedać kolejny kawałek ziemi, ale jego przodkowie postępowali tak przecież od pokoleń, by zapłacić za swoją głupotę, a jemu wciąż jeszcze pozostało tysiące akrów. I księżę zgodził się.

Don Croce wezwał Hectora Adonisa. Następnego dnia Adonis wyprawił się na wycieczkę do swojego syna chrzestnego. Wyjaśniając cel swojej misji, był absolutnie szczery:

- Nie zyskasz lepszej ceny, nawet jeśli byś sprzedał biżuterię paserom w Palermo. Ale to zajęłoby trochę czasu i z pewnością nie ujrzałbyś pieniędzy przed Bożym Narodzeniem, na czym, jak wiem, ci zależy. A poza wszystkim zaskarbisz sobie wdzięczność dona Crocego, co jest dla ciebie niezmiernie ważne. Przecież, jakkolwiek na to patrzeć, naraziłeś go na utratę szacunku. Wybacz ci to, jeśli wyświadcysz mu tę przysługę.

Guiliano uśmiechnął się do ojca chrzestnego. Za nic miał dobrą wolę dona Crocego; poza tym jednym z jego marzeń było ucięcie głowy smokowi sycylijskiej mafii. Jednakże wysłał już do Palermo emisariuszy, aby znaleźli kupców na skradzione klejnoty, i okazało się, że będą to długie i żmudne zabiegi. Zgodził się więc na proponowany układ. Odmówił wszakże oddania pierścienia ze szmaragdem.

Nim Adonis odjechał, ostatecznie pożegnał się ze swoją rolą nauczyciela romantycznych postaw, jakim dotąd był dla Guiliana. Po raz pierwszy opowiedział mu otwarcie o realiach sycylijskiego życia.

- Mój drogi synu chrzestny, nikt bardziej ode mnie nie podziwia twoich zalet. Kocham twoją szlachetność, którą, mam nadzieję, pomogłem ci rozbudzić i utrwalić. Ale teraz należy mówić o przetrwaniu. Nigdy nie wmawiaj sobie, że zwyciężysz w walce przeciwko przyjaciołom przyjaciół. Od tysiąclecia niczym milion pajaków opletli oni Sycylię gigantyczną siecią. Obecnie w środku tej sieci króluje don Croce. Podziwia cię, pragnie twojej przyjaźni, chce, byś u jego boku zyskał bogactwo. Jednak czasami musisz podporządkować się jego woli. Będziesz mógł stworzyć swoje imperium, ale ono powinno się znaleźć w obrębie jego pajęczyny. Jedno jest pewne, nie możesz stanąć z nim do bezpośredniej konfrontacji. Jeżeli to uczynisz, sama historia pomoże donowi Crocemu cię unicestwić.

W ten sposób biżuteria powróciła do księcia. Guiliano zatrzymał połowę pieniędzy z okupu, by rozdzielić je pomiędzy Pisciotte, Passatempa i Terranovę. Łypali oni ponuro na pierścień ze szmaragdem na rękę Turiego, lecz milczeli, gdyż Guiliano odmówił przyjęcia swojej działki za odsprzedaż klejnotów.

Drugą połowę okupu postanowił obdarować biednych pasterzy, strzegących stad owiec i bydła bogaczy, stare wdowy i osieroczone dzieci, wszystkich nędzarzy wokół siebie.

Większość pieniędzy przekazał dzięki pomocy pośredników, lecz któregoś pięknego dnia sam napełnił kieszenie kurtki z owczej skóry paczkami banknotów. Także do chleba włożył liry i postanowił pomaszerować z Terranovą u boku do wiosek położonych między Montelepre a Piani dei Greci.

W jednej z osad mieszkaly trzy stare kobiety. Niemal przymierały głodem. Każdej z nich wręczył po pliku banknotów. Płakały, całując go po rękach. W innej wiosce żył człowiek, który prawie już stracił gospodarstwo i ziemię, gdyż nie był w stanie spłacić długu hipotecznego. Guiliano obdarował go sumą dostateczną, by mógł uregulować zadłużenie w całości.

W kolejnej wiosce wstąpił do miejscowych piekarni i sklepów spożywczych, właścicielom zapłacił za żywność, a potem rozdzielił chleb, ser i makaron wśród mieszkańców.

W pobliskim miasteczku ofiarował pieniądze rodzicom chorego dziecka, aby mogli zawieźć je do szpitala w Palermo, a także opłacić wizyty miejscowego lekarza. Pojawił się także na weselu i sownie wyposażył młodą parę.

Wszakże najbardziej podobało mu się rozdawanie pieniędzy wśród obdartych dzieciaków, które włóczyły się po uliczkach wszystkich sycylijskich osad. Wiele z nich znało Guiliana. Gromadziły się wokół niego, kiedy wyciągał do nich pliki banknotów, przykazując, by odniosły je rodzicom. Potem przypatrywał się, jak w radosnych podskokach biegną do domów. Zostało mu zaledwie kilka paczek pieniędzy, gdy postanowił przed zapadnięciem zmroku odwiedzić matkę.

Przemierzając pole przed rodzinnym domem, natknął się na płaczących chłopczyka i dziewczynkę. Stracili pieniążki, które powierzyli im rodzice. Maluchy opowiadały, że zabrali im je karabinierzy. Guiliano z rozbawieniem wysłuchał relacji o tej małej tragedii i wręczył im jedną z dwóch pozostałych paczek. A potem, ponieważ dziewczuszka była taka śliczna i nie potrafił znieść myśli, że zostanie ukarana, obdarował ją pieniędzmi dla rodziców.

Nie tylko rodzice dziewczynki byli mu wdzięczni. Mieszkańcy Borgetto, Corleone, Partinico, Monreale i Piani dei Greci, aby okazać mu swoją lojalność, zaczęli nazywać go Królem Montelepre.

Don Croce był szczęśliwy, mimo iż stracił na pięć lat „pensję” od księcia. Zresztą chociaż Hectorowi Adonisowi powiedział, że księżę zapłacił tylko dwadzieścia procent wartości biżuterii, w rzeczywistości wziął od niego całe dwadzieścia pięć procent, a więc pięć schował do własnej kieszeni.

Jednakże znacznie większą satysfakcją napawał go fakt, że tak wcześnie zwrócił uwagę na Guiliana i tak akuratnie go ocenił. Co za wspaniały, uczciwy chłopak! Któż mógłby uwierzyć, że taki młokos potrafi być równie przewidujący, umie tak rozumnie działać, tak pokornie słuchać starszych i mądrzejszych od siebie? A wszystko to czynił z chłodną rozważą, dbając o własne interesy, co oczywiście wzbudziło podziw dona Crocego, gdyż kto chciałby mieć do czynienia z głupcem? Tak, don Croce uznał, że Turi Guiliano może być jego silną prawą ręką. A w swoim czasie zostać ukochanym przybranym synem.

Turi Guiliano doskonale zdawał sobie sprawę ze wszystkich tych manipulacji związanych z jego osobą. Rozumiał, że ojcu chrzestnemu szczerze zależy, by jemu się powiodło. Nie oznaczało to jednak, że całkowicie ufał osądowi starszego mężczyzny. Guiliano był świadomy, że nie jest jeszcze na tyle silny, by stawić czoło przyjaciołom

przyjaciół; prawdę mówiąc, teraz potrzebował ich wsparcia. Nie miał wszakże złudzeń, że zniesie tę sytuację na dłuższą metę. W końcu, jeśli posłucha ojca chrzestnego, stanie się wasalem dona Crocego. A do tego postanowił za wszelką cenę nie dopuścić. Na razie jednak musi poczekać, aż przyjdzie jego czas.

Rozdział dziesiąty

Banda Guiliana liczyła teraz trzydziestu mężczyzn. Niektórzy z nich byli członkami dawnych band Passatempa i Terranovy, inni mieszkańcami Montelepre, uwolnionymi z więzienia dzięki atakowi Guiliana na koszary. Przekonali się, że mimo iż są niewinni, nie znajdą u władz przebaczenia; wciąż ich ścigano. Uznali więc, że lepiej być ściganym z Guilianem, niż zostać wytropionym samotnie i bez przyjaciół.

Któregoś pięknego kwietniowego poranka informatorzy Guiliana z Montelepre przesłali mu wiadomość, że jakiś groźnie wyglądający typ, prawdopodobnie szpieg na usługach policji, rozpytuje, jak mógłby przyłączyć się do bandy. Czekał na głównym rynku. Guiliano posłał do miasteczka Terranovę i czterech ludzi, aby rozejrzeli się w sytuacji. Jeżeli ten człowiek okaże się szpiclem, mieli go zabić; a jeśli kimś użytecznym, zwerbować go.

Terranova wrócił wczesnym popołudniem i zameldował Guilianowi:

- Mamy tego gościa, a nim go rozstrzelamy, sądzimy, że powinienesz zawrzeć z nim bliższą znajomość.

Guiliano roześmiał się na widok potężnej sylwetki w tradycyjnym stroju sycylijskiego wieśniaka.

- I co, stary przyjacielu, myślałeś, że kiedykolwiek zapomnę twoją twarz? Czy tym razem upewniłeś się, że masz dobre kule?

Był to bowiem kapral karabinierów, Canio Silvestro, który podczas słynnego napadu na więzienie wypalił z pistoletu prosto w głowę Guiliana.

Silvestro na wyrazistej, poznaczonej bliznami twarzy zachował kamienny wyraz. Z jakiegoś powodu twarz ta przemówiła do Guiliana. W swoim sercu zachował czułe miejsce dla człowieka, który pomógł mu udowodnić, że on, Turi, jest nieśmiertelny.

- Chciałbym się do was przyłączyć - oświadczył Silvestro. - Mogę okazać się dla was bezcenny. - Wypowiedział te słowa z dumą człowieka, który ma zamiar zrobić komuś prezent. To również spodobało się Guilianowi. Pozwolił więc kapralowi, by opowiedział swoją historię.

Po napadzie na więzienie Silvestra przewieziono do Palermo, aby przed wojskowym sądem odpowiedział za zaniedbanie obowiązków. *Maresciallo* był na niego wściekły i nim polecił wszczęcie dochodzenia, sam go przesłuchiwał. Najdziwniejsze jednak, że jego podejrzenia wzbudziła przede wszystkim próba zastrzelenia Guiliana. Przyczyną niewypału okazała się wadliwa amunicja. *Maresciallo* utrzymywał, że kapral celowo załadował broń ową kulą, wiedząc, że jest uszkodzona. W tej sytuacji usiłowanie stawiania oporu było fikcją - to kapral Silvestro pomógł Guilianowi wdrzeć się do więzienia i to on wyznaczył takich wartowników, aby napad się udał.

- A skąd wzięły się podejrzenia, że wiedziałeś, iż amunicja jest uszkodzona? - przerwał mu Guiliano.

Silvestro popatrzył niewinnym wzrokiem.

- Powiniennem to wiedzieć. Byłem zbrojmistrzem w piechocie, ekspertem. - Uśmiechnął się ironicznie i wzruszył ramionami. - Prawda, nie dopatrzyłem sprawy. Posadzili mnie za biurkiem, więc przestałem zwracać baczniejszą uwagę na to, co było moim prawdziwym obowiązkiem. Ale wam mógłbym się przydać, posprawdzać całą waszą broń i nareperować ją, czy pilnować, by wasza amunicja była sprawna i nie wybuchła, kiedy będziecie strzelać. Potrafię też wreszcie tak unowocześnić broń, aby dobrze służyła waszym celom tutaj, w górach.

- Opowiedz mi do końca swoją historię - poprosił Guiliano. Bacznie obserwował tego człowieka. Możliwe, że zaplanowano, aby do bandy przeniknął szpicel. Widział, że Pisciotta, Passatempo i Terranova są pełni wątpliwości.

Silvestro mówił dalej:

- To byli głupcy, przerażeni jak baby. *Maresciallo* wiedział, jakim błędem jest wyprowadzać większość ludzi w góry, kiedy w koszarach mamy pełno więźniów. Karabinierzy traktują Sycylię jako coś w rodzaju wrogiego, okupowanego kraju. Zwykle protestować przeciwko takiemu nastawieniu, dlatego też miałem złe notowania. A władze z Palermo chciały ochraniać swego *maresciallo*, no bo, bądź co bądź, czuły się za niego odpowiedzialne. Lepiej by wyglądało, gdyby koszary Bellampo zdradził ktoś z wewnątrz, niż gdyby zdobyli je dzielniejsi i przebieglejsi obcy. Nie postawili mnie jednak przed sądem, zmusili tylko, bym zrezygnował ze służby. Twierdzili, że nic mi to nie zaszkodzi, ale ja wiem swoje. Nigdy już nie dostanę państwowej posady. A nie umiem robić nic innego i jestem sycylijskim patriotą. A

więc pomyślałem: cóż mam począć ze swoim życiem? I powiedziałem sobie: przyłączę się do Guiliana.

Guiliano posłał do kuchni po jedzenie i picie, a potem zaczął konferować ze swoimi dowódcami.

Passatempo był gburowaty i nieustępliwy.

- Czy oni mają nas za głupców? Zastrzelmy go i zrzućmy ciało ze skały. W naszej bandzie nie potrzeba żadnych karabinierów.

Pisciotta spostrzegł, że kapral już po raz drugi ujął sobie Guiliana. Znał dobrze impulsywność przyjaciela, zatem odezwał się ostrożnie:

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to pułapka. Ale jeśli nie, nic nie ryzykujemy, jeśli odejdzie. Cały czas musimy uważać. Zawsze zrodzą się jakieś wątpliwości. Dlaczego nie odesłać go z powrotem?

- Zna położenie naszego obozu - przypomniał Terranova. - Widział niektórych z naszych ludzi i wie, ilu ich jest. To cenna informacja.

- Jest prawdziwym Sycylijczykiem - powiedział Guiliano. - Kieruje nim poczucie dumy. Nie potrafię uwierzyć, że mógłby być szpiclem. - Zobaczył, że towarzyszy rozbawiła jego naiwność.

- Przypomnij sobie, usiłował cię zabić, miał ukrytą broń. Był naszym więźniem, a jednak z czystej wściekłości próbował cię zastrzelić, bez żadnej nadziei na to, że zdoła zbiec - ostudził go Pisciotta.

I dlatego właśnie jest dla mnie taki cenny, pomyślał Guiliano. Głośno zaś rzekł:

- Czyż to nie najlepszy dowód, że mamy do czynienia z człowiekiem honoru? Pokonaliśmy go, ale on, by się zemścić, wybrał pewną śmierć. I jakąż nam może wyrządzić szkodę? Stanie się zwykłym, szeregowym członkiem bandy, nie dopuścimy go do naszych sekretów. I nie będziemy spuszczać z niego oka. Osobiście otoczę go opieką. Kiedy przyjdzie pora, poddamy go próbie, dzięki której sprawdzimy, czy jest wtyczką karabinierów, czy nie. Zdajcie się na mnie.

Później, wieczorem, kiedy powiadomił Silvestra, że przyjęto go do bandy, ten powiedział po prostu:

- Zawsze możesz na mnie polegać.

Wiedział bowiem, że Guiliano jeszcze raz ocalił go przed śmiercią.

Na Wielkanoc Turi odwiedził rodzinę. Pisciotta się temu sprzeciwiał, argumentując, że policja może zastawić pułapkę. Dzień Zmartwychwstania Pańskiego na Sycylii od wieków był dniem śmierci ludzi wyjętych spod prawa. Policja liczyła, że silne uczucia rodzinne sprowadzą z gór bandytów, pragnących połączyć się z najbliższymi. Jednak informatorzy Guiliana donieśli, że sam *maresciallo* wyjedzie do rodziny na kontynent i że połowie załogi koszar Bellampo wydano przepustki, by karabinierzy mogli świętować w Palermo. Guiliano postanowił, iż zabierze ze sobą tylu ludzi, by mogli zapewnić mu bezpieczeństwo. W Wielką Sobotę przemknął się do Montelepre.

Kilka dni wcześniej przesłał wiadomość o swoich odwiedzinach i matka przygotowała ucztę. Tę noc przespał w swoim dawnym łóżku, a nazajutrz, kiedy matka wybrała się na poranną mszę, towarzyszył jej do kościoła. Ochraniało go sześciu mężczyzn, którzy również gościli u swoich rodzin w miasteczku, lecz wcześniej otrzymali rozkaz, że mają towarzyszyć Guilianowi, dokądkolwiek się uda.

Gdy wraz z matką opuszczał świątynię, sześciu ochroniarzy czekało na niego wraz z Pisciotta. Kiedy Aspanu przemówił, miał pobielaną z wściekłości twarz:

- Turi, zdradzono cię. *Maresciallo* wrócił z Palermo z dwudziestoma dodatkowymi karabinierami i chce cię aresztować. Otoczyli dom twojej matki. Myślą, że jesteś w środku.

Guiliano w ułamku sekundy poczuł gniew za swoją lekkomyślność i głupotę. Poprzysiągł sobie, że od tej pory już zawsze będzie zachowywał przezorność. Nie chodziło o to, że *maresciallo* z posiłkami mógłby go pochwycić w domu matki. Jego strażnicy daliby odpór i wywiązałyby się krwawa bitwa. Istotne było, że zepsułoby to podniosły nastrój spędzanej w domu Wielkanocy. Dnia Zmartwychwstania Chrystusa nie powinny zakłócać krwawe waśnie.

Ucałował matkę na pożegnanie, powiedział, by wracała do domu i z własnej woli wyznała policji, że rozstała się z synem przed kościołem. Dzięki temu nie oskarżą jej o spiskowanie. Zapewnił ją, że nie ma się o co martwić, że on i jego ludzie są dobrze uzbrojeni i bez trudu uciekną; nie będzie żadnej walki. Karabinierzy nie ośmielą się ścigać ich w górach.

Guiliano i jego żołnierze umknęli, niespostrzeżeni przez policję. Tej nocy w górskim obozie Guiliano zasypał Pisciottę pytaniami. Skąd *maresciallo* wiedział o jego odwiedzinach? Kim był szpicel? Tego wszystkiego należało się dowiedzieć.

- I to jest twoje zadanie specjalne, Aspanu. Jeżeli trafił się jeden, pojawią się i inni. Nie dbam, ile to zajmie czasu ani jak dużo wydamy pieniędzy. Musimy go wytropić.

Już jako dziecko Pisciotta nie lubił napuszonego fryzjera z Montelepre. Frisella należał do tych golibrodów, którzy strzygli zależnie od tego, jaki danego dnia mieli nastrój. Raz zgodnie z modą, innym razem fantazyjnie, kiedy indziej z upartym konserwatyżmem wieśniaka. Zmieniając style, Frisella utrzymywał, że jest artystą. Był także zanadto poufały wobec ludzi stojących wyżej i zbyt wyniosły wobec równych sobie. Z dziećmi żartował w specyficzny, złośliwy sposób; ten rodzaj humoru należał do mniej ujmujących cech charakteru mieszkańców wyspy. Frisella przycinał malcom uszy nożyczkami, a czasami tak krótko golił im głowy, że przypominały piłki bilardowe. Tak więc z mściwą satysfakcją Pisciotta zameldował Guilianowi, że to właśnie Frisella jest policyjnym szpiclem i że to on złamał uświęcone prawo omerty. Było oczywiste, że *maresciallo* w dzień Wielkanocy nie przypuści szturmowi, zdając się na los szczęścia. Musiał dostać cynk, że Turi zjawi się w domu. A skąd mógłby otrzymać tę informację, skoro Turi przesłał rodzinie wiadomość zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej?

Pisciotta skorzystał z usług własnych informatorów z miasteczka, by wytropili każdy krok, jaki w ciągu owej doby uczynił *maresciallo*. A ponieważ o postanowieniu Guiliana wiedzieli tylko ojciec i matka, spytał ich niby obojętnie, czy mogli się przypadkiem zdradzić przed kimś z tą wiadomością.

Maria Lombardo szybko przejrzała jego intencje.

- Nikomu, nawet sąsiadkom, nic nie mówiłam - zapewniła. - Siedziałam w domu, gotowałam, żeby powitać Turiego wielkanocną ucztą.

Jednakże ojciec Guiliana rankiem w dniu odwiedzin syna poszedł do fryzjera Friselli. Starszy pan był nieco próżny, więc chciał się jak najlepiej zaprezentować podczas jednej z tych nielicznych okazji, kiedy jego syn, Turi, pojawi się w rodzinnym domu w Montelepre. Frisella, jak zwykle dowcipkując, ogolił go i ostrzygł.

- Czy pan nie wybiera się przypadkiem do Palermo w odwiedzinach do młodych dam? A może spodziewa się ważnych gości z Rzymu? - On, Frisella, dopilnuje, aby *signor* Guiliano wyglądał tak przystojnie, by mógł przyjąć nawet króla. Pisciotta wyobraził sobie tę scenę. Ojciec Guiliana uśmiechnął się tajemniczo, choć mruknął, że mężczyzna powinien wyglądać jak dżentelmen jedynie dla własnej satysfakcji. A przecież tak naprawdę puchł z dumy, wiedząc, że jego syn jest na tyle sławny, by nazywano go Królem Montelepre. Przypuszczalnie starszy pan zawsze wstępował do zakładu przy podobnych okazjach, a fryzjer domyślał się, że Guiliano tego dnia odwiedzi rodziców, więc dodał dwa do dwóch.

Maresciallo Roccofino codziennie wpadał do Friselli, by się ogolić. Nie wydawało się, aby podczas rozmowy fryzjer przekazywał jakiegokolwiek informacje policjantowi. Jednak Pisciotta był pewny swego. Posłał swoich szpiegów do balwierni. Zabawili tam cały dzień, grając z Frisellim w karty przy stoliku, który ten ustawił na ulicy. Pili wino, gawędzili o polityce i pokpiwali z przechodzących przyjaciół.

W ciągu kilku tygodni informatorzy Pisciotta zebrali więcej danych. Frisella, goląc i strzygąc, zawsze pogwizdywał ulubione arie z oper; niekiedy z wielkiego, owalnego radia puszczał nadawaną z Rzymu muzykę. Zdarzało się to, ilekroć zajmował się *maresciallo*. Wówczas nieodmiennie nachylał się nad oficerem policji i coś mu szeptał do ucha. Gdyby nie zrodziły się podejrzenia, mogłoby się wydawać, że fryzjer chce jedynie spełnić życzenia klienta. Lecz wtedy szpiegowie Pisciotty przyuważali banknot, jakim *maresciallo* zwykł płacić za obsługę. Spostrzegli, że fryzjer go złożył i wsunął do górnej kieszonki koszuli, którą miał pod białym kitem. Gdy szpieg i jeden z jego pomocników napadli na Frisellę i zmusili go, aby pokazał banknot, okazało się, że jest on o nominale dziesięciu tysięcy lirów. Fryzjer przysięgał, iż to zapłata za ostatnie dziesięć miesięcy, a szpicle udawali, że mu wierzą.

Pisciotta przedstawił Guilianowi wszystkie te dowody w obecności Terranovy, Passatempa i kaprała Silvestra. Znajdowali się w górskim obozie. Guiliano podszedł na skraj urwiska, skąd widać było Montelepre, i utkwiał wzrok w miasteczku.

Mistrz Frisella, fryzjer, odkąd Guiliano pamiętał, był nieodłączną częścią osady. Gdy Turi był małym chłopcem, zaprowadzono go do jego zakładu, by przystrzygł mu włosy przed przystąpieniem do pierwszej komunii, a wtedy Frisella podarował mu drobną srebrną monetę. Turi znał żonę i syna Friselli. Frisella żartował z Turim, kiedy ten przechodził ulicą, i zawsze pytał o jego matkę i ojca.

Lecz teraz Frisella złamał uświęcone prawo omerty. Sprzedawał wrogowi sekrety; został płatnym informatorem policji. Jakim cudem mógł aż tak się upodlić? I co on, Guiliano, ma z nim począć? Czym innym jest zabicie karabiniera w ferworze walki, a czym innym zgładzenie z zimną krwią dobrodusznego starszego pana. Turi Guiliano miał dopiero dwadzieścia jeden lat i po raz pierwszy miał dopuścić się okrutnego czynu, koniecznego jednak w tej trudnej sytuacji.

Zwrócił się do kompanów:

- Frisella zna mnie od dziecka. Aspanu, pamiętasz, kiedy byłem mały, częstował mnie lodami cytrynowymi. A może tylko zwyczajnie plotkuje z *maresciallo*, a nie przekazuje mu żadnych istotnych informacji? Przecież nie powiadomiliśmy go, że zjawimy się w miasteczku. Może po prostu dzieli się swoimi przypuszczeniami, a pieniądze przyjmuje dlatego, że mu je proponują. Któż by odmówił?

Passatempo spoglądał na Guiliana zmrużonymi oczami, niczym hiena obserwująca umierającego lwa, by się upewnić, czy nadszedł już czas, ażeby bezpiecznie skoczyć i rozszarpać go na strzępy. Terranova z uśmiechem na ustach nieznacznie pokręcił głową, jak gdyby słuchał dzieciaka opowiadającego jakieś bajeczki. Odpowiedział tylko Pisciotta.

- Jest winny niczym ksiądz w burdelu - oświadczył.

- Musimy wysłać mu ostrzeżenie - rzekł Guiliano. - Możemy przeciągnąć go na naszą stronę i wykorzystać, by przekazywał władzom fałszywe informacje, kiedy będzie to konieczne dla naszych celów. - Jeszcze nie skończył mówić, gdy już wiedział, że nie ma racji. Teraz nie mógł sobie pozwalać na takie gesty.

- A czemu w takim razie, jeśli tak sądzisz, nie dać mu prezentu? - zawołał gniewnie Pisciotta. - Worka zboża albo kurczaka? Turi, życie nasze i życie wszystkich ludzi w górach zależy od twojej odwagi, twojej woli, twojego dowództwa. Czy zyskamy zwolenników, jeśli przebaczymy zdrajcy takiemu jak Frisella? Człowiekowi, który sprzeniewierzył się prawu omerty? Przyjaciele przyjaciół już dawno wywiesiliby na sztyldzie zakładu jego wątrobę i serce, mając o wiele mniej oczywiste dowody. Jeśli darujesz mu życie, każdy chciwy szpicel uzna, że może donosić bez strachu przed karą. I pierwszy lepszy z nich może sprowadzić na nas śmierć.

Terranova przemówił rozumnie:

- Frisella to nadęty bufon, chciwy i przekupny. W normalnych czasach byłby tylko małomiasteczkowym uciążliwym nudziarzem. Teraz jednak jest groźny. Puszczanie go

wolno zakrawałoby na szaleństwo, nie jest bowiem wystarczająco rozumny, by rokował nadzieje na poprawę. Pomyśli po prostu, że nie jesteście ludźmi, z którymi należy się liczyć. I podobnie będzie uważało wielu innych. Turi, zlikwidowałeś działalność przyjaciół przyjaciół w miasteczku Montelepre. Ich człowiek, Quintana, postępuje bardzo ostrożnie, chociaż złożył już kilka nieroztropnych deklaracji. Gdybyś puścił Frisellę z karą mniejszą od śmierci, przyjaciele uznałyby cię za słabeusza i później by się do ciebie dobrali. Karabinierzy staliby się zuchwali, odważniejsi, bardziej niebezpieczni. Straciłbyś nawet w oczach mieszkańców Montelepre. Frisella musi postradać życie. - Ostatnie słowa wypowiedział niemal z żalem.

Guiliano przemyślał ich argumenty. Mieli rację. Widział spojrzenie Passatempa i z łatwością czytał, co dzieje się w sercu tego człowieka. Gdyby Frisella uszedł z życiem, Passatempie już nigdy nie można by zaufać. Nie było powrotu do rycerzy Karola Wielkiego do rozstrzygnięcia nieporozumień w rycerskim pojedynku na Polu Złotogłowiu. Frisellę należało zgładzić, i to w taki sposób, by egzekucja wzbudziła jak największy postrach.

Guiliano wpadł na pewien pomysł. Zwrócił się z pytaniem do kaprała Silvestra:

- A ty co o tym myślisz? *Maresciallo* z pewnością wspominał ci o swoich informatorach. Czy fryzjer jest winny?

Silvestro wzruszył ramionami, twarz miał kamienną. Nic nie powiedział. Wszyscy zrozumieli, że to sprawa honoru - postanowił nie mówić, nie zdradzić tego, którego zaufanym był wcześniej. Właśnie ten brak odpowiedzi przekonał ich, że fryzjer z całą pewnością ma jakieś kontakty z *maresciallo*. Jednakże Giuliano wciąż chciał się upewnić. Uśmiechnął się do kaprała:

- Nadeszła pora, byś udowodnił, że jesteś wobec nas lojalny. Wspólnie wyprawimy się do Montelepre i ty osobiście, na rynku, dokonasz egzekucji na fryzjerze.

Aspanu Pisciotte zachwyliła przebiegłość przyjaciela. Giuliano nieodmiennie go zaskakiwał. Zawsze zachowywał się szlachetnie, a przecież potrafił zastawić pułapkę godną Jagona. Teraz przekonują się, czy kapral jest godnym zaufania i porządnym człowiekiem, świadomym, na czym polega uczciwa gra. Gdyby nie był całkowicie pewien, że fryzjer jest winny, nigdy, bez względu na konsekwencje, nie zgodziłby się na dokonanie egzekucji. Pisciotta dostrzegł nikły uśmiezek na twarzy Guiliana - jeżeli kapral odmówi, uznają fryzjera za niewinnego i wszystko ujdzie mu płazem.

Kapral jednak przyglądał krzaczaste wąsy i popatrzył im prosto w oczy.

- Frisella tak fatalnie strzyże, że już za samo to zasługuje na karę śmierci. Rano będę gotów.

O świcie Guiliano, Pisciotta i eskapral Silvestro ruszyli drogą, prowadzącą w dół, do Montelepre. Godzinę wcześniej wyruszył Passatempo z dziesięcioosobowym oddziałem, by zablokować i oczyścić prowadzące do rynku uliczki miasteczka. Obóz w górach zostawiono pod dowództwem Terranovy. Miał on w razie jakichś poważnych kłopotów poprowadzić do miasteczka silną grupę.

Wciąż jeszcze był wczesny ranek, gdy Guiliano z Pisciottą wkroczyli na rynek. Wybrukowane kocimi łbami uliczki i wąskie zaułki zmywano wodą, a kilkoro dzieciaków bawiło się wokół platformy, na której tak niedawno, owego brzemiennego w skutki dnia, pożeniono osła i mulicę. Guiliano rozkazał Silvestrowi, by przepędził dzieciarnię z rynku, gdyż malcy nie powinni być świadkami tego, co się ma zdarzyć. Silvestro tak gorliwie zajął się tym zadaniem, że smarkacze pierzchali niczym kurczaki.

Gdy Guiliano i Pisciotta wkroczyli do zakładu fryzjerskiego z bronią gotową do strzału, Frisella właśnie strzygł zamożnego ziemianina. Był pewien, że przyszli po jego klienta, więc z chytrym uśmieszkiem zdjął fartuch, jak gdyby spodziewał się nagrody. Ziemianin, stary sycylijski wieśniak, który wzbogacił się podczas wojny, sprzedając bydło włoskiej armii, z godnością wstał z fotela. Pisciottą jednak zapędził go w kąt i powiedział ze zgryźliwym uśmiechem:

- Nie masz dość pieniędzy, by się wykupić i wynagrodzić nam tyle zachodu.

Guiliano miał się na baczności i nie spuszczał z Friselli wzroku. Fryzjer wciąż trzymał w ręku nożyczki.

- Odlóż je - rozkazał Turi. - Tam, dokąd pójdziesz, nie będziesz musiał strzyć włosów. A teraz na dwór.

Frisella upuścił nożyczki i zwrócił ku niemu okrągłą twarz bufona. Usiłował się uśmiechnąć.

- Turi - odezwał się - nie mam pieniędzy. Po prostu otworzyłem zakład i tyle. Jestem biednym człowiekiem.

Pisciottą chwycił go za gęstą, rozwichrzoną czuprynę, wyciągnął z zakładu, a potem powlókł wybrukowaną kocimi łbami uliczką do miejsca, w którym czekał Silvestro. Frisella osunął się na kolana i zaczął krzyczeć:

- Turi, Turi, strzygłem cię, gdy byłeś małym chłopcem! Nie pamiętasz? Moja żona umrze z głodu. Mój syn jest niespełna rozumu.

Pisciotta dostrzegł, że Guiliano się waha. Kopnął fryzjera i powiedział:

- Powinieneś był o tym pomyśleć, zanim zostałeś szpiclem.

Frisella zaczął płakać.

- Nigdy nie wydałem Turiego. Mówiłem *maresciallo* o złodziejach owiec. Przysięgam na moją żonę i dziecko.

Guiliano spojrzął w dół. Serce mu pękało na myśl, że za chwilę unicestwi tego człowieka już na zawsze. Jednak odezwał się łagodnym tonem:

- Masz minutę na pojednanie się z Bogiem.

Frisella podniósł wzrok na trzech otaczających go mężczyzn i zrozumiał, że nie będzie dla niego przebaczenia. Pochylił głowę i zaczął mamrotać modlitwę. Potem spojrzął w górę na Guiliana i poprosił:

- Nie pozwól, by moja żona i dziecko umarli z głodu.

- Przyrzekam, że nie zabraknie im chleba - zapewnił Guiliano, po czym zwrócił się do Silvestra: - Zabij go - rozkazał.

Kapral obserwował całą tę scenę w oszołomieniu. Jednakże słysząc rozkaz, nacisnął spust pistoletu maszynowego. Kule poderwały Frisellę w powietrze i rzuciły poszarpane ciało na mokry bruk. Krew zabarwiła kałuże w szczelinach między kamieniami. Popłynęła też tam, gdzie nie było wody, i zwabiła maleńkie jaszczurki. Na rynku zapadła długa chwila martwej ciszy. Potem Pisciotta nachylił się nad ciałem i przypiął do piersi zabitego białą kartkę.

Maresciallo, przybywszy na miejsce zbrodni, tylko ją znalazł jako dowód. Sklepikarze twierdzili, że niczego nie widzieli. Krzatali się na zapleczach. Albo podziwiali piękne chmury nad Monte d'Ora. Klient Friselli oświadczył, że kiedy usłyszał strzały, właśnie mył twarz w umywalce, więc nie widział morderców. Lecz mimo wszystko jasne było, kto dokonał egzekucji. Na przypiętej do piersi Friselli kartce widniały słowa: TAK ZGINIE KAŻDY, KTO ZDRADZI GUILIANA.

Rozdział jedenasty

Choć wojna światowa dobiegła końca, wojna Guiliana dopiero się rozpoczęła. W ciągu następnych dwóch lat Salvatore Guiliano stał się najslawniejszym człowiekiem na Sycylii. Swoje imperium zbudował w północno-wschodnim zakątku wyspy. A jego sercem było miasteczko Montelepre. Sprawował kontrolę nad osadami Piani dei Greci, Borgetto i Partinico. I nad słynnym z morderstw Corleone, którego mieszkańcy nawet na Sycylii wyróżniali się wyjątkowym okrucieństwem. Najechał Trapani i zagroził Monreale, a nawet stolicy wyspy, Palermo. Kiedy nowy, demokratyczny rząd w Rzymie wyznaczył za jego głowę cenę dziesięciu milionów lirów, Guiliano roześmiał się i dalej potajemnie odwiedzał wiele miasteczek. Od czasu do czasu wstępował nawet na obiad do restauracji w Palermo. Skończywszy posiłek, nieodmiennie zostawiał pod talerzem kartkę, na której można było przeczytać: „Jest to świadectwo, że Turi Guiliano pojawi się wszędzie tam, gdzie tylko będzie miał ochotę”.

Niezdobytą fortecą Guiliana stały się przepastne góry Cammarata. Znał tu wszystkie grotty i sekretne ścieżki. Zdawało mu się, że tutaj staje się niewidzialny. Kochał panoramę leżącego w dolinie Montelepre, równinę Partinico, rozciągającą się od Trapani po Morze Śródziemne. Kiedy zmierzch zaczynał lśnić niebieską poświatą, odbijając się blaskiem od dalekiego morza, Turi mógł dojrzeć ruiny greckich świątyń, sady pomarańczy, gaje oliwne i ciężkie od zbóż pola zachodniej Sycylii. Kiedy zaś przyłożył do oczu lornetkę, widział też pozamykane na kłódki przydrożne kapliczki, kryjące zakurzone figurki świętych.

Z tych gór wysyłał swoich ludzi na białe, pyliste drogi, by rabowali rządowe konwoje, zatrzymywali pociągi i uwalniali bogate niewiasty od nadmiaru biżuterii. Wieśniacy, jadący w pomalowanych wozach na odpusty pozdrawiali jego i jego ludzi najpierw ze strachem, a później z szacunkiem i miłością. Nie znalazłby się bowiem wśród nich ani jeden pasterz czy najemnik, który zostałby przez Turiego pominięty przy rozdziale łupów.

Cała prowincja roiła się od jego informatorów. Wieczorem, kiedy dzieci odmawiały pacierz, dołączały błaganie do Dziewicy Maryi, uchroniła Guiliana przed karabinierami”.

To prowincja żywiła Guiliana i jego ludzi. Dojrzewały tam oliwne i pomarańczowe sady, rodziły winnice. Pasły się stada owiec, których pasterze odwracali wzrok w inną stronę, kiedy chłopcy z gór przychodzili po kilka jagniąt. Guiliano krążył niczym duch po okolicy, rozplywając się w zwodniczym, błękitnym świetle Sycylii, zsyłanym na ziemię przez odbite w niebie modre wody Morza Śródziemnego.

Zimowe miesiące w górach dłużyły się, dokuczał chłód. A przecież banda Guiliana stawała się coraz liczniejsza. Nocami na zboczach i w dolinach Cammaraty migwały ogniska obozowisk. Ludzie w blasku płomieni czyścili broń, reperowali odzież, prali ją w pobliskich górskich strumieniach. Przygotowywanie wspólnych posiłków zawsze kończyło się kłótnią. Każda sycylijska wioska miała własne przepisy na przyrządzanie kałamarnic i węgorzy, używała różnych ziół do sosu pomidorowego i miała odmienny pogląd na to, czy należy piec kielbasę. Mężczyźni skłonni do noża woleli robić pranie; porywacze wybierali kuchnię i czarną robotę. Ci, którzy napadali na banki i zatrzymywali pociągi, nieodmiennie trwali przy czyszczeniu broni.

Guiliano zmusił ich wszystkich do wykopania okopów i wystawienia w całej okolicy posterunków, aby nie zaskoczyły ich rządowe wojska. Któregoś dnia, kiedy ludzie przerzucali ziemię, natrafili na szkielet ogromnego zwierzęcia, większego nawet niż potrafili sobie wyobrazić. Owego dnia przybył też Hector Adonis z książkami dla Turiego, gdyż ten chciał wiedzieć o wszystkim, co dzieje się na świecie. Pilnie studiował podręczniki, zgłębiał tajniki medycyny, polityki, filozofii i taktyki wojskowej. Co kilka tygodni Hector Adonis dostarczał mu pełne chlebaki książek. Guiliano zaprowadził go na miejsce, w którym jego ludzie wykopali szkielet. Adonis uśmiechnął się, widząc ich zdumienie.

- Czyżbym nie obdarował cię dostateczną liczbą książek? - Człowiek, który nie zna historii ludzkości z okresu ostatnich dwóch tysięcy lat, jest ciemniakiem. - Umilkł na dłuższą chwilę. Jego aksamitny głos był głosem profesora wygłaszającego wykład. - To szkielet jednej z machin wojennych, z jakimi przed dworna tysiącami lat Kartagińczyk Hannibal przemierzał te góry, by zniszczyć imperium rzymskie, czyli szczątki któregoś z jego słoni przyuczonych do walki. Nigdy wcześniej nie widziano ich w tych okolicach. Jakież przerażenie musiały wzbudzić wśród rzymskich żołnierzy! A przecież na nic zdały się Hannibalowi. Rzym pokonał go i zniszczył Kartaginę. W naszych górach czai się wiele duchów, a ty trafiłeś na jednego z nich. Turi, pomyśl, że pewnego dnia sam możesz do nich dołączyć.

I Guiliano myślał o tym całą noc. Cieszyło go, że kiedyś może dołączyć do duchów historii. Miał nadzieję, że jeśli zginie, pozostanie w tych górach; oczyma wyobraźni widział, jak ranny czołga się do jednej z tysięcy jaskiń i znika tam, póki przez przypadek ktoś go nie odnajdzie, tak jak słonia Hannibala.

W ciągu zimy wielokrotnie zmieniali miejsca obozowisk. Na wiele tygodni ludzie rozproszyli się i nocowali w domach krewnych, u przyjaznych im pasterzy lub w wielkich, należących do właścicieli ziemskich spichlerzach. Większą część zimy Guiliano spędził, czytając książki i robiąc plany. Wiele godzin przegadał z Hectorem Adonisem.

Wczesną wiosną wybrał się z Pisciottą na drogę do Trapani. Napotkali tam wóz z wymalowanymi po bokach nowymi obrazami. Po raz pierwszy ujrzeli malunki przedstawiające pieśń o Guilianie. Używszy jaskrawoczerwonej farby, przedstawiono scenę, w której Guiliano, dwornie pochylając się przed księżną, zdejmuje jej z palca pierścień ze szmaragdem. W tle Pisciotta pistoletem maszynowym szachuje grupę uzbrojonych ludzi.

Tego właśnie dnia po raz pierwszy przypięli do pasów prostokątne złote sprzączki z wygrawerowanymi orłem i lwem, zrywającymi się do walki. Wykuł je Silvestro, który teraz pełnił obowiązki zbrojmistrza, i ofiarował Guilianowi i Pisciotcie. Stały się znakiem przywódców bandy. Guiliano nigdy jej nie zdejmował, Pisciotta nosił ją tylko wtedy, kiedy był razem z Turim, gdyż często w przebraniu wyprawiał się do okolicznych miasteczek i wsi, a nawet do samego Palermo. Wieczorami, w górach, Guiliano, odpinając pas, z uwagą wpatrywał się w prostokątną złotą sprzączkę. Po Lewej jej stronie widniał orzeł, który przypominał opierzonego człowieka. Po prawej - przęcający się do skoku lew; jego łapy - podobnie jak rozpostarte skrzydła orła - podtrzymywały maleńki, dzielący je krąg. Wyglądało to tak, jak gdyby bawiły się kulą ziemską. Turiego fascynował zwłaszcza lew o ludzkiej głowie, ukrytej pod lwią grzywą. Król powietrza, król ziemi - wygrawerowani w złocie. Guiliano siebie uznał za orła, Pisciottę za lwa, krążkiem zaś była Sycylia.

Od wieków porywanie bogaczy należało na Sycylii do miejscowych sposobów zarobkowania. Zazwyczaj kidnaperami byli najbardziej okrutni spośród mafiosów. Wystarczało, aby przed porwaniem po prostu wysłali list. Był on zawsze napisany w grzecznej formie, zawiadamiano w nim, że aby uniknąć kłopotliwych sytuacji, okup

należy wypłacić awansem. Podobnie jak zniżka za zakup gotówką, w takim wypadku suma miała być znacznie niższa, gdyż zaoszczędzono by sobie pewnych drobnych, lecz nieprzyjemnych szczegółów, jak choćby sam akt porwania, które nie byłoby już konieczne. Prawdę powiedziawszy, porwanie sławnej osoby nie jest takie łatwe, jak ludzie . sądzą. To nie zajęcie dla chciwych amatorów czy leniwych próżniaków o kurzych mózdkach, którzy nie chcą uczciwie zarabiać na życie. Nie były to nawet lekkomyślne, wręcz samobójcze akty - jak w Ameryce - których zwolennicy przysporzyli kidnappingowi złej sławy. Na Sycylii w ogóle nie używano słowa „kidnapping”, gdyż dzieci nie przetrzymywano dla okupu, jeśli nie towarzyszyła im osoba dorosła. O Sycylijczykach można mówić, co się chce: że to urodzeni kryminaliści, że mordują z równą łatwością, jak kobieta zrywa kwiatki, że są przebiegli i zdradzieccy niczym Turcy oraz społecznie zacofani o co najmniej trzysta lat - a jednak nikt nie mógłby zaprzeczyć, że kochają, nie, wręcz ubóstwiają dzieci. Potrafili za to „zaprosić” bogacza, by został ich gościem, i nie wypuszczali go, dopóki nie zapłacił za wikt i opierunek jak za pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu.

Przez stulecia owa lokalna praktyka wypracowała pewne określone reguły. Cenę nieodmiennie negocjowano przy pomocy pośredników, którymi byli członkowie mafii. Jeżeli „gość” szedł na współpracę, nigdy nie stosowano wobec niego przemocy. Traktowano go z najwyższym szacunkiem, zawsze zwracano się do niego wedle jego godności, tytułując księciem, hrabią, donem czy nawet arcybiskupem, jeśli jakiś bandyta odważył się narazić czystość swojej duszy, porywając przedstawiciela kleru. Nawet członków parlamentu potrafiono uszanować, chociaż wszyscy wiedzieli, że ci szubrawcy w złodziejskim fachu przewyższają wszystkich innych.

Postępowano w ten sposób z roztropności. Historia jasno udowodniła, że taka polityka się opłaca. Uwolniony już więzień, jeśli nie zraniono jego dumy, wcale nie dążył do zemsty. Klasycznym przykładem była sprawa pewnego wielkiego księcia, który po uwolnieniu zaprowadził karabinierów do znanej sobie kryjówki bandytów, ale później opłacił adwokatów porywaczy. Kiedy mimo to zostali skazani, książę dopilnował, by skrócono im wyrok o połowę, a wszystko to dlatego, że traktowano go z tak wyjątkowym taktem i uprzejmością, iż wręcz oświadczył, że nigdy nie spotkał ludzi o równie wyszukanych manierach, nawet wśród najwyższych sfer Palermo.

Natomiast więzień, którego źle traktowano, po uwolnieniu trwoniał majątek na ściganie porywaczy, czasami ofiarowując za nich nagrodę wyższą niż suma okupu.

Kiedy jednak wszystko przebiegało ustalonym trybem i obie strony zachowywały się w cywilizowany sposób, uzgadniano cenę i więźnia puszczano do domu. Bogacze sycylijscy zaczęli uważać, że to coś w rodzaju nieoficjalnego podatku za spokojną egzystencję na ziemi, którą kochają, a skoro podatki na rzecz państwa są tak niskie, powinni dźwigać ten krzyż z chrześcijańską pokorą.

Ci, którzy uparcie odmawiali zapłacenia lub przeciągali negocjacje w nieskończoność, spotykali się z łagodnym przymusem. Wtedy, na przykład, obcinano im ucho lub palec. Zazwyczaj wystarczało to, by każdemu wrócił rozum. Owe smutne, rzadkie wypadki, kiedy trzeba było odstawić ciało, rytualnie zmasakrowane i podziurawione kulami, albo - jak w zamierzchłych czasach - wielokrotnie przekłute, jak gdyby przybito je do krzyża, należały do wyjątków.

Wszakże „zapraszanie gości” wymagało mnóstwa zachodu i wysiłków. Ofiarę należało przez dłuższy czas obserwować, aby pochwycić ją, stosując jedynie minimalną przemoc. Jeszcze wcześniej należało przygotować pięć, sześć kryjówek i zaopatrzyć je w żywność i strażników, gdyż wiadano, że negocjacje mogą się przedłużyć, a władze przystąpią do szukania ofiary. Słowem, całe to przedsięwzięcie wymagało wiele zachodu i nie było zadaniem dla amatorów.

Kiedy Guiliano postanowił zająć się porywaniem, zdecydował, że ograniczy się wyłącznie do najbogatszych klientów. W rzeczy samej, jego pierwszą ofiarą miał paść najbogatszy i najpotężniejszy szlachcic wyspy, sam książę Ollorto, który prócz rozległych posiadłości na Sycylii był właścicielem podobnego imperium w Brazylii, a zarazem panem większości mieszkańców Montelepre - ich gospodarstw i domostw. Miał również wielkie wpływy polityczne i znajomości w sferach rządzących; minister sprawiedliwości w Rzymie zaliczał się do jego najbliższych przyjaciół, obalonego króla Włoch poproszono na ojca chrzestnego dziecka księcia. Na Sycylii wszystkimi jego posiadłościami zawiadywał osobiście don Croce. Milczeniem pomijano ogromną zapłatę, jaką za to otrzymywał, gdyż obejmowała ona również ubezpieczenie, chroniące samego księcia Ollorto przed porywaczami i mordercami, a jego kosztowności, bydło i owce przed złodziejami.

*

Bezpieczny w swoim zamku, którego murów strzegli najemnicy dona Crocego, strażnicy u bram, a właścicieli ochrona osobista, książę Ollorto szykował się do spędzenia spokojnego i miłego wieczoru na obserwowaniu gwiazd na niebie przez

potężny teleskop, który ukochał najbardziej ze wszystkiego na świecie. Nagle na krętych schodach prowadzących do wieży obserwatorium usłyszał czyjeś ciężkie kroki. Drzwi się otworzyły i do maleńkiego pomieszczenia wtargnęło czterech obdartusów z bronią wycelowaną do strzału. Księżę na wszelki wypadek zasłonił teleskop ramieniem i oderwał wzrok od niewinnych gwiazd, by stawić czoło napastnikom. Kiedy ujrzał szczurzą twarz Terranovy, w duchu polecił się opiece boskiej.

Lecz Terranova odezwał się do niego dwornie:

- Wasza wysokość, otrzymałem rozkaz zabrania pana w góry na krótki wypoczynek w towarzystwie Turiego Guiliana. Podczas odwiedzin u nas otrzyma pan wikt i opierunek, taki mamy zwyczaj. Będziemy się panem opiekować jak niemowlakiem.

Księżę próbował ukryć strach. Skłonił się i spytał poważnym tonem:

- Czy mogę wziąć ze sobą lekarstwa i ubranie na zmianę?

- Przyślemy po nie - zapewnił Terranova. - Teraz najważniejszy jest dla nas pośpiech. Niebawem pojawią się karabinierzy, a my wcale nie pragniemy ich towarzystwa. Więc jeśli pan łaskaw, to proszę zejść przodem, przede mną, schodami. I przestrzegam, by nie próbował pan uciekać. Nasi ludzie są wszędzie, więc nawet sam księżę nie uniknąłby kuli.

Przy bocznej bramie w odległym krańcu murowanego ogrodzenia czekały alfa romeo i dżip. Księcia Ollorto wepchnięto do alfy romeo; towarzyszył mu Terranova, reszta mężczyzn zaś wskoczyła do dżipa i oba pojazdy szybko ruszyły górską drogą. Gdy znalazły się już pół godziny jazdy od Palermo, niedaleko Montelepre, zatrzymały się i wszyscy wysiedli koło przydrożnej kapliczki z Madonną. Terranova przyklęknął i przeżegnał się. Księżę, człowiek wierzący, stłumił w sobie chęć uczynienia tego samego, gdyż obawiał się, iż zostanie to wzięte za oznakę słabości lub strachu, by porywacze nie uczynili mu krzywdy. Pięciu bandytów rozstawiło się w gwiaździsty szyk, prowadząc księcia pośrodku. Ruszyli w dół stromym zboczem, aż dotarli do wąskiej ścieżki, prowadzącej na pustkowie pośród gór Cammarata.

Wędrówka trwała wiele godzin, księżę często prosił o odpoczynek, na co eskortujący go mężczyźni grzecznie się godzili. W pewnym momencie zasiedli pod wielką granitową skałą, by spożyć kolację. Składały się na nią zwyczajny bochenek chleba, kawał sera i butelka wina. Terranova sprawiedliwie podzielił to między wszystkich, nie wyłączając księcia, a nawet się przed nim usprawiedliwiał:

- Proszę wybaczyć, że nie możemy zaoferować nic lepszego. Kiedy dotrzemy do obozu, Guiliano poczęstuje pana gorącym posiłkiem, może nawet smakowitym gulaszem z królika. Mamy kucharza, który gotował dla restauracji w Palermo.

Książę podziękował mu uprzejmie i zjadł ochoczo skromny posiłek. Prawdę powiedziawszy, z apetytem lepszym niż wówczas, kiedy zasiadał do "wielkich uczt, do których przywykł. Fizyczny wysiłek sprawił, że poczuł wilczy głód, a to nie zdarzyło mu się od wielu lat. Wyjął z kieszeni paczkę angielskich papierosów i poczęstował wszystkich wokół. Zanotował w pamięci, że nawet nie przejawili ochoty, by mu je zabrać. Ośmielony tym powiedział:

- Muszę zażywać leki. Jestem cukrzykiem i powinienem codziennie brać insulinę.

Zdumiało go, jak przejął się tym Terranova.

- Ależ dlaczego pan wcześniej nie powiedział? Mogliśmy poczekać minutę. Proszę się nie martwić. Guiliano pośle po leki i dostanie je pan z samego rana. Ma pan na to moje słowo.

- Dziękuję - odparł książę.

Szczupłe, giętkie ciało Terranovy nieodmiennie skłaniało się przed nim z uszanowaniem i największą troską. Z twarzy fretki nie schodził uśmiech i chęć służenia pomocą. A jednak ten człowiek przypominał brzytwę: przedmiot użyteczny, lecz zarazem taki, który może zamienić się w śmiertelne narzędzie. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Terranova szedł na czele szpicy, często jednak przystawał, by pogawędzić z księciem i zapewnić go, że nie stanie mu się najmniejsza krzywda.

Wspinali się, aż wreszcie dotarli do płaskiego szczytu góry. Rozpalono tam trzy ogniska, nad urwiskiem rozstawiono ogrodowe stoliki i bambusowe krzesła. Przy jednym ze stolików siedział Guiliano, czytając w świetle polowej lampy z wyposażenia armii amerykańskiej. Brezentowa, wypełniona książkami torba leżała u jego stóp. Torbę obsiadły gekony, a góry rozbrzmiewały monotonnym brzęczeniem. Książę zorientował się, że ten odgłos wydają miliony owadów. Guiliano najwyraźniej nie zwracał na to uwagi.

Wstał od stołu i uprzejmie powitał księcia. Nie odnosił się do niego wcale jak porywacz do więźnia. Jednakże na jego twarzy widniał tajemniczy uśmiech; Guiliano zastanawiał się w duchu, jak jeszcze daleko zajdzie. Dwa lata temu był biednym wieśniakiem; teraz na jego łasce znalazł się człowiek o najbłękitniejszej krwi, jeden z najbogatszych ludzi na całej Sycylii.

- Czy pan już jadł posiłek? Czy mogę uczynić cokolwiek, by umilić panu wizytę u nas? Bo jakiś czas z pewnością pan tutaj zabawi.

Ksiązę przyznał, że istotnie jest głodny, i wyjaśnił, że koniecznie potrzebuje insuliny i innych leków. Guiliano krzyknął coś ponad krawędzią skały i niebawem pojawił się jeden z jego ludzi z półmiskiem dymiącego gulaszu. Turi poprosił księcia, by napisał, jakich potrzebuje lekarstw.

- Mamy w Monreale zaprzyjaźnionego aptekarza, który otworzy nam drzwi bez względu na porę - zapewnił. - Do jutra w południe dostanie pan swoje medykamenty.

Gdy ksiązę skończył jeść, Guiliano poprowadził go z boczem w dół do małej groty, gdzie stało łóżko z trzcinowym materacem. Za nimi podążyło dwóch ludzi z kocami, a ksiązę zdumiał się, że postarano się nawet o białe prześcieradła i wielką puchową poduszkę. Guiliano spostrzegł jego zdziwienie i wyjaśnił:

- Pan jest moim honorowym gościem, więc proszę korzystać z wypoczynku. Gdyby którykolwiek z moich ludzi panu uchybił, proszę mnie niezwłocznie powiadomić. Otrzymali bowiem ściśle rozkazy, by traktować pana z największym szacunkiem, stosownym do pańskiej pozycji i reputacji sycylijskiego patrioty, jaką się pan cieszy. Życzę zatem spokojnego snu, niech pan dobrze wypocznie, gdyż jutro czeka nas długi marsz. List z żądaniem okupu już wysłano, więc karabinierzy wkrótce ruszą za nami. Dlatego też musimy nazajutrz wyprawić się w daleką drogę.

Ksiązę podziękował mu za troskliwość, a potem spytał, jak wysoki wyznaczono okup.

Guiliano roześmiał się, a księcia oczarował ten młodzieńczy śmiech i chłopięca uroda Turiego. Jednak kiedy Guiliano przemówił, cały czar prysnął:

- Wasz rząd wyznaczył dziesięć milionów lirów za moją głowę. W tej sytuacji jego wysokość czułby się urażony, gdyby cena nie była dziesięciokrotnie wyższa.

Ksiązę osłupiał, a potem powiedział drwiąco:

- Mam nadzieję, że moja rodzina ceni mnie równie wysoko jak pan.

- Wszystko można wynegocjować - odparł Guiliano. Kiedy odszedł, dwaj ludzie pościelili łóżko, a potem zasiedli na warcie przed grota. Mimo ogłuszającego brzęczenia owadów ksiązę Ollorto nie spał tak dobrze od lat.

Guiliano za to przez całą noc nie zmrzył oka. Wysłał do Montelepre ludzi po lekarstwa; skłamał księciu, mówiąc o Monreale. Potem polecił Terranovie udać się do klasztoru, do opata Manfrediego. Chciał, aby przeor przeprowadził negocjacje dotyczące okupu, chociaż wiedział, że Manfredi podobne usługi wykonuje dla don Crocego. Jednakże opat byłby w tym wypadku znakomitym buforem, a don Croce i tak dostanie swoją działkę.

Negocjacje będą długie i wiadomo z góry, że nie uda się uzyskać stu milionów lirów. Książę Ollorto jest wprawdzie niezwykle bogaty, wszakże, opierając się na doświadczeniach historii, pierwsza podana suma nigdy nie była ostateczna.

Dla księcia Ollorto dzień po porwaniu okazał się wyjątkowo przyjemny. Wyruszyli w długą, lecz niezbyt uciążliwą wędrówkę do leżącego w głębi gór opuszczonego gospodarstwa. Guiliano zachowywał się niczym pan na włościach, uhonorowany niespodziewaną wizytą króla. Bystrze zauważył, iż książę Ollorto jest zmartwiony fatalnym stanem swojej odzieży. Z żalem patrzył na uszytą przez angielskiego krawca marynarkę, za którą tyle zapłacił, wymiętą i podartą.

- Czy naprawdę tak bardzo zależy panu na tym, co pan na siebie wkłada? - spytał Guiliano bez złości, jedynie z niekłamanym zdumieniem.

Książę zawsze miał pedagogiczne zapędy. No i oczywiście w tych okolicznościach obaj mieli mnóstwo czasu do dyspozycji. Tak więc udzielił Guilianowi lekcji, ze eleganckie stroje, odpowiednio skrojone i uszyte z najprzedniejszych materiałów, poprawiają sylwetkę. Opowiadał o londyńskich krawcach, tak snobistycznych, że dla odmiany włoskich książąt odziewali w komunistyczne uniformy. Mówił o rozmaitych materiałach, umiejętnościach wielkich krojczych, mnóstwie czasu, jaki pochłaniają niezliczone przymiarki.

- Mój drogi Guiliano - powiedział książę - wcale nie chodzi o pieniądze, choć sama święta Rozalia wie, że suma, jaką zapłaciłem za tę marynarkę, starczyłaby na roczne utrzymanie sycylijskiej rodziny, a także zapewniłaby posag jej córce. Jednak ja muszę wyjeżdżać do Londynu. Całe dni marnotrawię u krawców, popychających mnie w przód i w tył przy przymiarkach. To przykre doświadczenie. Dlatego żałuję, że ten garnitur tak się zniszczył. Nigdy me uda się zastąpić go innym.

Guiliano przypatrywał się księciu z sympatią.

- Dlaczego dla pana i pańskiej klasy społecznej tak ważne jest, byście ubierali się z tak wyszukaną elegancją? - pytał. - Nawet tutaj, w górach, nie zdejmujecie pan krawata.

Kiedy weszliśmy do chaty, zauważyłem, że rozpiął pan marynarkę, jak gdyby spodziewał się, że powita go co najmniej księżna.

Książę Ollorto, chociaż reprezentował skrajnie reakcyjne poglądy i - jak większość sycylijskiej szlachty - w ogóle nie myślał o zasadach sprawiedliwości społecznej, zawsze identyfikował się z niższymi warstwami. Miał poczucie, że są to podobne mu istoty, toteż nikt, kto u niego pracował, a umiał się zachować i znał swoje miejsce, nie chciał go opuścić. Służba w pałacu uwielbiała go. Traktował wszystkich jak członków rodziny, zawsze obdarowywał na urodziny i dawał niewielkie gratyfikacje, kiedy pracownicy wybierali się na urlopy. Podczas rodzinnych posiłków, gdy me było zaproszonych gości, służba czekała przy stole, by włączyć się w rozmowy i przedstawić własną opinię na temat problemów i kłopotów chlebobawców. Nie było to na Sycylii niczym dziwnym. Pospółstwo traktowano okrutnie jedynie wtedy, gdy upominało się o swoje prawa ekonomiczne.

I teraz książę zastosował tę samą metodę wobec Guiliana. Jak gdyby jego porywacz był jedynie służącym, który pragnie dzielić z nim życie, godne pozazdroszczenia życie człowieka bogatego i wszechmocnego. Książę niespodziewanie zorientował się, iż czas swojego uwięzienia może obrócić na własną korzyść, tak że nawet wypłacenie okupu okaże się warte zachodu. Rozumiał jednak, że musi postępować bardzo rozważnie, roztaczać cały swój urok bez cienia protekcyjności. Ze powinien być szczery i uczciwy i dzięki temu jak najlepiej wykorzystać sytuację, w jakiej się znalazł. Gdyż Guiliano w jednej chwili ze słabszego potrafi się przeistoczyć w silniejszego.

Zatem na jego pytania odpowiadał poważnie i z wielką uprzejmością. Teraz sam zagadnął go z uśmiechem.

- Dlaczego nosisz pierścień ze szmaragdem i tę złotą sprzączkę? - Czekał na odpowiedź, lecz Guiliano również się tylko uśmiechnął. Książę mówił dalej: - Poślubiłem kobietę, która była jeszcze bogatsza ode mnie. Mam władzę i wpływy polityczne. Posiadam majątki tutaj, na Sycylii, a dzięki żonie o wiele większe w Brazylii. Ludność Sycylii całuje mnie po rękach, jak tylko wyjmę je z kieszeni, i nawet w Rzymie cieszę się znacznym poważaniem jako że tamtym miastem rządzi pieniądź. Wszyscy zwracają oczy na mnie. Czuję się głupio, niczym sobie na to nie zasłużyłem. Lecz tak jest i tak powinno pozostać, nie mogę bowiem dyskredytować własnej osoby. Nawet gdy wybieram się na polowania w stroju, wydawałoby się, wieśniaczym, muszę

się doskonale prezentować. To przecież bogacz wyrusza na polowanie. Jakże czasami zazdroszczę ludziom takim jak ty i don Croce, wam, którzy macie władzę w swoich głowach i sercach, którzy zdobyliście ją dzięki swojej odwadze i przebiegłości. Nie uważasz, że to śmiechu warte, iż sam zawdzięczam ją wizytom u najlepszego londyńskiego krawca?

Tak gładko wypowiedział te słowa, że Guiliano roześmiał się w głos. Rzeczywiście, Turiego rozbawiło, że jedzą wspólnie kolację, gawędząc o nędzy Sycylii i tchórzostwie Rzymu.

Ksiązę orientował się, iż don Croce ma nadzieję zwerbować Guiliana, więc dalej drążył temat.

- Mój drogi Guiliano - powiedział - jakim cudem ty i don Croce nie zjednoczyliście się, by zawładnąć Sycylią? On reprezentuje mądrość nabytą z wiekiem, ty idealizm młodości. I nikt nie wątpi, że obaj miłujecie Sycylię. Dlaczego nie połączycie sił w obliczu nadchodzących lat, które będą groźne dla nas wszystkich? Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, wszystko się zmienia. Komuniści i socjaliści spodziewają się osłabić pozycję Kościoła, zniszczyć więzy krwi. Ośmielają się twierdzić, że powinność wobec partii jest ważniejsza niż miłość do matki, oddanie należne braciom i siostram. Co się stanie, kiedy wygrają wybory i wprowadzą te zasady w życie?

- Oni nie zwyciężą - rzekł z przekonaniem Guiliano. - Sycylijczycy nigdy nie będą głosować na komunistów.

- Nie bądź taki pewien - ostudził go książę. - Przypomnij sobie Silvia Ferrę, był twoim przyjacielem w dzieciństwie. Porządni chłopcy, tacy jak Silvio, poszli na wojnę, a wrócili z niej zarażeni radykalnymi ideami. Ich agitatorzy przyrzekają darmowy chleb, ziemię za darmo. Niewinny wieśniak jest niczym osioł idący za marchewką. Tacy ludzie bardzo łatwo mogą oddać głos na socjalistów.

- Nie żywię szczególnie gorących uczuć dla chrześcijańskich demokratów, zrobię jednak wszystko, by uchronić Sycylię przed rządami socjalistów - zadeklarował Guiliano.

- Jedynie ty i don Croce potraficie zapewnić wolność Sycylii - oświadczył książę. - Musicie połączyć siły. Don Croce zawsze mówi o tobie jak o rodzonym synu, prawdziwie cię miłuje. I tylko on jest zdolny zapobiec wojnie między tobą a przyjaciółmi przyjaciół. Rozumie, że robisz to, co musisz. Ja też to rozumiem. Lecz nawet teraz my wszyscy trzej możemy ze sobą współpracować i postępować zgodnie z

naszą pozycją i przeznaczeniem. W przeciwnym wypadku razem stoczmy się ku zagładzie.

Turi Guiliano nie potrafił stłumić gniewu. Jacyż bezczelni są ci bogacze! Powiedział z lodowatym spokojem w głosie:

- Nie wynegocjowano jeszcze okupu za pana, a pan już proponuje układ. Przecież może pan zginąć.

Tej nocy księżę spał źle. Jednak Guiliano nie okazywał złej woli, księżę spędził zatem następne dwa tygodnie w całkiem dogodnych warunkach. Codzienne ćwiczenia i świeże powietrze sprawiły, że jego zdrowie się poprawiło i opalił się. Choć przez całe życie był szczupły, ostatnimi laty zaokrąglił się w pasie, a teraz niepotrzebny tłuszczyczek zniknął. Fizycznie nigdy nie czuł się lepiej.

Także psychicznie był jak nowo narodzony. Niekiedy przenoszono go z miejsca na miejsce. Guiliano nie należał do jego eskorty, księżę musiał więc rozmawiać z analfabetami, ludźmi pozbawionymi jakiegokolwiek ogłady. Zdumiał się wszakże, poznawszy ich bliżej. Większość z nich zachowywała się uprzejmie, odznaczała wrodzoną dumą i nikt nie mógłby powiedzieć, że ci ludzie są tępakami. Zawsze zwracali się do niego z szacunkiem i pragnęli spełnić każde jego życzenie. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bliski swoich braci Sycylijczyków, zdziwił się, iż na nowo poczuł miłość do ojczyzny i rodaków. Okup, ostatecznie ustalony na sumę sześćdziesięciu milionów lirów w złocie, wypłacono za pośrednictwem dona Crocego i opata Manfrediego. W noc przed uwolnieniem „gościa” Guiliano, jego dowódcy i dwudziestu wybranych członków bandy podjęło księcia Ollorto wykwinną kolacją. By uczcić tę okazję, przywieziono z Palermo szampana. Wznoszono toasty za rychłe uwolnienie księcia, który podbił serca wszystkich. Ostatni toast należał do niego.

- Gościłem w posiadłościach najszlachetniejszych sycylijskich rodzin - powiedział - ale nigdy nie spotkałem się z tak uprzejmym traktowaniem, z taką gościnnością, jak tutaj, w górach. Nigdy tak znakomicie nie spałem ani nie jadłem. - Urwał na chwilę, po czym dodał z uśmiechem: - Rachunek jest nieco zawyżony, lecz wszystko co dobre, musi kosztować. - Te słowa wzbudziły huragan śmiechu, a najgłośniej śmiał się Guiliano. Księżę jednak zauważył, że twarz Pisciotty pozostała kamienna.

Pili za jego zdrowie i życzyli mu wszystkiego najlepszego. Ten wieczór księżę zapamiętał po kres swoich dni. I zawsze wspominał z przyjemnością.

Nazajutrz, w niedzielę, odstawiono go przed katedrę w Palermo. Wszedł do kościoła, gdzie trwała poranna msza, i odmówił modlitwę dziękczynną. Ubrany był dokładnie tak, jak w dniu porwania. Guiliano, aby zrobić mu niespodziankę i okazać szacunek, dopilnował, by najprzedniejszy krawiec z Rzymu zacerował i wyczyścił jego angielski garnitur.

Rozdział dwunasty

Szefowie sycylijskiej mafii zażądali widzenia z donem Crocem. Choć okrzyknięto go szefem nad szefami, to jednak nie sprawował on niepodzielnej władzy. Każdy bowiem miał własne imperium. Mafia przypominała średniowieczne księstwo, w którym potężni baronowie jednoczyli się, by wspomóc w wojnie najsilniejszego spośród nich, jako że przecież sami uznali go za swego nominalnego władcę. Wszakże, podobnie jak niegdyś baronów, również swoich ludzi szef nad szefami musiał opłacać, dzielić się z nimi łupami wojennymi. Don Croce sprawował władzę nie przemocą, lecz potęgą swojej inteligencji, charyzmy, szacunku, na jaki pracował przez całe życie. Władał, łącząc przeciwstawne interesy mafiosów w jedną wspólną sprawę, która wszystkim przynosiła korzyść.

Don Croce musiał z nimi postępować ostrożnie, wszyscy bowiem mieli swoje prywatne armie, tajnych zabójców, dusicieli, trucicieli, honorowych wysłanników, zadających otwarcie śmierć straszliwą luparą. W tym zakresie siła mafiosów równała się jego sile; dlatego właśnie don Croce chciał ustanowić Turiego Guiliana swoim osobistym dowódcą wojskowym. Tamci ludzie także byli bystrzy, niektórzy z nich zaliczali się do najprzebiegłych mieszkańców Sycylii. Nie zazdrościli donowi, że osiągnął taką władzę; ufali mu i wierzyli w niego. Jednak nawet najmądrzejszy człowiek może niekiedy popełniać błędy. Byli zatem przekonani, że zauroczenie osobą Guiliana jest jedyną pomyłką, jakiej mógł się dopuścić pełen niezbadanych tajników umysł don Crocego.

Don Croce wydał dla sześciu szefów wystawny obiad w ogrodzie hotelu Umberto w Palermo, gdzie zapewniano dyskrecję i bezpieczeństwo.

Najgroźniejszym i najbardziej wygadany spośród owych ludzi był don Siano, kontrolujący miasteczko Bisacquino. Zgodził się przemówić w imieniu innych i uczynił to z szorstką grzecznością, jaka przystoi stojącym najwyżej w hierarchii przyjaciółom przyjaciół.

- Mój drogi Croce - powiedział don Siano - wiesz, jakim wszyscy darzymy cię uszanowaniem. To ty sprawiłeś, że powstaliśmy z martwych, my i nasze rodziny. Wiele ci zawdzięczamy. Tak więc tym, co za chwilę usłyszysz, wyświadczamy ci

jedynie przysługę. Ten bandyta, Turi Guiliano, stał się zbyt silny. Traktowaliśmy go z przesadną pobłażliwością. To jeszcze młokos, lecz przecież podważył twój i nasz autorytet. Zagrabił klejnoty naszych najznamienitszych klientów. Zabiera najbogatszym ziemianom oliwki, winogrona i zboże. A teraz okazał największy brak szacunku, jaki można sobie wyobrazić. Porwał księcia Ollorto, choć wiedział, że znajduje się pod naszą opieką. A ty w dalszym ciągu mu pobłażasz, wyciągasz ku niemu pomocną dłoń. Wiem, że jest silny, ale czyż my nie jesteśmy silniejsi? Wspólnie doszliśmy do wniosku, że przyszła pora, by rozwiązać ten problem. Jeśli nie zareagujemy na porwanie księcia Ollorto, staniemy się pośmiewiskiem całej Sycylii.

Don Croce kiwał głową, jak gdyby zgadzał się z każdym słowem, jednak milczał. Guido Quintana, najniższy rangą ze zgromadzonych mężczyzn, odezwał się pokornie:

- Jestem burmistrzem Montelepre i wszyscy wiedzą, że również należę do przyjaciół. Ale nikt nie zwraca się do mnie o opinię, pomoc w wynagrodzeniu za krzywdę, nikt nie przynosi mi podarunków. Miastem rządzi Guiliano i on pozwolił mi tutaj przybyć, aby nie sprowokować zwady z wami, panowie. Jednakże ja nie potrafię żyć, kiedy nie mam żadnego autorytetu. Jestem po prostu marionetką. Póki żyje Guiliano, w Montelepre przyjaciele są zerem. Zetknąłem się z nim kiedyś, zanim jeszcze został bandytą. Nie sądziłem, że to człowiek, którego należy się bać. Jeśli nasza rada wyrazi zgodę, postaram się go wyeliminować. Poczynilem pewne plany i tylko czekam na waszą aprobatę, by dokonać na nim egzekucji.

Don Piddu z Caltanissetty i don Arzana z Piani dei Greci kiwnęli potakująco głowami.

- W czym problem? - spytał don Piddu. - Dysponując takimi siłami, możemy zanieść ciało Guiliana do katedry w Palermo i stawić się na jego pogrzeb, tak jak byśmy uczestniczyli w weselu.

Inni szefowie, don Marcuzzi z Villamury, don Bucilla z Partinico i don Arzana wyrazili poparcie dla tych słów. I czekali, co nastąpi dalej.

Don Croce uniósł swoją masywną głowę. Spiczastym nosem niemal dźgał każdego z nich, mówiąc:

- Moi drodzy przyjaciele, w pełni podzielam wasze uczucia. Myślę jednak, że nie docenicie tego młodego człowieka. Jest przebiegły ponad swój wiek i przypuszczalnie dorównuje każdemu z nas odwagą. Niełatwo byłoby go zabić. Poza tym sądzę, że mógłby być użyteczny w przyszłości, nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich.

Komunistyczni agitatorzy wpędzają Sycylińczyków w takie szaleństwo, że należy się wkrótce spodziewać Garibaldiego. Do nas należy dopilnowanie, aby Guiliano nie został obwołany zbawcą ludu. Nie muszę wam tłumaczyć, jakie ponieśliśmy konsekwencje, gdyby te dzikusy zaczęły rządzić Sycylią. Powinniśmy go przekonać, aby stanął do walki po naszej stronie. Nie możemy się jeszcze czuć na tyle bezpieczni, abyśmy mogli sobie pozwolić na odrzucenie jego siły, unicestwiając go. - Don Croce westchnął, popił kęs chleba łykiem wina i wytwornie otarł usta serwetką. - Proszę, wyświadczyć mi tę przysługę. Pozwólcie, bym podjął ostatnią próbę przekonania go. Jeżeli odmówi, wtedy uczynicie tak, jak nakazuje wam sumienie. Dam wam odpowiedź w ciągu trzech dni. Zezwólcie tylko, bym jeszcze raz spróbował rozsądnie z nim porozmawiać.

Don Siano pierwszy skinął głową na znak zgody. Jakiż w końcu rozumny człowiek mógłby być na tyle niecierpliwy, aby przez trzy dni me poczekać z morderstwem? Kiedy szefowie wyszli, don Croce wezwał Hectora Adonisa do swego domu w Villabie.

Tam potraktował gościa surowo.

- Wyczerpała się moja cierpliwość, jeśli chodzi o twojego syna chrzestnego - grzmiał do niskiego człowieczka. - Teraz musi opowiedzieć się albo za nami, albo przeciwko nam. Porwanie księcia Ollorto to dla mnie osobista obraza, ale gotów jestem przebaczyć i zapomnieć. Cóż, Guiliano jest jeszcze młody, pamiętam, że sam w jego wieku miałem szalone pomysły. Nigdy nie ukrywałem, że żywię dla niego podziw. I wierz mi, doceniam jego zdolności. Nie posiadałbym się ze szczęścia, gdyby został moją prawą ręką. Ale powinien znać swoje miejsce w naszej organizacji. Są inni szefowie, którzy wcale go tak nie kochają i me rozumieją. Nie będę w stanie ich powstrzymać. Udaj się zatem do swojego syna chrzestnego i przekaz mu moje słowa. Najpóźniej jutro przynieś mi odpowiedź. Dłużej nie mogę czekać.

Hector Adonis był przerażony.

- Donie, rozumiem szlachetność twego ducha i uczynków. Jednakże Turi ma twardego charakter, i jak wszyscy młokosi, jest zbyt pewien własnej siły. Prawda też, że nie jest całkowicie bezradny. Gdyby stanął do walki z przyjaciółmi, wiem, że by przegrał, lecz szkody byłyby straszliwe. Czy mogę zatem obiecać mu jakąś nagrodę?

- Posłuchaj, co masz mu obiecać - powiedział Croce. - Otrzyma najwyższe miejsce wśród przyjaciół, a także moją osobistą lojalność i miłość. Zważ, że nie może ukrywać

się wiecznie w górach. Nadejdzie czas, kiedy zapragnie zająć swoje miejsce w społeczeństwie, żyć w zgodzie z prawem na łonie rodziny. I gdy ten dzień nastąpi, ja będę jedynym na Sycylii człowiekiem, który zdoła zapewnić mu wybaczenie. Uczynię to z największą radością. Mówię szczerze. - Rzeczywiście, don Croce wypowiedział te słowa w taki sposób, że me można mu było nie wierzyć, nie można było mu się oprzeć.

Hector Adonis, jadąc w góry na spotkanie z Guilianem, był tak zmartwiony i przestraszony, że postanowił rozmawiać z chrześniakiem, nie owijając niczego w bawełnę. Pragnął, by Turi zrozumiał, iż ich wzajemne przywiązanie jest ponad wszystkim, przewyższa nawet jego, Adonisa, posłuszeństwo wobec dona Crocego. Kiedy przybył na miejsce, nad krawędzią skały stały stoliki i krzesła. Turi i Aspanu siedzieli tylko we dwóch. Hector zwrócił się do Guiliana:

- Muszę rozmówić się z tobą na osobności.

- Kurduplu - odezwał się gniewnie Pisciotta - Turi nie ma przede mną tajemnic.

Adonis przełknął tę zniewagę. Ciągnął spokojnie:

- Jeżeli Turi uzna, że może przekazać ci to, co mam mu do powiedzenia, to jego wola. Jego sprawa. Ale ja nie mogę. Nie mogę brać za to odpowiedzialności.

Guiliano poklepał Pisciottę po ramieniu.

- Aspanu, zostaw nas samych. Powiem ci, jeśli będzie to coś, o czym powinienes wiedzieć.

Pisciotta wstał gwałtownie, zmierzył Adonisa twardym spojrzeniem i odszedł.

Hector Adonis odczekał długą chwilę. Potem zaczął mówić:

- Turi, jesteś moim synem chrzestnym. Kocham cię od małego berbecia. Uczylem cię, podsuwałem ci książki, pomagałem, gdy stałeś się wygnańcem. Jesteś jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy sprawiają, że czuję, iż warto żyć. A przecież twój kuzyn Aspanu obraził mnie, ty zaś nawet słowem go za to nie zganileś.

- Ufam ci bardziej niż komukolwiek, poza matką i ojcem - odezwał się smutno Guiliano.

- I Aspanu - dodał z wyrzutem Hector Adonis. - Ale czy on nie wyrósł na człowieka nadto żadnego krwi, by można mu było ufać?

Guiliano popatrzył ojcu chrzestnemu prosto w oczy i Adonis zachwyił się wyrazem niekłamanej szczerości, jaka malowała się na twarzy chłopaka.

- Owszem, muszę przyznać, że wierzę mu bardziej niż tobie. Jednak to ciebie pokochałem, jeszcze gdy byłem w pieluchach. To ty, dzięki swoim książkom i wiedzy, uwolniłeś mój umysł. I wiem, że wspomagasz finansowo moich rodziców. Jesteś prawdziwym przyjacielem w potrzebie. Lecz widzę, że zaplątałeś się w układy z przyjaciółmi przyjaciół, i coś mi mówi, że to za ich sprawą się tutaj dzisiaj pojawiłeś.

Po raz nie wiadomo już który Adonisa zachwyiła intuicja jego syna chrzestnego. Wyłożył więc sprawę jasno:

- Musisz pójść na układ z donem Crocem - tłumaczył. - Ani król Francji, ani król obojga Sycylii, ani Garibaldi, ani nawet Mussolini nie zdołali całkowicie zdławić przyjaciół przyjaciół. Nie łudź się więc, że ty z nimi wygrasz. Najpierw musisz przykłęknąć przed donem Crocem, lecz kto wie, do jakich w przyszłości dojdiesz zaszczytów. Zaręczam ci swoim honorem i klnę się na głowę twojej matki, którą oboje ubóstwiamy: don Croce wierzy w twój geniusz i rzeczywiście jest skłonny cię pokochać. Zostaniesz jego dziedzicem, jego ulubionym synem. Teraz jednak musisz się nagiąć do jego praw. - Spostrzegł, że Turiego poruszyły te słowa, że potraktował je poważnie. Mówił więc dalej gorączkowo:

- Turi, pomyśl o swojej matce. Nie możesz wiecznie ukrywać się w górach, ryzykując życie, by widzieć się z nią przez kilka dni w roku. Dzięki pomocy dona Crocego możesz mieć nadzieję na uzyskanie amnestii.

Musiało minąć trochę czasu, nim młodzieniec zdołał pozbierać myśli. Potem odezwał się do ojca chrzestnego spokojnym, pewnym głosem:

- Przede wszystkim chciałbym podziękować za szczerość. Oferta jest niezmiernie kusząca. Lecz moim powołaniem jest uwolnienie sycylijskich nędzarzy, a nie sądzę, by przyjaciele dążyli do tego samego celu. Oni pozostają na usługach bogaczy i polityków z Rzymu, zatem to moi zaprzysięgli wrogowie. Poczekajmy i przekonajmy się, co będzie dalej. Oczywiście, porwałem księcia Ollortę i nadepnąłem im w ten sposób na odcisk, ale przecież pozwoliłem żyć Quintanie, a jest to człowiek, którym wyjątkowo pogardzam. Kierował mną szacunek wobec dona Crocego. Przekaż mu to. I dodaj jeszcze, że codziennie modlę się, byśmy zostali równymi partnerami, kiedy nasze interesy nie będą ze sobą sprzeczne. A co do głów rodzin, niech czynią, co im się podoba. Nie boję się ich.

Hector Adonis z ciężkim sercem zaniósł tę odpowiedź donowi Crocemu, ten zaś pokiwał swoją lwią głową, jak gdyby nie spodziewał się niczego innego.

W ciągu następnego miesiąca dokonano aż trzech zamachów na życie Guiliana. Na pierwszy ruch zezwolono Guidowi Quintanie, ten zaplanował go z wyrachowaniem godnym Borgiów. Kiedy Guiliano opuszczał góry, szedł jedną, ulubioną ścieżką. Wzdłuż niej ciągnęły się soczyste łąki, na których Quintana wypasał liczne stada owiec. Pilnowali ich nieszkodliwie wyglądający pasterze, rdzenni mieszkańcy Corleone i starzy przyjaciele Quintany.

Przez niemal tydzień, gdy tylko zobaczyli Guiliana na drodze, witali go z szacunkiem i zgodnie z odwieczną tradycją całowali w rękę, on zaś wdawał się z nimi w przyjacielską pogawędkę; pasterze często bywali przez jakiś czas członkami jego bandy, on zaś rozglądał się właśnie za nowymi rekrutami. Nie obawiał się zagrożenia, gdyż prawie zawsze wędrował z ochroniarzami, a często z Pisciottą, który sam starczał za co najmniej dwóch ludzi. Pasterze byli nie uzbrojeni, zresztą ich przewiewna, luźna odzież wykluczała ukrycie jakiegokolwiek broni.

Jednakże pasterze przypięli lupary i amunicję pod brzuchami owiec znajdujących się w samym środku stada. Czyhali na okazję, kiedy Guiliano pojawi się sam lub nie będzie miał tak silnej ochrony. Wszakże ich przyjacielskie nastawienie i wypasanie owiec akurat w tym miejscu wzbudziły podejrzenia Pisciotty, toteż rozpytał się wśród siatki swoich informatorów. Pasterzy zidentyfikowano jako płatnych zabójców, wynajętych przez Quintanę.

Pisciotta nie tracił czasu. Skrzyknął dziesięciu członków swojej prywatnej bandy i otoczył trzech pasterzy. Wypytał ich dokładnie, kim jest właściciel owiec, od jak dawna zajmują się pasterstwem, kiedy przyszli na świat, jakie są imiona ich matek, ojców, żon i dzieci. Pasterze odpowiadali, zdawałoby się, szczerze, Pisciotta jednak zyskał dowód, że kłamią.

Po przeszukaniu znaleziono broń ukrytą w runie owiec. Pisciotta chciał zgładzić oszustów, lecz Guiliano sprzeciwił się. Nie zdołali przecież wyrządzić żadnej szkody, a prawdziwym skrytobójcą okazał się Quintana.

Zmuszono zatem pasterzy do pognania stada owiec do Montelepre i obwieszczenia na rynku następującej nowiny:

- Oto podarek od Turiego Guiliana. Owieczka dla każdego domostwa z błogosławieństwem od Turiego Guiliana.

Następnie pasterze dokonali rzezi wśród zwierząt i dla tych, którzy sobie tego życzyli, obdzierali je ze skóry.

- Pamiętajcie - zagroził im Pisciotta. - Chcę, byście w razie przesłuchania byli tak usłużni i chętni, jak najlepsza panna sklepowa z Palermo. I proszę przekazać wyrazy uszanowania i podziękowanie Guidowi Quintanie.

Don Siano nie bawił się w wymyślne sztuczki. Wysłał dwóch emisariuszy, mieli oni przekupić Terranovę i Passatempa, by wystąpili przeciwko Guilianowi. Jednakże don Siano nie wziął pod uwagę lojalności, jaką ten wzbudził nawet w takim nieokrzeszańcu jak Passatempo. I tym razem Guiliano sprzeciwił się straceniu zamachowców, Passatempo jednak odesłał emisariuszy ze śladami *bastinado*.

Trzeciej próby dopuścił się ponownie Quintana. I wtedy Guiliano wreszcie stracił cierpliwość.

Do Montelepre przybył nowy ksiądz. Wędrowny braciszek, mający na ciele rozmaite stygmaty. Pewnego niedzielnego poranka odprawiał w miejscowym kościele mszę, podczas której demonstrował swoje święte rany.

Nazywał się ojciec Dodana i był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną, który maszerował tak dziarsko, że czarny habit wirował wokół jego obutych w sandały stóp. Miał przyprószone siwizną jasne włosy, a twarz brunatną i pomarszczoną niczym orzech, choć był jeszcze młodym człowiekiem. Nie minął miesiąc, jak stał się w Montelepre legendą, gdyż nie lękał się ciężkiej pracy; okolicznym wieśniakom pomagał w żniwach, karciał niesforne dzieciaki na ulicach, odwiedzał chore staruszki w domach, wysłuchiwał ich spowiedzi. Tak więc którejś niedzieli, kiedy po odprawieniu mszy stał przed kościołem, Maria Lombardo Guiliano nie zdziwiła się, że ją zagadnął i spytał, czy może uczynić coś dla jej syna.

- Z pewnością zamartwiasz się o nieśmiertelność jego duszy - rzekł ojciec Dodana.
- Kiedy następnym razem przyjdzie cię odwiedzić, przyślij go do mnie, a wypowiadam go.

Maria Lombadro, choć wierząca, nie kochała księży. Ten jednak wywarł na niej duże wrażenie. Zdawała sobie sprawę, że Turi nigdy nie przystąpi do spowiedzi, lecz może uda mu się pozyskać tego świętego dla swojej sprawy. Zapewniła więc zakonnik, że przekaze synowi jego propozycję.

- Mógłbym nawet wyruszyć w góry, by mu pomóc - podsunął pomysł ojciec Dodana. - Powiedz mu to. Moim jedynym zadaniem jest chronić duszyczki przed karą piekła. Ale to, co czyni człowiek, jest wyłącznie jego sprawą.

Tydzień później Turi Guiliano przybył odwiedzić matkę. Namawiała go, by poszedł do księdza i przystąpił do spowiedzi. Może ojciec Dodana udzieli mu komunii świętej. Matce byłoby lżej na sercu, gdyby oczyścił się ze swoich grzechów.

Wielce ją zdziwiło, że syn wykazał zainteresowanie. Zgodził się zobaczyć z księdzem i posłał Aspanu Pisciotte do kościoła, by przyprowadził tamtego do domu Guiliano. Tak jak przypuszczał, ojciec Dodana zbyt przypominał człowieka czynu; zanadto tryskał energią i był bezgranicznie oddany sprawie Guiliana.

- Mój synu - odezwał się - wysłucham spowiedzi w zaciszu twojej sypialni. I tam udzielię ci komunii. Przyniosłem ze sobą wszystko, co niezbędne. - Poglądził trzymaną pod pachą drewnianą skrzyneczkę. - Twoja dusza stanie się czysta jak dusza twojej matki, pójdiesz prosto do nieba.

- Zaparzę kawy i przygotuję tobie i ojcu coś do jedzenia - powiedziała Maria Lombardo i wyszła do kuchni.

- Może mnie ojciec wypowiadać i tutaj - uśmiechnął się Turi Guiliano.

Ojciec Dodana zerknął na Aspanu Pisciotte.

- Ale twój przyjaciel musi stąd wyjść.

Turi roześmiał się głośno.

- Moje grzechy są znane publicznie. Można o nich przeczytać we wszystkich gazetach. Poza tym moja dusza jest czysta, poza jednym - nie mogę się wyzbyć wrodzonej podejrzliwości. Chciałbym zatem zobaczyć, co ojciec ma w tej skrzynce, którą trzyma pod pachą.

- Opłatki do komunii - wyjaśnił ksiądz. - Pokażę ci je.

- Zaczął otwierać skrzynkę, ale wtedy Pisciotta przystawił mu pistolet do szyi. Guiliano wyszarpnął pudełko z rąk zakonnika. W ułamku sekundy spojrzeli sobie prosto w oczy. Guiliano otworzył skrzyneczkę. Ze świątobliwego aksamitu spojrziała na niego ciemnoniebieska lufa automatu.

Pisciotta zobaczył, jak Guiliano blednie, w jego oczach pojawiły się srebrne kółka, które zwiastowały furie. Turi zamknął pudełko i popatrzył na duchownego.

- Sądzę, że powinniśmy razem udać się do kościoła i tam się wspólnie pomodlić. Odmówimy modlitwę za ciebie i za Quintanę. Będziemy błagać Pana, by serce Quintany oczyścił ze zła, a twoje z chciwości. Ile ci obiecał zapłacić?

Ojciec Dodana wcale się nie przestraszył. Przecież innych niedoszłych zamachowców puszczano wolno. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nagrodę wyznaczoną przez władze plus pięć milionów lirów ekstra.

- Dobra cena - rzekł Guiliano. - Nie obwiniam cię o to, że chciałeś zbić majątek. Ale oszukałeś moją matkę, a tego nie mogę wybaczyć. Czy naprawdę jesteś osobą duchowną?

- Ja? - zdziwił się pogardliwie ojciec Dodana. - Nigdy w życiu. Nigdy jeszcze jednak nikt mnie nie rozszyfrował. We trójkę pomaszerowali w dół ulicą. Guiliano niósł drewnianą skrzynkę, Pisciotta szedł za nim krok w krok. Weszli do kościoła. Guiliano zmusił ojca Dodane do ukłęknięcia przed ołtarzem, po czym wyjął z drewnianej skrzynki automat.

- Masz minutę na odmówienie ostatniej modlitwy - oświadczył.

Nazajutrz Guido Quintana wstał, by udać się na poranną kawę do kafejki. Kiedy otworzył drzwi domu, zdumiał się, widząc, że coś zasłania blask rannego słońca. W następnym ułamku sekundy topornie wyciosany drewniany krzyż runął do środka, niemal powalając go na kolana. Do krzyża przybito podziurawione kulami ciało ojca Dodany.

Don Croce rozważył te porażki. Quintanę ostrzeżono. Powinien poświęcić się wyłącznie obowiązkowi burmistrza albo miasteczko Montelepre będzie musiało się rządzić samo. Stało się jasne, że Guiliano stracił cierpliwość i jest gotów wypowiedzieć wojnę przyjaciółom. W zemście Guiliana don Croce dostrzegł wirtuozerię mistrza. Można więc było dokonać tylko jeszcze jednego uderzenia, ale ono nie mogło już zawieść. Don Croce zdawał sobie sprawę, że wreszcie musi stanąć do walki. Wbrew zatem własnemu przekonaniu i dobrej woli, wybrał najbardziej godnego zaufania zabójcę, niejakiego Stefana Andoliniego, znanego lepiej jako Fra Diavolo.

Rozdział trzynasty

Garnizon powiększono, liczył teraz ponad stu karabinierów, toteż przy tych rzadkich okazjach, kiedy Guiliano wkradał się do miasteczka, by spędzić wieczór z rodziną, był w nieustannym strachu, że wytropią go policjanci.

Podczas jednego z takich wieczorów, gdy słuchał, jak ojciec opowiada o dawnych czasach w Ameryce, wpadł na pewien pomysł. Salvatore senior sączył wino i snuł pogawędkę w gronie starych i zaufanych przyjaciół, którzy także byli w Ameryce i razem z nim wrócili na Sycylię, a teraz żartobliwie wypominali sobie wzajem, że okazali się tacy głupi. Jeden z nich, stolarz nazwiskiem Alfio Dorio, przypomniał ojcu Guiliana ich pierwsze lata w Stanach, kiedy pracowali u ojca chrzestnego, niejakiego dona Corleone. Wynajęto ich, by pomogli w budowie przepastnego tunelu pod rzeką, prowadzącego do New Jersey czy Long Island, kłócili się, w którą stronę biegł. Wspominali, jakie to było niesamowite przeżycie pracować pod nurtem rzeki, jak się bali, że odprowadzające wodę rury mogą pęknąć, a oni utoną jak szczury. I wtedy właśnie Guilianowi wpadł nagle do głowy ten pomysł. Ci dwaj ludzie, przy pomocy zaufanych przyjaciół, mogą wydrążyć tunel od domu jego rodziców do odległej zaledwie o sto jardów bazy w górach. Wejście zamaskuje się granitowym głazem, a wylot tunelu w domu zastawi się którąś z szaf lub ukryje za piecem w kuchni. Gdyby ten plan się powiódł, Guiliano mógłby odwiedzać rodziców, kiedy mu tylko przyjdzie na to ochota.

Obaj starsi panowie tłumaczyli mu, że to niemożliwe, jednakże matka zachwyciła się, że jej syn będzie mógł potajemnie zjawiać się w domu i mroźne, zimowe noce spędzać we własnym łóżku. Alfio Dorio przypomniał, że konieczność zachowania tajemnicy ograniczałaby liczbę osób, z których usług można by skorzystać, a ponieważ trzeba by pracować wyłącznie nocami, drążenie tunelu pochłonęłoby mnóstwo czasu. Są też i inne problemy. Jak można pozbyć się wykopanej ziemi w taki sposób, by nie zwróciło to niczyjej uwagi? A w dodatku ziemia ta będzie naszpikowana kamieniami. A co się stanie, jeśli kopiący natkną się pod ziemią na granitowy głaz? Albo gdy któryś z najętych ludzi zdradzi istnienie tunelu? Wszakże największy opór obu staruszków powodował fakt, że kopanie tunelu zajęłoby co najmniej rok. Guiliano zdał sobie

sprawę, że protestują tak stanowczo dlatego, iż w głębi serc boją się, iż on nie pożyje tak długo. Matka również to zrozumiała.

Zwróciła się do dwóch starszych mężczyzn:

- Mój syn prosi o coś, co może ocalić mu życie. Jeżeli jesteście tak leniwi, że odmawiacie, ja się tego podejmę. Przynajmniej możemy spróbować. Co bowiem stracimy, oprócz pracy rąk? Mamy święte prawo kopać na naszej ziemi. Rozpowiemy, że chcemy mieć piwnicę na warzywa i wino. Pomyślcie tylko. Ten tunel któregoś dnia może uratować Turiego. Czyż samo to nie warte jest naszego zachodu?

Był przy tej rozmowie także Hector Adonis. Obiecał dostarczyć podręczniki o drażeniu tunelów i niezbędny sprzęt. Podsunął także pomysł, który się wszystkim spodobał: wybudują drugi, awaryjny tunel, prowadzący do innego domu przy via Bella, dający możliwość ucieczki, w razie gdyby główny podkop został odkryty lub zdradzony przez szpicla. Zapasowy tunel należało wykopać jako pierwszy, a miał on być dziełem jedynie dwóch starszych panów i Marii Lombardo. Nikt inny nie powinien o nim wiedzieć. Drażenie go nie zajmie przecież tak wiele czasu.

Zaczęli się zastanawiać, który dom będzie wystarczająco pewny. Guiliano senior zaproponował dom rodziców Aspanu Pisciotty, lecz przeciw temu natychmiast zaprotestował sam Turi. Ten dom jest zanadto podejrzany, znajduje się pod ścisłą obserwacją. I mieszka tam mnóstwo krewnych. Dowiedziałyby się zbyt wiele osób. Poza tym Aspanu nie pozostaje w najlepszych stosunkach z rodziną. Jego ojciec zmarł, a on nigdy nie wybaczył matce, że powtórnie wyszła za mąż.

Hector Adonis zaproponował swój dom, ale ten znajdował się za daleko, Guiliano nie chciał też narażać ojca chrzestnego na niebezpieczeństwo. W razie odkrycia tunelu właściciel domu bezsprzecznie zostanie aresztowany. Odrzucono też kandydatury innych krewnych i przyjaciół, wreszcie matka Guiliana powiedziała:

- Została nam tylko jedna osoba. Mieszka samotnie, zaledwie cztery domy dalej. Jej męża zabili karabinierzy, nienawidzi ich. Jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką i bardzo lubi Turiego, widziała, jak z chłopca wyrastał na mężczyznę. Czyż nie przesyłała mu jedzenia przez całą zimę, którą spędził w górach? Jest prawdziwą przyjaciółką i całkowicie jej ufam. - Urwała na chwilę, potem dodała: - La Venera.

Wszyscy od chwili rozpoczęcia dyskusji czekali, kiedy padnie to imię. Gdyż każdy uważał, że to jedyne logiczne rozwiązanie. Sycylijscy mężczyźni jednak nigdy nie mogliby wysunąć takiej propozycji. Gdyby La Venera wyraziła zgodę, a cała historia

wyszła na jaw, na zawsze straciłaby dobrą reputację. Była wdową od niedawna. W tej zaś sytuacji ryzykowałaby swoją cześć. Któż mógłby wątpić, że nie odda młodemu mężczyźnie swojej cnoty? Żaden Sycylijczyk nigdy by już nie poślubił ani nie obdarzył szacunkiem takiej kobiety. To prawda, że La Venera była o dobre piętnaście lat starsza od Turiego Guiliana, lecz nie dobiegła jeszcze czterdziestki. I choć nie piękna, niewątpliwie mogła się podobać, w jej oczach palił się ogień. Tak czy siak, to niewiasta, on natomiast jest mężczyzną, a za sprawą tunelu mogliby spędzać czas tylko we dwoje. Nie ulega więc wątpliwości, że za którymś razem staną się kochankami, gdyż żaden Sycylijczyk nie ma złudzeń, iż kobieta i mężczyzna, bez względu na różnicę wieku, pozostając sam na sam, nie potrafią się opanować. A więc prowadzący do domu La Veneri tunel, który może pewnego dnia ocalić życie Turiego Guiliana, naznaczy ją piętnem kobiety upadłej.

Rozumieli to wszyscy prócz samego Guiliana. Martwiła ich zresztą seksualna wstrzeźliwość chłopaka. Nie było to typowe dla sycylijskiego samca. On zachowywał się niemal wstydliwie. Ludzie z jego bandy odwiedzali w Palermo burdele; Aspanu Pisciotta słynął ze swoich miłosnych przygód. Dowódcy, Terranova i Passatempo, bywali kochankami biednych wdów, które zasypywali prezentami. Passatempo zyskał nawet reputację człowieka, który odznaczał się siłą przekonywania typową raczej dla gwałciciela niż amanta, chociaż teraz, ze względu na Guiliana, postępował ostrożniej. Guiliano bowiem wydał rozkaz, by każdego, kto dopuści się gwałtu, zgładzono.

Tak więc mężczyźni musieli poczekać, aby to matka Turiego wymieniła imię swojej przyjaciółki, ale gdy już to zrobiła, rzecz wywołała niewielkie zdziwienie. Maria Lombardo Guiliano była pobożną, staroświecką niewiastą, która nie wahała się wyzywać młodych dziewcząt od dziewczek, kiedy bez przyzwoitki zbyt ostentacyjnie włóczyły się ulicami miasteczka. Mężczyźni nie wiedzieli tego, co wiedziała Maria Lombardo - że La Venera z powodu ciężkiego porodu, który skończył się śmiercią dziecka, i braku odpowiedniej opieki lekarskiej nie może ponownie zająć w ciążę. Nie zdawali sobie sprawy, iż Maria Lombardo postanowiła już, że La Venera w najbezpieczniejszy z możliwych sposobów dostarczy pociechy Turiemu. Jej syn jest wygnańcem, za którego głowę wyznaczono cenę, toteż pierwsza lepsza kobieta z łatwością mogłaby go zdradzić. Jest też młody, energiczny i potrzebuje niewiasty - a czyż może znaleźć się lepsza od tej starszej od niego, nie obciążonej potomstwem, takiej, która nigdy nie rościłaby sobie prawa do małżeństwa? Poza tym z pewnością

nie chciałyby poślubić bandyty. Biedaczka doświadczyła już takiego nieszczęścia. Na jej oczach zastrzelono męża. Układ ten więc byłby doskonały. Ucierpiałaby jedynie reputacja La Venery, toteż ona sama musi podjąć decyzję. Jeśli się zgodzi, to jej zmartwienie.

Gdy matka Guiliana kilka dni później zwróciła się z prośbą w sprawie tunelu do La Venery, była zdumiona, kiedy ta z dumą i radością odpowiedziała: „tak”. Potwierdziło to podejrzenia Marii Lombardo, iż przyjaciółka czuje słabość do Turiego. Niech więc się stanie, co się ma stać, pomyślała Maria Lombardo, ze łzami wdzięczności przytulając La Venerę do piersi.

Zapasy tunel wydrążono w ciągu czterech miesięcy, głównego nie spodziewano się wykopać przed upływem roku. Guiliano od czasu do czasu przekradał się do miasteczka i po zjedzeniu ciepłego posiłku, przyrządzonego przez matkę, spał w przytulnym łóżku. Zawsze było to święto. Jednakże, na przedwiośniu, Guiliano musiał skorzystać z tunelu. Na via Bella pojawił się patrol karabinierów. Policjanci byli uzbrojeni po zęby. Obstawa Guiliana, czterech ludzi, ukrytych w pobliskich domach, szykowała się do walki. Patrol jednak przeszedł dalej. Mimo to wciąż zachodziła obawa, że może zawrócić i zaatakować dom rodziców Turiego. Toteż Turi dał nura do tunelu, do którego wlot znajdował się w sypialni rodziców.

Wejście zamaskowano drewnianą, ściśle dopasowaną klapą, pokrytą taką warstwą kurzu, że żaden z robotników pracujących w głównym tunelu nie domyśliłby się jej istnienia. Guiliano musiał uprzątnąć kurz i podnieść deskę. Kwadrans zajęło mu przeczołganie się wąskim przejściem do domu La Venery. Tam klapę w kuchni zamaskowano dużym żelaznym piecykiem. Guiliano w umówiony sposób zapukał w pokrywę i czekał. Ponownie zapukał. Kulom się nigdy nie kłaniał, natomiast bał się ciemności. Wreszcie usłyszał nad głową cichy szmer, a potem klapę uniesiono, jednakże nie na całą szerokość, gdyż pod ciężarem piecyka załamało się wieko z drewnianego panelu. Guiliano musiał precyzyjnie się przecisnąć przez szparę i skaleczył się w brzuch o podłogę La Venery.

Choć był środek nocy, La Venera miała na sobie codzienną, źle skrojoną czarną suknię, żałobę po mężu, mimo iż nie żył on już od trzech lat. Jej stopy były gołe. Nie nosiła pończoch, więc Guiliano, wstając z podłogi, spostrzegł, iż skóra jej nóg jest zdumiewająco biała; bardzo silnie kontrastowała z ciemną karnacją opalonej twarzy i kruczoczarnymi, sztywnymi i mocno kręconymi włosami. Po raz pierwszy zwrócił

uwagę, że ta twarz nie jest tak okrągła jak u większości starszych kobiet z miasteczka, lecz trójkątna, a piwne oczy zdobią drobne czarne cętki. W ręku La Venera trzymała wiadro pełne żarzących się węgli, jak gdyby zamierzała wrzucić je w głąb szybu. Teraz spokojnie wsunęła węgiel z powrotem do paleniska i zamknęła wieko, wydawała się jednak trochę przestraszona.

- To tylko włóczący się po okolicy patrol - uspokoił ją Guiliano. - Kiedy wrócą do koszar, wyjdę stąd. Proszę się nie niepokoić, na ulicach są moi przyjaciele.

Czekali. La Venera zaparzyła kawy, gawędzili. Zauważyła, że chłopak nie zachowuje się tak nerwowo, jak jej mąż. Nie wyglądał ukradkiem na ulicę, nie zamierał bez ruchu, słysząc jakiś dobiegający z dworu odgłos. Guiliano wydawał się całkowicie odprężony. Nie wiedziała, że wyćwiczył takie zachowanie, gdyż znał opowieści o jej mężu i nie chciał niepokoić rodziców, a zwłaszcza matki. Emanowała z niego prawdziwa pewność siebie - La Venera szybko zapomniała o niebezpieczeństwie, i beztrosko plotkowali o tym, co wydarzyło się w miasteczku.

Spytała, czy dostarczano mu jedzenie, jakie od czasu do czasu posyłała dla niego w góry. Podziękował i zapewnił, że on i jego towarzysze rzucają się na paczki od niej, jakby to były królewskie podarunki. Ludzie bardzo chwalą jej kuchnię. Nie zdradził natomiast, że niektórzy z jego kompanów stroili sobie grube żarty, iż jeśli jej sprawność w łóżku dorównuje umiejętności gotowania, to rzeczywiście musi być wyjątkowo cenną zdobyczą. Tymczasem bacznie jej się przyglądał. Nie zachowywała się wobec niego tak przyjacielsko jak zazwyczaj; nie okazywała mu pełnej słodyczy czułości, co czyniła zawsze w obecności innych osób. Kiedy niebezpieczeństwo minęło i już miał wyjść, pożegnali się niemal oschle.

Dwa tygodnie później Guiliano znowu do niej zawitał. Zima zbliżała się już do końca, lecz w górach panowały burzliwe zamiecie, a kapliczki wzdłuż drogi ociekały kroplami deszczu. Guiliano w swojej grocie marzył o matczynym jedzeniu, gorącej kąpieli, miękkim łóżku w dziecinnym pokoju, a z tymi tęsknotami, ku jego niepomiernemu zdziwieniu, mieszały się myśli o białej skórze nóg La Venery. Zapadła już noc, kiedy zagwizdał na swoją ochronę i wyruszył w dół drogą prowadzącą do Montelepre.

Rodzina powitała go z radością. Matka zakrzętała się wokół jego ulubionych potraw, kiedy zaś już stały na kuchni, przygotowała mu gorącą kąpiel. Ojciec nalał synowi kieliszek anyżówki, a wtedy jeden ze szpiegów pojawił się w progu z wieścią, że

patrole karabinierów otoczyły miasteczko i że sam *maresciallo* przygotowuje się do poprowadzenia ataku lotnej brygady z koszar Bellampo na dom Guilianów.

Guiliano przez klapę przekradł się do tunelu. Po deszczu było tam grząsko, oblepiony błotem przedzierał się długo i z trudem. Kiedy doczołgał się pod kuchnię La Veneri, cały był pokryty brunatną mazią, twarz miał ubrudzoną.

Na jego widok parsknęła śmiechem. Wówczas to Guiliano po raz pierwszy usłyszał jej śmiech.

- Wyglądasz niczym Maur! - zawołała, a on przez chwilę poczuł się urażony jak dzieciak, gdyż w teatrzykach marionetek na Sycylii Maurów nieodmiennie przedstawiano jako nikkzemników - zamiast więc być bohaterem narażonym na niebezpieczeństwo, okazał się łotrem. Możliwe też, że śmiech kobiety spowodował, iż wydała mu się zbyt nieosiągalna, by mógł zaspokoić tłumione pragnienia. Ona spostrzegła jednak, że w jakiś sposób zraniła jego próżność. - Napełnię wannę i będziesz mógł się umyć. Przygotuję ci też jakieś ubrania po moim mężu, żebyś się przebrał.

Spodziewała się, że zaprotestuje, że będzie bał się brać kąpiel w chwili takiego zagrożenia. Jej mąż, kiedy ją odwiedzał, zachowywał się jak zając pod miedzą, nawet się nie rozbierał, nigdy nie wypuszczał z rąk broni. Ale Guiliano uśmiechnął się, ściągnął grubą kurtkę, po czym odłożył okrycie i broń do drewnianej skrzynki, w której La Venera trzymała drewno na opał.

Musiało upłynąć trochę czasu, by zagrzała się woda w kociołkach, a wtedy została napełniona cynowa wanna. Kiedy czekali, La Venera poczęstowała Guiliana kawą i przypatrywała mu się pilnie. Widziała, że jest piękny jak anioł, lecz to nie mogło jej zmylić. Jej mąż był równie przystojny i mordował ludzi. A kule, którymi go zabito, tak bardzo go oszpeciły, myślała z rozpaczą; jest rzeczą nierozumną kochać mężczyznę za jego urodę, w każdym razie na Sycylii. Długo potem bardzo szlochała w ukryciu, ale w końcu przyniosło jej to prawdziwą ulgę. Kiedy mąż został banitą, jego śmierć była przesądzona, ona, La Venera, spodziewała się jej codziennie, żywiąc jedynie nadzieję, że mąż zginie w górach albo gdzieś daleko od miasteczka. Zastrzelono go jednak na jej oczach i od tego czasu nie mogła otrząsnąć się ze wstydu, nie dlatego, że był bandytą, lecz że zginął taką podłą, niemęską śmiercią. Został otoczony i błagał o litość, a karabinierzy podziurawili kulami jego ciało w obecności żony. Dzięki Bogu, córka nie musiała być świadkiem jatki. Chwaliła Pana nawet za tak małe miłosierdzie.

La Venera spostrzegła, że Turi Guiliano przygląda się jej z tym szczególnie przejrzystym wyrazem twarzy, który u wszystkich mężczyzn zwiastuje pożądanie. Wiedziała o tym doskonale. Następcy jej męża często miewali taką minę. Zdawała sobie jednak sprawę, że Turi nie uwiedzie jej z szacunku dla swojej matki, i z szacunku dla poświęcenia, z jakim ona pozwoliła na wybudowanie tunelu.

Wyszła z kuchni do małego saloniku, by Guiliano mógł się wykąpać w samotności. Turi rozebrał się i wskoczył do wanny. Sam fakt, że jest nagi, kiedy w pobliżu kręci się kobieta, okazał się dla niego przeżyciem erotycznym. Umył się wyjątkowo starannie, potem włożył ubranie po jej nieżyjącym mężu. Spodnie były trochę za krótkie, koszula za ciasna na piersiach, tak że górne guziki musiał zostawić rozpięte. Ręczniki, które La Venera ogrzała przy piecu, bardziej przypominały ścierki, więc wciąż miał nieco wilgotne ciało. Po raz pierwszy zrozumiał, jak ta kobieta jest biedna. Postanowił za pośrednictwem matki przekazać jej trochę pieniędzy.

Zawołał do La Venery, że już się ubrał, więc wróciła do kuchni. Popatrzyła na niego i powiedziała:

- Ależ nie umyłeś włosów, masz tam gniazdo gekonów. - Ton jej głosu był gburowaty, lecz ciepły, toteż nie uznał tych słów za obrazę. Niczym stara babcia przesunęła dłonią po jego przybrudzonej czuprynie, a potem ujęła go pod ramię i podprowadziła do zlewu.

Guiliano poczuł ciepło w miejscu, w którym jej dłoń musnęła jego głowę. Szybko wsunął ją pod kran, a La Venera puściła wodę i namydliła mu włosy żółtawym kuchennym mydłem; nie miała zresztą innego. Ocierała się przy tym o niego ciałem i udami, on zaś nagle zapragnął przesunąć dłońmi po jej piersiach, brzuchu.

Kiedy La Venera skończyła mycie, kazała Turiemu usiąść na jednym z czarnych emaliowanych kuchennych taboretów, po czym energicznie wytarła mu włosy szorstkim, trochę podartym brązowym ręcznikiem. Sama miała włosy tak długie, że opadały na kołnierz jego koszuli.

- Wyglądasz jak jeden z tych zbójcekich angielskich lordów z filmów - orzekła. - Muszę podstrzyc ci włosy, ale nie w kuchni, bo wpadną mi do garnków i stracisz kolację. Chodź do pokoju.

Guiliana rozbawiło, że La Venera tak surowo go traktuje. Przybrała ton ciotki lub matki, jak gdyby chciała uniknąć okazania cieplejszych uczuć. Zdawał sobie sprawę, że kryje się za tym erotyzm, lecz postępował rozważnie. W tej dziedzinie nie miał

doświadczenia, więc nie chciał wyjść na głupka. Przypominało to wojnę partyzancką, którą prowadził w górach; nie mógł zaangażować się, póki się nie upewnił, że wszystkie okoliczności mu sprzyjają. Ten teren nie został jeszcze sprawdzony, jednak ubiegły rok dowodzenia bandą i zabijania ludzi sprawił, że instynktowny chłopięcy strach wydawał się tylko żartem, a odrzucenie przez kobietę nie paraliżowało tak bardzo ego. I mimo że Turi cieszył się reputacją niewiniątka, wraz z przyjaciółmi jeździł do Palermo odwiedzać prostytutki. Lecz to miało miejsce, nim został wyjęty spod prawa i zyskał godność przywódcy bandytów. Romantyczny bohater, rzecz jasna, nie powinien postępować w ten sposób.

La Venera zaprowadziła go do niewielkiego saloniku, zagraconego wyściełanymi meblami i stolikami o czarnych lakierowanych blatach. Na nich, razem lub osobno, ustawiono fotografie nieżyjącego męża i zmarłego dziecka. Albo La Venerę z rodziną. Zdjęcia oprawiono w czarne owalne ramki, odbitki były w kolorze sepii. Guiliano zdumiał się, jak piękna była La Venera w tamtych dawnych, szczęśliwszych dniach, zwłaszcza kiedy nosiła śliczne, dziewczęce sukienki. Jednak najbardziej przemówił mu do serca jej portret, zamówiony u fotografa. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię. W tej samej sekundzie Turi pomyślał o jej mężu i o tym, jak wiele musiał on popełnić zbrodni, by zapewnić La Venerze taki strój.

- Nie patrz na te zdjęcia - poprosiła kobieta ze smutnym uśmiechem. - Pochodzą z czasów, kiedy myślałam, że będę szczęśliwa na tym świecie.

Zrozumiał, iż przyprowadziła go do saloniku właśnie po to, by je zobaczył. Z kąta wysunęła nogą mały taboret. Guiliano usiadł. Z obitego skórą pudełka, pięknie wykonanego i ozdobionego złotą nicią, wyjęła nożyczki, brzytwę i szczotkę - był to łup, jaki na któreś Boże Narodzenie Candeleria przyniósł do domu. Potem wyszła do łazienki, wróciła z ręcznikiem i narzuciła go na ramiona Guiliana. Przyniosła także drewnianą misę, którą postawiła obok, na stoliku. Koło domu przejechał dżip.

- Czy mam wziąć z kuchni twoją broń? - spytała. - Może wtedy czułbyś się bezpieczniejszy?

Guiliano popatrzył na nią niewzruszonym wzrokiem. Zdawało się, że jest całkowicie spokojny. Nie chciał, by czuła się zagrożona. Oboje wiedzieli, że w przejeżdżającym dżipie jest pełno karabinierów, którzy dostali rozkaz wtargnięcia do domu Turiego. Guiliano jednak był świadom dwóch rzeczy: gdyby żandarmi pojawili się tutaj i usiłowali sforsować zamknięte na sztabę drzwi, Pisciotta wraz ze swoimi

ludźmi wdeptałby ich w ziemię. On sam zaś, nim wyszedł z kuchni, przesunął piec tak, że nikt nie zdołałby podnieść klapy.

Delikatnie musnął ramię kobiety.

- Nie - powiedział. - Nie potrzebuję broni, chyba że zamierzasz poderżnąć mi tą brzytwą gardło.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Zaczęła strzyć Guiliana. Robiła to starannie i niespiesznie, chwytając poszczególne pasma, by uciąć je nożyczkami, a potem odkładając do drewnianej misy. Guiliano siedział bez ruchu. Zahipnotyzowany cichym szcękaniem nożyczek, rozglądał się po ścianach pokoju. Na jednej z nich wisiał ogromny portret męża La Venery, słynnego bandyty Candelarii. Ale sławnego jedynie w tym zakątku Sycylii, pomyślał Guiliano, już teraz z młodzieńczą pychą stający w zawody z jej zmarłym mężem.

Rutillo Candelaria był przystojnym mężczyzną. Miał wysokie czoło, a nad nim starannie przystrzyżone, ułożone w fale kasztanowe włosy. Guiliano był ciekaw, czy i jego strzygła żona. Oblicze Candelarii zdobiły sumiaste wąsy kawalerzysty. Dzięki nim wydawał się starszy, chociaż miał zaledwie trzydzieści pięć lat, kiedy go zastrzelili karabinierzy. Teraz z owalnego portretu spoglądał niemal przyjaźnie, jakby dając żywym swoje błogosławieństwo, tylko coś w oczach i ustach zdradzało okrutną bezwzględność. A przecież z tej twarzy można było również odczytać rezygnację człowieka, który doskonale wie, jaki los mu jest pisany. Podobnie jak wszyscy, którzy podnieśli dłoń przeciw światu i przemocą oraz morderstwem wydarli mu to, czego pragnęli, jak wielu z tych, co ustanawiali własne prawo i próbowali wedle jego reguł rządzić społeczeństwem, i on także musiał zginąć tragiczną śmiercią.

Drewniana misa wypełniła się lśnącymi, brązowymi włosami; przypominało to coś w rodzaju gniazda małych ptaszeków. Guiliano czuł, jak nogi La Venery napierają na jego plecy; ich palący żar przenikał przez bawełnianą suknię. Kiedy kobieta stanęła przed nim, by obciąć mu grzywkę, jej nabrzmiałe piersi niemal dotykały jego twarzy, a świeży, czysty zapach ciała sprawił, że twarz Turiego zapłonęła tak, jakby stał przed ogniskiem. Wymazał z pamięci zawieszzone na ścianach portrety.

Obróciła się teraz do niego krągłymi pośladkami, by wrzucić do drewnianej misy następny kosmyk włosów. Przez ułamek sekundy oparła się udem o jego ramię. Turi nawet przez mięsisty materiał czarnej sukni wyczuł jedwabistą skórę. Zesztywniał

niczym skała. Przycisnęła się mocniej. Aby się opanować, nie zedrzyć z niej spódnicy i nie chwycić w dłonie tych pośladków, zażartował:

- Czyżbyśmy byli Samsonem i Dalilą?

Odskoczyła od niego gwałtownie. Ku jego zaskoczeniu po jej twarzy popłynęły łzy. Bez zastanowienia wyciągnął ramiona i przygarnął La Venerę do siebie. Ona powoli przechyliła się i odłożyła srebrne nożyczki na stos kasztanowatych włosów w drewnianej misie.

Jednocześnie dłonie Turiego znalazły się pod jej czarną, żałobną suknią i przylgnęły do ciepłych pośladków. Kobieta nachyliła się i przywarła ustami do jego warg, jak gdyby chciała je połknąć. Ta chwilowa czułość okazała się iskrą, która w niej rozpałała zwierzęcą namiętność, tłumioną przez trzy lata cnotliwego wdowieństwa, w nim słodkie pożądanie młodego człowieka, który nigdy nie zasmakował prawdziwej miłości kobiety, lecz jedynie kupował od dziwek jej namiastkę.

W pierwszej chwili Guiliano zupełnie się zatracił. Ciało La Venery było tak zmysłowe, paliło tropikalnym żarem, który przenikał go aż do szpiku kości. Miała piersi pełniejsze, niż sobie mógł wyobrazić; czarny wdowi strój dokładnie je maskował i zasłaniał. Na widok tych delikatnych, lekko owalnych krągłości krew uderzyła mu do głowy. I zaraz potem znaleźli się na podłodze, jednocześnie zdzierając z siebie ubranie.

- Turi, Turi - szeptała kobieta namiętnie.

On milczał. Zatracił się w jej zapachu, żarze i cielesności. Gdy skończyli, zaprowadziła go do sypialni. Tam znowu się kochali. Turi nie mógł uwierzyć, że tyle rozkoszy odkrył w jej ciele, poczuł nawet niechęć do siebie za to, że jest tak uległy, pocieszało go jedynie, że ona jeszcze bardziej mu się poddawała.

Kiedy usnął, La Venera długo wpatrywała się w twarz młodzieńca. Utrwalała ją sobie w pamięci, na wypadek gdyby już nigdy nie mieli się spotkać. Albowiem ostatniej nocy, którą spędziła z mężem przed jego śmiercią, kiedy się skończyli kochać, odwróciła się na bok i zasnęła. I teraz nie potrafiła sobie przypomnieć słodkiego wyrazu twarzy, jaki pojawia się na twarzy każdego kochanka. Odwróciła się wtedy, gdyż nie potrafiła znieść panicznego strachu męża, kiedy przebywał w domu, jego przerażenia, że może wpaść w pułapkę, które sprawiało, iż nie mógł nawet zasnąć, zrywał się, gdy ona wstawała, by coś ugotować lub, jak co dzień, pokrzętać się w domu. Więc zachwycił ją spokój Guiliana; pokochała go za to. Pokochała go, gdyż w

przeciwieństwie do jej męża nie trzymał przy łóżku broni, nie przerywał kochania, by nasłuchiwać, czy w ciemnościach czają się wrogowie, nie pił, nie palił i nie opowiadał jej o swoim strachu. Turi przemawiał czule, posiadał ją bez lęku i namiętnie. Bezszelestnie wstała z łóżka, a on nawet się nie poruszył. Oczekała chwilę, potem wyszła do kuchni, by przygotować mu najlepsze dania ze swego repertuaru kulinarnego.

Kiedy Turi opuszczał ją o poranku, wyszedł frontowymi drzwiami. Kroczył beztrosko, lecz pod kurtką miał ukrytą broń. Powiedział jej, że nie zajrzy do matki, by się pożegnać, i poprosił, by uczyniła to w jego imieniu, i dała jej znać, że jest bezpieczny. La Venerę przeraziła jego zuchwałość, nie wiedziała bowiem, że w miasteczku chroni go mała armia, nie zauważyła też, iż po uchyleniu drzwi przytrzymał je kilka chwil dłużej, aby dać znak Pisciotcie; Aspanu miał zająć się karabinierami, którzy przypadkowo mogliby się kręcić w pobliżu.

Ucałowała go wstydliwie na pożegnanie, co go wzruszyło, potem szepnęła:

- Kiedy mnie znowu odwiedzisz?

- Jak tylko przyjdę do matki, na pewno do ciebie zajrzę - przyrzekł. - A w górach co noc będę o tobie śnił. - Gdy usłyszała te słowa, przepeliła ją bezbrzeżna radość, że uczyniła go szczęśliwym.

Oczekała do południa, mm poszła do matki Guiliana. Jedno spojrzenie na twarz przyjaciółki wystarczyło Marii Lombardo, by zorientować się, co się zdarzyło. La Venera wyglądała dziesięć lat młodziej. W jej ciemnopiwnych oczach tańczyły czarne iskierki, policzki miała zaróżowione i po raz pierwszy prawie od czterech lat nie włożyła czarnej sukni. Ubrała się za to w powiewną sukienkę, ozdobioną aksamitnymi wstążkami, jaką wkłada dziewczyna, by zaprezentować się matce swojego kochanka. Maria Lombardo poczuła płynącą z głębi serca wdzięczność dla przyjaciółki za jej lojalność i odwagę, była także zadowolona z tego, że tak powiodły się jej plany. Dla Turiego to znakomity układ, ta kobieta nigdy go nie zdradzi, nigdy nie będzie mu stawiać jakichkolwiek żądań. Mimo iż sama żarliwie kochała Turiego, nie była o niego zazdrosna. No, może w chwili, kiedy La Venera opowiadała, jak przyrządziła swoje najlepsze potrawy: paszteciki z króliczego mięsa i zapiekanki z serem, posypane ziarnami pieprzu. I jak Turi się nimi zjadał, twierdząc, że nigdy w życiu nie miał w ustach nic lepszego.

Rozdział czternasty

Nawet na Sycylii, w kraju, w którym ludzie zabijają się z równie okrutnym entuzjazmem, jak Hiszpanie szlachtują byki, powszechnie obawiano się morderczego szaleństwa obywateli Corleone. Rywalizujące ze sobą rodziny wycinały się w pień z tak błahych powodów, jak zwada o jedno drzewko oliwne, sąsiedzi wyrzynali się nawzajem, gdyż jeden czerpał więcej od drugiego wody z komunalnego wodociągu, a mężczyzna mógł postradać życie z miłości - to znaczy, jeśli spojrział bez szacunku na czyjąś żonę lub córkę. Zimnokrwisci przyjaciele przyjaciół także poddali się temu szaleństwu i póki don Croce nie zaprowadził wśród nich pokoju, różne ich oddziały walczyły ze sobą.

W tym właśnie miasteczku Stefan Andolini zyskał sobie przydomek Fra Diavalo, Brata Diabła.

Z Corleone wezwał go don Croce. Udzielił mu instrukcji. Powinien dołączyć do bandy Guiliana i zdobyć jej zaufanie. Jego zadaniem jest przycziąć się i czekać na dalsze rozkazy. Na razie ma przysyłać raporty na temat rzeczywistej siły Guiliana oraz lojalności Passatempy i Terranovy. Ponieważ nie można było podważyć lojalności Pisciotty, należało tylko podsycać słabości tego młodego człowieka. W sprzyjających zaś okolicznościach Andolini miał zabić Guiliana.

Andolini nie lękał się słynnego bandyty. A jako że miał rude włosy, a rudzielcy we Włoszech należą do rzadkości, w cichości ducha wierzył, że nie obowiązują go żadne prawa ni reguły. Niczym hazardzista, który ufa, że dzięki swojemu systemowi w końcu wygra, tak Stefan Andolini żył w przekonaniu, iż jest na tyle przebiegły, że nikt nie zdoła go przechytrzyć.

Zwerbował dwóch młodych *picciotti*, to znaczy czeladników w fachu mordowania, których mafia nie powołała jeszcze w swoje szeregi, ale którzy mieli nadzieję, że dostąpią tego zaszczytu. Powędrowali w kontrolowane przez Guiliana góry z chlebakami i luparami, pewni, że przechwyci ich któryś z patroli Pisciotty.

Pisciotta z kamienną twarzą wysłuchał historii Stefana Andoliniego. Ten opowiedział mu, że karabinierzy i policja bezpieczeństwa ścigają go, gdyż zamordował w Corleone socjalistycznego agitatora. Co zresztą było prawdą. Andolini nie dodał

tylko, iż policja i karabinierzy nie mieli dowodów i chcieli go jedynie przesłuchać. Przesłuchanie zaś odbyło się w przyjaznej atmosferze dzięki wpływom dona Crocego. Andolini powiadomił również Pisciotte, że towarzyszący mu dwaj młodzi *picciotti* to ludzie podobnie jak on ścigani za współudział w zabójstwie. I to również była prawda. Stefan Andolini, opowiadając tę bajeczkę, czuł się jednak nieswojo. Pisciotta słuchał go z miną człowieka, który spotkał znajomego albo kogoś, o którym wcześniej wiele słyszał.

Andolini zapewniał, że uszedł w góry w nadziei przyłączenia się do bandy Guiliana. A potem wyciągnął swego asa atutowego. Miał bowiem błogosławieństwo samego ojca Guiliana. On, Stefan Andolini, był mianowicie kuzynem wielkiego don Vito Corleone z Ameryki. Pisciotta skinął głową. Andolini mówił dalej. Don Vito Corleone urodził się w tym samym miasteczku Corleone, co Andolini. Jego ojca zabito, chłopca ścigano, uciekł zatem do Ameryki, gdzie stał się potężnym Ojcem Chrzestnym. Kiedy wrócił na Sycylię, by zemścić się na mordercach ojca, Stefan Andolini był jednym z jego *picciotti*. Potem odwiedził w Ameryce dona Vito i tam otrzymał nagrodę. Tam również poznał ojca Guiliana, który pracował jako murarz przy budowie nowego domu rodziny Corleone na Long Island. Zaprzyjaźnili się i Andolini, nim wyruszył w góry, zatrzymał się w Montelepre, gdzie Salvatore Guiliano senior udzielił mu błogosławieństwa.

Pisciotta rozważał tę historię. Nie ufał temu człowiekowi, jego rudym włosom, twarzy mordercy. Nie spodobali mu się też dwaj *picciotti* tego *Malpelo*.

Zwrócił się do nich:

- Zaprowadzę was do Guiliana, ale lupary trzymajcie przewieszane przez ramię, póki się do was nie odezwie. Nie odważcie się zdejmować ich bez pozwolenia.

Stefan Andolini uśmiechnął się szeroko i rzekł z niekłamana przyjaźnią:

- Aspanu, ufam ci. Zdejmij z mojego ramienia luparę, twoi ludzie mogą to samo uczynić z moimi *picciotti*. Kiedy porozmawiamy z Guilianem, jestem przekonany, że odda nam naszą broń.

- Nie jesteśmy jucznymi zwierzętami, by dźwigać za was strzelby. Nieście je sobie sami - odparł Pisciotta. I poprowadził ich przez góry do kryjówki Guiliana na skraju skały, z której widać było Montelepre.

Krzętało się tam ponad pięćdziesięciu członków bandy, czyszcząc broń i doprowadzając do porządku ekwipunek. Guiliano siedział za stolikiem, patrzył przez lornetkę.

Pisciotta najpierw porozmawiał z przyjacielem, nim przyprowadził do niego nowych ochotników. Opowiedział mu o wszystkim i dodał:

- Turi, wydają mi się trochę śliscy. - „Śliski” było sycylijskim określeniem kapusia.

- I masz wrażenie, że już go przedtem widziałeś? - upewnił się Guiliano.

- Albo o nim słyszałem. Wydaje mi się w jakiś sposób znajomy. Powinienem był go zapamiętać, rudowłosi należą do rzadkości.

- Słyszałeś o nim od La Veneri - wyjaśnił spokojnie Guiliano. - Nazywa go *Malpelo*, nie wie, że nosi nazwisko Andolini. Mnie także o nim opowiadała. Dołączył do bandy jej męża, którego miesiąc później karabinierzy wpędzili w pułapkę i zabili. La Venera mu także me ufa. Twierdzi, że to podstępny drań.

Podszedł do nich Silvestro.

- Nie wiercie rudzielcowi. Widywałem go w Palermo w kwaterze głównej, jak składał prywatne wizyty komendantowi karabinierów.

- Idźcie do Montelepre i przyprowadźcie tutaj mojego ojca - polecił Guiliano. - Tymczasem trzymajcie ich pod strażą.

Pisciotta posiał Terranovę po ojca Guiliana, a potem wrócił do trójki mężczyzn siedzących na ziemi. Pochylił się i zabrał Stefanowi Andoliniemu broń. Członkowie bandy otoczyli przybyszów niczym stado wilków dogorywającą zdobycz.

- Czy nie macie nic przeciwko temu, żebym teraz was odciążył? - spytał Aspanu z drwiącym uśmiechem.

Przez chwilę Stefan Andolini wyglądał na przestraszonego, jego twarz wykrzywiła się. Potem wzruszył ramionami. Pisciotta cisnął jego luparę jednemu ze swoich ludzi. Odczekał parę sekund, by mieć pewność, że jego ludzie są gotowi. Potem sięgnął po lupary dwóch towarzyszy Andoliniego. Jeden z nich, bardziej ze strachu niż ze złości, odepchnął Aspanu i położył dłoń na broni. W następnej chwili, tak błyskawicznie jak zmija wysuwa język, Pisciotta sięgnął po nóż. Skoczył w przód i ostrzem poderznął gardło jednego *picciotto*. W czyste górskie powietrze trysnęła fontanna różowej krwi, a *picciotto* osunął się na bok. Pisciotta dosiadł okrakiem jego ciała i drugim, szybkim cięciem dokończył dzieła. Następnie kopniakami zrzucił trupa do rowu.

Pozostali ludzie z bandy Guiliana zerwali się na równe nogi z bronią gotową do strzału. Siedzący na ziemi Andolini uniósł do góry ręce i popatrzył dokoła błagalnym wzrokiem. Jednak drugi *picciotto* chwycił swoją luparę i usiłował zaszachować nią przeciwników. Stojący za nim Passatempo, radośnie roześmiany od ucha do ucha, prosto w jego głowę władował cały bębenek pistoletu. Strzały odbiły się echem od gór. Wszyscy skamienieli, Andolini pobladł i trząsał się ze strachu, Passatempo ładował pistolet. I wtedy znad krawędzi skały dobiegł ich spokojny głos Guiliana:

- Pozbądźcie się ciał i dopóki nie pojawi się mój ojciec, przywiążcie Malpela do drzewa.

Ciała owinięto w bambusowe plecionki i przeniesiono do głębokiej rozpadliny. Przywalono je kamieniami, aby wedle starodawnych przesądów, nie rozniósł się smród. Zadanie to powierzono Passatempie, który - nim pogrzebał ciała - obrabował je ze wszystkiego. Żadne bowiem rozumne tłumaczenia nie potrafiły przemienić bestii w rycerza.

Już po zmroku, niemal siedem godzin później, w obozie wreszcie pojawił się ojciec Guiliana. Stefana Andoliniego odwiązano od drzewa i zaprowadzono do jaskini oświetlonej lampami naftowymi. Ojciec Turiego zdenerwował się, gdy ujrzął, w jakim stanie jest Andolini.

- Przecież ten człowiek to mój przyjaciel! - zawołał do syna. - W Ameryce razem pracowaliśmy dla Ojca Chrzestnego. To ja mu powiedziałem, że może tutaj przyjść i dołączyć do twojej bandy, że będzie dobrze traktowany.

Uścisnął dłoń Andoliniego i rzekł:

- Wybacz. Mój syn musiał popełnić błąd albo dotarły do niego jakieś plotki na twój temat. - Zakłopotany umilkł na chwilę. Zmartwił się, widząc, że jego stary druh tak bardzo się boi. Andolini bowiem ledwie mógł ustać na nogach.

Był przekonany, że zginie. Miał naprężony kark, jak gdyby jego mięśnie skurczyły się w oczekiwaniu na uderzenie kul. Niemał płakał, że w swojej zuchwałości nie docenił Guiliana. Błyskawiczne zabójstwo jego dwóch *picciotti* zaszokowało go.

Guiliano senior wyczuł, że przyjacielowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony jego syna.

- Turi, jak często prosiłem cię o przysługę? Jeżeli masz coś przeciwko temu człowiekowi, to mu wybaczyć i puścić go wolno. Był mi opoką w Ameryce, a kiedy cię chrzciliśmy, przysłał prezent. Ufam mu i całym sercem doceniam jego przyjaźń.

- Skoro tak mówisz, będziemy go traktowali jak najszacowniejszego gościa - zapewnił Guiliano. - A jeśli zechce przyłączyć się do naszej bandy, powitamy go z otwartymi ramionami.

Ojca Turiego odwieziono konno do Montelepre, żeby mógł wypaść się we własnym łóżku. Kiedy stary Guiliano odjechał, Turi w cztery oczy porozmawiał ze Stefanem Andolinim.

- Wiem wszystko o tobie i Candelarii - mówił. - Gdy dołączyłeś do jego bandy, byłeś szpiegiem dona Crocego. Miesiąc później Candelaria stracił życie. Wdowa po nim zapamiętała cię. Z jej opowieści nietrudno mi było zorientować się, co zaszło. My, Sycylijczycy, w wypadku zdrady, doskonale potrafimy układać wszystkie elementy łamigłówek. Znikają całe grupy takich jak my. Władze niespodziewanie stają się nadzwyczaj bystre. Siedzę tu, w moich górach, i całym dniami rozmyślam. Myślę o rządzie z Palermo, że nigdy dotąd nie był tak przebiegły. A potem dowiaduję się, że minister sprawiedliwości z Rzymu i don Croce idą sobie na rękę. Poza tym wiemy, ty i ja, że z nich dwóch chytrzejszy jest właśnie don Croce. Czekalem i zastanawiałem się, co sprawia, że don Croce aż tak zwleka. Gdyż z całą pokorą uważam, że to ja jestem cenniejszy od wszystkich innych. I dzisiaj przez lornetkę zobaczyłem, jak idziecie tutaj we trzech. Więc pomyślałem: „Aha, to znowu *Malpelo*. Z radością go powitam”. Nie chcę przysparzać mojemu ojcu zmartwienia, więc twoje ciało zniknie.

Przerażenie Stefana Andoliniego w jednej chwili przemieniło się we wściekłość.

- Oszukałbyś rodzzonego ojca? - krzyknął. - I ty mienisz się synem Sycylijczyka? - Splunął z pogardą. - No to mnie zabij tutaj i teraz i szczytniej w piekle.

Pisciotta, Terranova i Passatempo również osłupieli. Guiliano, człowiek honoru, dumny z tego, że zawsze dotrzymuje słowa, nieodmiennie prawiący o sprawiedliwości dla wszystkich, w jednej chwili zmienił się i chce uczynić coś nikczemnego. Nie mieli mu przeciwko temu, by unicestwił Andoliniego - mógłby zabić setki i tysiące jemu podobnych. Nie można jednak było wybaczyć, iż zamierza złamać dane ojcu słowo i oszukać go. Sytuację zrozumiał jedynie kapral Silvestro.

- Nie może narażać naszego życia tylko dlatego, że jego ojciec ma miękkie serce.

Guiliano spokojnym głosem zwrócił się do Ando liniego:

- Pojednaj się z Panem. - Skinął na Passatempę. - Masz pięć minut.

Zdawało się, że rude włosy Andoliniego stanęły na głowie.

- Nim mnie zabijesz, porozmawiaj z opatem Manfredim.

Guiliano patrzył na niego zdumiony. A rudowłosa mężczyzna zasypywał go potokiem słów:

- Kiedyś zapewniałeś opata, że może liczyć na twoją wdzięczność. Ze może zwrócić się do ciebie w każdej sprawie.

Guiliano doskonale pamiętał o tej obietnicy. Jakim cudem ten człowiek się o niej dowiedział? Andolini mówił dalej:

- Chodźmy do niego, a on wyprosi u ciebie moje życie.

- Turi, odczekaj dzień, wyślij posłańca i poczekaj na odpowiedź. Może opat ma na ciebie większy wpływ od twojego ojca - odezwał się pogardliwie Pisciotta.

Guiliano ponownie ich zdumiał.

- Skrępujcie mu ręce i spętajcie nogi w taki sposób, by mógł iść, ale nie uciekać. Sam zaprowadzę go do klasztoru, a jeśli ojciec przełożony nie wstawi się za nim, będzie przynajmniej mógł przystąpić do ostatniej spowiedzi. Rozstrzelam go, a jego ciało zostawię do pogrzebania mnichom.

Guiliano ze swoimi ludźmi pojawił się przed furką klasztoru o wschodzie słońca, kiedy mnisi właśnie udawali się do pracy w polu. Turi przyglądał się im z uśmiechem. Czy to możliwe, że upłynęły zaledwie dwa lata od czasu, kiedy towarzyszył im w codziennych trudach? Chodził wtedy w brązowym habicie i pomiętym kapeluszu amerykańskiej armii? Pamiętał, jak go to bawiło. Czy mógł przypuszczać, że stanie się w przyszłości tak okrutny? Zatęsknił za tamtymi dawnymi dniami spokojnej pracy w polu.

Na ich powitanie do furki podszedł opat we własnej osobie. Wysoka postać w długim habicie cofnęła się z wahaniem, kiedy na jej widok więzień ruszył do przodu, ale potem szeroko rozpostarł ramiona. Stefan Andolini rzucił się w nie, ucałował starca w policzki i zawołał:

- Ojcze, oni chcą mnie zamordować, tylko ty możesz mnie uratować!

Opat kiwnął głową. Wyciągnął ręce ku Guilianowi, który postąpił krok, by go uściskać. Turi już wszystko zrozumiał. Ten dziwny ton, jakim Andolini wypowiedział słowo: „ojcze”, zabrzmiał tak, jakby syn zwracał się do rodzica, a nie zakonnika.

- Błagam o łaskę dla niego - odezwał się opat. - To krew z mojej krwi.

Guiliano zdjął pęta z rąk i nóg Andoliniego.

- Należy do ciebie - oświadczył.

Andolini osunął się na ziemię. Śmiertelny strach sprawił, że osłabł. Opat, choć wątki, podtrzymał go.

- Chodźmy do mnie - zwrócił się do Guiliana. - Trzeba nakarmić twoich ludzi, a my trzej musimy się zastanowić, co począć dalej. - Popatrzył na Andoliniego i dodał: - Drogi synu, jeszcze na dobre nie uniknąłeś niebezpieczeństwa. Kiedy don Croce dowie się o tym wszystkim, co sobie pomyśli? Musimy się wspólnie naradzić, w przeciwnym razie jesteś zgubiony.

Opat zaprowadził ich do niewielkiego saloniku, w którym mogli się swobodnie rozgościć. Dla dwóch młodszych mężczyzn przyniesiono chleb i ser.

Ojciec przełożony zwrócił się do Guiliana ze smutnym uśmiechem:

- To jeden z moich licznych grzechów. Kiedy byłem młody, spłodziłem tego człowieka. Ach, nikt nie wie, na ile pokus jest narażony na Sycylii proboszcz. Ja się im nie oparłem. Skandal zatuszowano, a matkę dziecka wydano za Andoliniego. Solidna sumka sprawiła, że mogłem wspiąć się wyżej w hierarchii Kościoła. Lecz nikt nie może przewidzieć, jak zadrwią sobie z niego niebiosy. Mój syn wyrósł na mordercę. I to jest krzyż, który dodatkowo muszę dźwigać, choć sam popełniłem wiele grzechów, za jakie powinienem odpokutować. - Gdy opat odezwał się do Andoliniego, ton jego głosu się zmienił: - Posłuchaj mnie uważnie, mój synu. Po raz drugi zawdzięczasz mi życie. Zrozum, komu przede wszystkim jesteś winien lojalność. Tym kimś jest Guiliano. Nie możesz wrócić tak i po prostu do dona Crocego. On zada sobie pytanie: „Dlaczego Turi oszczędził właśnie jego, a zabił tamtych dwóch?”. Zacznie podejrzewać, że go zdradziłeś, a to oznacza dla ciebie śmierć. Musisz zatem wyznać mu i wszystko i poprosić go o pozwolenie zostania w bandzie Guiliana. Przyrzeknij, że będziesz przekazywał informacje i służył za łącznika między przyjaciółmi przyjaciół a żołnierzami Guiliana. Sam udam się do dona Crocego i wytłumaczę mu, jakie korzyści przyniesie taki układ. Będzie pewien, że wydasz człowieka, który ocalił ci życie. Ja jednak przestrzegam, że jeśli nie pozostaniesz wierny Guilianowi, przeklnę cię na

wieki. Zabierzesz ze sobą do grobu klątwę rodzzonego ojca. - Po czym ponownie zwrócił się do Guiliana:

- Drogi Turi, teraz muszę prosić cię o kolejną przysługę. Przyjmij mojego syna do swojej bandy. Będzie walczył za ciebie i wypełniał twoje rozkazy, przysięgam, że będzie ci także wierny.

Guiliano spokojnie rozważył te słowa. Był pewien, że szybko zaskarbi sobie miłość Andoliniego, wiedział też, jak ten człowiek jest oddany swojemu ojcu, opatowi. W tej sytuacji możliwość zdrady wydawała się minimalna, poza tym można się było przed nią ustrzec. Stefan Andolini stałby się wartościowym dowódcą podczas rozmaitych akcji, ale jeszcze cenniejszy byłby jako źródło informacji o imperium dona Crocego.

- A co ojciec powie donowi? - spytał Guiliano.

Opat zastanowił się chwilę.

- Przemówię mu do rozumu. Mam wpływ na niego. A potem zobaczymy. Czy zatem przyjmiesz mojego syna do bandy?

- Tak, gdyż niegdyś złożyłem ci pewną przysięgę - odparł Guiliano. - Lecz gdyby mnie zdradził, wtedy nawet twoje modlitwy nie będą na tyle szybkie, by zawrócić go z drogi do piekła.

Stefan Andolini do tej pory żył w świecie, w którym nikomu nie można było zaufać, może dlatego z biegiem czasu jego twarz przekształciła się w oblicze urodzonego mordercy. Zdawał sobie sprawę, że w nadchodzących latach stanie się kimś w rodzaju akrobata, nieustannie balansującego na linie, z której upadek oznaczałby śmierć. To nie będzie bezpieczne. Pewną otuchą napawał go emanujący z Guiliana duch miłosierdzia, który ocalił mu skórę. Nie miał jednak złudzeń. Turi Guiliano okazał się bowiem jedynym człowiekiem, którego rzeczywiście się bał.

Od tego dnia Stefan Andolini przystał do bandy Guiliana. W następnych latach, dzięki okrucieństwu, a zarazem wyjątkowej pobożności Andoliniego, jego przydomek Fra Diavalo stał się sławny na całej Sycylii. Opinię człowieka pobożnego Stefan zawdzięczał temu, że co niedziela bywał na mszy, zazwyczaj w Villabie, gdzie proboszczem był ojciec Beniamin. I w konfesjonale przekazywał mu sekrety bandy Guiliana, o których wiedzieć powinien don Croce. Wszakże nie takie, na które nie pozwoliłby mu sam Turi.

Księga trzecia

Michael Corleone

1950

Rozdział pierwszy

Fiat ominął miasteczko Trapani i wjechał na drogę prowadzącą nad morze. Michael Corleone i Stefan Andolini zatrzymali się przed willą, większą od innych i otoczoną trzema wolno stojącymi domkami. Posiadłość otaczał mur, jedyna furka wychodziła na plażę. Wejścia strzegło dwóch mężczyzn. Wewnątrz Michael ujrzał wielkiego, otyłego mężczyznę w stroju, który wydawał się obcy w tym krajobrazie: sportowa marynarka i luźne spodnie, do tego rozpięta koszulka polo z dzianiny. Kiedy czekali na otwarcie bramy, Michael zobaczył uśmiech malujący się na okrągłej twarzy tego człowieka i ze zdumieniem stwierdził, że to Peter Clemenza.

Clemenza był prawą ręką ojca Michaela Corleone w Ameryce. Co tutaj robił? Michael po raz ostatni widział go tamtej strasznej nocy, kiedy to Clemenza podłożył broń, z której potem Mikę zastrzelił kapitana policji i Turka Sollozzę. Wówczas, dwa lata temu, widział na jego twarzy współczucie i smutek. Teraz natomiast Clemenza był szczerze uradowany, że znowu spotkał się z Michaelem. Wyciągnął go z małego fiacika i niemal zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku.

- Michael, wspaniale cię znowu zobaczyć! Przez lata czekałem, żeby ci powiedzieć, jak bardzo jestem z ciebie dumny. Skończyły się już twoje kłopoty. Za tydzień dołączysz do Rodziny, będzie wielkie święto. Wszyscy na ciebie czekają, Mikey. - Z czułością wpatrywał się w twarz Michaela, jednocześnie obejmując go masywnymi ramionami. Składał mu w ten sposób hołd. W ciągu lat spędzonych na Sycylii chłopak wyrósł na mężczyznę. Michael nie miał już szczerzej, otwartej twarzy; raczej dumną minę Sycylijczyka z krwi i kości. Był gotów do objęcia należnej mu pozycji w Rodzinie.

Z całego serca uradował się na widok zwałistej, niekształtnej postaci Clemency, jego nalanej, lecz wyrazistej twarzy. Spytał o nowiny. Otóż ojciec wylizał się z ran po zamachu na jego życie, choć nie jest jeszcze jednak w najlepszej formie. Clemenza ponuro pokiwał głową.

- Nigdy nikomu nie wychodzi na dobre, kiedy jego ciało podziurawia kule, niezależnie od tego, jak szybko zagoją się rany. Wszakże nie pierwszy raz strzelano do twojego ojca. On jest jak wół. Wyjdzie z tego. Jego i matkę najbardziej dobiło zamordowanie Sonny'ego. Mikey, prawda jest okrutna. Pociski z karabinów

maszynowych rozniosły ciało twojego brata na strzępy. To nie było w porządku, nie musieli tego zrobić. Kierowała nimi nierozumna złość. Ale my poczyniliśmy już pewne plany. Ojciec sam cię z nimi zapozna, gdy wrócisz do domu. Wszyscy się cieszą, że to wkrótce nastąpi.

Stefan Andolini skinął Clemenzie głową. Nie ulegało wątpliwości, że musieli się znać wcześniej. Uścisnął dłoń Michaela i oznajmił, że pora na niego - po drodze do Montelepre ma coś niecoś do załatwienia.

- Bez względu na to, co może dotrzeć do waszych uszu - oświadczył - zapamiętajcie, że zawsze będę wierny Turiemu i że on po kres swoich dni może mi ufać. Jeśli zostanie zdradzony, nie ja będę ponosił za to winę.

- Zająknął się z przejęcia. - I ciebie też nigdy nie wydam. Michael uwierzył mu.

- A może byś odpoczął chwilę, zjadł coś, czegoś się napił? - zaproponował.

Stefan Andolini pokręcił głową przecząco. Wsiadł do fiata i wyjechał przez bramę, którą niezwłocznie za nim zamknięto.

Clemenza poprowadził Michaela przez dziedziniec do największej willi. Uzbrojone patrole strzegły murów i plaży, za którą z posiadłości widać było morze. Niewielka przystań zwrócona była w stronę odległego brzegu Afryki, a łączyła się z redą, przy której zacumowano wielki, smukły jacht z powiewającą nad nim włoską flagą.

W willi powitały ich dwie starowinki odziane w czerń bez choćby jednej jaśniejszej plamki. Miały ogorzałe od słońca twarze i czarne szale, zarzucone na głowy. Clemenza poprosił, by przyniosły do sypialni Michaela paterę z owocami.

Balkon sypialni wychodził na błękitne fale Morza Śródziemnego, którego bezkres wydawały się przecinać promienie porannego słońca. Rybackie łodzie z jaskrawoniebieskimi i czerwonymi żaglami kołysały się na horyzoncie, niczym rzucone na wodę piłki. Na tarasie stał niewielki stolik, nakryty ciężkim, ciemnobrązowym obrusem. Siedziało przy nim dwóch mężczyzn. Podano dzbanek z zaparzoną w ekspresie kawą i dzban z czerwonym winem.

- Wyglądasz na zmęczonego - rzekł Clemenza.

- Zdrzemnij się trochę, a potem we wszystko cię szczegółowo wprowadzę.

- Już do tego przywykłem - rzekł Michael. - Przede wszystkim jednak powiedz mi, czy moja matka dobrze się miewa?

- Znakomicie - zapewnił Clemenza. - Czekaj na twój powrót. Nie możemy jej sprawić zawodu, po stracie Sonny'ego to by ją załamało.

- A ojciec? - spytał ponownie Michael. - Czy już całkiem odzyskał zdrowie?

- Jasne - roześmiał się Clemenza paskudnym śmiechem. - Pięć Rodzin odczuje to na własnej skórze. Twój ojciec czeka tylko, kiedy wrócisz do domu, Mike. Ma wobec ciebie wielkie plany. Nie możemy go zawieść. Zatem nie kłopotuj się tak bardzo Guilianem. Jeśli się zjawi, zabierzemy go ze sobą. Ale jeśli nie, zostawimy go tutaj.

- Czy takie polecenie wydał mój ojciec? - chciał wiedzieć Michael.

- Lada dzień do Tunisu przyleci kurier. Wypłynę łodzią, by się z nim rozmówić - wyjaśnił Clemenza. - Takie wczoraj otrzymałem instrukcje. Najpierw miał nam pomóc don Croce, przynajmniej tak twierdził twój ojciec, nim wyjechałem ze Stanów. Lecz czy wiesz, co wczoraj po twoim wyjeździe zdarzyło się w Palermo? Ktoś usiłował dokonać zamachu na dona Crocego. Sforsowano mur otaczający ogród i zabito czterech ochroniarzy. Don Croce jednak uszedł z życiem. Do diabła, co się tutaj dzieje?

- Jezu! - zawołał Michael. Przypomniawszy, jak silną ochroną don Croce obstarwił hotel. - Obawiam się, że to sprawa naszego przyjaciela Guiliana. Mam nadzieję, że ty i mój ojciec wiecie, co robicie. Ja jestem tak zmęczony, że nawet nie mogę zebrać myśli.

Clemenza wstał i poklepał go po ramieniu.

- Mikey, prześpij się trochę. Kiedy wstaniesz, poznasz mojego brata. To wielki człowiek, podobnie jak twój ojciec, tak samo przebiegły, tak samo twardy, i to on jest szefem tej części kraju. Croce się nie liczy.

Michael rozebrał się i położył do łóżka. Mimo że nie spał od trzydziestu godzin, w głowie wirowało mu od najróżniejszych myśli, więc nie potrafił się odprężyć. Doskwierał też żar porannego słońca, chociaż Michael zamknął masywne drewniane okiennice. Czuł ciężki aromat kwiatów i drzewek cytrynowych. Rozpamiętywał wydarzenia kilku minionych dni. Jakim cudem Pisciotta i Andolini mogli się tak beztrudnie poruszać po okolicy? Dlaczego Guiliano w najcięższych dla siebie czasach zdecydował, iż don Croce jest jego wrogiem? Tego typu pomyłki nie zdarzały się Sycylińczykom. Poza tym ten człowiek od siedmiu lat koczuje w górach. Co za dużo, to niezdrowo. Najpewniej pragnie innego, lepszego życia, nieosiągalnego tutaj, lecz z całą pewnością możliwego w Ameryce. Nie ulega wątpliwości, że na tym

przeświadczeniu opierał swoje plany, czy bowiem w innym wypadku wysyłałby wcześniej do Ameryki swoją ciężarną młodą narzeczoną? I wtedy rozjaśniło się Michaelowi w głowie, zrozumiał, na czym polega tajemnica: Guiliano zdecydował stoczyć ostatnią bitwę, pokazać, że nie boi się polec tutaj, na swojej ojczystej ziemi. Na dodatek coś knuto poza ich plecami, coś, o czym on, Michael, nie wie, dlatego też musi się mieć na baczności. Michael Corleone bowiem nie życzył sobie zginąć na Sycylii. Nie czuł się bynajmniej częścią jej szczególnej legendy.

Ocknął się w przestronnej sypialni. Rozwarł okiennice, za którymi ukazał się lśniący w promieniach porannego słońca biały kamienny balkon. Poniżej Morze Śródziemne niczym ciemnoniebieski dywan rozciągało się aż po horyzont. Pasma purpury przecinały wodę, rybacy na kutrach płynęli w dal. Michael obserwował ich kilka minut, zauroczonego do głębi pięknem wód i majestatem klifowych skał Erice na ciągnącym się ku północy wybrzeżu.

W sypialni ustawiono masywne wiejskie meble. Wielka, emaliowana niebieska miska i dzban z wodą stały na stoliku. Przez oparcie krzesła przerzucono szorstki, brązowy ręcznik. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające świętych i Maryję Pannę z Jezusem w ramionach. Michael obmył twarz, a potem wyszedł z pokoju. Na schodach czekał na niego Peter Clemenza.

- No tak, teraz lepiej wyglądasz, Mikey - orzekł. - Suty posiłek przywróci ci siły, a potem będziemy mogli porozmawiać o interesach.

Poprowadził go do kuchni, w której królował długi drewniany stół. Usiedli przy nim. Jak spod ziemi przy węglowej kuchni wyrosła stara kobieta w czerni. Do dwóch filiżanek naląa kawy, podała ją gościom. Potem równie niepostrzeżenie usmażyła jajecznicę na kielbasie, którą zsunęła na półmisek i postawiła na stole. Z piekarnika wyjęła wielki, okrągły bochenek chleba o chrupiącej skórce. Następnie zniknęła w przylegającym do kuchni pomieszczeniu. Milczeniem zbyła podziękowania Michaela. W tej chwili wszedł jakiś mężczyzna. Był starszy od Clemenzy, lecz tak do niego podobny, że Michael natychmiast się zorientował, iż to don Domenic Clemenza, brat Petera. Don miał jednak na sobie całkiem odmienny strój. Nogawki czarnych welwetowych spodni wetknął w cholewki brązowych topornych butów. Do tego nosił białą jedwabną koszulę z bufiastymi rękawami i długi czarny kaftan, a na głowie miał małą,

spiczastą czapkę. W prawej ręce trzymał pejcz, który odrzucił w kąt Michael wstał, by go powitać, a don Domenic Clemenza otoczył go ramionami w przyjacielskim uścisku.

Wspólnie zasiedli do stołu. Don Domenic emanował wrodzoną godnością, czym przypominał Michaelowi ojca. A także identyczną, staroświecką dworną uprzejmością. Peter Clemenza najwyraźniej czuł respekt przed starszym bratem, który traktował go z pobłażliwą czułością, z jaką zazwyczaj pierworodny odnosi się do płochego, młodszego rodzeństwa. Zdumiało to i rozbawiło Michaela, Peter Clemenza był bowiem w Ameryce prawą ręką jego ojca i najgroźniejszym jego *caporegime*. Don Domenic rzekł poważnie, choć z błyskiem w oku:

- Michaelu, to dla mnie wielka przyjemność i wielki zaszczyt, że twój ojciec, don Corleone, powierzył cię mojej opiece. Teraz dzięki tobie mogę zaspokoić swoją ciekawość. Czy to prawda, że mój nic niewart brat osiągnął w Ameryce takie sukcesy, jak utrzymuje? Czy ten mój młodszy braciszek, któremu nie powierzyłbym nawet zaszlachtowania wieprzka, rzeczywiście wspiał się na szczyty? Czy don Corleone istotnie ustanowił go swoją prawą ręką? Pete twierdzi, że dowodzi setką ludzi. I ja mam w to uwierzyć? - Jednak mówiąc te słowa, serdecznie poklepał brata po ramieniu.

- To wszystko prawda - zapewnił Michael. - Ojciec zawsze twierdzi, że gdyby nie pański brat, do tej pory handlowałby oliwą z oliwek.

Roześmieli się.

- A ja większość swojego życia spędziłbym w więzieniu - odezwał się Peter Clemenza. - To on nauczył mnie, że lepiej najpierw pomyśleć, niż chwycić bezrozumnie za broń.

Don Domenic westchnął.

- Jestem tylko biednym wieśniakiem. Prawda, że sąsiedzi przychodzą do mnie po radę, a tutaj, w Trapani, twierdzą, że jestem kimś ważnym. Nazywają mnie Niewiernym, gdyż nie tańczę tak, jak zagra don Croce. Pewnie nie postępuję zbyt mądrze, może Ojciec Chrzestny potrafiłby lepiej się z nim dogadać. Dla mnie wszak jest to niemożliwe. Mogę sobie być Niewiernym, lecz tylko wobec tych, dla których nie żywię szacunku. Don Croce sprzedaje informacje rządowi, a w moich oczach to *infamita*. Nieistotne, jakie kierują nim motywy. Stare prawa są wciąż najlepsze, Michaelu, sam się przekonasz, jak pobędziesz tu parę dni.

- Nie wątpię - przytaknął grzecznie Michael. - I proszę przyjąć wyrazy wdzięczności za pomoc, jaką mi pan teraz okazuje.

- Czekam na pracę - zakończył don Domenic. - Gdybyś czegoś potrzebował, poślij po mnie. - Wziął pejcz i wyszedł.

- Michaelu, twój ojciec zgodził się pomóc w wydostaniu Turiego Guiliana z tego kraju przez wzgląd na przyjaźń i szacunek, jakie żywi dla jego ojca. Lecz najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo. Tutaj wciąż żyją jego wrogowie. Guiliano ma na to tydzień, by do ciebie dołączyć. Gdyby jednak się nie pojawił, musisz sam wracać do Stanów. Takie otrzymałem rozkazy. W Afryce czeka na nas specjalny samolot, możemy ruszać w każdej chwili. Wystarczy jedno twoje słowo.

- Pisciotta przyrzekł, że wkrótce przyprowadzi do mnie Turiego Guiliana - wyjaśnił Michael.

Clemenza gwizdnął.

- Widziałeś się z Pisciotta? Do diabła, jego tropią równie zawzięcie, jak samego Guiliana. Jakim cudem dostał się z gór?

Michael wzruszył ramionami.

- Miał specjalną czerwoną przepustkę, podpisaną przez ministra sprawiedliwości. I to także mnie niepokoi.

Peter Clemenza pokręcił głową.

- A ten człowiek, który mnie tutaj przywiózł, ten Andolini? Peter, czy coś o nim wiesz? - pytał dalej Michael.

- Owszem - przytaknął Peter Clemenza. - Pracował dla nas w Nowym Jorku, parę drobnych robótek, jednak to ojciec Guiliana był prawdziwym mistrzem murarki, a na dodatek uczciwym człowiekiem. Obaj okazali się na tyle głupi, że tutaj wrócili. Ale to normalne u Sycylińczyków. Nie potrafią zapomnieć o swoich zaplutyh sycylijskich chatach. Wraz ze mną przyjechało do pomocy dwóch ludzi. Nie byli tutaj od dwudziestu lat, toteż pospacerowaliśmy sobie po okolicach Erice. Mikey, to piękne miasteczko, byliśmy na łąkach, na których pasą się owce, raczyliśmy się winem, no i wszystkich nas w pewnym momencie przypiliło. Wysiusialiśmy się, a wtedy ci ludzie podskoczyli w górę jak wystrzeleni z procy i zakrzyknęli: „Niech żyje Sycylia!”. Co na to powiesz? Tacy już jesteśmy, zostajemy Sycylińczykami aż po grób.

- No dobrze, ale co z Andolinim?

Clemenza wzruszył ramionami.

- To kuzyn twojego ojca. W ciągu ostatnich pięciu lat był prawą ręką Guiliana. Lecz przedtem kumał się z donem Crocem. Kto wie? Jest groźny.

- Andolini ma przywieźć tutaj narzeczoną Guiliana - wyjaśnił Michael. - Dziewczyna jest w ciąży. Naszym zadaniem jest przemycić ją do Stanów, a kiedy ona prześle Guilianowi zaszyfrowaną wiadomość, że droga jest bezpieczna, wtedy Turi się u nas zjawi. Zaręczyłem słowem, że się tym zajmujemy. Może tak być?

Clemenza gwizdnął.

- Nic mi nie wiadomo, by Guiliano miał jakąś dziewczynę. Jasne, to się da zrobić.

Wyszli do wielkiego ogrodu. Michael spostrzegł stojących przy bramie strażników, a dalej, na plaży, jeszcze sześciu mężczyzn, przemierzających wzdłuż i wszerz brzeg morza. Przy niedługim moło przycumowano ogromną motorówkę. Po ogrodzie kręciła się grupka ludzi, najwyraźniej czekając na rozmowę z Peterem Clemenza. Było ich około dwudziestu, wszyscy typowi Sycylijczycy, w zakurzonych ubraniach i czapkach z daszkami, nędzniejsze wersje dona Domenica.

W kącie ogrodu, pod drzewkiem cytrynowym, ustawiono owalny drewniany stół, a wokół niego chłopskie stołki. Dwa z nich zajęli Clemenza i Michael, następnie Clemenza skinął na mężczyzn. Jeden z nich podszedł i przysiadł się do stołu. Clemenza wypytał go o jego życie osobiste. Czy jest żonaty? Czy ma dzieci? Od jak dawna pracuje dla dona Domenica? Czy ma w Trapani krewnych? Czy sądzi, że emigrując do Ameryki, zbije majątek? Na to ostatnie pytanie oczywiście padła odpowiedź: „Tak”. Kolejni indagowani mężczyźni sądzili podobnie.

Stara kobieta w czerni przyniosła potężny dzban wina ze świeżymi plasterkami cytryny, potem tacę z mnóstwem szklaneczek. Clemenza każdego petenta częstował trunkiem i papierosami. Kiedy załatwił ostatniego klienta i mężczyźni opuścili ogród, zwrócił się do Michaela:

- Czy któryś z nich wydal ci się podejrzany? Michael wzruszył ramionami.

- Wszyscy wydali mi się jednacy. Pragną wyjechać do Ameryki.

- W domu potrzeba nam trochę świeżej krwi. Straciliśmy wielu ludzi, a możliwe, że zginie jeszcze więcej. Przyjeżdżam tutaj mniej więcej co pięć lat i zabieram ze sobą jakichś dwunastu facetów. Osobiście ich szkole. Najpierw drobne zadania: haracze, bójki, ochrona. Sprawdzam ich lojalność. Kiedy uznam, że nadszedł czas, a okoliczności sprzyjają, daję im szansę, by się wykazali. Lecz i wtedy jestem bardzo

ostrożny. Jeśli przejdą tę próbę, przekonują się, że póki będą lojalni, mogą po kres swoich dni wieść dostatnie życie. Tutaj wszystkim wiadomo, że werbuję ludzi dla Rodziny Corleone, toteż każdy mężczyzna z okolicy pragnie się ze mną spotkać. Ale selekcji dokonuje mój brat. Bez jego przyzwolenia nikt do mnie nie może dotrzeć.

Michael rozejrzał się po pięknym ogrodzie, w którym rosły niezliczone, barwne kwiaty, aromatyczne drzewka cytrynowe. Upiększono go też posągami starożytnych bogów, wykopanymi spod ruin, oraz nowszymi figurkami świętych. Willę otaczał różanej barwy mur. Było to znakomite miejsce na przesłuchanie dwunastu morderczych apostołów.

Późnym popołudniem przed bramą willi ponownie zatrzymał się fiat. Wartownicy machnięciem dłoni pozwolili mu wjechać do środka. Za kierownicą siedział Andolini, obok niego dziewczyna o czarnych włosach i prześlicznym owalu twarzy, przypominająca Madonnę z obrazów. Kiedy wysiadła, Michael przekonał się, że jej ciąża jest widoczna. Miała na sobie, jak wszystkie sycylijskie niewiasty, skromną sukienkę, lecz przecież nie czarną, tylko barwną, w krzykliwe różowo- białe kwiaty. Jednak twarz dziewczyny była tak piękna, że suknia nie miała najmniejszego znaczenia.

Michael Corleone zdumiał się na widok maleńkiej figurki Hectora Adonisa, wysuwającej się z siedzenia z tyłu samochodu. To Adonis dokonał prezentacji. Dziewczyna miała na imię Justina. Nie było po niej widać dziewczęcej nieśmiałości; zaledwie siedemnastolatka, już miała wypisaną na twarzy siłę starszej kobiety, jak gdyby zdążyła posmakować goryczy tragedii, niesionej przez życie. Nim skłoniła głowę, by przyjąć powitanie Michaela, obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, jakby usiłowała w jego twarzy doszukać się najmniejszych oznak zdrady.

Jedna z kobiet zaprowadziła ją do pokoju, Andolini zaś wyjął z samochodu jej bagaże. A właściwie jedną niewielką walizczkę. Michael osobiście odniósł ją do domu.

Wieczorem wszyscy, prócz Andoliniego, który odjechał fiatem, zasiedli do kolacji. Don Domenic powiadomił ich, że łódź do Tunisu czeka w gotowości; od tej pory będzie tak zawsze, gdyż nie wiedzą, kiedy pojawi się Guiliano, a gdy się to stanie, zyskają możliwość szybkiego manewru.

- Kto wie, jakich diabelskich towarzyszy ze sobą przyprowadzi? - uśmiechnął się don Domenic.

Peter Clemenza oświadczył, że odwiezie Justinę do Tunisu i dopilnuje, by wsiadła na pokład specjalnego samolotu, wyposażona w dokumenty uprawniające ją do przekroczenia bez żadnego problemu granicy Stanów Zjednoczonych. Potem wróci do willi.

Kiedy Justina znajdzie się w Ameryce, prześle zaszyfrowaną wiadomość i wtedy rozpocznie się ostateczna operacja, mająca na celu bezpieczny przerzut Guiliana.

Podczas kolacji Justina niewiele się odzywała. Don Domenic spytał, czy jest gotowa ruszyć w drogę jeszcze tej nocy, mimo że w ciągu dnia odbyła tak męczącą podróż.

Gdy odpowiedziała, Michael zrozumiał, co przyciągnęło do niej Guiliana. Miała równie błyszczące, czarne oczy, mocno zarysowany podbródek i usta, jak najrdzeniejsze Sycylijki; przemawiała też władczo jak one.

- Podróżowanie jest łatwiejsze od pracy i mniej niebezpieczne od ukrywania się - oświadczyła. - Sypiałam w górach i na łąkach z owcami, dlaczego więc nie miałabym zasnąć na statku czy w samolocie? Z pewnością tam nie będzie zimno. - Powiedziała to z dumą właściwą młodości, kiedy jednak podniosła szklaneczkę z winem, jej ręce drżały. - Martwię się tylko, czy Turi zdoła uciec. Dlaczego nie może wyjechać razem ze mną?

- Justino - przemówił łagodnym tonem Hector Adonis. - Nie chcemy z powodu jego obecności narażać cię na niepotrzebne ryzyko. Podróż Turiego będzie o wiele bardziej skomplikowana, musimy przedsięwziąć mnóstwo środków ostrożności.

- Łódź przed świtem zabierze cię do Afryki, Justino - dodał Peter Clemenza. - Rozsądniej zatem będzie, jeśli teraz odpoczniesz.

- Nie - sprzeciwiła się. - Nie jestem zmęczona, a poza tym czuję się zanedo podniecona, by zmrużyć oczy. Czy mogę prosić o jeszcze jedną szklaneczkę wina?

Don Domenic nalał jej do pełna.

- Pij, to dobre dla twojego dzieciaczka, a później pomoże ci zasnąć. Czy Guiliano przesyła nam przez ciebie jakieś wiadomości?

Justina uśmiechnęła się do niego smutno.

- Nie widziałam się z nim od miesiący. Ufa wyłącznie Aspanu Pisciotcie. Nie żeby myślał, iż mogę go zdradzić; uważa jednak, że jestem jego słabym punktem, dzięki któremu mogą na niego zastawić pułapkę. Wszystko dlatego, że naczytał się romansów, w których miłość do kobiety bywa przyczyną upadku herosów. Uważa, że to, iż mnie kocha, jest jego najstraszliwszą słabością, więc, rzecz jasna, nigdy nie zwierza mi się ze swoich planów.

Michael chciał się dowiedzieć więcej szczegółów dotyczących Guiliana, człowieka, jakim on sam lub Sonny mogli zostać, gdyby ich ojciec nie wyemigrował z Sycylii.

- Jak się poznaliście z Turim? - spytał Justinę. Roześmiała się.

- Zakochałam się w nim, kiedy miałam jedenaście lat. Było to prawie siedem lat temu, w pierwszym roku banicji Turiego. Jednak już wtedy zyskał sobie sławę w naszej sycylijskiej wioszczynie. Ja i mój młodszy brat pracowaliśmy z ojcem na polu. Tatuś dał mi plik lirów, bym odniosła je matce. Byliśmy z bratem niemądrymi dzieciakami, wymachiwaliśmy banknotami, zachwyceni, że mamy w ręku tyle pieniędzy. Po drodze spotkaliśmy dwóch karabinierów, zabrali nam pieniądze, a kiedy zaczęliśmy płakać, wydrwili nas. Nie wiedzieliśmy, co począć, baliśmy się zarówno wrócić do domu, jak i do ojca. Wtedy z zarośli wyszedł młody mężczyzna. Był wyższy od większości Sycylijczyków i o wiele szerszy w ramionach. Przypominał amerykańskiego żołnierza, widywaliśmy takich podczas wojny. Pod pachą trzymał karabin maszynowy, ale miał łagodne, piwne oczy. Był bardzo przystojny. Spytał nas: „Dzieciaki, dlaczego płaczecie w taki cudowny dzień? A ty, młoda damo, kiedy zniszczysz sobie śliczną buźkę, kto cię zechce poślubić?”. Ale śmiał się, znać było, że nasz widok z jakiegoś powodu go bardzo ucieszył. Powiedzieliśmy mu, co się stało, on znowu się roześmiał i pouczył nas, że powinniśmy się wystrzegać karabinierów, ale to dobrze, iż tak wcześnie dostaliśmy nauczkę. Potem wręczył mojemu bratu okazały plik lirów, byśmy zanieśli go matce, a wreszcie napisał liścik do ojca. Do tej pory pamiętam każde słowo. „Nie wiń swoich pięknych dzieci, które będą Ci pociechą na starość. Suma, jaką im dałem, jest o wiele wyższa od tej, którą straciłeś. Od dzisiaj Ty i Twoje dzieci znajdują się pod ochroną GUILIANA.” Pomyślałam, że nazwisko jest bardzo piękne, a on zapisał je dużymi literami. Całe miesiące marzyłam o nim. Tylko te litery. GUILIANO.

Lecz pokochałam go za radość, z jaką spełnił dobry uczynek. Był szczerze uradowany, że może komuś pomóc. I to się nigdy nie zmieniło. Nieodmiennie

dostrzegam tę samą radość, jak gdyby więcej zyskiwał dając, niż ludzie, którzy biorą. I dlatego Sycylijczycy go pokochali.

- Do czasu Portella delia Ginestra - odezwał się cicho Hector Adonis.

Justina opuściła oczy i zaprzeczyła żarliwie:

- Nadal go kochają.

Michael wtrącił szybko:

- Ale jak się z nim ponownie spotkałaś?

- Mój starszy brat się z nim przyjaźnił. I możliwe, że ojciec należał do jego bandy. Nie wiem. Tylko moja rodzina i dowódcy oddziałów Turiego wiedzą, że wzięliśmy ślub. Turi zaprzysiągł ich, by dochowali tajemnicy, w obawie, że władze mnie aresztują.

Ta nowina sprawiła, że wszyscy przy stole osłupieli. Justina sięgnęła pod sukienkę i wydobyla stamtąd niewielką sakiewkę. Wyjęła z niej kremowy, sztywny dokument, opatrzony potężną pieczęcią, i podała go Michaelowi. Wziął go jednak Hector Adonis i przeczytał. Potem uśmiechnął się do Justiny.

- Jutro znajdziesz się w Ameryce. Czy mogę przekazać rodzicom Guiliana dobrą nowinę?

Justina oblała się rumieńcem.

- Dotąd uważali, że noszę pod sercem bękarta. Z tego powodu trochę mną pogardzali. Owszem, możesz im o tym powiedzieć.

- Czy kiedykolwiek widziałaś albo czytałaś skrywany przez Turiego *Testament*? - spytał Michael.

Justina pokręciła głową przecząco.

- Nie. Turi nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał. Twarz dona Domenica złodowaciała, on też jednak zdawał się zaciekawiony. Michael pomyślał, że musiał słyszeć o *Testamencie*, lecz go nie aprobował. Ile osób wiedziało? Z pewnością nie przeciętny Sycylijczyk. Zaledwie przedstawiciele rządu z Rzymu, don Croce, rodzina Guiliana i zamknięty krąg jego przyjaciół.

- Don Domenicu, czy mogę poprosić o gościnę u pana, póki Justina nie prześle z Ameryki wiadomości, że jest bezpieczna? Wtedy sprawię, że ta wieść dotrze do Guiliana. Chodzi najwyżej o jedną noc - rzekł Hector Adonis.

Don Domenic zapewnił żarliwie:

- Wyświadczy mi pan tym zaszczyt, drogi profesorze. Proszę zostać tu tak długo, jak pan zechce. Ale teraz już czas do łóżek. Nasza droga signora musi się wyspać przed długą podróżą, a ja jestem za stary, by siedzieć tak długo w noc. *Avanti*. - I gestem, niczym wielkie życzliwe ptaszysko machnięciem skrzydeł, wypędził ich z pokoju. Sam ujął Hectora Adonisa pod ramię, a na służące zawołał, by zajęły się pozostałymi gośćmi.

Kiedy nazajutrz Michael się obudził, Justiny już nie było.

Hector Adonis musiał spędzić aż dwie noce w domu dona Domenica, nim kurierską pocztą z Ameryki nadeszła wiadomość od Justiny, że dotarła tam bezpiecznie. Gdzieś w liście kryło się słowo-szyfr, które zadowoliło Adonisa. Tego ranka, kiedy miał wyjechać, poprosił Michaela na prywatną rozmowę.

Dwa dni Michael spędził w pełnym napięcia oczekiwaniu. Sam już nie mógł doczekać się chwili, w której znajdzie się w domu, w Ameryce. Peter Clemenza opisał mu okoliczności, w jakich zamordowano Sonny'ego, a Michael przeczuwał, że coś podobnego może spotkać Turiego Guiliana. Ci dwaj mężczyźni w jego myślach złączyli się w jedno. Byli fizycznie do siebie podobni, odznaczali się taką samą żywotnością i siłą. Guiliano liczył tyle lat co Michael, więc tego drugiego intrygowała sława rówieśnika. Niecierpliwie wyglądał dnia, w którym wreszcie się poznają. Zastanawiał się, jaką rolę ojciec przeznaczył Guilianowi w Ameryce. Gdyż nie wątpił, że don Corleone wiąże z Turim jakieś plany. W przeciwnym razie przetrzymanie Guiliana wraz z nim, Michaeliem, do Stanów nie miałyby sensu.

Ruszyli z Adonisem na spacer plażą. Uzbrojeni strażnicy pozdrawiali ich obu tytułując: *vossia*, wasza miłość. Żaden z nich nie okazał nawet cienia drwiny na widok tego elegancko ubranego karła, Hectora Adonisa. Powróciła motorówka, a kiedy podpłynęła bliżej, Michael spostrzegł, że rozmiarami przypomina mały jacht. Załoga na pokładzie była uzbrojona w lupary i karabiny maszynowe.

Lipcowe słońce mocno przygrzewało, morze było błękitne i tak spokojne, że słońce odbijało się w nim niczym wypolerowany metal. Michael i Hector Adonis usiedli na molu na krzesłach.

- Zanim dzisiaj rano odjadę - odezwał się cicho Hector Adonis - mam ci do przekazania ostateczne instrukcje. I to jest najważniejsza rzecz, jaką możesz uczynić dla Guiliana.

- Włożę w to całe serce - zapewnił Michael.

- Musisz niezwłocznie przesiać *Testament* Guiliana swojemu ojcu do Ameryki. On będzie wiedział, jaki zrobić z niego użytek. Dopilnuje, by don Croce i rząd z Rzymu dowiedzieli się, że *Testament* jest bezpieczny w Stanach, a wtedy nie ośmielą się wyrządzić Guilianowi krzywdy. Pozwolą mu wyjechać z kraju.

- Czy masz go przy sobie? - spytał Michael.

Mały człowieczek uśmiechnął się chytrze, a potem roześmiał.

- To ty go masz - powiedział.

Michael osłupiał.

- Musiano cię źle poinformować. Nikt mi nic takiego nie dawał.

- I owszem - zapewnił go Hector Adonis. Przyjaźnie położył dłoń na jego ramieniu, a Michael zauważył, jak smukłe i drobne, niczym u dziecka, są palce profesora. - Przekazała ci go matka Guiliana, Maria Lombardo. Tylko ona i ja wiedzieliśmy, gdzie jest ukryty, nawet Pisciotta nie został dopuszczony do tajemnicy.

Spostrzegł, że Michael nadal nic nie rozumie.

- Znajduje się w Czarnej Madonnie - wyjaśnił. - Prawda, że posążek Madonny od pokoleń był w posiadaniu rodziny i że jest cenny. Wszyscy o tym wiedzą. Ale Guiliano dostał jego replikę. Jest wydrążona. *Testament* spisano na bibułce, a na każdej stronie Turi złożył podpis. W ciągu ostatnich kilku lat pomagałem mu zredagować tekst. Jest tam kilka kompromitujących dokumentów. Turi zawsze zdawał sobie sprawę, jaki może go spotkać koniec, i chciał się na to przygotować. Jak na tak młodego człowieka, znakomicie potrafi przewidywać przyszłość.

- A jego matka jest wybitną aktorką - roześmiał się Michael.

- To cecha wszystkich Sycylińczyków - potwierdził Hector Adonis. - Nikomu nie ufamy i ukrywamy się przed wszystkimi. Z całą pewnością Guiliano może ufać swemu ojcu, lecz bywa, że ma on nieco za długi język. Pisciotta jest od dziecięcych lat najbliższym przyjacielem Guiliana, Stefan Andolini ocalił mu życie w bitwie z karabinierami, lecz ludzie zmieniają się z czasem lub pod presją tortur. Najlepiej zatem, by nikt o niczym nie wiedział.

- Jednakże tobie Turi zaufał - rzekł Michael.

- Zyskałem sobie ten zaszczyt - potwierdził Hector Adonis. - Chyba zorientowałeś się, jak przebiegły potrafi być Guiliano? Mnie powierzył *Testament*, a Pisciotcie swoje życie. Gdyby miał zginąć, obaj musielibyśmy go zdradzić.

Rozdział drugi

Michael Corleone i Hector Adonis wrócili do willi. Wraz z Peterem Clemenzą usiedli pod drzewkiem cytrynowym. Michael nie mógł doczekać się, kiedy przeczyta *Testament*, lecz Hector powiedział, że lada chwila pojawi się Stefan Andolini, by zawieźć go do Montelepre, więc Michael chciał się dowiedzieć, czy Andolini nie przywiezie mu jakichś nowych instrukcji.

Upłynęła godzina. Hector Adonis spojrział na zegarek, na jego twarzy pojawił się niepokój.

- Pewnie mu wysiadł samochód - rzekł Michael. - Ten fiat ciągnął już ostatkiem sił.

Hector Adonis pokręcił głową.

- Stefan Andolini ma serce mordercy, lecz jest przykładem punktualności i niezawodności. Ponieważ spóźnił się godzinę, obawiam się, że stało się coś złego.

- Mój brat da panu samochód z kierowcą - zaproponował Peter Clemenzą.

Adonis zastanowił się chwilę.

- Nie - rzekł. - Poczekam. Koniecznie muszę się z nim zobaczyć.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy przeczytali *Testament* bez ciebie? I jak się otwiera posążek?

- Oczywiście, przeczytajcie go - zgodził się Hector Adonis. - Otwarcie figurki to nic trudnego. Wyrzeźbiono ją z solidnego kawałka drewna. Kiedy już Turi włożył papiery do środka, głowę przylepiono z powrotem. Trzeba ją po prostu odciąć. Gdybyście mieli kłopoty z odczytaniem tekstu, z przyjemnością wam pomogę. Przyślijcie po mnie kogoś ze służby.

Michael i Peter Clemenzą poszli do sypialni Michaela. Figurka wciąż tkwiła w kieszeni marynarki Mike'a. Kompletnie o niej zapomniał. Wyjął ją, i obaj utkwili wzrok w Czarnej Madonnie. Nie uległo "wątpliwości, że jej rysy są negroidalne, a jednak twarz wyrzeźbiono na podobieństwo białych Madonn, jakie znalazłoby się w każdym ubogim domostwie Sycylii. Michael obrócił figurkę w rękach. Była ciężka - nikt by się nie domyślił, że ją wydrążono.

Peter Clemenzą podszedł do drzwi i krzyknął coś do służącej. Zjawiała się z kuchennym tasakiem. Rozejrzała się szybko po pokoju, po czym wręczyła topór Clemenzie, który zamknął drzwi przed jej ciekawskim spojrzeniem.

Michael położył posążek na masywnej drewnianej toalecie. Jedną ręką ujął krążek u podstawy figurki, drugą głowę. Clemenzą ostrożnie przyłożył tasak do szyi madonny, uniósł masywne ramię, a potem jednym silnym uderzeniem odrąbał głowę, która potoczyła się po podłodze sypialni. Z wydrążonej szyi wyłonił się zwitek papierów, opasany rzemykiem z miękkiej szarej skóry.

Clemenza uderzył dokładnie w miejsce, w którym głowę na powrót przylepiono. Tasak nigdy nie rozłupałby twardego oliwnego drewna. Odłożył narzędzie na stół i wyjął papiery z bezgłowej statuetki. Rozwiązał rzemyk i rozłożył kartki na stole. Plik składał się bodaj z piętnastu żółtawych stron, zapisanych ręcznie czarnym atramentem. U dołu każdej widniał, tak jak w papierach królewskich, niestaranny podpis Guiliana. Znaleźli także dokumenty z urzędowymi pieczęciami, listy z oficjalnymi nagłówkami organów rządowych i notarialnie potwierdzone oświadczenia. Papiery zwijały się, tak jak były schowane, więc Michael po obu ich końcach położył obie części posążku i tasak, by leżały płasko na blacie stołu. Potem uroczyście nalał do kieliszków ze stojącego na nocnym stoliku dzbanka wino i jeden wręczył Clemenzie. Wypili i zaczęli czytać *Testament* Turiego.

Skończyli dopiero po dwóch godzinach.

Michaela zdumiało, że Turi Guiliano, człowiek tak młody i taki idealista, zdołał przeżyć mimo zdrady, jaka go otaczała. Sam na tyle poznał świat, by zrozumieć, iż Guiliano wypracował sobie własną, chytrą taktykę, i własny system władzy, byle tylko pozostać w zgodzie z misją, którą miał wypełnić. Michael czuł, że łączy go z Turim duchowe pokrewieństwo, postanowił, że nie spocznie, póki nie przyczyni się do ocalenia Guiliana.

W papierach niewiele było informacji, które pozwoliłyby odtworzyć jego życie w ciągu ostatnich siedmiu lat, dołączone dokumenty natomiast z całą pewnością mogłyby obalić chadecki rząd w Rzymie. Michael zdziwił się, jak sprawujący władzę politycy mogą postępować tak niemądrze: notatka sygnowana przez kardynała, list od ministra sprawiedliwości do dona Crocego z zapytaniem, co uczyniono, by zdławić demonstrację na Ginestra; wszystko ubrane w niewinne słowa, lecz w świetle tego, co się później zdarzyło, kompromitujące. Oddzielnie dokumenty wydawały się

całkiem niegroźne, razem jednak tworzyły imponującą górę dowodów, niewzruszalną niczym piramida.

Przeczytali także list od księcia Ollorto, pełen kwiecistych komplementów pod adresem Guiliana. Książę zapewniał go, że wszyscy wysoko postawieni chrześcijańscy demokraci z Rzymu dołożą wszelkich starań, by Turi uzyskał ułaskawienie, jeśli uczyni to, o co go proszą. Książę Ollorto deklarował, iż doskonale się rozumieją z ministrem sprawiedliwości z Rzymu.

Przejrzeli również kopie planów strategicznych, sporządzonych przez kombatantów karabinierów w celu pojmania Guiliana - planów, które przekazano mu w zamian za wyświadczone usługi.

- Nic dziwnego, że chcą go schwytać - rzekł Michael.

- Dzięki tym świstkom może ich wszystkich wysadzić w powietrze.

- Natychmiast zabieram cały ten chłam do Tunisu - oznajmił Peter Clemenza. - Jutro znajdzie się w sejfie twojego ojca. - Wziął bezgłowy posążek i z powrotem wepchnął papiery do środka. Włożył figurkę do kieszeni i zwrócił się do Michaela: - No to w drogę. Jeśli ruszę zaraz, wrócę jutro rano.

Wyszli z willi, po drodze Clemenza oddał starej niewieście w kuchni tasak, a ona popatrzyła na narzędzie podejrzliwie, jak gdyby szukała tam śladów krwi. Ruszyli wybrzeżem. Zaskoczył ich widok wciąż czekającego Hectora Adonisa. Stefan Andolini jeszcze się nie pojawił.

Karzeł rozluźnił krawat i zdjął marynarkę. Na lśniącej białej koszuli widać było plamy potu, chociaż Adonis siedział w cieniu drzewka cytrynowego. Wyglądał na lekko podpitego - potężny gąsiorek na ogrodowym stole był pusty.

Powitał Michaela i Petera Clemenzę rozpaczliwym głosem:

- Doszło do ostatecznej zdrady. Andolini spóźnia się już trzy godziny. Muszę jechać do Montelepre i Palermo. Powinienem zawiadomić Guiliana.

Odpowiedział mu Peter Clemenza z szorstkim poczuciem humoru:

- Profesorze, może zepsuł mu się samochód, może zatrzymały go jakieś niecierpiące zwłoki sprawy, cokolwiek. Wie, że pan jest tutaj bezpieczny i czeka. Gdyby się dzisiaj nie pojawił, proszę spędzić z nami następną noc.

Lecz Hector Adonis nie przestawał mamrotać:

- Wszystko idzie źle, po prostu fatalnie. - Poprosił ich o wóz. Clemenza wezwał dwóch mężczyzn, by wyprowadzili jedną z alf romeo i odwieźli Hectora do Palermo. Rozkazał im, by przed zmierzchem wrócili samochodem do willi.

Pomogli Hectorowi wsiąść do wozu, zapewniając go, że nie ma się czym martwić. W ciągu dwudziestu czterech godzin *Testament* znajdzie się w Ameryce, a wtedy Guilia- no będzie bezpieczny. Kiedy samochód przejechał przez bramę, Michael udał się wraz z Clemenza na plażę; patrzył, jak uruchamiano motorówkę, a potem, jak łódź ruszyła w stronę Afryki.

- Wróć rano! - zawołał Clemenza.

Michael natomiast zastanawiał się, co zrobi, gdyby Turi zdecydował się pojawić właśnie tej nocy.

Zjadł późną kolację, obsługiwały go dwie starsze kobiety. Potem wybrał się na przechadzkę wzdłuż plaży, aż wartownicy zawrócili go znad granicy posiadłości. Zmierzch miał zapaść za kilka minut, Morze Śródziemne nabrało najintensywniejszej, najbardziej aksamitnej barwy. Czuło się przenikający zza horyzontu smak afrykańskiego kontynentu, aromat dzikich kwiatów i zwierząt.

Tutaj, nad wodą, nie bzyrzały owady; te stworzenia potrzebowały suszy, dymnego, gorącego powietrza lądu. Zdawało się, że zatrzymały się tryby jakiejś maszyny. Michael stał na brzegu morza, rozkoszując się spokojem i pięknem sycylijskiej nocy. Współczuł tym, którzy musieli podróżować w ciemnościach; Guilianowi, kryjącemu się w górach, Pisciotcie, przekraczającemu z czerwoną przepustką linię wroga, profesorowi Adonisowi i Stefanowi Andoliniemu, szukającym się nawzajem na pełnych kurzu drogach Sycylii, Peterowi Clemencie, płynącemu po błękitnogramatowych falach w stronę Tunisu. No i gdzie podział się don Domenic, skoro nie było go na kolacji? Wszyscy zniknęli w cieniu sycylijskiej nocy, a kiedy ponownie zjawią się na scenie, będzie wiadomo, czy oznacza to śmierć, czy życie Turiego Guiliana.

Księga czwarta

Don Croce

1947

Rozdział pierwszy

Król Humberto II z dynastii sabaudzkiej był skromnym, z natury dobrym człowiekiem, uwielbianym przez swoich poddanych, zgodził się więc na przeprowadzenie referendum, w którego wyniku zdecydowano by, czy Włochy mają pozostać tytularną monarchią. Nie życzył sobie bowiem pozostawać królem, gdyby naród już go nie chciał. Podobnie postępowali jego przodkowie. Królowie z dynastii sabaudzkiej zawsze byli władcami pozbawionymi ambicji; ich monarchią tak naprawdę rządził demokratyczny parlament. Spece od polityki nie wątpili, że referendum wypadnie na korzyść króla.

Sądzono, że Sycylia dzięki swoim głosom pomoże odzyskać status quo. W owym czasie dwiema największymi siłami w tamtym rejonie byli Turi Guiliano, którego banda rządziła północno- zachodnim zakątkiem wyspy, i don Croce Mało, wraz z przyjaciółmi przyjaciół kontrolujący resztę prowincji. Guiliano nie przyłączył się do kampanii wyborczej żadnej z partii. Don Croce natomiast i mafia ze wszystkich sił popierali reelekcję chrześcijańskich demokratów i utrzymanie monarchii.

Wszakże, ku zdumieniu wszystkich, głosujący obalili ją. Włochy stały się republiką. A socjaliści i komuniści okazali się tak silni, że chrześcijańscy demokraci poszli w rozsypkę i niemal upadli. Następne wybory mogły sprawić, że do władzy dojdą bezbożnicy, Rzymem rządiliby socjaliści. Partia chrześcijańskich demokratów zaczęła gorączkowo zbierać siły, by w owych następnych wyborach osiągnąć zwycięstwo.

Największą niespodziankę sprawiła Sycylia. Tam właśnie została wybrana większość deputowanych z partii socjalistycznych i komunistycznych. Na wyspie związki zawodowe wciąż traktowano jak diabelskie nasienie, wielu przedsiębiorców i posiadaczy ziemskich nie chciało mieć z nimi nic do czynienia. Cóż więc się stało?

Don Croce kipiał z gniewu. Jego ludzie wykonali swoją robotę. Na rolniczej prowincji trzymali w szachu przerażonych wieśniaków, ale okazało się, że ich wysiłki spełzyły na niczym. Kapłani Kościoła katolickiego grzmieli z ambon przeciwko komunistom, siostry zakonne rozdawały miłosiernie kosze spaghetti i oliwę tym, którzy obiecali głosować na chrześcijańskich demokratów. Sycylijska hierarchia

kościelna osłupiała. Miliony lirów przeznaczono na żywność, a jednak pokorny sycylijski chłop najpierw przełknął ofiarowany mu z dobroczynności chleb, a potem splunął na partię chrześcijańskich demokratów.

Minister sprawiedliwości, Franco Trezza, wściekł się na swych Sycylijczyków - zdrazieckie plemię, działające podstępnie nawet wtedy, gdy nie przynosi im to korzyści - dumnych i honorowych, choćby nie mieli nocnika, by się do niego wyszczać. Darł sobie włosy z głowy. Jak mogli głosować na socjalistów i komunistów, którzy w ostatecznym rozrachunku zniszczą ich powiązania rodzinne i usuną chrześcijańskiego Boga ze wszystkich wspianych włoskich katedr? Tylko jedna osoba mogła udzielić odpowiedzi na to pytanie i rady, jak rozegrać sprawę wyborów, które mają zdecydować o politycznej przyszłości kraju. Minister posłał więc po dona Crocego Malo.

Sycylijscy wieśniacy, którzy głosowali na partie lewicowe i zdecydowali o abdykacji ich umiłowanego króla, zdziwiliby się na wieść, że wywołali tak wielki gniew wysoko postawionych osób. Nie posiadaliby się ze zdumienia, iż mocarstwa takie jak Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania zaniepokoiły się, że Włochy mogą się stać sojusznikiem Rosji. Większość z tych chłopskich wyborców nie miała bowiem nawet pojęcia o istnieniu Związku Sowieckiego.

Sycylijska biedota, która po raz pierwszy od dwudziestu lat zyskała prawo głosu, po prostu wybierała tych kandydatów i te partie, które obiecywały jej możliwość nabycia własnego skrawka ziemi za minimalną cenę.

Ci wieśniacy byliby przerażeni, gdyby się dowiedzieli, że ich głosy, oddane na partie lewicowe, godzą jednocześnie w struktury rodzinne, Najświętszą Panienkę i święty Kościół katolicki, na których cześć w każdej kuchni i sypialni urządzano oświetlone czerwonymi lampkami ołtarzyki; przeraziliby się, gdyby im uświadomiono, że dzięki ich wyborowi katedry zostaną zamienione w muzea, a ich ukochanego papieża wypędzi się poza granice Włoch.

Nie. Sycylijczycy głosowali za splechotką pola dla siebie i swoich rodzin, a nie za jakąś konkretną partią polityczną. Ich marzenia sprowadzały się do kilku akrów obsianych zbożem, warzywnego ogródka, na zboczu góry maleńkiej winnicy oraz drzewka cytrynowego i oliwnego.

Franco Trezza, minister sprawiedliwości, był rdzennym Sycylijczykiem i żarliwym antyfaszystą, który przed ucieczką do Anglii spędził kilka lat w więzieniu Mussoliniego. Ten wysoki mężczyzna o wyglądzie arystokraty, z wciąż kruczoczarnymi włosami, choć jego brodę przetykały już pasemka siwizny, mimo że był prawdziwym bohaterem, był także biurokratą i politykiem z krwi i kości, co stanowiło zaiste wspaniałą mieszankę.

Miał w Rzymie przestronny gabinet, zastawiony potężnymi stylowymi meblami. Na ścianach wisiały portrety prezydenta Roosevelta i Winstona Churchilla. W okna wprawiono przyciemnione szyby, wychodzące na niewielki balkonik. Minister nalał wina swojemu szacownemu gościowi, donowi Crocemu Malo.

Sączyli je obaj, omawiając sytuację polityczną Sycylii i nadchodzące wybory regionalne. Minister Trezza zwierzył się gościowi ze swoich obaw: jeżeli Sycylia nadal zachowa swoje lewicowe ciągoty, partia chrześcijańskich demokratów może stracić większość w rządzie. A Kościół katolicki swoją pozycję reprezentanta włoskiej religii państwowej.

Don Croce milczał, jadł z zapalem. Musiał przyznać, że potrawy w Rzymie są o wiele lepsze niż na jego rodzinnej Sycylii. Pochylił niżej swoją wielką głowę cezara nad półmiskiem spaghetti z trufkami; potężne szczęki poruszały się miarowo i nieubłaganie. Od czasu do czasu don Croce ocierał wąty wąsik serwetką. Imponujący nos zawisał nad każdym nowym daniem, przyniesionym przez służbę, jak gdyby chciał wywęszyć, czy nie domieszano doń trucizny. Oczy biegały po suto zastawionym stole. Gość milczał, gdy minister rozwodził się nad bieżącymi sprawami państwa.

Posiłek zakończyli ogromnym półmiskiem owoców i sera. Potem, nad tradycyjną filiżanką kawy i pękatym kieliszkiem brandy, don raczył wreszcie przemówić. Dźwignął masywne ciało z za małego krzesła, a minister pospiesznie wprowadził go do salonu, gdzie były wyściełane fotele. Poleciał służącemu, by przyniósł tutaj kawę i brandy, a potem go odprawił. Minister osobiście dolał gościowi kawy, poczęstował go cygarem, którego ten odmówił, a potem przygotował się do wysłuchania rad dona Crocego, gdyż wiedział, że przemówi przez niego prawdziwa mądrość.

Don Croce obojętnym spojrzeniem zmierzył ministra. Arystokratyczny profil, dumne rysy, mięsista twarz tchnąca siłą nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Poza tym pogardzał brodą, którą uznał za słabość ministra. Ten mężczyzna mógł imponować w Rzymie, ale nigdy na Sycylii. A jednak byłby w stanie skonsolidować na

Sycylii siły mafii. W przeszłych latach popełniono błąd, drwiąc sobie z Rzymu; w rezultacie doszedł do władzy Mussolini i faszyci. Don Croce nie miał złudzeń. Lewicowy rząd na serio będzie dążył do reform, które zmiotłyby podziemną władzę przyjaciół przyjaciół. Jedynie władza chrześcijańskich demokratów pomogłaby zachować legalny porządek, który sprawił, iż don Croce był człowiekiem o niewzruszonej pozycji. Zgodził się zatem pojechać do Rzymu, by odegrać rolę uzdrowiciela wiary, dodającego ducha gromadzie zdeorientowanych owieczek. Przede wszystkim postawił diagnozę: histeria. Wiedział z góry, jaki będzie rezultat kuracji.

- Podczas następnych wyborów mogę oddać panu Sycylię - oświadczył minister Trezza. - Lecz potrzebujemy uzbrojonych ludzi. Musi mi pan dać słowo, że wystąpi przeciwko Turiemu Guilianowi.

- Takiego przyrzeczenia nie mogę złożyć - odparł don Croce.

Minister zwichrzył bródkę.

- Co to za człowiek ten Guiliano? - spytał niechętnie. - Jest o wiele za młody, by mieć w sobie tyle okrucieństwa. Chociaż to Sycylijszyk.

- Och, skąd, to bardzo łagodny młodzieniec - zapewnił don Croce, ignorując drwiący uśmiezek ministra, a zarazem nie przyznając się, że nigdy nie spotkał się z Turim osobiście.

Minister Trezza pokręcił głową.

- Nie sądzę, aby to była prawda. Człowiek, który zabił tak wielu karabinierów, nie może być łagodny.

Szczerą prawdą. Don Croce pomyślał, że w ciągu ostatniego roku Guiliano okazał się wyjątkowo bezwzględny. Z chwilą dokonania egzekucji na „ojcu” Dodanie rozpetał szaleńczą wojnę przeciwko wszystkim swoim wrogom, zarówno mafii, jak i Rzymowi.

Zaczął rozsyłać do gazet listy, w których proklamował się władcą zachodniej Sycylii, i nawoływał Rzym, by zajął się swoimi sprawami. Wydał również karabinierom z miasteczek Montelepre, Corleone i Monreale zakaz wychodzenia na patrole po północy. Wyjaśnił, że jego ludzie muszą bezpiecznie odwiedzać przyjaciół lub rodziny, on zaś nie życzy sobie, by aresztowano ich we własnych łóżkach, zabijano, gdy będą opuszczać rodzinne domy, albo kiedy on sam zechce odwiedzić swoich bliskich w Montelepre.

Gazety przedrukowywały owe obwieszczenia w złowieszczych ramkach. Salvatore Guiliano zakazał stosowania *cassety*? Bandyci zabraniają policji wysyłania uzbrojonych patroli na ulice sycylijskich miasteczek? Co za bezczelność! Co za straszliwy afront! Czyżby ten młody człowiek uważał się za króla Włoch? Pojawiły się karykatury, ukazujące karabinierów ukrywających się w zaułkach Montelepre, podczas gdy groźny Guiliano dostojnie wkracza na główny rynek.

Rzecz jasna, *maresciallo* Montelepre mógł uczynić tylko jedno. Co noc wysyłał na ulice patrole. Co noc jego garnizon, liczący teraz stu ludzi, znajdował się w stanie pogotowia, strzegąc prowadzących z gór dróg do miasteczka, by Guiliano nie mógł stamtąd przeprowadzić ataku.

Kiedy jednak raz jeden posłał karabinierów w góry, Guiliano i jego pięciu dowódców - Pisciotta, Terranova, Passatempo, Silvestro i Andolini, każdy na czele pięciosobowej bandy - otoczyli policjantów. Guiliano nie okazał miłosierdzia, zginęło sześciu karabinierów. Reszta oddziału uciekła przed ogniem karabinów maszynowych i strzelb.

Rzym był pod bronią, lecz dopiero to bezprzykładne okrucieństwo Guiliana mogłoby mu się dobrze przysłużyć - jeżeli tylko don Croce zdoła przekonać tego tępego ministra.

- Proszę mi wierzyć - zwrócił się do Trezzy. - Guiliano może posłużyć naszym celom. Wytlumaczę mu, że powinien wypowiedzieć wojnę partiom socjalistów i komunistów na Sycylii. Zaatakuje ich sztaby, zlikwiduje ich agitatorów. Stanie się moim zbrojnym ramieniem, będzie działał na szeroką skalę. Oczywiście moi przyjaciele i ja sam dołożymy wszelkich starań, by nie przedostało się to do wiadomości publicznej.

Ministra Trezzę najwyraźniej nie zaskoczyła ta propozycja, lecz odezwał się butnym tonem:

- Guiliano już teraz wywołał skandal, i to skandal międzynarodowy. Mam na biurku plan szefa sztabu generalnego armii, który proponuje, by wysłać przeciwko niemu wojsko. Za głowę bandyty wyznaczono cenę dziesięciu milionów lirów. Tysiąc karabinierów znajduje się w stanie pogotowia, czekając na przerzut na Sycylię. Mają ewentualnie wesprzeć stacjonujące już tam siły. A pan mnie prosi, by zapewnić mu ochronę? Drogi don Croce, spodziewam się raczej, że wyda go pan w nasze ręce, tak

jak przedtem innych bandytów. Guiliano to hańba Sycylii. Wszyscy uważają, że należy go wyeliminować.

Don Croce upił łyk kawy i otarł palcami wąsy. Zaczęła go irytować hipokryzja tego rzymianina. Powoli pokręcił głową.

- Turi Guiliano żywy jest dla nas o wiele więcej wart, a w górach dokonuje naprawdę heroicznych czynów. Sycylijczycy ubóstwiają go. Odmawiają modlitwy za jego duszę i bezpieczeństwo. Na mojej wyspie nie znajdzie się nikt, kto by go zdradził. Poza tym jest o wiele bardziej przebiegły od innych hersztów band. Mam w jego obozach szpiegów. Lecz, zważywszy niezwykłą siłę osobowości Turiego, wcale nie jestem pewny ich lojalności. To typ człowieka, który potrafi przekonać innych. Zyskuje sobie miłość wszystkich ludzi. Jeżeli pośle pan tysiąc karabinierów i pańską armię, a on ich zwycięży, tak jak bywało zawsze do tej pory, to co wtedy? Jedno panu powiem: gdyby Guiliano postanowił w następnych wyborach poprzeć partie lewicowe, chyba zdaje pan sobie sprawę, że pańska partia utraci władzę we Włoszech. - Milczał dłuższą chwilę, nie spuszczać wzroku z ministra. - Musi pan pójść na kompromis z Guilianem.

- A w jaki sposób zostałby zaaranżowany taki układ? - spytał minister Trezza z uprzejmym, pełnym wyższości uśmiechem, którym don Croce pogardzał. To uśmiech rzymianina, a minister był przecież rdzennym Sycylijczykiem. Trezza ciągnął dalej: - Wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że Guiliano nie darzy pana miłością.

Don Croce wzruszył ramionami.

- Nie przeżyłby ostatnich trzech lat, gdyby nie okazał się na tyle bystry, aby zapomnieć o urazach. A ja mam łącznika. Doktor Hector Adonis to jeden z moich ludzi, a przy tym jest ojcem chrzestnym i najbardziej zaufanym przyjacielem Guiliana. On zostanie mediatorem i doprowadzi do zawarcia pokoju z Turim. Jednakże muszę uzyskać od pana gwarancję bezpieczeństwa, i to w konkretnej formie.

- Czyżby domagał się pan ode mnie opatrzonego podpisem listu, w którym deklarowałbym, że miłuję bandytę, którego do tej pory ścigałem? - zapytał ironicznie minister.

Do największych umiejętności don Crocego należało puszczenie mimo uszu obraźliwego tonu, dowodzącego braku szacunku, chociaż pamięć o tym zachowywał w sercu. Odpowiedział szczerze, choć z nieprzeniknioną twarzą:

- Nie. Proszę jedynie, by przekazał mi pan jedynie kopię planu szefa sztabu generalnego, dotyczącą przeprowadzenia kampanii przeciwko Guilianowi. A także kopię rozkazu, który pan wydał, aby przerzucić na wyspę posiłki w liczbie tysiąca karabinierów. Pokażę je Guilianowi i przyrzeknę, że nie wprowadzi pan tych planów w życie, jeśli on pomoże nam w edukacji sycylijskich wyborców. Pana to nie skompromituje, zawsze będzie później pan mógł utrzymywać, że owe plany skradziono. Poza tym obiecuję Guilianowi, że po następnych wyborach chrześcijańscy demokraci go ułaskawią.

- To niemożliwe - oświadczył minister Trezza. - Ułaskawienie nie leży w moich kompetencjach.

- Natomiast obietnica tak - przypomniał don Croce. - Jeżeli się uda, to bardzo dobrze. Ale jeśli pan uzna to za niemożliwe, zawiozę mu niedobre nowiny.

Minister ujrzał światło w tunelu, czyli dokładnie to, co don Croce zamierzał mu ukazać: że szef mafii w końcu musi się pozbyć Guiliana, gdyż dla nich dwóch na Sycylii nie ma miejsca. I że odpowiedzialność za rozwój wypadków don Croce weźmie na swoje barki, że on sam, minister, nie musi się martwić rozwiązaniem tego problemu. Jedyne, co powinien zrobić, to przekazać Crocemu kopie planów.

Minister rozważał, jaką podjąć decyzję. Don Croce pochylił olbrzymią głowę i odezwał się cichym głosem:

- Gdyby ułaskawienie w jakikolwiek sposób było możliwe, to nalegam na takie rozwiązanie.

Trezza przemierzał gabinet wzdłuż i wszerz, rozważając wszelkie komplikacje, jakie mogły nastąpić. Don Croce nie podniósł głowy ani nie odwrócił się, by śledzić jego ruchy.

- We własnym imieniu przyrzekam mu ułaskawienie, lecz chyba zdaje pan sobie sprawę, jakie to będzie trudne. Skandal może okazać się zbyt głośny. Cóż, gdyby do gazet przeniknęła wiadomość, że pan i ja się spotkaliśmy, dziennikarze nie zostawiliby na mnie suchej nitki i musiałbym wrócić do mojego gospodarstwa na Sycylii. Rozrzucaliby gnój i strzygł owce. Koniecznie potrzebne są panu kopie tych planów i moich rozkazów?

- Bez nich nic się nie da zrobić - oświadczył don Croce. Jego tenorowy głos był równie władczy i przekonujący, jak wielkiego śpiewaka. - Guiliano potrzebuje dowodu, że pan i ja jesteśmy przyjaciółmi i że za wyświadczoną nam przysługę zyska

nie byle jaką nagrodę. Osiągniemy swój cel, kiedy pokażę mu plany i przyrzeknę, że nie zostaną zastąpione innymi. Będzie mógł działać swobodnie, jak przedtem, bez konieczności staczania walk i z wojskiem, i z posiłkami policji. Fakt, że plany staną się dowodem, iż mam z panem powiązania, oraz że nie zostaną wprowadzone w życie, będzie świadczył o tym, iż umocniłem swoją pozycję w Rzymie.

Minister Trezza nalał donowi Crocemu następną filiżankę kawy.

- Zgoda - oświadczył. - Wierzę w pańską przyjaźń. Kiedy Guiliano wypełni powierzone sobie zadanie i nie zostanie ułaskawiony, z pewnością cała odpowiedzialność spadnie na pana.

Don kiwnął głową, choć zachował milczenie. Popijał kawę. Minister wpatrywał się weń przenikliwie.

- Na takiej małej wyspie nie ma miejsca dla was dwóch - odezwał się wreszcie.

Don Croce uśmiechnął się.

- Ustąpię mu trochę miejsca. Mamy mnóstwo czasu.

- To dobrze, dobrze. I proszę to zapamiętać. Przyrzekłem swojej partii, że w następnych wyborach zapewnię jej głosy całej Sycylii. I jeśli ku chwale rządu zdołam rozwiązać problem Guiliana, nie muszę mówić, jak umocni się moja pozycja we władzach. Ale to nie ma znaczenia. Drogi przyjacielu, nigdy o tobie nie zapomnę. Zawsze będziesz miał u mnie posłuchanie.

Don Croce dźwignął swoje masywne ciało z fotela, dumając jednocześnie, czy niewarte byłoby zachodu uczynienie tego podatnego na perswazję Sycylijczyka premierem Włoch. Wszak dzięki swojej głupocie mógłby dla przyjaciół przyjaciół okazać się cennym nabytkiem, a gdyby jeszcze okazał się przekupny, łatwo byłoby skorumpować. Don Croce odezwał się szczerym tonem, z którego sływał: - Dziękuję panu za okazaną mi przyjaźń, ze swojej strony dołożę wszelkich starań, by wspomóc pana w jego ambicjach. Zatem dobiliśmy targu. Jutro po południu wyjeżdżam do Palermo i byłbym zobowiązany, gdyby plany i inne dokumenty dostarczono mi rano do hotelu. A co do Guiliana, gdyby nie zdołał pan załatwić mu ułaskawienia, kiedy już wykona swoje zadanie, załatwię, że stąd zniknie. Może zostanie przerzucony do Ameryki albo w jakieś inne miejsce. I nigdy już nie sprawi panu kłopotów.

Po tych słowach mężczyźni rozstali się. Sycylijczyk Trezza, który miał dbać, by Włochy były państwem prawa, i don Croce, który prawo narzucone przez Rzym

traktował jako narzędzie piekła, diabelskie pęta. Don Croce wierzył w wolność, wolność należną jemu samemu, niemającą nic wspólnego z jakimikolwiek władzami, zyskaną wyłącznie dzięki szacunkowi, zdobytemu wśród rodaków z Sycylii. Co za pech, dumął don Croce, że los postawił go po przeciwnej stronie niż Turiego Guiliana, mężczyzny, którego umiłował, a nie tego śliskiego kundla, ministra.

Wróciwszy do Palermo, don Croce wezwał Hectora Adonisa. Opowiedział mu o spotkaniu z Trezzą i ugodzie, jaką zawarli. Potem pokazał mu kopie planów opracowanych przez rząd, by pokonać Guiliana. Karzeł wpadł w panikę, a tego właśnie spodziewał się po nim don Croce.

- Minister przyrzekł, że osobiście przeciwstawi się tym planom, więc nigdy nie zostaną wprowadzone w życie - uspokoił go don. - Jednakże twój syn chrzestny powinien użyć wszelkich sposobów, aby wpłynąć na wynik następnych wyborów. Musi być twardy i stanowczy i nie martwić się tak bardzo o biednych. Niech raczej pomyśli o własnej skórze i zrozumie, że układ z Rzymem i ministrem sprawiedliwości daje mu szansę. Trezza rządzi karabinierami, całą policją, wszystkimi prokuratorami. Któregoś dnia zostanie zapewne premierem Włoch. Gdyby tak się stało, Turi Guiliano w pełni chwały wróci na łono rodziny i myślę że czeka go kariera wielkiego polityka. Sycylijczycy kochają Turiego. Ale teraz musi przebaczyć urazy i zapomnieć o nich. Liczę na ciebie, że na niego wpłyniesz.

- Na Boga, jak on może uwierzyć w obietnice Rzymu? - spytał Hector Adonis. - Zawsze walczył po stronie biednych. Nie uczyni nic z ich krzywdą.

- Z pewnością nie jest komunistą! - zawołał ostro don Croce. - Załatw mi spotkanie z Guilianem. Przekonam go. My dwaj jesteśmy najpotężniejszymi ludźmi na Sycylii. Dlaczego więc nie mielibyśmy działać razem? Przedtem odmówił, ale czas wszystko zmienia. Teraz będzie to dla niego wybawienie, a przy okazji i dla nas. Komuniści z równą satysfakcją zmiażdżyliby nas obu. Komunistyczne państwo nie może sobie pozwolić na istnienie takiego bohatera jak Guiliano i rzezimieszka takiego jak ja. Przyjdę wszędzie, gdziekolwiek zechce się ze mną spotkać. I przekaz mu, że gwarantuję dotrzymanie przyrzeczenia Rzymu. Jeżeli w następnych wyborach zwyciężą chrześcijańscy demokraci, osobiście dopilnuję jego ułaskawienia. Stawką jest moje życie i mój honor.

Hector Adonis zrozumiał, że don Croce ryzykuje, iż w razie zerwania umowy przez ministra Trezzę na niego spadnie gniew Guiliana.

- Czy mogę wziąć te plany, by pokazać je Turiemu? - zapytał.

Don Croce zawahał się chwilę. Wiedział, że nigdy ich nie odzyska, a jeśli je teraz odda, zapewni Guilianowi potężną broń na przyszłość. Uśmiechnął się do Hectora Adonisa.

- Oczywiście, kochany profesorze, możesz je zabrać ze sobą.

Turi Guiliano, czekając na Hectora Adonisa, rozważał, jaką powinien przyjąć postawę. Zdawał sobie sprawę, że wybór i zwycięstwo partii lewicowych sprawi, iż don Croce zwróci się do niego o pomoc.

W ciągu niemal czterech lat Guiliano rozdał setki milionów lirów i tony żywności biedakom w swoim zakątku Sycylii, ale naprawdę mógłby im pomóc zdobywając jakąś część realnej władzy.

Podręczniki ekonomii i polityki, dostarczone przez Adonisa, wprawiły go w niemałe zakłopotanie. Bieg historii ukazywał jasno, że partie lewicowe były zawsze jedyną nadzieją biedoty we wszystkich krajach, prócz Ameryki. A jednak nie potrafił opowiedzieć się po ich stronie. pogardzał nimi za to, że nawołują przeciwko Kościołowi i drwią z wywodzących się jeszcze ze średniowiecza rodzinnych więzi Sycylińczyków. Poza tym doskonale wiedział, iż socjalistyczny rząd dołoży większych starań, by wypędzić go z gór, niż czynili to chrześcijańscy demokraci.

Zapadł już zmrok, Guiliano przypatrywał się ogniskom rozpalonym przez jego ludzi rozproszonych po górach. Ze szczytu skały spoglądał w dół na Montelepre, od czasu do czasu dobiegały go dźwięki muzyki, nadawanej przez głośniki na rynku, muzyki prosto z Palermo. Widział miasteczko jako geometryczny wzór świateł tworzących niemal doskonały krąg. Przez chwilę pomyślał, że kiedy pojawi się Adonis i omówią sprawy, zejdzie potem wraz z ojcem chrzestnym z gór i odwiedzi rodziców i La Venerę. Nie bał się. Po trzech latach sprawował całkowitą kontrolę nad prowincją. Oddział karabinierów w miasteczku był ściśle obserwowany, no i przecież, gdyby ośmielili się zbliżyć do domu jego matki, przyprowadziłby dosyć członków swojej bandy, by pokonać siły policjantów. Teraz nawet na samej via Bella miał uzbrojonych zwolenników.

Kiedy pojawił się Adonis, Turi Guiliano zaprowadził go do obszernej groty, w której rozstawiono stół i krzesła, a oświetlała ją lampa na baterie z wyposażenia amerykańskiej armii. Hector Adonis uściskał syna chrzestnego i wręczył mu niewielką paczkę książek, którą Turi przyjął z wdzięcznością. Adonis podał mu także wypchaną papierami aktówkę.

- Przypuszczam, że uznasz je za interesujące. Powinieneś je jak najszybciej przeczytać.

Guiliano rozłożył papiery na drewnianym stole. Były to rozkazy podpisane przez ministra Trezzę, a dotyczące wysłania na Sycylię następnego tysiąca karabinierów do walki z bandytami Guiliana. Znalazły się tam również plany sporządzone przez szefa sztabu armii. Guiliano przeczytał je z zainteresowaniem. Nie lękał się; po Prostu przeniesie się głębiej w góry. Ale istotnie, dobrze, że te dokumenty dotarły do niego w porę.

- Kto ci je dał? - spytał Adonisa.

- Don Croce. Dostał je od samego ministra Trezzy.

Nie wyglądało na to, żeby Turi był tak zaskoczony tą wiadomością, jak powinien. Prawdę mówiąc, uśmiechał się.

- Czy to ma mnie przestraszyć? - spytał. - Góry są przepastne. Pochłoną wszystkich ludzi, jakich tamci zechcą wysłać, a ja mogę przespać się i pod drzewem.

- Don Croce chce się z tobą zobaczyć. Zgadza się na każde miejsce spotkania, jakie wyznaczysz - wyjaśnił Adonis. - Dostarczenie ci tych planów to przejaw jego dobrej woli. Ma dla ciebie propozycję.

- Zatem ty, ojczy chrzestny, radzisz mi spotkać się z don Croce? - Turi wpatrywał się przenikliwie w Hectora.

- Tak - odparł po prostu Adonis.

Guiliano kiwnął głową.

- W takim razie spotkamy się w twoim domu w Montelepre. Jesteś pewien, że don Croce pójdzie na takie ryzyko?

- Dlaczego nie? - zdziwił się szczerze Adonis. - Zaręczę własnym słowem, że będzie bezpieczny. A ja z kolei od ciebie wezmę takie słowo. Wiesz, że ufam ci bardziej niż komukolwiek na świecie.

Guiliano ujął dłoń Hectora.

- Tak samo jak ja tobie. Dzięki za plany i za książki, które mi dostarczyłeś. Pomożesz mi przestudiować którąś z nich jeszcze dziś wieczorem, nim odjedziesz?

- Oczywiście - zapewnił Hector Adonis.

I przez resztę wieczoru swoim wspaniałym profesorskim głosem wyjaśniał trudniejsze ustępy z podręcznika. Guiliano słuchał go uważnie i zadawał pytania. Przypominało to czasy, kiedy wiele lat temu jeden z nich był nauczycielem, a drugi uczniem.

Tej nocy Hector Adonis podsunął Guilianowi pomysł sporządzenia *Testamentu*. Dokumentu, w którym spisałby całą historię bandy, odnotował szczegółowo każdy tajny układ z donem Crocem i ministrem Trezzą. Dzięki temu zyska doskonałe zabezpieczenie.

Guiliano ogromnie się do tego zapalił. Nawet gdyby odebrano mu władzę, nawet gdyby zginął, marzyło mu się, że za jakieś sto lat inny rebeliant może odkryć te notatki. Tak jak on z Pisciotą natrafili na kości słoni Hannibala.

Rozdział drugi

Historyczne spotkanie nastąpiło dwa dni później. W tym krótkim czasie miasteczko Montelepre kipiało od plotek, że wielki don Croce przybywa z kapeluszem w rękę na rozmowę z tutejszym wspaniałym bohaterem - Turim Guilianem. Nie wiadomo, w jaki sposób wyszło na światło dzienne to, co miało być tajemnicą. Może spowodowały to nadzwyczajne środki ostrożności, przedsięwzięte przed spotkaniem. Na drodze do Palermo Turi wystawił patrole, blokując ją; blisko pięćdziesięciu jego ludzi, których łączyły więzy krwi z mieszkańcami Montelepre, przybyło w odwiedziny do krewnych i zostało na noc.

Passatempo wraz ze swoimi podwładnymi otoczył koszary Bellampo i miał za zadanie obezwładnić karabinierów, gdyby ośmielili się wyjść na patrol. Podkomendni Terranovy kontrolowali drogę z Castellammare i Trapani. Kapral Canio Silvestro zajął pozycję na dachu wraz z pięcioma najlepszymi snajperami; uzbrojeni byli w ciężkie karabiny maszynowe, zamaskowane bambusowymi siatkami, służącymi do suszenia pomidorów na pastę, a używanymi przez wielu mieszkańców Montelepre.

Don Croce przyjechał o zmierzchu wielką terenową alfą romeo, którą zaparkował przed domem Hectora Adonisa. Przybył wraz z bratem, ojcem Beniaminem, i dwoma uzbrojonymi ochroniarzami; ci zostali w aucie z szoferem. Hector Adonis powitał gości w progu. Prezentował się jeszcze bardziej elegancko niż zazwyczaj w uszytym w Londynie szarym garniturze na specjalne okazje i krawacie w czerwono-czarne paski na olśniewająco białej koszuli. Jego wygląd uderzająco kontrastował z wyglądem don Croce, który dla odmiany ubrał się jeszcze niechlujniej niż zazwyczaj, w obszerne, powypychane i pogniecione spodnie - przypominał w nich ogromnego, drepczącego rozkołysanym krokiem gąsiora - włożył koszulę bez kołnierzyka, rozpiętą pod szyją i ciężką czarną marynarkę, nie dopinającą się nawet na brzuchu, tak że widać było białe, szerokie na cal szelki, podtrzymujące spodnie. Na nogach miał płócienne pantofle.

Ojciec Beniamin był w sutannie, jego głowę chronił jak zwykle zakurzony czarny kapelusz, kształtem przypominający rondel. Nim wszedł do środka, pobłogosławił dom, uczynił znak krzyża i wymamrotał modlitwę.

Hector Adonis posiadał najpiękniejszy dom w Montelepre i był z tego dumny. Meble sprowadzono z Francji, wybrane starannie obrazy wyszły spod pędzla współczesnych artystów włoskich. Zastawa pochodziła z Niemiec, a służąca, Włoszka w średnim wieku, przed wojną pracowała w Anglii. Kiedy trzech mężczyźni usiedli w salonie w oczekiwaniu na Guiliana, podała kawę.

Don Croce czuł się absolutnie bezpieczny. Wiedział, że Turi nie pohańbi swojego ojca chrzestnego, łamiąc dane przez niego słowo. Przepęłniało go przyjemne uczucie oczekiwania. Teraz spotka i osobiście oceni prawdziwą wielkość tej wschodzącej gwiazdy. A jednak nawet on przestraszył się nieco, kiedy Guiliano bezszelestnie wśliznął się do domu. Z wybrukowanej kocimi łbami ulicy nie dobiegł wcześniej żaden dźwięk, nie słychać było otwierania i zamykania drzwi. I oto nagle Guiliano stanął w korytarzu prowadzącym do jadalni. Don Croce uderzyła uroda młodzieńca.

Życie w górach sprawiło, iż jego klatka piersiowa rozrosła się, wyszczuplała mu natomiast twarz, choć zachowała ładny owal. Podbródek był mocno zarysowany. Turi miał oczy posągu, złoto-piwnie z dziwnymi srebrnymi obwódkami. Strój także przemawiał na jego korzyść - obcisłe moleskinowe spodnie, biała, świeżo uprana i uprasowana koszula. Na nią włożył luźną myśliwską kurtkę z rdzawego, miękkiego samodiału; pod nią krył się pistolet maszynowy, z którym Turi nigdy się nie rozstawał. A przede wszystkim wydawał się niewiarygodnie młody, prawie chłopiec mimo iż miał już dwadzieścia cztery lata.

W jaki sposób ten młokos mógł oprzeć się Rzymowi, wyprowadzić w pole przyjaciół przyjaciół, zyskać sobie oddanie tego mordercy Andoliniego, utrzymać w ryzach brutalność Passatempa, podbić ćwierć Sycylii i cieszyć się miłością wszystkich mieszkańców wyspy? Don Croce zdawał sobie sprawę, że Guiliano jest nadludzko odważny, lecz na Sycylii pełno było dzielnych mężczyzn, którzy - zdradzeni - przedwcześnie spoczęli w grobach.

A potem, chociaż don Croce powątpiewał w Turiego, ten uczynił coś uradowało serce gościa i utwierdziło go w przekonaniu, iż nie pomylił się, czyniąc z tego chłopca swojego sojusznika. Wszedł do salonu i skierował się prosto w stronę Crocego ze słowami:

- *Bacio tua mano.* - Było to tradycyjne pozdrowienie, jakim sycylijski chłop wita człowieka stojącego od niego wyżej w hierarchii społecznej - księdza, ziemianina lub arystokratę. - Ręce całuję,

Guiliano miał rozbawioną minę. Lecz don Croce wiedział dokładnie, co Turi chciał przez to powiedzieć. Nie zamierzał manifestować swojego uniżenia ani nawet respektu dla wieku gościa. Wyrzekł te słowa dlatego, że don Croce oddał się w jego władzę, Guiliano zatem w ten sposób dawał wyraz szacunku za okazane mu zaufanie. Don Croce dźwignął się powoli, jego opasłe policzki zaczerwieniły się jeszcze bardziej z wysiłku. Wziął Guiliana w ramiona. Ten młody człowiek był szlachetnej krwi, więc on pragnął zapewnić go o swojej miłości. A kiedy to czynił, dostrzegł malującą się na twarzy Hectora Adonisa dumę - jego syn chrzestny okazał się dżentelmenem.

W korytarzu pojawił się Pisciotta, obserwował całą scenę z krzywym uśmiechem na ponurym obliczu. On także był przystojny, choć całkiem inaczej niż Guiliano. Choroba płuc sprawiła, że wychudł, jego rysy się wyostrzyły. Pod oliwkową skórą uwydatniały się kości policzkowe. Miał starannie uczesane, właściwie ulizane czarne włosy, podczas gdy bujne, kasztanowate, krótko ostrzyżone włosy Guiliana osłaniały jego głowę niczym hełm.

Turi Guiliano spodziewał się, że swoim zachowaniem zaskoczy don Croce, zdziwił się więc, że ów przejrzał jego zamiar i powitał z pełną uczucia i zrozumienia przyjaźnią. Kiedy baczniej przypatrzył się zwalistej sylwetce starego człowieka, nagle stał się czujny. Ten człowiek stwarzał zagrożenie. Nie tylko z powodu reputacji, Jaką się cieszył, lecz także emanującej z niego siły. Opasłe ciało, na Pozór karykaturalna postura, najwyraźniej promieniowały energią; wypełniała ona cały salon. A kiedy don Croce przemówił, w głosie dobywającym się z olbrzymiej głowy niemal słyhać było urzekające tony chorału. Zawsze wtedy skupiał na sobie całą uwagę słuchacza, a to dzięki połączeniu szczerości, świadomości własnej siły i szczególnej dworności, dziwnej u człowieka, który na co dzień odznaczał się przecież nieokrzesanymi manierami.

- Od lat cię obserwowałem i długo czekałem na ten dzień. A teraz, kiedy nastał, spełniłeś wszelkie moje oczekiwania.

- Pochlebia mi to - odezwał się Guiliano. Ważył każde słowo, wiedział bowiem, czego się po nim spodziewano. - Nigdy nie wątpiłem, że możemy zostać przyjaciółmi.

Don Croce skinął głową i przystąpił do objaśniania układu, jaki zawarł z ministrem Trezzą. Gdyby Guiliano pomógł w „nauczeniu” Sycylińczyków, jak mają głosować, znajdzie się sposób, by go ulaskawić. Turi mógłby wrócić na łono rodziny już jako zwyczajny obywatel, nie ścigany przez prawo bandyta. Na dowód

prawdziwości owego układu minister Trezza przekazał don Croce, plany akcji, jaką miano rozpocząć przeciw Guilianowi. Aby podkreślić wagę następnej kwestii, don Croce uniósł w górę dłoń:

- Jeżeli się zgodzisz na taki układ, minister zawetuje te plany. Na Sycylię nie zostanie wysłane wojsko ani posiłki policyjne w liczbie tysiąca karabinierów. - Don Croce widział, że Guiliano słucha z uwagą, lecz bynajmniej nie jest zaskoczony tymi informacjami. Ciągnął więc dalej: - Każdy mieszkaniec Sycylii przyzna, że troszczysz się o biednych. Ktoś mógłby pomyśleć, iż wspierasz partie lewicowe. Ale ja wiem, że wierzysz w Boga, przecież przede wszystkim jesteś Sycylijczykiem. I któż nie słyszał o przywiązaniu, jakie okazujesz matce? Naprawdę chcesz, by Sycylią rządili komuniści? Co się stanie z Kościołem? Z rodziną? Młodym ludziom z Włoch i Sycylii, walczącym na froncie, zaszczerpiono obce przekonania, doktryny polityczne, które tutaj, na wyspie, nie mają racji bytu. Sycylijczycy potrafią znaleźć własne sposoby na polepszenie swego losu. Czyżbyś naprawdę chciał wszechmocnego państwa, które nie zezwoliłoby na żaden opór ze strony obywateli? Lewicowy rząd bez wątpienia rozpocznie zakrojoną na szeroką skalę kampanię przeciwko nam obu, bo czyż nie my jesteśmy prawdziwymi władcami Sycylii? Gdyby lewicowcy wygrali następne wybory, któregoś dnia w sycylijskich wioskach mogą pojawić się Rosjanie, i od nich będzie zależało, kto z nas może pójść do kościoła. Nasze dzieci będą musiały chodzić do szkół, w których wpajano by im przekonanie, iż państwo ma pierwszeństwo przed uświęconą władzą rodzicielską. Czy warto iść na takie ryzyko? Nie. Nadszedł czas, by każdy prawdziwy Sycylijczyk stanął w obronie swojej rodziny i honoru przed zakusami państwa.

Niespodziewanie mu przerwano. Pisciotta wciąż podpierał ścianę w sklepionym łukowato korytarzu.

- Może Rosjanie potraktowaliby nas łaskawie - zadrwił.

Don Croce ogarnął lodowaty gniew. W żaden sposób jednak nie okazał swojej wściekłości wobec tego butnego, cherlawego dandysa z wątłym wąsikiem. Przyjrzał mu się bacznie. Z jakiego powodu w tej właśnie chwili Pisciotta się wtrącił? Dlaczego chciał, by on go zauważył? Zakładał, że tego człowieka będzie można wykorzystać w przyszłości. Niezawodnym instynktem wyczuł, że źle się dzieje z najbardziej zaufanym z przybocznych Guiliana. Może przyczyną była choroba, może wrodzony cynizm. Pisciotta to człowiek, który nigdy nikomu całkowicie by nie zaufał, a zatem nikt nie

mógł także całkowicie zaufać jemu. Don Croce rozważył to wszystko, nim rzekł w odpowiedzi:

- Czy kiedykolwiek obcy naród pomógł Sycylii? Kiedy jakkolwiek cudzoziemiec oddał sprawiedliwość Sycylijczykowi? Młodzi ludzie jak wy - zwrócił się bezpośrednio do Pisciotty - są naszą jedyną nadzieją. Przebiegli, dzielni i dumni. Od tysiąca lat tacy ludzie dołączają do przyjaciół przyjaciół, by występować przeciwko ciemnościom, by szukać sprawiedliwości, o którą teraz walczy Turi. Nadszedł czas, byśmy połączyli nasze siły i ocalili Sycylię.

Zdawało się, że do Guiliana nie trafiły argumenty don Croce. Odparł z zamierzoną butą:

- Ależ my zawsze walczyliśmy przeciwko Rzymowi i ludziom, których nasłał na nas rząd. Od początku byli to nasi wrogowie. A teraz prosicie byśmy im pomogli?

- Czasami lepiej jest wejść w układ z wrogiem - odparł poważnym tonem don Croce. - Zwycięstwo chrześcijańskich demokratów w wyborach jest dla nas najmniejszym złem. To leży w naszym interesie. To chyba oczywiste. - Umilkł na chwilę.

- Lewicowcy nigdy cię nie ułaskawią, bądź spokojny. Są nazbyt wielkimi hipokrytami. To ludzie pamiętliwi. Oczywiście, biedota dostanie ziemię, ale czy będzie mogła zatrzymać plony dla siebie? Wyobrażasz sobie naszych ludzi pracujących w kołchozach? Panie w niebiesiech, oni przecież zabijają się w zwadzie o to, czy Najświętsza Paniienka podczas procesji powinna mieć białą czy czerwoną szatę. - Wszystko to wypowiedział lekko kpiącym tonem człowieka, który chce dać swoim słuchaczom do zrozumienia, że wie, iż trochę przesadza, a jednak zarazem zdaje sobie sprawę, iż w tym, co mówi, jest wiele prawdy.

Guiliano słuchał, uśmiechając się pod wąsem. Wiedział, że nadejdzie dzień, w którym będzie musiał zabić tego człowieka, a jednak don Croce dzięki swej niepospolitej osobowości roztaczał taką siłę, że Turi wzdragał się na tę myśl. Nie chciał przecież występować przeciw własnemu ojcu, przeciw ścisłym więzom rodzinnej wspólnoty. Musiał podjąć decyzję, najważniejszą od chwili, w której uszedł w góry.

- Zgadzam się z wami co do komunistów - odezwał się pojednawczym tonem. - To nie są Sycylijczycy. - Przerwał. Czuł, że to właściwa chwila, by nagiąć don Croce do

swojej woli. - Ale skoro mam wykonać dla Rzymu brudną robotę, muszę za to przyrzec swoim ludziom jakąś nagrodę. Co nam Rzym oferuje?

Don Croce dopił kawę. Hector Adonis wstał, by ponownie napełnić jego filiżankę, ale don Croce podziękował gestem ręki. Potem zwrócił się do Guiliana:

- Nasza umowa wcale nie jest dla ciebie taka zła. Andolini dostarcza ci informacji o ruchach karabinierów, więc nigdy nie spuszczasz ich z oka. Nie podejmą żadnych działań, by wykurzyć cię z gór. Zdaję sobie sprawę, że to nie wystarczy. Pozwól więc, bym wyświadczył ci przysługę, która uraduje moje serce i ucieszy twoich rodziców. Tutaj, w obecności twojego ojca chrzestnego i oddanego przyjaciela, Aspanu Pisciotty, przysięgam: poruszę niebo i ziemię, by zapewnić ulaskawienie tobie, a także, rzecz jasna, twoim ludziom.

Guiliano już postanowił, lecz chciał uzyskać tak mocne gwarancje, jak tylko to możliwe.

- Zgadzam się prawie ze wszystkim, co powiedzieliście. Kocham Sycylię i jej mieszkańców i chociaż jestem bandytą, wierzę w sprawiedliwość. Uczyniłbym prawie wszystko, by wrócić do domu, do moich rodziców. Lecz jak zdołacie wymóc na Rzymie, by dotrzymał swoich obietnic? W tym właśnie kłopot. Przysługa, o którą prosicie, wiąże się z niebezpieczeństwem. Muszę za nią otrzymać zapłatę.

Don Croce namyślał się. Potem przemówił niespiesznie, staranie dobierając słowa:

- To chwalebne, że jesteś taki ostrożny. Ale przecież masz plany dostarczone przez profesora Adonisa. Zachowaj je jako dowód swoich układów z ministrem Trezzą, ja zaś postaram się zdobyć dla ciebie inne dokumenty, które będziesz mógł wykorzystać.

Rzym wówczas zacznie się bać, że je opublikujesz w jednym ze swoich słynnych listów, wysyłanych do prasy. I wreszcie własnym słowem gwarantuję ci ulaskawienie, jeśli wypełnisz powierzone zadanie i chrześcijańscy demokraci wygrają wybory. Minister Trezza darzy mnie największym szacunkiem, nigdy nie łamie danych mi obietnic.

Hector Adonis był bardzo przejęty, na jego twarzy malowało się wzruszenie. Już sobie wyobrażał szczęście Marii Lombardo, kiedy jej syn wróci do domu, i to nie jako przestępca ścigany przez prawo. Wiedział, że Turi popełniał swoje czyny powodowany nieodpartą koniecznością, sądził jednak, iż przymierze między Guilianem a don Croce

może okazać się pierwszym ogniwem łańcucha, który połączy tych dwóch mężczyzn prawdziwą przyjaźnią.

Fakt, że wielki don Croce zagwarantował im ułaskawienie ze strony rządu, wywarł wrażenie nawet na Pisciotcie. Guiliano jednak dostrzegł pewną lukę w oracji gościa. Skąd można wiedzieć, że sobie tego wszystkiego nie wymyślił? Że plany nie zostały skradzione? Że minister już ich nie zawetował? Turi musiał koniecznie spotkać się z Trezzą w cztery oczy.

- To mnie przekonuje - rzekł. - Wasze osobiste poręczenie jest oznaką zacnego serca. Dlatego Sycylijczycy nazywają was „dobrą duszą”. Wszak Rzym znany jest ze zdrady, a politycy - cóż, dobrze wiemy, jacy są. Chciałbym, aby ktoś, komu ufam, usłyszał przyrzeczenie z ust samego Trezzy, a także otrzymał od niego stosowny dokument jako zabezpieczenie.

Don Croce osłupiał. Z każdą minutą spotkania coraz bardziej lubił Guiliana. Rozmyślał, jak mogłoby być wspaniale, gdyby ten młodzian był jego synem. Och, razem rządząliby całą Sycylią.

Z jakim wdziękiem powiedział: „Ręce całuję”. Croce, co w życiu zdarzało mu się rzadko, odczuł niezwykły urok Turiego. Lecz teraz, kiedy pojął, że Guiliano nie przyjmuje jego zapewnień, wrażenie to pierzchło. Czuł na sobie owo niepokojące spojrzenie spod na wpół przymkniętych powiek, domagające się dalszych dowodów, dalszych obietnic. Gwarancja samego don Croce Malo nie wystarczała.

Zapadła długa chwila ciszy. Gość zastanawiał się, co powiedzieć, reszta czekała. Hector Adonis starał się ukryć rozczarowanie uporem Guiliana i strach przed reakcją don Croce. Biała, nalana twarz ojca Beniamina przypominała pysk urażonego buldoga. Wreszcie jednak szacowny gość przemówił i uspokoił ich wszystkich. Rozważył bowiem, o co chodzi Guilianowi i czego ten właściwie potrzebuje.

- W moim interesie leży, żebyś się zgodził - zwrócił się do Turiego - dlatego też prawdopodobnie dałem się ponieść swoim racjom. Pozwól jednak, że pomogę ci w podjęciu decyzji. Przede wszystkim minister Trezza nigdy nie wyda ci żadnego dokumentu, to byłoby zbyt niebezpieczne. Ale przemówi w twojej sprawie i złoży obietnicę, tak jak złożył ją mnie. Ja natomiast mogę załatwić listy od księcia Ollorto i innych wpływowych arystokratów, którzy zaangażowani są w naszą sprawę. A co więcej, dysponuję argumentem, który może bardziej cię przekona: sprawę twojego ułaskawienia wesprze Kościół katolicki. Mam na to słowo kardynała Palermo, mojego

przyjaciela. Po posłuchaniu u ministra Trezzy załatwię audiencję u kardynała, który osobiście złoży ci gwarancję. W ten sposób zyskasz obietnicę od ministra sprawiedliwości całych Włoch, święte słowo kardynała Kościoła katolickiego, który pewnego dnia może zostać obrany papieżem, i moje własne.

Nie sposób oddać tonu, którym don Croce wypowiedział ostatnie dwa słowa. Jego tenorowy głos zacichł z pokorą, jak gdyby mówiący się wstydził, że ośmielił się dołączyć swoje imię do tamtych; jednakże w słowach „moje własne” czuło się zarazem taką moc, że ich waga nie ulegała wątpliwości.

- Nie mogę pojechać do Rzymu - roześmiał się Guiliano.

- To wyślij tam kogoś absolutnie zaufanego - doradził don Croce. - Osobiście zaprowadzę go do ministra Trezzy. A potem do kardynała. Z pewnością zaufasz słowu księcia świętego Kościoła?

Guiliano intensywnie wpatrywał się w don Croce. W głowie brzęczały mu sygnały ostrzegawcze. Dlaczego tamtemu tak bardzo zależy na tym, by mu pomóc? Przecież bez wątpienia zdaje sobie sprawę, że on, Guiliano, nie może pojechać do Rzymu, że nigdy nie podejmie takiego ryzyka, nawet gdyby bezpieczeństwo gwarantowało mu tysiąc kardynałów i ministrów. Kogo w takim razie spodziewał się don Croce w roli wyznaczonego emisariusza?

- Nie ma człowieka, któremu ufałbym bardziej od mojego zastępcy - powiedział wreszcie Guiliano. - Zabierzcie ze sobą do Rzymu i do Palermo Aspanu Pisciottę. On lubi wielkie miasta, a kardynał może wysłucha jego spowiedzi. Nawet Aspanu można rozgrzeszyć.

Don Croce odchylił się w tył i gestem poprosił Hectora Adonisa, by nalał mu kawy. Była to stara sztuczka, mająca zamaskować satysfakcję i poczucie triumfu. Jeżeli sprawy zasadnicze są tak mało interesujące, to można się zająć zaspokojeniem zwykłego ludzkiego pragnienia. Lecz Guiliano, od chwili gdy stał się banitą, partyzantem, intuicyjnie odczytywał gesty i myśli ludzi. Natychmiast więc rozszyfrował owo uczucie satysfakcji. Don zdobył jakiś bardzo dla siebie ważny punkt. Nie mógł natomiast wiedzieć, że Croce nade wszystko pragnie zostać sam na sam z Aspanu Pisciottą.

Dwa dni później Pisciotta towarzyszył don Croce w podróży do Palermo i Rzymu. Don Croce traktował Aspanu, jakby ten był księciem krwi. Rzeczywiście, Pisciottą

miał twarz Cesarego Borgii. Ostre rysy, cienki wąsik, azjatycką żółtawą cerę, okrutne i bezczelne oczy, lśniące czarem, a zarazem cyniczną podejrzliwością wobec wszystkiego na świecie.

W Palermo zatrzymali się w hotelu Humberto, który należał do don Croce, a Pisciotte i tu traktowano po królewsku. Zaprowadzono go do wytwornego sklepu, by kupił sobie nowe ubranie na rzymskie spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Jadł kolację z don Croce w najlepszej restauracji. Później Pisciotte i Croce Przyjął kardynał Palermo.

Dziwne, że Pisciotta, młodzieniec z małego, sycylijskiego miasteczka, wychowany w wierze katolickiej, nie był poruszony tym spotkaniem, nie wywarły na nim wrażenia wielkie komnaty kardynalskiego pałacu ani okazywana przez wszystkich pełna szacunku uniżoność wobec władzy tego dostojnika Kościoła. Kiedy don Croce ucałował pierścień kardynała, Pisciotta zmierzył duchownego dumnym spojrzeniem.

Kardynał był wysoki. Nosił czerwony biret i sutannę przepasaną szkarłatną szarfą. Miał pospolite rysy, twarz poznaczoną dziobami po ospie. Na pewno nie był człowiekiem który - mimo zapewnień don Croce - w wyborach na papieża zyskałby choć jeden głos, lecz za to cieszył się opinią zawołanego intryganta jako Sycylijczyk z krwi i kości.

Wymieniono zwyczajowe grzeczności. Kardynał surowo wypytał Pisciotte o jego życie duchowe. Przypomnił mu, że bez względu na to, jakie grzechy człowiek popełni na ziemi, jeśli jest wierny Chrystusowi, czeka go wieczne przebaczenie.

Udzieliwszy Pisciotcie rozgrzeszenia, kardynał przeszedł do sedna sprawy. Wyjaśnił Aspanu, że tutaj, na Sycylii, najświętszy Kościół stanął w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby komuniści wygrali następne wybory? Spalono by wielkie katedry, może zostawiono gołe ściany, by zamienić świątynie w fabryki. Posągi Maryi Panny, figury Jezusa na krzyżu, wizerunki wszystkich świętych wylądują na dnie Morza Śródziemnego. Wymorduje się księży, zgwałci zakonnice.

Słyszcząc te ostatnie słowa, Pisciotta uśmiechnął się. Który Sycylijczyk, nawet wściekły komunistyczny pies, ośmieliłby się nawet pomyśleć o zgwałceniu zakonnicy? Kardynał dostrzegł ten uśmiech. Gdyby Guiliano pomógł zdławić przed następnymi wyborami komunistyczną propagandę, on, kardynał, w niedzielę wielkanocną wygłosi

kazanie, w którym będzie wynosił pod niebiosa cnoty Turiego i błagał Rzym o łaskę. Gdy zaś pojedą do Rzymu, don Croce powtórzy to samo ministrowi.

Na tym kardynał zakończył audiencję i pobłogosławił Aspanu Pisciotte. Nim wyszli, Pisciotta poprosił duchownego o liścik, który mógłby pokazać Guilianowi na dowód, że rozmowa naprawdę się odbyła. Kardynał spełnił jego prośbę. Don Crocego zdumiał tak nierozważny postępek księcia Kościoła, ale nic nie powiedział.

Spotkanie w Rzymie bardziej przypadło Pisciotcie do gustu. Trezza nie odwoływał się, jak kardynał, do cnót duchowych. Przede wszystkim był ministrem sprawiedliwości, a Pisciotta zwykłym emisariuszem banity. Trezza wyjaśnił Aspanu, że w razie przegranych wyborów przez partię chadecką, komuniści dołożą wszelkich starań, by wyrugować z Sycylii wszystkich bandytów. To prawda, że karabinierzy wciąż wysyłają ekspedycje karne przeciw Guilianowi, lecz nic na to nie można poradzić. Należy zachować pozory, w przeciwnym razie radykalna prasa rozkrzyczy się wniebogłosey.

Pisciotta mu przerwał:

- Czy ekscelencja chce mi dać do zrozumienia, że jego partia nigdy nie udzieli Guilianowi amnestii?

- Będzie to trudne - przyznał minister Trezza - ale nie niemożliwe. Oczywiście, jeśli Guiliano pomoże nam zwyciężyć w wyborach. Jeżeli przycichnie na jakiś czas, nie porywając ludzi i nie grabiąc. Jeżeli jego nazwisko przestanie być tak głośnie. Może na pewien czas mógłby wyemigrować do Ameryki, a potem, zyskawszy przebaczenie wszystkich, wrócić. W razie naszego zwycięstwa natomiast, jedną rzecz mogę zagwarantować. Nie podejmiemy żadnej poważnej akcji, by go schwytać. Gdyby zdecydował się na emigrację do Ameryki, nie będziemy go zatrzymywać ani też zwracać się do amerykańskiego rządu o jego deportację. - Urwał na chwilę. - Osobiście zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby prezydent Włoch go ułaskawił.

Pisciotta znowu się uśmiechnął.

- Ale gdybyśmy stali się wzorowymi obywatelami, to co będziemy jeść, Guiliano, jego ludzie i ich rodziny? Może istnieje jakiś sposób, aby rząd nas utrzymywał? Poza wszystkim wykonujemy czarną robotę.

Don Croce, który przysłuchiwał się tej rozmowie z zamkniętymi oczami, niczym śpiący gad, przemówił szybko, aby zapobiec gniewnej odpowiedzi ministra sprawiedliwości, ten bowiem kipiał z wściekłości, iż pospolity bandyta ośmiela się domagać od rządu pieniędzy.

- To tylko żart, ekscelencjo - załagodził sytuację don Croce. - Ten młodzieniec po raz pierwszy wyjechał z rodzinnej Sycylii. Nie rozumie surowych zasad, rządzących światem zewnętrznym, Prośba o wsparcie w najmniejszym stopniu pana nie dotyczy. Osobiście omówię tę rzecz z Guilianem. - Spiorunował Pisciotte wzrokiem, by zamknął gębę na kłódkę.

Minister jednak niespodziewanie uśmiechnął się i zwrócił do Aspanu:

- Cóż, cieszy mnie, że młodzi Sycyljczycy wcale się nie zmienili. Kiedyś byłem taki sam. Nie boimy się żądać tego, co się nam należy. Pewnie wolisz konkrety niż puste obietnice. - Sięgnął do biurka i wyjął laminowaną kartę w czerwonych obwódkach, po czym przesunął ją w stronę Pisciotty ze słowami: - To specjalna przepustka, opatrzona moim podpisem. Możesz bezpiecznie poruszać się po Włoszech i Sycylii bez obawy, że policja będzie cię niepokoić. Ten dokument jest na wagę złota.

Pisciotta skłonił się w podziękowaniu i włożył przepustkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, tuż koło serca. Podczas podróży do Rzymu widział, jak don Croce korzysta z podobnej przepustki; zdawał sobie sprawę, że to, co otrzymał, jest bezcenne. Lecz potem uderzyła go pewna myśl: co się stanie, jeśli złapią go z tym dokumentem? Wywoła to skandal, który wstrząśnie całym krajem. Zastępca dowódcy w bandzie Guiliana, legitymujący się przepustką wydaną przez samego ministra sprawiedliwości? Jak to możliwe? Usilnie próbował rozwiązać tę zagadkę, nie potrafił jednak znaleźć na nią odpowiedzi.

Dar w postaci tak ważnego dokumentu dowodził zaufania i dobrej woli ze strony ministra. Wielkoduszność i życzliwość dona podczas całej podróży nie pozostawiała nic do życzenia. Lecz wszystko to nie przekonało Pisciotty. Nim się pożegnał, poprosił Trezzę o napisanie do Guiliana listu, świadczącego, że spotkanie to rzeczywiście się odbyło. Trezza odmówił.

Kiedy Pisciotta wrócił w góry, Guiliano wypytał go szczegółowo, prosząc, by dokładnie powtórzył wszystkie zapamiętane słowa. Kiedy Pisciotta pokazał mu

przepustkę w czerwonych ramkach, i dziwiąc się, dlaczego mu ją wręczono, a minister naraża się tym samym na niebezpieczeństwo, Guiliano poklepał go po ramieniu:

- Jesteś dla mnie jak rodzony brat - oświadczył. - I o wiele bardziej podejrzliwy niż ja, a przecież twoja lojalność wobec mnie sprawiła, że nie widzisz rzeczy oczywistych. Don Croce musiał polecić ministrowi wydanie tej przepustki. Mają nadzieję, że będziesz podróżował do Rzymu i staniesz się ich informatorem.

- Co za kurewstwo! - wściekł się Pisciotta. - Skorzystam z niej, by tam wrócić i poderżnąć mu gardło.

- Nie - uspokoił go Guiliano. - Zatrzymaj ją. Będzie dla nas pożyteczna. I jeszcze jedno. Może wygląda to na podpis Trezzy, lecz oczywiście nim nie jest. To fałszerstwo. Posłuży ich celom, kiedy zaprzeczą, że przepustka została legalnie wydana. Albo, jeśli im tak będzie wygodniej, oświadczą, że wszystko jest w porządku i przedstawią dowody, iż Trezza osobiście sygnował dokument. W razie gdyby się upierali, że to podróbka, oczywiście je zniszczą.

Pisciotta przyznał mu rację. Z dnia na dzień wzrastał jego podziw dla Guiliana, który tak jawnie i szczerze okazywał swoje uczucia, a przecież potrafił przeniknąć skryte plany wroga. Zrozumiał, że źródło romantycznej postawy Guiliana kryje się w błyskotliwej umysłowości paranoika.

- Jak w tej sytuacji możemy mieć pewność, że dotrzymają obietnic? - spytał. - Dlaczego mielibyśmy im pomagać? Nie zaj mujemy się polityką.

Guiliano rozważył jego słowa. Aspanu zawsze był cynikiem, przy tym człowiekiem trochę chciwym. Kilka razy pokłócili się o podział łupów. Pisciotta domagał się większej od pozostałych członków bandy działki.

- Nie mamy wyboru - odparł Turi. - Jeśli komuniści dojdą do władzy, nigdy nie obejmie mnie amnestia. Teraz więc chrześcijańscy demokraci, minister sprawiedliwości, kardynał Palermo i, rzecz jasna, don Croce muszą zostać naszymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. Naszym zadaniem jest zneutralizowanie komunistów, to najważniejsza sprawa. Spotkamy się z don Croce i wszystko omówimy. - Umilkł i znowu poklepał Aspanu po ramieniu.

- Dobrze zrobiłeś, wyduszając od kardynała liścik. A przepustka może okazać się użyteczna.

Jego słowa nie przekonały wszakże Pisciotty.

- Odwalimy za nich brudną robotę - powiedział. - A potem będziemy czepiać się ich rękawów, czekając na ułaskawienie. Nie ufam żadnemu z nich. Traktują nas, jakbyśmy byli głupimi gęsiami, obiecują cały świat, jeśli zgodzimy się z nimi przespać. Moim zdaniem, powinniśmy walczyć o swoje i zachować pieniądze dla siebie, zamiast rozdawać je biednym. Staniemy się bogaci i będziemy żyć jak królowie w Ameryce albo w Brazylii. To nasz wybór, zatem nie możemy liczyć na tych *pezzonovanti*.

Guiliano postanowił wszystko szczerze wyjaśnić przyjacielowi.

- Aspanu, musimy zaryzykować układ z chadekami i don Croce. Jeżeli wygramy i zastaniemy ułaskawieni, Sycylijczycy nas właśnie wybiorą, byśmy nimi rządili. Wtedy zdobędziemy wszystko. - Guiliano umilkł i uśmiechnął się do Pisciotty. - Ale gdyby tamci grali fałszywie, ani ty, ani ja nie będziemy zaskoczeni. Co mamy do stracenia? Tak czy inaczej, powinniśmy zwalczyć komunistów. Oni są naszymi bardziej zagorzałymi wrogami niż faszyci. I nie mogą uniknąć swojego przeznaczenia. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Jesteśmy jak bliźniacy. Ostateczna bitwa rozegra się po zdławieniu komunistów, więc musimy ramię w ramię stanąć do walki z przyjaciółmi przyjaciół i don Croce.

Pisciotta wzruszył ramionami.

- Robimy błąd - oświadczył.

Guiliano, choć uśmiechnięty, pograżył się w myślach. Wiedział że Pisciotcie podoba się życie wygnańca. Odpowiadało jego naturze, lecz chociaż Aspanu był bystry i przebiegły, nie miał wyobraźni. Nie potrafił spojrzeć w przyszłość i dostrzec, jak nieubłagany los ich czeka.

Później, w nocy, Aspanu Pisciotta przysiadł na krawędzi skały, żeby zapalić papierosa. Jednak ostry ból w piersiach zmusił go do jego zgaszenia i wsunięcia niedopałka do kieszeni. Zdawał sobie sprawę, że gruźlica czyni coraz większe spustoszenie w jego organizmie, ale wiedział także, że po kilkucyjowym wypoczynku w górach czuje się lepiej. Niepokoiło go natomiast coś, o czym nie powiedział Guilianowi.

Podczas wyprawy na spotkanie z ministrem Trezzą i kardynałem, don Croce nie opuszczał go ani na krok co wieczór wspólnie jedli kolację, gospodarz rozprawiał o przyszłości Sycylii, o ciężkich czasach, które nadchodzą. Dopiero po dłuższym czasie Pisciotta zorientował się, że don Croce tak go honoruje, by zdobyć jego sympatię dla

przyjaciół przyjaciół i subtelnie daje mu do zrozumienia, iż całkiem prawdopodobne, że jego przyszłość może wyglądać bardziej różowo pod rządami don Crocego niż Guiliana.

Pisciotta niczym nie okazał, iż zrozumiał te aluzje. Utracił jednak wiarę w dobre intencje don Croce. Nigdy w życiu nie bał się nikogo, może z wyjątkiem Turiego Guiliana. A jednak don Croce, który całe życie poświęcił na zyskanie sobie „szacunku”, który jest trybutem wielkiego szefa mafii, przeraził go. Aspanu uświadomił sobie bowiem, iż lęka się, że Croce ich przechytrzy i zdradzi, i że pewnego dnia wdepcze ich w ziemię.

Rozdział trzeci

Wybory do organów ustawodawczych w kwietniu 1948 rok przyniosły na Sycylii klęskę rzymskim chadekom. Blok Ludowy koalicja komunistów i socjalistów, uzyskała sześćset tysięcy głosów, a chrześcijańscy demokraci zaledwie trzysta trzydzieści. Pozostałe pięćset tysięcy rozdzieliło się między monarchistów i inne pomniejsze partie. Rzym ogarnęła panika. Należało przedsięwziąć jakieś drastyczne środki przed wyborami krajowymi, w przeciwnym razie Sycylia, najbardziej odległy zakątek kraju, mogłaby zdecydować o tym, że Włochy przeistoczyłyby się w państwo socjalistyczne.

W ciągu minionych miesięcy Guiliano działał zgodnie z zawartą z Rzymem umową. Zrywał wyborcze plakaty, dokonywał nalotów na kwatery lewicowych ugrupowań, rozbijał ich wiece w Corleone, Montelepre, Castellammare, Partinico, Piani dei Greci, San Giuseppe Jato i w wielkim mieście Monreale. Jego bandyci rozlepiali w tych miastach własne plakaty, głoszące wielkimi czarnymi literami: ŚMIERĆ KOMUNISTOM, obrócił też w popiół kilka komunalnych domów, zbudowanych przez socjalistów. Zbyt późno jednak rozpoczął kampanię, by mogła ona wpłynąć na wynik wyborów regionalnych; odmawiał przy tym sięgania po bezpośrednie środki przymusu, czyli zamachy. Don Croce, minister Trezza, kardynał Palermo i Turi Guiliano wymieniali między sobą depesze. Posypały się wymówki. Guilianowi zalecono, by wzmocnił kampanię, tak aby podczas wyborów powszechnych sytuacja uległa zmianie. Turi wszystkie te depesze dołączył do *Testamentu*.

Słowem, konieczne były skuteczniejsze działania. Plan powstał w bystrej głowie don Croce. Za pośrednictwem Stefana Andoliniego wysłał do Guiliana wiadomość.

Dwoma najbardziej lewicującymi i ogólnie rzecz ujmując, wywrotowymi miasteczkami na Sycylii były Piani dei Greci i San Giuseppe Jato. Od wielu lat, nawet pod rządami Mussoliniego, obchodzono tam dzień pierwszego maja jako święto robotnicze. Ponieważ pierwszy maja był także dniem świętej Rozalii, obchody przeistoczono w święto religijne, którego nie mogły zakazać faszystowskie władze. Teraz jednak pochody odbywały się pod czerwonymi sztandarami, wygłaszano płomienne przemówienia. Nadchodzący dzień pierwszego maja miał być największym świętem w historii. Jak było w zwyczaju, dwa miasteczka połączyły się na czas uroczystości, z całej Sycylii przybyły delegacje i rodziny, by wspólnie cieszyć się

niedawno odniesionym zwycięstwem. Lo Causi, komunistyczny senator, sławny i żarliwy orator, miał wygłosić przemowę. W ten sposób lewica chciała uczcić swą oszałamiającą wiktorię.

Don Croce zaplanował zerwanie tych uroczystości przez bandę Guiliana. Ludzie ustawiają w górach karabiny maszynowe i będą strzelać ponad głowami tłumu, by go rozproszyć. Stanie się to pierwszym krokiem w kampanii zastraszania, ojcowskim ostrzeżeniem, łagodnie karcącą dłonią. Komunistyczny senator, Lo Causi, przekona się, że wybór do parlamentu nie daje mu żadnych praw do Sycylii ani nie czyni go osobą nietykalną. Guiliano przystał na ten plan i rozkazał swoim dowódcom, Pisciotcie, Terranovie, Passatempie, Silvestrowi i Andoliniemu, by zajęli się wprowadzeniem go w życie.

Od trzech lat uroczystości odbywały się w górach, na wyżynie między Piani dei Greci i San Giuseppe Jato, w cieniu bliźniaczych szczytów Monte Pizzuta i Monte Cumeta. Ludność miasteczek wspinała się na równinę dzikimi, krętymi drózkami, zbiegającymi się prawie pod samym szczytem, tak że wszyscy mogli się tam połączyć i dalszą drogę odbyć już wspólnie. Na wyżynę wchodził przez wąską przełęcz i tam zaczynali świętować. Przełęcz nazywała się Portella delia Ginestra.

Wioski Piani dei Greci i San Giuseppe Jato były ubogie, o starych domach i archaicznym rolnictwie. Przestrzegano tam dawnego kodeksu honorowego; kobiety wysiadujące przed domami, aby zachować dobrą reputację, musiały ustawiać się profilami. Jednakże mieszkańcy tych osad zaliczali się równocześnie do najbardziej buntowniczych obywateli Sycylii.

Wioski były tak stare, że większość domów wzniesiono niegdyś z kamienia; w niektórych nie odnalazłbyś okien, a tylko małe otwory, osłonięte żelaznymi kręgami. Wiele rodzin trzymało w pomieszczeniach mieszkalnych zwierzęta. W piekarniach hodowano kozy i jagnięta, skupione przy piecach, a jeśli świeżo upieczony bochenek spadł na podłogę, to zwykle lądował w kupie gnoju.

Mężczyźni wynajmowali się do pracy u bogatych posiadaczy ziemskich za dolara, a czasem i mniej, dziennie, co nie wystarczało na utrzymanie rodziny. Więc kiedy siostry zakonne i księża, te „czarne kruki”, przybyli z paczkami makaronu i odzieżą z dobroczynności, chłopcy składali wymaganą przysięgę: że będą głosować na chrześcijańskich demokratów.

Jednakże w wyborach regionalnych w kwietniu 1948 roku zdradziecko i jednogłośnie poparli partie komunistyczną i socjalistyczną. Rozwścieczyło to dona Crocego, który sądził, że miejscowy szef mafii panuje nad sytuacją, wszakże prawil wszem wobec, że zmartwił go despekt uczyniony Kościołowi katolickiemu. Jak wierni Sycylijczycy ośmielili się sprzeniewierzyć świętym siostrzyczkom, które z chrześcijańskiego miłosierdzia zawoziły w góry chleb dla ich dzieci?

Kardynał Palermo był również zirytowany. Wyprawił się był przecież specjalnie na msze do obu wiosek i przestrzegł mieszkańców, by nie oddawali głosów na komunistów. Pobłogosławił dzieci, kilkoro nawet ochrzcił, a mimo to zwrócono się przeciw jego Kościołowi. Wezwał miejscowych księży do Palermo i nakazał im podwojenie wysiłków przed wyborami powszechnymi. Nie tylko w politycznym interesie Kościoła, ale dla ocalenia błądzących duszyczek.

Minister Trezza nie był wcale zdziwiony. Pochodził z Sycylii i znał historię wyspy. Mieszkańcy obu wiosek zawsze cieszyli się sławą dumnych i okrutnych bojowników, stających murem przeciwko bogatym Sycylijczykom i tyranii Rzymu. Oni pierwsi przyłączyli się do Garibaldiego, a przedtem walczyli z francuskimi i mauretańskimi władcami. W Piani dei Greci mieszkańcy wywodzili się od Greków, którzy zbiegli na Sycylię przed najeźdźcami tureckimi. Wciąż zachowywali greckie zwyczaje, mówili w tym języku i obchodzili greckie święta, nosili też tradycyjne stroje. Wszakże silna ręka mafii zawsze zapobiegała otwartej rebelii. Tak więc ministra Trezzę rozczarowały zabiegi dona Crocego, fakt, że nie był w stanie odpowiednio wyedukować wieśniaków. Zdawał sobie także sprawę, iż głosy w tych wioskach i w całej okolicy zaskarbił sobie jeden człowiek, agitator partii socjalistycznej, niejaki Silvio Ferra.

Silvio Ferra walczył w armii włoskiej w okresie drugiej wojny światowej. Zdobył wiele medali podczas kampanii afrykańskiej, tam też został wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie. Przewieziono go do obozu jenieckiego na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie uczęszczał na kursy resocjalizacyjne, zorganizowane w tym celu, by wytłumaczyć więźniom, na czym polegają przemiany demokratyczne. Silvio nie bardzo wierzył w to, co słyszał, póki nie dostał przepustki na pracę poza obozem u miejscowego piekarza. Zachwyciła go swoboda amerykańskiego życia, łatwość, z jaką dzięki ciężkiej pracy można było dorobić się trwałej, pokaźnej fortuny, systematyczny awans społeczny najniższych klas. Na Sycylii najbardziej zaharowany wieśniak mógł

co najwyżej mieć nadzieję na zapewnienie wikt i schronienia dzieciom, ale żadne zabezpieczenie na przyszłość nie wchodziło w grę.

Kiedy Silvio Ferra powrócił na rodzinną wyspę, stał się żarliwym propagatorem amerykańskiego systemu społecznego. Wkrótce jednak przekonał się, że chrześcijańscy demokraci są narzędziem w rękach bogaczy, toteż przyłączył się do grupy samokształceniowej socjalistycznego ugrupowania robotników w Palermo. Trawił go głód wiedzy i miłość do książek. Niebawem zapoznał się z wszystkimi teoriami Marksa i Engelsa i wstąpił do partii socjalistycznej. Otrzymał za zadanie zorganizowanie klubu tej partii w San Giuseppe Jato.

W ciągu czterech lat dokonał tego, na czym powinna się noga agitatorom z północy Wioch. Potrafił przełożyć zasady czerwonej rewolucji i doktryny socjalistycznej na język zrozumiały dla mieszkańców Sycylii. Przekonał ziomków, że głosując na socjalistów, zyskają kawałek ziemi. Przysięgał, iż rozparceluje się wielkie posiadłości ziemskie, gdyż w rękach szlachty leżą one odłogiem. Na roli powinno rosnać ziarno dla dzieci wieśniaków. Tłumaczył, że pod rządami socjalistów wyruguje się z Sycylii korupcję. Znikną łapówki wręczane urzędnikom za wstawiennictwo, nie będzie trzeba dawać proboszczowi dwóch jaj za przeczytanie listu z Ameryki, wiejski listonosz przestanie domagać się zwyczajowego lira za dostarczenie poczty, ludzie nie staną więcej na aukcji w rynku, by następnie w pocie czoła harować za marną dniówkę na polach książąt i baronów. Skończą się głodowe płace, a przedstawiciele rządu będą służyć ludowi, tak jak w Ameryce. Silvio Ferra cytował całe wersy i rozdziały, by udowodnić, że oficjalnie uznany Kościół katolicki wspiera upodlający ludzi kapitalizm, ale nigdy nie poważył się zaatakować Najświętszej Panienki, rozmaitych pomniejszych świętych czy wiary w Jezusa. W wielkanocny ranek witał sąsiadów tradycyjnym: „Chrystus zmartwychwstał”. W niedzielę uczęszczał na msze. Żonę i dzieci wychował w prawdziwie sycylijskim duchu, gdyż szczerze wierzył w odwieczne wartości: w to, że syn powinien być absolutnie oddany matce, w szacunek dla ojca, w poczucie obowiązku wobec ubogich nawet krewnych.

Kiedy *cosce* mafii w San Giuseppe Jato ostrzegł go, że posuwa się za daleko, Silvio uśmiechnął się i oznajmił, że w przyszłości będzie sobie cenił jego przyjaźń, choć wierzy w głębi serca w ostateczną i największą bitwę wydaną mafii. Gdy don Croce wysłał specjalnych mediatorów, aby wynegocjowali ugodę, odprawił ich z kwitkiem. Ponieważ Ferra podczas wojny zyskał sobie tak dobre imię, ze względu na szacunek,

jakim cieszył się w wiosce, i dzięki zapewnieniom, że będzie rozsądny wobec przyjaciół przyjaciół, don Croce postanowił zachować cierpliwość. Zwłaszcza że był pewien, iż tak czy inaczej wybory okażą się zwycięstwem chadecji.

Jednak przede wszystkim Silvio Ferra zyskał sobie sympatię ziomków, sycylijskich wieśniaków, rzecz niespotykana na wyspie. Jeśli zachorował sąsiad, przynosił jego rodzinie pożywienie, zastępował w najcięższych pracach samotne, stare wdowy, pocieszał wszystkich tych, którzy ledwie wiązali koniec z końcem i z lękiem patrzyli w przyszłość. Deklarował, że pod wodzą partii socjalistycznej zaświta i dla nich jutrzeńka nadziei. Kiedy przemawiał, stosował tak umiłowaną przez Sycylijczyków retorykę południowców. Nie wyjaśniał tez ekonomicznych Marks, lecz wygłaszał przemówienia pełne żarliwej mściwości wobec tych, którzy od wieków uciskali wieśniaków.

- Tak jak dla nas słodki jest chleb - mówił - tak słodka jest krew nędzarzy dla wysysających ją bogaczy.

To Silvio Ferra zorganizował kooperatywy robotników, którzy odmówili stawienia się na niewolniczej aukcji w rynku, by zgodzić się do pracy za najniższe z możliwych wynagrodzenie. Ustalił wysokość dniówki, a właściciele ziemscy zostali zmuszeni do zaakceptowania jej podczas żniw lub zbiorów oliwek i winogron, bądź też pilnowania, czy ziarno nie gnije. Dzięki temu Silvio Ferra stał się kimś.

Życie ocalił tylko dlatego, że znalazł się pod ochroną Turiego Guiliana. Chociażby z tego względu don Croce zdecydował się powstrzymać swą karzącą dłoń. Silvio Ferra urodził się w Montelepre. Już za młodu odznaczał się wielkimi zaletami. Turi Guiliano wręcz go uwielbiał, choć z powodu różnicy wieku nie mogli zostać przyjaciółmi - Guiliano był młodszy o cztery lata - a poza tym dlatego, że Silvio wyruszył na wojnę. Wrócił jako odznaczony licznymi orderami bohater. Poznał dziewczynę z San Giuseppe Jato i przeprowadził się tam, by ją poślubić. Potem, kiedy zaczęła rosnąć sława Ferriego jako polityka, Guiliano rozpowszechnił wieść, że tego człowieka, choć ma odmienne od niego zapatrywania, zalicza do swoich przyjaciół. Gdy zaś począł wprowadzać w życie plan „edukacji” sycylijskich wyborców, wydał rozkaz, by nie podejmowano żadnych akcji przeciwko wiosce San Giuseppe Jato czy osobiście przeciwko Ferrze.

Ferra dowiedział się o tym i był na tyle bystry, by przesłać Guilianowi podziękowanie, proponując zarazem swoje usługi pod jego dowództwem. Informację

przekazano za pośrednictwem rodziców Feny, którzy wciąż mieszkali w Montelepre razem z resztą potomstwa. Ich córka, młoda dziewczyna imieniem Justina, wówczas ledwie piętnastolatka, zniosła liścik do domu Guilianów, by oddać go matce Turiego. Przypadkiem w tym samym czasie Turi gościł u rodziców, wiadomość więc trafiła bezpośrednio do jego rąk. Piętnastoletnie sycylijskie dziewczęta są już niemal kobietami, nic zatem dziwnego, że Justina zakochała się w Guilianie od pierwszego wejrzenia. Jego siła fizyczna i koci wdzięk zafascynowały ją tak bardzo, że wbrew dobremu obyczajom nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Turi Guiliano, rodzice i La Venera pili właśnie kawę, spytali więc dziewczynę, czy się do nich przyłączy. Odmówiła. Tylko La Venera dostrzegła, jak piękna jest ta młódka, wyczuła także jej zauroczenie Turim. Guiliano nie rozpoznał w niej dziewczuszki, którą niegdyś spotkał zapłakaną na drodze i obdarował lirami.

- Przekażcie bratu moje podziękowania za jego propozycję - odezwał się Guiliano - i powiedzcie mu, by nie zamartwiał się o matkę i ojca. Są cały czas pod moją ochroną.

Justina szybko opuściła dom Guilianów i biegiem wróciła do rodziców. Od tego czasu Turi Guiliano pojawiał się w jej snach w roli kochanka. Poza tym była dumna z szacunku, jaki żywił wobec jej brata.

Toteż kiedy Guiliano zgodził się rozpedzić manifestację na Portella delia Ginestra, wysłał do Silvia Ferry przyjacielskie ostrzeżenie, by nie brał udziału w obchodach pierwszomajowych. Zapewnił, że nie ucierpi żaden z mieszkańców San Giuseppe Jato, jeśli jednak on sam będzie wciąż trwał przy partii socjalistycznej, to może się znaleźć w niebezpieczeństwie, któremu on, Turi nie zdoła zapobiec. Nie żeby sam odważył się kiedykolwiek uczynić mu jakąś krzywdę, lecz przyjaciele przyjaciół uczynią wszystko, by zdławić i zniszczyć na Sycylii partię socjalistyczną, a Ferra bez wątpienia jako jeden z pierwszych znajdzie się na muszce.

Kiedy wiadomość dotarła do Silvia Ferry, uznał, że jest to jeszcze jedna próba zastraszenia, oczywiście z poduszczenia dona Crocego. Nie przejął się. Partia socjalistów kroczyła ku zwycięstwu, więc on nie miał zamiaru ominąć jednej z największych uroczystości na cześć sukcesu, który już osiągnęli.

Pierwszego maja 1948 roku ludność Piani dei Greci i San Giuseppe Jato wstała wczesnym rankiem, by górskimi ścieżkami ruszyć w długą drogę na wyżynę za

przełęczą Portella delia Ginestra. Na czele pochodu szły kapele grajków z Palermo, specjalnie wynajęte na tę okazję. Silvio Ferra, w towarzystwie żony i dwojga dzieci, kroczył na czele procesji z San Giuseppe Jato, dumnie niosąc jedną z wielkich czerwonych flag. Pomalowane w oszalałymi wzory wozy, zaprzężone w konie przystrojone w czerwone pióra i barwne derki, załadowano garnkami, przepastnymi drewnianymi koszami spaghetti, ogromnymi drewnianymi misami sałaty. Jeden specjalnie wyznaczony wóz był pełen gąsiorów wina. Inny napełniono obłożonymi lodem kręgami sera, wielkimi salami, ciastem i piecami, by na miejscu upiec świeży chleb.

Wzdłuż całego pochodu uganiały się kopiające piłki dzieciaki. Mężczyźni na koniach sprawdzali, jak te zwierzęta zachowują się podczas wyścigów, które miano rozegrać jako główną atrakcję podczas popołudniowych zawodów.

Kiedy Silvio Ferra prowadził swoich ziomków ku wąskiej przełęczy, zwanej Portella delia Ginestra, z drugiej strony ścieżką wspinali się obywatele Piani dei Greci, wysoko niosący czerwone sztandary, flagi partii socjalistycznej. Dwa pochody zmieszały się, wymieniono serdeczne powitania, a kiedy ruszono w dalszą drogę, plotkowano o najnowszych skandalach, które wydarzyły się w osadach, rozważano, co dobrego może przynieść ostatecznie zwycięstwo w wyborach i jakich należy się spodziewać zagrożeń. Mimo pogłosek, że pierwszego maja będą chyba pewne kłopoty, nikt sobie tym nie zaprzętał głowy. Ludzie obawiali się znienawidzonego Rzymu, lękali mafii, lecz się im nie poddawali. Przecież zdołali pokonać jednych i drugich i nic się straszego nie zdarzyło.

Koło południa na równinę dotarło mniej więcej trzy tysiące osób. Kobiety rozstawiły przenośne piece, by zagrzać wodę na makaron, dzieci puszczały latawce, nad którymi krążyły małe, rdzawe sycylijskie jastrzębie. Komunistyczny senator, Lo Causi, przeglądał notatki do przemówienia, które zamierzał wygłosić; grupa mężczyzn pod wodzą Silvia Ferry ustawiała wspólnie drewnianą platformę, na której miał stanąć on i dwóch wybitnych przedstawicieli obu osad. Pomocnicy radzili mu, by skrócić orację senatora - dzieci robią się głodne.

W tej chwili górskie powietrze przeszły ciche, suche trzaski. Silvio Ferra pomyślał, że to pewnie dzieciaki odpalają fajerwerki. Odwrócił się, by popatrzeć.

Tego samego ranka, ale o wiele wcześniej, na długo nim wstało przydymione sycylijskie słońce, dwa liczące po dwunastu ludzi oddziały z kwatery Guiliana w górach nad Montelepre ruszyły przełęczą prowadzącą do Portella delia Ginestra. Jednym oddziałem dowodził Passatempo, drugim Terranova. Oba niosły ciężkie karabiny maszynowe. Passatempo poprowadził swoją grupę w górę stoku Monte Cumeta i tam pieczołowicie dopilnował ustawienia broni. Miało ją obsługiwać czterech ludzi. Pozostali otrzymali rozkaz zajęcia pozycji na zboczu ze strzelbami i luparami, by osłaniać obsługę karabinu przed ewentualnym atakiem.

Terranova ze swoim oddziałem zajął zbocza Monte Pizzutta po drugiej stronie Portella delia Ginestra. Z tego dogodnego punktu w zasięgu karabinu maszynowego i strzelb jego ludzie znalazły się cała jałowa równina i wioski poniżej. To miało zapobiec zaskoczeniu przez karabinierów, gdyby ośmielili się wysunąć nos z koszar.

Z obu zboczy gór ludzie Guiliana obserwowali mieszkańców Piani dei Greci i San Giuseppe Jato, wędrujących na płaską wyżynę. Kilku partyzantów miało wśród uczestników pochodu krewnych, lecz wcale nie czuli wyrzutów sumienia. Instrukcje Guiliana były jasne. Strzały należało oddawać ponad głowami tłumu, póki się nie rozproszy i nie umknie do swoich wiosek. Nikt nie miał odnieść obrażeń.

Guiliano zamierzał wziąć udział w ekspedycji i osobiście dowodzić akcją, lecz na tydzień przed pierwszym maja słabe płuca Pisciotty wreszcie nie wytrzymały i Aspanu dostał krwotoku. Biegł stokiem do kwatery głównej bandytów, kiedy krew buchnęła mu z ust i runął na ziemię. Jego ciało poczęło osuwać się w dół zbocza. Guiliano, który się wspinał za nim, sądził, że to jeden z kawałów kuzyna. Przytrzymał leżącego nogą i wtedy spostrzegł, że przód jego koszuli splamiony jest krwią. Wpierw pomyślał, że Aspanu trafił jakiś snajper, a on nie usłyszał odgłosu wystrzału. Chwycił przyjaciela na rękę i wniósł na szczyt. Pisciotta był wciąż przytomny i mamrotał:

- Połóż mnie, połóż.

Guiliano zorientował się, że to wcale nie kula. Słaby głos świadczył o wyczerpaniu organizmu, a nie o urazie wywołanym bezlitosnym wtargnięciem weń metalu.

Pisciottę ułożono na noszach i dziesięciu ludzi z Guilianem na czele zaniósł go do doktora w Montelepre. Często korzystali z usług tego lekarza, który opatrywał rany postrzałowe. Można było liczyć na to, że dochowa tajemnicy. Jednak teraz zameldował donowi Crocemu o chorobie Aspanu, gdyż ten przecież zawarł z

Guilianem układ. Lekarz po cichu liczył na posadę ordynatora szpitala w Palermo, a orientował się, iż owo marzenie bez błogosławieństwa dona Crocego nie ma szans się ziścić.

Doktor zawiózł Pisciottę do szpitala w Monreale na dalsze badania i poprosił Guiliana, by poczekał na ich wyniki.

- Wrócę rano - powiadomił Turi lekarza. Zostawił czterech ludzi, którzy mieli strzec Aspanu w szpitalu, a z pozostałymi udał się do domu jednego z członków bandy, by tam zanocować.

Nazajutrz doktor powiadomił go, że Pisciotta potrzebuje leku o nazwie streptomycyna. Można go dostać tylko w Stanach Zjednoczonych. Guiliano zastanowił się. Mógłby poprosić ojca i Stefana Andoliniego, aby napisali do dona Corleone w Ameryce i poprosili o przysłanie tego medykamentu. Powiedział o tym doktorowi i spytał, czy można zabrać Pisciottę ze szpitala. Lekarz się zgodził, lecz jedynie pod warunkiem, że pacjent przez kilka tygodni nie wstanie z łóżka.

Dlatego też w czasie ataku na Portella delia Ginestra Guihano przebywał w Monreale, opiekując się Pisciotta i organizując mu dom, w którym mógłby wracać do zdrowia.

Kiedy na dźwięk wystrzału Silvio Ferra odwrócił się, jego umysł zanotował jednocześnie trzy rzeczy. Po pierwsze, zobaczył małego chłopca unoszącego w zdumieniu ramię. Zamiast dłoni trzymającej sztandar widniał straszliwy kikut, a flaga szybowała wysoko ponad zboczem Monte Cumeta. Po drugie, poczuł straszliwy szok - rozpoznał, że owe trzaski to ogień z karabinu maszynowego. Po trzecie, wielki czarny koń bez jeźdźca pędził wśród tłumu jak oszalały, a po jego bokach spływała strumieniem krew. Silvio Ferra rzucił się między ludzi, szukając żony i dzieci.

Ze zbocza Monte Pizzuta Terranova obserwował całą tę scenę przez lornetkę polową. Z początku pomyślał, że ludzie padają na ziemię ze strachu, ale kiedy dostrzegł nieruchome ciała, bezwładne w bezlitosnym uścisku śmierci, odepchnął strzelca od karabinu. Lecz kiedy karabin umilkł, a on wciąż słyszał terkot wystrzałów, dobiegający od strony Monte Cumeta, zorientował się, że Passatempo nie spostrzegł jeszcze, iż ogień skierowany jest zbyt nisko i trafia ludzi. Po kilku minutach strzały ucichły i na Portella delia Ginestra zapanowała upiorna cisza. Potem do szczytów gór

dotarło zawodzenie tych, którzy ocaleli, krzyki rannych i umierających. Terranova dał znak swoim ludziom, by się zgromadzili, nakazał im rozmontować karabin maszynowy i poprowadził ich na przeciwległy stok góry. Tamtędy wiodła droga ucieczki. Cały czas zastanawiał się, czy powinien pojechać do Guiliana i złożyć raport o tragedii. Bał się, że Turi może od razu rozstrzelać jego i jego grupę. A jednak, z drugiej strony, był pewien, że da mu szansę wyjaśnienia sytuacji i że on i ludzie będą mogli przysiąc na wszystko, iż strzelali w powietrze. Tak, wróci do kwatery głównej i złoży meldunek. Zastanawiał się, czy i Passatempo postąpi podobnie.

Kiedy Silvio Ferra odnalazł żonę i dzieci, karabiny maszynowe umilkły. Jego bliscy nie odnieśli żadnych obrażeń i zaczęli podnosić się z ziemi. Zmusił ich, by znowu padli, i nakazał leżeć bez ruchu jeszcze przez kwadrans. Zobaczył, że jakiś człowiek galopuje na koniu w stronę Piani dei Greci, by wezwać na pomoc karabinierów z koszar, a ponieważ nie padł w stronę jeźdźca żaden strzał, zrozumiał, że atak się już skończył. Wstał.

Z płaskowyżu Portella delia Ginestra tysiące ludzi strumieniem wracało do swoich wiosek u podnóża gór. Na ziemi pozostali zabici i ranni, nad nimi klęczeli zapłakani bliscy. Dumne sztandary, które niesiono rankiem, leżały w pyłe, ich ciemnozłote, jaskrawozielone i czerwone kolory lśniły oślepiająco w promieniach południowego słońca. Silvio Ferra zostawił rodzinę, by pomóc rannym. Zatrzymał kilku uciekających mężczyzn i zmusił ich do niesienia noszy. Z przerażeniem zorientował się, że wśród zabitych są dzieci i kilka kobiet. Poczł, że łzy napływają mu do oczu. Wszyscy jego nauczyciele, ci, którzy wierzyli w akcje polityczne, byli w błędzie. Wyborcy nigdy nie zmieniają Sycylii. To wszystko bzdury. Aby zdobyć to, co im się należy, muszą mordować.

Guilianowi, czuwającemu przy łóżku Pisciotty, wiadomości przyniósł Hector Adonis. Guiliano natychmiast ruszył do górskiej kwatery głównej, zostawiając Pisciottę, by zdrowiał bez jego osobistego nadzoru.

Potem wezwał Passatempa i Terranovę na skały wznoszące się nad Montelepre.

- Nim cokolwiek powiecie, chcę was ostrzec - zaczął Guihano. - Ktokolwiek jest odpowiedzialny za masakrę, zostanie odnaleziony, bez względu na to, ile zabierze to

czasu. A im więcej, tym surowsza będzie kara. Zatem jeśli popełniście błąd, przyznajcie się uczciwie, a ja dam słowo, że nie ukarzę was śmiercią.

Passatempo i Terranova nigdy dotąd nie widzieli Guiliana tak rozwścieczonego. Stali sztywno, bojąc się nawet drgnąć, kiedy Turi ich przesłuchiwał. Przysięgli, że wycelowali karabiny ponad głowami tłumu, a kiedy spostrzegli, że ludzie padają, przerwali ogień.

Następnie Guiliano przesłuchiwał ludzi z oddziałów i tych, którzy obsługiwali karabiny maszynowe. Wtedy złożył wszystko w jedną całość. Karabin Terranovy strzelał około pięciu minut, Passatempo mniej więcej dziesięć. Obaj przysięgali, że kierowali ogień w powietrze. Żaden z nich nie uważał, że mógłby popełnić omyłkę czy w jakikolwiek sposób zmylić kąt strzału.

Guiliano odprawił ich i został sam. Po raz pierwszy od chwili, w której stał się bandytą, czuł dręczący wstyd. W ciągu ponad czterech lat wygnania chełpił się tym, że nigdy żadnemu nędzarzowi nie wyrządził krzywdy. Teraz mu było już powodu do dumy. Okazał się sprawcą masakry. Nawet w najgłębszym zakamarku duszy nie będzie mógł nadal uważać siebie za bohatera. Potem zaczął rozważać rozmaite możliwości. To mogła być pomyłka. Jego banda znakomicie radziła sobie z luparami, lecz niezbyt dobrze znała się na karabinach maszynowych. Ludzie, strzelając w dół, mogli mylnie ocenić kąt padania pocisków. Nie potrafił uwierzyć, by Terranova lub Passatempo mogli go oszukać, lecz zawsze zachodziła straszliwa możliwość, iż jeden z nich bądź obaj zostali przekupieni, by dokonać masakry. Zresztą gdy tylko usłyszał wiadomość, przyszło mu na myśl, że mogła się tam zakraść trzecia, przyczajona grupa.

Z pewnością wszakże, jeżeli sprawa byłaby ukartowana, padłoby więcej ofiar. Nie ulega wątpliwości, że doszłoby do okrutniejszej rzeźni. Chyba że, dumając Guiliano, celem masakry miało być pohańbienie jego dobrego imienia. I kto wpadł na pomysł zaatakowania wyżyny Portella delia Ginestra? Zbieg okoliczności był niezbyt oczywisty, by przejść nad nim do porządku dziennego.

Turi zrozumiał, jak niezbita i ponizająca jest prawda - don Croce go przechytrzył.

Rozdział czwarty

Masakra na Portella delia Ginestra wstrząsnęła całymi Włochami. Prasa podbijającymi w oczy nagłówkami donosiła o rzezi niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Piętnaście osób postradało życie, ponad pięćdziesiąt odniosło rany. Z początku zaczęto spekulować, czy masakra to aby nie sprawka mafii, a sam Silvio Ferra wygłaszał przemowy, w których winą za śmierć ludzi obarczał dona Crocego. Don Croce jednak zawczasu się na to przygotował. Sekretne członkowie przyjaciół przyjaciół przysięgli przed sądem, że widzieli, jak Passatempo i Terranova szykowali zasadzkę. Sycylijczycy zachodzili w głowę, dlaczego Guiliano nie odparł tych niegodziwych zarzutów, pisząc kolejny ze swoich słynnych listów do gazet. Takie milczenie było zupełnie nie w jego stylu.

Dwa tygodnie po wyborach ogólnokrajowych Silvio Ferra jechał rowerem z San Giuseppe Jato do osady Piani dei Greci. Minął rzeczkę Jato i sunął wzdłuż podnóża gór. Po drodze minął dwóch mężczyzn. Krzyknęli na niego, by się zatrzymał, lecz on błyskawicznie nacisnął pedały roweru. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że cierpliwie i z mozolem podążają za nim, lecz wkrótce odbił się od nich spory kawałek, tak że zostali daleko w tyle. Gdy wjechał do Piani dei Greci, stracił ich z oczu.

Następne trzy godziny Ferra spędził wraz z innymi przywódcami z okolicznych rejonów w siedzibie partii socjalistycznej. Kiedy skończyli obrady, zaczynało zmierzchać, więc bardzo spieszył się, by wrócić do domu przed nocą. Przeprowadził rower przez rynek, wesoło pozdrawiając znajomych mieszkańców. Nagle otoczyło go czterech mężczyzn. W jednym z nich Silvio Ferra rozpoznał szefa mafii z Montelepre, poczuł więc ulgę. Znał Quintanę od dziecka, poza tym zdawał sobie sprawę, że w tym zakątku Sycylii mafia działa w białych rękawiczkach, by nie zirytować Guiliana czy nie złamać praw dotyczących „krzywdzenia ubogich”. Powitał więc Quintanę uśmiechem i powiedział:

- Zawędrowałeś daleko od domu.

- Witaj, przyjacielu - odezwał się Quintana. - Przejdziemy się trochę razem. Nie rób zamieszania, a nic ci się nie stanie. Po prostu chcemy z tobą rozumnie podyskutować.

- Możemy zrobić to tutaj - odparł Silvio Ferra. Przeszył go dreszcz strachu, taki sam, jak na polu bitwy w czasie wojny, strach, o którym wiedział, że potrafi nad nim zapanować. Także i w tej sytuacji powstrzymał się przed popełnieniem jakiegoś głupstwa. Dwóch mężczyzn stanęło po jego bokach i chwyciło go za ramiona. Lekko pchając, poprowadzili go przez rynek. Rower potoczył się kawałek, a potem przewrócił.

Ferra zorientował się, że mieszkańcy osady, jak zwykle wysiadający przed domami, wiedzą już, co się dzieje. Z pewnością przyjdą mu z pomocą. Jednak masakra na Portella della Ginestra i panujący powszechnie terror złamały ducha tych ludzi. Teraz żaden z nich nie podniósł się z krzykiem oburzenia. Silvio Ferra zaparł się obcasami w ziemię i próbował zawrócić do siedziby socjalistów. Nawet z tak daleka mógł widzieć kilku swoich towarzyszy, mających w progę. Czyż nie widzą, że znalazł się w opałach? Lecz żaden z nich nie wyszedł na zewnątrz z cienia progę. Ferra zawołał:

- Na pomoc!

W osadzie nie wywołało to najmniejszej reakcji i Silvio Ferra poczuł palący wstyd za tych ludzi.

Quintana teraz już brutalnie popychał go w przód.

- Nie bądź głupcem - powiedział. - Chcemy tylko pogadać. A teraz idź z nami i nie podnoś wrzasku. Nie narażaj swoich przyjaciół na ryzyko zranienia.

Było już prawie ciemno, wstał księżyc. Ferra poczuł, jak do boku przytknięto mu łufę. Wiedział, że gdyby rzeczywiście chcieli go zabić, to zginąłby na rynku. A potem zamordowałiby każdego z towarzyszy, który pospieszyłby mu z pomocą. Istniała więc szansa, że nie zamierzają pozbawić go życia; wokoło było zbyt wielu świadków, a niektórzy z nich z pewnością rozpoznali Quintanę. Gdyby on, Ferra, teraz się opierał, napastnicy mogliby wpaść w panikę i otworzyć ogień. Roztropniej zatem będzie poczekać i wysłuchać, co mają do powiedzenia.

- Chcemy przekonać cię, byś zaniechał tych komunistycznych głupot - przemówił rozsądnym tonem Quintana. - Przebaczyliśmy ci zaatakowanie przyjaciół przyjaciół, kiedy to ich obarczałeś przewiną Guiliana. Ale nasza cierpliwość jest już na

wyczerpaniu. Jeśli dalej będziesz postępował w ten sposób, twoje dzieci zostaną bez ojca.

Tymczasem minęli już roгатki osady i zaczęli wspinać się kamienistą ścieżką, prowadzącą ku Monte Cumeta. Silvio Ferra zrozpaczony obejrzał się, lecz nikt nie podążał ich śladem. Zwrócił się do Quintany:

- Odważysz się zamordować ojca rodziny dla sprawy tak błahej jak polityka?

Quintana roześmiał się cynicznie.

- Zabijałem już ludzi, którzy splunęli mi na buty.

Mężczyźni trzymający Silvia Ferrę za ramiona rozluźnili uchwyt, a on już wiedział, jaki czeka go los. Wywinął się i zaczął biec oświetloną księżycem kamienistą ścieżką.

Mieszkańcy osady usłyszeli huk wystrzałów i jeden z przywódców partii socjalistycznej udał się po karabinierów. Nazajutrz rano znaleziono ciało Silvia Ferry porzucone w skalnej rozpadlinie. Kiedy policja przesłuchiwała mieszkańców, żaden nie pisnął nawet słówkiem, że widział, co się stało. Nikt nie wspomniał o czterech mężczyznach ani nie zdradził, że rozpoznał Guida Quintanę. Ludzie może i byli zbuntowani, ale przede wszystkim czuli się Sycylijszymi, którzy za nic nie sprzeniewierzyliby się prawu omerty. Ktoś jednak napomknął o tym, co zobaczyli, komuś z bandy Guiliana.

Wiele różnych rzeczy przyczyniło się do zwycięstwa chrześcijańskich demokratów. Don Croce i przyjaciele przyjaciół dobrze wykonali swoją robotę. Masakra na Portella delia Ginestra wstrząsnęła całymi Włochami, lecz jeszcze większe wrażenie wywarła na Sycylijszymach - sparaliżowała ich. Kościół katolicki, agitujący pod sztandarami Chrystusa, ostrożnie rozdzielał dary. Zabójstwo Silvia Ferry przeważało szalę. Chrześcijańska demokracja w 1948 roku zwyciężyła na Sycylii przeważającą większością głosów. Stało się jasne, że ta właśnie partia będzie sprawowała rządy, a jak długo, tego nikt nie mógł przewidzieć. Don Croce stał się władcą Sycylii, Kościół katolicki stał na straży religii narodowej, a co najważniejsze, minister Trezza, nie w najbliższych latach, ale też i niebawem, pewnego dnia miał zostać premierem Włoch.

Ostatecznie okazało się, że racja była po stronie Pisciotty. Don Croce za pośrednictwem Hectora Adonisa przesłał wiadomość, że z powodu masakry na Portella delia Ginestra partia chrześcijańskich demokratów nie może objąć amnestią ani Guiliana, ani jego bandy. Wybuchł zbyt wielki skandal; na nowo rozgorzałyby zarzuty, iż wszystko jest inspirowane pobudkami politycznymi. Prasa ruszyłaby do natarcia, a w całych Włoszech wybuchłyby gwałtowne strajki. Don Croce utrzymywał, że minister Trezza ma związane ręce, kardynał Palermo zaś nie może dłużej wspierać człowieka, który w jego mniemaniu dopuścił do masakry niewinnych kobiet i dzieci. Wszakże on sam, don Croce, nie przestanie zabiegać o amnestię. Tak czy owak, radził Guilianowi, dla jego dobra, emigrację do Brazylii lub Stanów Zjednoczonych, a kiedy Turi już się na to zdecyduje, on, don Croce, pomoże mu w każdy możliwy sposób.

Ludzie Guiliana nie posiadali się ze zdumienia, że tak obojętnie odniósł się do tej zdrady; zdawało się, że traktuje ją jako coś naturalnego. Wyprowadził bandę dalej w góry i rozkazał dowódcom, żeby rozbili swoje obozy nieopodal jego, tak aby w razie potrzeby mógł ich niezwłocznie wezwać. Mijały dni, zdawało się, iż Turi coraz bardziej pograża się w swoim własnym świecie, mijały tygodnie, a dowódcy wciąż niecierpliwie czekali na jego rozkazy.

Któregoś ranka Turi sam, bez ochrony, powędrował w góry. Wrócił o zmroku i stanął w świetle rozpalonych w obozie ognisk.

- Aspanu - rozkazał. - Wezwij wszystkich dowódców.

Książę Ollorto był posiadaczem setek tysięcy akrów, na których rosło wszystko, co od tysiąca lat czyniło Sycylię spichlerzem Włoch - cytryny i pomarańcze, drzewka oliwne, zapewniające niewyczerpane źródło oliwy, winogrona na wino, morze pomidorów, zielona papryka, wielkie szkarłatnej barwy oberżyny. Część ziemi wydzierzawiono chłopom za połowę zysków, lecz książę Ollorto, podobnie jak większość właścicieli ziemskich, zgarniał samą śmietankę - za korzystanie ze sprzętu, dostarczanie ziarna i zapewnienie środków transportu żądał zapłaty. Wieśniacy mogli mówić o szczęściu, jeśli zatrzymali dwadzieścia pięć procent zysku, który wypracowali w pocie czoła. I tak nieźle im się wiodło w porównaniu z tymi, którzy wynajmowali się na dniówki i godzili na głodową zapłatę.

Ziemia była urodzajna, niestety, spora część szlacheckich posiadłości leżała odłogiem, więc pola marnowały się. Już dawno, w 1860 roku, wielki Garibaldi obiecywał wieśniakom własny kawałek ziemi, a przecież teraz książę Ollorto wciąż posiadał sto tysięcy nie uprawianych akrów. Podobnie postępowali i inni właściciele ziemscy, traktując swe posiadłości jako rezerwę i sprzedając je po kawałku, by zaspokoić własne zachcianki.

W czasie ostatnich wyborów wszystkie partie, me wyłączając chrześcijańskich demokratów, przyrzekały wzmocnić i zaostrzyć prawa dotyczące podziału ziemi. Chodziło o to, iż nie uprawiana ziemia wielkich posiadaczy może za nominalną cenę przejść na własność rolników.

Jednakże wprowadzenie owego prawa w życie nieodmiennie udaremniaли ziemianie, najmując szefów mafii, by poskromili potencjalnych nabywców ziemi. Wystarczało, by szef mafii w dniu przetargu przejechał konno wzdłuż granic posiadłości, a żaden wieśniak nie ośmielił się występować z żądaniem kupna. Nieliczni, którzy się na to odważyli, nieodmiennie padali ofiarą zamachów, a wraz z nimi wszyscy mężczyźni z ich rodzin. Praktykę tę stosowano od stu lat i każdy Sycylijczyk znał reguły gry. Jeżeli posiadłość chronił szef mafii, nie można było domagać się wykupienia ziemi. W Rzymie wydano setki praw, ale nikt nie przykładał do nich wagi. Dobrze ujął to don Croce, zwracając się do ministra Trezzy w chwili szczerości:

- A co wasze paragrafy mają wspólnego z nami?

Tuż po wyborach nadszedł dzień, w którym me uprawiane ziemie księcia Ollorto miano wystawić na licytację. Rząd dla pozorów wyznaczył sto tysięcy akrów. Liderzy partii lewicowych namawiali ludzi, by stanęli do przetargu. Owego dnia prawie pięć tysięcy wieśniaków zgromadziło się przed bramą pałacu. Urzędnicy państwowi czekali na terenie posiadłości w wielkim namiocie, zastawionym stolikami i krzesłami, wyposażeni we wszystko, co jest konieczne do odbycia licytacji. Niektórzy z wieśniaków pochodzili z miasteczka Montelepre.

Książę Ollorto, idąc za radą dona Crocego, wynajął sześciu dowódców mafii jako swoich *gabelloti*. I owego promiennego ranka, w przydymionym słońcu Sycylii sześciu spływających potem mężczyzn jeździło konno wzdłuż murów, otaczających posiadłość księcia. Tłum wieśniaków, zgromadzony pod drzewkami oliwnymi, pamiętającymi jeszcze czasy przed Chrystusem, me spuszczało z nich oka, gdyż ci

ludzie słynęli na Sycylii ze swego okrucieństwa. Wieśniacy czekali, jakby spodziewając się cudu, zbyt przestraszeni, by podejść bliżej.

Lecz owego cudu nie należało spodziewać się po siłach porządkowych. Minister Trezza wysłał tajne polecenie *maresciallo*, aby znajdujący się pod jego dowództwem karabinierzy nie wychylali nosa z koszar. Tego dnia w całej prowincji Palermo nie uświadczylbyś ani jednego umundurowanego przedstawiciela Policji Narodowej.

Tłum pod murem posiadłości księcia Ollorto czekał. Sześciu szefów mafii jeździło tam i z powrotem z regularnością metronomu. Mieli obojętne twarze, broń schowaną w kaburach, lupary ukryte pod kurtkami, zatknięte za pas pistolety. Nie czynili żadnych groźnych gestów w stronę zgromadzonych ludzi - prawdę mówiąc, ignorowali ich. Po prostu przejeżdżali w milczeniu. Wieśniacy, jak gdyby w nadziei, że konie się zmęczą albo wywiozą gdzieś daleko tych uzbrojonych dragonów, otworzyli sakwy z jedzeniem i odkorkowali butelki z winem. Przeważali mężczyźni, kobiet było zaledwie kilka, wśród nich Justina z matką i ojcem. Przybyli, aby okazać pogardę mordercom Silvia Ferry. A jednak żadne z nich nie ośmieliło się przeciąć drogi wytyczonej przez niespiesznie jadące konie, domagać się ziemi, która prawnie im się należała.

Powstrzymywał ich nie tylko strach; jeźdźcy należeli do ludzi „godnych szacunku”, którzy w rzeczywistości ustanawiali prawa w swoich miasteczkach. Przyjaciele przyjaciół stworzyli własny rząd cieni, funkcjonujący o wiele skuteczniej niż ten z Rzymu. Jeśli trafił się złodziej lub koniokrad, uprowadzający bydło lub owce wieśniaka, a poszkodowany zameldował o stracie karabinierom, nigdy nie odzyskał swojego dobra. Lecz kiedy zwrócił się do szefów mafii i zapłacił dwadzieścia procent ceny zwierzęcia, utracone bydło odnajdywano, a właściciel zyskiwał gwarancję, że rabunek się więcej nie powtórzy. Kiedy jakiś w gorącej wodzie kąpany gbur zamordował niewinnego robotnika nad szklanką wina, władzom rzadko udawało się go skazać - z braku dowodów i z powodu działania prawa omerty. Gdy jednak rodzina ofiary udała się do któregoś z tych szanowanych mężczyzn, sprawiedliwości i zemście stawało się zadość.

Niepoprawni drobni złodziejaskowie, operujący w sąsiedztwie, tracili życie, honorowo łagodzone waśnie, kłótnie o miedzę rozwiązywano bez pomocy kosztownych prawników. Tych sześciu mężczyzn było sędziami, od ich wyroku nie

istniało odwołanie, nie można też było go lekceważyć, wyznaczali surowe kary i nie dało się ich ominąć, chyba że emigrując. Ta szóstka sprawowała nad Sycylią taką władzę, o jakiej premier Włoch nie mógł nawet marzyć. Dlatego też tłum trzymał się z dala od murów otaczających posiadłość księcia Ollorto.

Sześciu szefów mafii nie jeździło siodło w siodło; oznaczałoby to słabość. Jechali oddzielnie, niczym niezależni królowie, a każdy z nich roztaczał wokół siebie własną aurę strachu. Najbardziej bano się dosiadającego jabłkowitego siwka dona Siana z miasteczka Bisacquino. Mężczyzna ten przekroczył już sześćdziesiątkę, miał ziemistą cerę, pocętkowaną niczym zad jego konia. Do legendy przeszedł w wieku lat dwudziestu sześciu, kiedy to zgładził poprzedniego szefa mafii, człowiek ów bowiem zamordował ojca dona Siana, gdy chłopak miał dwanaście lat. Siano doczekał czternastej wiosny życia i wtedy dokonał zemsty. Pewnego dnia skoczył z drzewa na swoją ofiarę i jej konia, chwycił mężczyznę od tyłu żelaznym uściskiem i skierował wierzchowca na główną ulicę miasteczka. Kiedy jechali tak przed oczyma gapiów, Siano rznął kawałek po kawałku ciało wroga, odciął mu nos, uszy, genitalia, a potem, trzymając zakrwawiony ludzki strzęp w ramionach, defilował na koniu przed domem ofiary. Później równie krwawą i żelazną ręką rządził swoją prowincją.

Drugim szefem mafii, dosiadającym karego konia, z zatkniętymi za uszy czerwonymi piórami, był don Arzana z osady Piani dei Greci, spokojny, rozważny człowiek, który wierzył, iż w każdym sporze są dwie racje, i odmówił zabicia Silvia Ferry dla celów politycznych, a przecież wiele lat temu przewidział, jaki los spotka tego człowieka. Zmartwiło go zabójstwo Ferry, wszakże nie interweniował, gdyż don Croce i inni szefowie mafii upierali się, że nadszedł czas, by zmieść go z powierzchni ziemi. Don Arzana swoje rządy sprawował miłosiernie i łagodnie, toteż jego najbardziej lubiano spośród sześciu tyranów. Teraz jednak, kiedy jechał konno z nieprzeniknioną miną przed zbitym tłumem, wolny był od wszelkich wewnętrznych wątpliwości.

Trzecim jeźdźcem był don Piddu z Caltanissetta, uzdę konia zdobiły girlandy kwiatów. Słynął z chciwości na pochlebstwa i z próżności, zazdrośnie strzeżonej władzy i morderczych zapędów wobec aspiracji młodych ludzi. Kiedyś, podczas wiejskiego odpustu, miejscowy dandys zauroczył podczas tańca wszystkie kobiety, gdyż u kostek miał przymocowane dzwonki, ubrany był w uszyte w Palermo koszulę i spodnie z zielonego jedwabiu, śpiewał, wtórując sobie na gitarze rodem z Madrytu.

Dona Piddu rozgniewało przypochlebianie się tego przaśnego Rudolfa Valentino, wściekł się, że niewiasty nie podziwiają prawdziwego mężczyzny, jakim on jest, a lgną do zawodzącego, zniewieściałego młokosa, który po tym fatalnym dniu już przestał tańczyć, ponieważ znaleziono go na drodze prowadzącej do jego farmy, z ciałem podziurawionym kulami.

Czwarty szef mafii to don Marcuzzi z miasteczka Villamura, słynny z ascetycznego trybu życia. Naśladując zwyczaj starych rodzin szlacheckich, wznosił w swoim domu kaplicę. Poza tym Marcuzzi żył bardzo skromnie i naprawdę nie opływał w dostatki, gdyż nie chciał ciągnąć zysków ze swojej władzy. Jednakże niezwykle się mą upajał; niezmordowanie służył pomocą braciom Sycylijczykom, ale także szczerze wierzył w stare obyczaje przyjaciół przyjaciół. Sławę zyskał, zgładziwszy ulubionego siostrzeńca za popełnienie infamy, złamanie uświęconej omerty, przekazanie policji informacji o rywalizującym z nim odłamie mafii.

Czwartym jeźdźcem był don Buccilla z Partinico, który dawno temu odwiedził Hectora Adonisa, by wstawić się za siostrzeńcem, a było to owego brzemiennego w skutki dnia, w którym Turi Guiliano stał się wygnańcem. Teraz, pięć lat później, ważył o czterdzieści funtów więcej. Wciąż nosił to samo operetkowe ubranie wieśniaka, chociaż w ciągu owych pięciu lat zgromadził pokaźny majątek. Zasłynął z okrucieństwa, nie zatracił jednak honoru i zabijał złodziei z takim samym przekonaniem, że postępuje słusznie, jak osiemnastowieczne angielskie sądy skazywały na karę śmierci nieletnich kieszonkowców.

Szóstym jeźdźcem był Guido Quintana, który, choć pochodził z Montelepre, zyskał sobie sławę sięgając po władzę w krwawym miasteczku Corleone. Został do tego zmuszony, gdyż Montelepre znalazło się pod bezpośrednią ochroną Guiliana. Właśnie w Corleone Guido Quintana znalazł to, za czym tęskniło jego serce mordercy. Podporządkował sobie cztery rodzinne lenna, eliminując po prostu przeciwników. Zamordował Silvia Ferrę i resztę związkowych agitatorów. Prawdopodobnie on jeden ze wszystkich szefów mafii zasłużył sobie na więcej nienawiści niż szacunku.

Właśnie tych sześciu ludzi, którzy dzięki swojej reputacji, szacunkowi, jakim się cieszyli, i strachowi, jaki potrafili wzbudzić, chroniło przed biednymi sycylijskimi wieśniakami ziemie księcia Ollorto.

Dwa dżipy, pełne uzbrojonych mężczyzn, pędziły drogą Montelepre-Palermo. Następnie skręciły w podjazd wiodący do murów posiadłości. Wszyscy, prócz dwóch

mężczyzn, włożyli wełniane kominiarki z otworami na oczy. Dwoma nie zamaskowanymi ludźmi byli Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta. W maskach - kapral Canio Silvestro, Passatempo i Terranova. Andolini, także w kominiarce, pilnował drogi z Palermo. Kiedy dżipy zbliżyły się na pięćdziesiąt jardów do jeźdźców mafii, z tłumu wieśniaków wynurzyli się kolejni ludzie. Również zamaskowani. To oni urządzili sobie piknik w cieniu drzew oliwnych. Kiedy pojawiły się dwa dżipy, otworzyli koszyki z jedzeniem i wyciągnęli z nich maski i broń. Potem rozstawili się w półkole i otoczywszy jeźdźców, wycelowali w nich karabiny. Mówiono, że było ich pięćdziesięciu. Turi Guiliano zeskoczył ze swojego dżipa i sprawdził, czy wszyscy zajęli powierzone im pozycje. Patrzył, jak sześciu ludzi na koniach jeździ tam i z powrotem. Wiedział, że go zobaczyli, i zdawał sobie sprawę, że rozpoznali go także zgromadzeni ludzie. Zamglone sycylijskie popołudniowe słońce oblewało zieloną ziemię czerwonym blaskiem. Guiliano zastanawiał się, dlaczego ci dzielni wieśniacy korzą się przed sześcioma mężczyznami, którzy odejmują chleb od ust ich dzieci.

Aspanu Pisciotta czekał za jego plecami, niczym gotowa do ataku jadowita żmija. Tylko on odmówił włożenia maski; wszyscy inni obawiali się zemsty ze strony sześciu szefów mafii i przyjaciół przyjaciół. Teraz na Guilianie i Pisciotcie skupi się siła wendety.

Obaj mieli złote sprzączki z wygrawerowanymi lwami i orłami. Guiliano uzbroił się jedynie w wielki pistolet, zatknięty za pas. Miał także pierścień ze szmaragdem, który wiele lat temu zabrał księżnej. Pisciotta trzymał pod pachą pistolet maszynowy. Jego twarz była blada z powodu choroby i podniecenia; niecierpliwił się, że Turi tak zwleka. Ale Guiliano bacznie obserwował całą scenę, chciał się upewnić, czy dokładnie wykonano jego rozkazy. Ludzie Turiego uformowali półkole, aby zapobiec spodziewanej ucieczce szefów mafii. Gdyby usiłovali zbiec, straciliby „szacunek” i wiele wpływów. Wieśniacy przestaliby się ich bać. Teraz jednak Guiliano ujrzał, że don Siano zawrócił swojego siwka spod muru. Reszta szefów poszła za jego przykładem.

Księżę Ollorto oglądał całą tę scenę z jednej z wież przez teleskop, przez który zwykł obserwować gwiazdy. Dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach, widział twarz Turiego Guiliana - jego migdałowe oczy, czyste rysy, wydatne, teraz zaciśnięte usta; księżę zdawał sobie sprawę, że twarz Turiego ucieleśnia cnotę; wielka szkoda, że cnota nie była bardziej miłosierna. Wprawdzie nieskalana, okazywała się straszliwa, z czego

książę doskonale zdawał sobie sprawę. Wstydził się roli, jaką miał odegrać. Doskonale znał swych braci Sycylińczyków, a teraz miał wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co się stanie. Tych sześciu potężnych mężczyzn, których wynajął za pieniądze, będzie za niego walczyć, nie zhańbi się ucieczką. Mieli za zadanie spacyfikować tłoczący się nieopodal muru tłum. Lecz teraz stanął między nimi, niczym anioł zemsty, Guiliano. Książę miał wrażenie, że słońce nagle pociemniało.

Guiliano ruszył dumnie ścieżką ku sześciu jeźdźcom. Potężni, siedzieli nieustraszenie na końskich grzbietach, zmusili tylko wierzchowce, by zwolniły. Od czasu do czasu zatrzymywali zwierzęta, by poskubały liście dębów, zwieszające się ponad białym kamiennym murem. Dlatego też konie bezustannie się wypróżniały, zostawiając po sobie obraźliwą ścieżkę nawozu; potem znów niespiesznie ruszały naprzód.

Turi Guiliano ustawił się blisko owej ścieżki, Pisciotta stanął krok za nim. Sześciu jeźdźców nie zwróciło na to uwagi, nie przystanęło. Szefowie mafii nie zmienili wyrazu twarzy. Chociaż wszyscy mieli przewieszane przez ramię lupary, nie uczynili najmniejszego gestu, by zrobić z nich użytek. Guiliano czekał. Zwrócił się cicho do Pisciotty:

- Zdejmij ich z koni i przyprowadź do mnie.

Potem przekroczył ścieżkę i oparł się o biały kamienny mur, otaczający posiadłość.

Stojąc tam, zdał sobie sprawę, że przekroczył zgubną linię, że to, co teraz robi, zadecyduje o jego losie. Nie wahał się jednak, nie niepokoił, przepełniał go jedynie lodowaty gniew wobec świata. Wiedział, że za tymi sześcioma jeźdźcami kryje się potężna władza dona Crocego i że jego prawdziwym wrogiem jest właśnie on. Czuł także wściekłość na zgromadzonych tu tłumnie ludzi, którym przybył na pomoc. Dlaczego zachowywali się tak potulnie, tak bojaźliwie? Gdyby tylko mógł ich uzbroić i stanąć na ich czele, wykuli by nową Sycylię. Lecz już po chwili zaczął współczuć tym nędznie odzianym, prawie przymierającym głodem wieśniakom, uniósł więc rękę, by ich pozdrowić i dodać im ducha. Tłum nadal milczał. Turi wspomniał przelotnie Silvia Ferrę - ten potrafiłby pobudzić ich do czynu.

Teraz dowództwo przejął Pisciotta. Miał na sobie beżowy sweter z owczej wełny, który zdobił wzór: dwa gotujące się do walki smoki. Szczupła, śniada twarz Aspa- nu,

wąska niczym ostrze noża, rysowała się wyraźnie w promieniach krwistego sycylijskiego słońca. Pisciotta odwrócił błyskawicznie głowę w kierunku sześciu posągów na koniach i przez długie minuty mierzył ich wieszczącym śmierć wzrokiem zmii. Wierzchowiec dona Siana wypróżnił się na ścieżkę, którą przejeżdżało sześciu mafioso.

Pisciotta odstąpił krok w tył. Skinął głową na Ter- ranovę, Passatempa i Silvestra. Ci pobiegli w stronę pięćdziesięciu zamaskowanych ludzi, tworzących blokujący luk. Tamci ruszyli do przodu, by zamknąć otwartą drogę ucieczki. Szefowie mafii dumnie kontynuowali jazdę, jak gdyby nic nie zauważyli, choć, rzecz jasna, widzieli i zrozumieli wszystko. Jednakże to oni wygrali pierwszą rundę walki. Teraz do Guiliana należała decyzja, czy podjąć ostateczny i najniebezpieczniejszy krok.

Pisciotta zastąpił drogę donowi Sianowi i władczo podniósł ramię ku szarej twarzy, która budziła strach. Lecz don Siano nie zatrzymał się. Kiedy koń się spłoszył, jeździec mocno szarpnął uzdę, i minęli Pisciottę, który nie cofnął się i z okrutnym uśmiechem skłonił się przejeżdżającemu. Potem ruszył za koniem i jeźdźcem, wycelował z pistoletu maszynowego w zad siwka i pociągnął za spust.

W pachnące kwieciami powietrze wyprysnęły wnętrzości i tysięczne, złociste bryzgi gnoju. Uderzenie kul powaliło konia na kolana, padł na ziemię. Ciało dona Siana znalazło się pod martwym wierzchowcem, uwolniło jeźdźca dopiero czterech ludzi Guiliana i zmusiło go do założenia rąk na kark. Koń jeszcze żył. Pisciotta podszedł do zwierzęcia i miłośernie wypuścił serię w jego łeb.

Z tłumu dobiegł stłumiony jęk przerażenia i okrzyki triumfu. Guiliano, nie wyjmując pistoletu z kabury, wciąż opierał się o mur. Stał z założonymi rękami, jak gdyby zastanawiał się, co teraz uczyni Pisciotta.

Pozostałych pięciu szefów mafii dalej niewzruszenie kontynuowało objazd. Ich konie wierzgnęły, słysząc huk wystrzałów, lecz jeźdźcy błyskawicznie je okiełznali. Jechali tak wolno, jak przedtem. Pisciotta znowu zastąpił im drogę. Pierwszy jeździec, don Buccilla, przystanął. Pozostali również ściągnęli wierzchowce, by się zatrzymały.

Pisciotta zawołał:

- Waszym rodzinom w najbliższych dniach przydadzą się konie. Obiecuję, że im je dostarczę. A teraz zsiądźcie z siodła i okażcie szacunek Guilianowi. - Mówił głośno, by jego słowa dotarły do uszu tłumu.

Zapadła długa chwila ciszy, a potem pięciu mafiosów zsiadło z koni. Stali, mierząc wieśniaków dumnym wzrokiem, w ich oczach widać było okrucieństwo i zuchwałość. Otaczający łukiem mafiosów ludzie Guiliana rozproszyli się; dwudziestu podeszło bliżej, z bronią gotową do strzału. Starannie i sprawnie założyli ramiona całej piątki za karki. Potem wszystkich sześciu szefów poprowadzili do Guiliana.

Turi przyglądał się im z beznamiętną miną. Quintana już raz go upokorzył, próbował nawet zamordować, ale teraz sytuacja się odwróciła. Twarz Quintany nie zmieniła się w ciągu ostatnich pięciu lat - wciąż była tak samo drapieżna - jednak w tej chwili mężczyzna miał przytępiony i błędny wzrok, choć na jego twarzy widniał upór godny prawdziwego mafiosa.

Don Siano spoglądał na Guiliana z pogardą na ziemistej twarzy. Buccilla wydawał się trochę oszołomiony, jak gdyby zaskoczyło go, że wpadł w takie tarapaty w związku ze sprawą, która właściwie wcale go nie dotyczyła. Pozostali mierzyli Turiego zimnym spojrzeniem ludzi, którzy doskonale wiedzą, iż należy im się szacunek. Guiliano orientował się, jaka sława ich otacza. Kiedy był dzieckiem, bał się ich wszystkich, a zwłaszcza dona Siana. Teraz poniżył ich na oczach całej Sycylii, a oni nigdy mu tego nie wybaczą. Na wieki zostaną jego śmiertelnymi wrogami. Wiedział, co powinien zrobić, ale także zdawał sobie sprawę, że to ukochani mężowie i ojcowie, że dzieci będą po nich płakać. Dumnie spoglądali mu prosto w oczy, żaden z nich nie okazywał strachu. Ich przesłanie było jasne. Niech Guiliano uczyni to, co musi, jeśli ma na tyle odwagi. Don Siano splunął mu pod nogi.

Guiliano zmierzył ich wzrokiem, każdego z osobna.

- Uklękajcie i pojednajcie się z Bogiem - powiedział.

Żaden z nich nawet nie drgnął.

Guiliano odwrócił się i odszedł. Sześciu szefów mafii stało opartych o biały kamienny mur. Turi dotarł do swoich ludzi, wtedy się odwrócił. Przemówił niskim, wyraźnym głosem, tak aby dotarł on do tłumu:

- W imieniu Boga i Sycylii dokonam na was egzekucji. - Następnie dotknął ramienia Pisciotty.

W tej sekundzie don Marcuzzi jął osuwać się na kolana, lecz Pisciotta już otworzył ogień. Passatempo, Terranova i kapral, wciąż w maskach, także zaczęli strzelać. Pod gradem kul sześć ciał uderzyło o mur. Białe, wyszczerbione kamienie zbryzgała

purpurowa krew i strzępy rozrywanych ciał. Wyglądały jak marionetki, podzucane co chwila w powietrze nieustanną palbą.

Wysoko, w pałacowej wieży, książę Ollorto odwrócił wzrok od teleskopu, nie ujrzał więc tego, co zdarzyło się później.

Guiliano wystąpił na przód i podszedł do muru. Wyciągnął zza pasa potężny pistolet i niespiesznie, ceremonialnie strzelił w głowę każdego z szefów mafii.

Ochrypły krzyk podniósł się pośród przypatrującej się tłuszczy. Nie trwało sekundy, jak tysiące ludzi ławą sforsowały bramy posiadłości księcia Ollorto. Guiliano patrzył za nimi. Nikt z tłumu do niego nie podszedł.

Rozdział piąty

Wielkanocny poranek 1949 roku był cudowny. Całą wyspę spowijał kwietny dywan, z balkonów w Palermo zwieszały się kaskady kwiatów o oszalamiających kolorach; w szczelinach chodników, a nawet na murach starych kościołów kwitły czerwono-niebiesko-białe rośliny. Na ulicach tłoczyli się przechodnie spieszący na sumę, odprawianą o dziewiątej w największej katedrze, gdzie kardynał osobiście miał udzielać komunii. Na mszę przybyli chłopcy z okolicznych wiosek, w czarnych, odświętnych garniturach z żonami i dziećmi. Pozdrawiali wszystkich tradycyjnym, wielkanocnym powitaniem wieśniaków: „Chrystus zmartwychwstał”. Turi Guiliano odpowiadał równie tradycyjnym: „Błogosławione niech będzie Jego imię”.

Guiliano wraz ze swoimi ludźmi przemknął się do Palermo ubiegłej nocy. Ubrani byli w skromne, czarne szaty wieśniaków, marynarki jednak mieli luźne i powypychane, gdyż kryły się pod nimi pistolety maszynowe. Guiliano świetnie się orientował w uliczkach Palermo; w ciągu sześciu lat wygnania często zakradał się do miasta, by porwać jakiegoś majątnego szlachcica lub zjeść obiad w słynnej restauracji i zostawić pod talerzem jeden ze słynnych, rzucających światu wyzwanie listów.

Podczas owych wizyt Guiliano nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Przemierzał ulice, nieodmiennie mając u boku kaprała Silvestra. Dwadzieścia kroków za nim maszerowało dwóch innych bandytów, następnych czterech kroczyło po przeciwnej stronie ulicy, kolejna dwójka dwadzieścia kroków za nimi. Dwaj jeszcze dalej z tyłu. Gdyby Guiliana zatrzymali karabinierzy, żądając okazania dokumentów, staliby się łatwym łupem dla bandytów, którzy gotowi byli zastrzelić ich bez miłosierdzia. Kiedy Turi wchodził do restauracji, przy stolikach siedzieli tłumnie jego ochroniarze.

Tego ranka Guiliano przyprowadził do miasta pięćdziesięciu ludzi. Między innymi Aspanu Pisciotte, kaprała i Terranowę; Passatempo i Stefan Andolini zostali w górach. Gdy Guiliano z Pisciottą wkroczyli do katedry wraz z czterdziestoma towarzyszami, pozostała dziesiątka z kapralem i Terranową czekała w gotowych do ucieczki samochodach na tyłach świątyni.

Mszę odprawiał kardynał. W biało-złotym ornacie, z wielkim krucyfiksem na szyi, roztaczał wokół siebie aurę nietykalnej świętości. W katedrze było mnóstwo wielkich posągów Jezusa i Dziewicy Maryi. Guiliano zanurzył palce w kropielnicy przyozdobionej reliefami wyobrażającymi Mękę Pańską. Klękawszy, ujrzał przepastną kopułę sklepienia i skupiska różowych świec wotywnych wzdłuż ścian przed figurkami świętych.

Ludzie Guiliana rozproszyli się, pozostając jednak blisko ołtarza. W ławkach tłoczył się tłum wiernych, wieśniacy w czerni, mieszczenie w barwnych, odświętnych strojach. Turi stanął pod słynną figurą Panienki i Apostołów; na ułamek sekundy zauroczyło go piękno rzeźby.

Śpiew księży i ministrantów, wymrukiwane odpowiedzi tłumowi wiernych, aromat egzotycznych, subtropikalnych kwiatów na ołtarzu, żarliwość suplikantów - wszystko to wywarło na Guilianie wrażenie. Ostatni raz w mszy świętej uczestniczył pięć lat temu, nim zdradził go Frisella. Tego wielkanocnego poranka miał uczucie zagubienia i lęku. Ileż to razy powtarzał swoim skazanym na stracenie wrogom: „Dokonam na was egzekucji w imieniu Boga i Sycylii”, i czekał, aż wyszepczą słowa modlitwy, którą teraz słyszał. Na chwilę zapragnął, by powstali z grobów, tak jak powstał z martwych Chrystus; chciał wyprowadzić ich z wiecznej ciemności, do której sam ich zapędził. Ale przecież teraz, w ten wielkanocny poranek, może pośle samego kardynała Palermo, by do nich dołączył. Kardynał złamał dane słowo, skłamał i zdradził go. Stał się jego wrogiem. Nie ma znaczenia, że tak pięknie śpiewa w tej przestronnej katedrze. Czy będzie impertynencją, jeśli on, Turi poradzi kardynałowi, aby pojednał się z Bogiem? Przecież kardynał powinien zawsze być w stanie uświęconej łaski. Czy okaże na tyle pokory, by przyznać się do zdrady?

Msza dobiegała końca; wierni podchodzili do balasków ołtarza i przyjmowali komunię. Niektórzy z ludzi Guiliana uklękli pod ścianami, oni także otrzymali hostię. Dzień wcześniej wyspiewadali się przed opatem Manfredim w jego klasztorze i mieli czyste sumienie, gdyż nie musieli przyznawać się do zbrodni, którą mieli popełnić dopiero po tej mszy.

Tłum wiernych, świętujących zmartwychwstanie Chrystusa, uradowany, że oczyścił się z popełnionych grzechów, opuścił katedrę i kierując się w stronę alei, wypełnił plac przed świątynią. Kardynał wszedł za ołtarz, a akolita nałożył mu na czoło stożkowatą infułę arcybiskupa. Mając takie nakrycie głowy, kardynał wydawał

się o stopę wyższy, haftowane złotem inskrypcje lśniły nad twarzą o prostackich, sycylijskich rysach. Malowała się na niej raczej siła niż świątobliwość. W towarzystwie grupki księży kardynał rozpoczął tradycyjne modlitwy w każdej z czterech kaplic świątyni.

W pierwszej znajdował się sarkofag króla Rogera I, w drugiej cesarza Fryderyka II, w trzeciej grobowiec Henryka IV, w ostatniej spoczywały prochy Konstancji, żony Fryderyka II. Grobowce wyrzeźbiono w białym marmurze, inkrustowanym przepysznyimi mozaikami. W katedrze była jeszcze jedna odosobniona kaplica, a w niej srebrny relikwiarz i ważąca tysiąc funtów statua świętej Rozalii, patronki Palermo. Tego dnia mieszkańcy miasta zwykli nieść w procesji relikwiarz ulicami. Złożono w nim szczątki wszystkich arcybiskupów Palermo, toteż pewnego dnia, po śmierci, miał spocząć tam i kardynał. Przy nim się najpierw zatrzymał, a kiedy uklęknął do modlitwy, jego i jego świtę otoczył Guiliano wraz ze swoimi ludźmi. Jeden z bandytów zamknął wszystkie wyjścia z kaplicy, żeby udaremnić jakiegokolwiek próby alarmu.

Kardynał podniósł się, by stawić czoło napastnikom, lecz naraz dostrzegł Pisciotte. Pamiętał tę twarz, ale nie taką, jak w tej chwili. Teraz było to oblicze diabła przychodzącego po jego duszę, po ciało, które miało smażyć się w ogniu piekielnym.

- Eminencjo - odezwał się Guiliano - jesteście moim więźniem. Jeżeli postąpiacie tak, jak powiem, nie stanie się wam żadna krzywda. Spędzicie Wielkanoc w górach jako mój gość. Obiecuję, że będziecie jadać równie wykwintnie jak w swoim pałacu.

- Ośmieliłeś się wprowadzić tych uzbrojonych mężczyzn do świątyni Pana?! - zawołał gniewnie kardynał.

Guiliano parsknął śmiechem; wszelkie jego obawy znikły wobec rozkoszy czekającego go czynu.

- Odważę się nawet na coś więcej - powiedział. - Odważę się ukarać was za złamanie waszego świętego słowa. Przyrzekliście ułaskawienie dla mnie i dla moich ludzi i nie dotrzy maliście obietnicy. Zatem teraz wy i Kościół za to zapłacicie.

Kardynał pokręcił głową.

- Nie ruszę się z tego świętego miejsca - oznajmił. - Zabij mnie, jeśli masz odwagę, a będziesz pohańbiony w oczach całego świata.

- Ten zaszczyt już mnie spotkał - odparł Guiliano. - I jeśli nie usłuchacie moich rozkazów, będę zmuszony użyć siły. Wpierw zarżnę tutaj wszystkich waszych księży, a potem zwiążę was i zaknebluję. Jeśli jednak pójdziecie ze mną bez oporu, nikomu nie stanie się krzywda, a po tygodniu wrócicie do swojej katedry.

Kardynał przeżegnał się i ruszył w kierunku drzwi kaplicy, które wskazał mu Guiliano. Prowadziły one na zaplecze katedry, gdzie czekali już pozostali członkowie bandy Turiego, którzy zawczasu przechwycili limuzynę kardynała wraz z szoferem. Był to ogromny czarny wóz, przyozdobiony bukietami wielkanocnego kwiecia i kościelnymi chorągiewkami po obu stronach chłodnicy. Ludzie Guiliana zapędzili też do aut dostojników. Guiliano poprowadził kardynała do jego limuzyny i usiadł obok niego. Z tyłu samochodu zajęło miejsca dwóch jego ludzi, Aspanu Pisciotta natomiast usiadł z przodu, obok kierowcy. Następnie orszak samochodów ruszył przez miasto, mijając salutujących karabinierów. Na polecenie Guiliana kardynał błogosławił policjantów. Na opustoszałym odcinku drogi zmuszono duchownego, by wysiadł z limuzyny. Czekali tam już inni ludzie z bandy Turiego z pojemnikiem na śmieci, w którym miano przewieźć kardynała. Zostawiwszy za sobą pojazdy i szoferów, rozplłynęli się w morzu kwiatów i w górach.

Guiliano nie rzucił słów na wiatr; głęboko w czeluściach jaskini w górach Cammarata na kardynała czekał wytworny posiłek, jakiego nie powstydzono by się w pałacu. Przejęci bandyci, pełni szacunku dla duchownego, podając kolejne dania, prosili o błogosławieństwo.

We włoskiej prasie zawrzało, Sycylijczykami natomiast owładnęły dwa uczucia: grozy z powodu popełnionego świętokradztwa i diabelskiej uciechy, iż wystrychnięto karabinierów na dudka. Nade wszystko zaś mieszkańcy wyspy czuli się ogromnie dumni z wyczynu Guiliana: oto Sycylijczyk pokonał Rzym; teraz nikt nie wątpił, że Turi stał się człowiekiem „godnym szacunku”.

Zastanawiano się, czego Guiliano zażąda za uwolnienie kardynała. Odpowiedź była prosta: wielkiego okupu.

Święty Kościół, który przede wszystkim miał chronić duszyczki, nie poniżył się do sięgnięcia do kieszeni skąpych szlachciców i kupców. Natychmiast wypłacono okup w wysokości miliona lirów. Guilianem jednak kierował jeszcze jeden motyw.

- Jestem prostym chłopem - zwrócił się do kardynała. - Nie wiem, jakie są wyroki niebios. Ale nigdy nie złamałem danego słowa. A wy, eminencjo, kardynał Kościoła katolickiego, mimo całej waszej świątobliwej otoczki i krucyfiksów, okłamaliście mnie niczym przeklęty Maur. Wasza uświęcona pozycja nie ocali wam życia.

Kardynał poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Guiliano ciągnął dalej:

- Możecie jednak mówić o szczęściu. Mam co do was inne plany. - Potem nakłonił kardynała, by przeczytał jego *Testament*.

Kardynał, usłyszawszy, iż ujdzie z życiem, a wyuczony, by spodziewać się kary boskiej, bardziej zainteresował się dokumentem niż wymówkami Turiego. Kiedy zobaczył list, który sam napisał na prośbę Pisciotty, przeżegnał się ze świętym oburzeniem.

- Drogi kardynale - powiedział Guiliano. - Przekażcie wiadomość o istnieniu tego dokumentu Kościołowi i ministrowi Trezzie. Otrzymaliście dowód, że jestem zdolny obalić rząd chrześcijańskich demokratów. Moja śmierć obróci się na waszą niekorzyść. *Testament* znajdzie się w bezpiecznym miejscu, do którego nie potraficie dotrzeć. Gdyby zrodziły się jakiegokolwiek wątpliwości, zapytajcie don Croce, jak umiem sobie radzić z wrogami.

Tydzień po porwaniu kardynała, La Venera opuściła Guiliana.

Przez trzy lata podziemnym tunelem zakradał się do jej domu. W jej łóżu, odprężony przy krągłym ciele kobiety, czuł ciepło i bezpieczeństwo. Nigdy się nie skarżyła, nigdy nie domagała się niczego więcej, prócz zaspokojenia jego rozkoszy.

Lecz tej nocy była inna. Kiedy już odpoczywali po miłości, powiadomiła Turiego, że wyjeżdża do mieszkających we Florencji krewnych.

- Mam słabe serce - mówiła. - Nie potrafię znieść grożącego twojemu życiu niebezpieczeństwa. Śni mi się, że zastrzelą cię na moich oczach. Karabinierzy zabili mojego męża, jakby był jakimś bydlęciem, tuż przed domem. Strzelali, póki jego ciało nie zamieniło się w krwawe strzępy. W snach widzę, że to samo przydarzy się tobie. - Przycisnęła głowę Turiego do swoich piersi. - Posłuchaj - poprosiła. - Posłuchaj bicia mojego serca.

Słuchał. I współczuł, i kochał te niemiarowe uderzenia. Naga skóra nad jej ciężkimi piersiami była słona od potu, wywołanego obezwładniającym strachem. Kobieta płakała, a on gładził jej gęste, czarne włosy.

- Nigdy dotąd się nie bałaś - powiedział. - Przecież nic się nie zmieniło.

La Venera gwałtownie pokręciła głową.

- Turi, stałeś się bezwzględny. Narobiłeś sobie wrogów, potężnych wrogów. Twoi przyjaciele boją się ciebie. Matka blednie na każde pukanie do drzwi. Nie możesz wiecznie uciekać.

- Ależ ja się wcale nie zmieniłem - zaprotestował Guiliano.

La Venera zaczęła znowu płakać.

- Och, Turi, oczywiście, że się zmieniłeś. Teraz zabijasz bez wahania. Nie twierdzę, że jesteś okrutny; po prostu masz za nic śmierć.

Guiliano westchnął. Widział, jaka jest przerażona, a to nappełniło go jakimś niepojętym smutkiem.

- Więc musisz wyjechać. Dam ci dość pieniędzy, byś mogła prowadzić we Florencji wygodne życie. Któregoś dnia to wszystko się skończy. Nadejdzie kres zabijania. Mam swoje plany. Nie zostanę bandytą na wieki. Moja matka będzie spokojnie spała w nocy i znów wszyscy zaczniemy wspólne życie.

Widział jednak, że mu nie uwierzyła.

Rankiem, nim się rozstali, kochali się znowu, namiętnie, ciała objęte połączyły się w szalonym porywie, gdyż miał to być ich ostatni raz.

Rozdział szósty

Turi Guiliano ostatecznie osiągnął to, co nie powiodło się innym mężom stanu i politykom. Zjednoczył wszystkie włoskie partie w dążeniu do jednego celu: mianowicie do zniszczenia Guiliana i jego bandy.

W lipcu 1949 roku minister Trezza przekazał prasie informację, że utworzono specjalną formację karabinierów w liczbie pięciu tysięcy ludzi, zwaną Brygadą Specjalną do Walki z Bandytyzmem. Nie wspomniał jednak słowem o Guilianie. Gazety szybko wychwyciły tę wstydliwą skromność rządu, który nie chciał, aby to właśnie Turiego uznano za główny cel walki z bandytyzmem. Złośliwie przykłaśnięto całemu przedsięwzięciu i pogratulowano chadecji tak energicznego kroku.

Prasa podkreślała również genialne posunięcia ministra Trezzy, związane z organizacją specjalnej pięcioletniej armii. Miano do niej powołać kawalerów, którzy nie pozostawiliby po sobie wdów, ich rodziny nie stałyby się obiektem pogroźek. Powstały oddziały komandosów, spadochroniarzy, przydzielono brygadzie wozy pancerne, ciężką broń, a nawet samoloty bojowe. Jakże mizerny bandyta zdołałby się oprzeć owej potężnej sile? Dowództwo objął pułkownik Ugo Luca, jeden z wielkich włoskich bohaterów z czasów drugiej wojny światowej, który walczył u boku legendarnego niemieckiego generała Rommla. „Włoski Lis Pustyni”, jak go ochrzciły gazety, wyćwiczony w wojnie podjazdowej, swoją taktyką i strategią zapędzi w kozi róg ciemnego sycylijskiego chłopka, Turiego Guiliana.

Prasa odnotowała również dla porządku powołanie Frederica Velardiego na szefa sycylijskiej policji bezpieczeństwa. Niewiele wiedziano o inspektorze Velardim, prócz tego, że sam minister Terazza wybrał go na asystenta pułkownika Luki.

Miesiąc wcześniej doszło do brzemiennego w skutki spotkania między don Croce, ministrem Trezzą i kardynałem Palermo. Kardynał przekazał pozostałym informację o Testamencie Guiliana wraz z jego przekłętą dokumentacją.

Minister przeraził się nie na żarty. *Testament* należało bezwzględnie zniszczyć, nim armia wypełni powierzoną sobie misję. Trezza chciał odwołać rozkazy wydane Brygadzie Specjalnej, którą akurat formowano, lecz jego rząd znajdował się pod

zmasowanym ostrzałem partii lewicowych, twierdzących, że Guiliano znalazł się pod jego ochroną.

Jeśli chodzi o don Croce, *Testament* istotnie komplikował sprawę, ale nie wpłynął na zmianę jego planów. Don Croce już postanowił zgładzić Guiliana: zamordowanie sześciu szefów mafii nie pozostawiało żadnej alternatywy. Wszakże Guiliano nie mógł umrzeć z rąk przyjaciół przyjaciół lub jego samego, dona. Okazał się zbyt sławny; zabicie go mogłoby się okazać tak wielką zbrodnią, że nawet przyjaciele przyjaciół nie zdołaliby jej przeżyć. Ku nim właśnie skieruje się cała nienawiść Sycylii.

Tak czy owak, don Croce zdał sobie sprawę, że musi się ugiąć i spełnić żądania Trezzy. Poza wszystkim chciał przecież, aby ten człowiek został premierem Włoch.

- Oczywiście, tak musi się stać - zwrócił się do ministra. - Rzecz jasna, nie ma pan wyboru, musi pan ścigać Guiliana. Lecz zachowajmy go przy życiu, póki nie unicestwię *Testamentu*, a zaręczam słowem, że to zrobię.

Minister ponuro pokiwał głową. Nacisnął interkom i polecił surowo:

- Przyślijcie inspektora.

Kilka sekund później do gabinetu wszedł mężczyzna o lodowato niebieskich oczach. Był szczupły, świetnie ubrany, miał twarz arystokraty.

- To inspektor Velardi - przedstawił go Trezza. - Zamierzam ogłosić, że mianuję go szefem całej sycylijskiej policji bezpieczeństwa. Będzie współpracował z dowódcą armii, którego wysyłam na wyspę. - Przedstawił wszystkich mężczyzn i wyjaśnił Velardiemu, że zrodził się problem w postaci *Testamentu*, który może zagrozić rządowi chrześcijańskich demokratów.

- Drogi inspektorze - odezwał się minister. - Proszę, by pan uważał don Croce za mojego osobistego przedstawiciela na Sycylii. Będzie pan mu przekazywał wszelkie niezbędne informacje, tak samo, jakby czynił to pan wobec mnie. Czy pan zrozumiał?

Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim inspektor przetrwał osobliwe żądanie. Wreszcie pojawił się. Jego zadaniem będzie doradzanie don Croce, a także przekazywanie wszelkich planów, jakie siły rządowe przedsięwzją w wojnie przeciwko bandzie Guiliana. Don Croce przekaze następnie te informacje Guilianowi, a on będzie umykał przed pościgiem tak długo, dopóki ten mafioso nie uzna, iż można bezpiecznie przerwać jego zuchwalstwo.

- Czy mam dzielić się z don Croce wszystkimi informacjami? - upewnił się inspektor Velardi. - Pułkownik Luca nie jest głupcem... Szybko się zorientuje, że istnieją jakieś przecieki, i możliwe, że odsunie mnie od narad operacyjnych.

- Gdyby napotkał pan jakiegokolwiek trudności - odparł minister - proszę się na mnie powołać. Pańska prawdziwa misja polega na zabezpieczeniu *Testamentu* oraz zachowaniu Guiliana przy życiu i na wolności dopóty, dopóki sprawa ta się nie rozstrzygnie.

Inspektor zwrócił lodowato niebieskie oczy na dona.

- Poczytuję sobie za zaszczyt, że będę panu służył. Lecz proszę mi wyjaśnić jedno. Jeżeli Guiliano zostanie pojmany przed zniszczeniem *Testamentu*, co mam wtedy uczynić?

Don nie przebierał w słowach. Nie był urzędnikiem państwowym, bez wahania więc mówił to, co myśli:

- Wtedy może dojść do nieszczęścia o nieobliczalnych skutkach.

Wybór pułkownika Ugo Luki na dowódcę Brygady Specjalnej do Walki z Bandytyzmem gazety uznały za najlepszy z możliwych. Rozwodziły się nad dokonaniem pułkownika w wojsku, jego orderami za waleczność, geniuszem taktycznym, spokojnym i łagodnym charakterem, niegodzeniem się z porażkami. Przypomina małego buldoga, pisano w prasie, toteż zdoła stawić czoło okrucieństwu na Sycylii.

Pułkownik Luca, nim zabrał się do planowania jakiegokolwiek akcji, pilnie przestudiował wszystkie zgromadzone przez wywiad materiały dotyczące Turiego Guiliana. Minister Trezza zastał pułkownika w jego gabinecie, pochłoniętego czytaniem akt kipiących od raportów i starych wycinków z gazet. Gdy Trezza spytał, kiedy Luca zamierza dołączyć do swojego wojska na Sycylii, ten wyjaśnił spokojnie, że dobiera sobie sztabowców, a przecież nie ulega wątpliwości, iż bez względu na to, kiedy sam się tam pojawi, Guiliano nie zniknie.

Pułkownik Luca cały tydzień ślęczał nad dokumentami. Nasunęły mu one oczywiste wnioski. Ów Guiliano okazał się geniuszem walki partyzanckiej i stosował wyjątkowe metody operacyjne. Przy sobie trzymał jedynie liczącą dwudziestu ludzi kadre, w tym dowódców: Aspanu Pisciotte jako swojego zastępcę, Cania Silvestra w

charakterze osobistego ochroniarza oraz Stefana Andoliniego - szefa wywiadu i łącznika z don Croce i siecią mafii. Terranova i Passatempo mieli własne bandy; pozwolono im na samodzielne operacje, pod warunkiem, że w razie potrzeby mają się włączyć do współdziałania. Terranova zajmował się porwaniami, a Passatempo napadami na pociągi i banki, zaplanowanymi przez Guiliana.

Pułkownik pojął, że cała grupa Guiliana liczy nie więcej niż trzystu ludzi. W takim razie, zastanawiał się pułkownik, jakim cudem zdołali przetrwać ponad sześć lat, jak Turi zdołał pokonać karabinierów w całej prowincji i niemal w pełni sprawować kontrolę nad północno-wschodnią Sycylią? Jakim cudem wraz ze swoimi bandytami potrafił umknąć, kiedy potężne siły rządowe przeczesywały góry? Odpowiedź mogła być tylko jedna: w razie potrzeby werbował dodatkowych ludzi spośród sycylijskich wieśniaków. I kiedy wojska przetrząsały góry, ci bandyci na pół etatu zbiegali do miasteczek i na farmy, gdzie wiedli spokojne życie chłopów. To samo dotyczyło licznych mieszkańców Montelepre. I ci stali się sekretnymi członkami bandy. Jednak sprawą najistotniejszą okazała się popularność Guiliana; trudno się było spodziewać, że kiedykolwiek zostanie zdradzony, a gdyby wezwał do otwartej rewolty, pod jego sztandarem stanęłaby bez wątpienia wielotysięczna trzódka.

I, na koniec, jeszcze jedna zadziwiająca rzecz: Guiliano najwyraźniej miał czapkę niewidkę. Pojawiał się w jakimś miejscu, a potem się rozpląwał w powietrzu. Pułkownik Luca, zagłębiając się w lekturę, czuł coraz większy podziw dla tego człowieka.

I wreszcie natknął się na coś, o czym wiedział, że umożliwi mu podjęcie natychmiastowej akcji. Na pierwszy rzut oka wydawało się to nieistotne, lecz na dłuższą metę było najprawdopodobniej ważne.

Listy, które Guiliano często wysyłał do gazet, zawsze zaczynały się od słów:

„Jeżeli nie jesteście moimi wrogami, w co coraz bardziej wierzę, opublikujecie ten list”.

Po czym przechodził do sedna, wyjaśniając, w jakim świetle on sam widzi swoją ostatnią bandycką akcję. W rozumieniu pułkownika Luki to pierwsze zdanie było zawołaną groźbą, zniewoleniem. A treść listów wrogą propagandą. Tłumaczeniem motywów porwań, rabunków, tego, że pieniądze trafią do żyjących w nędzy Sycylińczyków. Kiedy Guiliano przypadkowo nawiązał walkę z karabinierami i kilku z nich zabił, nieodmiennie wysyłał listy, wyjaśniając, że żołnierze na polu bitwy muszą

ginąć. Kierował do karabinierów bezpośrednią prośbę, by zaniechali walki. Kolejny list opublikowano po egzekucji sześciu szefów mafii. Turi tłumaczył, że w ten sposób zaspokoił roszczenia chłopów do należnej im prawnie i moralnie ziemi.

Pułkownik Luca nie posiadał się ze zdumienia, że rząd pozwala na publikowanie tych listów. Napisał do ministra Trezzy notatkę służbową, żądając, by na Sycylii wprowadzono stan wojenny; w ten sposób odetnie się Guiliana od jego zwolenników.

Szukał też jakiejś informacji o kobiecie Guiliana, lecz niczego takiego nie znalazł. Chociaż raportowano, iż bandyci odwiedzają burdele w Palermo i że Pisciotta to kobieciarz, najwyraźniej ostatnie sześć lat Turi przeżył niczym mnich. Pułkownik Luca, sam przecież Włoch, nie potrafił w to uwierzyć. W Montelepre musi mieszkać jakaś kobieta Turiego, a kiedy ją wytropią, połowa roboty będzie za nimi.

W raportach o Guilianie zainteresowało go też wzajemne przywiązanie bandyty i jego matki. Guiliano okazał się oddanym synem dla obojga rodziców, lecz matkę traktował ze szczególną atencją. Pułkownik Luca specjalnie to podkreślił w swoich notatkach. Jeżeli Guiliano naprawdę nie ma kobiety, wówczas jako przynętę w pułapce trzeba będzie wykorzystać matkę.

Dokończywszy przygotowań, pułkownik Luca skompletował swój sztab. Najważniejszym z powołanych był kapitan Antonio Perenze, jego adiutant i osobisty ochroniarz. Kapitan Perenze był masywny, niemal opasły, o jowialnym obliczu i przyjacielskim sposobie bycia, pułkownik jednak wiedział, iż jest to człowiek o nadzwyczajnej odwadze. Może nadejść chwila, w której jego odwaga ocali życie samego pułkownika.

Luca na Sycylię zjechał dopiero we wrześniu 1949 roku, z pierwszymi posiłkami, liczącymi dwa tysiące ludzi. Miał nadzieję, że to starczy; nie chciał gloryfikować Guiliana, sprowadzając przeciw niemu całą pięcioletnią armię. Przecież to zwyczajny bandyta, którym należy się jak najszybciej rozprawić.

Pierwszym posunięciem Luki było zakazanie sycylijskim gazetom publikowania dalszych listów Guiliana. Drugim - uwięzienie matki i ojca Guiliana pod zarzutem potajemnego współdziałania z synem. Kolejnym - aresztowanie i przesłuchanie ponad dwustu mieszkańców Montelepre, podejrzanych o sekretne członkostwo w bandzie. Wszystkich aresztantów przewieziono do palermiańskich więzień, silnie strzeżonych przez żołnierzy pułkownika Luki. Każdą z tych akcji przeprowadzono w całym majestacie faszystowskiego, niezmiennego dotąd prawa reżimu Mussoliniego.

W domu Guiliana dokonano rewizji. Odkryto tajne przejścia. We Florencji aresztowano La Venerę. Zwolniono ją jednak niemal od razu, gdyż twierdziła, że nic jej o żadnych podkopach nie wiadomo. Nie uwierzono jej bynajmniej, lecz inspektor Velardi chciał, by wyszła na wolność, w nadziei, że Guiliano ją odwiedzi.

Włoska prasa wychwalała pułkownika Luce pod niebiosa; wreszcie znalazł się człowiek, który „poważnie” potraktował problem. Minister Trezza był zachwycony swoim wyborem, zwłaszcza że otrzymał serdeczny list z gratulacjami od premiera. Tylko na don Croce cała ta sprawa nie wywarła najmniejszego wrażenia.

W ciągu pierwszego miesiąca Turi Guiliano pilnie przypatrywał się działaniom Luki i poczynaniom armii karabinierów. Podziwiał przebiegłość pułkownika, który zabronił prasie drukowania jego listów, odcinając go od możliwości komunikowania się z ludnością Sycylii. Lecz gdy pułkownik Luca zaczął aresztować na oślep obywateli Montelepre - bez względu na to, czy naprawdę byli winni - podziw Turiego zamienił się w nienawiść. A kiedy do więzienia trafili jego rodzice, syna opanowała zimna, mordercza wściekłość.

Turi przesiedział dwa dni zaszyty głęboko w grocie w górach Cammarata. Obmyślał plany i podsumowywał wszystko, co mu było wiadomo na temat dwutysięcznej armii karabinierów pułkownika Luki. Co najmniej tysiąc z nich stacjonowało w Palermo i w okolicach miasta, czyhając, aż Turi przybędzie uwolnić rodziców. Kolejny tysiąc skoncentrowano w rejonie miasteczek Montelepre, Piani dei Greci, San Giuseppe Jato, Partinico i Corleone, gdyż wielu tamtejszych obywateli należało potajemnie do bandy, która w każdej chwili mogła ich wezwać pod broń.

Sam pułkownik Luca na swoją kwaterę główną obrał Palermo, gdzie był nieuchwytny. Należało go więc stamtąd wywabić.

Turi Guiliano bezproduktywną wściekłość obrócił w opracowanie konstruktywnych planów. Opierały się one na klarownych, niemal arytmetycznych wyliczeniach, prostych jak dziecinna gra. Zawsze dotąd wszystko się udawało, a gdyby teraz się nie powiodło, Turi mógł przecież ponownie zniknąć w górach. Zdawał sobie wszak sprawę, iż wynik zależy od bezbłędnego wprowadzenia planów w życie, dopracowania każdego szczegółu.

Wezwał do grotty Aspanu Pisciotte i wyjawiał mu, co zamierza przedsięwziąć. Później i innym dowódcom - Passatempie, Terranovie, Silvestrowi i Andoliniemu - wyznaczono zadania do wypełnienia.

W kwaterze głównej karabinierów w Palermo znajdowała się kasa wszystkich sił zbrojnych, operujących na zachodniej Sycylii. Raz w miesiącu wysyłano silnie strzeżony furgon do miasteczek i prowincjonalnych garnizonów. Płacono gotówką, każdemu karabinierowi wręczano kopertę z dokładnie wyliczonym w banknotach i monetach żołdem. Owe koperty przewożono upchnięte w drewnianych skrzynkach, które wcześniej armii amerykańskiej służyły do transportowania broni.

Kierowca był uzbrojony w pistolet, towarzyszący mu żołnierze w karabiny. Kiedy nafaszerowana milionami lirów ciężarówka opuszczała Palermo, poprzedzały ją trzy dżipy, każdy wyposażony w karabiny maszynowe i czterech ludzi, oraz dwudziestoosobowa eskorta, uzbrojona po zęby w karabiny maszynowe i strzelby. Za przewożącą pieniądze furgonetką podążały dwa wozy, w każdym po sześciu karabinierów. Wszystkie pojazdy miały radiową łączność z Palermo lub z najbliższymi koszarami, aby w razie konieczności wezwać posiłki. Nie zachodziła najmniejsza obawa, by ktokolwiek powążył się zaatakować taką siłę. Równałoby się to samobójstwu.

Karawana z żołdem opuściła Palermo wczesnym rankiem. Pierwszy przystanek wyznaczono w małej osadzie Tommaso Natale. Stamtąd miano ruszyć krętymi drogami do Montelepre. Kasjer i jego straż wiedzieli, że czeka ich długi dzień, toteż jechali szybko. Po drodze zjedli przełożone plasterkami salami pajdy chleba i popili je winem prosto z butelek. Żartowali między sobą, śmiali się, a szoferzy prowadzący jadące w awangardzie dżipy odłożyli broń na podłogę samochodów. Kiedy jednak karawana dotarła na szczyt ostatniego wzgórza, za którym znajdował się zjazd do Montelepre, osłupiała, widząc, że blokuje go potężne stado owiec. Jadące przodem kolumny dżipy torowały sobie między nimi drogę, strażnicy pokrzykiwali na nędznie odzianych pasterzy. Żołnierzom spieszyło się do chłodnych koszar i ciepłego posiłku, rozebrania się do bielizny i drzemki na łózkach lub gry w karty aż do popołudnia. Nie mogło być najmniejszego zagrożenia. W leżącym zaledwie kilka mil dalej Montelepre stacjonował liczący pięciuset żołnierzy garnizon pułkownika Luki. Obejrzawszy się,

zobaczyli, jak wiozący żołąd furgon wjechał w bezkresne morze owiec, nie zorientowali się jednak, że został tam zablokowany bez możliwości ucieczki.

Pasterze usiłowali utorować mu drogę. Byli tym tak zaaferowani, że najwyraźniej nie zwrócili uwagi, iż szoferzy naciskają klaksony, eskorta pokrzykuje, strażnicy zaś wrzeszczą, zanoszą się śmiechem i przeklinają, wciąż niczego nie podejrzewając.

Ale oto niespodziewanie sześciu pasterzy zbliżyło się do furgonu z pieniędzmi. Dwóch wydobyło zza pazuchy broń i kopniakami wyrzuciło kierowcę i kasjera z wozu. Rozbroili obu karabinierów. Kolejnych czterech ludzi wyniosło z furgonu pełne koperty pudła. Bandę dowodził Passatempo, a jego twarz mordercy i gwałtowne zachowanie poskromiły eskortę równie skutecznie jak karabiny.

W tej samej chwili pobliskie zbocza zaroily się od uzbrojonych w strzelby i karabiny maszynowe bandytów. Dwóm, stojącym z tyłu wozom dowództwa przestrelono opony, a przed pierwszym z nich stanął Pisciotta.

- Wychodźcie powoli, bez broni - zawołał - a jeszcze dziś wieczorem będziecie się opychać w Palermo spaghetti! Nie udawajcie bohaterów, nie wasze pieniądze zabieramy.

Daleko na przedzie przewodnicy i trzy dżipy zwiadu dotarły do podnóża ostatniej wyżyny i już miały wjechać do Montelepre, kiedy dowodzący oficer zorientował się, iż nikt za nimi nie jedzie. Co gorsza, jeszcze więcej owiec odgradzało go od reszty konwoju. Chwycił za krótkofalówkę i rozkazał, by jeden z dżipów zawrócił. Ręką dał sygnał pozostałym pojazdom, by zjechały na pobocze i czekały w pogotowiu.

Zwiadowczy dżip zawrócił i ruszył w stronę wzgórz, skąd dopiero przed chwilą przyjechał. W połowie drogi natknął się na zaporowy ogień karabinów maszynowych i strzelb. Czterech ludzi w pojeździe kule rozerwały na strzępy, a pozbawiony kierowcy samochód stracił równowagę i powoli stoczył się w dół wzgórza w kierunku konwoju.

Dowodzący karabinierami oficer szybko wysiadł ze swojego dżipa i krzyknął na żołnierzy, aby rozproszyli się i uformowali tak, żeby można było odpowiedzieć ogniem. Pozostałe dwa pojazdy odskoczyły niczym przerażone zajęce, szukające kryjówek. Jednakże i te siły skutecznie zneutralizowano. Karabinierzy nie mogli uratować furgonu, znajdującego się po drugiej stronie wzgórza; nie mogli nawet strzelać do ludzi Guiliana, którzy wpychali za kurtki koperty pełne pieniędzy. Bandyci Turiego znajdowali się w górze i z całą pewnością dysponowali dostateczną ilością

broni, by roznieść na strzepy potencjalnych napastników. Żołnierzom nie pozostawało nic innego, jak tylko rozproszyć się i strzelać na oślep.

Maresciallo z Montelepre czekał na płatnika. Pod koniec miesiąca zawsze brakowało mu pieniędzy, podobnie jak jego podkomendnym, więc już wyobrażał sobie wieczór w dobrej restauracji w Palermo w towarzystwie czarujących kobiet i przyjaciół. Kiedy usłyszał odgłosy wystrzałów, osłupiał. Guiliano przecież nie ośmieliłby się napaść w świetle dnia na któryś z jego patroli, nie teraz, kiedy okolice penetrowało pięciuset przysłanych jako posiłki żołnierzy pułkownika Luki.

W tej chwili *maresciallo* usłyszał potężny huk eksplozji przy bramie koszar Bellampo. Jeden z zaparkowanych na zapleczu koszar wozów pancernych wystrzelił w górę niczym pomarańczowy fajerwerk. Następnie do uszu *maresciallo* dobiegł terkot ciężkiej broni maszynowej, wycelowanej w stronę drogi wiodącej do Castelvetro i nadmorskiego miasteczka Trapani, potem monotonne grzechotanie karabinów, dochodzące z podnóża przełęczy za miasteczkiem. Widział, jak patrole z Montelepre strumieniem ciągną do koszar, w dżipach i na piechotę, uciekając, by ocalić życie. Powoli do jego świadomości dotarło, że Turi Guiliano rzucił wszystkie swoje siły przeciwko pięciuset ludziom pułkownika Luki.

Turi Guiliano z wysokiej skały nad Montelepre przez lornetkę obserwował rabowanie furgonu z żołdem. Zrobiwszy obrót o dziewięćdziesiąt stopni, widział także bitwę na ulicach miasteczka, bezpośredni atak na koszary Bellampo i wciągnięcie karabinierów do walki na drogach. Wszyscy dowódcy działali bezbłędnie. Passatempo ze swoimi ludźmi zabrali pieniądze na wypłaty, Pisciotta zablokował na tyłach kolumnę karabinierów, Terranova z własną bandą, wzmocnioną rekrutami, zaatakował koszary Bellampo i unieszkodliwił patrole policyjne. Bandyci, dowodzeni przez samego Guiliana, kontrolowali podnóże gór. A Stefan Andolini, prawdziwy Fra Diavalo, przygotował niespodziankę.

W sztabie w Palermo pułkownik Luca wiadomość o utraconych pieniądzach przyjął, jak wydawało się jego podwładnym, z niezwykłym spokojem. W środku jednak kipiał z wściekłości na myśl o przebiegłym planie Guiliana, zastanawiał się też, kiedy i skąd Turi uzyskał informacje o rozlokowaniu oddziałów karabinierów. Podczas

napadu zginęło czterech policjantów, a kolejnych dziesięciu straciło życie w walkach, sprowokowanych przez inne bandy Guiliana.

Pułkownik Luca wciąż tkwił przy telefonie, odbierając meldunki, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do gabinetu wpadł kapitan Perenze. Jego tłuste policzki trzęsły się z podniecenia. Właśnie dotarł do niego raport, że kilku bandytów zostało rannych, a jeden zginął podczas walk. Martwego zidentyfikowano na podstawie znalezionych przy zwłokach dokumentów, poza tym rozpoznało go dwóch obywateli Montelepre. Zabitym okazał się nie kto inny, jak sam Turi Guiliano.

Pomimo całej ostrożności i inteligencji pułkownik Luka poczuł, że pierś przepełnia mu poczucie triumfu. Historia wojen roła się od wielkich zwycięstw, błyskotliwych taktycznych manewrów, zniweczonych przez jakiś, na pozór niewielki, wypadek. Kierowana zrzędzeniem losu bezmyślna kula w magiczny sposób pokonała nieuchwytnego ducha wielkiego bandyty. Jednakże zaraz odezwały się wątpliwości. Byłby to nazbyt szczęśliwy traf; możliwe też, że to pułapka. A skoro tak, on, Luca, powinien się tam udać i schwytać tego, kto ją zastawił.

Pułkownik wydał niezbędne rozkazy, w pogotowiu stała lotna brygada, przygotowana na odparcie każdego niespodziewanego ataku. Przodem ruszyły wozy pancerne, za nimi kuloodporny samochód; jechali w nim Luca i inspektor Frederico Velardi, który uparł się, że pomoże zidentyfikować zwłoki, naprawdę zaś chodziło mu o to, by sprawdzić, czy przy ciele nie było *Testamentu*. Za pojazdem Luki jechały oddziały żołnierzy z bronią gotową do strzału. Kolumnę poprzedzały terenowe dżipy, a w każdym dwudziestu komandosów. Garnizonowi z Montelepre wydano rozkaz obstawienia prowadzących do miasteczka dróg i zorganizowania posterunków w pobliskich górach. Piesze, wzmocnione i uzbrojone po zęby patrole kontrolowały całą trasę.

Po niecałej godzinie pułkownik Luca i jego lotna brygada dotarli do Montelepre. Nikt ich nie zaatakował; taka demonstracja siły okazała się ponad możliwości bandytów. Wszakże pułkownika czekało rozczarowanie.

Inspektor Velardi oświadczył, że ciało, spoczywające w karetkce na terenie koszar Bellampo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie jest ciałem Guiliana. Kula, od której zginął ów mężczyzna, zmasakrowała jego twarz, lecz nie na tyle, by inspektor mógł się pomylić. Zmuszono innych obywateli do zidentyfikowania trupa, oni też potwierdzili, że to nie Turi. Zatem musiała to być pułapka. Guiliano najwyraźniej

spodziewał się, że Luca przyjedzie z niewielką eskortą i wpadnie w zasadzkę. Pułkownik rozkazał, by przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, lecz sam w pośpiechu ruszył w drogę powrotną do Palermo i do swojego sztabu; chciał osobiście zameldować Rzymowi o wydarzeniach dnia i dopilnować, by nikt nie przekazał dalej fałszywej wiadomości o śmierci Guiliana. Sprawdziwszy, że droga jest obstawiona patrolami i że napad nie może się zdarzyć, rozkazał załodze jednego z dżipów, aby jechała na czele kolumny. Do niej dołączył inspektor Velardi.

Pośpiech pułkownika ocalił życie im obu. Kiedy lotna brygada dojeżdżała do Palermo, w jadącym w środku samochodzie dowodzonym przez Luce rozległ się ogłuszający huk eksplozji. Pierwszy wóz podskoczył dziesięć stóp w górę, a potem opadł na ziemię w płonących kawałkach, rozproszonych po zboczu góry. Zmierzający tuż za nim pojazd z komandosami z trzydziestu osób załogi stracił osiem, a piętnastu ludzi odniosło rany. Dwóch oficerów z samochodu Luki wybuch rozerwał na strzępy.

Kiedy pułkownik Luca zadzwonił do ministra Trezzy ze złymi wiadomościami, poprosił także o natychmiastowe przysłanie na Sycylię posiłków, czekających na kontynencie trzech tysięcy ludzi.

Don Croce zdawał sobie sprawę, że napady nie ustaną, póki rodzice Guiliana nie wyjdą z więzienia, toteż dopilnował ich zwolnienia.

Nie potrafił jednak zapobiec przyjazdowi nowych oddziałów karabinierów. Teraz dwa tysiące żołnierzy okupowało miasteczko Montelepre i całą okolicę. Kolejne trzy tysiące przeczesywały góry. Siedmiuset obywateli Montelepre i prowincji Palermo wtrącono do paki, gdzie oczekiwali na przesłuchanie przez pułkownika Luce, korzystającego ze specjalnych uprawnień, w jakie wyposażył go urzędujący w Rzymie chadecki rząd. Ogłoszono godzinę policyjną, obowiązującą od zmroku do świtu, mieszkańców unieruchomiono w domach, a podróżnych niemogących się wylegitymować specjalnymi przepustkami wtrącano do aresztu. Nad całą prowincją zapanował zalegalizowany terror.

Don Croce z niepokojem obserwował, jak wokół Guiliana coraz bardziej zaciska się pętla.

Rozdział siódmy

Przed inwazją armii Luki, kiedy Guiliano mógł swobodnie odwiedzać Montelepre, często spotykał się z Justyną. Niekiedy wstępowała do jego domu lub odbierała pieniądze przysłane przez Turiego dla jej rodziców. Guiliano właściwie nie dostrzegł, że wyrosła na piękną kobietę, aż do dnia, w którym na ulicy Palermo ujrzał ją w towarzystwie matki i ojca. Rodzina wybrała się do miasta, by kupić na fiestę ozdoby nieosiągalne w małym Montelepre, Turi zaś wraz ze swoimi ludźmi przyjechał po zaopatrzenie.

Guiliano nie widział dziewczyny może pół roku; w tym czasie wyrosła i zeszcupiała. Jak na Sycylijkę była wysoka, miała długie nogi, obute w nowe pantofle na wysokich obcasach, którymi stukała po chodniku. Zaledwie szesnastolatka, jednak o twarzy i kształtach dojrzałych w subtropikalnym klimacie wyspy, psychicznie również stała się dorosłą kobietą. Kruczoczarne włosy upięła w kok, podtrzymywany trzema ozdobnymi grzebieniami, uwydatniając szyję smukłą i złocistą, niczym u Egipcjanek uwiecznionych na wazach. Miała przepastne, pytające oczy i zmysłowe usta: one jedne zdradzały jej młodzieńczy wiek. Była w białej sukience, której przód zdobił czerwony szlaczek.

Była ucieleśnionym pięknem; Guiliano przez długą chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku. Siedział właśnie w ogródku kafejki, a jego ludzie zajmowali sąsiednie stoliki, gdy mijała go, idąc w towarzystwie matki i ojca. Dostrzegli go, ale ojciec Justiny zachował kamienną twarz, nie okazując, że go rozpoznał. Matka szybko odwróciła oczy. Tylko Justina nie odrywała od niego spojrzenia. Była na tyle Sycylijką, by go nie przywitać, patrzyła mu jednak prosto w oczy, ujrzał więc, że z trudem powstrzymuje uśmiech. Na zalanej słonecznymi promieniami ulicy tworzyła plamę lśniącego światła, była zmysłową, sycylijską pięknnością, dojrzałą w tak młodym wieku. Guiliano, od czasu gdy stał się wygnańcem, nie ufał miłości. Według niego był to akt podporządkowania się, który nosił w sobie zarodek zgubnej zdrady, wszakże w tej chwili ogarnęło go uczucie, jakiego nigdy dotąd nie poznał - pragnienie, by przykleknąć przed inną ludzką istotą i dobrowolnie oddać się jej w niewolę. Nie rozumiał, że na tym polega miłość.

Miesiąc później Guiliano zorientował się, że nie potrafi wyrzucić z pamięci obrazu Justiny zalanej słonecznym światłem na ulicy Palermo. Doszedł do wniosku, że to wyłącznie pożądanie, że tęskni za pełnymi namiętności nocami u La Venery. Później, po namyśle, stwierdził, że marzy nie tylko o kochaniu się z Justyną, ale też przemierzaniu z nią gór, pokazywaniu jej jaskiń, wąskich dolinek, porośniętych kwieciami, o wspólnym gotowaniu posiłków przy obozowych ogniskach. W domu matki wciąż trzymał gitarę, śnił więc, że zagra na niej dziewczynie. Przeczyta jej wiersze, jakie napisał przez wszystkie te lata - niektóre z nich opublikowała sycylijska prasa. Myślał nawet o przemknieniu się do Montelepre i odwiedzeniu jej w rodzinnym domu, mimo dwóch tysięcy żołnierzy z Brygady Specjalnej pułkownika Luki w pobliżu. I wtedy się opamiętał, zrozumiał, że dzieje się z nim coś niedobrego.

To wszystko dziecinada. On ma w życiu jedynie taką alternatywę: albo zginie od kul karabinierów, albo poszuka schronie-pa w Ameryce, a jeśli dalej będzie marzył o tej dziewczynie, o Ameryce nie ma co mówić. Musi wyrzucić Justinę z głowy. Gdyby ją uwiódł lub uprowadził, jej ojciec zostałby jego śmiertelnym wrogiem, a przecież do tej pory i tak wielu ich sobie narobił. Kiedyś wychłostał Aspanu za uwiedzenie niewinnej dziewczyny, a po paru latach zgładził za gwałt trzech ze swoich ludzi. Darzył Justinę takim uczuciem, że pragnął uczynić ją szczęśliwą, kochać ją, podziwiać. Chciał, aby widziała w nim człowieka, jakiego on sam niegdyś w sobie widział. Pragnął, by jej oczy wypełniły się miłością i zaufaniem.

Kierując się jedynie umysłem taktyka rozważył inne możliwości, postanowił już bowiem, jak postąpi. Ożeni się z tą dziewczyną. Potajemnie. Nikt poza jej rodziną, rzecz jasna Aspanu Pisciottà i kilkoma zaufanymi członkami bandy nie będzie o niczym wiedział. Kiedy zrobi się trochę bezpieczniej, odwiedzi ją, potem mógłby zaprowadzić ją w góry, gdzie spokojnie spędziliby dzień lub dwa. Jako żona Turiego Guiliana będzie narażona na niebezpieczeństwo, można jednak załatwić przewiezienie jej do Ameryki. Tam na niego poczeka, dopóki on stąd nie ucieknie. Lecz to był jedynie pomniejszy problem. Ważniejsze, co czuje do niego Justina.

Caesero Ferrà od pięciu lat należał do potajemnych członków bandy Guiliana, zajmował się wyłącznie gromadzeniem informacji, w akcjach nigdy nie brał udziału. I on, i jego żona znali rodziców Turiego, byli ich sąsiadami. Mieszkali na via Bella o dziesięć domów dalej. On należał do osób o wiele bardziej wykształconych od

przeciętnego mieszkańca Montelepre, nie zadowalało go uprawianie ziemi. Kiedy Justina była dzieckiem i straciła pieniądze, a oddał mu je Guiliano, zaopatrując ją równocześnie w list, iż rodzina znalazła się pod jego szczególną opieką, Caesero Ferra odwiedził Marię Lombardo i zaproponował przez nią swoje usługi jej synowi. Zbierał w Palermo i Montelepre informacje o poczynaniach patroli karabinierów, o bogatych kupcach, których miała porwać banda Guiliana, demaskował policyjnych donosicieli. Otrzymywał działkę z okupów i otworzył w miasteczku niewielką tawernę, przydatną zresztą do prowadzenia owej sekretnej działalności.

Gdy jego syn Silvio wrócił z wojny jako socjalistyczny agitator, Caesero Ferra kazał mu się wynosić z domu. Nie dlatego, że potępiał jego przekonania, lecz z powodu niebezpieczeństwa, w jakim mogła się znaleźć reszta rodziny, nie żywił bowiem najmniejszych złudzeń co do demokracji czy postępowania rzymskich władz. Przypomniawszy Turiemu Guilianowi, że przyrzekł chronić rodzinę Ferra, a Guiliano dołożył wszelkich starań, aby ocalić Silvia. Po jego zamordowaniu to właśnie Turi przysiągł zemstę.

Ferra nigdy nie obwinił Guiliana. Wiedział, że masakra na Ginestra głęboko go poruszyła, Turi pograżył się w żałobie, do tej pory dręczyły go wyrzuty sumienia. Ferra dowiedział się tego od własnej żony, godzinami wysłuchującej opowieści Marii Lombardo o jej jedynaku, o tym jak wszyscy byli szczęśliwi wiele lat temu, przed owym fatalnym dniem, kiedy to karabinier postrzelił jej syna, ten więc siłą rzeczy musiał go zabić. I od tamtej pory, oczywiście, wszystkie zabójstwa stały się koniecznością, zostały na nim wymuszone. Maria Lombardo usprawiedliwiała każde morderstwo, każdą zbrodnię, jednakże jej głos załamał się, gdy doszła do masakry na Portella delia Ginestra. Och, maleńkie dzieci o ciałach poszarpanych pociskami z karabinu maszynowego, ginące bezbronne kobiety. Jak ludzie mogli sądzić, że jej syn dopuścił się takiego czynu? Czyż nie był obrońcą nędzarzy, wodzem Sycylii? Czyż nie wydawał majątku na wspomaganie wszystkich Sycylijczyków, potrzebujących chleba i domów? Jej Turi nigdy nie wydałby rozkazu dokonania takiej rzezi. Tak przysiągł jej przed figurką Czarnej Madonny, a potem wyplakali się w swoich ramionach.

I tak przez lata Caesero usiłował rozwiązać tajemnicę tego, co naprawdę wydarzyło się na Portella delia Ginestra. Czy ludzie passatempa naprawdę popełnili omyłkę, kierując broń pod złym kątem? Czy Passatempo, słynny z wrodzonej żądy krwi, wymordował tych ludzi dla czystej przyjemności? Czy wszystko to

zaaranżowano, by zniszczyć Guiliana? A może inna banda otworzyła ogień z karabinów maszynowych, a byli to ludzie niepozostający pod rozkazami Guiliana, lecz wysłani choćby przez przyjaciół przyjaciół lub wręcz przez jakiś departament policji bezpieczeństwa? Caesero ze swojej listy podejrzanych nie wykreślił nikogo poza Turim. Gdyż jeśli Turi okazałby się winny, zawaliłby się cały świat, w którym żył Ferra. Kochał Guiliana niczym rodzzonego syna. Widział, jak z chłopca wyrasta na mężczyznę i nigdy nie rzucał gróźb pod jego adresem ani nie okazywał złości.

Tak więc Caesero Ferra miał oczy i uszy otwarte. Stawiał kolejki innym potajemnym członkom bandy, których pułkownik Luca nie zdołał wtrącić do więzienia. Wychwytywał strzępy rozmów pomiędzy przyjaciółmi przyjaciół, mieszkającymi w miasteczku, którzy od czasu do czasu wpadali do tawerny, by napić się wina i pograć w karty. Pewnego wieczoru usłyszał, jak z rozbawieniem rozprawiają o Zwierzu i Diable, przyjeżdżających w odwiedziny do don Croce. Mówili, że wielki don Croce przemienił tych dwóch straszliwych ludzi w łagodne anioły, Ferra rozważył to i z nieomylnym sycylijskim wyczuciem dodał dwa do dwóch. Czasami z donem spotykali się Passatempo i Stefan Andolini. Passatempa często nazywano Bestią, a Fra Diavalo było przydomkiem bandyty Andoliniego. Po co udawali się na poufne rozmowy z don Croce w jego willi w Villabie, tak oddalonej od górskiej bazy bandytów. Wysłał do domu Guiliana swojego nastoletniego syna z pilną wiadomością i za dwa dni wyznaczono mu spotkanie z Turim w górach. Opowiedział mu o swych podejrzaniach. Młodzieniec nie był szczególnie poruszony i tylko zaprzysiął Caesera do zachowania tajemnicy. A teraz, trzy miesiące później, Guiliano ponownie wezwał go w góry, toteż spodziewał się usłyszeć o dalszym ciągu historii.

Guiliano wraz ze swoją bandą zaszyli się głęboko w górach, poza zasięgiem armii Luki. Caesero Ferra wyruszył w drogę po zmierzchu i w umówionym miejscu spotkał się z Aspanu Pisciottà, który miał doprowadzić go do obozu. Przybyli tam dopiero wczesnym rankiem; czekał na nich gorący posiłek. Okazał się zresztą wy. szukany, podano go na składanym stoliku, przykrytym białym obrusem; na nim leżały srebrne sztuce. Turi Guiliano włożył białą jedwabną koszulę i obcisłe moleskinowe spodnie; nogawki miał wpuszczone w cholewki brązowych lśniących butów, włosy świeżo umyte i wyszczotkowane. Nigdy dotąd nie wyglądał tak elegancko.

Odprawił Pisciottę i zasiadł do stołu wraz z Ferrą. Wydawał się całkowicie odprężony. Zaczął rozmowę oficjalnym tonem:

- Chciałbym wam podziękować za dostarczone mi informacje. Wszystko sprawdzono i teraz wiem, że to prawda. I że to bardzo ważne. Posłałem jednak po was, by pomówić o czymś innym. Wiem, że będzie to dla was zaskoczeniem, ale mam nadzieję, że was nie urazi.

Ferra, choć zdumiony, odparł uprzejmie:

- Niczym nie możesz mnie urazić, zbyt wiele ci zawdzięczam.

Słyszając to, Guiliano uśmiechnął się szczerym uśmiechem, który Caesero pamiętał z jego dzieciństwa.

- Proszę mnie wysłuchać uważnie. Rozmowa z wami to pierwszy krok z mojej strony. Jeżeli wyrażicie swoją dezaprobatę, nie posunę się dalej. Nalegam, byście nie traktowali mnie jako przywódcy bandy. Zwracam się do was, gdyż jesteście ojcem Justiny. Zdaję sobie sprawę, że jest piękna, musicie wiedzieć, że wielu chłopców z miasteczka wystaje pod waszymi drzwiami. Wiem, że pieczołowicie strzeżecie cnoty córki. Pragnę wam wyznać, że po raz pierwszy w życiu odczułem coś podobnego. Chcę poślubić waszą córkę. Jeżeli wasza odpowiedź na prośbę o jej rękę będzie brzmiała „nie”, nigdy już nie poruszę tego tematu. Pozostaniecie moim przyjacielem, a wasza córka nadal może liczyć na moją specjalną ochronę. Jeżeli natomiast powiecie „tak”, to spytam waszą córkę, jakie jest jej zdanie. I w razie gdyby jej odpowiedź brzmiała „nie”, zakończy to całą sprawę.

Caesero Ferra tak osłupiał, usłyszawszy przemowę Turiego, że zdołał jedynie wyjąkać:

- Niech się zastanowię, niech się zastanowię. - Milczał dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie się odezwał, rzekł z najwyższym szacunkiem: - Z radością wybrałbym cię na męża mojej córki spośród wszystkich mężczyzn świata. Wiesz, że mój syn, Silvio, niech spoczywa w pokoju, zgodziłby się ze mną. - Ponownie się zająknął, lecz po chwili ciągnął dalej: - Lękam się tylko o bezpieczeństwo córki. Jeżeli Justina zostanie twoją żoną, pułkownik Luca bez wątplenia aresztuje ją pod byle pretekstem. Przyjaciele przyjaciół są teraz twoimi wrogami i mogliby wyrządzić jej jakąś krzywdę. A ty musisz uciekać do Ameryki albo umrzeć w tych górach. Nie pragnę dla mojej córki życia młodej wdowy. Proszę, wybaczyć, że mówię tak szczerze. Przecież skomplikowałoby to również twoje życie, a to najbardziej mnie martwi. Szczęśliwy młody małżonek nie jest tak wyczulony na pułapki, traci czujność wobec swoich wrogów. Małżeństwo może sprowadzić na ciebie śmierć. Nie owijam tego wszystkiego

w bawełnę, ponieważ cię miłuję i darzę szacunkiem. Powinieneś raczej odłożyć tę sprawę do czasu, kiedy będziesz lepiej znał swoją przyszłość i potrafisz ją mądrzej zaplanować. - Kiedy skończył, popatrzył niespokojnie na Guiliana, sprawdzając, czy go nie rozgniewał.

Ale nie, tylko Turiego zmartwił. Caesero rozpoznał przygnębienie zakochanego młodzieńca. A to wydało mu się tak zdumiewające u Guiliana, że impulsywnie dodał:

- Turi, nie mówię „nie”.

Guiliano westchnął.

- Przemyślałem wszystko. Wytłumaczę, na czym polega mój plan. Poślubiłbym waszą córkę potajemnie. Obrządku dopełni opat Manfredi. Ślub wzięlibyśmy tutaj, w górach. Naraziłbym się na niebezpieczeństwo, gdyby stało się to gdziekolwiek indziej. Ale potrafię całą rzecz tak zorganizować, byście wraz z żoną towarzyszyli córce i byli świadkami jej ślubu. Zatrzymałbym ją przy sobie trzy dni, a potem odesłałbym ją z powrotem do domu. Jeżeliby wasza córka została wdową, będzie miała dość pieniędzy, żeby zacząć nowe życie. Tak więc nie musicie się obawiać o jej przyszłość. Kocham ją, będę się o nią troszczył i ochraniał ją do końca jej dni. Zabezpieczę jej przyszłość, na wypadek gdyby miało dojść do najgorszego. Jednakże poślubienie człowieka takiego jak ja jest ryzykiem, toteż wy, jako roztropny ojciec, macie wszelkie prawo nie zgodzić się i nie wystawiać córki na niebezpieczeństwo.

Caesera Ferrę słowa Turiego poruszyły do głębi. Ten młody człowiek przemawiał z taką prostotą, tak bezpośrednio. A przy tym z pełną smutku nadzieją. Wszakże najważniejsze ze wszystkiego okazało się to, że wyjaśnił sprawę wielkiej wagi. Dopuszczał możliwość nieszczęśliwego rozwoju wypadków i zabezpieczył Justinie dostatanie życie w przyszłości. Ferrera wstał od stolika, by uściskać Guiliana.

- Masz moje błogosławieństwo - rzekł. - Porozmawiam z córką.

Ferra, nim odszedł, z radością usłyszał, że przekazane przez niego informacje okazały się użyteczne. Zdumiała go zmiana wyrazu twarzy Guiliana. Jego oczy szerzej się otworzyły, rysy pięknej twarzy stwardniały niczym wykute w białym marmurze.

- Zaproszę Stefana Andoliniego i Passatempa na swoje wesele - powiedział. - Wtedy wszystko będziemy mogli wyjaśnić.

Dopiero później Ferrze wpadło do głowy, że to dziwny pomysł, skoro ślub miano zachować w tajemnicy.

Na Sycylii nie należało do rzadkości, że dziewczyna poślubiła mężczyznę, z którym wcześniej nie spędziła ani chwili sam na sam. Kiedy kobiety zasiadały przed domami, te niezamężne musiały ustawiać się bokiem, by nie patrzeć bezpośrednio na ulicę, gdyż wtedy w najlepszym razie nazwano by je wietrznicami. Przechodzący młodzieńcy nigdy nie mieli sposobności, aby z nimi pogawędzić, chyba że w kościele, gdzie niewinne młode dziewczęta strzegła sama Najświętsza Pani i surowe spojrzenia matek. Jeżeli młody człowiek zakochał się szaleńczo, tylko przelotnie spojrzawszy na wybrankę i zamieniwszy z nią ledwie kilka pełnych uszanowania zdań, musiał o tym napisać w liście, w którym w starannie dobranych słowach deklarował swoje zamiary. Wtedy sprawa wyglądała poważnie. Wielekroć zatrudniano zawodowych pisarzy listów. Źle wyważone zwroty mogły doprowadzić raczej do pogrzebu niż do wesela. Oświadczyzny Turiego Guiliana za pośrednictwem ojca dziewczyny nie były więc niczym niezwykłym, pomijając fakt, że on sam nigdy nie okazał wybrance swojego zainteresowania.

Caesero Ferra nie wątpił, jaka będzie odpowiedź córki. Jeszcze jako mała dziewczynka codzienny pacierz nieodmiennie kończyła słowami: „I uchronię Turiego Guiliana przed karabinierami”. Zawsze chętnie zносиła wiadomości do jego matki, Marii Lombardo. A potem, kiedy rozniosła się wieść o tunelu, biegnącym do domu La Veneri, Justina nie potrafiła pohamować złości. Z początku ojciec i matka myśleli, że gniew ten wywołało aresztowanie kobiety i rodziców Guiliana, ale potem zorientowali się, że wzbudziła go zazdrość.

Caesero Ferra mógł zatem przewidzieć, jak będzie brzmiała odpowiedź córki; nie spodziewał się zaskoczenia. Jednakże zadziwił go sposób, w jaki zareagowała na nowinę. Uśmiechnęła się chytrze do ojca, jak gdyby planowała uwiedzenie i wiedziała, że potrafi podporządkować sobie Guiliana.

Pośród gór stał niewielki normański zamek, teraz niemal obrócony w perzynę. Od dwudziestu lat nikt w nim nie mieszkał. Guiliano postanowił, że tam odbędzie się ceremonia zaślubin, tam też spędzą oboje „miesiąc” miodowy. Rozkazał Aspanu Pisciotcie otoczyć to miejsce uzbrojonymi ludźmi dla całkowitego bezpieczeństwa. Ojciec Manfredi wyjechał z opactwa wozem zaprzężonym w osiołka, a potem chłopcy z bandy Guiliana ponieśli go w lektyce górkimi ścieżkami. Ku swojej radości znalazł w zamku prywatną kaplicę, choć dawno temu skradziono z niej figurki i drewniane

reliefy. Jednakże nawet same kamienne mury okazały się piękne, podobnie kamienny ołtarz. Opat właściwie nie popierał ożenku Guiliana, więc kiedy go uściskał, powiedział półzartem:

- Nie powinieneś zapominać o starym przysłowiu: „Człowiek samotny nigdy nie przegrywa”.

Guiliano roześmiał się.

- Przecież muszę zadbać także o swoje szczęście. - A potem dorzucił jedno z ulubionych przez opata chłopskich powiedzonek, do których Manfredi odwoływał się zawsze, chcąc usprawiedliwić swoją chciwość: - Pamiętajcie, święty Józef wpierw zgolił własną brodę, a dopiero potem brody apostołów.

Słowa te wprawiły opata w lepszy humor, otworzył szkatułkę z dokumentami i wręczył Guilianowi świadectwo ślubu. Certyfikat był przepięknie wykaligrafowany złotym atramentem na średniowieczną modłę.

- Ślub zostanie odnotowany w klasztornych księgach - zapewnił opat. - Ale nie obawiaj się, nikt się o tym nie dowie.

Panna młoda i jej rodzice już dzień wcześniej przyjechali na osiołkach. Rozlokowali się w zamkowych komnatach, wysprzątanym przez ludzi Guiliana. Ustawiono tam łóżka sklecone z bambusa i trzciny. Turiego bolało, że jego matka i ojciec nie mogą wziąć udziału w uroczystości, gdyż znajdowali się pod ścisłą obserwacją ludzi pułkownika Luki.

Świadkami zaślubin byli jedynie Aspanu Pisciotta, Stefan Andolini, Passatempo, kapral Silvestro i Terranova. Justina zamieniła podróżny strój na białą sukienkę, w której Turi widział ją na ulicy Palermo. Uśmiechnęła się do niego, a on oniemiał na widok tego promiennego uśmiechu. Opat nie przedłużał zbytnio ceremonii zaślubin. Potem wszyscy wyszli na dziedziniec, na którym ustawiono stół - na ucztę weselną składały się wino, zimne mięso i chleb. Wszyscy jedli i pili pospiesznie, wznosząc toasty za młodą parę. Opata i rodziców Justiny czekała jednak długa i niebezpieczna droga powrotna. Istniało prawdopodobieństwo, że w te okolice może się zapuścić patrol karabinierów, a otaczający cały teren uzbrojeni wartownicy wdadzą się z nimi w walkę. Opat pragnął jak najprędzej opuścić to miejsce, lecz Guiliano go zatrzymał.

- Pragnę wam podziękować za to, co dzisiaj uczyniliście. A to po moim weselu chcę dokonać aktu miłosierdzia. Potrzebuję jednak waszej pomocy.

Rozmawiali spokojnie przez chwilę, po czym opat pokiwał głową.

Justina uściskała rodziców. Matka płakała i błagalnie spoglądała na Turiego. Dziewczyna szepnęła jej coś do ucha i starsza kobieta zaraz się roześmiała. Znów padły sobie w objęcia, aż wreszcie rodzice odjechali na osiołkach.

Państwo młodzi noc poślubną spędzili w najświetniejszej komnacie zamku. Komnata była pusta, lecz Turi sprowadził na grzbiecie osła wielki materac, jedwabne prześcieradła, puchową pierzynę i poduszki, kupione w najprzedniejszych sklepach Palermo. Obok znajdowała się łazienka, niemal tak przestronna jak sama sypialnia, z marmurową wanną i ogromną umywalką. Oczywiście nie było bieżącej wody, musiano więc nanieść jej w kubkach. Guiliano osobiście zaczerpnął ją z górskiego strumienia, płynącego nieopodal zamku. Łazienkę zaopatrzył także w przybory toaletowe i perfumy, jakich Justina nigdy dotąd nie widziała.

Naga, z początku speszona, trzymała dłonie między udami. Miała złocistą skórę. Była szczupła, a jednak o pełnych piersiach dojrzałej kobiety. Kiedy ją pocałował, odwróciła twarz tak, że jedynie musnął kącik jej warg. Okazywał cierpliwość nie dlatego, że był wprawnym kochankiem, lecz dlatego, że tak podpowiadał mu zmysł strategiczny, doskonale wyćwiczony przez wszystkie lata partyzanckiej wojny. Justina rozpuściła długie czarne włosy w ten sposób, że zasłaniały piersi. Turi pogładził ją po włosach i zaczął opowiadać, jak to owego brzemiennego w skutki dnia w Palermo pierwszy raz ujrzał w niej kobietę. Jak piękna wtedy była. Wyrecytował jeden z wierszy, które o niej napisał, przesiadując samotnie w górach i rozpamiętując jej wspaniałą urodę. W łóżku się odprężyła, przykryła puchową pierzyną. Guiliano wyciągnął się na wierzchu pościelenia, dziewczyna jednak wciąż umykała wzrokiem.

Wyznała, że zakochała się w nim tego dnia, kiedy przyniosła mu wiadomość od brata. Bolesnie ugodziło ją wtedy, że nie rozpoznał w niej małej dziewczynki, której wiele lat temu oddał utraczone pieniądze. Opowiadała, jak co wieczór, odkąd skończyła jedenaście lat, modliła się za niego. Zapewniła, że kocha go od tamtej pory.

Słuchając słów Justiny, Turi Guiliano czuł się niezwykle szczęśliwy. A więc go kochała, myślała i śniła o nim, kiedy przebywał samotny w górach. Nie przestawał gładzić jej włosów. Ona chwyciła jego rękę i przytrzymała ją. Jej dłoń była ciepła i sucha.

- Czy byłaś zaskoczona, kiedy twój ojciec poprosił cię w moim imieniu, byś mnie poślubiła?

Uśmiechnęła się chytrze i triumfalnie.

- Nie. Widziałam, że w Palermo nie mogłeś oderwać ode mnie wzroku - powiedziała. - Od tamtego dnia szykowałam się dla ciebie.

Nachylił się, by ucałować jej pełne usta barwy czerwonego wina. Tym razem nie odwróciła twarzy. Zdumiał się słodyczą jej warg, oddechu i gotowością jej ciała. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak jego własne ciało roztapia się i gdzieś odpływa. Zaczął dygotać, Justina odchyliła pierzynę, by mógł się przykryć. Obróciła się na bok i wzięła go w ramiona, a wtedy mogli odpłynąć razem. Jej ciało było zupełnie różne od wszystkich innych ciał, których do tej pory dotykał. Zamknęła oczy.

Turi Guiliano całował usta żony, jej zamknięte powieki, potem piersi, skórę tak delikatną i zarazem gorącą, że żar niemal parzył mu wargi. Oszołomił go zapach Justiny, słodki, niezmacony cierpieniem życia, daleki od śmierci. Przesunął dłoń po jej udzie, dotyk jedwabistej skóry sprawił, że Turi poczuł, jak od lędźwi po czubek głowy przeszywa go niemal bolesny dreszcz, co go tak zaskoczyło, że roześmiał się w głos. Lecz wtedy dziewczyna bardzo delikatnie wsunęła jego dłoń między swoje uda, a on niemal całkiem stracił zmysły. Kochał ją namiętnie, a jednak czule, ona odwzajemniała jego pieczyoty niespiesznie, uważnie, a po pewnym czasie równie namiętnie. Kochali się przez resztę nocy, dopiero gdy zaczęło świtać, wyczerpana Justina zapadła w sen.

Kiedy obudziła się koło południa, ujrzała, że wielką marmurową wannę napełniono zimną wodą, a przy umywalce także postawiono pełne wiadra. Turi gdzieś zniknął. Przez chwilę złękła się, że jest sama; potem weszła do wanny i wykąpała się. Następnie wytarła się wielkim, szorstkim brązowym ręcznikiem i skropiła perfumami stojącymi na umywalce. Dokończywszy toalety, włożyła podróżne ubranie: ciemnobrązową sukienkę i biały, zapinany z przodu sweter. Na nogi wsunęła praktyczne, spacerowe pantofle.

Na dworze mocno przygrzewało sycylijskie majowe słońce, od gór jednak wiał chłodny wietrzyk. Przy stole na kozłach paliło się obozowe ognisko, Guiliano czekał na Justinę ze śniadaniem - przypieczonymi nad ogniem grzankami z chłopskiego chleba, szynką i owocami. Znalazł się także kubek mleka, nalanego z metalowej, owiniętej w liście kanki.

W zasięgu wzroku nie było nikogo obcego, więc Justina rzuciła się w ramiona Turiego i ucałowała go namiętnie. Potem podziękowała za przygotowanie śniadania,

zaczęła mu jednak robić wymówki, że nie obudził jej wcześniej, by to ona przyrządziła posiłek. Niesłychane, by czymś takim zajmował się mężczyzna.

Jedli w promieniach słońca. Otaczały ich, chroniąc czarowne chwile, mury okalające chylący się ku upadkowi zamek, nad nimi górowała normańska wieża, jej iglicę zdobiła mozaika z barwnych kamieni. Bramę zamkową wieńczyły piękne normańskie portale, poprzez rumowisko widzieli ołtarz w kaplicy.

Wyszli poza zrujnowany mur otaczający dziedziniec zamku i znaleźli się w sadzie oliwnym, a potem w zagajniku dziko rosnących drzew cytrynowych. Wędrowali ogrodami pełnymi roślinności tak bujnej i pysznej na Sycylii, szli pośród złotogłowi greckich poetów, różowych anemonów, fioletowych hiacyntów, purpurowych kwiatów Adonisa, o których legenda głosiła, że splamione są krwią kochanka Wenus. Turi Guiliano objął ramieniem Justinę, której włosy i ciało przesycił aromat kwiecica. W gęstym zagajniku oliwnym Justina śmiało pchnęła męża na ziemię, na przepastny dywan wielobarwnych kwiatów, i tam się kochali. Nad nimi krążył żółto-czarny obłoczek motyli, potem zniknął na tle przepastnego, lazurowego nieba.

Trzeciego i ostatniego dnia dotarł do nich z gór huk wystrzałów. Justina się przeraziła, ale Guiliano ją uspokoił. Pilnował bowiem starannie, by przez te trzy dni nie przysporzyć jej jakiegokolwiek zmartwienia. Pozbył się nawet broni, w zasięgu wzroku nie można było dostrzec nawet strzelby; ukrył ją bowiem w kaplicy, a uzbrojonym ludziom polecił przezornie, aby usunęli się z widoku. Jednak tuż po palbie pojawił się Aspanu Pisciotta z wiązką zakrwawionych królików, przewieszoną przez ramię. Rzucił je do stóp Justiny i rzekł:

- Przyrządź je dla swojego męża, to jego ulubione danie. - Uśmiechnął się, a kiedy zaczęła je oprawiać, skinął na Guiliana. Obaj ruszyli pod zrujnowany łuk muru i tam usiedli.

- Cóż, Turi - odezwał się, szczerząc zęby w uśmiechu Pisciotta.

- Czy jest warta, byśmy dla niej ryzykowali życie?

Guiliano odparł spokojnie:

- Jestem szczęśliwym człowiekiem. A teraz opowiedz mi o tych dwudziestu królikach, do których strzelałeś.

- To jeden z patroli Luki, ale wzmocniony - wyjaśnił Pisciotta. - Zatrzymaliśmy ich na granicy obwodu. Dwa wozy opancerzone. Jeden z nich wjechał na nasze pole

minowe i przypiekl się tak solidnie, jak twoja żona przypiecze króliki. Drugi wóz postrzelał sobie w skały i umknął czym prędzej z powrotem do Montelepre. Nie ma wątpliwości, że rano tamci zjawią się ponownie, by poszukać swoich towarzyszy. I pojawią się w całej sile. Radzę więc, byście dziś w nocy się stąd wymknęli.

- Ojciec Justiny przyjdzie po nią o świcie - powiedział Guiliano - Czy załatwiłeś nasze małe spotkanie?

- Oczywiście - zapewnił Pisciotta.

- Kiedy moja żona odejdzie... - Guiliano zająknął się przy słowie „żona”, a Pisciotta roześmiał się. Turi odwzajemnił uśmiech i mówił dalej: - ... przyprowadź tych ludzi do mnie do kaplicy i wtedy załatwimy całą sprawę raz na zawsze. - Zamilkł na chwilę i dodał: - Czy byłeś zdziwiony, kiedy wyjawilem ci prawdę o Ginestrze?

- Nie - odparł Pisciotta.

- Zostaniesz na kolacji?

- Na ostatniej kolacji miodowego miesiąca? - Pisciotta pokręcił głową. - Znasz to porzekadło: „Strzeż się kuchni panny młodej”.

- Stara mądrość ludowa, rzecz jasna, odnosiła się do skrytobójczych zamiarów wobec nowych przyjaciół. Pisciotta wciąż uparcie twierdził, że Guiliano nigdy nie powinien się żenić.

Turi uśmiechnął się.

- To wszystko nie może już dłużej trwać... musimy się przygotować do innego życia. Upewnij się, że kordon dotrwa do jutra, żebyśmy mogli zakończyć wszystkie nasze sprawy.

Pisciotta skinął głową. Zerknął w stronę ogniska, na którym Justina gotowała posiłek.

- Ależ z niej piękna dziewczyna - rzekł. - Pomyśleć, że wyrastała tuż pod naszymi nosami, a my nigdy nie zwróciliśmy na nią uwagi. Ale miej się na baczności. Jej ojciec utrzymuje, że jest obdarzona nie tyle jakim temperamentem. Nie pozwól jej trzymać się za dzidę.

Był to typowo sycylijski, wulgarny żart, ale Turi zdawał się go nie słyszeć. Pisciotta przeskoczył przez mur otaczający ogród i zniknął między drzewkami oliwnymi.

Justina zerwała trochę kwiatów, które wstawiła do znalezionej w zamku zabytkowej wazonu, by przyozdobiły stół. Podała przyrządzone jedzenie: królika upieczonego z czosnkiem i pomidorami, w drewnianej misie sałatę przyprawioną oliwą z oliwek i czerwonym octem winnym. Spostrzegła, że Turi jest trochę nieswój, jakby posmutniał. Możliwe, że to z powodu owych wystrzałów, a może dlatego, że w ich rajskim ogrodzie pojawił się Aspanu Pisciotta ze swoją ponurą miną, obwieszony czarnymi rewolwerami.

Usiedli naprzeciw siebie i jedli powoli. Guiliano pomyślał, że Justina jest niezłą kucharką. Szybko i zręcznie dołożyła mu chleba, mięsa, napełniła jego kieliszek winem; matka dobrze ją wysmoliła. Zadowolony spostrzegł, że cieszy się dobrym apetytem i nie była chuda. Podniosła oczy i ujrzała, że Turi ją obserwuje. Uśmiechnęła się i zapytała:

- Czy jedzenie jest tak smaczne jak u twojej matki?

- Lepsze - odparł. - Ale nigdy jej tego nie zdradź.

Wciąż mierzyła go kocim spojrzeniem.

- A czy tak dobre jak u La Venery?

Turi Guiliano nigdy dotąd nie miał do czynienia z młodą dziewczyną. Zaskoczyła go, lecz jego bystry umysł szybko pojął, o co chodzi. Za tym pytaniem padnie następne: o to, jak kochał się z La Venerą. Nie życzył sobie wysłuchiwać takich pytań ani na nie odpowiadać. Tamtej kobiety nie kochał tak jak tę dziewczynę, wciąż jednak darzył La Venerę czułością i szacunkiem. Była kobietą, która przeżyła tragedię i wiele przecierpiała. Ta młódka nie może mieć o tym pojęcia.

Uśmiechnął się powściągliwie do Justiny. Wstała, by posprzątać ze stołu, lecz wciąż czekała na jego odpowiedź.

- La Venera wyśmienicie gotowała - przyznał. - Nie byłoby w porządku porównywać jej z tobą.

Cięnięty z rozmachem talerz o włos minął jego głowę. Turi wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Śmiał się z radości i szczęścia, że uczestniczy w takiej domowej scenie i że po raz pierwszy z twarzy tej młodej dziewczyny zniknęła maska pokory i słodczy. Kiedy jednak Justina zaczęła szlochać, wziął ją w ramiona.

Stali tak w srebrzystym mroku, który na Sycylii zapada błyskawicznie. Turi szeptał do uszka, prześwitującego różowo wśród kruczoczarnych włosów:

- Tylko żartowałem. Jesteś najlepszą kucharką na świecie. - Ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, aby nie dostrzegła, że się uśmiecha.

Ostatniej wspólnej nocy więcej rozmawiali, niż się kochali. Justina wypytywała go o La Venerę, a on zapewniał żonę, że to przeszłość i trzeba o niej zapomnieć. Pytała zatem, jak widzi ich przyszłość. Tłumaczył, że załatwia wyjazd do Ameryki, gdzie do niej dołączy. Lecz to wiedziała już od ojca; teraz martwiła się, w jaki sposób będą się widywać przed jej wyjazdem do Stanów. Guiliano zrozumiał, że Justinie nawet przez myśl nie przeszło, iż on może nie zdołać uciec; była zbyt młoda, aby wyobrazić sobie tragiczny finał.

Ojciec dziewczyny pojawił się tuż przed świtem. Justina, żegnając Turiego, przywarła do niego na chwilę, po czym odeszła.

Guiliano udał się do kaplicy w zrujnowanym zamku i czekał, aż Aspanu Pisciotta przyprowadzi jego dowódców. Wyglądając ich, uzbroił się w ukrytą wcześniej w kaplicy strzelbę.

Rozmawiając tuż przed ślubem z opatem Manfredim, zwierzył się starcowi z podejrzeń, że Stefan Andolini i Passatempo spotkali się z don Croce dwa dni przed masakrą na Portella delia Ginestra. Zapewnił opata, że nie wyrządzi jego synowi najmniejszej krzywdy, lecz musi poznać prawdę. Opat opowiedział mu całą historię. Tak jak Turi przypuszczał, syn mu się do wszystkiego przyznał.

Don Croce poprosił Stefana Andoliniego, by przyprowadził Passatempa do Villaby na potajemne spotkanie. Andoliniemu kazano zaczekać za drzwiami pokoju, w którym obaj mężczyźni konferowali. Miało to miejsce zaledwie na dwa dni przed rzezią. Po pierwszomajowej tragedii Stefan Andolini bez ceremonii wypytał Passatempa, o czym była mowa, a ten przyznał, że don Croce zapłacił mu pokaźną sumkę, by działał wbrew rozkazom Turiego i skierował ogień z karabinu maszynowego prosto w tłum. Passatempo zagroził, jeśli Andolini zdradzi się choć słówkiem przed Guilianem, on przysięgnie, że w czasie układów z don Croce Stefan był cały czas w pokoju. Ten tak się przeraził, że nie wspomniał o tym nikomu oprócz ojca, opata Manfrediego. Manfredi poradził mu, by trzymał gębę na kłódkę. Tydzień po masakrze Guilianem targał wciąż tak pełen żałoby gniew, że z pewnością rozstrzelałby obu towarzyszy.

Guiliano raz jeszcze zapewnił opata, że nie skrzywdzi jego syna. Powiadomił Pisciotte, co ma zamiar uczynić, nalegał jednak, by załatwić sprawę po powrocie

Justiny do Montelepre. Nie zamierzał odgrywać roli rzeźnika, zanim odegra rolę pana młodego.

A teraz czekał w kaplicy zrujnowanego normńskiego zamku, przez której sklepienie prześwitywały błękitne wody Morza Śródziemnego. Oparł się o szczątki ołtarza i tak przyjął wprowadzonych przed Aspanu dowódców. Kapral, poinstruowany przez Pisciotte, zajął pozycję, z której mógł trzymać na muszce Passatempa i Andoliniego. Tych dwóch podprowadzono bezpośrednio przed oblicze Guiliana, pod ołtarz. Terranova, który o niczym nie wiedział, przysiadł na jednej z kamiennych ław. Przez całą noc dowodził kordonem, więc był zmęczony. Guiliano nie powiadomił nikogo, co zamierza uczynić z Passatempa.

Turi zdawał sobie sprawę, że Passatempo przypomina dzikie zwierzę, potrafi przewidzieć zmianę pogody, wyczuwa aurę niebezpieczeństwa, jaką emanują inni ludzie. Guiliano postępował zatem ostrożnie, jak zawsze z tym bandytą. Nieodmiennie zachowywał wobec niego większy dystans niż wobec całej reszty. Prawdę powiedziawszy, wyprawił go daleko, by kontrolował rejon wokół Trapani, gdyż brzydziło go okrucieństwo bandyty. Wykorzystywał wszakże Passatempa do dokonywania egzekucji na informatorach, a także do zastraszania „zaproszonych gości”, kiedy uparcie odmawiali płacenia okupu. Sam wygląd bandyty przerażał więźniów i skracał negocjacje, ale kiedy to nie wystarczało, Passatempo wyjaśniał, co w razie niezłożenia okupu uczyni im i ich rodzinom, a jednocześnie z upodobaniem dodawał, że „goście”, którzy przestaną się stawiać, zostaną uwolnieni najszybciej jak to możliwe.

Guiliano wycelował w Passatempa pistolet maszynowy.

- Nim się rozstaniemy, musimy wyrównać rachunki - powiedział. - Nie usłuchałeś moich rozkazów, wzięłeś od don Croce zapłatę za zmasakrowanie ludzi na Portella delia Ginestra.

Terranova obserwował teraz Guiliana spod przymrużonych powiek, dumając nad własnym bezpieczeństwem, podczas gdy Turi próbował ustalić, kto jest winny. Możliwe, że i on zostanie oskarżony. Mógłby powiedzieć coś na swoją obronę, ale na razie Pisciotta trzymał na muszce Passatempa.

Guiliano zwrócił się do Terranovy:

- Wiem, że ty i twoja banda byliście posłuszni moim rozkazom.

W przeciwieństwie do Passatempa. Czyniąc jednak to, co uczynił, naraził twoje życie na niebezpieczeństwo, więc jeśli nie dojdę prawdy, będę musiał stracić was obu. Ale to już zależy od was.

Stefan Andolini nawet nie drgnął. Raz jeszcze pogodził z tym, co przyniesie los. Był oddany Guilianowi i podobnie jak ci, którzy wierząc w Boga nie potrafili pojąć, że jest mściwy, a zatem w imię obrony Jego czci dopuszczali się przestępstw, ufał z całego serca, iż nie stanie mu się żadna krzywda.

Passatempo natomiast zwierzęcym instynktem wyczuwał, że tuż za nim czai się śmierć. Pomóc mu mogło jedynie wrodzone okrucieństwo, ale przecież wycelowano w niego dwie lufy. Mógł tylko grać na zwłokę i zdecydować się na ostatni, desperacki krok. Powiedział więc:

- Stefan Andolini dał mi pieniądze i przekazał wiadomość, jego też pociągniecie do odpowiedzialności. - Miał nadzieję, że Andolini uczyni jakiś ruch w swojej obronie, a kiedy wywoła zamieszanie on zyska sposobność ataku.

Guiliano zwrócił się do Passatempa:

- Andolini wyznał swoje grzechy, a jego dłoń nigdy nie spoczęła na karabinie maszynowym. Don Croce zdradził go tak, jak on zdradził mnie.

- Ależ ja zabiłem z setkę ludzi, a ty nigdy się nie skarżyłeś - odparł Passatempo w zwierzęcym osłupieniu. - A Portella zdarzyła się niemal dwa lata temu. Walczyliśmy razem siedem lat i tylko wtedy nie usłuchałem twego rozkazu. Don Croce wytłumaczył mi, że nie będziesz miał do mnie żalu za ten uczynek. Że ty sam jesteś na coś takiego za miękki. A cóż za znaczenie ma parę osób więcej, po tych wszystkich, których pozbawiliśmy życia? Wobec ciebie samego nigdy nie byłem nielojalny.

W tej chwili Guiliano zrozumiał, że nie ma nadziei, by ten człowiek pojął potworność swego czynu. A jednak dlaczego jego, Turiego, tak dotkliwie to zraniło? Przecież w ciągu minionych lat sam nakazywał dokonywanie niemal równie straszliwych czynów. Egzekucja fryzjera, ukrzyżowanie oszukańczego księdza, porwania, rzeź karabinierów, bezlitosne likwidowanie szpiegów? Jeżeli Passatempo był z urodzenia i wychowania bestią, to kim jest on, wódz Sycylii? Poczul, że wzdraga się przed dokonaniem egzekucji. Poleciał więc:

- Daję ci czas na pojednanie się z Bogiem. Uklęknij i odmów modlitwę.

Pozostali mężczyźni odsunęli się od Passatempa, zostawiając go samego na jego zgubę. Uczynił ruch, jakby chciał przyklęknąć, a potem całą siłą swego przysadzistego, krępego ciała rzucił się długim susem ku Guilianowi. Ten postąpił krok w przód na jego spotkanie i nacisnął spust pistoletu maszynowego. Kule trafiły Passatempa w powietrzu, a jednak jego ciało, padając, zawadziło o Turiego. Ten się cofnął.

Tego popołudnia ciało Passatempa znaleziono na drodze patrolowanej przez karabinierów. Przypięto do niego kartkę, na której widniały słowa: **TAK SKOŃCZĄ WSZYSCY, KTÓRZY ZDRADZILI GUILIANA.**

Księga piąta

Turi Guiliano i Michael Corleone

1950

Rozdział pierwszy

Michael był pogrążony w głębokim śnie, kiedy nagle go coś obudziło. Miał uczucie, jakby wydobywał ciało z przepastnej studni. Sypialnię spowijały kompletne ciemności; zamknął drewniane okiennice przed jasnocytrynowym światłem księżyca. Nie dobiegł go żaden dźwięk, tylko dziwna cisza, zakłócona teraz szalonym biciem jego serca. Wyczuł czyjąś obecność w pokoju.

Obrócił się na łóżku, wydawało mu się, że widzi w pobliżu jaśniejszą plamę na czerni podłogi. Sięgnął ręką i zapalił nocną lampkę. Światło padło na odciętą głowę Czarnej Madonny. Pomyślał, że może spadła ze stolika, a stuknięcie figurki o podłogę wyrwało go ze snu. Odprężył się i uśmiechnął z ulgą. W tej chwili dobiegł go cichy szmer. Obejrzał się w stronę, skąd dobiegł ów szelest, i w cieniu, którego nie rozjaśniało stłumione pomarańczowe światło lampy, dojrzał ciemną, szczupłą twarz Pisciotty.

Aspanu siedział na podłodze, plecami oparty o drzwi. Ozdobione wąsikami usta rozciągnięte były w triumfalnym uśmiechu, który mówił: i tyle warte tutejsze straże, bezpieczeństwo twojego schronienia.

Michael zerknął na zegarek leżący na nocnym stoliku. Była trzecia.

- Wybrałeś sobie dziwną porę. Czego tutaj szukasz? - spytał.

Wstał, ubrał się szybko, potem otworzył okiennice. Do sypialni wpływały promienie księżyca, to pojawiając się, to znikając niczym duchy. - Dlaczego mnie nie obudziłeś?

Pisciotta poderwał się jak zmija unosząca łeb, by zaatakować.

- Lubię przyglądać się śpiącym ludziom. Niekiedy przez sen wykrzykują swoje tajemnice.

- Ja nigdy nie zdradzam swoich sekretów - zapewnił Michael. - Nawet przez sen. - Wyszedł na taras i poczęstował Pisciottę papierosem. Zapalili. Michael słyszał, jak piersiami Aspanu wstrząsa tłumiony kaszel, rzeczywiście w świetle księżyca jego twarz wyglądała upiornie, niczym czaszka kościotrupa. Milczeli. Potem odezwał się Pisciotta:

- Czy udało ci się dotrzeć do *Testamentu*!

- Tak - odparł Michael.

Pisciotta westchnął.

- Turi ufa mi bardziej niż komukolwiek na świecie... Zawierzył mi nawet własne życie. Jestem jedyną osobą, która teraz może się z nim skontaktować. Lecz w sprawie *Testamentu* nawet wobec mnie jest ostrożny. Masz go?

Michael zawahał się chwilę. Pisciotta roześmiał się.

- Jesteś podobny do Turiego - rzekł.

- *Testament* wywieziono do Ameryki - wyjaśnił Michael. - Jest już bezpieczny u mojego ojca. - Nie chciał, by Pisciotta wiedział, iż papiery znajdują się właśnie w drodze do Tunisu, ponieważ uważał, że nikt nie powinien być tego świadom.

Michael niemal lękał się zadać następne pytanie. Powód, dla którego Pisciotta go tak potajemnie odwiedził, mógł być tylko jeden. Wyłącznie jedna rzecz mogła sprawić, że ryzykował przemknięcie się przez ochraniających willę strażników; a może go przepuszczono? Prawdopodobnie Guiliano wreszcie postanowił się zjawić.

- Czyżby Guiliano się zdecydował?

- Jutro w nocy - odparł Pisciotta. - Ale nie tutaj.

- Dlaczego? - zdziwił się Michael. - To bezpieczne miejsce.

Pisciotta roześmiał się.

- Ale ja się tutaj przedarłem, zgadza się?

Michaela zirytowała ta niezaprzeczalna prawda. Jeszcze raz się zastanowił: a może Pisciotta minął ochronę na rozkaz don Domenico? Może nawet on sam go tutaj wprowadził?

- Decyzja należy do Guiliana - zapewnił.

- Nie - zaprzeczył Pisciotta. - To ja muszę za niego decydować. Przyrzekłem jego rodzinie, że będzie bezpieczny. Ale don Croce wie, że przebywasz tutaj, tak samo inspektor Velardi. Ich szpiedzy są wszędzie. Jakie masz plany wobec Guiliana? Ślub, przyjęcie urodzinowe? Pogrzeb? Co za bzdury nam opowiesz? Czy sądzisz, że my Sycylijczycy jesteśmy osłami? - Wypowiedział te słowa groźnym tonem.

- Nie zamierzam zwierzać ci się z moich planów ucieczki „ oświadczył Michael. - Nie masz wyboru, musisz mi zaufać, powiesz, gdzie dostarczysz Guiliana, a ja się tam

stawię. Nie powiesz - jutro wieczorem znajdę się bezpieczny w Ameryce, podczas gdy ty i Guiliano wciąż będziecie uciekać przed śmiercią.

Pisciotta roześmiał się i odparł:

- Przemawiasz jak prawdziwy Sycylijczyk, nie zmarnowałeś lat spędzonych w tym kraju. - Westchnął. - Nie potrafię uwierzyć, że to wszystko ma dobiec końca. Niemal siedem lat walki i ucieczek, zdrady i morderstwa. Ale staliśmy się królami Montelepre, Turi i ja, chwały starczyło dla nas obu. On stawał po stronie nędzarzy, ja dbałem tylko o siebie. Z początku wcale nie wierzyłem w jego intencje, ale w drugim roku naszego wygnania udowodnił to mnie i całej naszej bandzie. Nie zapominaj, że jestem jego zastępcą i kuzynem, człowiekiem, któremu najbardziej ufa. Tak jak on, noszę pas ze złotą sprzączką. Sam mi go podarował. Ale uwiodłem córkę rolnika z Partinico, która zaszła w ciążę. Jej ojciec udał się do Guiliana i opowiedział mu o tym. I wiesz, co zrobił Turi? Przywiązał mnie do drzewa i wychłostał batem. Nie na oczach tego wieśniaka lub któregośkolwiek z naszych ludzi. Nigdy nie naraziłby mnie na taki wstyd. To był nasz sekret. Wiem jednak, że jeśli po raz drugi nie usłuchałbym jego rozkazów, zabiłby mnie. Taki jest nasz Turi. - Jego dłoń wędrując do ust, drżała. W niknącym blasku księżyca wąski wąsik Aspanu wyglądał niczym srebrna żyłka na czarnym kamieniu.

Michael pomyślał, że to dziwna historia. Dlaczego Aspanu mu ją opowiedział?

Wrócili do sypialni i Michael zamknął okiennice. Pisciotta podniósł odciętą głowę Madonny z podłogi i wręczył ją Michaelowi:

- Zrzuciłem ją na ziemię, żeby cię obudzić. *Testament* był wewnątrz figurki, prawda?

- Tak - przyświadczył Michael.

Mina Pisciotty wydłużyła się!

- Maria Lombardo mnie okłamała. Powiedziała, że nie. A potem ofiarowała ci ją na moich oczach. - Roześmiał się gorzko. - Zawsze traktowała mnie jak syna. - Umilkł na chwilę i dodał: - A ja widziałem w niej matkę.

Aspanu poprosił o następnego papierosa. W dzbanku na nocnym stoliku zostało jeszcze trochę wina. Michael nalał je do kieliszków, Pisciotta wypił ochoczo.

- Dziękuję. A teraz musimy omówić nasze plany. Przyrowadź Guiliana na obrzeża miasteczka Castelvetro. Weź odkryty wóz, bym mógł cię rozpoznać, i jedź

prosto drogą, która prowadzi z Trapani. Zatrzymam cię, tam gdzie uznam za stosowne. Gdyby nam coś groziło, włóż czapkę, a my się nie pokażemy. Czas - tuż po świtaniu. Potrafisz to zorganizować?

- Owszem - zapewnił Michael. - Wszystko jest załatwione. Ale muszę ci o czymś powiedzieć: Stefan Andolini nie stawiał się wczoraj na spotkanie z Adonisem. Profesor jest bardzo zaniepokojony.

Pisciotta po raz pierwszy okazał zdenerwowanie, potem jednak wzruszył ramionami.

- Ten karzełek zawsze przynosi pecha. A teraz muszę się pożegnać. A więc do jutra, o świcie. - Ujął dłoń Michaela.

- Jedź z nami do Ameryki - rzucił impulsywnie Michael.

Pisciotta pokręcił głową.

- Całe życie spędziłem na Sycylii i pokochałem je takim, jakie jest. Tak więc jeśli muszę umrzeć, umrę na wyspie. Ale mimo to dziękuję ci.

Michaela nadzwyczajnie poruszyły te słowa. Chociaż tylko przelotnie znał Pisciottę, wyczuwał, że tego człowieka nigdy nie da się przenieść poza pola i góry wyspy. Był zbyt okrutny, nadto żądny krwi; jego koloryt, głos przynależały wyłącznie do Sycylii. Nigdy nie zaufałyby obcej ziemi.

- Przeprowadzę cię przez bramę - zaproponował Michael.

- Nie. Nasze spotkanie musi pozostać tajemnicą.

Po wyjściu Pisciotty Michael do świtu przeleżał na łóżku, nie mogąc zasnąć. Wreszcie spotka się z Turim Guilianem twarzą w twarz; wspólnie udadzą się w podróż do Ameryki. Zastanawiał się, jakim Turi okaże się człowiekiem. Czy dorasta do swojej legendy? O wiele piękniejszej niż życie na wyspie i losy jej mieszkańców? Wstał. Wreszcie nadszedł brzask, Michael obserwował, jak słońce unosi się znad morza, rzucając na wodę złociste smugi, a potem na takiej szerokiej smudze jasności dojrzał motorówkę, pospiesznie zdążającą w stronę przystani. Wybiegł na nabrzeże, by powitać Petera Clemenzę.

Razem zjedli śniadanie, Michael opowiedział Peterowi o wizycie Pisciotty. Clemency najwyraźniej nie zdziwiło, że Aspanu zdołał się wdrzeć do strzeżonej willi.

Resztę ranka spędzili, ustalając plany spotkania z Guilianem. Przypuszczalnie szpiedzy obserwowali willę, sprawdzając, czy nie widać w niej jakiegoś nadzwyczaj-

nego poruszenia; kolumna samochodów z pewnością zwróciłaby ich uwagę. Poza tym Michael także bez wątpienia znajduje się pod ścisłą obserwacją. Prawda, sycylijska policja bezpieczeństwa pod wodzą inspektora Velardiego nie będzie interweniować, ale kto wie, gdzie może czaić się zdrada?

Kiedy skończyli omawianie planów, zjedli lunch, potem Michael poszedł do swojej sypialni, by uciąć sobie popołudniową drzemkę. Chciał odpocząć po męczącej nocy. Peter Clemenza musiał dopilnować zbyt wielu spraw - wydać swoim ludziom rozkazy, załatwić transport i instruować brata, don Domenico, nim ten ruszy w drogę powrotną do domu.

Michael zamknął okiennice sypialni i położył się do łóżka. Czuł napięcie, nie mógł zasnąć. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin może zdarzyć się wiele straszliwych rzeczy. Przeczuwał, że nadciąga coś niedobrego. Ale potem zaczął marzyć o powrocie do domu na Long Island, śnić, że matka i ojciec czekają na niego w progu. Że dobiegł kres jego długiego wygnania.

Rozdział drugi

W siódmym roku banicji Turi Guiliano zdawał sobie sprawę, że musi rozstać się ze swoim górskim królestwem i uciec do Ameryki, w której go poczęto i o której, kiedy był dzieckiem, rodzice snuli barwne opowieści. Do krainy z baśni, gdzie panuje sprawiedliwość dla ubogich, gdzie rząd nie jest na pasku bogaczy, a Sycylijszyk bez grosza przy duszy wyłącznie dzięki uczciwej pracy może się dorobić majątku.

Don Croce, powołując się na więzy przyjaźni, skontaktował się z don Corleone w Ameryce, by ten pomógł w ocaleniu Guiliana i ofiarował mu schronienie. Turi Guiliano rozumiał doskonale, że don Croce kieruje się także własną korzyścią, lecz zdawał sobie jednocześnie sprawę, że sam nie ma wielkiego wyboru. Siła jego bandy należała już do przeszłości, przestała istnieć.

Tej nocy miał ruszyć w drogę na spotkanie z Aspanu Pisciotą; odda się w ręce tego Amerykanina, Michaela Corleone. Opuści góry. Góry, które przez siedem lat go chroniły. Rozstanie się ze swoim królestwem, ze swoją władzą, rodziną, wszystkimi towarzyszami. Jego armia rozproszyła się, góry przeczesywano; jego protektorzy, Sycylijszycy, zostali zdławieni przez Brygadę Specjalną pułkownika Luki. Gdyby tu pozostał, odniósłby może parę zwycięstw, lecz jego ostateczna klęska była przesądzona. A więc nie mógł podjąć innej decyzji.

Turi Guiliano przerzucił przez ramię luparę, wziął pistolet maszynowy i ruszył w długą drogę do Palermo. Miał na sobie białą koszulkę bez rękawów, lecz na nią włożył skórzaną kurtkę o głębokich kieszeniach, w których trzymał zapasową amunicję. Zwolnił tempo. Na zegarku była dziewiąta, a na niebie, mimo łagodnej księżycowej poświaty, wciąż widział smugi dziennego światła.

Istniało niebezpieczeństwo natknięcia się na patrole Brygady Specjalnej do Walki z Bandytyzmem, Guiliano jednak maszerował bez lęku. W ciągu minionych lat wyrobił w sobie umiejętność stawania się niewidzialnym. Wszyscy tutejsi mieszkańcy strzegli go. Gdyby buszowały tu patrole, poinformowałyby go; gdyby coś mu groziło, ostrzegliby go i udzielili schronienia w swoich domach. Jeśliby go zaatakowano, pasterze i rolnicy raz jeszcze stawiliby się pod samotnym sztandarem. Był ich wodzem, nigdy by go nie zdradzili.

W ciągu miesięcy, jakie upłynęły od dnia ślubu Turiego i Justiny, dochodziło do licznych potyczek między Brygadą Specjalną pułkownika Luki a poszczególnymi oddziałami bandy Guiliana. pułkownik wykorzystał już możliwości płynące z zabójstwa Passatempa. Gazety pod wielkimi nagłówkami doniosły, że jeden z najgroźniejszych dowódców Guiliana zginął w zaciętej bitwie, stoczonej z bohaterskimi żołnierzami Brygady Specjalnej do Walić z Bandytyzmem. Oczywiście pułkownik Luca zataił wiadomość o kartce pozostawionej przy ciele, lecz don Croce dowiedział się o niej z ust inspektora Velardiego. Wiedział zatem, że Guiliano był w pełni świadom zdrady popełnionej na Portella delia Ginestra.

Pięcioletnia armia Luki wywierała ogromny nacisk na Guiliana. Już nie odważyłby się pojawić w Palermo, by się tam zaopatrzyć w prowiant, ani przemknąć się do Montelepre w odwiedziny do matki i Justiny. Wielu z jego ludzi zostało zdradzonych i zabitych. Niektórzy wyemigrowali do Algierii lub Tunezji. Inni pozaszywali się w kryjówkach, co wykluczało ich czynny udział w akcjach bandy. Obecnie mafia stała przeciwko Turiemu w jawnej opozycji, wykorzystując swoją siatkę do wydawania jego ludzi w ręce karabinierów.

I wreszcie przeciwnikowi udało się dopaść jednego z dowódców.

Terranova miał pecha, a jego szlachetność sprowadziła na niego nieszczęście. Nie odznaczał się okrucieństwem Passatempa, diabelską przebiegłością Pisciotty, żądzą krwi Fra Diavalo, ani też ascetyczną naturą Guiliana. Był inteligentny, a jednocześnie wrażliwy, Turi zaś często wykorzystywał to, by nawiązać przyjaźń z ofiarami porwania i nakłonić je do rozdawania pieniędzy i żywności wśród biednych. To Terranova i jego banda w środku nocy oblepili Palermo plakatami, w których wyjaśniano poglądy i cele Guiliana. Terranova rzadko brał udział w krwawych akcjach.

Był człowiekiem, który zyskał sobie miłość i szacunek. Kilka lat wcześniej poznał w Palermo wdowę z trójką małych dzieci. Kobieta ta została jego kochanką. Nie zdawała sobie sprawy, że Terranova należy do bandy. Sądziła, że pracuje dla rządu w Rzymie i właśnie spędza na Sycylii urlop. Była wdzięczna za prezenty, jakimi obdarowywał jej dzieci, choć zdawała sobie sprawę, że nigdy nie wezmą ślubu. Otaczała go jednak czułością i troską, na jaką zasługiwał. Gdy do niej zachodził, przyrządzała mu wyszukane posiłki, prała jego ubranie, kochali się z gwałtowną namiętnością. Ów związek nie mógł być wieczną tajemnicą dla przyjaciół przyjaciół,

don Croce zaś pieczołowicie przechowywał informacje, które mógłby wykorzystać w odpowiednim czasie.

Justina kilka razy odwiedziła Guiliana w górach, podczas podróży ochraniał ją Terranova. Jej uroda wzbudziła w nim uczucie tęsknoty za kobietą, więc chociaż wiedział, iż postępuje nierozsądnie, postanowił po raz ostatni zobaczyć się ze swoją wdową. Chciał ofiarować jej okazałą sumę, która zabezpieczyłaby los kobiety i jej dzieci w nadchodzących latach.

I tak oto któreś nocy przemknął się do Palermo. Wręczy! wdowie pieniądze i wyjaśnił, że najprawdopodobniej przez czas dłuższy nie będą się mogli widywać. Płakała, protestowała, wreszcie musiał zdradzić jej swoją prawdziwą tożsamość. Oniemiała ze zdumienia. On, tak miły w obejściu, tak łagodny z natury, jest jednym z wielkich dowódców słynnego Guiliana! Tego dnia kochała się z nim z namiętnością tak żarliwą, że go naprawdę zachwyciła, potem spędzili szczęśliwy wieczór z trójką dzieciaków. Terranova wcześniej nauczył je grać w karty, a teraz kiedy wygrywały, płacił im prawdziwymi pieniędzmi, co przyjmowały wybuchami radości.

Kiedy dzieciaki poszły już do łóżek, Terranova aż do świtu kochał się z wdową. Potem przygotował się do wyjścia. W progu uścisnął ją po raz ostatni, następnie ruszył szybko małą uliczką, wiodącą na duży plac przed katedrą. Czuł się radośnie zaspokojony, umysł miał spokojny. Odpreżony, przestał być czujny.

Poranne powietrze rozdarł ryk silników. W stronę Terranovy zmierzały z ogromną szybkością trzy czarne samochody. Rynek otoczyli uzbrojeni ludzie. Inni wyskoczyli z wozów. Jeden z nich krzyknął, by się poddał, podniósł ręce do góry.

Terranova po raz ostatni spojrzął na katedrę, na figury świętych w niszach. Widział niebieskie i żółte balkony, słońce wschodzące na błękitnym niebie. Zrozumiał, że nigdy już nie ujrzy tych cudów, że siedmioletni czas szczęścia dobiegł kresu. Pozostało mu do zrobienia tylko jedno.

Rzucił się w powietrze, jak gdyby przeskakiwał ponad samą śmiercią w bezpieczny wszechświat. Kiedy upadł na bok, uderzając ciałem o ziemię, wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Jeden z żołnierzy zachwiał się i osunął na kolana. Terranova usiłował wystrzelić jeszcze raz, lecz wtedy setka kul zasypała jego ciało, rozszarpując je na strzępy, odrywając ciało od kości. Pod pewnym względem miał szczęście - wszystko to nastąpiło tak błyskawicznie, że nie miał czasu pomyśleć, czy nie wydała go kochanka.

*

Śmierć Terranovy wywołała w Guilianie przeczucie zagłady. Wiedział, że skończyło się panowanie jego bandy. Że jego ludzie nigdy już nie zdołają z powodzeniem przeprowadzić kontrataku, że nie mogą się dłużej ukrywać w górach. Zawsze wydawało mu się, że on i jego dowódcy potrafią się wymknąć, że śmierć ich nie pokona. Teraz zrozumiał, iż niewiele pozostało mu czasu. Chciał zrobić jeszcze jedno, tak więc wezwał kaprała Silvestra.

- Nasz czas się skończył - rzekł do niego. - Kiedyś opowiadałeś mi, że masz w Anglii przyjaciół, którzy cię ochraniają. Nadeszła pora, byś do nich pojechał. Masz na to moje pozwolenie.

Kaprał Silvestro pokręcił głową.

- Zawsze mogę wyjechać, kiedy już wylądujesz bezpiecznie w Ameryce. Wciąż jestem ci potrzebny. Wiesz, że nigdy cię nie zdradzę.

- Wiem - zapewnił Guiliano. - A ty wiesz o miłości, jaką cię zawsze darzyłem. Lecz nigdy nie zostałeś bandytą z krwi i kości. Jesteś urodzonym żołnierzem i policjantem. Twoje serce nieodmiennie opowiada się po stronie prawa. Dlatego też możesz ułożyć sobie życie, kiedy tu już będzie po wszystkim. Reszta z nas będzie z tym miała trudności. Na wieki pozostaniemy bandytami.

- Nigdy nie uważałem cię za bandytę - powiedział Silvestro.

- Ani ja ciebie. A jednak co robiłem w ciągu tych siedmiu lat. Wydawało mi się, że walczę o sprawiedliwość. Starłem się pomóc biednym. Miałem nadzieję przynieść Sycylii wolność. Chciałem być dobry. Ale działałem w złym miejscu i w złym czasie. A teraz musimy uczynić wszystko, aby ocalić własne życie. Powinieneś zatem wyjechać do Anglii. Będę szczęśliwy wiedząc, że nic ci nie grozi. - Uściskał Silvestra. - Należałeś do moich prawdziwych przyjaciół, a teraz bądź posłuszny moim rozkazom.

O zmroku Turi Guiliano opuścił grotę i skierował się do klasztoru kapucynów pod Palermo, gdzie miał czekać na znak od Aspanu Pisciotty. Jeden z mnichów był potajemnym członkiem jego bandy, to on miał pieczę nad klasztorowymi katakumbami. W katakumbach spoczywały setki zmumifikowanych ciał.

Przez stulecia, aż do pierwszej wojny światowej, zwyczajem członków bogatych arystokratycznych rodzin było pozostawianie na klasztornych murach strojów, w

których chcieli być pochowani. Kiedy umierali, po uroczystościach pogrzebowych ich ciała przewożono do klasztoru. Mnisi byli mistrzami w sztuce konserwowania zwłok. Na pół roku wystawiali ciała na powolne działanie ciepła, potem wysuszali miękkie części. Podczas tego procesu skóra marszczyła się, rysy wykrzywiały w najrozmaitsze maski śmierci, niektóre przerażające, inne komiczne, a wszystkie straszne dla tych, co je oglądali. Potem zwłoki ubierano w dostarczone stroje i wkładano do szklanych trumien. Owe trumny umieszczano w niszach ściennych lub podwieszano na linach biegnących od sklepienia. Niektóre zwłoki usadzano na krzesłach, inne ustawiano wzdłuż ścian. Te utknięte w szklanych pudłach przypominały wystrojone lalki.

Guiliano ułożył się na wilgotnym kamieniu katakumb, używając trumny jako poduszki. Przyglądał się zmarłym w ciągu setek lat Sycylijczykom. Spoczywał tu książę w niebieskim, jedwabnym, ozdobionym kryzą stroju, w hełmie na głowie i z rapierem w dłoni. Dworzanin, wymuskany na francuską modłę, w białej peruce i pantoflach na wysokich obcasach. Kardynał w czerwonej sutannie, arcybiskup w mitrze. Dworskie piękności, których złociste suknie przypominały teraz pajęczę siatki, duszące zmumifikowane, skurczone ciała, jak gdyby to były muchy. W szklanej trumnie zamknięto zwłoki dziewicy w białych rękawiczkach i białej koronkowej nocnej koszuli.

Guiliano fatalnie spał w ciągu spędzonych w tym otoczeniu dwóch nocy. Zresztą kto by spał lepiej? - pomyślał. Oto wielcy mężowie i niewiasty Sycylii z minionych trzech lub czterech wieków, którzy sądzili, że zdołają w ten sposób ujść robakom. Duma i próżność bogatych, nieuchronność losu. O wiele lepiej było umrzeć na drodze, jak mąż La Venery.

Jednakże Guilianowi naprawdę zmrużenie oczu uniemożliwił dokuczliwy niepokój. Jakim cudem don Croce udało się ujść z życiem na początku tygodnia, kiedy to dokonano na niego zamachu? Turi wiedział, że akcja była doskonale opracowana. Obmyślał ją od chwili, w której dowiedział się prawdy o masakrze na Portella delia Ginestra. Dona tak dobrze strzeżono, że należało wyszukać jakieś słabe ogniwo w jego ochronie. Guiliano uznał, że największe szansę powodzenia akcja będzie miała wtedy, kiedy don Croce poczuje się bezpiecznie w silnie strzeżonym hotelu Umberto w Palermo. Banda miała tam swojego szpiega, jednego z kelnerów. Poinformował bandytów o rozkładzie zajęć dona, o rozstawieniu ochrony. Turi, dysponując takimi informacjami, był przekonany, że zamach musi się powieść.

Zwołał do Palermo trzydziestu swoich ludzi. Wiedział o wizycie Michaela Corleonego i o jego lunchu z don Croce, poczekał więc do popołudnia, kiedy to dotarł do niego meldunek, iż Michael pożegnał się z gospodarzem. Wówczas dwudziestu bandytów przypuściło frontalny atak na hotel, by odciągnąć strażników z ogrodu. Chwilę później on sam i pozostałych dziesięciu ludzi podłożyło materiał wybuchowy pod otaczający ogród mur. Guiliano poprowadził ich przez wyrwę. W środku pozostało jedynie pięciu ochroniarzy; Turi zastrzelił jednego, a reszta uciekła. Popędził więc do pokoi don Crocego, lecz apartament okazał się pusty. Najbardziej zdziwiło Turiego, że był on niestrzeżony. Tymczasem reszta oddziału przedarła się przez zaporę obrony i dołączyła do niego. Ludzie przeszukali po drodze pokoje i korytarze, ale nikogo nie znaleźli. Potężna tusza don Croce uniemożliwiała mu błyskawiczną ucieczkę, nasuwała się zatem tylko jeden wniosek. Don Croce opuścił hotel tuż po Michaelu. Guilianowi zaświtała nagle myśl, że ktoś ostrzegł go o napadzie.

To fatalnie, dumął Guiliano. Miał to być ostatni ze słynnych ataków, poza tym pozbycie się najgroźniejszego wroga. Jakież śpiewano by ballady, gdyby w zalanym słonecznymi promieniami ogrodzie znaleziono trupa dona! Lecz ten dzień jeszcze nadejdzie. Przecież on, Turi, nie zostanie w Ameryce na wieki.

Na trzeci dzień rano kapucyn o ciele i twarzy niemal tak wysuszonych, jak u mumii, którymi się opiekował, przyniósł wiadomość od Pisciotty. Brzmiała ona: „W domostwie Karola Wielkiego”. Guiliano natychmiast zrozumiał. Peppino, główny woźnica z Castelvetro, który pomógł Guilianowi w uprowadzeniu ciężarówek don Croce i był sekretnym sojusznikiem bandy, miał trzy powozy i sześć osiołków. Na wszystkich trzech wymalowano sceny z legendy o wielkim władcy, a Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta jako chłopcy dom Peppina nazywali domem Karola Wielkiego. Czas spotkania ustalono już zawczasu.

Tej nocy, ostatniej nocy na Sycylii, Guiliano ruszył w drogę do Castelvetro. Za Palermo dołączył do grupki pasterzy, tajnych członków swojej bandy, i wykorzystał ich jako ochronę. Ci tak beztrąsko skierowali się do miasteczka, że wzbudziło to podejrzenia Turiego. Osada zdawała się zanadto otwarta. Odprawił ochroniarzy, którzy rozplynie się w mroku nocy. Potem skierował się do małego kamiennego domku poza granicami Castelvetro, gdzie na podwórzu stały trzy pomalowane wozy, a na wszystkich legenda jego własnego życia. Było to obejście wujka Peppina.

Gospodarz nie zdziwił się na jego widok. Odłożył pędzel, którym malował deskę jednego z wozów. Potem zamknął drzwi i zwrócił się do Guiliana:

- Mamy kłopoty. Przyciągasz karabinierów, tak jak padły muł zwabia muchy.

Turi poczuł przypływ adrenaliny.

- Czy to Brygada Specjalna pułkownika Luki? - spytał.

- Tak - przyświadczył Zu Peppino. - Ukryli się, nie patrolują ulic. Natknąłem się na kilka ich pojazdów, kiedy wracałem z pracy. A paru woźniców poinformowało mnie, że widzieli inne wozy.

Sądziłem, że tamci zastawiają pułapkę na członków twojej bandy, lecz nie przyszło nam do głowy, że może chodzić właśnie o ciebie. Nigdy nie zapuszczałeś się aż tutaj, tak daleko od swoich gór.

Guiliano zastanowił się, skąd karabinierzy mogli wiedzieć o umówionym spotkaniu. Czyżby śledzili Aspanu? Może Michael Corleone i jego ludzie nie dochowali tajemnicy? Albo trafił się jakiś kapuś? Tak czy owak, nie powinien spotykać się z Pisciotą w Castelvetrano. Mieli jednak umówione awaryjne miejsce, na wypadek gdyby któryś z nich nie mógł stawić się tutaj.

- Dziękuję za ostrzeżenie - rzekł Guiliano. - Odszukaj w miasteczku Pisciotę i powiedz mu o tym wszystkim. Potem pojedź do Montelepre, złóż wizytę mojej matce i zawiadom ją, że jestem bezpieczny w Ameryce.

- Pozwól, by stary człowiek cię uściskał - poprosił wuj. Ucałował Turiego w oba policzki. - Nigdy nie wierzyłem, że zdołasz pomóc Sycylii, nikt tego nie potrafi, nikt nigdy nie zdołał tego dokonać, nawet Garibaldi, nawet ten gadatliwy II Duce. A teraz, jeśli wola, zaprzęgnę muły i zawiozę cię, dokąd tylko zechcesz.

Guiliano i Pisciotta wyznaczyli sobie spotkanie przed północą. Teraz była zaledwie dziesiąta. Turi celowo przyszedł za wcześnie. Wiedział, że ma dołączyć do Michaela przed świtem. Awaryjne miejsce spotkania znajdowało się o dwie godziny szybkiego marszu od Castelvetrano. Lepiej jednak było udać się tam na piechotę, niż skorzystać z propozycji Zu Peppina. Podziękował staremu i wymknął się w noc.

Miejscem spotkania były słynne starożytne greckie ruiny miasta Selinunt. Ruiny znajdowały się na południe od Castelvetrano, nieopodal Mazara del Vallo, wznosiły się tuż koło morza na pustej równinie, która kończyła się stromym, skalistym klifem. Miasto runęło podczas potężnego trzęsienia ziemi jeszcze przed narodzeniem

Chrystusa, lecz zachował się rząd marmurowych kolumn akropolu i architrawy. Wszystko to wydobyli kopacze. Odkryli też główną ulicę, teraz obróconą w ruinę, z szeregiem szkieletów starożytnych zabudowań, znaczących jej trasę. Ocalała również świątynia ze sklepieniem porośniętym winoroślą, naga i ziejąca dziurami niczym trupia czaszka, a także kolumnada, zwiędła i szara wskutek upływu czasu. Sam akropol wzniesiono, jak nakazywał zwyczaj, w najwyższym punkcie miasta, tak więc jego pozostałości królowały nad spokojną równiną.

Przez cały dzień wiało sirocco, straszliwy pustynny wiatr. Teraz w nocy, tuż nad morzem, przyniósł mgłę, która spowiła ruiny. Guiliano, wyczerpany długim, forsownym marszem, obszedł wkoło klif, aby móc widzieć, co dzieje się w dole, i sprawdzić czy miejsce jest bezpieczne.

Widok był tak piękny, że na chwilę zapomniał, w jakim on sam znajduje się niebezpieczeństwie. Świątynia Apollina osunęła się tworząc rumowisko poskręcanych kolumn. Inne leżące w gruzach świątynie błyszcząły w świetle księżyca - pozbawione ścian, zachowały jedynie kolumnady i szczątki dachów; kawałek muru fortecznego z pojedynczym, umieszczonym wysoko oknem, ział pustką, choć przenikało przezeń światło księżyca. Poniżej, pod akropolem, znajdowały się pozostałości tego, co niegdyś było właściwym miastem; stała tam samotna kolumna, otoczona zrównanymi z ziemią gruzami. Nawet tysiąclecia nie potrafiły jej powalić. Było to słynne *Il Fuso di la Vecchia*, Wrzeciono Starej Panny. Sycylijczycy tak przywykli do zabytków, które na ich wyspie pozostawili starożytni Grecy, że traktowali je z pełnym czułości lekceważeniem. Tylko cudzoziemcy robili wokół nich wiele wrzawy.

To właśnie oni dźwignęli dwanaście potężnych kolumn, przed którymi stanął Turi. Ich ogrom zdawał się na miarę Herkulesa, lecz za nimi widać było jedynie skupisko ruin. U podstawy kolumn, niczym żołnierze zwrócenii twarzą do dowódcy, znajdowały się schody, wyrastające, zdawałoby się, wprost z ziemi. Guiliano przysiadł na górnym stopniu. Plecami oparł się o kolumnę. Sięgnął pod kurtkę i odpiął pistolet maszynowy i luparę, potem położył je przed sobą na kamiennym schodku. Kłęby mgły przetaczały się pośród ruin, Turi jednak wiedział, że jeśli ktokolwiek by nadchodził spomiędzy gruzów, usłyszałby osypujące się kamienie i dostrzegłby wroga wcześniej, niż tamten zdołałby zobaczyć jego.

Wsparł się o kolumnę, rad z odpoczynku; ciało miał obolałe z wysiłku. Czerwcowy księżyc zdawał się mijać szarobiałe kolumny, by zawisnąć nad skalistym urwiskiem,

prowadzącym do morza. Za tym morzem była Ameryka. A w Ameryce Justina i mające przyjść na świat dziecko. Wkrótce on, Turi, będzie bezpieczny i siedem lat górskiego wygnania wyda mu się tylko snem. Przez chwilę rozmyślał, jakie czeka go tam życie, czy potrafi być szczęśliwy gdziekolwiek poza Sycylią. Pewnego dnia wróci tutaj i zaskoczy wszystkich. Westchnął znużony, rozwiązał sznurowadła i zdjął buty. Ściągnął skarpety, z ulgą dotknął stopami zimnego kamienia. Sięgnął do kieszeni, wyjął dwie gruszki, a ich chłodna o tej nocnej godzinie słodycz orzeźwiła go. Z dłonią na pistolecie maszynowym czekał na Aspanu Pisciotte.

Rozdział trzeci

Michael, Peter Clemenza i don Domenie zjedli wczesną kolację. Jeżeli mieli zdążyć o świcie na spotkanie, to operacja przejścia Guiliana musiała zacząć się o zmierzchu. Jeszcze raz omówili plan, który Domenie zaaprobował. Dodał jeden szczegół: Michael nie może być uzbrojony. W razie gdyby coś poszło nie tak i karabinierzy albo służba bezpieczeństwa aresztowała ich, Michaelowi nie można by postawić żadnych zarzutów, a zatem, bez względu na dalszy rozwój wypadków, zdołałby opuścić Sycylię.

Wypili w ogrodzie dzban wina z cytryną i nadszedł czas pożegnania. Don Domenie ucałował brata na do widzenia. Odwrócił się do Michaela i szybko go uściskał.

- Przekaż moje ukłony ojcu - powiedział. - Modłę się za twoją przyszłość, życzę ci wszystkiego najlepszego. Jeślibyś w nadchodzących latach potrzebował mojej pomocy, prześlij tylko słówko.

We trzech ruszyli na przystań. Michael i Peter Clemenza weszli na gotową do odpłynięcia motorówkę, pełną już uzbrojonych po zęby ludzi. Łódź odbiła od brzegu. Don Domenie machał na pożegnanie. Michael i Peter Clemenza zeszli pod pokład do kabiny. Clemenza ułożył się do snu na jednej z koi. Miał za sobą ciężki dzień, a płynąć będą aż do wczesnego świtu.

Zmienili plany. Samolot na Mazara del Vallo, którym jakoby zamierzali przedostać się do Afryki, był po prostu przynętą. W rzeczywistości do Afryki chcieli umknąć łodzią. Optował za tym Clemenza, dowodził, że potrafi kontrolować drogę i obsadzić łódź swoimi ludźmi, nie potrafi jednak zapewnić bezpieczeństwa na małym lądowisku. Byłoby tam zbyt wiele przestrzeni, komuś pewnie udało się prześliznąć, a samolot to słaba osłona; na ziemi łatwo przemieniłby się w śmiertelną pułapkę. Szybkość nie wydawała się tak ważna jak chytrość, a na morzu łatwiej się skryć niż w powietrzu. Poza tym, co istotne, łatwiej byłoby przenieść się na inny statek, z samolotu zaś nie sposób wsiąść.

Clemenza cały dzień zajmował się wysyłaniem pewnych, sprawdzonych ludzi i samochodów, by zgromadzili się w umówionym miejscu na drodze wiodącej do

Castelvetrano; inni mieli ubezpieczać miasteczko Mazara del Vallo. Wysyłał ich co godzina. Strzegł, by szpiedzy nie zorientowali się, iż przez bramy osady przedostaje się jakiś nadzwyczajny konwój. Aby zmylić obserwatorów, samochody odjeżdżały w różnych kierunkach. Tymczasem motorówka opływała południowo-wschodnie wybrzeża Sycylii, aby stanąć na horyzoncie, zanim zacznie świtać, a wtedy z wielkim hukiem miała wdrzeć się do portu Mazara del Vallo, gdzie czekały na nich samochody i ludzie. Stamtąd było nie więcej niż pół godziny jazdy do Castelvetrano, chociaż musieli nadłożyć drogi na północ, do Trapani, gdzie miał ich przejąć Pisciotta.

Michael wyciągnął się na koi. Dochodziło go chrapanie Clemenzy, podziwiał tego człowieka, który potrafił wykorzystać na sen każdą wolną chwilę. Pomyślał, iż za dwadzieścia cztery godziny wyląduje w Tunisie, a za dalsze dwanaście godzin znajdzie się w domu, wśród bliskich. Po dwóch latach wygnania stanie się w pełni wolnym człowiekiem, nie będzie już musiał uciekać przed policją, nie będzie zależny od zachcianek jakiegokolwiek protektora. Będzie robił dokładnie to, na co mu przyjdzie ochota. Ale stanie się tak dopiero wtedy, gdy przeżyje najbliższe trzydzieści sześć godzin. Kiedy wyobrażał sobie, jak spędzi pierwsze dni w Ameryce, monotonne kołysanie łodzi uspiło go, zapadł w sen marzeń.

Fra Diavalo spał snem o wiele głębszym.

Stefan Andolini w dniu, w którym miał zabrać profesora Hectora Adonisa z Trapani, wpierw pojechał do Palermo. Musiał spotkać się z szefem sycylijskiej służby bezpieczeństwa, inspektorem Velardim, jak często ostatnimi czasy, kiedy inspektor informował go o planach dziennych pułkownika Luki. Andolini zawoził te wieści Pisciotcie, który z kolei przekazywał je dalej Guilianowi.

Ranek był piękny; łąki, które przecinała droga, zaścielał kobierzec kwiatów. Stefan przystanął przy jednej z kapliczek na papierosa, potem uklęknął pod zamkniętym na kłódkę ołtarzykiem z figurką świętej Rozalii. Jego modlitwa była prosta i rzeczowa, błagał świętą, by chroniła go przed wrogami. W najbliższą niedzielę wypowiada się z grzechów przed ojcem Beniaminem i przystąpi do komunii. Teraz promienne słońce ogrzało jego goją głowę, przesycone aromatem kwiatów powietrze było ciężkie, obmywało jego nozdrza i zmysł powonienia z nikotyny. Był głodny jak wilk. Przynurzył sobie, że po spotkaniu z inspektorem Velardim zje w Palermo sute śniadanie w restauracji.

Inspektor Frederico Velardi, szef sycylijskiej policji bezpieczeństwa, odczuwał uzasadniony triumf człowieka, który czekał cierpliwie, niezachwianie wierząc w Boga, co ostatecznie zaprowadzi porządek we wszechświecie, i wreszcie doczekał się nagrody. Blisko rok, działając w myśl sekretnych i bezpośrednich rozkazów ministra Trezzy, pomagał Guilianowi umykać przed swoimi karabinierami i lotnymi brygadami. Spotykał się z tym mordercą Stefanem Andolinim, Fra Diavalo. Przez ten rok Velardi w istocie stał się podwładnym don Croce Malo.

Inspektor pochodził z północy Włoch, gdzie ludzie osiągnęli coś dzięki nauce, szacunkowi dla umów społecznych, wierze w prawo i rząd. Roczna służba na Sycylii wzbudziła w nim pogardę i głęboką nienawiść do tutejszych mieszkańców, zarówno tych wysoko, jak i nisko postawionych. Bogaci byli wyzuci z wszelkiej przyzwoitości i tłamsili biedaków, wykorzystując swoje zbrodnicze powiązania z mafią. Mafia, która jakoby miała ochraniać biednych, wysługiwała się bogaczom, by wyzyskiwać nędzarzy. Chłopi byli zbyt dumni, mieli tak rozwinięte poczucie własnej godności, że sławiliby morderstwo nawet wtedy, gdyby przyszło im resztę życia spędzić w więzieniu.

Ale teraz to wszystko się zmieni. On, Velardi, ma wreszcie rozwiązane ręce, a jego lotne brygady zostały spuszczone ze smyczy. Ludzie w końcu znów rozumieją, na czym polega różnica między policją bezpieczeństwa a marionetkowymi karabinierami.

Ku jego zdumieniu minister Trezza osobiście wydał rozkaz, by wszystkich, którzy legitymują się podpisanymi przez niego samego przepustkami w czerwonych obwódkach - owymi wszechmocnymi przepustkami, pozwalającymi ich właścicielom bez trudu pokonywać blokady, przenosić broń, unikać rutynowych aresztowań - zatrzymywano i więziono w odosobnieniu, uprzednio odebrawszy im przepustki. Chodziło zwłaszcza o Aspanu Pisciotte i Stefana Andoliniego.

Velardi przygotował się do wykonania zadania. Andolini czekał przed jego gabinetem na odprawę. Tego dnia miała go spotkać niespodzianka. Velardi podniósł słuchawkę i wezwał kapitana wraz z czterema sierżantami policji. Powiadomił ich, by przygotowali się na kłopoty. Sam w kaburze u pasa miał pistolet, chociaż zazwyczaj unikał noszenia broni we własnym biurze. Potem kazał wezwać Andoliniego z poczekalni.

Ruda czupryna Stefana była starannie wyszczotkowana. Miał na sobie czarny w nikły biały prążek garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Przecież, jakkolwiek na to patrzeć, wizyta u szefa policji bezpieczeństwa była oficjalną okazją, należało zatem okazać mu szacunek. Stefan przyszedł bez broni. Z doświadczenia wiedział, że każdy, kto przekracza próg kwatery głównej, poddawany jest rewizji. Stał przed biurkiem Velardiego, czekając na zwykłe zaproszenie, by usiadł. Nie doczekał się, więc stał dalej, a w jego głowie zapaliło się pierwsze ostrzegawcze światełko.

- Pokażcie mi najpierw swoją przepustkę specjalną - zażądał inspektor Velardi.

Andolini ani drgnął. Usiłował pojąć, co kryje się za tą dziwną prośbą. Skłamał z nawyku.

- Nie mam jej przy sobie. Wszak odwiedzam przyjaciela. - Specjalny nacisk położył na słowie „przyjaciela”.

Rozwścieczyło to Velardiego. Wyszedł zza biurka i stanął przed Andolinim.

- Nigdy nie zaliczałeś się do grona moich przyjaciół. Kiedy dzieliłem się chlebem ze świnia taką jak ty, wypełniałem jedynie rozkazy. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Jesteś aresztowany. Zostaniesz wtrącony do mojego więzienia na dalsze przesłuchania, a musisz wiedzieć, że w kazamatach mam *cassette*. Jeśli jednak okażesz się rozsądny, możemy sobie jutro rano spokojnie porozmawiać w moim biurze i oszczędzić ci bólu.

Nazajutrz inspektor Velardi odbył kolejną rozmowę telefoniczną z ministrem Trezzą, a także z don Croce. Po paru minutach Andoliniego sprowadzono z celi do jego gabinetu.

Noc spędzona samotnie w celi pozwoliła Andoliniemu na przemyślenia i przekonała go, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kiedy wszedł, zobaczył, że Velardi przemierza tam i z powrotem gabinet, niebieskie oczy płonęły, inspektor najwyraźniej był wściekły. Andolini zachował zimną krew. Nic nie uszło jego uwagi - ani kapitan i czterech sierżantów w stanie gotowości, ani pistolet u boku Velardiego. Zdawał sobie sprawę, że inspektor zawsze go nienawidził; sam zresztą w pełni odwzajemniał to uczucie. Gdyby zdołał go przekonać, by odprawił ochronę, przynajmniej mógłby go zabić, nim sam zginie. Odezwał się więc:

- Będę mówił, lecz nie przy tych *sbirri*. - Słowo *sbirri* było wulgarnym i obraźliwym określeniem policji bezpieczeństwa.

Velardi rozkazał czterem policjantom opuścić gabinet, ale kapitanowi gestem dał znak, by został. Zasygnalizował mu także, aby miał broń w pogotowiu. Potem całą uwagę skupił na Stefanie Andolinim.

- Żądam od ciebie wszelkich informacji na temat, jak mogę dostać w swoje ręce Guiliana. I chcę wiedzieć, kiedy po raz ostatni widziałeś się z nim i z Pisciottą.

Andolini roześmiał się, jego twarz mordercy wykrzywiła się w złowrogim uśmiechu. Broda, porośnięta rudą szczecina, zdawała się płonąć.

Velardi pomyślał, że nic dziwnego, iż Andolini zyskał przydomek Fra Diavalo. Ten człowiek był naprawdę niebezpieczny. Nie powinien się domyślić, co ma się stać.

- Odpowiedz na moje pytanie albo rozciągnę cię w *cassette* - powiedział spokojnie.

- Ty zdradziecki bękarcie - odparł pogardliwie Andolini - znajduję się pod specjalną ochroną ministra Trezzy i don Croce. Kiedy mnie zwolnicie, wyrwę twoim *sbirri* serca.

Velardi podniósł rękę i dwukrotnie uderzył Andoliniego w twarz, raz wnętrzem, raz wierzchem dłoni. Zobaczył, jak na jego wargach pojawiła się krew, dostrzegł też wściekłość w oczach bandyty. Celowo odwrócił się, aby zająć miejsce za biurkiem.

W tej samej chwili Stefan Andolini, u którego ślepy gniew stłumił instynkt przetrwania, wyszarpnął pistolet z kabury inspektora i usiłował wystrzelić. Jednocześnie oficer policji wyciągnął swoją broń i czterokrotnie oddał strzał w jego stronę. Andolinim rzuciło o przeciwległą ścianę, osunął się na podłogę. Białą koszulę zaplamiała czerwona krew. Velardi pomyślał, że idealnie pasuje kolorem do Andoliniego włosów. Nachylił się i wyjął pistolet z ręki bandyty, w chwili gdy pozostali policjanci wpadli do gabinetu. Pochwalił kapitana za wykazaną czujność, a potem na oczach oficera załadował pistolet kulami, z których opróżnił go przed rozmową. Nie chciał bowiem, aby kapitan żył złudzeniami, iż naprawdę ocalił beztronską głowę szefa policji bezpieczeństwa. Następnie rozkazał swoim ludziom, by przeszukali ciało. Tak jak się spodziewał, wśród dokumentów, jakie każdy Sycylijczyk obowiązany był mieć przy sobie, znaleziono przepustkę w czerwonej obwódce. Velardi zabrał ją i umieścił w swoim sejfie. Chciał osobiście wręczyć dokument ministrowi Trezzie, razem - jeśli dopisze mu szczęście - z przepustką Pisciotty.

Michaelowi i Clemenzie jeden z marynarzy przyniósł na pokład filiżanki gorącej kawy z ekspresu. Wypili ją, opierając się o nadburcie. Łódź niespiesznie zmierzała w kierunku lądu, silniki nie pracowały, widzieli światła na przystani, bladoniebieskie punkciki.

Clemenza przeszedł pokładem, wydając rozkazy uzbrojonym ludziom i pilotowi. Michael nie odrywał wzroku od niebieskich światełek, które zdawały się ku niemu przybliżać. Łódź nabrała szybkości, pruła wodę, wyrzucając ją za rufę w mrok nocy. Na niebie pojawiły się pierwsze zwiastuny świtu. Michael zobaczył przystań i plażę Mazary del Vallo; różnobarwne parasole nad stolikami kafejek z oddali przypominały ciemne róże.

Kiedy zacumowali, czekało na nich sześciu ludzi w trzech samochodach. Clemenza poprowadził Michaela do pierwszego auta, otwartego, niemal zabytkowego pojazdu, w którym siedział tylko kierowca. Clemenza zajął miejsce z przodu, Michael usadowił się z tyłu.

- Gdyby zatrzymał nas patrol karabinierów, daj nura na podłogę - polecił Clemenza. - Nie możemy zbłąźnić się na tych drogach, po prostu zdmuchniemy ich i zwiejemy.

Trzy szerokie, turystyczne samochody ruszyły w promieniach bladego, porannego słońca przez krainę, która od czasu narodzin Chrystusa prawie się nie zmieniła. Starożytne akwedukty i dreny wciąż nawadniały pola. Robiło się ciepło i parno, powietrze wypełniał zapach kwiatów, zaczynających więdnąć w żarze sycylijskiego lata. Minęli Selinunt, ruiny antycznego greckiego miasta. Michael widział zwalone kolumny marmurowych świątyń, wzniesionych jak Sycylia długa i szeroka, przez greckich osadników przed ponad dwoma tysiącami lat. Kolumnady majaczyły w niesamowitej, żółtej poświacie, zachowane fragmenty dachów odcinały się czernią na tle błękitnego nieba. Żyzna ziemia piętrzyła się nad urwiskami skalistych klifów. W zasięgu wzroku nie było ani domostwa, ani zwierzęcia, ani człowieka. Ten krajobraz stworzyło jakby cięcie gigantycznego miecza.

Potem skręcili na północ, by wjechać na drogę łączącą Trapani z Castelvetro. Teraz Michael i Clemenza stali się czujniejsi; gdzieś tutaj miał pojawić się Pisciotta i zaprowadzić ich do Guiliana. Michael czuł autentyczne wzruszenie. Trzy wycieczkowe samochody zwolniły. Na siedzeniu po swojej lewej stronie Clemenza położył pistolet maszynowy, aby w razie potrzeby błyskawicznie móc strzelić ponad drzwiczkami

samochołu, i nie wypuszczał go z dłoni. Słońce zawędrowało już wysoko na niebo, jego promienie oblewały ich rozpalonym złotem. Samochody zwolniły jeszcze bardziej; dojeżdżali już prawie do miasteczka Castelvetrano.

Clemenza nakazał szoferowi jechać jak najwolniej. Wraz z Michaeliem wypatrywali jakiegokolwiek znaku od Pisciotty. Znajdowali się na obrzeżach Castelvetrano, zjeżdżali z wzniesienia drogi, zatrzymali się, gdyż ujrzeli, że tuż przed nimi zaczyna się główna ulica leżącego w dole miasteczka. Z tego punktu obserwacyjnego Michael bez trudu mógł dostrzec wiodącą do Palermo drogę zablokowaną wojskowymi pojazdami; ulice roily się od karabinierów w czarnych mundurach z białymi lampasami. Można było usłyszeć wycie licznych syren, choć najwyraźniej nie rozpraszały one tłumu na głównej ulicy. Ponad ich głowami krążyły dwie małe awionetki.

Szofer zaklął i nacisnął hamulec, kierując samochód na pobocze drogi. Odwrócił się do Clemenzy i spytał:

- Chcecie, bym jechał dalej?

Michael poczuł, jak coś go ściska w żołądku.

- Ilu mamy ludzi, którzy czekają na nas w miasteczku? - spytał Clemenzy.

- Nie dość wielu - odparł z goryczą Clemenza. Miał niemal wystraszoną minę. - Mike, powinniśmy się stąd zabierać. Musimy wracać na łódź.

- Zaczekaj - powstrzymał go Michael, spostrzegłszy, że w ich stronę niespiesznie zmierza pod górę zaprzężony w osiołka wóz. Woźnicą okazał się starszy człowiek w słomianym kapeluszu, nasuniętym głęboko na czoło. Na kołach, dyszlu i bokach pojazdu wymalowano legendarne sceny. Wóz zatrzymał się przed nimi jak wryty. Twarz woźnicy była pomarszczona i obojętna, a ręce z grubymi węzłami mięśni obnażone po ramiona. Człowiek ten miał na sobie jedynie czarną kamizelkę i obszerne czarne, płócienne spodnie. Mężczyzna podszedł do samochodu i spytał:

- Czy to wy jesteście don Clemenza?

Na twarzy Clemenzy odmalowała się ulga.

- Wujku Peppino, do diabła, co ty tu robisz? Dlaczego moi ludzie nie wyszli, by mnie ostrzec?

Kamienna, pobrużdżona twarz Peppina nie wyrażała żadnych emocji.

- Możesz wracać do Ameryki - oznajmił. - Załatwili Turiego Guiliana.

Wiadomość ta poraziła Michaela. Zdawało mu się, że to grom spadł z jasnego nieba. Pomyślał o starych rodzicach Turiego, o czekającej w Ameryce Justinie, o Aspanu Pisciotcie i Stefanie Andolinim. O Hectorze Adonisie. Turi Guiliano był gwiazdą ich życia, toteż zdawało się niemożliwe, że jej blask już zgasł.

- Jesteś pewien, że to on? - spytał ochrypłym głosem Clemenza.

Stary człowiek wzruszył ramionami.

- Guiliano często uciekał się do starej sztuczki, podstawiając trupa lub kukłę, aby karabinierom zdawało się, że go zabili. Teraz jednak minęły dwie godziny i nic się nie zdarzyło. Ciało wciąż leży na dziedzińcu, tam gdzie Turiego zabito. Zjechali już dziennikarze z Palermo, fotografują wszystko, co się rusza, nawet moje osiołki. Trudno nie uwierzyć w to, co się stało.

Michaelowi zbierało się na mdłości, zdołał się jednak odezwać:

- Musimy tam pojechać i zobaczyć to na własne oczy. Chcę mieć pewność.

- Żywy czy martwy, nie możemy mu teraz pomóc - powiedział szorstko Clemenza.
- Mike, zabieram cię do domu.

- Nie - odparł spokojnie Michael. - Musimy tam pojechać. Może czeka na nas Pisciotta. Albo Stefan Andolini. Chcą opowiedzieć nam, co się stało. A może to nie on, nie potrafię uwierzyć, że to on Nie mógłby zginąć, nie teraz, kiedy miał otwartą drogę ucieczki Nie teraz, kiedy jego *Testament* jest bezpieczny w Ameryce.

Clemenza westchnął. Po minie Michaela zorientował się, że chłopak cierpi. Może to istotnie nie Guiliano; może gdzieś wygląda ich Pisciotta. Może to część planu; pewnie chodzi o to, by odwrócić uwagę od ucieczki Turiego, skoro władze depczą mu po piętach.

Słońce już stało w zenicie. Clemenza rozkazał kierowcom, by zaparkowali samochody i ruszyli za nim. Potem wraz z Michaeliem pomaszerowali zatłoczoną ulicą. Ludzie gromadzili się u wylotu bocznej uliczki, zastawionej wojskowymi wozami i zablokowanej kordonem karabinierów. Uliczka zabudowana była wolno stojącymi domkami, które oddzielały od siebie podwórka. Clemenza i Michael stanęli za tłumem, wraz z nim obserwując, co się dzieje. Oficer karabinierów przepuszczał za kordon dziennikarzy i urzędników, sprawdziwszy uprzednio ich dokumenty. Michael zwrócił się do Clemency:

- Potrafisz tak zrobić, żebyśmy ominęli tego wojskowego?

Clemenza niecierpliwie chwycił Michaela za ramię i wyprowadził go z tłumu.

Po godzinie znaleźli się w jednym z niewielkich domków, oddalonym o jakieś dwadzieścia podwórek od miejsca, w którym gromadził się tłum. Clemenza zostawił tam Michaela pod opieką czterech ludzi, sam zaś z dwoma wrócił do miasta. Zniknęli na godzinę, a kiedy się znów pojawili, nie ulegało wątpliwości, że Clemenza jest do głębi wstrząśnięty.

- Sprawy mają się źle, Michael - oznajmił. - Z Montelepre ściągnięto matkę Guiliana, by zidentyfikowała ciało. Zlatują się dziennikarze z całego świata, nawet ze Stanów. Przybył pułkownik Luca, dowódca Brygady Specjalnej. To miasto zamienia w dom wariatów. Lepiej się stąd wynośmy.

- Jutro - powiedział Michael. - Jutro uciekniemy. A teraz przekonajmy się, czy uda nam się wyminąć strażę. Zdziałałeś coś w tej sprawie?

- Jeszcze nie - przyznał Clemenza.

- Wyjdźmy więc i przekonajmy się, co da się zrobić.

Mimo sprzeciwów Clemenzy wyszli na ulicę. Zdawało się, że w całym mieście roi się od karabinierów. Michael szacował, że musi ich być przynajmniej z tysiąc. Do tego dosłownie setki fotoreporterów. Półciężarówki i samochody zakorkowały ulice, nie było sposobu, by przedostać się w pobliże dziedzińca. Ujrzeli grupkę wysokich rangą oficerów, zmierzających do restauracji. Rozległy się szepty, że to pułkownik Luca wraz ze swoim sztabem idzie uczcić sukces. Michael rzucił przelotne spojrzenie na pułkownika. Był to niewysoki, żylasty mężczyzna o ponurej twarzy. Żar lal się z nieba, więc zdjął czapkę i białą chusteczką ocierał pot z łysiejącej głowy. Tłum reporterów robił mu zdjęcia, a zastęp dziennikarzy zadawał pytania, ale on, milcząc, odprawił ich gestem i zniknął w restauracji.

Ulice miasta były tak zatłoczone, że Michael i Clemenza z trudem torowali sobie drogę. Clemenza uznał, że powinni zawrócić do domku i czekać na wiadomości. Później, po południu, jeden z mężczyzn przyniósł wieść, że Maria Lombardo rozpoznała ciało swojego syna.

Obiad zjedli w knajpce na wolnym powietrzu. Nastawione na cały regulator radio podawało informacje o śmierci Guiliana. Mówiono, że policja otoczyła dom, w którym, wedle jej informacji, miał się ukrywać Turi. Bandyta natychmiast otworzył

ogień. Kapitan Perenze, szef sztabu pułkownika Luki, wziął udział w konferencji prasowej. Wyjaśnił, że Guiliano rzucił się do ucieczki, on zaś, kapitan Perenze, ścigał go i dopadł na dziedzińcu. Perenze mówił, że Guiliano szarpnął się niczym lew w pułapce, ale on wystrzelił i zabił go. Wszyscy goście w restauracji słuchali radia. Nikt nie jadł. Kelnerzy nawet nie usiłowali podawać zamówionych dań; oni także zamienili się w słuch. Clemenza zwrócił się do Michaela ze słowami:

- Ta cała sprawa śmierdzi. Dziś wieczorem wyjeżdżamy.

Jednakże w tej właśnie chwili ulica, przy której znajdowała się knajpka, zaroła się od funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa. Przy krawężniku zahamował wóz, z którego wysiadł inspektor Velardi. Podszedł do ich stolika i położył dłoń na ramieniu Michaela:

- Jest pan aresztowany - powiedział. Lodowato niebieskie oczy utkwiał w Clemenzie. - A dla pełni szczęścia i ciebie z nim zabierzemy. Jeszcze tylko ostrzeżenie. Knajpę otacza setka moich ludzi. Nie róbcie zamieszania, bo wkrótce dołączycie w piekło do Guiliana.

Do krawężnika podjechała policyjna furgonetka. Michaela i Clemenzę dopadli funkcjonariusze policji bezpieczeństwa, zrewidowali, potem brutalnie wepchnęli do samochodu. Kilku fotoreporterów siedzących w knajpce wyskoczyło ze swoimi aparatami, ale policjanci natychmiast ich przepędzili. Inspektor Velardi przyglądał się temu wszystkiemu z uśmiechem pełnym złośliwej satysfakcji.

Nazajutrz ojciec Turiego Guiliana z balkonu swojego domu w Montelepre przemówił do zgromadzonych w dole ludzi. Zgodnie z odwieczną sycylijską tradycją poprzysiągł zemstę zdrajcom swego syna, a zwłaszcza człowiekowi, z którego rąk Turi zginął. Ten człowiek, mówił, to nie kapitan Perenze, to nie karabinier. Nazwisko tego mężczyzny brzmi Aspanu Pisciotta.

Rozdział czwarty

W ciągu ostatniego roku Aspanu Pisciotta czuł, jak w jego sercu rozrasta się czarny robak zdrady.

Pisciotta był zawsze lojalny. Od dziecięcych lat bez cienia zazdrości akceptował przywództwo Guiliana. Guiliano zaś nigdy nie krył, że Pisciotta wraz z nim kieruje bandą, że nie jest jednym ze zwykłych dowódców, jak Passatempo, Terranova, Andolini i kapral. Jednakże silna osobowość Turiego sprawiła, że współdowodzenie okazało się mitem; jedynym komendantem był Guiliano. Pisciotta pogodził się z tym bez słowa protestu.

Guiliano był odważniejszy niż inni. Nikt nie potrafił dorównać mu w prowadzeniu partyzanckiej wojny, ten wspaniały strateg wzbudził u Sycylijczyków taką miłość, jakiej nie zyskał nikt od czasów Garibaldiego. Był idealistą i romantykiem, obdarzonym dziką przebiegłością, podziwianą przez mieszkańców wyspy. Miał jednak także i wady, które Pisciotta dostrzegł i usiłował skorygować.

Kiedy Turi upierał się, by pięćdziesiąt procent łupów bandy rozdzielać między ubogich, Pisciotta powiedział mu:

- Możesz być albo bogaty, albo uwielbiany. Myślisz, że Sycylijczycy powstaną i pod twoim sztandarem ruszą na Rzym. Tak się nigdy nie stanie. Będą cię kochać i brać od ciebie pieniądze, w razie potrzeby udzielą ci schronienia, nigdy cię nie wydadzą. Ale nie ma w nich woli dokonania rewolucji.

Pisciotta sprzeciwiał się słuchaniu pochlebstw don Croce i chadeków. Protestował przeciwko zdławieniu na Sycylii komunistycznych i socjalistycznych organizacji. Kiedy Guiliano był przekonany, że chrześcijańscy demokraci zapewnią mu ułaskawienie, Pisciotta tłumaczył:

- Nigdy tego nie zrobią, a don Croce za nic nie pozwoli, byś zyskał jakąkolwiek władzę. Naszym przeznaczeniem jest wykupienie się zrabowanymi pieniędzmi, inaczej któregoś dnia stracimy życie jako bandyci. Choć to nienajgorsza śmierć, przynajmniej dla mnie.

Ale Guiliano go nie słuchał, co ostatecznie zrodziło w Pisciocie niechęć do niego. Od tego czasu zaczął w nim rosnać ukryty robak zdrady.

Guiliano zawsze był ufny, niewinny, Pisciotta natomiast trzeźwiej spoglądał na świat. Kiedy na wyspie pojawił się wraz ze swoją Brygadą Specjalną pułkownik Luca, Aspanu zrozumiał, że koniec jest bliski. Mogli wygrać sto bitew, ale samotna walka oznaczała śmierć. Podobnie jak Roland z Oliwierem w legendzie o Karolu Wielkim, tak spierali się Guiliano z Pisciottą, a Turi okazał się zbyt niezachwiany w swoim heroizmie. Pisciotta widział się raczej w roli Oliwiera, błagającego na klęczkach Rolanda, by wreszcie zadał w róg i wezwał pomoc.

Potem, kiedy Guiliano zakochał się w Justynie i poślubił ją, Pisciotta zrozumiał, iż ich, jego i Turiego, drogi przeznaczenia rzeczywiście się rozeszły. Guiliano ucieknie do Ameryki, będzie miał żonę i dzieci. On natomiast, Pisciotta, na zawsze zostanie wygnańcem. Nie spodziewał się długiego życia, wykończy go kula albo gruźlica. Tak mu było pisane. Nigdy nie osiedli się w Ameryce.

Pisciottę najbardziej jednak niepokoił fakt, że Guiliano, który zdobył miłość i czułość młodej dziewczyny, stał się bardziej okrutny niż dotąd. Teraz zabijał karabinierów, choć przedtem tylko ich więził. Bez wahania zgładził Passatempa. Nikomu podejrzanemu o donosicielstwo nie okazywał miłosierdzia. Pisciotta był przerażony, bał się, że człowiek, którego przez te wszystkie lata kochał i ochraniał, może zwrócić się przeciwko niemu. Lękał się, że jeśli Guiliano dowie się o kilku postępkach, jakich się niedawno dopuścił, i na nim także może dokonać egzekucji.

Don Croce od trzech lat bacznie obserwował relacje między Guilianem a Pisciotta. Ci dwaj stwarzali jedyne zagrożenie w jego planach zbudowania imperium. Jediną przeszkodę w tym, by mógł objąć niepodzielną władzę nad Sycylią. Z początku sądził, że potrafi uczynić z Guiliana i jego bandy zbrojne ramię przyjaciół przyjaciół. Wysłał Hectora Adonisa, by przemówił do Turiego. Układ był jasny. Turi Guiliano stanie się największym wojownikiem Sycylii, don Croce najpotężniejszym mężem stanu. Ale Guiliano musiałby się podporządkować, a tego właśnie odmówił. Podążał za własną gwiazdą, chciał pomagać biedocie, uczynić z Sycylii wolny kraj, wyzwolić ją spod jarzma Rzymu. Tego don Croce nie potrafił zrozumieć.

Lecz od 1943 do 1947 roku gwiazda Guiliana jaśniała coraz silniejszym blaskiem. Don Croce wciąż musiał w pocie czoła wykuwać jednolitą siłę przyjaciół przyjaciół. Przyjaciele nie pozbiali się jeszcze po straszliwym zdziśiatkowaniu ich szeregów przez faszystowski rząd Mussoliniego. Tak więc don Croce pomniejszył siłę Guiliana,

wplątując go w alians z partią chrześcijańskich demokratów, a sam tymczasem odbudował potęgę mafii i czekał na odpowiednią chwilę. Po raz pierwszy uderzył, organizując masakrę na Portella delia Ginestra, za którą obarczano winą Turiego; był to majstersztyk, don Croce nie mógł jednak przypisać sobie chwały. Posunięcie to zniweczyło wszelkie szanse na to, by rząd z Rzymu ułaskawił Turiego i uprawomocnił jego władzę nad Sycylią. Splamiło też na zawsze sławę bohatera, z którą obnosił się jako przywódca sycylijskiej biedoty. A kiedy Guiliano dokonał egzekucji na sześciu mafijnych szefach, don Croce nie miał już wyboru. Przyjaciele przyjaciół i banda Guiliana musieli stanąć do walki na śmierć i życie.

Don Croce skupił zatem baczniejszą uwagę na Pisciotcie. Aspanu był bystry, ale - jak wszyscy młodzi ludzie - nie przywiązywał dostatecznej wagi do ukrytego terroru i zła, czającego się w sercach najlepszych ludzi. Pisciotta miał także upodobanie do wszelkich pokus świata. Kiedy Guiliano rozdawał pieniądze, on doceniał korzyści, jakie mogą płynąć z ich posiadania. Turi nie zachował nawet lira z milionów, które zdobył dzięki popełnionym zbrodniom. Swoją część rozdawał ubogim i wspomagał rodzinę.

Wszakże don Croce zauważył, że Pisciotta ubiera się w garnitury uszyte przez najprzedniejszych krawców w Palermo i odwiedza najkosztowniejsze prostytutki. I że rodzina Pisciotty żyje o wiele dostatniej niż rodzina Guiliana. Don Croce poza tym dowiedział się, że Pisciotta pod fałszywymi nazwiskami założył konta w palermiańskich bankach, a także zabezpieczył się na inne sposoby, co wskazywało, iż jest człowiekiem, którego z pewnością interesuje przeżycie. Podobnie jak fałszywe dokumenty, miał także bezpieczną kryjówkę w Trapani. Don Croce wiedział, że Aspanu wszystko to ukrywa przed Guilianem. Wyczekiwał więc odwiedzin Pisciotty wizyty, o którą prosił sam Aspanu, który był świadom, że don Croce z ciekawości zawsze chętnie otworzy przed nim swoje drzwi. Don Croce kierowała też przezorność i dalekowzroczność. Ochraniali go uzbrojeni ludzie, poza tym postawił w stan pogotowia pułkownika Luce i inspektora Velardiego, by mogli się pojawić w każdej chwili, jeśli negocjacje przebiegną pomyślnie. W przeciwnym razie - jeżeli źle ocenił Pisciotkę lub gdyby chodziło o podwójną zdradę, wypichconą przez Guiliana - wysłał Aspanu Pisciotkę na tamten świat.

Pisciotta pozwolił się rozbroić, nim wprowadzono go przed oblicze don Croce. Nie bał się, gdyż zaledwie kilka dni wcześniej wyświadczył mu ogromną przysługę; ostrzegł go, iż Guiliano planuje napad na hotel.

Obaj mężczyźni rozmawiali tylko w cztery oczy. Służba zastawiła stół winem i półmiskami, a don Croce, gospodarz starej daty, sam nappełnił kieliszek i talerz Aspanu.

- Skończyły się dobre czasy - przemówił. - Teraz ty i ja musimy być bardzo uważni. Nadeszła pora, abyśmy powzięli decyzję, która może zaważyć na naszym życiu. Ufam, że jesteś gotów wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

- Nie wiem, na czym polega wasz problem - odparł Pisciotta. - Rozumiem wszakże, że muszę być dostatecznie bystry, aby ocalić własną skórę.

- Nie chciałbyś wyemigrować? - zapytał don Croce. - Możesz razem z Guilianem wyjechać do Ameryki. Chociaż tam wino nie jest tak dobre, oliwa z oliwek smakuje jak woda, no i mają krzesło elektryczne, przecież ich rząd nie jest cywilizowany tak jak nasz. Nie musisz jednak niczego czynić w pośpiechu. Życie tutaj też nie jest takie najgorsze.

Pisciotta parsknął śmiechem.

- Cóż mógłbym robić w tej Ameryce? Tutaj istnieje dla mnie pewna szansa. Kiedy Guiliano wyjedzie, nie będą mnie tak zażarcie ścigać, a góry są przepastne.

- Co z twoimi płucami? - zatroskał się don Croce. - Masz jeszcze lekarstwo?

- Tak - odpowiedział Pisciotta. - To żaden kłopot. Mam szansę na to, że moje płuca nigdy nie zyskają szansy, by mnie uśmiercić. - Uśmiechnął się drwiąco do don Croce.

- Porozmawiajmy jak Sycylijczyk z Sycylijczykiem - odezwał się poważnym tonem gospodarz. - Kiedy jesteśmy dziećmi czy młodzieńcami, oczywiście kochamy się, jak to przyjaciele, i wybaczymy sobie swoje wady. Każdy dzień przynosi coś nowego, patrzymy w przyszłość z nadzieją, niczego się nie lękając. Świat wcale nie jest taki groźny; cieszymy się życiem. Ale kiedy dorosłejemy i musimy zarobić na chleb, przyjaźń niełatwo wytrzymuje próbę czasu. Zawsze musimy się mieć na baczności. Nasi staruszkowie przestają się nami opiekować, nie potrafimy już zadowolić się prostymi radościami wieku dziecięcego. Rośnie w nas duma: pragniemy stać się wielcy, silni albo bogaci, lub tylko uchronić się przed fatalnymi zrządaniami losu.

Wiem, jak bardzo kochasz Turiego Guiliana, ale teraz powinieneś zadać sobie pytanie: jaka jest cena tej miłości? I czy po tych wszystkich latach ona naprawdę istnieje, czy też może przetrwała jedynie pamięć o niej? - Przerwał, by Pisciotta mógł odpowiedzieć, ale on patrzył na niego z twarzą bardziej kamienną niż skały gór Cammarata i równie jak one białą. Twarz Pisciotty pobieliała niczym kreda.

Don Croce mówił więc dalej:

- Nie mogę pozwolić, aby Guiliano przeżył albo uciekł. Jeżeli pozostaniesz wobec niego lojalny, i ty staniesz się moim wrogiem. Pamiętaj o tym. Gdyby Guiliano zbiegł, bez mojej ochrony nie uchronisz się na Sycylii.

- *Testament* Turiego jest bezpieczny u jego przyjaciół w Ameryce - oświadczył Pisciotta. - Jeżeli go zabijecie, zostanie opublikowany i rząd upadnie. A nowy może was zmusić do zaszycia się na waszej farmie tutaj, w Villabie, albo nawet do czegoś gorszego.

Don Croce najpierw parsknął, a potem ryknął śmiechem na cały głos. Następnie rzekł z pogardą:

- Czy kiedykolwiek czytałeś ten słynny *Testament*?

- Owszem - przyznał Pisciotta, zbity z tropu reakcją dona.

- A ja nie - powiedział ten. - Lecz mimo to postanowiłem postępować tak, jak gdyby nie istniał.

- Chcecie, bym zdradził Guiliana - odezwał się Pisciotta. - Dla czego uważacie, że to jest możliwe?

Don Croce uśmiechnął się.

- Ostrzegłeś mnie przed napadem na mój hotel. Czyż był to akt przyjaźni?

- Uczyniłem to dla Guiliana, nie dla was - zapewnił Aspanu.

- Turi przestał zachowywać się zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku. Zamierza! was zabić. Gdybyście stracili życie, wiem, że nie byłoby już dla nas nadziei. Przyjaciele przyjaciół nie spoczęliby, póki by nas nie dopadli, nie zważając na istnienie jakiegoś tam *Testamentu*. Turi już dawno temu mógł opuścić kraj, lecz został, gdyż miał nadzieję, że dokona zemsty i odbierze wam życie. Przyszedłem na to spotkanie, by wejść z wami w układy. Guiliano za parę dni wyjedzie, zaniecha dokonania na was wendety. Pozwólcie mu wyemigrować.

Don Croce odchylił się na krześle. Upił łyk wina.

- Mówisz jak dziecko - rzekł. - Dobiegamy do końca tej historii. Guiliano jest zanadto niebezpieczny, aby mógł ująć z życiem. Ale nie mogę go zabić. Ja muszę dalej żyć na Sycylii, więc nie mogę pozbawić życia największego bohatera wyspy i robić dalej tego, co do mnie należy. Zbyt wielu ludzi kocha Guiliana, zbyt wielu naśladowców zapragnie pomścić jego śmierć. A więc zabicie go należy do karabinierów. Tak to trzeba załatwić. Ty tylko musisz doprowadzić Guiliana do miejsca zasadzki. - Umilkł na chwilę, po czym dodał z naciskiem: - Nadszedł koniec waszego świata. Możesz trwać przy nim, kiedy się rozpadnie, albo zamieszkać w innym.

- Może Chrystus będzie mnie chronił - powiedział Pisciotta.

- Wiem jednak, że jeśli zdradzę Guiliana, to nie pożyję długo.

- Masz tylko powiedzieć mi, gdzie wyznaczycie sobie następne spotkanie - rzekł don Croce. - Nikt inny się o tym nie dowie. Załatwię wszystko z pułkownikiem Lucą i inspektorem Velardim.

- Umilkł na sekundę. - Guiliano się zmienił. Przestał być twoim kumplem z dzieciństwa, nie jest już twoim najlepszym przyjacielem. To mężczyzna, który sam dba o siebie. I ty także powinieneś tak postąpić.

Tak więc wieczorem piątego lipca, kiedy Pisciotta miał ruszyć w drogę do Castelvetrano, zmówił się z don Croce. Powiedział mu, gdzie ma się spotkać z Guilianem, a wiedział, że don przekaże tę informację pułkownikowi Luce i inspektorowi Velardiemu. Nie zdradził tylko, że ma się to stać w domu Zu Peppina, jedynie, że gdzieś w miasteczku. Poza tym przestrzegł, by mieli się na baczności, gdyż jeśli chodzi o zasadzki, to Guiliano jest obdarzony szóstym zmysłem.

Kiedy jednak Aspanu pojawił się w domu starego woźnicy, ten powitał go z niezwykłym dla niego chłodem. Pisciotta zastanawiał się, czy staruch czegoś nie podejrzewa. Musiał wszak zauważyć niecodzienną aktywność karabinierów w miasteczku, po czym z nieomylną u Sycylijczyków intuicją dodał dwa do dwóch.

Pisciottę przeszył na chwilę dojmujący dreszcz cierpienia. A potem przyszła kolejna bolesna refleksja. Co będzie, jeśli matka Guiliana dowie się, że ukochany Aspanu wydał jej syna? Co będzie, jeśli pewnego dnia stanie przed nim, plunie mu w twarz i nazwie go zdrajcą i mordercą? Niegdyś płakali w swoich ramionach, a on przysiągł, że będzie chronił jej syna, potem zaś złożył na jej policzku judaszowy

pocałunek. W ułamku sekundy rozważył, czyby nie zabić starego, a potem samemu nie odebrać sobie życia.

- Jeżeli szukasz Turiego - odezwał się Zu Peppino - to jego już tu nie ma. - Pożałował Pisciotty, ten człowiek był blady jak ściana, zdawało się, że z trudem chwyta powietrze. - Wypijesz kropelkę anyżówki? - Pisciotta pokręcił przecząco głową i chciał odejść. - Bądź ostrożny, miasto jest pełne karabinierów - dodał.

Aspanu ogarnęło nagłe przerażenie. Okazał się głupcem, zakładając, że Guiliano nie wywęszy pułapki. I co się stanie, gdy domyśli się, kim jest zdrajca?

Wybiegł z domu, okrążył miasteczko, znalazł się na polnej drodze, która wiodła do awaryjnego miejsca spotkania, akropolu w starożytnym, wymarłym mieście Selinunt.

Ruiny greckiego miasta lśniły w promieniach letniego księżyca. Guiliano usiadł na zwałonych kamiennych schodach świątyni, marząc o Ameryce.

Czuł, jak jego serce przepelnia melancholia. Kiedyś miał tyle nadziei na przyszłość własną i przyszłość Sycylii; naprawdę wierzył w swoją nieśmiertelność. Tyłu ludzi go pokochało. Niegdyś był dla nich błogosławieństwem, teraz, jak mu się zdawało, przekleństwem. Wbrew rozsądkowi poczuł się zupełnie opuszczony, a przecież u jego boku wciąż stał Aspanu Pisciotta. Może nadejdzie wreszcie dzień, w którym ramię przy ramieniu znów przywołają do życia dawne miłości i marzenia. Wszak na początku działali tylko we dwójkę.

Księżyc zniknął, starożytne miasto pogrążyło się w ciemnościach. Ruiny przypominały teraz szkic na czarnym płótnie nocy. Z tego mroku dobiegł szelest małych kamyczków i ziemi. Guiliano przeturlał się między marmurowe kolumny, odbezpieczył broń. Jasny księżyc wyłonił się zza chmur. Guiliano ujrzał Aspanu na szerokiej, zrujnowanej alei, prowadzącej w stronę akropolu.

Pisciotta szybko zmierzał kamienistą drogą, omiatając wzrokiem otoczenie, i szeptem wzywał Turiego. Guiliano, ukryty za kolumnadą świątyni, odczekał, aż Aspanu go minie, potem wynurzył się zza jego pleców.

- Aspanu, znowu jestem górą! - zawołał jak kiedyś w czasie dziecięcej gry. Oniemiał, widząc, że wystraszony śmiertelnie Pisciotta okręcił się na pięcie. Po chwili przysiadł na schodach i odłożył broń. - Chodź tutaj, odpoczniemy chwilę. Musisz być zmęczony, a teraz po raz ostatni mamy okazję, by porozmawiać na osobności.

- Pogadamy sobie w Mazara del Vallo, tam będziemy bezpieczniejsi - odezwał się Pisciotta.

- Mamy mnóstwo czasu - stwierdził Guiliano. - A jeśli nie dasz sobie chwili wytchnienia, znowu zaczniesz pluć krwią. No chodź, usiądź przy mnie.

Zobaczył, jak Pisciotta zdejmuje broń, przypuszczał, że chce ją odłożyć. Wstał i wyciągnął rękę, by pomóc mu wspiąć się po schodach. I wtedy uświadomił sobie, że przyjaciel kieruje lufę w jego stronę. Skamieniał, po raz pierwszy od siedmiu lat zaskoczono go.

W głowie Pisciotty kłębiło się od straszliwych przypuszczeń, o co Turi może zapytać, kiedy przemówi. Mógłby zadać pytania: „Aspanu, kto jest w naszej bandzie Judaszem? Aspanu, kto ostrzegł don Croce? Aspanu, kto sprowadził do Castelvetrano karabinierów? Aspanu, po co spotkałeś się z don Croce?”. A nade wszystko lękał się, iż Guiliano powie: „Aspanu, jesteś moim bratem”. I właśnie ten przeraźliwy strach zmusił go do naciśnięcia spustu.

Lawina kul odrzuciła rękę Guiliana i poszarpała jego ciało. Pisciotta, przerażony własnym czynem, czekał, aż Turi upadnie. On jednak powoli zszedł w dół schodami; z ran tryskała mu krew. Przepęnlony zabobonnym strachem Pisciotta odwrócił się i uciekł, widząc, że Guiliano go ściga, a potem zobaczył, jak jego dawny przyjaciel pada na ziemię.

Umierającemu Guilianowi jednak wciąż wydawało się, że biegnie. Poszarpane neurony w jego mózgu splątały się, wydawało mu się, że czas cofnął się o siedem lat, że on biegnie wraz z Aspanu przez góry, ze starożytnych rzymskich zbiorników tryska źródłana woda, upaja ich zapach kwiatów, że mijają świątki w pozamykanych na kłódki kapliczkach i że jak tamtej nocy krzyczy: „Aspanu, ja wierzę”, ufając w swoją szczęśliwą gwiazdę, w prawdziwą miłość przyjaciela. Potem miłosierna śmierć uwolniła go od świadomości, że został zdradzony i że oto poniósł ostateczną klęskę. Umarł, marząc.

Aspanu Pisciotta umknął. Przebiegł przez pola i znalazł się na drodze do Castelvetrano. Tam skorzystał ze specjalnej przepustki, by skontaktować się z pułkownikiem Luçą i inspektorem Velardim. To oni rozgłosili wieść, że Guiliano wpadł w pułapkę, w której zginął z rąk kapitana Perenze.

Tego ranka, piątego lipca 1950 roku, Maria Lombardo wcześniej wstała. Obudziło ją stukanie do drzwi. Mąż pospieszył je otworzyć. Wrócił do sypialni, by powiadomić ją, że musi wyjść i najpewniej nie będzie go cały dzień. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak wsiada na zaprzężony w osiołka wóz Peppina jaskrawo wymalowany po bokach i na kołach w sceny z legendy. Czyżby nadeszły wieści od Turiego, czyżby udało mu się wyjechać do Ameryki, a może stało się coś złego? Poczula, jak ogarniają znajomy strach, zamieniający się w przerażenie, jakie nie opuszczało jej w ciągu ostatnich siedmiu lat. Nie mogła znaleźć sobie miejsca; kiedy już wysprzątała dom i przygotowała jarzyny na obiad, otworzyła drzwi i wyjrzała na ulicę.

Na *via Bella* nie było śladu po sąsiadach. Nie bawiły się dzieci. Wielu mężczyzn siedziało w areszcie pod zarzutem współpracy z bandą Guiliana. Kobiety były zbyt przerażone, by wypuszczać dzieci na dwór. Po obu stronach ulicy stały patrole karabinierów. Ujrzała żołnierzy przyczajonych na dachach. Wojskowe dżipy parkowały pod zabudowaniami. Opancerzony wóz zablokował wyjazd z *via Bella* koło koszar Bellampo. Miasteczko Montelepre okupowało dwa tysiące ludzi pułkownika Luki. Narobili sobie wrogów wśród tutejszych mieszkańców, napastując kobiety, strasząc dzieci, znieważając fizycznie mężczyzn, wtrącając ich do więzienia. Ci żołnierze przybyli tu, by zabić jej syna. Ale on uciekł do Ameryki, będzie wolny, a kiedy nadejdzie odpowiednia pora, ona dołączy do niego wraz z mężem. Będą żyć w wolności, bez strachu.

Wróciła do domu i znalazła sobie jakieś zajęcie. Wyszła na balkon od strony podwórka i popatrzyła na góry. Stamtąd Guiliano przez lornetkę obserwował dom. Zawsze czuła jego obecność; teraz jednak było inaczej. Z pewnością jest już w Ameryce.

Zmartwiała z przerażenia, słysząc głośne stukanie do drzwi. Niespiesznie je otworzyła. Jej wzrok padł na Hectora Adonisa; nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Nieogolony, potargany, bez krawata. Koszula pod marynarką wymięta, na kołnierzyku smugi brudu. Lecz przede wszystkim dostrzegła, że z twarzy Hectora zniknęły wszelkie oznaki godności. Wykrzywił ją straszliwy ból. Gdy Hector na nią spojrział, w jego oczach zabłyśły łzy. Stłumiła krzyk.

Adonis powiedział tylko:

- Nie, Mario, błagam.

Młodziutki porucznik karabinierów wszedł za nim do domu. Maria Lombardo sponad ich pleców wyjrzała na ulicę. Przed drzwiami zatrzymały się trzy czarne wozy, za kierownicami siedzieli wojskowi szoferzy. Drzwi blokowali uzbrojeni mężczyźni.

Porucznik był młody i miał zaróżowione policzki. Zdjął czapkę i wsunął ją pod pachę.

- Czy wy jesteście Marią Lombardo? - spytał. Miał akcent z północy, z Toskanii.

Maria Lombardo potaknęła. Głos jej ochrypl z rozpaczy. Usta wyschły.

- Muszę panią prosić, by udała się pani ze mną do Castelvetrano - powiedział oficer. - Samochód czeka. Będzie nam towarzyszył pani przyjaciel. Oczywiście jeśli pani wyrazi zgodę.

Maria Lombardo szeroko otworzyła oczy. Odezwała się już bardziej opanowanym głosem:

- Z jakiegoż to powodu? Nigdy nie byłam w Castelvetrano i nikogo tam nie znam.

Porucznik przemówił łagodniej, z wahaniem:

- Jest tam mężczyzna. Chcielibyśmy, aby go pani zidentyfikowała. Wydaje nam się, że to pani syn.

- To nie jest mój syn, on nigdy nie odwiedzał Castelvetrano - zaprzeczyła Maria Lombardo. - Czy jest martwy?

- Tak - potwierdził oficer.

Maria Lombardo jęknęła przeciągle i osunęła się na kolana.

- Mój syn nigdy nie jeździł do Castelvetrano - powtórzyła.

Hector Adonis podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Musisz jechać - powiedział. - Może to tylko jedna z jego sztuczek, jak to się już wcześniej zdarzało.

- Nie - zaprotestowała. - Nie, nie pojedę.

- Czy wasz mąż jest w domu? - spytał porucznik. - Możemy go wziąć zamiast pani.

Maria Lombardo przypomniała sobie, jak wcześniej tego ranka Peppino przyjechał po jej męża. Na widok malowanego, zaprzęzonego w osiołka wozu ogarnęło ją złe przecucie.

- Poczekajcie.

Weszła do sypialni i przebrała się w czarną suknię, głowę okryła czarnym szalem. Porucznik otworzył przed nią drzwi. Wyszła na ulicę. Wokół stali uzbrojeni żołnierze. Popatrzyła na via Bella, tam gdzie kończyła się przy rynku. W rozedrganych promieniach lipcowego słońca ujrzała wyraźnie Turiego i Aspanu sprzed siedmiu lat, prowadzących osiołka do mulicy; był to dzień, kiedy jej syn stał się mordercą i banitą. Zaczęła szlochać, porucznik ujął ją pod ramię i pomógł wsiąść do jednego z czekających czarnych aut. Hector Adonis usiadł przy niej. Wóz ruszył, mijając milczące oddziały karabinierów. Maria ukryła twarz na ramieniu Hectora Adonisa; teraz już nie szlochała, choć czuła śmiertelny strach przed tym, co może ujrzeć u kresu owej podróży.

Ciało Turiego Guiliana trzy godziny leżało na dziedzińcu. Zdawało się, że Turi śpi, leżał twarzą w dół, na lewym boku, jedną nogę miał podkurzoną, ciało rozciągnięte. Biała koszula była niemal szkarłatna. Tuż przy zmasakrowanym ramieniu leżał pistolet maszynowy. Fotoreporterzy i dziennikarze z Palermo i Rzymu już byli na miejscu. Reporter z magazynu „Life” robił zdjęcia kapitana Perenze, by opublikować je z komentarzem, iż to on zgładził wielkiego Guiliana. Twarz kapitana wydawała się dobronuduszną, smutną i jakby nieco oszołomioną. Miał czapkę na głowie, co sprawiało, że przypominał raczej zatroskanego kramarza niż oficera policji.

Jednakże to zdjęcia Turiego Guiliana obiegły całą prasę światową. Na wyciągniętej dłoni Turi miał zabrany niegdyś księżnej szmaragdowy pierścień. Na biodrach miał pas ze złotą sprzączką, na której wygrawerowano orła i lwa. Ciało leżało w kałuży krwi.

Przed przybyciem Marii Lombardo zwłoki zabrano do miejskiej kostnicy i złożono na wielkiej, owalnej marmurowej płycie. Kostnica przylegała do cmentarza, obsadzonego wysokimi czarnymi cyprysami. To tam przywieziono Marię Lombardo. Posadzono ją na kamiennej ławce. Czekano, aż pułkownik i kapitan skończą celebrować południowy posiłek w pobliskim hotelu Selinunt. Maria Lombardo na oczach dziennikarzy, miejscowych gapiów i trzymających ich na muszkach karabinierów, zaczęła płakać. Hector Adonis usiłował ją uspokoić.

Wreszcie zaprowadzono ją do kostnicy. Urzędnicy, zgromadzeni wokół owalnego blatu, zadawali pytania. Podniosła oczy i ujrzała twarz Turiego.

Nigdy nie wyglądał tak młodo. Przypominał chłopca, który wracał niegdyś po szalonej zabawie z Aspanu. Twarz zdawała się nietknięta, tylko na czole widniała smuga kurzu z dziedzińca. Widok ten otrzeźwił Marię Lombardo, ukoił. Odpowiedziała na pytania:

- Tak, to mój syn Turi, którego urodziłam przed dwudziestu siedmiu laty. Tak, rozpoznaję go.

Urzednicy wypytywali ją dalej, podsuwali jej papiery do podpisania, ale ona najwyraźniej ani ich nie słyszała, ani nie widziała. Dziennikarze krzyczeli, fotoreporterzy spierali się z karabinierami, chcieli robić zdjęcia.

Ucałowała czoło syna, białe, niczym poznaczony szarymi żyłkami marmur, ucałowała sine wargi, dłoń poszarpaną przez kule. Z bólu nie mogła zebrać myśli.

- Och, mój synu, mój synu, jaką straszliwą śmiercią zginąłeś!

Potem straciła przytomność, a kiedy dyżurny lekarz zrobił jej zastrzyk i odzyskała świadomość, uparła się, by zaprowadzono ją na dziedziniec, na którym zginął jej syn. Tam uklękła i ucałowała ziemię, poznaczoną krwawymi plamami.

Kiedy odwieziono ją do domu, do Montelepre, mąż już na nią czekał. Wtedy właśnie dowiedziała się, że mordercą jej syna był ukochany Aspanu.

Rozdział piąty

Michaela Corleone i Petera Clemenę po aresztowaniu przetransportowano do więzienia w Palermo. Stamtąd przewieziono ich do biura inspektora Velardiego na przesłuchanie.

Velardiemu towarzyszyło sześciu uzbrojonych oficerów. Z lodowatą uprzejmością powitał Michaela i Clemenę. Wpierw zwrócił się do Petera:

- Jesteście obywatelem amerykańskim. Legitymujecie się paszportem, w którym widnieje, że przyjechaliście tutaj odwiedzić brata. Don Domenico Clemenę z Trapani. Jak mi mówiono, godnego szacunku. Człowieka, któremu należy się szacunek. - Nie krył drwiny, wypowiadając ten tradycyjny zwrot. - Zatrzymaliśmy was w towarzystwie Michaela Corleone, mieliście przy sobie śmiercionośną broń, w miasteczku, w którym zaledwie kilka godzin wcześniej Turi Guiliano napotkał śmierć. Czy chcielibyście w tej sprawie złożyć jakieś oświadczenie?

- Wybrałem się na polowanie - oznajmił Clemenza. - Rozglądaliśmy się za królikami i lisami. Potem w Castelvetro, kiedy usiedliśmy w knajpce i piliśmy poranną kawę, zorientowaliśmy się, jakie zamieszanie panuje w mieście. Poszliśmy więc zobaczyć, co się dzieje.

- Czy w Ameryce strzelacie do królików z pistoletów maszynowych? - zdziwił się inspektor. Teraz zwrócił się do Michaela Corleone: - Spotkaliśmy się już wcześniej, ty i ja, i wiemy, po co tu przyjechałeś. Twój tłusty przyjaciel także wie. Sprawy jednak przybrały nieco inny obrót, niż podczas naszego uroczego obiadu kilka dni temu. Guiliano nie żyje. Aresztowano cię pod zarzutem przestępczej działalności konspiracyjnej, mającej na celu umożliwienie mu ucieczki. Nikt już ode mnie nie żąda, bym dalej traktował śmiecia takiego jak ty, niczym istotę ludzką. Sporządzono już zeznania, a ja radzę wam, byście je podpisali.

W tej chwili do gabinetu wszedł oficer karabinierów i szepnął coś do ucha inspektorowi Velardiemu. Ten rozkazał krótko:

- Wpuśćcie go.

Pojawił się don Croce, nie lepiej ubrany niż, jak Michael zapamiętał, podczas słynnego lunchu. Jego mahoniowa twarz także i teraz zdawała się kamienna. Kaczym

krokiem podszedł do Michaela i uściskał go. Ucisnął dłoń Peterowi Clemenzie. Potem odwrócił się bez słowa i niewzruszonym spojrzeniem zmierzył inspektora Velardiego. Z tego potężnego mężczyzny emanowała brutalna siła. Jego twarz i oczy wprost nią promieniowały.

- Ci dwaj to moi przyjaciele - powiedział. - Z jakiegoż to powodu potraktowaliście ich z takim brakiem szacunku? Czyżby czymś zawinili? - W jego głosie nie słyhać było ani gniewu, ani wzburzenia. Zdawało się, że po prostu domaga się wyjaśnień w związku z tym, co się stało. W jego tonie czuło się także pewność, że nic nie usprawiedliwia aresztowania.

Inspektor Velardi wzruszył ramionami.

- Muszą stanąć przed sędzią, który orzeknie, czy są winni, czy nie.

Don Croce usiadł na jednym z foteli stojących obok biurka Velardiego. Otarł czoło. Odezwał się cicho i znów nie dało się w jego głosie uchwycić jakiegokolwiek groźby:

- Ze względu na naszą przyjaźń proszę zadzwonić do ministra Trezzy i zasięgnąć jego opinii w tej kwestii. Wyświadczycie mi tym ogromną przysługę.

Inspektor Velardi pokręcił przecząco głową. Jego błękitne oczy nie były już lodowate, lecz płonęły wściekłością.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi - rzekł. - Wykonywałem jedynie rozkazy, a po śmierci Guiliana przestały mnie one obowiązywać. Ci dwaj staną przed sądem. I jeżeli to będzie ode mnie zależało, dołączysz do nich.

W tej chwili na biurku inspektora Velardiego rozdzwonił się telefon. Zlekceważył go, czekając na reakcję don Croce. Ten zaś doradził:

- Lepiej proszę odebrać, to minister Trezza.

Inspektor Velardi powoli podniósł słuchawkę. Nie spuszcza! wzroku z don Croce. Słuchał przez parę minut, po czym powiedział:

- Oczywiście, ekscelencjo - i rozłączył się. Opadł ciężko na krzesło i zwrócił się do Michaela i Petera Clemenzy: - Jesteście wolni.

Don Croce wstał i przegonił Michaela i Clemenzę z gabinetu takim gestem, jakby byli kurczakami zapędzonymi w pułapkę. Potem zwrócił się do inspektora Velardiego:

- Przez cały zeszły rok traktowałem was z największym szacunkiem, chociaż byliście obcy na mojej Sycylii. A jednak wobec moich przyjaciół i wobec swoich

żołnierzy postanowiliście mnie znieważać. Ale ja nie jestem człowiekiem, który by chował urazę. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości zjemy razem obiad i już lepiej się rozumiejąc, odnowimy naszą przyjaźń.

Pięć dni później, w południe, inspektor Velardi zginął od kul na głównym bulwarze Palermo.

Michael za dwa dni wrócił do domu. Rodzina czciła to hucznie. Jego brat, Fredo, przyleciał z Vegas, przybyła Connie i jej mąż Carlo. Clemenza z żoną, Tom Hagen z żoną. Ściskali Michaela i wznosili toasty na jego cześć, powtarzali mu, jak świetnie wygląda. Nikt nie mówił o latach jego wygnania, najwyraźniej nikt nie zauważał zniekształconego policzka, nikt nie wspominał o śmierci Sonny'ego. Rodzina zgromadziła się na jego powitanie, jakby przyjechał z college'u albo dłuższych wakacji. Zasiadł po prawicy ojca. Nareszcie był bezpieczny.

Nazajutrz spał do późna, po raz pierwszy spokojnie od chwili, w której opuścił kraj. Rano już czekało na niego śniadanie, przygotowane przez matkę, która ucałowała go, gdy zasiadał do stołu, a taki przejaw czułości nieczęsto jej się zdarzał. Tylko jeden raz, gdy wrócił z wojny.

Kiedy skończył jeść, wszedł do biblioteki. Tam czekał na niego ojciec. Michael zdziwił się, nie widząc Toma Hagen; domyślił się, że rozmowa ma się odbyć bez świadków.

Don Corleone ceremonialnie nalał anyżówki do dwóch kieliszków, po czym jeden wręczył Michaelowi.

- Za nasz układ - powiedział.

Michael uniósł kieliszek.

- Dziękuję. Muszę się wiele nauczyć.

- Owszem - potwierdził don Corleone. - Ale mamy mnóstwo czasu, a ja jestem tutaj, by ci doradzać.

- Nie sądzisz, ojcze, że najpierw powinniśmy wyjaśnić sobie sprawę Guiliana? - zapytał Michael.

Don Corleone usiadł ciężko i otarł usta serwetką.

- Zgadza się - potaknął. - To smutna sprawa. Miałem nadzieję, że Turi zdoła uciec. Jego ojciec i moja matka przyjaźnili się.

- Nie potrafiłem do końca zrozumieć, o co, u diabła, chodzi. Nie umiałem odgadnąć, po czyjej stronie jest racja. Powiadomiłeś mnie, że ufasz don Croce, a przecież Guiliano go nienawidził.

Spodziewałem się, że kiedy przekażę ci *Testament*, nie ośmielą się zabić Turiego, a jednak się na to poważyli. I teraz, gdy treść *Testamentu* zostanie opublikowana we wszystkich gazetach, sami położą głowę na szafot.

Dostrzegł, że ojciec mierzy go zimnym spojrzeniem.

- To jest Sycylia. Tam zdrada ściga zdradę.

- Don Croce i rząd musieli wejść w jakiś układ z Guilianem - powiedział Michael.

- Bez wątpienia - potwierdził don Corleone.

Michael wciąż nie potrafił otrząsnąć się ze zdumienia.

- Dlaczego to zrobili? Mamy *Testament*, który udowadnia, że rząd szedł ręką w rękę z Guilianem. Kiedy prasa opublikuje to, co jej prześlemy, włoski rząd upadnie. Mam wrażenie, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Don Corleone uśmiechnął się przelotnie i powiedział:

- *Testament* pozostanie w sejfie. Nie przekażemy go dziennikarzom.

Dopiero po dobrej minucie do Michaela dotarło znaczenie tych słów. Potem, po raz pierwszy w życiu, naprawdę rozzłościł się na rodzzonego ojca.

- Czy to znaczy, że cały czas współdziałałeś z don Croce? Czy to znaczy, że zamiast pomóc Guilianowi, zdradziłem go? Że oszukiwałem jego rodziców? Że zawiodłeś przyjaciół i poprowadziłeś ich syna na pewną śmierć? Że uczyniłeś ze mnie głupca, Judasza? Mój Boże, tato, Guiliano był prawym człowiekiem, dla sycylijskiej biedoty prawdziwym bohaterem. Musimy opublikować jego *Testament*.

Ojciec pozwolił mu mówić, potem wstał z krzesła i położył dłonie na ramionach Michaela.

- Posłuchaj mnie. Wszystko było gotowe do ucieczki Guiliana. Nie wszedłem w żadne układy z don Croce, by wydać tego chłopca. Samolot czekał, Clemenza i jego ludzie dostali instrukcje, by służyć ci wszelką pomocą. Sam don Croce pragnął, by Guiliano zbiegł, to było najprostsze rozwiązanie. Ale Guiliano poprzysiągł mu wendetę i żył nadzieją, że jej dopełni. Mógł w ciągu paru dni dołączyć do ciebie, ale ociągał się, aby zadać ostateczny cios. I to go zgubiło.

Michael odszedł od ojca i usiadł na jednym z obitych skórą foteli.

- Więc to jest powód, dla którego nie chcesz opublikować *Testamentu*? Ubileś interes.

- Owszem - przyświadczył don Corleone. - Zechciej pamiętać, że kiedy zraniła cię bomba, zrozumiałem, że ani ja, ani moi przyjaciele nie zdołają ci dłużej zapewnić na Sycylii całkowitego bezpieczeństwa. Mogły się zdarzyć inne zamachy. Chciałem mieć absolutną pewność, że wrócisz cało do domu. Dlatego więc musiałem dobić targu z don Croce. Ochraniał cię, a ja w rewanżu przyrzekłem, że przekonam Guiliana, by po wyjeździe do Ameryki nie opublikował swojego *Testamentu*.

Michael niemal zemdłał, tak był wstrząśnięty, kiedy uświadomił sobie, że to on poinformował Pisciotę, iż *Testament* dotarł bezpiecznie do Ameryki. W tamtej chwili przypieczętował los Turiego. Westchnął.

- Winniśmy to jego matce i ojcu. I Justinie. Czy ma się dobrze?

- Tak - zapewnił don. - Ma zapewnioną opiekę. Musi minąć parę miesięcy, nim pogodzi się z tym, co się zdarzyło. - Umilkł na chwilę. - To wyjątkowo rozumna dziewczyna, poradzi sobie tutaj.

- Sprzeniewierzmy się jego matce i ojcu, jeśli zataimy *Testament* - powtórzył Michael.

- Wcale nie - zaprzeczył don Corleone. - W ciągu wielu spędzonych w Ameryce lat czegoś się nauczyłem. Należy postępować rozumnie, negocjować. Cóż dobrego przyniosłoby opublikowanie *Testamentu*? Przymuszalnie upadłby wioski rząd, ale nie musiałoby się tak stać. Minister Trezza zostałby zdymisjonowany, lecz czy sądzisz, że spotkałaby go jakakolwiek kara?

- Jest przedstawicielem rządu, który potajemnie przyczynił się do wymordowania własnych obywateli - przypomniał gniewnie Michael.

Don Corleone wzruszył ramionami.

- I co z tego? Pozwól jednak, że będę mówił dalej. Czy opublikowanie *Testamentu* Guiliana pomoże jego matce, ojcu albo jego przyjaciołom? Rząd zacznie tych ludzi ścigać, osadzi ich w więzieniach, będzie prześladował na wszelkie możliwe sposoby. Co gorsza, don Croce może ich wciągnąć na czarną listę. Niech w spokoju dożyją swoich dni. Załatwię z rządem i don Croce, by te osoby znalazły się pod ochroną. W ten sposób wykorzystamy fakt, że to ja jestem w posiadaniu *Testamentu*.

- Przyda się poza tym z pewnością któregoś dnia na Sycylii - zauważył ironicznie Michael.

- Nic na to nie mogę poradzić - odparł ojciec z cieniem uśmiechu.

Po długiej chwili milczenia Michael odezwał się cicho:

- Sam nie wiem, wydaje mi się to haniebne. Guiliano był prawdziwym bohaterem, już stał się legendą. Powinniśmy wspomóc pamięć o nim. Nie pozwolić, by zbrukała ją jego klęska.

Don Corleone po raz pierwszy okazał zniecierpliwienie. Nalał sobie następny kieliszek anyżówki i wypił go jednym haustem. Wycelował palec w syna.

- Musisz się czegoś nauczyć - oświadczył. - Posłuchaj. Najpierwszym obowiązkiem człowieka jest uchować się przy życiu. Potem jest coś, co każdy nazywa honorem. Lub, wedle twojej oceny, dyshonorem. Chętnie wezmę to na siebie. Musiałem ocalić ci życie, skoro ty zhańbiłeś się, ratując moje. Bez ochrony don Croce nigdy nie zdołałbyś wyjechać z Sycylii. Więc niech już tak będzie. Czy chciałbyś się stać takim bohaterem jak Guiliano, taką legendą? I zginąć? Kocham go jako syna mojego przyjaciela, ale nie zazdrozczę mu jego sławy. Ty żyjesz, a on jest martwy. Nigdy nie zapominaj, że żyje się nie po to, by zostać bohaterem, ale po to, by zachować życie. Czas mija, a bohaterowie wydają się głupcami.

Michael westchnął.

- Guiliano nie miał wyboru - rzekł.

- Ale ty masz więcej szczęścia - oświadczył don Corleone.

Była to pierwsza lekcja, jakiej ojciec udzielił Michaelowi a on zapamiętał ją najlepiej ze wszystkich. Miała tragicznie wypaczyć jego przyszłość, sprawić, że będzie podejmował straszliwe decyzje o jakich wcześniej nawet mu się nie śniło. Zmieniła jego system wartości i pojęcie honoru. Pomogła mu przetrwać, lecz uczyniła go nieszczęśliwym. Gdyż jego ojciec wprawdzie nie zazdrościł Guilianowi, ale on, Michael, tak.

Rozdział szósty

Śmierć Guiliana zdławiła ducha sycylijskiego ludu. Turi był jego przywódcą, jego tarczą przeciwko bogaczom i szlachcie, przyjaciołom przyjaciół, rządowi chrześcijańskich demokratów z Rzymu. Kiedy Guiliano odszedł, don Croce Mało zarówno z ludzi majątnych, jak i z biedaków wydusił - niby w tłoczni oliwy - olbrzymią fortunę. Gdy rząd usiłował wznieść tamy, by dostarczyć ludności taniej wody, don Croce wysadził ciężki sprzęt potrzebny do budowy. Kontrolował zresztą wszystkie zbiorniki na Sycylii; nie obchodziły go więc jakieś tamy, mające zapewnić tanią wodę. Przy powojennym boomie budowlanym dzięki użytecznym informacjom i darowi przekonywania podczas negocjacji zdobył najlepsze działki za bezcen, a odsprzedał je drogo. Wziął pod swoją pieczę całą gospodarkę Sycylii. Nie sprzedałbyś na targu w Palermo nawet karczocha, nie opłaciwszy się don Croce choć kilkoma *centesimi*; ludzie zamożni nie mogli kupować biżuterii dla żon czy koni wyścigowych dla synów bez jego pozwolenia. Żelazną pięścią wybił z głów wieśniaków wszelkie mrzonki i nadzieje, że mogliby uprawiać ugory w posiadłości księcia Ollorto, tylko dlatego, że włoski parlament wydał bezsensowną ustawę. Zdławiony przez don Croce, szlachtę i rzymski rząd lud Sycylii utracił wszelką nadzieję.

W dwa lata po śmierci Guiliana wyemigrowało z wyspy pięćset tysięcy Sycylijczyków, głównie młodych mężczyzn. Ruszyli do Anglii, gdzie zostali ogrodnikami, lodziarzami i kelnerami w restauracjach. Wyjeżdżali do Niemiec, do ciężkiej fizycznej pracy, do Szwajcarii, gdzie sprząтали lub montowali zegary z kukulką. Przenosili się do Francji jako pomocnicy kuchenni i zamiatacze w wielkich magazynach odzieżowych. Płynęli do Brazylii i najmowali się do wyrębu lasu. Niektórzy zdecydowali się na mroźne skandynawskie zimy. Oczywiście było też kilku takich szczęśliwców, których Clemenza zwerbował na służbę u Rodziny Corleone w Stanach Zjednoczonych. Uważano, że tym się rzeczywiście powiodło. W ten sposób Sycylia stała się wyspą starców, małych dzieci i kobiet, owdowiałych za sprawą ekonomicznej wendety. Kamienne wioski przestały dostarczać robotników do pracy na polach w majątkach ziemskich, zatem i bogacze ucierpieli. Tylko don Croce świetnie prosperował.

Gaspare Aspanu Pisciotte osądzono za zbrodnie i skazano na dożywocie w więzieniu Ucciardone. Wszyscy jednak wiedzieli, że zostanie ulaskawiony. Obawiał się więc tylko jednego: iż zostanie w więzieniu zamordowany. Amnestia wciąż nie następowała. Przesłał don Croce wiadomość, że jeśli natychmiast nie zostanie zwolniony, ujawni wszystkie kontakty bandy z Trezzą i opowie, jak to nowy premier zmówił się z don Croce, by wymordować własnych obywateli na Portella delia Ginestra.

Któregoś ranka, po objęciu przez ministra Trezzę teki premiera Wioch, Aspanu Pisciotta obudził się o ósmej rano. Miał obszerną celę, pełną roślin i wielkich kilimów, które własnoręcznie wykonał podczas odsiadywania wyroku. Lśniący jedwab zawitych wzorów najwyraźniej go uspokajał, gdyż Aspanu często teraz myślał o dzieciństwie spędzonym u boku Turiego Guiliana, o tym, jak się nawzajem kochali.

Pisciotta zaparzył poranną kawę i wypił ją. Bał się, że może zostać otruty. Toteż niemal wszystko, z kawą włącznie, przynosiła mu rodzina. Z więziennego jedzenia wydzielał najpierw niewielkie porcje, którymi karmił trzymaną w klatce papugę. Na wszelki wypadek na jednej z półek, wraz z igłami do haftu i kuponami materiału, trzymał potężny dzban oliwy z oliwek. Miał nadzieję, że wlewając ją do gardła, zniweczy działanie trucizny albo wywoła wymioty. Nie obawiał się innych aktów przemocy - był zbyt dobrze strzeżony. Do celi wpuszczano tylko zaakceptowanych przez niego gości; nigdy nie pozwalano mu opuszczać tego pomieszczenia. Począł cierpliwie, aż papuga zje i przetrawi pokarm, a potem z dobrym apetytem sam zabrał się do śniadania.

Hector Adonis wyszedł ze swojego mieszkania w Palermo i tramwajem pojechał do więzienia Ucciardone. Lutowe słońce przygrzewało już mocno, chociaż było jeszcze wczesnie, więc pożałował, że włożył czarny garnitur i krawat. Czuł jednak, że przy takiej okazji musi wyglądać bardziej oficjalnie. Dotknął ważnej kartki, bezpiecznie spoczywającej na dnie kieszeni na piersi.

Kiedy tak przemierzał miasto, towarzyszył mu duch Guiliana. Wspominał, jak któregoś ranka zobaczył wysadzony w powietrze tramwaj pełen karabinierów, odwet Turiego za osadzenie rodziców w tym samym więzieniu. I znowu dziwił się, jakim cudem chłopak, który studiował klasyków, mógł popełnić tak straszliwy czyn. Chociaż teraz ściany budynków były czyste, on wciąż widział wymalowane na nich jaskrawą,

czerwoną farbą hasło: NIECH ŻYJE GUILIANO. Cóż, jego syn chrestny nie pożył długo. Jednakże Hectora Adonisa zawsze najbardziej dręczyła świadomość, że Turi zginął z ręki swojego najserdeczniejszego druha jeszcze z czasów dzieciństwa. Dlatego właśnie tak bardzo ucieszył się, gdy otrzymał polecenie dostarczenia mu wypisanych na kartce instrukcji. Przysłał je wraz z listem don Croce.

Tramwaj zatrzymał się przed długim, wzniesionym z cegieł budynkiem więzienia Ucciardone. Od ulicy oddzielał go wysoki kamienny mur, zwieńczony drutem kolczastym. Bramy pilnowali strażnicy, wzdłuż ogrodzenia chodziły silnie uzbrojone patrole policyjne. Hectora Adonisa, który już trzymał w ręku wszystkie niezbędne dokumenty, wpuszczono do środka, przydzielono mu specjalnego strażnika i pod eskortą zaprowadzono do szpitalnej apteki. Tam przywitał się z aptekarzem nazwiskiem Cuto. Cuto włożył niepokalanie biały fartuch na ciemny garnitur. Widocznie on także, powodowany intuicją, postanowił ubrać się elegancko na tę okazję. Serdecznie powitał Hectora Adonisa, potem usiedli i czekali.

- Czy Aspanu regularnie zażywa lekarstwo? - spytał Adonis.

Pisciotta wciąż brał streptomycynę jako lek przeciw gruźlicy.

- O, tak - zapewnił Cuto. - Bardzo dba o swoje zdrowie. Przestał nawet palić. Zauważyłem dziwny objaw u naszych więźniów. Kiedy są na wolności, szargają swoje zdrowie, palą jak smoki, piją do nieprzytomności, cudzołożą do ostatecznego wyczerpania. Nie dosypiają i nie gimnastykują się. Ale kiedy resztę życia mają spędzić w więzieniu, robią pompki, gardzą tytoniem, przestrzegają diety i są we wszystkim bardziej wstrzemięźliwi.

- Może dlatego, że mają mniej okazji - podsunął Hector Adonis.

- Och, nie, nie - zaprzeczył Cuto. - W Ucciardone dostaniesz wszystko, czego dusza zapagnie. Strażnicy są biedni, a więźniowie bogaci, więc rozsądne jest, aby pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Możesz tu zaspokoić każdą pokusę.

Adonis rozejrzał się po aptece. Na półkach stały lekarstwa, w wielkiej drewnianej szafie ułożono bandaże i instrumenty chirurgiczne, gdyż miejsce to służyło także jako ambulatorium dla więźniów w razie nagłych wypadków i izba chorych. Ustawiono tu nawet dwa schludnie zasłane łóżka w alkwie wielkiego pomieszczenia.

- Czy macie jakieś kłopoty ze zdobywaniem tego lekarstwa? - spytał Adonis.

- Nie, mamy specjalny przydział - wyjaśnił Cuto. - Dziś rano dostarczyłem mu nową fiolkę. Z tymi wszystkimi specjalnymi pieczęciami, jakimi Amerykanie opatrują rzeczy na eksport. Bardzo kosztowny lek. Dziwię się, że władze zadają sobie tyle trudu, by utrzymać tego więźnia przy życiu.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

W celi Aspanu Pisciotta wziął fiolkę ze streptomycyną i złamał plomby. Odmierzył dawkę i przełknął ją. Przez jedną sekundę, kiedy jeszcze mógł myśleć, zdumiał się gorzkim smakiem lekarstwa, potem jego ciało wygięło się w tył i upadł na podłogę. Krzyk sprowadził strażnika, który wpadł do celi. Pisciotta usiłował się podnieść, walcząc ze straszliwym bólem, jaki skręcał mu ciało. Czuł okropne palenie w przęłyku, próbował dotrzeć do dzbana z oliwą. Jego ciało znowu się wygięło w konwulsjach. Krzyknął do strażnika:

- Otruto mnie! Pomóż mi, pomóż!

I nim ponownie osunął się na ziemię, przepełniła go wściekłość, że ostatecznie dał się wyprowadzić w pole don Croce.

Niosący Aspanu strażnicy wbiegli do apteki, krzycząc, że więzień został otruty. Cuto położył go na jednym z łóżek w alkowie i zbadał. Potem szybko przygotował odtrutkę i wlał mu ją do gardła. Strażnikom wydawało się, że robi wszystko, by uratować Pisciotte. Tylko Hector Adonis wiedział, że owa odtrutka była słabym roztworem, który z pewnością nie pomoże umierającemu człowiekowi. Adonis podszedł do łóżka i wyjął z kieszeni kartkę. Udając, że pomaga farmaceucie, wsunął ją pod koszulę Aspanu. Jednocześnie popatrzył na przystojną twarz Pisciotty. Była wykrzywiona bólem, Adonis zdawał sobie sprawę, że to skurcz wywołany straszliwym cierpieniem. Aspanu w agonii przygryzł wargę. Hector Adonis odmówił modlitwę za jego duszę i zalała go fala niewyobrażalnego przygnębienia. Przypomniał sobie, jak ten młodzieniec wraz z jego synem chrestnym wędrowali ramię przy ramieniu wzgórzami Sycylii, recytując Pieśń o Rolandzie i Karolu Wielkim.

Dopiero sześć godzin później znaleziono przy zwłokach kartkę, było jednak jeszcze dość wcześnie na to, by zamieszczono jej tekst w artykułach prasowych na temat

śmierci Pisciotty i cytowano na całej Sycylii. Na kartce, którą Hector Adonis wsunął pod koszulę Aspanu, widniały słowa: TAK GINA WSZYSCY, KTÓRZY ZDRADZILI GUILIANA.

Rozdział siódmy

Na Sycylii, nawet jeśli masz pieniądze, nie możesz złożyć szczątków swoich ukochanych w ziemi. To ostateczne poniżenie, a ziemia sycylijska i tak jest już odpowiedzialna za zbyt wiele obelg. Dlatego też cmentarze pełne są małych kamiennych i marmurowych mauzoleów - niewielkich budowli wzniesionych na planie prostokąta, nazywanych *congregazioni*. Wejścia do nich strzegą żelazne, kute drzwi. Wewnątrz znajdują się nisze, do których wsuwa się trumny, a potem taką niszę zamurowuje się cementem. Puste przeznaczone są dla kolejnych członków rodziny.

W pewną słoneczną niedzielę, niedługo po śmierci Pisciotty, Hector Adonis zdecydował się odwiedzić cmentarz w Montelepre. Miał się tam spotkać z don Croce i odmówić wspólnie modlitwę przy grobie Turiego Guiliana. A ponieważ mieli też porozmawiać o interesach, czyż mogliby znaleźć lepsze miejsce, by poczuć się wolnymi od pychy, zapomnieć o dawnych urazach i zachować absolutną dyskrecję?

Czyż istnieje lepsze miejsce, aby pogratulować przyjacielowi dobrze wykonanej roboty? Obowiązkiem dona było wyeliminowanie Pisciotty, który okazał się zanadto gadatliwy i cieszył się zbyt dobrą pamięcią. Do obmyślenia sposobu realizacji tego zadania Croce wybrał Hectora Adonisa. Pozostawiona przy ciele kartka była jednym z najsubtelniejszych gestów wielkiego mafiosa. Usatysfakcjonowała Adonisa, a morderstwo z pobudek politycznych wydawało się aktem romantycznej sprawiedliwości. Stojąc przed bramą cmentarną, Hector Adonis obserwował, jak szofer i ochroniarze pomagają donowi wysiąść z samochodu. W ostatnim roku tusza tego człowieka przybrała monstrualne rozmiary, jego ciało zdawało się karmić niezmierzoną władzą, jaką zdobył jego właściciel.

Ramię w ramię minęli bramę. Adonis spojrzał w górę, na jej łukowate sklepienie. Widniało na nim wykute w żelazie przesłanie, mające pocieszyć żałobników: **BYLIŚMY, KIM JESTEŚCIE - BĘDZIECIE, KIM JESTEŚMY.**

Adonis uśmiechnął się, odczytawszy tę szyderczą prawdę. Guiliano nigdy nie postąpiłby tak okrutnie, Aspanu Pisciotta natomiast mógłby ze swojego grobu wykrzyknąć dokładnie te właśnie słowa.

Hector nie czuł już tak gorzkiej nienawiści do Pisciotty, jak po śmierci Guiliana, dokonał bowiem zemsty. Teraz myślał o nich obu jako o bawiących się razem małych chłopcach, którzy później dzielili wygnańczy los.

Don Croce i Hector Adonis zapuścili się daleko w tę wioskę grobowców, niewysokich kamiennych i marmurowych budowli. Goryle mafiosa szli obok niego kamienistą ścieżką. Kierowca dźwigał ogromny bukiet. Złożył go u stóp *congregazione*, w którym spoczywały prochy Guiliana. Don Croce troskliwie poprawił kwiaty, potem zerknął na małą fotografię Guiliana przytwierdzoną do kamiennej bramy. Ochroniarze troskliwie podtrzymali don Croce, chcąc uchronić go przed upadkiem.

Ale on wyprostował się.

- To był dzielny młodzieniec - rzekł. - Wszyscy kochaliśmy Turiego Guiliana. Ale jak mogliśmy z nim żyć? Chciał zmieniać świat, wywrócić go do góry nogami. Miłował swoich rodaków, lecz któż więcej ich zabił? Wierzył w Boga, a uprowadził kardynała.

Hector Adonis wpatrywał się w zdjęcie. Zostało zrobione, gdy Guiliano miał zaledwie siedemnaście lat, znajdował się w pełni młodzieńczego rozkwitu. Na jego twarzy malowała się taka słodycz, że nie można go było nie pokochać. Nikt nigdy nie podejrzewałby, że z rozkazu tego człowieka zamordowano tysiąc osób, że posłał tysiąc dusz do piekła.

Ach, Sycylio, Sycylio, rozmyślał Adonis, niszczysz swoich najlepszych synów, obracasz ich w proch. Dzieci piękniejsze od aniołów wyrastają na twojej ziemi, a potem przemieniają się w demony. Zło pleni się tutaj tak bujnie jak bambusy i kolczaste gruszki. Dlaczego jednak don Croce pofatygował się, by złożyć osobiście kwiaty na grobie Guiliana?

- Och - odezwał się Croce Malo - gdybym tylko miał syna takiego jak Guiliano! Jakież imperium mógłby po mnie odziedziczyć! Kto wie, do jakiej mógłby dojść chwały?

Hector Adonis uśmiechnął się. Bez wątplenia don Croce był wielkim człowiekiem, lecz nie wiedział nic o historii. Miał przecież tysiąc synów, którzy przejmą jego rządy, odziedziczą jego przebiegłość, złupią Sycylię, skorumpują Rzym. Jednym z nich jest on sam, Hector Adonis, wybitny profesor historii i literatury na uniwersytecie w Palermo.

Obaj zawrócili do bramy. Przed cmentarzem czekał długi sznur wozów. Każdy ich cał zamalowano scenami z życia Turiego Guiliana i Aspanu Pisciotty: obrabowanie księżnej, wielka rzeź szefów mafii, zamordowanie Turiego przez Aspanu. Hectorowi Adonisowi wydało się, że wie już wszystko. Że don Croce mimo swojej potęgi zostanie zapomniany, Turi Guiliano natomiast pozostanie wiecznie żywy. Jego legenda zacznie rosnać, niektórzy będą wierzyć, że wcale nie zginął, że wciąż przemierza góry Cammarata i któregoś pięknego dnia pojawi się znowu, by uwolnić Sycylię z niewoli i ubóstwa. W tysiącach kamiennych, zapyłonych wiosek jeszcze nienarodzone dzieci będą się modlić za duszę Guiliana i jego zmartwychwstanie.

A Aspanu Pisciotta o subtelnym umyśle, Aspanu, o którym mówiono, że nie słuchał, kiedy Hector Adonis opowiadał o Karolu Wielkim, Rolandzie i Oliwierze, i dlatego zdecydował się pójść inną drogą? Gdyby pozostał wierny, przypadłby w niepamięci, Guiliano sam jeden stałby się bohaterem legendy. Jednakże dopuszczając się strasznej zbrodni, Aspanu na wieki pozostanie u boku ukochanego Turiego.

Pisciottę pochowano na tym samym cmentarzu. Obaj będą do końca świata patrzeć na swoje ukochane góry, te same góry, które skryły szkielety słoni Hannibala, w których kiedyś rozbrzmiał donośny róg Rolanda, kiedy ten ginął, walcząc z Saracenami. Turi Guiliano i Aspanu Pisciotta umarli młodo, lecz będą żyć, jeśli nie wiecznie, to w każdym razie dłużej niż don Croce czy on sam, profesor Hector Adonis.

Dwaj mężczyźni, jeden olbrzym, drugi prawie karzeł, razem opuścili cmentarz. Terasowe ogrody opasywały zbocza gór niczym zielone wstążki, lśniły majestatyczne białe skały, w promieniach słońca szybował w dół ku nim mały, brunatny sycylijski jastrząb.